

Lektury tej książki nie da się zapomnieć. Wspaniała, wielka powieść.  
Dzięki Synowi Meyer dołącza do listy tych amerykańskich pisarzy,  
których naprawdę trzeba znać.

*Michał Nogaś, Program 3 Polskiego Radia*

# SYNN

PHILIPP MEYER





SYN



PHILIPP MEYER

# SYN

Przełożył Jędrzej Polak





Tytuł oryginału: *The Son*

Copyright © Philipp Meyer 2013

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadząca: Monika Długa

Redakcja: Natalia Szczepkowska

Korekta: Magdalena Owczarzak

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki: Dawid Czarczyński

Fotografia na okładce: [pl.depositphotos.com/carloscastilla](http://pl.depositphotos.com/carloscastilla)

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

eISBN 978-83-7976-400-6

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

[redakcja@czwartastrona.pl](mailto:redakcja@czwartastrona.pl)

[www.czwartastrona.pl](http://www.czwartastrona.pl)

*Dla moich bliskich*

PHILIPP MEYER

*Mojemu Ojcu*  
JĘDRZEJ POLAK



# Podziękowania

Dziękuję mojemu wydawcy, Danowi Halpernowi, koledze artyście, który rozumie. A także Suzanne Baboneau. Moim agentom: Ericowi Simonoffowi i Peterowi Strausowi. Libby Edelson i Lee Boudreaux.

Jestem wdzięczny następującym organizacjom za ich hojne wsparcie: the Dobie Paisano Fellowship Program, Guggenheim Foundation, Ucross Foundation, Lannan Foundation oraz the Noah and Alexis Foundation.

Wszystkie błędy w tej książce powstały z winy autora, któremu cenną wiedzę służyły następujące osoby: Don Graham, Michael Adams, Tracy Yett, Jim Magnuson, Tyson Midkiff, Tom i Karen Reynolds (i Debbie Dewees), Raymond Plank, Roger Plank, Patricia Dean Boswell McCall, Mary Ralph Lowe, Richard Butler, Kinley Coyan, „Diego” McGreevy i Lee Shipman, Wes Phillips, Sarah i Hugh Fitzsimons, Tink Pinkard, Bill Marple, Heather i Martin Kohout, Tom i Marsha Caven, Andy Wilkinson, wszyscy z James A. Michener Center for Writers, André Bernard, któremu jestem wdzięczny za nadstawianie ucha, Ralph Grossman, Kyle Defoor, Alexandra Seifert, Jay Seifert, Whitney Seifert i Melinda Seifert. Oprócz tego wyrażam wdzięczność Jimmy’emu Arterberry z Comanche Nation Historic Preservation Office, Juanicie Pahdopony i Gene’owi Pekah z Comanche Nation College, Williemu Pekah, Harry’emu Mithlo oraz the Comanche Language and Cultural Preservation Committee, co, rzecz jasna, nie oznacza, że ludzie ci i instytucje podpisują się pod zawartym w książce materiałem. Szacuje się, że w połowie XIX wieku zginęło blisko 98 procent populacji Komanczów.

Dan McCall, odpoczywaj w spokoju.

Dan McGuinness, odpoczywaj w spokoju.

Kelly Coleman Ramsey, odpoczywaj w spokoju.

W drugim wieku ery chrześcijańskiej Cesarstwo Rzymskie obejmowało najpiękniejsze połączenie świata i najbardziej cywilizowaną część ludzkości... ogień geniuszu wygasł i nawet duch wojskowy się ulotnił... niezgoda wewnętrzna i najazdy najsrońszych barbarzyńców z nieznanymi obszarów północnych... wszystko to było za ledwie przygotowaniem, zatrważającymi znakami zapowiadającymi zbliżanie się wielkiej katastrofy Rzymu.

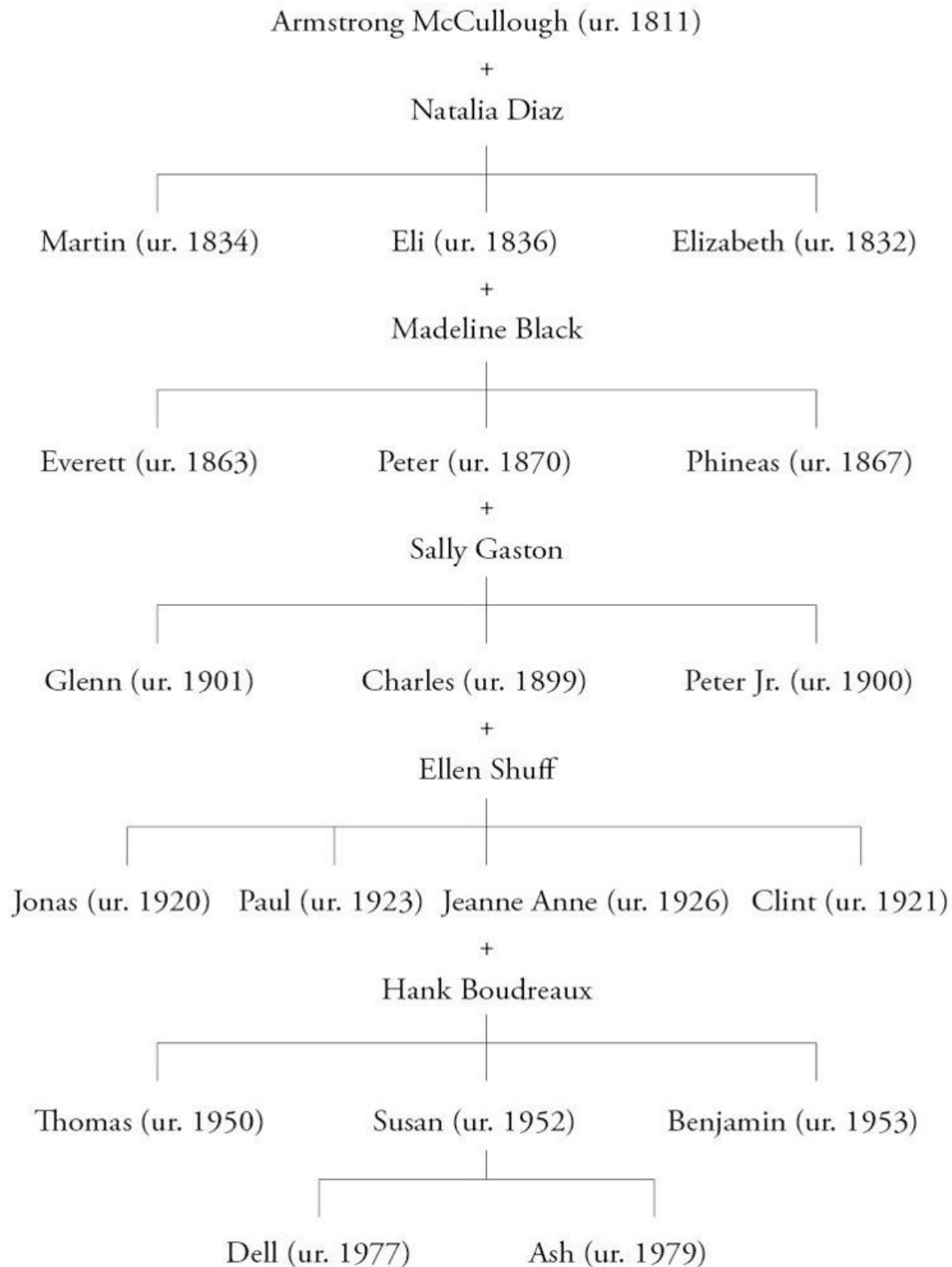
...zmiennosc fortuny, która nie oszczędza ani człowieka, ani najdumniejszego z jego dzieł... zasypuje ziemią imperia i miasta we wspólnym grobie.

– EDWARD GIBBON<sup>[1]</sup>

<sup>[1]</sup> Edward Gibbon, *Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego*, przeł. Stanisław Kryński.



# Rodzina McCulloughów





*Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym*

Książka dla Tomasz Jeliński

## Pułkownik Eli McCullough

*Z nagrania WPA<sup>[2]</sup> z roku 1936*

Wieszczono, że dożyję setki, a osiągnąwszy ten wiek, nie mam prawa wątpić w przepowiednię. Nie umieram w wierze chrześcijańskiej, choć ocaliłem skalp, a jeśli są gdzieś pastwiska krainy Wielkich Łowów, to właśnie tam zmierzam. Tam albo nad Styks. Moim zdaniem żyłem o wiele za krótko: gdyby dano mi jeszcze rok, ileż dobra zdołałbym uczynić! Zamiast tego leżę przykuty do łóżka, robiąc pod siebie jak niemowlę.

Gdyby Stwórca zechciał przywrócić mi siły, wybrałbym się nad rzeki płynące przez pastwisko. Nad wschodnie zakole rzeki Nueces, choć zawsze wolałem Diabelską Rzekę<sup>[3]</sup>. W snach stałem nad nią trzy razy, a jak powszechnie wiadomo, Aleksander Wielki wymknął się ostatniej nocy na tym świecie z pałacu i chciał wskoczyć do Eufratu, wiedząc, że jeśli nie znajdą jego ciała, lud uzna, że wstąpił do nieba jako bóg. Przeszkodziła mu w tym żona, która powstrzymała go nad samym brzegiem rzeki. Zaciągnęła go do domu, żeby umarł jak śmiertelnik. A ludzie mnie pytają, dlaczego nie ożeniłem się po raz drugi.

Gdyby pojawił się mój syn, wolałbym nie widzieć jego triumfalnego uśmiechu. Nasienie mojej klęski. Wiem, co uczynił i przypuszczam, że od dawna spoczywa nad brzegiem Jordanu, bo Quanah Parker, ostatni wódz Komanczów, nie dał chłopakowi szansy dożycia pięćdziesiątki. W zamian za tę informację, oddałem Quanah i jego wojownikom młodego byczka, bizona, najlepsze zwierzę do zarżnięcia w tradycyjny sposób – oszczepami – na moich pastwiskach, które kiedyś były ich terenami łowieckimi. Jednym z towarzyszy Quanah był czcigodny wódz Arapahów, a kiedy siedzieliśmy, dzieląc się na dawną modłę ciepłą wątroba bizona podlaną jego własną zółcią, wódz dał mi srebrną obrączkę, którą własnoręcznie zdjął z palca George'a Armstronga Custera<sup>[4]</sup>. Na obrączce wygrawerowano napis „7 Kaw”. Widać na niej głębokie wyżłobienie od oszczepu, a ja, nie mając prawowitego dziedzica, zabiorę ją do rzeki.



Większość zna datę mojego przyjścia na świat. Deklarację Niepodległości, która wyrwała Rzeczpospolitą Tekszańską spod meksykańskiego jarzma, ratyfikowano 2 marca 1836 w ubogiej szopie nad brzegiem rzeki Brazos. Połowa sygnatariuszy cierpiała na malarię, a druga połowa zjawiała się w Teksasie, uciekając przed strykiem. Byłem pierwszym męskim potomkiem nowej rzeczypospolitej.

Hiszpanie byli w Teksasie przez stulecia, ale nic z tego nie wyszło. Od czasów Kolumba podbijali wszystkie plemiona, które weszły im w drogę, a choć nigdy nie poznałem Azteka, jestem pewien, że byli cipami. Apacze ze szczepu Lipan powstrzymali starych konkwistadorów. Potem nadeszli Komancze. Ziemia nie widziała nikogo takiego od czasów Mongołów: zepchnęli Apaczów do morza, rozbili hiszpańską armię i zamienili Meksyk w targ niewolników. Kiedyś widziałem, jak Komancze pędzili wieśniaków wzdłuż Pecos – setki za jednym zamachem, zupełnie tak, jak pędzi się bydło.

Rząd meksykański, pobity przez dzikich, opracował rozpaczliwy plan zasiedlenia Teksasu. Gwarantowano w nim, że każdy, kto przeniesie się na zachód od rzeki Sabine, dostanie za darmo cztery tysiące akrów ziemi<sup>[5]</sup>. Drobny druk zapisano krwią. Stosunek Komanczów do obcych był niemal papieski w swej skrupulatności: katować i zabijać mężczyzn, gwałcić i zabijać kobiety, uprowadzać dzieci do niewoli albo do przysposobienia. Niewielu mieszkańców starej Europy skorzystało z meksykańskiej oferty. Prawdę mówiąc, nikt stamtąd nie przypląnął. Nadeszli za to Amerykanie. Jak powódź. Mieli kobiety i dzieci do stracenia – bądźcie płodni i rozmnażajcie się, a dam wam skosztować owocu z drzewa życia.

W roku 1832 mój ojciec przybył do Matagorda, co w tamtych czasach nie było niczym niezwykłym, wzięwszy pod uwagę ryzyko śmierci przed plutonem egzekucyjnym lub oskalpowania przez Komanczów – Bóg tylko tak mógł pokazać ludziom czekające na nich nagrody. Rząd meksykański, poirytowany coraz większą hordą mówiących po angielsku *gringos* w granicach kraju, zabronił Amerykanom emigracji do Teksasu.

Mimo to w Teksasie było lepiej niż w Starych Stanach, gdzie – o ile nie było się synem właściciela plantacji – do wzięcia zostały tylko resztki z pańskiego stołu. Spisy ludności dowodzą, że klasy wyższe – Austini i Houstoni – z ochotą pozostawały obywatelami Meksyku, jeśli tylko mogły zachować ziemię. Ich potomkowie prowadzą

propagandowe wojny, żeby oczyścić honor rodów i uznać przodków za ojców założycieli Teksasu. Jednak po prawdzie to ludzie tacy jak mój ojciec – goli jak święci tureccy – pchnęli Teksas do wojny.

Ojciec, jak każdy zdrowy na ciele Szkot, wziął udział w pogromie pod San Jacinto<sup>[6]</sup>, a po zwycięstwie pracował jako kowal, rusznikarz i mierniczy. Był wysoki i wygadany. Nikomu się nie kłaniał i miał ciężką rękę, ale ludzie czuli się przy nim bezpiecznie, co dla większości okazywało się złudzeniem. Ojciec mój nie był religijny, przypisując własne pogaństwo dziedzictwu krwi. Wszelako należał do ludzi wyczuwających tchnienie kostuchy na karku. Uważał, że nie ma czasu do stracenia. Najpierw mieszkaliśmy w Bastrop, uprawiając kukurydzę i sorgo, hodując wieprze i wycinając lasy do czasu przybycia nowych osadników – tych, którzy czekali, aż minie zagrożenie ze strony Indian i zjawili się z adwokatami podważającymi prawomocność aktów własności i tytułów do ziemi ludzi, którzy ucywilizowali ten kraj i pokonali czerwonoskórych. Ci pierwsi Teksaszczyki kupowali ziemię, płacąc najstarszą monetą – życiem – i nie umieli w większości czytać ani pisać. Zanim skończyłem dziesięć lat, wykopałem cztery groby. Najdalszy tętent galopujących koni budził całą rodzinę i zanim dotarły wieści – o jakimś sąsiedzie pociętym jak prosię na Dzień Dziękczynienia – tata ładował broń, po czym zniknął wraz z posłańcem w ciemnościach nocy. „Dzielni umierają młodo” – tak powiadają Komancze, ale przysłowie to dotyczyło i pierwszych Amerykanów.

Podczas dziesięciu lat samodzielnego trwania Rzeczypospolitej rząd rozpaczliwie rozglądał się za osadnikami, osobliwie majątynymi. Wiadomość ta dotarła do Starych Stanów przez jakiś niewidzialny telegraf – ten kraj jest już bezpieczny. W roku 1844 w naszym progu stanął pierwszy nieznanomy: z tablicą zakładu fryzjerskiego, w garniturze, na ujeżdżonej dla dam kasztance. Poprosił o owies dla konia, bo kobyłka zdychała z głodu pośród traw. Pierwszy raz zobaczyłem konia, który nie umiał żreć trawy – nigdy przedtem nawet nie słyszałem o takim dziwolągu.

Dwa miesiące później w sądzie podważono tytuł do ziemi Smithwicków, a Hornsbych i MacLeodów wykupiono za psie pieniądze. W tamtym czasie w Teksasie działało więcej adwokatów na głowę mieszkańca niż w jakimkolwiek innym miejscu na kontynencie, i upłynęło zaledwie kilka lat, nim pierwsi osadnicy stracili ziemię i zostali wypchnięci na zachód – z powrotem na terytoria Indian. Dzentelmeńskie klasy, które ukradły ich ziemię, knuły już wojnę

w obronie swoich czarnych: Południe poniosło klęskę, ale Teksas – dziecko Zachodu – wyszedł z tego bez szwanku.

Wcześniej rozpoczęła się kampania oszczerstw wymierzona w matkę – Kastylijkę ze starego rodu, śniadą, lecz o delikatnych rysach. Nowi osadnicy utrzymywali, że mama jest Mulatką w trzecim pokoleniu. Dżentelmeni z plantacji szczycili się szóstym zmysłem rozpoznającym tego rodzaju niuanse.

Przed rokiem 1846 wynieśliśmy się nad rzekę Pedernales, poza linię osadnictwa, na ziemię, do której tata miał tytuł. Grunt ten leżał na terenach łowieckich Komanczów. Rosnące tam drzewa nigdy nie słyszały siekiery i nie widziały ziemi, a wszystkie zwierzęta, które po niej stapały, były tłuste i o ciężałe. Trawa sięgała do piersi, gleba wydawała się żyzna i czarna od spodu, a najbardziej strome urwiska były porośnięte kwieciami. Teraz została z tego tylko sucha skalista pustynia.

Zdziczałe hiszpańskie bydło nabywało się lassem, a przed upływem roku kupiliśmy w ten sposób sto sztuk. Nie brakowało też świń i mustangów. Były jeszcze jelenie, indyki, niedźwiedzie, wiewiórki, jeden czy dwa bizona, żółwie i ryby z rzeki, kaczki, śliwki i winogrona mustangów, persymony i pszczele drzewa – kraina ta roiła się od życia, tak jak teraz gnije od ludzi. Jedyne kłopot sprowadzał się do zachowania skalpu na swoim miejscu.

[2] Works Progress Administration – działająca w czasach Wielkiego Kryzysu i *New Dealu* amerykańska federalna agencja rządowa odpowiadająca za program robót publicznych i prowadząca m.in. projekty radiowe, w tym rozgłoszenie i audycje w stacjach lokalnych [przyp. tłum.].

[3] Devil's River – górską rzeką w południowo-zachodnim Teksasie [przyp. tłum.].

[4] Podpułkownik George A. Custer dowodził 7 regimentem kawalerii armii amerykańskiej w stocznej 25 czerwca 1876 r., przegranej bitwie z Indianami (głównie Dakotami) nad rzeką Little Bighorn w Montanie [przyp. tłum.].

[5] Blisko tysiąc siedemset hektarów [przyp. tłum.].

[6] Bitwa pod San Jacinto między powstańcami teksańskimi pod dowództwem generała Sama Houstona a armią meksykańską; miała miejsce 21 kwietnia 1836 roku i zakończyła się całkowitą klęską Meksyku, zrzeczeniem się praw do Teksasu i uznaniem Republiki Teksasńskiej [przyp. tłum.].



## 2

### Jeanne Anne McCullough

*3 marca 2012 roku*

Słyszała pomruki, przyciszone głosy, wokół panował półmrok. Znajdowała się w dużej sali, którą początkowo wzięła za kościelną nawę albo sąd, a choć była przytomna, niczego nie czuła. Wydawało się jej, że pływa w ciepłej kąpeli. Pod sufitem wisiały przygaszone żyrandole, na kominku płonęły bierwiona, przy stołach stały krzesła z epoki Jakuba, a dalej popiersia starożytnych Greków. Na podłodze leżał dywan, który był prezentem od Szacha. Zastanawiała się, kto ją znajdzie.

To był duży biały dom w stylu hiszpańskim z dziewiętnastoma sypialniami, biblioteką, olbrzymim salonem i salą balową. Ona i jej bracia przyszli tutaj na świat, ale teraz przyjeżdżali tu co najwyżej na weekendy i rodzinne zjazdy. Pokojówki wrócą dopiero rano. Jej umysł był całkowicie przytomny, ale reszta się wyłączyła, a ona sama była święcie przekonana, że ktoś inny odpowiadał za ten stan. Miała osiemdziesiąt sześć lat, a choć lubiła powtarzać, że nie może się doczekać przeprawy do Krainy Mañana, nie było to do końca prawdą.

*Najważniejszy jest mężczyzna, który robi, co mu każe.* Powiedziała to kiedyś reporterowi z tygodnika „Time”, który umieścił jej zdjęcie na okładce: miała czterdzieści jeden lat i wciąż wyglądała pociągająco, stojąc przy cadillacu na tle pełnego kiwonów pola naftowego. Była drobną szczupłą kobietą, choć ludzie szybko o tym zapominali, kiedy poznawali ją lepiej. Miała donośny głos i szare oczy: szare jak stary pistolet czy zimny front atmosferyczny; zwracała uwagę, choć nie była zbyt piękna. Co musiał dostrzec jankeski fotograf. Kazał jej rozpiąć jeden guziczek w bluzce i rozwichrzył włosy, jakby dopiero co wysiadła z kabrioletu. Nie znajdowała się wtedy u szczytu władzy – to miało przyjść parę dziesiątków lat później – ale chwila była znacząca. Zaczęli traktować ją poważnie. Teraz mężczyzna, który zrobił to zdjęcie, już nie żył. *Nikt cię nie znajdzie*, pomyślała.

Oczywiście musiało tak się stać, bo nawet jako dziecko była

przeważnie sama. Miasto należało do jej rodziny. Ludzie nie przedstawiali dla niej wartości. Mężczyźni, z którymi miała wiele wspólnego, nie chcieli się z nią zadawać. Kobiety, z którymi niewiele ją łączyło, uśmiechały się za często, chichotały za głośno i przypominały jej małe psiaki, marnotrawiąc życie na wystrój wewnątrz i ubiory innych. Dla kogoś takiego jak ona nigdy nie było tu miejsca.

Była mała, miała jakieś osiem albo dziesięć lat, siedziała na werandzie. Był chłodny wiosenny dzień, a zielone wzgórza ciągnęły się wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, wszędzie ciągnęła się ziemia McCulloughów. Ale coś było nie tak: w trawie stał jej cadillac, ale nie było już starej stajni, której jeszcze nie spalił jej brat. *Teraz się obudzę*, pomyślała. Ale wtedy odezwał się Pułkownik, jej pradziad. Jej ojciec też tam był. Kiedyś miała też dziadka, Petera McCullougha, ale zniknął i nikt go dobrze nie wspominał – była pewna, że też by go nie polubiła.

– Myślałem, że tej niedzieli pójdziesz do kościoła – powiedział ojciec.

Pułkownik uważał, że takie rzeczy są dobre dla Murzynów i Meksykanów. Przeżył sto lat i nie wahał się mówić ludziom prosto w oczy, że nie mają racji. Miał ręce jak patyki i pokrytą plamami twarz jak niewyprawiona skóra, i mawiali, że kiedy przewróci się następnym razem, wpadnie prosto do grobu.

– Z kaznodziejami jest tak – mówił – że jeśli nie uwodzą ci córek albo nie wyjadają wszystkich pieczonych kurczaków i ciasta z lodówki, to oszwabiają twoich synów na koniach.

Jej ojciec był dwa razy większy od Pułkownika, ale – jak podkreślał zawsze Pułkownik – miał silne plecy i słabował na rozumie. Jej brat Clint kupił właśnie konia i siodło od pastora, a na grzbiecie zwierzęcia pod derką były odparzenia wielkości naleśnika.

Ojciec i tak kazał jej pójść do kościoła, obudził wcześniej, żeby zdążyli do Carrizo, gdzie prowadzono szkółkę niedzielną. Była głodna i zamykały się jej oczy. Kiedy zapytała nauczycielkę, co się stanie z Pułkownikiem, który został w domu i w tej właśnie chwili pił najprawdopodobniej żytniówkę z miętą i lodem, ta odpowiedziała, że Pułkownik pójdzie do piekła, gdzie będzie torturowany przez samego Szatana.

– W takim razie ja też z nim tam pójde – oświadczyła Jeannie. Była małym niewdzięcznym nicponiem. Gdyby urodziła się Meksykanką, dostałaby baty.

W drodze powrotnej do domu nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tata

bierze stronę nauczycielki, która miała orli nos i śmierdziało jej z ust padliną. Była ohydna jak kubeł smoły.

– Podczas wojny – tłumaczył jej ojciec – obiecałem Bogu, że jeśli przeżyję, każdej niedzieli pójdę do kościoła. Tuż przed twoimi narodzinami przestałem to robić, bo byłem bardzo zajęty. I więc, co się stało? – Wiedziała, wiedziała od zawsze. Ale i tak jej przypomniał: – Umarła twoja mama.

Jonas, jej starszy brat, mówił, żeby jej nie straszyć. Ojciec kazał mu być cicho, a Clint uszczypnął ją w ramię i szepnął:

– Jak się idzie do piekła, to na dzień dobry wsadzają ci widły w dupę.

Otworzyła oczy. Clint nie żył od sześćdziesięciu lat. Nic nie poruszyło się w półmroku. *Dokumenty*, pomyślała. Kiedyś ocaliła je z pożaru i nigdy nie potrafiła ich zniszczyć. Teraz je znajdują.





## Dzienniki Petera McCullougha

*10 sierpnia 1915 roku*

Moje urodziny. Dziś, bez pomocy whiskey, doszedłem do wniosku, że jestem nikim. Patrząc wstecz na czterdzieści pięć minionych lat, nie widzę nic godnego uwagi – to, co brałem niegdyś za duszę, przypomina raczej czarną otchłań – pozwoliłem innym ukształtować się wedle ich woli. Według Pułkownika jestem najgorszym z jego synów, zawsze wolał Phineasa, a nawet nieszczęsnego Everetta.

Dziennik będzie jedynym prawdziwym dokumentem opisującym tę rodzinę. W Austin planują uroczystość z okazji osiemdziesiątych urodzin Pułkownika i nie mam pojęcia, co powiedzą szczerze o człowieku, którego mają w stolicy za bohatera. Tymczasem nasze krwawe lato trwa dalej. Linie telefoniczne do Brownsville wciąż są przerywane: naprawiają je, a powstańcy za każdym razem znów wysadzają je w powietrze. Zeszłej nocy czterdziestu *sediciosos* zaatakowało King Ranch, w Los Tultitos rozgorzała trzygodzinna wymiana ognia i zastrzelono prezesa Ligi Prawa i Porządku w hrabstwie Cameron, lecz nie wiem, czy to zysk, czy strata.

Co się tyczy Meksykanów: kiedy widzi się, ilu rozstrzelano w rowach albo powieszono na drzewach, można uznać ich za prawdziwe utrapienie, jak pantery czy wilki. W „San Antonio Express” nie piszą już o ich śmierci – zajęłoby to zbyt dużo miejsca – zatem *Tejanos* umierają nieupamiętnieni i grzebani są, jeśli w ogóle, w płytkich grobach lub pętani i odciągani jak truchła tam, gdzie nikomu nie będą przeszkadzać.

Kiedy w zeszłym miesiącu zabito Longina i Estabana Moralesów (nie wiemy, kto się tego dopuścił, choć podejrzewam Nilesa Gilberta), Pułkownik zaopatrzył wszystkich naszych *vaqueros* w specjalny dokument:

*Ten Meksykanin to dobry Meksykanin. Dajcie mu spokój. Kiedy z nim skończę, zastrzelę go osobiście.*

Nasi ludzie pokazywali te dokumenty jak krzyże zasługi: czcą Pułkownika (wraz z wszystkimi innymi) – *nuestro patrón*.

Na nieszczęście dla *Tejanos* okoliczni hodowcy bydła tracą stada. W zeszłym tygodniu na zachodnich pastwiskach znalazłem z Sullivanem odcinek, na którym przecięto druciane ogrodzenie i do nocy doliczyliśmy się tylko dwustu sześćdziesięciu trzech krów i cielaków, a powinno ich być czterysta siedemdziesiąt osiem, jak liczyliśmy wiosną. Straciliśmy dwadzieścia tysięcy dolarów, a wszystkie dowody, a przynajmniej poszlaki, wskazywały na naszych sąsiadów, Garcíów. Sam wolałbym stracić królestwo niebieskie niż rzucić krwawe oskarżenie na niewinnego człowieka. Ale w tych czasach niewielu ludzi tak uważa.

Zawsze byłem zdania, że powinienem urodzić się w Starych Stanach, gdzie – choć ich ziemia jest skrwawiona nawet bardziej od naszej – nie potrzebują już broni. Ale życie tam byłoby niezgodne z moim usposobieniem. Przeraza mnie nawet Austin, czuję się w tym mieście tak, jakby sześćdziesiąt tysięcy jego mieszkańców krzyczało do mnie jednocześnie. Zawsze miałem kłopoty z zapominaniem – obrazy i dźwięki kołaczą mi się po głowie latami – więc zostałem tutaj w jedynym miejscu, które jest naprawdę moje, bez względu na to, czy to podoba się temu miejscu, czy nie.

Kiedy oglądaliśmy przecięte druty, Sullivan wskazał – zupełnie niepotrzebnie – że wszystkie ślady prowadzą prosto na ziemię Garcíów, która graniczy z rzeką tak o tej porze roku wyschniętą, że można się przez nią przeprawić w dowolnym miejscu.

– Stary Pedro mi nie przeszkadza – powiedział – ale jego zięć jest takim psubratem jak najgorszy z czarnuchów.

– Za często gadasz z Pułkownikiem – odpowiedziałem mu.

– On ich *sabe* bardzo dobrze, tych swoich Meksykanów.

– Wydaje mi się, że jest akurat na odwrót.

– W takim razie, szefie, niech mi szef przedstawi jedno uczciwe wytłumaczenie tego przeciętego drutu i śladów prowadzących prosto na pastwiska Pedra Garcii. Brakuje nam dwustu sztuk. Kiedyś przeprawilibyśmy się przez rzekę i odebrali to, co do nas należy, ale w tych czasach to trochę ponad nasze siły.

– Stary Pedro nie może pilnować każdego kawałka swojej ziemi, tak samo jak my nie możemy pilnować każdego kawałka naszej.

– Jest pan ważnym człowiekiem, szefie – odpowiedział – więc nie rozumiem, czemu zachowuje się pan jak byle kto.

Nie miał nic więcej do dodania. To, że Meksykanie mogą w tych czasach i w tej epoce mieć tyle ziemi, traktuje jako osobisty afront. Nasi *vaqueros* utwierdzają go w tej zjadłości: ponieważ jest chudy i ma wysoki głos, wołają za nim *Don Castrado*.

Co się tyczy Pedra Garcii: kłopoty wloką się za nim jak pies przybłąda. Dwóch z jego zięciów jest ściganych w Meksyku za kradzież bydła, co jest nie byle jakim osiągnięciem, zważywszy na obowiązujący tam pogląd na te sprawy. W zeszłym tygodniu pojechałem złożyć mu wizytę, ale w progu przywitani mi José i Chico.

– Don Pedro słabuje – powiedzieli i udawali, że nie rozumieją mojej hiszpańszczyzny. Znam Pedra od urodzenia i wiem, że przyjąłby mnie bez słowa, ale oczywiście nic im nie powiedziałem i zawróciłem konia.

Pedro od tak dawna nie miał *vaqueros*, że jego ziemię zarastają chwasty, a przez ostatnie dwa lata zdołał napiętnować tylko połowę ciałąt. Co roku zarabia coraz mniej i nie jest w stanie wynająć większej liczby ludzi, więc jego dochody spadają, i tak w kółko.

Mimo to zachował dobroduszość. Zawsze wołałem jego dom od naszego. Obaj lubiliśmy wspominać stare czasy, kiedy ziemia była żyźniejsza, między wioskami z palonej cegły ciągnęły się białe wapienne trakty, nikt nigdy nie widział cierni, a trawa sięgała do strzemion. Teraz ciernie są bezwzględne, a stare kamienne wioski świecą pustkami. Wznosi się tylko krzywe monstrualne domy na drewnianych ramach, które rosną jak grzyby po deszczu i równie szybko gniją. Pedro pod wieloma względami był mi bliższy od ojca, od Pułkownika. Jeśli miał dla mnie kiedyś ostrzejsze słowo, to ja go nie słyszałem. Zawsze żywił nadzieję, że zainteresuję się którąś z jego córek, a przez pewien czas byłem naprawdę zauroczony najstarszą z nich, Marią, ale czułem, że Pułkownik będzie temu przeciwny i jak tchórz pozbyłem się uczucia. Maria wyjechała do Mexico City na studia, a jej siostry wyszły za Meksykanów, którzy mieli chrapkę na ziemię Pedra.

Najbardziej boję się tego, że Sullivan ma rację i że zięciowie Pedra kradną nasze bydło; mogą nie rozumieć czekających ich konsekwencji, mogą nie rozumieć, że Don Pedro ich nie obroni.

11 sierpnia 1915 roku

Sally i doktor Pilkington odwożą Glenna, naszego najmłodszego syna, do San Antonio. Postrzelono go tej nocy, kiedy natknęliśmy się w ciemnościach na jakichś jeźdźców. Rana to draśnięcie w bark, z pewnością nie zagraża życiu, zawiózłbym syna do San Antonio sam, gdyby nie Pułkownik. Ojciec doszedł do wniosku, że strzelali do nas sąsiedzi. Kiedy zaprotestowałem, mówiąc, że było zbyt ciemno, żeby rozpoznać twarze winnych, dano mi do zrozumienia, że jestem zdrajcą.

– Gdybyś słuchał mnie i tego, co mówię – perorował – wiedziałbyś, że na tych koniach siedzieli Chico i José.

– Trzeba by mieć oczy żbika, żeby widzieć w takich ciemnościach dalej niż na staję.

– Jak dobrze wiesz – odpowiedział – zawsze miałem wzrok lepszy od innych.

Na dole zleciało się ćwierć miasta (ta biała ćwiartka). A do tego Rangersi, nasi wszyscy *vaqueros* i *vaqueros* Midkiffów też. Za parę minut zrobimy zajazd na Garcíów.



## Eli McCullough

Wiosna 1849 roku, ostatnia pełnia księżyca. Od dwóch lat panowaliśmy nad naszą akrokracją nad Pedernales, niedaleko Fredericksburga, kiedy naszemu sąsiadowi w biały dzień ukradziono dwa konie. Syphilis Poe, jak nazywał go mój ojciec, przybył tu z Appalachów, wyobrażając sobie, że Teksas jest rajem dla leni, gdzie bierwiona na podpałkę rąbią się same, persymony wpadają do gęby, a fajka jest zawsze nabita bielunem. Najpowszechniejszy typ na pograniczu, choć było też wielu takich jak mój ojciec – pragnących się wzbogacić, o ile przeżyją – no i Niemcy.

Zanim zjawili się Niemcy, wszyscy uważali, że w tym południowym klimacie nie da się zrobić masła. Oraz, że nie da się tu uprawiać pszenicy. Gospodarka oparta na niewolnictwie wyczynia takie właśnie cuda z głowami zwykłych ludzi, ale Niemcy, którym nikt o tym nie mówił, zajęli się ubijaniem pierwszorzędnego masła i zbieraniem obfitych plonów szlachetnego zboża, które sprzedawali z wielkim zyskiem oniemiałym sąsiadom.

Przeciętny Niemiec nie miał alergii do roboty, co rzucało się w oczy, kiedy patrzyło się na jego gospodarstwo. Kiedy mijając jakieś pole widziało się równo zaoraną glebę, ziemia ta należała do Niemca. Jeśli na polu leżało pełno kamieni, bruzdy były tak równe, jakby orał je ślepy Indianin i jeśli był akurat grudzień, a nikt nie tknął bawełny – ziemia należała do miejscowych białych, którzy przywlekli się z Tennessee z nadzieją, że Matka Natura wyczaruje im w nagrodę jakiegoś niewolnika.

Ale uprzedzam wydarzenia. Tamtego ranka ojca czekał kłopot w postaci kradzieży dwóch zabiedzonych szkap i wyraźnego śladu niepodkutych kopyt, prowadzącego na wzgórze. Zdrowy rozum podpowiadał, że sprawcy są jeszcze w okolicy, bo żaden szanujący się koniokrad nie mógł być w pełni usatysfakcjonowany parchatymi łąkowatymi kobyłami Poego, ale prawo pogranicza wymagało ruszenia w pościg, więc mój ojciec i paru innych mężczyzn dosiedli koni, zostawiając mnie i brata z dwoma karabinami oraz pistoletami ze



srebrnymi okuciami, zabranymi jednemu generałowi pod San Jacinto. Wydawało się, że to dosyć, żeby obronić warowny dom, bo na pograniczu stacjonowało już wojsko, a najazdy Indian z początku lat czterdziestych dobiegły, jak można było przypuszczać, końca.

Mężczyźni odjechali tuż przed południem, a ja i mój brat – para gołowąsów, którym marzyła się dorosłość – niczym się nie przejmowaliśmy. Nie baliśmy się Indian, w okolicy mieszkali dziesiątki Tonkawów i innych włóczęgów, którzy czekali aż rząd otworzy im rezerwat. Mogli napadać na zabłąkanych jankesów, ale nie byli tak głupi, żeby naprzykrzać się miejscowym, z których każdy marzył o indiańskim skalpie i był gotów go zdobyć pod byle pretekstem.

Kiedy miałem dwanaście lat, zabiłem największą panterę, jaką widziano w hrabstwie Blanco. Potrafiłem tropić jelenia na skalistym podłożu, a orientację miałem tak dobrą jak ojciec. Nawet mój brat, który miał słabość do poezji i książek, strzelał lepiej od każdego przybysza ze Starych Stanów.

Co się tyczy mojego brata: wstydziłem się go. Potrafiłem odnaleźć tropy, których on w ogóle nie widział, potrafiłem powiedzieć, w którą stronę byk zwrócił łeb, czy miał pełny czy pusty kałdun i co go spłoszyło. Widziałem lepiej, biegałem szybciej i słyszałem to, czego on nie słyszał. Ale jemu to nie przeszkadzało. Uważał się za lepszego z powodów, których nie potrafiłem zgłębić. Nienawidziłem każdego świeżego odcisku kół wozów, każdej oznaki nowego osadnika, natomiast mój brat od początku wiedział, że pojedzie na wschód. Bez przerwy gadał o wyższości miast i wkrótce jego marzenia się spełniły: mieliśmy obfite plony, coraz więcej sztuk bydła i nasi rodzice mogli wynająć parobka, żeby go zastąpił.

Dzięki Niemcom z Fredericksburga, gdzie zgromadzono więcej książek niż w całej reszcie Teksasu razem wziętej, tacy ludzie jak mój brat byli uważani za normalnych. Rozumiał po niemiecku, bo był to język naszych sąsiadów, po francusku, bo był najważniejszy, i po hiszpańsku, bo nie dało się mieszkać bez tego w Teksasie. Przeczytał „Cierpienia młodego Wertera” w oryginale i twierdził, że pracuje nad własną lepszą wersją, choć nie dał nikomu jej przeczytać.

Poza Goethem i Byronem poświęcał większość myśli naszej siostrze. Była piękną dziewczyną, grała na pianinie tak dobrze jak mój brat czytał i pisał, i powszechnie uważano, że niepotrzebnie są tak blisko spokrewnieni. Ja zaś miałem nieco zaciętą twarz. Niemcy mówili, że wyglądam jak Francuz. Co się tyczy mojego brata i siostry: jeśli doszło

między nimi do czegoś niewłaściwego, nigdy się o tym nie dowiedziałem, choć kiedy się do niego zwracała, jej słowa miały konsystencję bawełny albo słodczy rozpluwających się na języku, natomiast na mnie warczała jak na kundla. Mój brat pisywał dla niej sztuki, w których występowała, oboje odgrywali najczęściej nieszczęśliwe małżeństwo, a mnie obsadzali w roli Indianina albo łajdaka, który doprowadził ich do ruiny. Mój ojciec udawał zainteresowanie, posyłając mi jednocześnie znaczące spojrzenia. O ile o niego chodziło, brat był do zaakceptowania tylko dlatego, że ja udałem mu się nad podziw. Ale mama była dumna. Łączyła wielkie nadzieje z moim rodzeństwem.

Nasza chata składała się z dwóch izb połączonych krytym przejściem. Stała na skarpie, na której wśród skał pokazywała się wiosna, żeby spłynąć z nawisu do Pedernales. Lasy były tak gęste jak je Pan Bóg stworzył, a ojciec powiadał, że jak wokół domu nie będzie już drzew, pojedziemy dalej. Oczywiście mama była innego zdania.

Ogrodziliśmy podwórko, postawiliśmy bramę, zagrodę dla bydła, wędzarnię, spichlerz i stajnię, w której ojciec podkuwał konie. Mieliśmy drewnianą podłogę i szyby w oknach oraz niemiecki piec, który płonął przez całą noc, zużywając kilka zaledwie szczap. Meble wyglądały jak ze sklepu, na biało pomalowali je i sprzedali nam mormoni z Burnet. W głównej izbie stało łóżko z baldachimem mamy i taty oraz poślanie siostry; ja i brat dzieliliśmy łożę w nieogrzewanej izbie po drugiej stronie przejścia, choć ja często spałem na dworze na niewygarbowanej skórze, którą rozwieszałem jakieś trzydzieści stóp nad ziemią w gałęziach starego wiecznozielonego dębu. Brat często palił świece, żeby czytać (mama pozwalała mu na ten luksus), a ja nie umiem spać przy świetle.

Najważniejszym meblem w głównej izbie było kwadratowe hiszpańskie pianino – jedyny posąg mamy. Pianino w tamtych czasach było wielką rzadkością i w niedziele przyjeżdżali do nas w gości Niemcy, żeby śpiewać i oglądać sztuki mojego brata. Mama zaczynała przebąkiwać o przeniesieniu się do Fredericksburga, gdzie brat i siostra mogliby podjąć na nowo edukację. Ja byłem w jej oczach wyrodkiem i gdyby nie to, że uczestniczyła w moim przyjściu na świat, wyrzekłaby się jakiegokolwiek odpowiedzialności za spłodzenie mnie. Kiedy tylko odrośłem od ziemi, chciałem zostać Rangersem i wyprawiać się przeciwko Indianom, Meksykanom i każdemu, kto by się nawinał.

Kiedy patrzę na wszystko wstecz, mam pewność, że mama wiedziała, co się wydarzy. W tamtych czasach ludzie mieli otwarte głowy, czuliśmy każdy powiew i zmarszczkę na wodzie. Nawet tacy jak mój brat dostrajali się do praw przyrody. Dzisiaj ludzie żyją w sarkofagach ciała. Nic nie słyszą ani nie widzą. Ziemia i Prawo są zepsute. Dobra Księga mówi: „Dlatego Ja was zgromadzę w środku Jerozolimy. Podobnie jak kładzie się razem w piecu srebro, miedź, żelazo, ołów i cynę, by rozpalić z dołu ogień i roztopić je, tak i was zgromadzę w gniewie moim i zapalczywości, umieszczę was i roztopię”. I mówi jeszcze: „Ty jesteś ziemią, która nie została ani oczyszczona, ani obmyta w dzień burzy<sup>[7]</sup>”. Zgadza się. Potrzebujemy wielkiej pożogi, która przetoczy się od oceanu do oceanu, a ja jestem gotów przysiąc, że pierwszy poleję się naftą, jeśli ktoś mi zagwarantuje, że nie zgaszą ognia.

Ale to dygresja. Tamtego popołudnia starałem się być pożyteczny – tak postępowały dzieci w tamtych czasach – i wycinałem z derenia jarzmo dla wołów. Z domu wyszła siostra i powiedziała:

– Eli, idź do szopki nad źródłem i przynieś mamie masło i konfitury z winogron.

Początkowo nie zareagowałem, bo nie miała prawa mi rozkazywać, a jej domniemany urok dawno gdzieś się rozplynął. Choć muszę przyznać, że często byłem morderczo zazdrosny o mojego brata i o to, jak z nim siedziała i wymieniała tajemnicze uśmiechy w sprawach, o których tylko oni wiedzieli. Mówiąc szczerze, nie byłem wtedy w jej łasce, bo ukradłem konia jej wybrankowi, Alzaczykowi o imieniu Hiebert. Chociaż zwróciłem konia w lepszym stanie, nauczywszy szkapę przyjemności cwału pod dobrym jeźdźcem, Hiebert przestał do niej przyjeżdżać.

– Eli! – Miała głos jak świniopas. Współczułem temu nieszczęśnikowi, który się z nią wiąże.

– Kończy nam się masło – odkrzyknąłem. – A tata będzie wściekły, kiedy przyjdzie do domu i nic nie dostanie.

Wróciłem do strugania. Było mi dobrze w cieniu na zielonym wzgórzu, z którego rozciągał się widok na czterdzieści mil. Rzeka tuż pode mną spływała małymi kaskadami. Oprócz jarzma, miałem też do wystrugania trzonek do siekiery. Drewno wziąłem z żółtnicy pomarańczowej, na którą natknąłem się podczas jednej z wypraw. Trzonek będzie bardziej sprężysty, niżby podobało się tacie, ale osadzę go w kopytku sarny, żeby się nie wyslizgiwał z dłoni.

– Wstawaj – powiedziała siostra. Stała nade mną. – Przynieś masło, Eli. Mówię poważnie.

Podniosłem głowę i spojrzałem na nią, stojącą tam w swojej najlepszej niebieskiej sukience z samodziału, i zauważyłem świeży czyrak, który usiłowała ukryć pod farbą. Kiedy w końcu zaniósłem masło i konfitury, mama dołożyła do pieca i otworzyła okna, żeby w domu było chłodniej.

– Eli – odezwała się mama – zjedź nad rzekę i nałap nam trochę ryb, dobrze? A może upolujesz bażanta, jak jakiegoś wypatrzysz?

– A co z Indianami?

– Jeśli jakiegoś upolujesz, nie przynoś do domu. Nie ma co narażać się bez potrzeby.

– A gdzie święty Martin?

– Zbiera jagody.

Zszedłem po wapiennej skarpie nad rzekę, zabrałem ze sobą wędkę, brezentowy worek i należącego do taty Jaegerbuchse'a. Jaegerbuchse strzelał jednouncjowymi kulami, miał podwójny spust i należał do najlepszych karabinów na pograniczu, ale tacie było nieporęcznie przeładowywać go w siodle. Z racji starszeństwa przypadł w udziale mojemu bratu, ale odrzut broni był zbyt silny jak na jego poetycką budowę. Na obu końcach karabinu była krew, ale to mi nie przeszkadzało. Kula przechodziła nawet przez najstarszych synów Efraima czy – jak kto woli – przez wiewiórkę z dowolnej odległości. Byłem uszczęśliwiony, mając przy sobie tę broń.

Rzeka Pedernales nie była szeroka i wrzynała się głęboko w skalne podłoże, przeważnie płynęło nią mało wody, przez co rozlewała się na jakieś sto jardów na głębokości kilku stóp. Wzdłuż brzegów rosły stare cyprysy i platany, a sama rzeka spływała kaskadami i żłobiła nadające się do pływania stawy pełne węgorzy. Jak większość rzek w Teksasie, nie nadawała się do żeglugi, co według mnie było korzystne, bo nie niepokoił nas żaden żeglarz.

Wykopałem na brzegu trochę czerwi, zebrałem parę kawałków kory na spławiki i znalazłem sobie cieniste rozlewisko pod cyprysem. Tuż nade mną na wzgórzu rosła olbrzymia morwa, tak obrosnięta owocami, że nawet szopy nie zdołały ich obezreć. Zdjąłem koszulę i zebrałem w nią tyle morw, ile tylko zdołałem unieść, z zamiarem zanieśienia ich mamie.

Zacząłem łowić, co wcale nie było odprężające, bo nie widziałem domu, który stał wysoko nade mną na skarpie. Indianie lubili się

przemieszczać łożyskami rzek, a tata zabrał całą broń palną. Z drugiej strony nie było to takie złe, bo obserwowałem wszystko wokół siebie: wodę opływającą kamień, trop skunksa w błocie, czapkę w dalekim rozlewisku. Między wierzbami buszował ryś, myśląc, że nikt go nie widzi.

Nieco dalej rosły leszczyny, na których siedziała ruda wiewiórka odgryzająca zielone orzechy i rzucająca je na ziemię, żeby zgniły. Zastanawiałem się, po co one to robią: taka wiewiórka potrafi zmarnować połowę orzechów na drzewie, zanim te dojrzeją. Postanowiłem, że dam jej nauczkę. Wątroba wiewiórki to doskonała przynęta, a jeśli Stwórca łowił ryby, tylko takiej przynęty używał. Ale szkoda marnować jednouncjową kulę na rudą kitkę. Żałowałem, że nie zabrałem Kentucky kalibru .36, flinty mojego brata. Zacząłem jeść morwy i wkrótce wszystkie się skończyły. Mama i tak wołała jagody. Uważała, że morwy są tak samo dobre jak herbata z sasafrasu – nadają się dla ludzi gorszej kategorii.

Po godzinie łowienia ryb wypatrzyłem na przeciwległym brzegu stadko indyków i ustrzeliłem młodą sztukę. Dzieliło mnie od niego jakieś siedemdziesiąt jardów, ale odstrzeliłem mu łeb. Tylko mnie było wolno celować w łby, mojemu bratu nie, a indor machał jak szalony skrzydłami i chciał odlecieć, choć z szyi tryskała mu krew. Strzał do księgi rekordów.

Zaklinowałem wędkę pod głazem, przeczyściłem lufę, odmierzyłem starannie proch, załadowałem kulę i nasadziłem kapiszon na kominek. Potem przepравиłem się przez rzekę po zdobycz. Blisko miejsca, w którym w kałuży krwi leżał indyk, z piasku wystawał karmazynowy grot włóczni. Miał ze cztery cale i przysiadłem, żeby dobrze mu się przyjrzeć. U podstawy były dwa wyżłobienia, których żaden z żyjących nie potrafiłby odwzorować. Miejscowy krzemień miał barwę beżową przechodzącą w brązową, co powiedziało mi coś jeszcze o grocie. Przybył tu z dalekich stron.

Kiedy wróciłem nad staw, spławik płynął w dół rzeki. Ciągnął go wielki sum, który chwycił przynętę. Los znów się do mnie uśmiechnął. Pociągnąłem za haczyk, ryzykując, że stracę połów, ale sum dał się wyjąć z wody bez problemu. Doszedłem do wniosku, że muszę się nad tym zastanowić. Kiedy siedziałem na piętach, wypatrzyłem coś na niebie, a kiedy spojrzałem przez palce, rozpoznałem Wenus, która pokazała mi się w biały dzień. Zły omen, nie ma co. Zabrałem indyka i suma, włożyłem poplamioną od morw koszulę i z podniesionym

ogonem wróciłem do domu.

– Szybko ci poszło – przywitała mnie mama. – Tylko jedna ryba?

Podniosłem indyka.

– Martwiłyśmy się, kiedy usłyszałyśmy strzał – powiedziała siostra.

– Powinienem trzymać się bliżej domu.

– Indianie nic ci nie zrobią – stwierdziła mama. – Wojsko jest wszędzie.

– Martwię się o ciebie i Lizzie, a nie o siebie – zaprotestowałem.

– Och, mój Eli... – zawołała mama. – Mój mały bohater!

Udawała, że nie zauważyła mojej poplamionej koszuli i czuć od niej było brandy, którą chowaliśmy dla ważnych gości. Moją siostrę też było czuć alkoholem. Poszło jej do głowy, bo uszczypnęła mnie rozkosznie w policzek. Byłem na nią wściekły. Zastanawiałem się, czy jej nie przypomnieć, że przed niecałym miesiącem porwali Milesa Wallace'a. Ale w przeciwieństwie do chłopaka Wallace'ów, którego porwali i oskalpowali kilka mil dalej Komancze, nie byłem zezowatym kaleką. Prawdopodobnie cieszyłbym się z porwania, bo Komancze tylko jeździli na koniach i strzelali gdzie popadnie.

Sprawdziwszy jeszcze raz nasz zapas natłuszczonych łątek na kule i kul, wyszedłem na dwór i wspiąłem się na drzewo do hamaka z niewyprawionej skóry, skąd miałem widok na rzekę, trakt i całą okolicę. Powiesiłem Jaegerbuchse'a na gwoździu. Od pewnego czasu chciałem coś ustrzelić z rozkołysanego hamaka – to byłoby dopiero życie! – ale jeszcze mi się nie udało. Między dereniami przy źródle mój brat zbierał jagody. Wiał miły wietrzyk i było mi przyjemnie wylegiwać się w hamaku i wąchać zapachy z kuchni. Brat miał ze sobą karabin, ale odszedł od niego daleko – zły nawyk. Tata zawsze pilnował takich rzeczy: jeśli broń jest warta noszenia, warto ją również zawsze mieć w zasięgu ręki.

Ale tego popołudnia brat miał szczęście, nie widzieliśmy żadnych Indian. Przed zachodem wypatrzyłem coś między głazami ponad linią wody, wyglądało z cedrów i czmychało między pniami – to był wilk. Był tak daleko, że równie dobrze mógł być kojotem, ale wilki biegają z wysoko i dumnie uniesionymi ogonami, a kojoty chowają je między parszywe nogi. To zwierzę miało wyprostowany ogon i było bladoszare, niemal białe. Gałęzie przesłaniały mi widok, więc zszedłem z drzewa, podkradłem się nad krawędź skarpy i mogłem nasycić oczy widokiem z wysoka, nad grzbietem wilka. Zamarł z nosem zadartym do góry, musiał zwęszyć nasz obiad. Nastawiłem pierwszy spust, dzięki czemu

do drugiego trzeba było przyłożyć tylko dwanaście uncji, i wypaliłem. Wilk wyskoczył wysoko w górę i padł martwy. Tata, zamiast w płótno, kazał nam owijać kule natłuszczoną kozłą skórą, więc niosły dalej i leciały prościej, niż owijane w bawełnę, której używali przeważnie wszyscy inni na pograniczu.

– Eli, czy to ty strzelałeś? – zapytała moja siostra.

– To tylko wilk – odkrzyknąłem. Zastanawiałem się, czy nie zejść na dół po skórę – bo nigdy przedtem nie widziałem białego wilka – ale zrezygnowałem, bo robiło się ciemno.

Ponieważ było dużo gotowania, zasiedliśmy do kolacji bardzo późno. W całym domu płonęło siedem czy osiem łożowych kaganków – kolejny luksus. Mama i siostra gotowały przez cały dzień i przynosiły nam potrawę za potrawą. Wszyscy wiedzieli, że to miała być kara dla taty – za to, że zostawił nas samych, że z poczucia obowiązku dał się namówić na gonienie wiatru w polu. Ale nikt nic nie powiedział na ten temat.

Piłem z bratem chłodną maślankę, a mama i siostra białe wino, którego butelkę kupiliśmy od Niemców. Tata chował to wino na specjalną okazję. Kolacja zaczęła się od pszennego chleba z masłem i resztki naszych wiśniowych konfitur, potem była szynka, bataty, pieczony indyk, ryba nadziewana czosnkiem i smażona w łożu, steki natarte solą i chili i smażone prosto na węglach, ostatnie wiosenne smardze smażone w maśle oraz ciepła sałatka z lebiody i indiańskiego szpinaku, też smażonych w maśle i czosnku. Nigdy w życiu nie jadłem tyle masła. Na deser mieliśmy dwa placki: jagodowy i śliwkowy, z owoców zebranych tego dnia przez brata. W spiżarni nic nie zostało, oprócz sucharów i solonej szynki.

– Jeśli chce mu się latać z Syfilisem Poe – powiedziała w końcu mama – niechaj jada jak Syfilis.

Było mi przykro z powodu taty, ale to nie przeszkodziło mi najeść się do syta. Mamie wcale nie było przykro. Chciała więcej wina. Wszyscy przysypiali.

Zaniósłem szynkę do szopki nad źródłem i usiadłem zapatrzony w gwiazdy. Miałem dla nich własne nazwy: kozioł, grzechotnik, biegacz, ale brat przekonywał mnie do nazw Ptolemeusza, które nie miały żadnego sensu. Smok wygląda jak grzechotnik, a nie smok. Wielka Niedźwiedzica przypomina biegnącego człowieka i gdzie tam jej do niedźwiedzia! Ale mój brat nie mógł znieść niczego, co było skażone zdrowym rozsądkiem, więc moje starania o przemianowanie



gwiazdozbiorów spełzły na niczym.

Zaprowadziłem konie do stajni, zarygłowałem drzwi od środka i wyszedłem przez szparę pod okapem. Nawet Indianie potrzebowaliby długiej chwili, żeby dostać się do środka. Konie były spokojne, a to dobry znak, bo wyczuwają Indian lepiej niż psy.

Kiedy wróciłem do domu, mama i siostra położyły się w łóżku z baldachimem, a brat spał na pościeli siostry. Normalnie sypiałem z nim w izbie po drugiej stronie przejścia, ale tej nocy nie budziłem go. Wziąłem karabin, worek, buty i ustawiłem wszystko u stóp łóżka, splunąłem na ostatnią świecę i wsunąłem się pod kołdrę obok brata.

Koło północy obudził mnie jazgot naszych psów. Nie spałem za dobrze, wstałem, żeby wyjrzeć, obawiając się, że mama albo siostra zobaczą, co mi sterczy pod nocną koszulą.

I od razu o tym zapomniałem. Przy naszym ogrodzeniu stało kilkunastu mężczyzn, inni kryli się w cieniu przy trakcie, a jeszcze inni byli już w bocznej zagrodzie. Usłyszałem skomlenie psa, a potem nasz najmniejszy kundelek, Perdida, pobiegła z podkulonym ogonem w krzaki. Biegła jak postrzelony jeleń.

– Wstańcie wszyscy, do cholery! – zawołałem. – Wstań mamó! Obudź ich!

Była pełnia, na dworze jasno jak w dzień. Indianie wyprowadzili trzy konie ze stajni i powiedli je na dół. Zastanawiałem się, jak dostali się do środka? Nasz buldog chodził za wysokim zuchwalcem jak za swoim panem.

– Posuń się – szepnął mój brat.

Wszyscy wstali i kulili się za moimi plecami.

– Dużo tych Indian.

– To pewnie Kogut Joe i inni Tonka – szepnął brat.

Pozwoliłem mu się odsunąć i podszedłem do ognia, pogrzebałem w nim, żeby zrobiło się jaśniej. Od przystąpienia do Stanów mieliśmy spokój z Indianami, dużo wojska amerykańskiego stacjonowało w Teksasie i pilnowało pogranicza. Zastanawiałem się, gdzie są teraz. Wiedziałem, że powinienem załadować całą broń, a potem uświadomiłem sobie, że zrobiłem to już wcześniej. Przypomniał mi się taki wierszyk: Trzonek z bizona, ostrze Barlowa, najlepszy nóż na cholernego Iowa. Wiedziałem, co się stanie: Indianie załomoczą do drzwi, nie wpuszczymy ich, będą chcieli się włamać, aż im się znudzi. Potem podpalą dom i zastrzelą nas podczas jego opuszczania.

– Martin? – zwróciła się do brata mama.

– Ma rację, są ich jakieś dwa tuziny.

– W takim razie to biali – powiedziała siostra. – Jakaś banda koniokradów.

– Nie, z całą pewnością Indianie.

Chwyciłem karabin i usiadłem w rogu naprzeciw drzwi. W izbie panował półmrok od żarzących się na czerwono węgli. Zastanawiałem się, czy pójdę do piekła. Brat chodził w tę i z powrotem, a mama i siostra usiadły na łóżku. Mama czesała siostrę, powtarzając w kółko:

– Ciii, Lizzie, wszystko będzie dobrze.

W półmroku miały puste oczodoły, jakby sępy zdążyły już wydziobać im oczy. Odwróciłem głowę.

– Masz kapiszon w karabinie – powiedziałem bratu. – W pistoletach też. – Pokręcił głową. – Jeśli stawimy opór, może zadowolą się końmi.

Widziałem, że się ze mną nie zgadza, ale poszedł posłusznie w kąt izby i podniósł swoją broń na wiewiórki, sprawdzając kciukiem, czy na kominku jest kapiszon.

– Założyłem kapiszon – powtórzyłem.

– Może uznają, że nie ma nas w domu – szepnęła siostra.

Spojrzała na brata, który odrzekł:

– Widzą, że palimy w piecu, Lizzie.

Słyszeliśmy jak Indianie przerzucają metalowe narzędzia w kuźni taty, rozmawiając przy tym przyciszonymi głosami. Mama wstała, postawiła krzesło pod drzwiami i weszła na nie. Wysoko nad framugą był otwór strzelniczy, mama odsunęła deskę i przyłożyła oko do szpary.

– Widzę tylko siedmiu.

– Jest ich ze trzydziestu – powiedziałem jej.

– Tatuś ich wytropi – szepnęła siostra. – Będzie wiedział, że są tutaj.

– Może jak zobaczy łunę pożaru – odrzekł mój brat.

– Idą!

– Złaż stamtąd, mamo!

– Nie tak głośno – syknęła siostra.

Ktoś kopnął w drzwi i mama o mało nie spadła z krzesła. *Salir, salir.* Rozległo się łomotanie. Większość dzikich plemion mówiła po hiszpańsku, jeśli w ogóle mówiła jakoś inaczej niż po swojemu. Drzwi, jak wiedziałem, wytrzymają parę kul, nie więcej, więc znów nakazałem mamie zejść z krzesła.

– *Tenemos hambre. Nos dan los alimentos.*

– To kłamstwo – rzucił mój brat. – Kto ma w to uwierzyć?

Zapadła długa cisza, a potem mama popatrzyła na nas i nakazała głosem nauczycielki:

– Eli i Martin, odłóżcie proszę broń na podłogę.

Zaczęła odryglowywać drzwi, a ja zdałem sobie sprawę, że wszystko, co mówią o kobietach jest prawdą: nie mają zdrowego rozsądku za grosz i żadnej nie można ufać.

– Nie otwieraj tych drzwi, mamo!

– Chwyć ją! – rzuciłem do Martina, który się nie poruszył. Widziałem unoszący się skobel i oparłem karabin o kolano. Światło księżyca wpadało przez szpary jak biały ogień, ale mama wcale tego nie zauważyła, odsuwała antabę jak na powitanie starej dobrej przyjaciółki, jakby się tego spodziewała od dnia naszych narodzin.

W gazetach pisali, że matki na pograniczu zostawiały ostatnie kule dla dzieci, żeby nie porwali ich poganie, ale ja nie słyszałem o niczym takim. Było akurat na odwrót. Wszyscy wiedzieliśmy, że jestem w najlepszym wieku i Indianie zechcą wziąć mnie żywcem. Moje rodzeństwo mogło być dla nich trochę za stare, ale siostra była ładna, a brat nie wyglądał na swój wiek. Mama tymczasem miała już prawie czterdzieści lat i dokładnie wiedziała, co jej zrobią.

Załomotały kopnięte od zewnątrz drzwi, dwóch mężczyzn chwyciło mamę. Trzeci stał za nimi w progu i mrużąc oczy, wpatrywał się w panujący w domu półmrok.

Kiedy go postrzeliłem, zakręcił ramieniem młynka i upadł na plecy. Pozostali Indianie wybiegli z domu, a ja wrzasnąłem do brata, żeby zamknął drzwi, ale Martin znów się nie poruszył. Sam podbiegłem do wejścia, ale w progu leżał martwy Indianin. Chwyciłem go za nogę, żeby wciągnąć do środka, ale kopnął mnie w szczękę.

Kiedy odzyskałem przytomność, w świetle księżyca kołysały się drzewa, a do mych uszu docierał huk za hukiem. Po obu stronach drzwi stali Indianie, pochylali się, żeby strzelać w głąb izby, a potem cofali za framugę. Siostra powiedziała:

– Martin, chyba mnie postrzelili.

Brat tylko siedział. Myślałem, że dostał kulkę. Indianie zrobili przerwę, żeby opadł dym z prochu, więc wyszarpnąłem karabin z rąk brata, sprawdziłem, czy odwiódł kurek i wymierzyłem w Indian. Powstrzymała mnie mama. Potem upadłem na brzuch. Początkowo wydawało mi się, że to dom się przewrócił, ale to ja zostałem obalony przez jakiegoś człowieka. Chwyciłem go za szyję, ale głowa łomotała mi o podłogę. A potem leżałem pod drzewami na dworze.

Chciałem się podnieść, ale kopnięto mnie, więc spróbowałem raz jeszcze i znowu mnie kopnięto. Widziałem już to czyjeś nogi, już to ziemię, na której stały. I znowu dwie nogi obleczone w kozłą skórę. Ugryzłem go w nogę, kopnął mnie po raz trzeci, a potem pociągnął za włosy tak mocno, jakby chciał mi zdjąć skalp. Czekałem na nacięcia.

Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem przed sobą wielką czerwoną gębę. Śmierdział cebulą i brudną szopą, i pokazał mi nożem, że mam siedzieć cicho albo oberżnie mi głowę. A potem związał mi ręce rzemieniem. Kiedy się ode mnie oddalił, doszedłem do wniosku, że nie przypomina żadnego Indianina, jakiego do tej pory widziałem. Dzicy żyjący pośród białych byli chudzi, ogorzali i zwinni. Ten był wysoki i masywny, miał kwadratową głowę i gruby nos, wyglądał bardziej jak Murzyn niż chudy jak szczapa, głodujący Indianin; chodził z dumnie wypiętą pierśią, jakby dostał w spadku wszystko, co do nas należało.

Przed bramą stało z piętnaście czy dwadzieścia koni i tyluż Indian, którzy opierali się o ogrodzenie, śmiejąc się i żartując. Nigdzie ani śladu mamy, brata i siostry. Indianie byli goli do pasa, pokryci farbą i wzorami, jakby uciekli z cyrku. Jeden wymalował sobie czaszkę na twarzy, inny miał taką samą na piersi.

Część z nich przeszukiwała dom, inni stajnie i zabudowania, ale większość opierała się o ogrodzenie i przyglądała się plądrującym towarzyszom. Każdy biały, jakiego widziałem po jakimkolwiek starciu, był zdenerwowany całymi godzinami, chodził w tę i z powrotem i gadał tak szybko, że trudno go było zrozumieć, ale Indianie wydawali się znudzeni, ziewali, jakby właśnie wrócili z wieczornej przechadzki, z wyjątkiem tego postrzelonego przeze mnie, bo siedział oparty o dom. Miał zakrwawioną pierś, a z ust ciekła mu piana. Może uskoczył w bok, kiedy strzelił kapiszon – mówią, że dzicy mają refleks jelenia. Jego towarzysz zauważył, że się gapię, podszedł do mnie i powiedział *taibo nu wukupatu?i*, a potem kopnął mnie w głowę.

Śniło mi się długo, że stałem przed mężczyzną, który miał mnie sądzić za grzechy. Był to święty Piotr, ale w ciele naszego nauczyciela ze szkoły w Bastrop. Nauczyciel ten nie lubił mnie najbardziej spośród wszystkich uczniów i wiedziałem, że pośle mnie do piekła.

Potem większość Indian stała, wpatrując się w coś na ziemi. Zobaczyłem białą, zgiętą w kolanie nogę, a nad nią goły męski tyłek i opuszczone kozłe pludry. Zdałem sobie sprawę, że biała noga należy do mojej mamy, a po sposobie ruszania się tyłka i dzwonieniu dzwonków na nodze dzikiego domyśliłem się, co jej robi. Po chwili

wstał i przewiązał się w pasie. Jego miejsce zajął inny. Właśnie wstałem, kiedy rozdzwoniło mi się w uszach i podniosła się ziemia, byłem pewny, że już umarłem.

Po jakimś czasie znów usłyszałem głosy. Widziałem drugą grupę Indian trochę dalej przy ogrodzeniu i słyszałem skomlenie siostry. Indianie robili jej to samo, co matce.

W końcu zrozumiałem, że leżę w łóżku. Coś mi się śniło. Było miło, dopóki się nie obudziłem na dobre, słysząc wojenne okrzyki; przekonałem się, że wciąż gniję na podwórku. Naga matka czołgała się po ziemi, uciekając od Indian. Doczołgała się do ganku i chciała sięgnąć drzwi. W domu ktoś walił w klawisze pianina, a nad plecami mamy coś się kołysało – to była strzała.

Indianie musieli dojść do wniosku, że nie chcą, żeby wróciła do domu, bo strzelali do niej z łuków. Czołgała się. W końcu jeden podszedł do niej, postawił jej stopę między łopatkami i przycisnął do ziemi. Chwycił w garść długie włosy mamy, jakby zamierzał je umyć, pociągnął do góry i wyjął myśliwski nóż. Odkąd odzyskałem przytomność, mama nie wydała z siebie ani jednego jęku – nawet wtedy, kiedy przeszywali ją strzałami – ale teraz zaczęła krzyczeć. Zobaczyłem innego Indianina, który szedł do niej z ojcowskim toporem.

Taplałem się w ziemi i jęczałem, ale teraz doszedłem do siebie. Przestałem wpatrywać się w matkę, mogłem coś słyszeć albo i nie. Próbowałem odszukać wzrokiem Martina i Lizzie. Tam, gdzie poprzednio leżała siostra, dostrzegłem białą plamkę, a trochę dalej jeszcze jedną; zrozumiałem, że to ona: rozwlekli ją i zostawili. Później, kiedy nas wyprowadzali, ujrzałem ciało z obciętymi piersiami i wyprutymi flakami, w które było owinięte. Wiedziałem, że to ona, choć już siebie nie przypominała.

Pociągnęli mnie pod ogrodzenie i rzucili obok brata. Płakał i cichł na przemian. Ja natomiast nie wydałem żadnego odgłosu. Zebrałem się w sobie, żeby spojrzeć na matkę. Leżała na brzuchu, przekłuta strzałami. Indianie wchodzili i wychodzili z domu. Brat siedział i przyglądał się wszystkiemu. Zacząłem się krztusić i porzygałem się, a kiedy skończyłem, brat powiedział:

– Myślałem, że nie żyjesz. Od dawna przyglądałem się, jak leżysz.

Czułem się tak, jakby ktoś wbił mi klin między oczy.

– Myślałem, że tata zdąży wrócić do domu, ale teraz wiem już, że zabiorą nas wiele mil stąd, zanim ktokolwiek przekona się, co zaszło.

Młody Indianin, zobaczywszy, że rozmawiamy, pogroził nam nożem, ale gdy odszedł, Martin powiedział:

– Trafili Lizzie w brzuch.

Wiedziałem, do czego zmierza i przypomniałem sobie, że nawet nie kiwnął palcem, kiedy mama otwierała drzwi, i siedział na tyłku, kiedy odciągałem Indianina z progu – siedział z załadowanym karabinem, a Indianie strzelali w głąb domu. Ale głowa bolała mnie tak bardzo, że nie mogłem wykrztusić słowa. Przed oczami latały mi plamy.

– Widziałeś, co zrobili Lizzie i mamie?

– Trochę.

Komancze wchodzili i wychodzili z domu, zabierając, co chcieli, i rzucając resztę na stertę na podwórku. Ktoś rąbał pianino toporem. Miałem nadzieję, że Indianie nas zabiją albo że znów stracę przytomność. Mój brat patrzył na siostrę. Indianie wynosili książki; myślałem, że wrzucą je do ognia, ale zamiast tego chowali je w juki. Później wypychali nimi tarcze, składające się z dwóch warstw skóry bizona. Wypchane książkami zatrzymywały niemal każdą kulę.

Wyciągnęli na dwór materace i przecięli je, a wiatr roznosił po podwórzu pierze jak śnieg. Mama leżała w przejściu. Pierze oblepiało ją. Znalazły nas mrówki, ale prawie tego nie zauważyliśmy. Brat wpatrywał się dalej w siostrę.

– Nie powinieneś już na nią patrzeć.

– Ale chcę – odrzekł.

Kiedy się obudziłem, było gorąco. Podpalono stertę wszystkiego, czego nie chcieli Indianie, głównie pogruchotane meble. Wbijał się we mnie berberys. Ogień palił się coraz mocniej, w cieniu widziałem nasze zabite psy i zastanawiałem się, czy Indianie chcą nas spalić żywcem. Słynęli z tego, że przywiązywali ludzi do kół wozów i podpalali ich. A potem spojrzałem na siebie jak na ołowianego żołnierzyka. Byłem ciekaw, co mógłbym zrobić, choć w istocie wcale mnie to nie obchodziło.

– Mógłbym uwolnić dłonie – powiedziałem bratu.

– Po co? – zapytał.

– Na wszelki wypadek.

Nie odpowiedział. Wpatrywaliśmy się w ogień.

– Chce ci się pić?

– Oczywiście, że chce mi się pić – odrzekł.

Ogień był coraz większy, mech porastający gałęzie nad naszymi

głowami buchał płomieniem, dymiła kora. Iskry z naszych własnych spalonych rzeczy osmalały nam twarze i włosy. Przyglądałem się, jak strzelają do góry. Kiedy opuściłem wzrok na brata, przekonałem się, że jest cały pokryty popiołem, jak ktoś, kto od dawna nie żyje. Przypomniałem sobie, jak wyglądały mama i siostra, kiedy siedziały razem na łóżku.

Indianie wynieśli narzędzia taty, żeby przyjrzeć się im przy ogniu, a ja postanowiłem zapamiętać wszystko, co zabierali: podkowy, młoty, gwoździe, obręcze do beczek, piłę kabłąkową, ciesielską siekierę i siekierę do rąbania, dłuto do korowania drzew, ciosło i przecinak; wszystkie wędzidła, uzdy, siodła i strzemiona, inną uprząż; karabin Kentucky mojego brata. Doszli do wniosku, że mój Jaegerbuchse jest za ciężki i rozbili go o ścianę domu. Zabrali nasze noże, pilniki, kilofy i szydła, wiertła, ołowiane kule, formy na kule, beczułki z prochem, kapiszony, sznur z końskiego włosa wiszący w przejściu między izbami. Nasze trzy dojne krowy usłyszały hałas i przyszły do domu po paszę. Indianie przeszyli je strzałami. Byli w podniosłym nastroju. Wyciągnęli z ognia płonące żagwie i zanieśli je do domu. Przewiązywali zawiniątka ze zdobyczami, sprawdzali popręgi, przygotowywali się do odjazdu. Z drzwi i okien domu wydobywał się dym, a potem ktoś rozwiązał mi ręce i postawił na nogi.

Nasze ubrania wrzucono w ogień razem ze wszystkim innym i wyprowadzono nas nagich przez bramę, przez trakt, na pole. Przygnano dużą *remudę* koników Cayuse przemieszanych z większymi amerykańskimi końmi. Indianie nie zwracali na nas uwagi, porozumiewali się między sobą swoimi *um* i *uch*, pochrząkiwali, nie mówili żadnym językiem, choć czasem używali słów, które brzmiały po hiszpańsku, a do nas zwracali się często za pomocą jednego słowa, *taibo*, *taibo* to i *taibo* tamto. Staliśmy boso i było ciemno, a ja starałem się nie nadepnąć na kolczastą gruszkę albo nie dać się nadepnąć przez podskakujące i przebierające kopytami konie. Poczułem się lepiej, bo coś zaczęło się dziać, ale potem napomniałem się, że to nie ma sensu.

Wrzucono nas na gołe końskie grzbiety, przywiązano nogi pod spodem, a z przodu związano ręce. Mogło być gorzej, gdyby rzucili nas na nie jak związane worki mąki. Mój koń się płoszył, nie podobało mu się jak pachnę.

Inne konie przebierały kopytami i parskały, a Indianie nawoływali się na naszym polu, mój brat zaczął płakać, a ja byłem na niego wściekły, że płacze przy Indianach. Potem też się rozbeczałem.

Ruszyliśmy stępa przez nasze dolne pastwisko – trzy miesiące wykopywania pni. Minęliśmy kępe orzechów, które wybrałem na deski. Przypomniałem sobie ludzi, którzy wygnali nas z Bastrop, nazywając naszą mamę czarną i procesując się z nami o ziemię. Kiedy zabiję wszystkich Indian, wrócę tam i wystrzelam wszystkich nowych osadników, spalę miasto i zostawię po sobie zgliszcza. Zastanawiałem się, gdzie jest ojciec, łudziłem się, że przyjedzie, a potem czułem się z tego powodu winny.

Konie biegły kłusem, długa trawa smagała nas w łydki. Rozciągnęliśmy się w kolumnę, widziałem, jak Indianie na czele znikają w lesie, a w końcu i ja wjechałem w ciemność.

Przeprawiliśmy się przez Grape Creek w jedynym miejscu, gdzie nie trzeba skakać przez rzekę, i pojechaliśmy szlakiem przez bagna, o którego istnieniu nie wiedziałem. Wyjechaliśmy galopem u stóp Cedar Mountain. Nasze bydło było białymi plamkami na stoku. Wspinaliśmy się długim płaskim dnem strumienia z górami po obu stronach, jadąc między drzewami i na odkrytej przestrzeni w ciemności i w świetle księżyca, i znów w ciemności. Indianie polegali na wzroku koni, pędząc przed nami każde leśne zwierzę. Spojrzałem na brata. Za moimi plecami jeźdźcy wyłaniali się spomiędzy drzew, jakby wywoływano ich z samych głębin ciemności.

Mimo mroku i nierównego gruntu mój koń nie potknął się ani razu, nie brakowało mu też powietrza w płucach. Zbliżyliśmy się do stóp Packsaddle Mountain. To była ostatnia okolica, którą dobrze znałem. Mógłbym zawrócić konia i pogalopować do lasu, ale wątpiłem, czy mi się powiedzie, a mój brat w pojedynkę nie miał żadnych szans. Trochę wyżej na białym stoku ujrzałem stado mustangów, które kiedyś chciałem pojmać i okiełznać. Stały i wpatrywały się w nas, kiedy przejeżdżaliśmy.

Po dwóch godzinach zmieniliśmy konie. Bolały mnie nogi i plecy, gałęzie rozorały mi twarz, piersi i ramiona. Mój brat był w jeszcze gorszym stanie: całe ciało pokrywała mu ziemia i zaschnięta krew. Wsiedliśmy na nowe wierzchowce i pognaliśmy w tym samym szybkim tempie. Trochę później dojechaliśmy do rzeki, którą musiała być Llano. Wydawało mi się niemożliwe, żebyśmy dotarli tak daleko.

– Jesteśmy tam, gdzie myśle? – zapytał brat.

Skinąłem głową. Czekaliśmy, aż konie przeprawią się w ciemności.

– Jesteśmy załatwieni – dodał. – To cały dzień drogi.

Po jakimś czasie stanęliśmy nad kolejną rzeką, zapewne Kolorado,



a potem znów zmieniliśmy konie. Czułem po smrodzie, że mój brat się obesrał. Kiedy mnie postawili na ziemi, przykucnąłem z rękoma związanymi z przodu. Szumiała woda, konie poruszały się wokół. Zdrętwiały mi nogi, więc trudno mi było kucnąć. Ktoś mnie kopnął, ale nie chciałem jechać we własnym gównie, więc skończyłem srać. Postawili mnie za włosy. Wydawało mi się, że od pasa w dół nie mam już skóry. Posadzili mnie na innym koniku. Komancze nie ufali koniom wyhodowanym przez białych.

Gdy na niebie pojawiła się jutrzienka, zatrzymaliśmy się po raz trzeci, żeby zmienić konie, ale zamiast ich dosiąść, staliśmy nad brzegiem rzeki. Byliśmy w głębokim kanionie, chyba wciąż Kolorado, ale tak daleko nie zapuszczało się nawet wojsko. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale było już na tyle jasno, żeby rozróżniać kolory, a Indianie stali wokół, jakby na coś czekając. Pili prosto z rzeki, pochylali się i przeciągali, rozpakowywali i przepakowywali juki. Po raz pierwszy widziałem ich w świetle.

Mieli łuki, kołczany i włócznie, muszkiety o krótkich lufach, toporki i myśliwskie noże; na twarzach wymalowali sobie strzały i wielkie słońca, mieli gładką skórę, wyrywali brwi i zarost. Splatali włosy jak małe Holenderki w dwa długie warkoczyki po obu stronach głowy. Wplatali w nie miedziane i srebrne monety oraz kolorowe paciorki.

– Wiem, o czym myślisz – odezwał się mój brat.

– Wyglądają jak banda mięczaków – stwierdziłem, choć wcale tak nie uważałem.

– Wyglądają jak komedianci – odrzekł, a potem dodał: – Tylko nie przysparzaj nam więcej problemów.

Podszedł do nas przysadzisty wojownik i rozdzielił nas włócznią. Na plecach miał krwawy zaschnięty odcisk dłoni i długą ciemną smugę na pludrach. To, co początkowo wziąłem za skórzane frędzle przy pasie, okazało się skalpami. Przeniosłem wzrok na rzekę.

Przed nami był wysoki skalny nawis, a z tyłu Indianie wprowadzali i wyprowadzali konie z trawy porastającej brzeg. Rozgorzał jakiś spór, a potem większość Komanczów ruszyła pieszo ku nawisowi. Jeden z nich prowadził konia, na którego grzbiecie przywiązali ciało wojownika, którego postrzeliłem. Nie wiedziałem, że wyzionął ducha i zrobiło mi się nieswojo. Mój brat brodził w rzece. Dwaj strzegący nas Indianie napięli łuki, ale kiedy otworzyłem oczy, Martin był wciąż w jednym kawałku, stał w wodzie i ochlapywał się, splukując własne gówna. Indianie przyglądali się mu z zaciekawieniem, bo skurczył się,

poblądł i trząśł na całym ciele, a oprócz tego miał zapadniętą klatkę piersiową od czytania książek. Kiedy się umył, wrócił i usiadł obok mnie.

– Wytarcie tyłka z pewnością zasługuje na to, żeby dać się zabić – skomentowałem.

Poklepał mnie po nodze.

– Chcę, żebyś wiedział, co się wydarzyło tej nocy.

Nie chciałem wiedzieć nic więcej ponad to, co zobaczyłem, ale nie mogłem mu tego powiedzieć, więc nie wyrzekłem ani słowa.

– Mama nie mogła przeżyć, ale wydaje mi się, że nie chcieli zabijać Lizzie. Kiedy zobaczyli, że jest ranna, zdjęli jej koszulę i obejrzeli uważnie ranę. Zapalili nawet pochodnię, żeby ten stary Indianin mógł zawyrokować, co dalej. Doszli chyba do wniosku, że rana jest poważna, bo oddalili się i rozmawiali przez chwilę, a kiedy wrócili, zdarli z niej resztę bielizny i zgwałcili. – Spojrzał w górę rzeki, gdzie Indianie wspinali się na zbocze kanionu. – Lizzie, Lizzie, Lizzie.

– Jest w lepszym miejscu.

Wzruszył ramionami.

– Nigdzie nie jest.

– Ale jest jeszcze tata – powiedziałem.

Parsknął.

– Kiedy tata zobaczy, co się stało, pogalopuje prosto do tej baby, którą trzyma w Austin.

– To niskie. Nawet jak na ciebie.

– Ludzie nie strzępią sobie języków bez potrzeby, Eli. To kolejna rzecz, którą powinienesz wiedzieć.

Strażnicy odwrócili się ku nam. Chciałem, żeby przerwali tę rozmowę, ale teraz dziwnie im nie przeszkadzała.

– Mama wiedziała, że może cię ocalić – oznajmił. I znów wzruszył ramionami. – Mnie i Lizzie... nie wiem. Ale ty to co innego.

Udałem, że nie wiem, co ma na myśli i rozejrzałem się. Ściany kanionu wznosiły się na kilkaset stóp, a w skalnych szczelinach rosła niedźwiedzia trawa i kłujące berberysy. Ze stoku wyrastał też stary poskręcany cedr, który przypominał komin. Leżało na nim orle gniazdo. Trochę dalej widziałem duże cyprysy z koślawymi korzeniami. Pięćset lat dla tych drzew to jak splunąć.

Kiedy słońce zalało górną krawędź kanionu, rozpoczęło się wycie i śpiewy. Rozległ się strzał i kondukt pogrzebowy zaczął schodzić w dół ku rzece, a kiedy dotarł do nas, Indianie przewrócili nas na ziemię

i skopali, a mój brat znów się posrał.

- Nic nie mogę poradzić – tłumaczył.
- Nie przejmuj się.
- Boję się.

Kilku Indian uważało, że powinno się nas zaprowadzić na miejsce pochówku i zastrzelić jak konia zabitego wojownika, ale ten, który nimi dowodził, ten, który wywłókł mnie z domu, sprzeciwił się.

- *Nabitaku tekwaniwapi Toshaway* – powtarzał.

Mój brat zaczął rozumieć, co mówili Komancze: Toshaway było imieniem wodza. Padały oskarżenia, oferty i kontroferty, ale Toshaway pozostał nieugięty. Zauważył, że mu się przyglądam, ale interesowało go to tyle, co spojrzenie psa. Mój brat przybrał zamyśloną minę, a ja zacząłem się denerwować.

– Wiesz, co... – zaczął. – Przez cały czas miałem nadzieję, że kiedy wszędzie słońce, przyjrzą się nam i przekonają, że popełnili straszliwy błąd, bo jesteśmy takimi samymi ludźmi jak oni albo przynajmniej zwykłymi ludźmi, ale teraz wydaje mi się, że jest akurat na odwrót. – Nic nie odpowiedziałem. – Chodzi mi o to, że to samo pokrewieństwo, które powinno nas ocalić, może stać się przyczyną naszej śmierci. Bo nie mamy absolutnie żadnego wpływu na los, podobnie jak w ostatecznym rozrachunku i oni, i pewnie dlatego nas zabijają. Żeby przynajmniej na pewien czas zagłuszyć własny strach.

- Przestań – rzuciłem. – Przestań gadać.

– Nic ich to nie obchodzi – odrzekł. – Nie obchodzi ich ani jedno nasze słowo.

Wiedziałem, że ma rację, ale właśnie wtedy spór dobiegł końca, a Indianie, którzy chcieli nas zabić, podeszli i zaczęli nas deptać i kopać.

Kiedy skończyli, mój brat leżał w kałuży wody pośród głązów z głową odrzuconą pod dziwnym kątem: wpatrywał się w niebo. Do gardła spływała mi krew, wymiotowałem ją do rzeki. Wszędzie wokół mnie leżały w wodzie kamienie. Pomyślałem, że jeśli zabiją nas razem, wszystko będzie w porządku. Dostrzegłem wilka, który przyglądał mi się z wysokiej skalnej półki, ale kiedy mrugnąłem, zwierzę zniknęło. Przypomniałem sobie białego wilka, którego zastrzeliłem i pomyślałem, że to był zły omen, przypomniałem sobie o mamie i siostrze, i zastanawiałem się, czy już znalazły je zwierzęta. Rozplakałem się i uderzono mnie w głowę.

Martin wyglądał tak, jakby schudł dwadzieścia funtów. Z kolan,

łokci i brody płynęła mu krew, pokrywała go ziemia i piach. Indianie siodłali świeże konie. Byłem głodny i zanim wsadzili mnie na konika, nażłopiałem się wody z rzeki, żeby zapełnić żołądek.

– Powinieneś pić – powiedziałem bratu.

Pokręcił głową. Leżał na ziemi, osłaniając dłońmi swój wstyd. Indianie szarpnięciem postawili nas na nogi.

– Zrób to następnym razem – powiedziałem.

– Zastanawiałem się, jakby to było miło, gdybym nie musiał już wstawać. A potem uświadomiłem sobie, że mnie nie zabili. Teraz jestem zły.

– Nie byłoby ci lepiej.

Wzruszył ramionami. Znów jechaliśmy w szybkim tempie, a jeśli Indianie byli zmęczeni, nie okazywali tego po sobie; jeśli byli głodni, nie było widać i tego. Byli czujni, ale nie nerwowi. Co jakiś czas widziałem całą *remudę* koni ciągnących za nami kanionem. Mój brat nie chciał umilknąć.

– Wiesz, że przyglądałem się mamie i Lizzie – oznajmił. – Zawsze zastanawiałem się, gdzie może mieścić się dusza, blisko serca czy wzdłuż kości, i zawsze dochodziłem do wniosku, że nie da się tego ustalić, nie przecinając człowieka. Tej nocy widziałem dużo nacięć, ale nic się z nich nie wydobyło. Jestem pewny, że dostrzegłbym duszę.

Nie zwracałem na niego uwagi. Po chwili dodał:

– Czy możesz sobie wyobrazić, żeby jakiś biały, a nawet tysiąc białych, jechał z taką łatwością przez terytorium Indian?

– Nie.

– To zabawne, bo wszyscy nazywają ich poganami i czerwonymi diabłami, ale teraz, kiedy przyjrzałem im się z bliska, uważam, że jest akurat na odwrót. Zachowują się jak bogowie. Czy raczej herosi albo półbogowie, bo jak dowiodłeś, choć nie bez pewnych kosztów, ci Indianie są w istocie śmiertelni.

– Przestań proszę.

– To każe nam się zastanowić nad problemem Murzynów, prawda?

W południe wyjechaliśmy z kanionu. Znaleźliśmy się na pofałdowanych trawiastych pastwiskach gęsto porośniętych astrami, wiesiołkami, wernoniami i makami. W krzakach kryły się przepiórki. Preria ciągnęła się w nieskończoność, biegały po niej stada antylop i jeleni, kilka zbłąkanych bizonów w oddali. Indianie zwolnili, żeby się rozejrzeć, a potem znów przyśpieszyliśmy.

Nic nie chroniło nas przed słońcem i po południu poczułem swąd

własnej spalonej skóry, zasypiałem i wybudzałem się. Jechaliśmy przez wysoką trawę, wapienne przełomy, a przez krótki czas w cieniu wzdłuż strumieni – przy których nie stanęliśmy, by się napić – potem znów w słońcu.

Nagle Komancze zatrzymali konie i po krótkiej wymianie zdań zaprowadzili mnie i brata nad strumień, przez który się przeprawiliśmy. Ściągnięto nas brutalnie z wierzchowców, związane razem plecy w plecy i rzucono w cieniu. Pilnował nas kilkunastoletni chłopak.

– Rangersi?

– Ten młokos nie wygląda na przejętego – odpowiedział mój brat.

Patrzyliśmy w przeciwnych kierunkach, dziwnie się czułem, nie widząc jego twarzy.

– Może to tata i inni.

– Byliby raczej za nami – odpowiedział.

Po pewnym czasie uznałem, że ma rację. Zawołałem młodego Indianina. Wzdłuż strumienia rosła winorośl. Pokręcił głową.

– *Itsa aitu*. – A potem dodał: – *Itsa keta kwasuptu*. – Chyba wciąż nie był pewny, że zrozumiałem, bo w końcu powiedział po hiszpańsku: – *No en sazón*.

– Mówi, że są niedojrzałe.

– Wiem.

I tak chciałem je zjeść, byłem tak głodny, że mało mnie obchodziło, czy są dojrzałe czy nie. Indianin odciął gałąź winorośli i rzucił mi na kolana. Potem umył ręce w strumieniu. Winogrona były tak gorzkie, że o mało się nie porzygałem. Ale uznałem, że pomogą mi na gorączkę. Szczypały mnie wargi.

– Dobrze – powiedziałem.

– Może do garbowania skóry.

– Powinieneś zjeść.

– Gadasz bez sensu – odrzekł.

Zjadłem jeszcze więcej winogron. Czułem się tak, jakbym połykał wrzątek.

– Podskocz do tego strumienia i pochyl się – powiedziałem.

Tak zrobiliśmy. Brat zanurzył głowę w wodzie – tak spieczoną, jak moja – ale wyraźnie słyszałem, że nie pije. Miałem ochotę taplać się w potoku, ale tylko piłem. Młody Indianin stał na skale i przyglądał się nam. Usiedliśmy. Gorączka chyba mi spadała i mogłem rozprostować nogi.

– Jak masz na imię? – zapytałem strażnika. – *Cómo te llamas?*

Nie odpowiadał przez długi czas. A potem rzucił:

– Ntutkaru.

Rozejrzał się nerwowo i odszedł, jakby zdradził jakiś sekret. Kiedy ujrzałem go ponownie, leżał na brzuchu w górze strumienia i pił. Po raz pierwszy zobaczyłem któregokolwiek z Indian pijącego czy jedzącego, do tej pory tylko przegryzali coś ukradkiem. Kiedy wstał, sprawdził ułożenie warkoczy i wojenne barwy.

– Ciekawe, czy to cioty? – zastanawiał się głośno mój brat.

– Jakoś nie mogę w to uwierzyć.

– Ale Spartanie byli ciotami.

– A kim są Spartanie? – zapytałem.

Chciał coś odpowiedzieć, kiedy do naszych uszu dobiegło echo dalekich wystrzałów. Odpowiedziała im salwa, a potem pojedynczy pistolet. Wreszcie wszystko ucichło, więc domyśliłem się, że Indianie strzelają z łuków. Zastanawiałem się, kto tym razem miał pecha.

Po kamieniach nadbiegł inny indiański młokos, we dwóch przywiązali nas na powrót do końskich grzbietów i wyprowadzili z łożyska strumienia. Gorączka spadła mi zupełnie, a słońce nie piekło już tak bardzo. Przejechaliśmy kamienisty płaskowyż i zjechaliśmy na prerię porośniętą głównie ostróżkami i malwami. Środkiem biegł szlak wyżłobiony przez koła wozów, co stanowiło przyjemny widok na tle błękitnego nieba, kilku jasnych chmur i rosnących wszędzie polnych kwiatów. Indianie kręcili się wokół dwóch wozów towarowych, ciągniętych przez parę wołów. Trzeci wóz był daleko z przodu w trawie, leżał na boku, a przed nim stał ogłupiały zaprzęg mułów. Ktoś krzyczał.

– Nie chcę na to patrzeć – powiedział Martin.

Przy krawędzi szlaku leżało coś białego: mały blondynek w wykrochmalonej koszuli. Z oka wystawała mu strzała, a wyżej duży dzieciół krasnogłowy ostukiwał drzewo. Z wozów stojących na szlaku skapywała krew, jakby ktoś wylał tam całe jej wiadro. Na zakrwawionej ziemi leżało czterech czy pięciu rozciągniętych Teksańczyków, inny zwinął się jak dziecko z tyłu wozu. W trawie i ostróżkach Indianie robili coś ostatniemu woźnicy, który piszczał jak baba, a Komancze go małpowali.

Nikt nie tracił czasu z wyjątkiem dwóch wojowników zajętych woźnicą. Odcięto muły od wozu, ale te wciąż stały w miejscu z opuszczonymi głowami, jakby coś przeszkrobały. W rowie leżał

martwy srokaty koń z szyją umazaną krwią. Właściciel zdejmował z niego siodło. Inny indiański konik – ładny deresz – stał i wydmuchiwał różową pianę z dziury na piersi. Właściciel zdjął siodło, derkę i uzdę, odłożył je starannie przy szlaku. A potem, tuląc i całując szyję deresza, strzelił mu między uszy.

Opróżniono wozy, wyciągając z nich dwa kolejne ciała, których wcześniej nie widzieliśmy. Było gorąco, a na kwiatkach osadzał się czerwony pył. Przeszukano kieszenie trupów, oskalpowano tych, którzy nie byli jeszcze oskalpowani, a woźnica ucichł. Jeden z Indian miał opatrunek: rozcięty owoc kolczastej gruszki przewiązany szmatką. Na większości skórzanych tarcz widać było świeże ślady po ołowiu, a wysoki wojownik – zapewne pół-Karankawa – czyścił włócznię trawą. Większość przeszukiwała towary, głównie worki z mąką, które przecinano i wyrzucano na trakt. Rozbito tomahawkami beczkę whiskey, a mniejsze z prochem przywiązano do koni razem z paroma niedużymi skrzynkami, w których – biorąc pod uwagę wagę – musiał być ołów. Zabrano noże i koce, prymki tytoniu, formy na kule, dwie siekiery i piłę, trochę perkalu i kilka pistoletów powtarzalnych. Indianie sprawdzili zamki i kurki pozostałej broni, sprawne egzemplarze zabrali. Doszło do krótkiego sporu w sprawie skalpu. Znalaziono dwa śliwkowe placki i pokrojono je zakrwawionymi nożami.

Młodszy Komancze przeczesywali trawę w poszukiwaniu zagubionych strzał, muły dołączono do stada koni. Indianie okrążyli szybko pole potyczki, sprawdzając, czy o niczym i nikim nie zapomnieli, znaleźli belę wzorzystego materiału, potem załadowali broń, napełnili kołczany, spięli mocniej popręgi i paski, przepłukali usta. Woły ryczały, gdy ktoś podrzynał im gardło. Krew na szlaku była już czarna, a ciała pokrył pył. Wszystko wyglądało tak, jakby leżało tu od zawsze.

Indianie rozdzielili się na trzy grupy, jedna z nich celowo zostawiła ślady prowadzące ku cywilizacji, reszta zmierzała w przeciwnym kierunku. Wszyscy byli w dobrych nastrojach. Podjechał do mnie jeden z wojowników i nasadził mi na głowę świeży skalp, skołtunione, długie, siwe włosy. Na skalsie wciąż leżał pognieciony i pokrwawiony męski kapelusz, co sprawiało wielką radość Indianom. Jechaliśmy na północny zachód, w wysokiej trawie rosły kępy grubych wieczozielonych dębów, jadłoszynów o migoczących liściach i kwitnące białe juki. Po paru godzinach wojownik uznał, że nie chce kłać bardziej swojej zdobyczy i zdjął mi ją z głowy. Skalp przywiązał do pasa, a kapelusz wyrzucił w krzaki. Osłaniały mnie przed słońcem,

poprosiłem więc o kapelusz, ale pojechaliśmy dalej. Dołączyły do nas dwie pozostałe grupy.

Podczas następnej zmiany koni Indianie dzielili się suszonym mięsem, które odebrali woźnicom. Dali nam z bratem kilka kęsów. Wciąż panował upał, ale Indianie nie pili wody, a kiedy jeden z nich poczęstował mnie tytoniem, byłem tak spragniony, że musiałem odmówić. Bratu tytoniu nie zaproponowano. Siedział okrakiem na koniu i wyglądał żałośnie.

Kiedy w końcu zaszło słońce, miałem tak sucho w ustach, że bałem się uduszenia. Napominałem się, żeby zabrać kamyk do ssania, a potem zacząłem wspominać źródło obok domu, jak siedziałem w nim i pozwalałem obmywać się wodzie, wpatrując się w rzekę. Poczułem się lepiej.

Było już ciemno i zatrzymaliśmy się w pewnej chwili w błotnistej niecce. Nie pozwolono wejść do niej koniom, a Indianie wyrwali kępy trawy, rzucili je na błoto i pili po dwa łyki. Ja i brat zanurzyliśmy twarze w błocie i piliśmy, ile się dało. Woda smakowała żabami i śmierdziała zwierzyną, która się tarzała w błocie, ale wcale nas to nie obeszło. Napiwszy się, brat zaczął płakać, a Indianie kopnęli go w brzuch i przystawili mu nóż do gardła.

– *Wuyupa?nitu* – Cicho. – *Nihpu?aitu* – Przestań ryczeć.

Coś knuli. Zmienili wierzchowce, a nas zostawiono przy stadzie.

– Przejechaliśmy chyba ze sto mil. Musimy być gdzieś pod San Saba.

– Myślisz, że dadzą mi się jeszcze napić?

– Jasne – odrzekłem.

Zanurzył twarz w błotnistej wodzie. Ja też spróbowałem, ale nie mogłem już znieść smrodu. Brat pił i pił. Teraz bolało mnie nawet, kiedy siedziałem na ziemi. Zastanawiałem się, jak długo będę leczył rany. Pewnie całe tygodnie. Przytuliliśmy się do siebie, a ja znów poczułem smród i zrozumiałem, że brat się posrał.

– Nie mogę się powstrzymać.

– Nic nie szkodzi.

– To nie ma sensu – odrzekł.

– Wystarczy, że będziemy jechać – odpowiedziałem. – To niewiele, jak się nad tym zastanowić.

– A potem, co? Co się stanie, gdy dojedziemy tam, dokąd nas zabierają? – Milczałem. – Nie chcę się przekonać.

– Pamiętasz Johna Tannera? – zapytałem. – I Charlesa Johnstona[8]? Sam o nich czytałeś w książkach.



– Nie należę do ludzi, którzy żywią się korą i agrestem.  
– Staniesz się legendą – stwierdziłem. – Odwiedzę cię w Bostonie i powiem twojemu przyjacielowi Emersonowi<sup>[9]</sup>, że jesteś prawdziwym mężczyzną, a nie jakimś ciotowatym poetą. – Nie odpowiedział. – Mógłbyś się trochę postarać. Ryzykujesz naszymi skalpami, kiedy ich wkurzasz.

– Robię, co mogę.

– Nieprawda.

– Cieszę się, że to wiesz.

Znów zaczął płakać. Potem chrapał. Wściekałem się, bo mój brat był gnuśny. Nie jedliśmy mniej ani nie jechaliśmy dłużej od wszystkich Indian. Piliśmy obaj znacznie więcej wody od nich, a kto wie, od jak dawna byli w drodze? Kryła się w tym pewna logika, której mój brat nie potrafił dostrzec. Jeśli ktoś robił coś przed tobą, i ty tego dokonasz – tak uczył nas ojciec.

Obudzono nas poklepywaniem. Było jeszcze ciemno, przywiązali nas do koni, a gdzieś daleko jaśniała luna – wiedziałem, że paliło się czyjeś gospodarstwo. Nie wiedziałem, że tak daleko na zachodzie mieszkali jeszcze jacyś biali, ale ziemia była tu żyzna i domyślałem się, dlaczego byli gotowi zaryzykować. Podeszło do nas paru wojowników, byli zadowoleni z młokosów, którzy wsadzili nas na konie. Mimo ciemności widzieliśmy, że do *remudy* dołączył jakiś tuzin koni. Pojawili się także nowi jeńcy: po płaczu rozpozналиśmy, że to kobiety, a po języku, że Niemki czy „Dojczki”, jak je wtedy nazywaliśmy.

Do świtu przejechaliśmy kolejne pięćdziesiąt mil, dwukrotnie zmieniając konie. Niemki płakały przez całą noc. Kiedy zrobiło się jaśniej, wjechaliśmy na mesę, wspinając się zygzakiem po bardziej oddalonym stoku, a znalazłszy się na górze, sprawdzaliśmy, czy nikt za nami nie jedzie. Mieliśmy przed sobą wielką otwartą przestrzeń: inne płaskowyże, strome wzgórza, odległe widoki.

Niemki były tak samo nagie, jak my. Jedna miała z siedemnaście albo osiemnaście lat, druga była trochę starsza, a choć pokrywały je krew i odchody, łatwo było poznać, że są w kwiecie swej kobiecości. Im dłużej na nie patrzyłem, tym mocniej je nienawidziłem i miałem nadzieję, że Indianie splugawią je jeszcze bardziej na moich oczach. Mój brat powiedział:

– Nienawidzę tych Dojczek i chciałbym, żeby Indianie dobrze je wypierdolili.

– Ja też.

- Ale dobrze dajesz sobie z tym radę.
- Bo nie spadam z konia? - Tej nocy zatrzymywaliśmy się dwa razy, żeby Indianie mogli mocniej związać brata.
- Podstawiałem głowę pod kopyto, ale nie poszczęściło mi się.
- Mama nie byłaby zadowolona, słysząc coś takiego.
- Nadasz się na małego Indiańca, Eli. Szkoda, że nie będę mógł tego zobaczyć. - Nic nie odpowiedziałem. - Wiesz dobrze, że nie strzelałem, bo nie chciałem, żeby zrobili krzywdę mamie i Lizzie.
- Sparaliżowało cię.
- Mamę i tak by zabili, to oczywiste, ale zabraliby z nami Lizzie. Nie wzięli jej tylko dlatego, że była ranna...
- Zamknij się - mruknąłem.
- Nie musiałeś patrzeć na to, co jej zrobili.

Spojrzałem prosto na niego. Wyglądał tak samo, jak zawsze z tymi zezowatymi oczami i wąskimi wargami, ale wydawał się kimś, kogo znałem dawno temu. Trochę później powiedział, że jest mu przykro.

Indianie podzielili się z nami suszonym mięsem od woźniców. Jedna z Niemek zapytała, dokąd moim zdaniem zmierzamy. Udałem, że jej nie rozumiem. Martina wołała nie zaczepiać.

Następnego dnia widok przed nami stał się imponujący. Znaleźliśmy się w kanionie szerokim na dziesięć mil, którego ściany - wszystkie z czerwonej skały - wznosiły się na tysiąc stóp nad nami. Rosły tu topole i wiązowce, i niewiele innych drzew, a jadąc wypatrzyłem w piasku karmazynowy grot, taki sam, jak ten, który widziałem w pobliżu domu. Każda skała i każdy brzeg strumienia były pełne kamiennych stworzeń: łodzików wielkości koła wozu czy rogów i kości zwierząt większych niż te, które wciąż żyją na ziemi.

Toshaway powiedział mi po hiszpańsku, że jesienią w kanionie pojawiają się bizona. Podziwiał krajobraz. Długie czarne włosie zwieszało się z cedrów i jadłoszynów - bizona wędrowały tędy od dawna. Indianie nie okazywali żadnych oznak zmęczenia czy głodu, ale zwolnili kroku. Śliniłem się, w mijanych przez nas strumieniach pływały rozmaite ryby, które można by złowić włócznią: sumiki, węgorze, karpie, niszczuki. Przestałem liczyć jelenie wirginijskie i antylopy. Na skalnej półce opalał się cynamonowy grizzly, największy, jakiego widziałem. Po skałach spływała źródłana woda, tworząc na dole rozlewiska.

Tamtej nocy rozbiliśmy po raz pierwszy obozowisko i usnąłem na skałach, trzymając brata w ramionach. Ktoś nakrył nas skórą bizona,

a kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem przykucniętego obok Toshawaya. Przyzwyczajałem się do jego zapachu.

– Jutro rozpalimy ognisko – powiedział.

Następnego ranka mijaliśmy mesy z piaskowca. Na skale ktoś wyłobił figurki szamanów i wojowników, a obok nich włócznie, tarcze i tipi.

– Wiesz, że nas rozdziela – oznajmił Martin.

Spojrzałem na niego.

– Ci goście są z dwóch różnych plemion.

– Skąd o tym wiesz? – zapytałem.

– Ten, do którego należysz, to Kotsoteka – stwierdził. – A ten, do którego ja należę, to Yamparika.

– Ten, do którego należę, to Toshaway.

– Tak się nazywa. Ale jest ze szczepu Kotsoteka. Ten, do którego ja należę, nazywa się Urwat. Mówili, że Urwat ma jeszcze kawał drogi przed sobą, a gość, do którego ty należysz, jest już prawie w domu.

– Nie jesteśmy ich własnością – powiedziałem.

– Masz rację. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego odnoszą takie wrażenie.

Jechaliśmy dalej.

– A co z Penatekami?

– Są chorzy albo stało się im coś złego. Nie wiem nic oprócz tego, że żaden z tych tu nie należy do Penateków.

Mimo obietnicy Toshawaya tej nocy też nie rozpaliliśmy ognia. Rankiem wyjechaliśmy z wielkiego kanionu na równiny. Nie było na nich drzew ani krzewów rosnących wzdłuż strumieni, tylko trawa i niebo, a mnie zrobiło się niedobrze od samego patrzenia. Wiedziałem, gdzie się znaleźliśmy: na Llano Estacado. Białej plamie na mapie. Po godzinie jazdy nic się nie zmieniło, a mnie znów kręciło się w głowie. Mogliśmy równie dobrze przejechać dziesięć mil albo dziesięć cali, w końcu pomyślałem, że wariuję. Brat zasnął i zsunął się pod brzuch konia. Indianie stanęli, stłukli go i przywiązali na powrót do grzbietu.

Rozbiliśmy obóz nad strumieniem wrzynającym się tak głęboko w równinę, że nie dało się go dostrzec, póki się nad nim nie stanęło. Tu po raz pierwszy rozpaliliśmy ogniska, a ponieważ nigdzie nie rosły drzewa, od których mogłoby odbijać się światło, ognia nie było widać. Wrzucono do niego dwie antylopy – ze skórą i wszystkim innym – a Toshaway przyniósł nam gorące, na pół upieczone mięso. Brat nie

miał siły, żeby jeść. Rozgryzłem mięso na drobne kawałki i nakarmiłem go.

Potem wspiałem się na brzeg strumienia, żeby się rozejrzeć. Ze wszystkich stron na ziemię spadały gwiazdy, a Komancze wystawili warty wypatrujące innych ognisk. Nie zwracali na mnie uwagi. Wróciłem na nasze posłanie. Puma darła się na nas przez blisko godzinę, a wycie wilków niosło się z jednej strony równiny na drugą. Martin zaczął płakać przez sen: potrząsałem nim, ale później przestałem. Żaden koszmar nie mógł dorównać jawie.

Następnego ranka już nas nie wiązali. Nie mieliśmy dokąd uciec. Bratu, choć się pożywił i wyspał przez sześć godzin, wcale się nie polepszyło. Tymczasem Indianie śmiali się do rozpuku i hasali, jeździli na koniach do tyłu, stawali dęba, przekrzykiwali się, wymieniając żartami. Zasnąłem i obudziłem się w trawie. Zatrzymaliśmy się i znów przywiązali mnie do konia, dali parę kuksańców, ale już nie bili. Nadjechał Toshaway i dał mi wody, a potem wypłuł trochę tytoniu w garść i wtarł mi sok w oczy. Przez resztę dnia nie wiedziałem, czy śpię czy nie. Miałem wrażenie, że gdzieś przed nami jest koniec świata, a kiedy wpadniemy w czeluść, nigdy nie przestaniemy spadać.

Po południu Indianie wypatrzyli nieduże stado bizonów, a po krótkim sporze zszadono nas z bratem z koni i poprowadzono do któregoś z cieląt. Rozpłatano mu brzuch i wyciągnięto wnętrzności. Toshaway przeciął żołądek i podał mi w garści zwarzone mleko, ale nie chciałem go spróbować. Inny Indianin wepchnął głowę brata do żołądka, ale Martin zamknął oczy i usta. Potraktowano mnie w taki sam sposób. Przełknąłem łyk mleka i zwymiotowałem. Powtórzono to wszystko ze dwa albo trzy razy, brat w ogóle nie połykał, ja próbowałem i rzygałem, aż w końcu Indianie zaniechali karmienia i wygarnęli całe zwarzone mleko dla siebie. Po opróżnieniu żołądka wycięto wątrobę. Mój brat nie chciał jej tknąć, a ja, widząc jak na niego patrzę, zmusiłem się do połknięcia kęsa. Poczułem w żołądku krew. Zawsze myślałem, że smakuje metalicznie, ale dzieje się tak tylko wtedy, kiedy przełknie się jej niewielką ilość. Naprawdę smakuje piżmem i solą. Sięgnąłem po kolejny kęs wątroby, a Indianie wydawali się uszczęśliwieni, więc jadłem dalej, aż mnie odepchnęli i zjedli resztę sami, polewając ją żółcią z pęcherzyka jak sosem.

Po pozbyciu się trzewi cielaka obdarto ze skóry. Kawałek mięsa ofiarowano słońcu, a resztę rozdzielono i każdy dostał jakieś pięć funtów mięsa. Indianie szybko zjedli to, co im przydzielono, a ja, bojąc

się, że zabiorą moją porcję, pochłonałem mięso niemal natychmiast. Po raz pierwszy od blisko tygodnia miałem pełny brzuch, poczułem się ukojony i ociążały, a mój brat siedział i prażył się w słońcu, pokryty własnym gównem i rzygami.

– Musisz jeść.

Uśmiechał się.

– Wiesz, co? Nigdy nie przypuszczałem, że takie miejsce w ogóle istnieje. Założę się, że nasze ślady zatrze pierwszy wiatr.

– Zabiją cię, jak nie będziesz jadł.

– Zabiją mnie tak czy inaczej, Eli.

– Jedz – nakazałem. – Tata jadł surowe mięso przez cały czas.

– Wiem doskonale, że jako Ranger tata robił wszystko. Ale nie jestem nim, wybacz – mruknął. Dotknął mojej nogi. – Zacząłem pisać wiersz o Lizzie. Chcesz posłuchać?

– W porządku.

– Twoja dziewicza krew przelana przez dzikich, lecz znów jesteś jedno w niebiosach. Wiem, że to gówno warte. Ale na nic innego mnie nie stać w tych okolicznościach.

Indianie przyglądali się nam. Toshaway przyniósł kolejny kawałek mięsa i wskazał, że powinienem nakarmić nim brata. Martin odepchnął poczęstunek.

– Byłem pewny, że będę studiował na Harvardzie – powiedział. – A potem pojedę do Rzymu. Prawdę mówiąc, byłem już w Rzymie oczyma duszy, bowiem, jak wiesz, kiedy czytam, widzę to, o czym czytam, przed sobą. Całkiem dosłownie przed sobą. Wiedziałaś o tym?

– Rozchmurzył się trochę. – Nawet ci ludzie nie są w stanie zburzyć mojego Rzymu. – Pokręcił głową. – Napisałem chyba z dziesięć listów do Emersona, ale ich nie wysłałem. Przypuszczam, że potraktowałyby je poważnie.

Wszystkie listy, które napisał, spłonęły w pożarze, ale nie przypominałem mu tego. Powiedziałem tylko, że musi jeść.

– Nie zrobią ze mnie pierdolonego brudnego Indiańca, Eli. Wolę umrzeć. – Musiałem spiorunować go wzrokiem, bo dodał: – To nie twoja wina. Jestem rozdarty, bo myślę, że nie powinniśmy w ogóle tam przyjeżdżać, zakładać domu, ale z drugiej strony wiem, że taki człowiek jak tata nie miał innego wyboru. Co miał zrobić? To było przeznaczenie.

– Nakarmię cię.

Nie zwrócił na mnie uwagi. Wpatrywał się w coś na ziemi, a potem

zerwał jeden kwiatek, gailardię – siedzieliśmy na całej ich rabacie. Podniósł go do góry tak, żeby widzieli Indianie.

– Mówią na to indiański słonecznik – powiedział. – Albo indiańska broszka. – Zignorowali go. Podniósł głos: – To ciekawe, że małe, karłowate albo nieprzydatne owoce, takie jak meksykańska śliwka, meksykański orzech czy meksykańskie jabłko, określa się mianem Meksykanów, którzy niewątpliwie przetrwają między nami przez stulecia, natomiast kolorowe nadobne rośliny określa się mianem indiańskich, gdyż szybko znikają z powierzchni ziemi. – Spojrzał na nich wyzywająco. – To wielki komplement dla waszej rasy. Choć, wyznam, wcale bym się nie zmartwił, gdyby zniknęła nieco wcześniej. – Nikt nie zwracał nań uwagi. – Przeznaczeniem takiego człowieka jak ja jest bycie niezrozumianym. To Goethe, jeśli nie wiecie.

Toshaway jeszcze parokrotnie usiłował dać mu mięso, ale Martin nie chciał go tknąć. Po upływie pół godziny z cielaka została tylko skóra i kości. Skórę zwinięto i przytroczono do grzbietu czyjegoś konia, a Indianie dosiedli wierzchowców. Wtedy mój brat spojrzał na kogoś za moimi plecami.

– Nie pomagaj mi.

Toshaway przydusił mnie do ziemi. Usiadł na mnie z innym Indianinem i obaj spętali mi stopy i nadgarstki tak szybko, jak tata pętał cielę. Odciągnięto mnie na sporą odległość. Kiedy podniosłem głowę, Martin nie poruszył się. Siedział i przyglądał się wszystkiemu, ledwo widziałem jego głowę ponad kwiatami. Trzej Indianie wskoczyli na konie, w tym Urwat, do którego należał brat. Jeździli wokół niego, zataczając krąg, wznosząc wojenne okrzyki, wrzeszcząc. Martin wstał, a oni tręcali go grotami włóczni na płask, robiąc mu miejsce, zachęcając, żeby uciekł, ale on stał nieruchomo wśród sięgających kolan czerwono-żółtych kwiatów. Wydawał się niepozorny na tle nieba. W końcu Urwat zmęczył się i zamiast uderzać Martina grotem włóczni na płask, opuścił ją i dźgnął go w plecy. Martin stał. Toshaway i inni Indianie trzymali mnie mocno. Urwat znów zaatakował, a mój brat upadł między kwiatami.

Toshaway opuścił mi głowę. Wiedziałem, że powinienem się wyrwać, ale Toshaway mi nie pozwolił, wiedziałem, że powinienem wstać, ale nie chciałem. *Tak jest dobrze, pomyślałem, ale teraz wstanę.* Szarpnąłem się, siłowałem z Toshawayem, który nie popuszczał.

Martin znów wstał. Nie wiem, ile razy przewracał się i wstawał. Urwat odrzucił włócznię i zaszarżował na brata z tomahawkiem, lecz

Martin nawet się nie skrzywił, tylko później upadł po raz ostatni, a Indianie rzucili się przed siebie i okrążyli go.

Toshaway wyjaśnił mi później, że mój brat, który przez cały czas zachowywał się jak tchórz, nie był oczywiście tchórzem, ale *ku?tseena*, Kojotem Przechera, mistycznym stworzeniem zesłanym na ziemię, by poddać ich próbie. Zabicie go było bardzo złą wróżbą – kojot jest tak ważny, że Komanczom nie wolno go tknąć. Mój brat nie został oskalpowany. Urwat był przeklęty.

Było sporo zamętu i zamieszania, trzech indiańskich młokosów przytrzymało mnie, a dorośli wojownicy rozmawiali. Powtarzałem w duchu, że zabiję Urwata. Rozglądałem się za jakąś przyjazną twarzą, ale Niemki wołały na mnie nie patrzeć.

Od szkieletu zabitego bizona oderwano łopatki i kilku wojowników zaczęło kopać. Kiedy wykopali coś, co mogło uchodzić za grób, owinęli brata w skradziony z wozu towarowego perkal i opuścili go do dołu. Urwat wrzucił do niego swój tomahawk, ktoś inny nóż, zostawiono w grobie mięso. Potem rozgorzał spór, czy zabić też konia, ale ustalono, że nie.

Wkrótce odjechaliśmy. Spoglądałem na grób, który zniknął w oddali, jakby zarosły go już indiańskie słoneczniki, jakby to miejsce nie oznaczało końca czyjegoś życia – śmierci. Będzie trwało jak wcześniej, jak mówił brat, a nasze ślady rozwieje pierwszy wiatr.

[7] Księga Ezechiela, 22-19,20; 24, Biblia Tysiąclecia.

[8] Biali porwani przez Indian [przyp. tłum.].

[9] Ralph Waldo Emerson, amerykański eseista, wykładowca i poeta, który w połowie XIX w. stał na czele ruchu transcendentalistów [przyp. tłum.].





## J.A. McCullough

Gdyby była lepszym człowiekiem, nie zostawiłaby rodzinie ani centa; może tylko parę milionów na studia dla dzieci albo na wypadek choroby. Dorastała, wiedząc, że jeśli susza potrwa kolejny rok, jeśli będzie więcej kleszczy albo much, czy jeśli nie uda się coś najzwyczajszego, rodzina nie będzie miała co jeść. Oczywiście mieli już wtedy naftę, więc to była cicha groźba. Ale ojciec zachowywał się tak, jakby to była prawda, a ona w to wierzyła, więc tak musiało być.

Kiedy była dziewczynką, ojciec często oddawał jej pod opiekę porzucone cielątko, żeby się nim zajmowała, a co pewien czas dołączała podrośnięte cielę do byczków transportowanych do Fort Worth. Zarabiała tyle pieniędzy na odchowanych sierotach, że mogła inwestować w akcje i właśnie to – jak powtarzała – nauczyło ją szacunku dla dolara. *Raczej szacunku dla tysiąca dolarów*, zauważył kiedyś jakiś dziennikarzyna. Nie wyglądał jak mężczyzna. Pochodził z Północy.

Pułkownik zawsze wstawał przed świtem, choć pił whiskey przez całe dziesięć lat, które go znała. Kiedy miała osiem lat, a on dziewięćdziesiąt osiem, poprowadził ją powoli przez wyschnięte pastwisko, kierując się wapiennym traktem, którego nie widziała, biegnącym wokół kępy kłujących gruszek i kwitnących żółto akacji; traktem, który – była pewna – musiał sobie wyimaginerować i którym doszli w końcu do komyszy lilii, z których Pułkownik, pochyliwszy się, wyjął młodego królika. Zwierzątku łomotało serce, a ona przytuliła je do siebie pod koszulą.

– Jest ich więcej? – Była bardzo podekscytowana. Chciała je wszystkie.

– Zostawimy resztę matce – powiedział. Miał brązową, spękaną i pobrużdżoną twarz przypominającą dno wyschniętej rzeki, a do tego zawsze rozbiegane oczy. Jego dłonie pachniały pąkami topoli – sokiem, który był jak cukier, cynamon i jakieś kwiatki, których nie potrafiła nazwać. Pułkownik zawsze przystawał między topolami, żeby wetrzeć sok z pączków w dłonie – przejęła od niego ten nawyk. Nawet pod

koniec życia zatrzymywała się przy starych drzewach i zeszkrobywała paznokciem pomarańczowy sok, przypominając sobie pradziadka. Sok z Gileadu, ktoś jej kiedyś powiedział. Tak się nazywa, choć nie potrzebuje nazwy.

Zabrała króliczka do domu i nakarmiła go mlekiem, ale następnego dnia dopadły go psy. Wiedziała, że mogłaby wrócić w tamto miejsce i wziąć sobie nowego, ale psy i tak by go pożarły, więc postanowiła, że zostawi resztę miotu w spokoju. Decyzja ta wydała się jej bardzo dorosła i wspaniałomyślna. Mimo to nie potrafiła zapomnieć o dotyku króliczego futerka na skórze, o niemal płynnej miękkości, o dłoni potrzebującego oparcia pradziadka na ramieniu.

Była chudą dziewczynką o jasnych włosach z zadartym noskiem i brązowiejącą od słońca skórą, choć wyobrażała sobie, że kiedy dorośnie, będzie miała ciemne włosy i jasną karnację oraz długi prosty nos jak mama. Jej ojciec prychał na to z rozbawieniem.

– Twoja mama wcale tak nie wyglądała – mawiał. – Miała jasne włosy jak ty.

Ale Jeannie zapamiętała ją inaczej. Mama umarła młodo przy jej porodzie, miała zaledwie dwadzieścia sześć lat. Zostało po niej tylko kilka zdjęć, żadne z nich nie było zbliżeniem ani wystarczająco ostre, choć po domu walało się mnóstwo fotografii ojcowskich koni. Ale na tych kilku zdjęciach włosy mamy naprawdę były ciemne i długie, a jej nos naprawdę prosty, więc po zastanowieniu doszła do wniosku, że tata zwyczajnie się myli, nie zna się na kobiecej urodzie, o ile to nie dotyczy jałówek czy klaczy. Była pewna, że gdyby ujrzała kiedykolwiek mamę na żywo, dostrzegłaby tysiące szczegółów, które umknęły ojcu.

Bo ojciec zauważał tylko stare krowy zabłąkane w krzakach podczas zaganiania albo krowy dające mleko drugi rok z rzędu, albo nowego parobka, który twierdził, że wszystko umie, a nie potrafił rzucać lassem lub nie wjeżdżał w kłujące krzewy z odpowiednim entuzjazmem. Ojciec zauważał starego zdziczałego byka *ladino* krzyżującego się z jego jałówkami, czy to co Meksykanie mówili o deszczu, czy też jak ciężko pracowali jego synowie, albo że ona, Jeannie, płacze się pod nogami. Mimo przestróg babki, dziewczyna każdego ranka wyjeżdżała z braćmi, o ile nie musiała iść do szkoły. Podczas pędzenia bydła zawsze jechała na końcu, choć wiedziała, że jest najlepsza. Ojciec nie włączał jej do liczenia pogłowia czy piętnowania stad, a jej bracia robili, co mogli, żeby dobrze posługiwać się lassem, uczyli się rzucać z *tumbadores* i piętnować z *marcadores*,

a ona mogła tylko nosić wiadro z wapienną pastą wcieraną w świeże piętna. Czasem pomagała przy cielejcej zasmażce, nabierając z pełnego wiadra jądra młodych byków i rzucając je do smażenia na specjalnie wygarnięte z ognia węgle. Były słodkie i tak miękkie, że niemal wybuchały w ustach, i jadła je garściami, ignorując złośliwe braterskie komentarze – których w zasadzie nie rozumiała – mówiące o jej zapale do tego delikatesu.

Cielejca zasmażka to jedno, lecz gdyby tylko stanęła obok *tumbadora*, miałyby natychmiast tatę na karku. Ale i tak nauczyła się rzucać lassem. Zanim skończyła dwanaście lat, potrafiła flankować i pętać nie gorzej od braci, umiała obalać wszystko, co się ruszało, ale to i tak nie miało znaczenia. Ojciec nie chciał, żeby pracowała między mężczyznami, a babka uznawała to za wielki wstyd. Pułkownik, gdyby żył, wziąłby ją w obronę: zawsze widział w niej to, czego inni nie potrafili dostrzec – jej niewzruszone dążenie do doskonałości, jej pewność, że jeśli tylko do czegoś się przyłoży, opanuje to po mistrzowsku. Kiedy Pułkownik powtarzał jej często, że któregoś dnia osiągnie coś ważnego, prawie nie zwracała na to uwagi. Jakby mówił jej, że trawa jest zielona, a jej oczy duże jak u sarny, albo że jest ładna, nawet jeśli mała, a mężczyźni i kobiety jednako cieszą się z jej obecności.

Więc choć spędy bydła nudziły ją nieskończenie, bo tylko jeździła stępa za ciągnącą się po horyzont, unoszącą się nad stadem chmurą kurzu, rzucając od czasu do czasu lassem i pędząc najwolniej zwierzęta do zagród na stacji kolejowej, brała udział – mimo wszystko – w niemal każdym. Mimo gorąca, mimo pragnienia, jeździła na spędy i stawała przy buchającym ogniu do piętnowania – bo bydło najlepiej piętnuje się w sierpniu, kiedy jest tak gorąco, że nawet grom nie chce się ruszać – a kiedy tata nie patrzył, przewracała cielaki i uwalana ich śliną chwytiała za piętno, jeśli *marcador* jej pozwolił, i przyciskała lekko do skóry zwierzęcia, gdy żelazo było gorące, a mocniej kiedy wystygło. Nie pozwalała sobie na popełnianie błędów. *Vaqueros* uważali, że jest zabawna. Wiedzieli, co robi, a choć sami nie pozwoliliby własnym córkom zbliżyć się do ognia do piętnowania, byli szczęśliwi, że ich zastępowała, bo mogli odpoczywać w cieniu i uciec od upału. O ile nie popełniała błędów. Dlatego nie popełniała.

Były czasy, kiedy coś takiego nie uchodziło za nic niezwykłego. Czasy, w których bogaci świecili przykładem. Kiedy stosowali wobec siebie wyższe standardy, ich życie było przykładem dla innych. Kiedy

nie afiszowano się bogactwem przed kamerami, nie stawało w świetle reflektorów, o ile czegoś się nie osiągnęło. Teraz zapomniano o tym obowiązku. Bogaci są tak spragnieni uwagi jak każda pomywaczka.

Być może i ona niczym się od nich nie różniła. Wynajęła historyka, by sporządził kronikę rancza, historię rodu, ale przez dziesięć lat człowiek ów nie zrobił nic, poza spisaniem każdego listu, rachunku czy kawałka papieru, których dotknął Pułkownik, nic poza skanowaniem tych dokumentów do swego komputerka i wyjazdami do Austin, żeby przeglądać mikrofilmy. Był, jak się przekonała, niezdolny do napisania książki, którą obiecał.

– Można z tego zrobić obojętnie jaką historię – powiedział jej.

– Niech pan wybierze najlepszą – odrzekła.

– To byłoby kłamstwem – oznajmił.

Był pyzaty, doprowadzającym ją do szału człowieczkiem, a ona sama nie pamiętała już, dlaczego cała ta sprawa wydawała się jej tak skomplikowana. Wystarczyło, że otworzyła książeczkę czekową, a kwestorzy już wietrzyli zapach – czek tu, słówko tam, jeszcze jeden czek, kolejne słówko i nazwisko Pułkownika rozprzestrzeniło się jak korzenie jadłoszynu. W następnym roku miało pojawić się w nowej historii stanu – takiej, którą zwalczali liberałowie.

Ci, którzy nie pracują, nie jedzą. Ci, którzy nie wstają po ciemku w mrozie i upale, ci, którzy nie spędzają całych dni w pyle i ostach, nie przetrwają, ich ród nie przetrwa; dostaliście boże błogosławieństwo i macie się rozmnażać.

Później, kiedy dorosła na tyle, by zajrzeć do książek, przekonała się, że rodzinie nigdy nic nie zagrażało. Ale było już za późno. Nie mogła usiedzieć, żeby nie myśleć o tym, że kojoty czają się na jej cieleta, że wiatrakom trzeba naoliwić przekładnie albo sprawdzić pręty zasysające w kiwonach, że ogrodzenia mogły się przewrócić wskutek pogody, działania zwierząt albo beztroskich ludzi. Później, kiedy przestała martwić się o bydło, zaprzętała sobie głowę ropą. Które szyby produkują mniej albo więcej niż się spodziewała (zawsze produkowały mniej, zawsze), które pola naftowe mogą wchodzić w grę, a z jakich rezygnowały duże koncerny. Których zatrudnić wiertaczy, komu nie dają kredytu i można go tanio wykupić. Wszystkie szyby wyschły – kiedy tylko przestało się szukać nowych, fortuna chyliła się ku upadkowi.

*Dlaczego leżę na podłodze?*, pomyślała. Rozejrzała się. Pokój zasnuwała mgła. Zastanawiała się, czy nie zapchał się przewód

kominowy. Łupało ją w głowie: to nie był ból po wylewie. Ktoś był z nią w tym pokoju, miała co do tego pewność.

Coś poszło nie tak z dziećmi... zawsze uważała, że to jakaś słabość ze strony Hanka, choć mógł to być również wpływ miasta, szkół, do których uczęszczały, przyjaciół, liberalnych nauczycieli. W mieście dzieci robiły różne rzeczy, ale praca nie była jedną z nich, a spędzanie weekendów na koniach z *vaqueros* stało się kolejną rozrywką jak ujeżdżanie koni czy narciarstwo. Co gorsza, żeby dostać się na ranczo i zdążyć do szkoły w poniedziałek, musiały latać! Jej dzieci nie były głupie. Wiedziały, że prawdziwi *vaqueros* nie latają prywatnymi odrzutowcami do pracy.

Dzieci nie miały kręgosłupa. Praca w wakacje nie wchodziła w grę. Lipiec i sierpień to najgorętsze z ciepłych miesięcy, rozpalone jak równiny Afryki, jak piętno, od którego nigdy się nie ucieknie. Ubrania stają się przepocone po dwóch minutach, na każdym calu skóry zbiera się brudny osad, a choć ona sama dorastała z przekonaniem, że to normalne – nieprzyjemne, ale normalne – jej dzieci nie potrafiły tego znieść choćby przez godzinę. Susan zemdląła i spadła z konia.

J.A. twierdziła, że to wielki wstyd, choć nikt inny tak nie uważał. Zaczęła wątpić w swoje zdrowe zmysły. Dopiero potem, kiedy dzieci podrosły, dowiedziała się, że miała rację – jeśli kogoś wychowa się w dostatku, do pracy wedle upodobania, taki ktoś uważa, że praca jest czymś plugawym. Rozpaczliwie stara się usprawiedliwić własne lenistwo. Uznaje, że rodowa własność jest immanentna dla samego życia jak powietrze czy woda, czy czyste prześcieradła.

*Powinnaś teraz rozdać wszystkie te pieniądze*, pomyślała. Ale było już za późno. Zepsuła córkę, syna pewnie też. Myślała o tym i robiło się jej niedobrze... bo nie chodziło tylko o kasę: wiedziała, co zrobiła swoim dzieciom. Nie umiała stwierdzić, czy zapisywanie im jeszcze większych pieniędzy było pokutą czy jakąś dziwną formą kary dodatkowej. *Jesteś złą chrześcijanką*, pomyślała.

Przestała chodzić do kościoła zaraz po śmierci ojca. Jeśli modlitwą nie da się zachować przy życiu najbliższych, po co w ogóle klepać pacierze? Ale kiedy przenieśli się z Hankiem do Houston, znów zaczęła uczestniczyć w nabożeństwach. Było się naznaczonym, jeśli się tego nie robiło. Nie myślała o tym, czy wierzyła, choć w ciągu ostatniej dekady wiara wróciła, a mówili, że tylko to się liczy. Kiedy jest się starym, nie ma wyboru – zbawienie albo wieczna pustka – dlatego trudno się dziwić, że w kościołach nie przesiadują młodzi, skacowani

ludzie z całym życiem przed sobą. Zapamiętała takie kazanie, w którym pastor wymieniał co ciekawsze postacie, które spotkają w niebie: Martina Luthera Kinga Jr. (dla czarnych), Mahatmę Gandhiego, Ronalda Reagana. Nie, to niemożliwe, żeby pastor wymienił Gandhiego! Może Johna Wayne'a? Człowiek zaczynał się zastanawiać: jeśli ci wszyscy interesujący ludzie są w niebie, to każdy będzie chciał z nimi pogadać. Nie trzeba specjalnej wyobraźni, żeby dojść do wniosku, że w takiej sytuacji sławne osoby muszą trafiać do oddzielnego nieba, jak na ziemi – tam, gdzie nikt nie będzie im zawracał głowy, do jakiegoś prywatnego osiedla. Zastanawiała się, czy tam pójdzie. Ale w niebie nie liczą się pieniądze, więc może nikogo nie będzie już obchodziła. Trump, Walton, Gates, ona sama – będą tak samo interesujący jak śmieciarze.

Oczywiście byłoby miło spotkać znowu Hanka, jej chłopców – Toma i Bena, braci również, ale co z Tedem, który był jej kochankiem przez dwadzieścia lat po Hanku? Ktoś mógłby być zazdrosny. A Thomas – taki mały szczegół – czy on też tam będzie?

Jeśli słucha się tego, co mówią o niebie, można wywnioskować, że jest ono potężnym miastem o dwunastu bramach. W ogóle się w nim nie je, nie wypróżnia, nie uprawia seksu; leży się to tu, to tam, jak w transie, i słucha granej na harfie muzyki. Jak w hospicjum, z którego nigdy się nie wyjdzie. Miała zamiar przespać się z każdym przystojnym mężczyzną, którego tam pozna. Co oznacza oczywiście, że ześlą ją do piekieł.

*Nie pozwól mi umrzeć*, pomyślała. Otworzyła oczy. Nadal leżała na podłodze w salonie, na dywanie koloru burgunda. Ogień ciągle płonął. Czy robiło się coraz jaśniej? Nie wiedziała. Zmusiła się, żeby poruszyć głowę, potem nogami, nic się nie stało.



# 6

## Dzienniki Petera McCullougha

*12 sierpnia 1915 roku*

Gazety opisują już własną wersję przedstawioną przez Pułkownika. Jedyne prawdziwe przebieg wydarzeń wyglądał tak:

Wczoraj nasz *segundo* Ramirez jechał przez jedno z zachodnich pastwisk, kiedy ujrzał ludzi pędzących nasze herefordy ku rzece. Garcia wciąż hoduje nierasowe krowy, więc od razu było wiadomo, do kogo należy stado. Tuż po zmierzchu przyłapaliśmy ich nad wodą. Większość stada zdołała się już przepawić, a odległość była spora, blisko trzysta jardów, ale wszyscy – Glenn, Charles, ja, Pułkownik, Ramirez, nasz *caporal* Rafael Garza i garść innych *vaqueros* – zaczęli strzelać z zamiarem wypłoszenia złodziei i odzyskania bydła. Na nasze nieszczęście to byli starzy wyjadacze i zamiast porzucić w popłochu stado, paru zsiadło z koni i odpowiedziało ogniem, a pozostali pędzili bydło do *brasada* po meksykańskiej stronie. Glenn dostał w ramię – przypadkowe trafienie z drugiej strony rzeki.

W domu czekało na nas dwóch Rangersów i doktor Pilkington, po którego posłała Sally, kiedy usłyszała strzały. Kula nie trafiła w aortę, ale Glennowi potrzebna była operacja i Pilkington uznał, że najlepiej będzie zawieźć go do szpitala w San Antonio. Kiedy opatrywał go z Sally, rozmawiałem z sierżantem Rangersów, małym blondynkiem o topornych rysach, który wyglądał tak, jakby uciekł z więzienia. Ten sierżant ma może ze dwadzieścia lat, ale drugi Rangers wyraźnie się go bał. Strzeżcie się kurdupli z Teksasu: są dziesięć razy bardziej zajadli od innych, żeby przetrwać w tej krainie olbrzymów.

Banda Meksykanów nie strzela do białego nastolatka bezkarnie, zależało mi, żeby mieć wokół siebie jak najwięcej stróżów prawa, ale wystarczyło jedno spojrzenie, żeby wiedzieć – ci Rangersi w niczym nam nie pomogą. Choć i tak byli lepsi od Nilesa Gilberta i jego kumpli z Ligi Prawa i Porządku.

– Ilu z was jeszcze pojedzie? – zapytałem sierżanta.

– Nikt więcej. Ma pan szczęście, że w ogóle tutaj jesteśmy.



Powinniśmy być w hrabstwie Hidalgo. – Odszedł, żeby splunąć na dywan, ale pohamował się.

Oczywiście na King Ranch stacjonuje na stałe cała kompania, ale nie miało sensu o tym wspominać. Zapakowaliśmy Glenna na tył auta Pilkingtona. Sally usiadła obok niego. Glenn nie wyglądał najlepiej i chciałem z nim jechać, ale byłem jedynym głosem rozsądku w promieniu dwudziestu mil: wolałem nie myśleć, co zastałbym po powrocie. Sally wychyliła się z okna.

– Musisz pojechać i zabić tych sukinsynów. – Nie odpowiedziałem. W tych stronach takie słowa szybko zamieniają się w czyny. – Jesteś synem Pułkownika, Pete. Dzisiaj musisz to udowodnić.

– To byli José i Chico – zawołał Glenn. – Poznałem ich sylwetki na koniach.

– Było dosyć ciemno, kolego. I wszyscy byliśmy mocno zdenerwowani.

– Ale ja jestem pewny, tatusiu.

Inny mężczyzna nie wątpiłby w słowa własnego rannego syna leżącego na kanapie w aucie. Ale ja nie wątpiłem w słowa Glenna, wcale. Nie dowierzałem ojcu.

– W porządku – mruknąłem. – Jesteś dzielny mężczyzną.

Odjechali. Wątpię, żeby Glenn naprawdę widział José i Chico, dopóki nie wspomniał o nich Pułkownik. Ojciec potrafi nakłaskać innym do głowy tak, że nawet o tym nie wiedzą.

Panował taki nastrój, że wszyscy byli gotowi natychmiast najechać na Garcíów, zanim ci zdążą się zabarykadować w swoim *casa mayor*. Zebrali się wszyscy *vaqueros* i czekali na dworze, paląc papierosy i żując tytoń – gotowi przelewać krew za *patrona*.

Nadjechał też jakiś tuzin białych: szeryf Graham z Carrizo z dwoma zastępcami, jeszcze jeden Ranger, nowy strażnik łowiecki. A oprócz nich: Niles Gilbert z dwoma synami oraz dwoma członkami Ligi Prawa i Porządku z El Paso. Gilbert przywiózł ze swojego sklepu skrzynkę karabinów Kraga i kilka tysięcy sztuk amunicji, bo usłyszał, że zbiera się pospolite ruszenie.

– Po co się zbiera? – zapytałem.

– Żeby pomóc wam przepędzić tych śniadych.

– Ci, jak pan mówi, śniadzi są za rzeką – powiedziałem.

Spojrzał na mnie ze złością. Mało brakowało, a przypomniałbym mu, że mam za sobą cztery lata studiów, a on tylko cztery klasy szkoły

powszechnej, ale Gilbert należy do ludzi, którzy wierzą, że władza służy do poniżania innych. Równie dobrze mógłbym wyklądać swoje racje mułowi.

Zawsze miałem doskonałą pamięć, o czym wiedzą Charles i mój ojciec, ale żaden z nich nie stanął po mojej stronie, kiedy publicznie przywołałem minione wydarzenia. Minęły zaledwie trzy godziny, a zmieniono fakty: ludzie, którzy wyglądali jak duchy w ciemności, i to tylko dlatego, że mieli na sobie białe koszule, stali się wyraźnie rozpoznawalni. Przypomniałem wszystkim, że było za ciemno, żeby dostrzec czyjąkolwiek twarz – tak ciemno, że oślepiały nas rozbłyśki broni – ale to nie miało już większego znaczenia. W świetle ich pamięci było tak jasno, że widzieli twarze – a wszystkie należały do Garcíów.

Zaproponowałem, żebyśmy poczekali na kolejnych Rangersów albo wojsko – chciałem odwlec wszystko do świtu, bo w świetle dnia ludzie są mniej skorzy do linczu. Ale Charles, który przemówił w imieniu zebranych, oznajmił, że po pierwsze nie możemy pozwolić, żeby postrzelenie Glenna uszło im bezkarnie, a po drugie, że wojsko nam nie pomoże, gdyż generał Funston dał jasno do zrozumienia, że będzie interweniował tylko w wypadku bezpośredniego ostrzału żołnierzy. Nie ma zamiaru narażać ludzi na ściganie zwykłych złodziei bydła. O ile byłem nie są brahmany zebu z King Ranch, rzecz jasna.

Wiadomość ta przygnębiła mnie jeszcze bardziej. Żołnierze są bowiem jedynymi przedstawicielami rządu w Południowym Teksasie pozbawionymi wyraźnej skłonności do strzelania do Meksykanów. Co się tyczy Rangersów: ci są najlepsi i najgorsi. Sierżant wskazał, że jest ich zaledwie trzydziestu dziewięciu w całym Teksasie, więc to, że trzech z nich (trzeci przybył z Carrizo) znalazło się w naszym domu, było zaiste cudem.

*Zależy dla kogo*, pomyślałem. Na zebraniu panowała atmosfera charakterystyczna dla spotkań stowarzyszenia hodowców bydła: starzy znajomi omawiali grzecznie prawa wypasu oraz polityków, których powinniśmy wspierać, a także sposoby rywalizacji naszych stad na rynkach północy. Pułkownik wtrącił swoje trzy grosze z loży szyderców i przedstawił wyczerpujący wywód na poparcie stanowiska Charlesa, zawierając z nim nieświęte moim zdaniem przymierze. Stwierdził, że postrzelenie Glenna jest jego winą, gdyż przed pięćdziesięciu laty miał szansę na wypchnięcie Garcíów na zawsze z tej ziemi i zmarnował ją, więc niech go szlag trafi, jeśli pozwoli, żeby coś takiego powtórzyło się w ciągu jednego życia. Odpowiedziałem mu, że

wskutek różnych wydarzeń, które miały miejsce na naszej ziemi, nasze drzewo genealogiczne straciło już kilka liści. Ojciec udał, że tego nie słyszy.

– Straciłem tu matkę, syna i brata – powiedziałem. – Teraz mój drugi syn jedzie do szpitala. Wolałbym zaczekać do świtu.

Wszyscy zgodzili się ze mną, że nasz ród doświadczył wielkich tragedii, więc najlepiej będzie natychmiast rozprawić się z Pedrem. To nie była już tylko nasza sprawa, ale całej okolicy, bo każdy mógł stać się następną ofiarą Garcíów.

Przedstawiłem kolejny argument, Pedro Garcia, powiedziałem, jest dumnym mężczyzną jak każdy z nas, więc jeśli napadnie go w nocy jakaś zgraja, z pewnością nie wyda swojego *yerno* ani żadnego innego członka rodziny, jeśli natomiast zwrócimy się do niego z takim żądaniem w dzień w imieniu prawa, nie będzie miał wyboru.

– My *jesteśmy* prawem – odrzekł sierżant Rangersów.

Pozostali zgodzili się z nim. Żaden z nich nie poddałby się w środku nocy uzbrojonej bandzie najeżdżającej jego dom, ale nie widzieli powodu, dla którego nie miałyby tego zrobić Garcia. Chciałem im to powiedzieć, ale zauważyłem tylko:

– Z całym szacunkiem, ale powinniśmy zaczekać do świtu. Pedro wyda nam winnych, jeśli są wśród nich jego krewni.

Mój głos zlekceważono, co gorsza wskazano, że powinienem wycofać się do kuchni i zająć miejsce wśród innych kobiet. Zostało nam jeszcze trochę czasu, bo czekaliśmy na posiłki, które z pewnością miały nadejść, bo wici rozesłano po wszystkich czterech hrabstwach.

Zabito i zaczęto piec prosię, na stole przykrytym ładnym obrusem i zastawionym tortillami i fasolą podano rostbefy, kawę, napalono w kominku. Mężczyźni posilali się i czekali w największym salonie, rozmawiając ze sobą, przeglądając stare numery „Confederate Veteran”, kładąc nogi na stołach i opierając karabiny o ściany okazałego pokoju schadzek z rycinami florenckich ruin, popiersiami i rzeźbami. Część z nich wyjęła scyzoryki, ale powstrzymali się przed struganiem mebli kupionych hurtowo po zmarłym Filadelfijczyku, podobnie jak reszta zawartości domu, włącznie z oknami od Tiffany’ego, które tu przywieziono przed wzniesieniem budynku. Ani jeden z nich nie pytał o marmury, przystawali natomiast, by podziwiać oleodruk „Lee i jego generałowie”, warty dziesięć centów i wiszący w każdym domu. Potem szli po dokładkę wołowiny albo dolewkę kawy.

Około trzeciej nad ranem nadjechało ponad piętnastu ludzi, po godzinie dwoma półciężarówkami Forda przyjechał kolejny tuzin. Do tamtej pory miałem nadzieję, że się wycofamy z zamiarów, gdyż było nas mniej niż czterdziestu, a Garciów około dwudziestu zamkniętych w prawdziwej fortecy. Teraz było już nas ponad sześćdziesięciu z powtarzalnymi karabinami, paru z półautomatami remingtona i winchestera. Pułkownik nie krył zadowolenia.

– Jeden z twoich wnuków jest postrzelony – zwróciłem się do niego – a drugi wybiera się na wojnę. Nie pojmuję, co cię tak cieszy?

Obrzucił mnie spojrzeniem, które po raz tysięczny mówiło, jak bardzo jest mu przykro, że porzuciłem studia, by wrócić na ranczo. Powtarzałem sobie, że ojciec pochodzi z innej epoki. Nic na to nie może poradzić. Był jeszcze trzeci wnuk, o którym nie wspomniałem, mój imiennik: leżał pochowany obok mojej matki i brata.

Poszedłem na górę do gabinetu i położyłem się w ciemności wśród książek – jedyne pocieszenia, jakie mi zostało. Jak wygnaniec we własnym domu, z własnej rodziny, może nawet z kraju. Gdzieś daleko na dworze skowyczały kojoty. Na galeryjce *vaqueros* rozmawiali cicho po hiszpańsku. Ktoś opowiedział dowcip. Jeśli byli podenerwowani lub mieli wyrzuty sumienia z powodu planowanego ataku na własnych krajan, nie dali tego po sobie poznać. Wiedziałem, że będzie gorzej.

Musiałem usnąć, bo obudziło mnie czyjeś wołanie. Początkowo myślałem, że to mama przyzywa mnie na dół na kolację. Byliśmy z powrotem w starym domu w Austin, wokół były zielone pola i lasy, i strumienie szemrzące przez całą noc. Mama miała delikatne dłonie, a wszędzie tam, dokąd szła, unosił się zapach róż. Przypominałem to sobie i zapomniałem, gdzie jestem, przez kilka chwil znów byłem młody, a my wszyscy jeszcze nie przeprowadziliśmy się do tej potwornej krainy, gdzie spotkały nas wszystkie nieszczęścia. Nie wiem, dlaczego Pułkownik uwielbia to miejsce, które pozbawiło życia tylu członków naszej rodziny i prawdopodobnie pozbawi jeszcze kilku.

Była prawie piąta nad ranem, kiedy wyjechaliśmy. Blisko siedemdziesięciu ludzi. Nikt nie kładł się spać, ale wszyscy byli trzeźwi i rozbudzeni, jakbyśmy jechali do Yorktown czy Concord. Pułkownik miał na sobie irchową kamizelkę – znaną w mieście, gdzie uważają, że uszyto ją ze skalpów Apaczów. Nawet Rangersi okazywali mu rewerencję, jakby był generałem, a nie zwykłym starcem, nawet nie prawdziwym pułkownikiem, a jedynie takim z nadania za walkę

o sprawę niewolnictwa.

*Vaqueros* otaczali go ruchomym szwadronem. Pułkownik nie miał szacunku dla Meksykanów, a oni byli gotowi dla niego umrzeć. Mną natomiast gardzą, choć jestem ich sprzymierzeńcem: żaden *patrón* nie był hojniejszy ode mnie.

Godzinę przed świtem spętaliśmy konie i ruszyliśmy pieszo ku domostwu Garcíów, strzegącego okolicy wieżą obserwacyjną, wysokimi kamiennymi murami i strzelnicami. Przed stu laty był to bastion cywilizacji na pustyni, fort broniący przed dzikimi Indianami, który teraz w głowach maszerujących ku niemu mężczyzn stał się czymś innym: strażnikiem dawnego, mniej cywilizowanego porządku stojącego na drodze postępu, który odpowiada za całe dobro na ziemi.

Wślizgnąłem się w krzaki. Kątem oka dostrzegłem kucającego obok Pułkownika. Zerknął na mnie i wyszczerzył zęby – trudno było orzec, czy to uśmiech, bo odwrócił wzrok ku polu ostrzału, wstydząc się, że jest ze mnie dumny, bo biorę udział w odwiecznym rodzinnym rytuale.

Co się tyczy naszych sąsiadów z miasta: wszyscy uważali się za wielkich bohaterów, ale żaden z nich nie mieszkał tu w dawnych czasach. Trzymali się z daleka, póki było niebezpiecznie. Zastanawiałem się, w jaki sposób wylądowałem po tej samej stronie, co oni. I już choćby z tego powodu uznałem, że muszę stanąć przy Garcíach. Zaraz potem natknąłem się na Charlesa. Był bardzo zdenerwowany, więc poprosiłem go, żeby wrócił ze mną do domu i umył ręce od tego, co musi się wydarzyć, ale nie zamierzał o tym dyskutować. Wydawało mu się, że weźmie udział w ważnym rytuale: stanie się mężczyzną. Zawsze się martwiłem, że ukąsi go wąż, kopnie koń, byk weźmie go na rogi, a bydło strati, ale przetrwał to wszystko, a ja nadal go zawodziłem. Stał przede mną spocony, mimo nocnego chłodu, i ścisnął swój karabin, gotów iść na wojnę z ludźmi, którzy przyjechali na jego chrzcinę.

*Casa mayor* Garcíów wychodziła na pozostałości starej wioski – kilka niedużych chat i stare *visitas*, wszystko z cegły albo wapiennych bloków, do tego kilka akrów *corrales de leña*. Kamienny murek wokół dziedzińca – pozostałość z czasów, w których krowy trzymało się na pastwiskach, a nie w zagrodzie – był naszym miejscem zbiórki: dom został otoczony z trzech stron w odległości pięćdziesięciu, sześćdziesięciu jardów. Poważny nastrój nie uległ zmianie. To nie był zwykły lincz, a przewrót starego porządku, przygotowanie drogi do

nowego świata.

A potem pojawił się Pedro. Miał schludnie zaczesane do tyłu gęste siwe włosy, włożył czystą białą koszulę, a spodnie wpuścił do wypastowanych butów. Wyglądał na zaskoczzonego, kiedy omiatał wzrokiem tłum, widział w nim wielu sąsiadów, ludzi, których znał, ich rodziny, ich żony i dzieci. Zaszurał sztywno nogami jak człowiek idący na szafot i wyszedł na galeryjkę u szczytu schodów. Zaczął mówić, ale musiał odchrząknąć:

– Moich zięciów tu nie ma. Nie wiem, gdzie są, ale, tak jak wy, chciałbym ich zobaczyć na szubienicy. Powtarzam, nie ma ich tutaj. – Wzruszył ramionami, zażenowany. Nie ma nic gorszego od widoku przerażonego dumnego mężczyzny. – Część z was może wejść do środka, gdzie przedyskutujemy, jak ich znaleźć.

Odłożyłem mój karabin i przekroczyłem kamienny murek, ruszyłem przed siebie, aż znalazłem się na środku dziedzińca między naszymi ludźmi a jego. Wszyscy po naszej stronie byli podenerwowani, ale teraz zaczęli się złościć, że chcę ich pozbawić zabawy.

– Mam zamiar porozmawiać z Pedro – zwróciłem się do nich. – Jeśli sierżant i jego ludzie zechcą mi towarzyszyć, myślę, że znajdziemy jakiś sposób na rozwiązanie tej sytuacji.

Spojrzałem na sierżanta. Pokręcił głową. Może martwił się, że to pułapka; a może martwił się tym, że to *nie* pułapka – trudno orzec.

– Większość z was wie, że Glenn to mój syn – ciągnąłem – a skradzione bydło należało do mnie. To osobista sprawa i mój spór. Który chcę zakończyć bez walki.

Przestali się na mnie oglądać. Glenn i nasze bydło nie mieli z tym już nic wspólnego. Przyklęknęli albo przysiedli, jakby bez słowa doszli do wniosku, że nie istnieję, zmienili kierunek jednomyślnie jak lecące stado ptaków, któremu żaden nie przewodzi. Z prawej strony rozległ się strzał, a potem nasze szeregi zagrzmiały kanonadą. Usłyszałem kule świszczące obok głowy i padłem na trawę.

Pedro także upadł. Leżał na werandzie, trzymając się za brzuch, z domu wypadło dwóch ludzi i wciągnęli go do środka, a kule rozłupywały framugę drzwi.

Widziałem wszystkich naszych sąsiadów na szczycie niskiego skalnego wzniesienia – ich głowy i lufy karabinów, dym z luf i lśniące mosiężne łuski lecące w powietrzu, rozprysk pyłu i kamienia, gdy pociski trafiały w ścianę. Nie mogłem się ruszyć, jeśli nie chciałem oberwać kuli z jednej albo z drugiej strony, więc leżałem na trawie,

a nade mną świszczały pociski. Czułem się dziwnie bezpieczny, a potem zastanawiałem się, czy już mnie trafili. Miałem wrażenie, że płynę, jakbym znalazł się w rzece albo w powietrzu, lub przyglądał się temu z dużej wysokości; to nie miało sensu, równie dobrze mogliśmy nie wypęłzać z bagien, nie byliśmy w stanie – nie bardziej od ryb w kałuży – oszacować własnej ignorancji.

Kule nadal świszczały mi nad głową. Patrzyłem na Billa Hollisa i ujrzałem bladą chmurkę, jego oczy zrobiły się wielkie, jakby coś pojął. Karabin stuknął o murek, a on sam opuścił głowę, jakby zapadł w drzemkę. Ujrzałem go, jak grał na skrzypcach w naszym salonie, podczas gdy jego brat śpiewał.

Tymczasem rozstrzeliwano dom na kawałki. Ciężkie dębowe drzwi, trzystuletnie, przywiezione z jakiejś rodowej posiadłości w Hiszpanii, zamieniały się w drzazgi. Strzelnice rozpadały się, podobnie jak szczyt kamiennej wieży. Wapienne *sillares* były pozostałością z innej epoki, zatrzymywały indiańskie strzały, a nawet kule z broni kapiszonowej, ale nie pociski; nad domem wisiała gęsta chmura pyłu – pyłu z jego kości.

W końcu ucichł ogień obrońców posiadłości. Podczas strzelaniny zdążyło wzejść słońce, a w starych otworach strzelniczych zajaśniały smugi światła. Wszystkie drzwi i okna były w drzazgach. Gdyby nie chmura pyłu, można by uznać, że dom opuszczono przed stuleciem. Zacząłem czołgać się ku kamiennemu murkowi.

– Przeładować! – krzyczano. – Wszyscy przeładować!

Dotarłem do muru i przepęłziłem przez niego. Młody sierżant Rangersów wydawał ludziom komendy:

– Ja wejdę przez drzwi, wy za mną, przejdziecie przez próg najszybciej jak się da, ale tak, żeby móc wciąż strzelać. Meksykanie kryją się po kątach. Nie skręcajcie za róg, nie odwracajcie się do niego plecami, chyba że wy albo ktoś weń strzela. – Uniósł głowę, żeby wszyscy go widzieli. – Kiedy wstanę – zawołał – macie opróżnić magazynki, celując w dom. Ale gdy tylko znajdę się za murkiem, przestajecie strzelać, jasne?

Miałem wrażenie, że nikt go nie słuchał. Wszystkim dzwoniło w uszach, a przed oczami mieli zgliszcza, każdy znalazł się we własnym świecie. Ale jakimś cudem większość kiwała głowami, a pozostali narażali się na wykrzykiwanie im komend do ucha.

Kiedy sierżant się zerwał, rozległa się długa kanonada, która ustała dopiero, gdy machnął rękami i wykrzykiwał coś przez długą chwilę;

potem on i tuzin innych, w tym Charles, popędzili ku werandzie. Krzyczałem do syna, że ma wracać, ale mnie nie słyszał albo nie chciał słyszeć. Zauważyłem, że ani stary i gruby Niles Gilbert, ani żaden z jego dwóch synów nie szarżowali na dom.

Frontowe drzwi były tak roztrzaskane, że zwyczajnie przez nie przeszli. Znow rozpoczęła się strzelanina, jej hałas narastał wraz z wchodzeniem kolejnych ludzi do domu, aż w końcu kanonada trwała bez przerwy. Nie widzieliśmy, co dzieje się w środku, ludzkie cienie pojawiały się i znikwały za oknami, kule padały też na zewnątrz, wznosząc chmurki pyłu na dziedzińcu. Potem wszystko ucichło, a po chwili rozległo się niespodziewane *trach trach trach*. Potem znow zapadła cisza i nie było już przypadkowych strzałów. Nie mogłem zmusić się do patrzenia. Widziałem z daleka Nueces i jej zielone brzegi, wznoszące się coraz wyżej słońce przesłonięte kirem pyłu, choć powietrze wokół *casa mayor* błyszczało pomarańczowo, jakby miał się wydarzyć cud, z nieba miały sfrunąć anioły albo wręcz odwrotnie, coś miało wybuchnąć z głębi ziemi, starożytny ogień, który zmiecie nas z jej powierzchni. Szukałem w tym jakiegoś sensu. Znaleźliśmy się na najlepszym kawałku ziemi w okolicy: wysoko położonym, dobrze nawodnionym, nie byliśmy pierwszymi, którzy tu walczyli. Wystarczyło poskrobać ziemię, żeby znaleźć pokruszone ludzkie kości, nogi, żebra rozłupane włóczniami.

Ktoś machał kapeluszem. Charles. Miał postrzępioną koszulę, pokrwawione ramię. Krzyczał, żebyśmy odłożyli broń, ale nikt się nie poruszył, więc wstałem i znow przeszedłem przez murek, wymachując rękami i wędrując wzdłuż naszej linii, żeby ludzie opuścili swoje karabiny.

Próbowałem opatrzeć ramię Charlesa, ale odepchnął mnie. Wyglądało na to, że dostał śrutem na ptactwo.

– Pozwól mi się tym zająć – powiedziałem.

– Jeszcze mnie nie boli – odrzekł, a potem nie pozwolił mi się nawet zbliżyć, jakbym był zakażony.

Wewnątrz domu wszystko wyglądało tak, jakby wezwano brygadę rozbiórkową. Albo wpuszczono wandalów do muzeum. Antyczne meble były w drzazgach, tapicerka poszarpana, wszędzie walało się włosie, jakby dom szturmowała chmara ptactwa, stare ciemne płótna z matronami i patriarchami, bizantyjska ikona Jezusa, starodawne przykrycia, szkice, oręż, krzyże – wszystko przebite kulami, rozbite lub



strącone na posadzkę. Iluminowana Biblia, duma rodu Pedra, spadła z *altarcito* i leżała rozłożona w gipsowym pyle.

W salonie doliczyłem się pięciu zabitych mężczyzn i jednej martwej kobiety. Strzelano do nich tak wiele razy, że krew wylała się z ich ciał i mieszała z drzazgami, pyłem i włosiem z tapicerki. Jeden z mężczyzn był na tyle stary, że mógł być Pedrem, ale kiedy go odwróciłem, okazało się, że to Cesár, *vaquero*, który pomagał nam pędzić bydło, odkąd tylko pamiętam. Obracając go, przyklęknąłem, poczułem, że przemakają mi spodnie na kolanach, a kiedy wstałem, materiał przylegał krwawo do nóg.

Coś przykuło mój wzrok... pod jedną z sof leżało małe ciało: dziewczynka w niebieskiej sukience. Obok niej sześć- albo ośmioletni chłopczyk, również martwy. Między moim wzrokiem a rozumem powstała barykada: przyglądałem się im z naukowym zaciekawieniem – oto krew, oto rany od kul. Drobniejsze szczegóły: stojąca jasnokarmazynowa kałuża, odciski dłoni i butów, długie smugi po odciąganych rannych, krwawe rozpryski na ścianach wskazujące czyjaś ostatnią chwilę, jakąś opowieść, której nikt nie wysłucha. Młody mężczyzna z prześwitującym białym kręgosłupem, inny, rozciągnięty na ziemi jakby po pijanemu. Ktoś wygarnął mu mózg chochlą i wylał na koszulę. Widziałem, że inni przyglądają się temu z takim samym chłodnym zainteresowaniem. Jeśli krew nie należy do bliskich, jest jak wino lub woda.

W kuchni sześć trupów: trzech *vaqueros* Pedra – Romaldo, Gregorio i Martín – a obok nich jego średnia córka, Carmen. Dwóch mężczyzn patrzyło na siebie ponad zwiniętymi ciałkami wnuczek Pedra, bliźniaczek – takie same sukienki, takie same mysie ogonki. W izbie cuchnęło jak w rzeźni, krwią i piżmem z otwartych brzuchów, kałem, ale był też jakiś inny słodki zapach – róż, które chyba wymyśliłem sobie pośród zalewu sprzecznych wrażeń.

Poszedłem do gabinetu Pedra. W środku wszystko było dziwnie nietknięte, a ja poczułem zmęczenie. Usiadłem na krześle naprzeciw biurka, tak jak zawsze. Doszedłem do wniosku, że pozwolę, by inni dokonali niezbędnych odkryć. Choć, rzecz jasna, tak będzie gorzej. Nie będzie rozgrzeszenia. Wstałem i poszedłem za zapachem wody różanej do jednej z sypialni, której drzwi były przebite dwoma wielkimi otworami po strzałach ze śrutówki. Gipsowy pył trzeszczał pod podeszwami butów. W drugim końcu pokoju, na środku łóżka z baldachimem, Pedro leżał na plecach, jakby się zdrzemnął. Zapach

wody różanej był tak silny, że niemal zwymiotowałem. Niewielka cena. Kiedy się zbliżyłem, zobaczyłem jego twarz, pobrudzoną poduszkę i pościel. Coś – zęby – wybito mu z ust. Kilka białych piórek spoczywało na jego obliczu.

Doszło tu do strzelaniny – zamykająca sypialnię ściana była upstrzona śladami po kulach, komody i szafy roztrzaskane, biżuteria porozrzucana. Wydało mi się, że słyszę głos Pedra, ale to tylko dzwoniło w uszach. U stóp łóżka leżała Aná, najmłodsza córka Pedra; jej kościelna sukienka nasiąkała krwią aż do talii, miała wygięte plecy i szyję, jakby zbierała siły, żeby coś wykrzyczeć. Obok leżał stary wojskowy kolt. Lourdes Garcia była po drugiej stronie łóżka, ciągle ścisnęła hiszpańską śrutówkę na ptactwo. Wtedy do sypialni wszedł strażnik łowiecki, ocenił szkody i powiedział mi, żebym nie dotykał ciała.

– Wyjdź pan stąd, do cholery – rzuciłem. – Albo jutro poszukasz pan sobie nowej pracy.

Poprawiłem spódnice Any i położyłem ją z matką i ojcem na łóżku. To był bezsensowny gest. Wkrótce wyniosą ich na dwór. Wyszedłem z pokoju.

W jednej z szaf w drugiej sypialni znaleźliśmy kobietę, trzydziestoparoletnią. Żyła. ¿Estás herida? Domyśliłem się, że to María, niezamężna córka, ale jej twarz była tak brudna i zakrwawiona, a oczy tak przerażone, że nie byłem pewny. Spojrzała na mnie. Poddała się bez słowa, kiedy przesunąłem palcami po jej włosach, szukając ran, kiedy rozchyliłem i zapiąłem jej bluzkę, żeby sprawdzić z przodu i z tyłu, kiedy uniosłem spódnice, żeby obejrzeć jej biodra i brzuch. Nie była ranna. Siedziała niemo, kiedy poprawiałem jej odzież. Wyprowadziłem ją na dwór i oddałem pod opiekę Ike'owi Reynoldsowi i jego synom – wiedziałem, że są przyzwoici. Po chwili odjechali. Nie wiem, czy została jej jakaś rodzina. Ród Garcíów mieszkał w tej okolicy dłużej od białych. Byli kiedyś prawdziwymi *hidalgo*, otrzymawszy tę ziemię z nadania samego króla Hiszpanii. Pedro nigdy nie mówił o rodzinie w Meksyku, nie uważał się za Meksykanina.

Słońce stało już wysoko. Charles i jeden z Rangersów byli postrzeleni śrutem na ptactwo, ale śruciny nie weszły głęboko. Przypomniałem sobie strzelbę przy Lourdes. Zastanawiałem się, czy Charles zabił tę kobietę, czy zabił Pedra i Anę.

Znajomy Nilesa Gilberta z El Paso, któremu tak bardzo zależało na

„naturalizacji” paru Meksykanów, dostał kulę w usta. Poczułem lekką satysfakcję, która zaraz ustąpiła. Bo przejdzie do historii jako męczennik. Nieduży sierżant Rangersów oberwał w dłoń i przedramię, kula rozbiła kolbę jego karabinku.

Dwunastu żywych najeźdźców, rannych i nie, siedziało bez słowa na werandzie; niektórzy leżeli na plecach, inni zwiesili nogi przez krawędź i gapili się w okap dachu lub niebo. Sullivan podnosił im koszule, szukając ran, wrzeszczał im prosto do ucha. Znow zacząłem się zastanawiać, czy to Charles zastrzelił Pedra i Lourdes, ale odsunąłem od siebie to pytanie po raz drugi. Tymczasem zbliżyli się do nas ci, którzy zostali za murkiem. Billa Hollisa położono w cieniu, siedział przy nim jego brat, Dutch. Przyniesiono ciała czterech innych. Jeden z nich był, jak poznałem, naszym *vaqueros*, ale nie miałem serca sprawdzać jego tożsamości.

Po kilku godzinach nadjechał fotograf. Rangersi pozowali z ciałami mężczyzn Garcíów, z których większość odniosła rany głowy – szczególnie ten zniknie w druku. Twarze Garcíów będą rozmazane, brudne, jak wszystkich zmarłych. Nikt nie komentował braku zięciów Pedra. Było tak, jak mówił – wyjechali z domu. Ciała kobiet i dzieci położono w cieniu z dala od mężczyzn, być może z jakiegoś staromodnego odruchu albo po to, żeby nie były widoczne na zdjęciach.

Przyglądając się fotografowi robiącemu zdjęcia mieszkańcom miasta przy Garcíach – do zdjęć ustawiała się kolejka – poczułem jeszcze większe zmęczenie. Wiedziałem, co pomyśli sobie czy raczej nie pomyśli każdy z patrzących na fotografie, co pomyśli o Garcíach, których szczątki były tak brudne od pyłu i zaschniętej krwi, że z trudem dawały się odróżnić od wapiennego tła. Publiczność zwróci uwagę tylko na żywych, którzy dokonali rzeczy bohaterskiej, martwi nie będą nawet ludźmi. Będą rekwizytami, jak ustrzelona pantera czy jelen, przeżyli całe życie tylko po to, by umrzeć w tej właśnie chwili.

Przybywało coraz więcej ludzi z miasta, nawet kobiety z dziećmi. Nasi *vaqueros* zniknęli, zabierając ze sobą ciało zabitego towarzysza, natomiast *vigilantes*<sup>[10]</sup> i ich żony dopadli kredensów. Meble we wnętrzu *casa mayor* były bardzo cenne, większość pochodziła ze starego kraju. W domu była hiszpańska broń i oręż, sporo srebra. Garcíowie byli niegdyś dosyć bogaci, wiedziałem, że kiedy wrócę do ich domu, wszystko będzie splądrowane.

Jeśli chodzi o mnie, zawsze wiedziałem, że nie zostawię po sobie

najmniejszego śladu, ani jednego znaku, że tu żyłem, ale z Garciami było inaczej, bo mieli nadzieję, wierzyli, że żyli.

[\[10\]](#) Chodzi o rozmaite samozwańcze siły porządkowe, których spektrum działania rozciągało się od pilnowania mienia aż po dokonywanie samosądów. Powstawały w sytuacjach, gdy lokalne społeczności uznawały, że zgodne z prawem formy karania przestępców na danym terenie nie były skuteczne [przyp. red.].



## Eli McCullough

Dwa dni po śmierci brata wciąż byłem w malignie. Indianie przywiązywali mnie do konia. Wciąż miałem gorączkę i wciąż jechaliśmy przez Llano, a rankiem trzeciego dnia ujrzałem coś błyszczącego w oddali, co wziąłem za miasto, lecz kiedy się zbliżyliśmy, zobaczyłem, że unosi się ono w powietrzu – błyszczące miasto na wzgórzu – i pomyślałem, że mama miała rację, że umarłem z upału, gorączki albo z ręki jakiegoś wesołego Indianina i wkrótce dołączę do reszty rodziny. Wiedziałem, że powinienem się cieszyć, ale było mi ciężiej na sercu niż kiedykolwiek. Kiedy znaleźliśmy się całkiem blisko, przekonałem się, że to wcale nie było miasto, ale stromy, zamknięty z trzech stron kanion. Pasma górskie przed nami wyglądało jakby wycięto je z ziemi. Spływała po nim długa lśniąca rzeka, po stokach biegały stada jeleni, a mama nie miała racji. Indianie zabierali mnie na swoje szczęśliwe łowiska, gdzie pozostanę ich więźniem nawet po śmierci.

Miałem atak kaszlu, ale nikt mnie nie słyszał ponad wiatrem. Wkrótce dotarliśmy na miejsce. Kanion był zwykłym wąwozem wyłobionym w ziemi, ale wskutek jakiegoś mirażu odbijał się na niebie. Był nawet większy niż ten w mirażu, miał kilkanaście mil w poprzek i tysiąc stóp głębokości, wszędzie wyrastały garby i wieże, i strzeliste punkty obserwacyjne, masy i mniejsze wzgórki, a czerwoną skałę żłobiły błyszczące strumienie. Rosły w nim topole i wiązowce, a na dnie było gęsto od trawy i polnych kwiatów.

Zjechanie do kanionu zajęło nam godzinę, potem od razu rozbiliśmy obozowisko przy przejrzystym strumieniu. Z brzegu wystawała czaszka z olbrzymim kłębem, a wszystko skamieniałe. Zastanawiałem się, co by powiedział na to mój brat. Indianie byli odprężeni. Przywiązano mnie do drzewa dla mojego własnego bezpieczeństwa, natomiast Niemkom pozwolono chodzić, a jedna z nich, jasnowłosa, usiadła na odległym pagórku. Indianie wcale się tym nie przejmowali, wszędzie widać było ślady grizzly i pum, w takim miejscu jak to pojedynczy człowiek nie miał szans.

Ustrzelono kilka jeleni i rocznego bizona. Wykopano dzikie ziemniaki, rzepę i słodką cebulę. Spleciono warzywa razem i rzucono na węgle. Zwierzęta odarto starannie ze skóry, oddzielono mięso od kości, wygarnięto kolejne węgle z ognisk i złożono na nich duże płyty mięsa. Kości wrzucono do ognia, a kiedy wszystko było gotowe, połamano je i rozprowadzono szpik na ziemniakach. Na deser każdy dostał garść wiśni i lemoniadę z sumaka. Wszyscy nażarli się jak świnie, lecz na koniec wykopano z ognia garb młodego bizona. Ociekał tłuszczem i rozpadał się w palcach. To było najlepsze jedzenie od czasu opuszczenia przeze mnie domu, a na myśl o tym rozkaszałem się tak głośno, że podbiegł do mnie Ntutkaru i uderzył mnie w plecy.

Przed zachodem słońca ściany kanionu ogarnęła pożoga, a chmury nadciągające znad prerii lśniły jak dym w świetle, jakby to miejsce było kuźnią, w której sam Stwórca wykuwał ziemię.

– Urwat odjeżdża jutro – oznajmił Toshaway. Kiedy Indianie zaczęli zbierać się do snu, związano mnie na noc, jak zawsze od śmierci brata: ramiona i nogi przywiązano mi do oddzielnych kołków wbitych w ziemię. Toshaway przykrył mnie skórą bizona. Gwiazdy świeciły tak jasno, że nie dało się spać: Wielki Wóz, Pegaz, Wąż, Smok, Herkules – wpatrywałem się w obracające się gwiazdozbiory, a meteory zostawiały dymiące szlaki w poprzek kanionu.

Kilku Indian dopadło Niemek. Tym razem starałem się nie słuchać.

Następnego ranka podzielono się łupami z najazdu: bronią, narzędziami, sprzętem, końmi, wszystkim, co miało jakąkolwiek wartość, w tym Niemkami i mną. Starsza Niemka powędrowała z Urwatem, młodsza ze mną i Toshawayem. Płakała, kiedy odjeżdżał Urwat i jego wojownicy. Zabrali jej kuzynkę. Jeden z jeźdźców Urwata miał przy siodle pukiel długich ciemnych włosów. To były włosy mojej matki. Podszedł do mnie Ntutkaru i uderzył mnie w twarz. Wiedziałem, że wyrządza mi przysługę.

Wspięliśmy się ponownie na Llano i przez cały dzień nie widzieliśmy wody. Kilka godzin przed zachodem słońca rozbiliśmy obóz nad niedużym stawem, ukrytym poniżej poziomu trawy. Nie było go widać z odległości stu jardów i nie mam pojęcia, w jaki sposób Indianie odnaleźli do niego drogę, gdyż cała równina była tak płaska i pusta, że widziało się na niej krzywiznę ziemi.

Toshaway i Ntutkaru poprowadzili jasnowłosą Niemkę i mnie na drugi koniec stawu i kazali nam się wykąpać, a potem położyć na

brzuchu. Zabrali się za przecinanie ostrzami włóczni naszych wrzodów i odparzeń od jazdy, oczyścili też inne rany. Nogi i plecy przemyli nam wywarem z kory i opatrzyli kompresami z gruszki i korzenia jeżówki. Niemka, mimo oparzeń od słońca i odparzeń od siodła na nogach i tyłku, okazała się po umyciu i opatrzeniu bardzo ładna. Przyglądałem się jej, marząc o tym, że kiedyś ją poślubię, ale nie zwracała na mnie uwagi. Domyśliłem się, że jest wyniosła, jak moja siostra. A potem nie mogłem już na nią patrzeć.

Traktowali ją przeważnie jak dobrą klacz: dbali o nią, karmili i poili, ale kiedy im się sprzeciwiała, okładali ją albo rzucali w nią patykami. Sam często obrywałem, ale zawsze z jakiegoś powodu, który mi tłumaczono. Toshaway i Ntutkaru mówili do mnie nieustannie, pokazując różne rzeczy. Zaczynałem rozumieć ich język: *paa*, woda; *tuhuya*, koń; *tehcaró*, jedzenie. *Tunetsuka*, jedziemy dalej.

Po kilku dniach stanęliśmy nad szeroką rzeką, chyba Canadian. Okolica stała się ciekawsza. Nie wiązano już nas, ani mnie, ani dziewczyny. Jechaliśmy stępą, jedząc, pijąc i liżąc rany, nawet konie nabierały ciała. Zabito dwa cielaki bizonów, a tym razem wątrobę rzucono na węgle razem z wszystkimi ciężkimi kośćmi. Ciepły szpik rozsmarowywał się na wątrobie jak masło. Toshaway raz po raz podawał mi mięso i zwarzone mleko, które stawało się słodsze po każdym łyku.

Następnego ranka obudziłem się z myślą o ojcu, i o tym, że nawet z drużyną gotowych na wszystko ludzi nigdy nie zdoła nas doścignąć. Uciekłyby im każdy Indianin, nawet tak młody jak Ntutkaru. Komancze zostawiali za sobą wprowadzające w błąd ślady na każdym kawałku miękkiego gruntu, zmieniali kierunek na każdej skale czy w wyschniętym łożysku rzeki, zapamiętywali najprostsze drogi pokonywania każdej okolicy i wybierali inne. Objazd, który zajmował im kilka minut mógł zmylić pogoń na wiele godzin. Nigdy w życiu nie czułem się taki samotny.

Wstałem, żeby odszukać Indian. Słyszałem głosy dobiegające z nad rzeki i znalazłem kąpiących się w niej wojowników, którzy zmywali z siebie brud i stare wojenne barwy. Niektórzy siedzieli goli w słońcu, przeglądając się w maleńkich lusterkach albo kawałkach szyby, za pomocą stalowych pęset, które musieli zdobyć wśród białych, wyrywali wszystkie włosy z twarzy. Kiedy skończyli, wyjęli z myśliwskich toreb małe zawiniątka cynobru i innych farb, zagnietli je ze śliną na ciasto i zaczęli nakładać barwy kolor po kolorze. Każdy wojownik rozdzielił



włosy na środku, rozplótł warkoczyki i pofarbował pasemka na żółto albo czerwono.

– *Puha nabisaru* – powiedział Toshaway. On też farbował warkocz. Wszyscy byli w wyśmienitych nastrojach, jakby szykowali się na bal.

Kazano mi wyszczotkować konie trawą. Każdy wojownik pomalował konia na nowo w pasy, odciski dłoni. Dwaj młodszy Indianie odjechali za wzgórze i nie wracali. Zdarte skalpy umyto, uczesano i przytroczono do włóczni. Wiedziałem, że włosy mamy zniknęły z Urwatem, nie widziałem też nigdzie włosów siostry. Doszedłem do wniosku, że obie zginęły z rąk wojowników Urwata.

Po raz pierwszy od wielu dni przywiązano mnie i dziewczynę do koni. Z lewej strony mieliśmy południowy brzeg Canadian, który był stromą skarpią, na północy płytkie przełomy, wzgórza i pagórki. Pojechaliśmy wzdłuż wąskiego strumienia między drzewami i natknęliśmy się na procesję Indian, setek Indian w odświętnych strojach, pomalowanych spodniach i irchowych sukienkach, z miedzianymi bransoletami i błyszczącymi podskakującymi kolczykami w uszach. Młodszy chłopcy byli całkiem nadzy, wpadli z krzykiem pomiędzy konie. Jechaliśmy dalej, aż dotarliśmy do głównego orszaku. Przypominał paradę, jaka odbyła się po powrocie ojca z wojny. Kobiety nawoływały mężczyzn, a sąsiedzi sąsiadów, chmurna starucha niosła tyczkę z przywiązanymi skalpami. Niektórzy z wojowników oddawali jej swoje zdobyczne skalpy, przywiązując je do kija. Dzieci mnie unikały, ale dorośli szczykali i poklepywali, kiedy jechałem konno.

Dojechaliśmy do wioski. Tipi ciągnęły się bez końca, wymalowano na nich pełne zawijasów wzory i figurki wojowników oraz koni, żołnierzy przebitych strzałami, żołnierzy bez głów, dalej góry i wschodzące słońce. W powietrzu unosił się smród niewyprawionych skór i schnącego mięsa, wszędzie wznosiły się stojaki z pokrojonym mięsem, suszącym się na słońcu jak stare gacie. Grupka rozeźlonych Indian przepchnęła się na przód. Kobiety zawodziły i lamentowały, a mężczyźni uderzali włóczniami o ziemię. Bili mnie po nogach i próbowali ściągnąć z konia. Toshaway pozwalał na to, póki jedna ze staruch nie rzuciła się na mnie z nożem. Nikt nie zwracał uwagi na Niemkę.

Rozpoczęły się długie negocjacje co do mojej przyszłości, lamentujące staruchy uważały, że należy rozstrzygnąć ją nożem albo czymś gorszym. Toshaway bronił swojej własności. Byłem pewny, że nastaje na mnie rodzina wojownika, którego zabiłem, choć Toshaway był

jedyną osobą, która знаła sprawcę. Ntutkaru wyjaśnił mi później, że krewni zabitego spodziewali się łupów z najazdu, a usłyszeli tylko, że ich potomek dostał kulkę w pierś. Domagali się skalpu białego i dowiedzieli się, że skalpy mojej matki i siostry powędrowały na północ z Wyjadaczami Korzeni, że mój brat nie został oskalpowany, gdyż umarł bohaterską śmiercią, a ja byłem niewinny (kłamstwo), lecz co najważniejsze należałem do Toshawaya, który nie pozwalał, żeby mnie ostrzyżono. Żądali w zamian trzech skalpów, które miał przytroczone do pasa, lecz te zdjęto z głów żołnierzy po tak legendarnej bitwie, że nikt nie miał prawa ich od niego oczekiwać. Ofiarował im dwa karabiny. Obrazili się. W takim razie konia. Pięć koni było im za mało. Więc nie dał nic. Znali ryzyko, a poza tym zajmie się nimi plemię. Dobrze. Wezmą konia.

Tymczasem wioska przygotowywała się do świętowania dużej dostawy broni, wierzchowców i zapasów. Z siedemdziesięciu kilku pojmanych koni Toshaway rozdał większość wojownikom, którzy towarzyszyli mu w wypadzie, jeden koń trafił do rodziny zabitego, a kilka do ubogich rodzin, które prosiły go o wsparcie. Nie odmawia się podarunku, gdy ktoś o niego prosi. Zostały mu dwa nowe konie i ja. Bardziej skąpi wodzowie zatrzymaliby cały łup dla siebie, ale hojność Toshawaya ogromnie podbudowała jego pozycję.

Kiedy Toshaway dogadał się z krewnymi zabitego, pojechaliśmy wraz z Ntutkaru ku tipi. Siedziałem przywiązany do konia. Przy każdym tipi czekała na mnie stara *squaw* i szczypała mnie do krwi w nogi. Przekrzykiwano się gorączkowo i śmiano. Po kilku godzinach było mi bardzo gorąco, czułem się znudzony, zeszywniałem od więzów. Domyślałem się, że opowiadają sobie o mnie. W końcu dojechaliśmy do zagrody Toshawaya. Wszyscy stali i czekali na nas. Zobaczyłem odżywione dzieci, nastoletniego chłopca i dziewczynkę, którzy, jak się domyśliłem, byli jego potomstwem. Obok stała dwudziestokilkuletnia kobieta, jego pierwsza żona, i druga, trzydziestoparoletnia.

Kiedy skończono powitania, zbliżyło się trzech starców, którzy mnie rozwiązali i kazali iść za sobą. Odeszliśmy najzwyczajniej, zapuszczając się między tipi, obchodząc ogniska, naprężone skóry, stojaki z suszącym się mięsem; wszędzie walały się porozrzucone narzędzia i broń. Nagle znikąd wyrosła przede mną kolejna starucha i uderzyła w krocze. Zrobiło mi się od tego słabo – od tego i ze zdenerwowania, od smrodu gnijącego mięsa i rojów much. Potem znikąd pojawił się młody wojownik i wałnął mnie w szczękę. Zwinąłem

się, kiedy zaczął mnie kopać, ale nagle przestał i wdał się w rozmowę ze starcami. Miał niebieskie oczy, więc domyśliłem się, że jest biały, po kilku minutach odszedł, jakby nic się nie stało. Trzej starcy znaleźli miejsce do siedzenia przy jakimś tipi. Było późne popołudnie, świeciło ciepłe słońce, okolica była otwarta i pofałdowana, za nami rósł las, a pod nim pasły się stada koni, przynajmniej kilka tysięcy zwierząt. Usiadłem, słuchając szmeru strumienia. Przysnąłem i poczułem nagle, że ktoś wykręca mi ręce i rzuca na ziemię. Najstarszy Indianin usiadł mi na głowie, nozdrza wypełnił mi smród jego przepaski. Byłem pewny, że się porzygam, czym przejmowałem się bardziej niż tym, że umrę, ale wtedy nadszedł Ntutkaru i odetchnąłem.

Najstarszy Indianin grzebał w ogniu. Kiedy wrócił, ukląkł obok mnie i przeszył mi kilkakrotnie uszy rozgrzanym do czerwoności sztydłem. Ntutkaru siedział na mnie, więc nawet nie mogłem krzyczeć. Przez otwory w uszach przewlekli mi nić z koziej skóry i pozwolili wstać. Potem dali lemoniadę z sumaka i mięso nadziane na patyk wbity w ziemię przy ognisku. Siedzieliśmy, czekając nie wiadomo na co, aż w końcu pojawiła się młoda gruba *squaw*, która najpierw mnie przytuliła, potem uderzyła, potem popchnęła w trawę i usiadła na mnie, baraszkując jak z małym psem. Pozwalałem jej ciągnąć się po ziemi, siedzieć na sobie i wpychać mi twarz w błoto, które cuchnęło jak brudne nogi. Trzymała mnie za nos, więc musiałem otworzyć usta, żeby odetchnąć w błocie. Po jakimś czasie się znudziła. Wróciłem do ogniska. Ktoś podał mi tykwę z wodą, żebym się umył. Ktoś inny podgrzewał coś w rodzaju sosu w małym metalowym rondelku. Miód i łoż mieszane żebrem jelenia. Pachniało to lepiej od śmietanowej zasmażki, ale kiedy zaczęliśmy jeść, nadszedł syn Toshawaya i powiedział coś w ich języku. Starcy cmoknęli i pokręcili głowami. Zobaczyłem nadciągających ku nam krewnych zabitego przeze mnie wojownika i domyśliłem się, że wykopali wojenny topór.

Ntutkaru klepnął mnie pocieszająco w plecy, a potem wszyscy ruszyli za mną, prowadzonym za szyję na otwarty plac na środku wioski. Stał tam wbity w ziemię duży słup. Przywiązano mnie do niego. Z wyrazu twarzy zgromadzonych domyśliłem się, że tej ławie przysięgłych przewodniczy sędzia Lynch. Okrażali mnie trzej nastoletni Indianie, mierząc mi w głowę z pistoletów. Byli rozbestwieni i spodziewałem się w każdej chwili, że mnie zastrzelą, ale czekali na przybycie większej gromady Indian. W końcu nadeszła prawie cała wioska, a z tłumu to wybiegały dzieci, to chowały się w nim. Układały wokół mych stóp stos

z drewna i patyków. Stos, który sięgnął mi do pasa.

Młodzi Indianie odciągali kurki pistoletów i przyciskali mi lufy do skroni, wsadzali je do ust. Burczało mi w trzewiach. Podeszła do mnie stara *squaw* z nożem do patroszenia i o mało się nie wypróżniłem, przypuszczając, że chce mnie obedrzeć ze skóry, ale zadała tylko kilka powierzchownych ran. Puszcząłem wiatry, co wydało się im zabawne. Wiedzieli, że się boję. *Pakatsi tsa kuya?atū? Pakatsi tsa tu?uyatū!*

Z przodu zbiegowiska stał Ntutkaru i bacznie wszystkiemu się przyglądał. Był w tym samym nieprzydatnym wieku, co mój brat, wysoki i niezgrabny, na niewiele mógł mi się przydać. Starucha odeszła, za to jeden z młokosów wymierzył we mnie z pistoletu i pociągnął za spust. Strzał osmalił mi twarz i opalił brwi. I to wszystko. Nie nabił broni kulą. Dwaj pozostali zrobili to samo. Potem przybiegł dzieciak z pochodnią i udawał, że podpala stos. Pokazałem mu brodą, gdzie moim zdaniem powinien podłożyć ogień. Zachęciłem go i w końcu stos zapłonął. Zaskwierczały od żaru włosy między moimi udami i miałem już się poddać, kiedy pojawił się Toshaway i rozkopał płonące żagwie.

Następnie przemówił do mieszkańców wioski; sens jego wypowiedzi sprowadzał się do spostrzeżenia, że nie boję się spłonąć żywcem czy dać się zastrzelić. Indianom bardzo spodobał się taki ogląd postaci i wielu z nich klepało mnie po plecach, kiedy wracałem do tipi Toshawaya. Jego żony polały wywarem moje rany i oparzenia, umyły mi twarz i odziały w nową przepaskę. Ale przed tym wszystkim odszedłem na stronę i przykucnąłem w krzakach, żeby pozbyć się z siebie całego zła.

Przyjęcie rozpoczęło się w porze kolacji. Później Ntutkaru powiedział mi, że było to odstępstwo od zwyczaju, gdyż podczas wypadu zginął wojownik, tyle tylko, że nikt nie lubił jego rodu i wszyscy mieli nadzieję, że wyniosą się z wioski.

Podano sarninę, jeleninę i bizona, przepiórki i pieska preriowego, pieczone kości, szpikiem których można było posmarować mięso i strąki jadaloszy, a na deser miód. Były też ziemniaki i cebula, placki kukurydziane i kabaczki, które kupowali w Nowym Meksyku. Komancze handlowali z Nowym Meksykiem niemal wszystkim, tak samo z białymi z Bent's Fort nad rzeką Arkansas. Kukurydzą, kabaczkami i dyniami, białym i brązowym cukrem, tortillami i razowym chlebem, bronią, prochem, sztabkami ołowiu i formami na

kule. Ozdobami dla koni, kapiszonami i stalowymi nożami, toporami, siekierami i kocami, wstążkami, płótnem i całunami, częściami do broni, grotami do strzał i włóczni, obręczami do beczek, uzdami, stalowym drutem, miedzianym drutem, złotym drutem, dzwonami w każdym rozmiarze, jukami, żelaznymi ostrogami, żelaznymi garnkami, mosiężnymi garnkami, lusterkami i nożyczkami, indygo i cynobrem, szklanymi paciorkami i wampum, tytoniem i pudełeczkami z podpałką, pęsetami, grzebykami i suszonymi owocami. Komancze byli najzamożniejszym ze wszystkich indiańskich plemion i przeznaczali połowę z tego, co mieli na błyskotki i tanią biżuterię, choć nie dbali specjalnie – jak piszą niektórzy – o odzież białych, o cylindry, pończochy czy ślubne welony.

Kiedy wszyscy się posilili, starsi plemienia rozpoczęli taniec. Przywołano wojownika z długą tyczką z przymocowanymi do niej skalpami. Opowiedział o wojennym triumfie i przywołał drugiego wojownika, który odebrał tyczkę ze skalpami i przytoczył historię o innym triumfie, i zawołał trzeciego. Opowiadanie nieprawdy ściągnęłoby klątwę na całe plemię, więc kiedy pojawił się wojownik, który nie miał już nic do powiedzenia, odebrał tyczkę ze skalpami i zaczął tańczyć. Ludzie ruszyli za nim długim korowodem. Stałem i patrzyłem. Umyto mnie do czysta i pomalowano, miałem na sobie przepaskę. Trzej starcy wyrwali mi brwi i kilka cienkich włosów z podbródka i znad górnej wargi. Bito w bębny, a Indianie kroczyli do rytmu. Wciągnięto mnie do kręgu, podano mi tyczkę i wypchnięto na przód. Po kilku minutach chciałem oddać tyczkę tańczącemu za mną mężczyźnie, ale mnie odepchnął. Bębny przyśpieszyły, powietrze zaczerwieniło się od zachodzącego słońca, ujrzałem żony zabitego przeze mnie wojownika, a kiedy mijałem je po raz drugi, domyśliłem się, że chroni mnie tyczka ze skalpami. Nie tkną mnie, póki ją trzymam. Po kilku godzinach wzeszedł księżyc, a ja ledwo trzymałem się na nogach; stopy bolały mnie od tupania, piekły ramiona, ale Indianie kazali mi tańczyć na przedzie; pochrząkiwali i pokrzykiwali, ryczeli jak niedźwiedzie i bizona, pantery i jelenie.

Kiedy się obudziłem, wokół było ciemno. Leżałem przykryty skórą. Nad głową miałem mały czarny dysk nieba, z boku gasnący ogień, słyszałem czyjś oddech. Panowała cisza. Znalazłem się w tipi na posłaniu z miękkich skór. Znów mnie umyto i namaszczone tłuszczem, opatrzone rany. Byłem czysty, było mi ciepło w miękkich skórach. Poczuję się beznadziejnie, bo stało się tak, jak mówią ci, co

wymachują Bibliami podczas podtapiania: myślisz, że świat jest, jaki jest, ale nagle się budzisz i przekonujesz, że myliłeś się we wszystkim.

Wstałem z posłania i wyszedłem na dwór. Świeciły gwiazdy, a rozżarzone od tłących się węgli tipi ciągnęły się, gdzie okiem sięgnąć. Wokół ogniska nadal siedzieli ludzie. Nie spali, rozmawiali cicho. Kobiety opierały się o mężczyzn, dzieci spały oparte o rodziców. Z tipi dobiegało chrapanie, chichoty i kobiece jęki. Trwało to bardzo długo, tak długo, że aż się podnieciłem i przypomniałem sobie, jak słyszałem jęczącą pod ojcem matkę, nie mówiąc już o tym, jak wyobrażałem sobie, że robię to z siostrą, czego się oczywiście wstydziłem – teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Ktoś poruszył się we śnie, Ntutkaru albo syn Toshawaya, Escuté. Postanowiłem, że odnajdę Urwata i resztę Wyjadaczy Korzeni, i odbiorę im całą kolekcję skalpów – tak długą, że będzie się ciągnęła za moim koniem przez dziesięć mil.

Co się tyczy Toshawaya i jego rodziny: ocalił mnie i próbował ocalić mojego brata. Gdyby był inny, mógłby ocalić moją matkę i siostrę, ale Indianie mają swoje prawa, tak jak my swoje. Kiedyś strzelaliśmy z ojcem do dwóch zbiegłych niewolników zbierających orzechy pod naszymi drzewami. Moja broń zacięła się i nie wypaliła, a tata spudłował o jardy. Nie mogłem tego zrozumieć, bo Murzyni byli oddaleni o zaledwie osiemdziesiąt kroków, a tata strzelał najlepiej w całym hrabstwie. Po Murzynach zostały czarne smugi biegnące przez las. Powiedziałem ojcu, że skoczę po Rufe Perry'ego i jego psy na Murzynów, ale tata mruknął, że zaraz będzie padać, a mamy sporo rządaków do okopania. Zapytałem, dokąd uciekają ci niewolnicy, odpowiedział, że pewnie do Meksyku albo do Indian, którzy biorą czarnych i inne typy spod ciemnej gwiazdy, o ile ci zgadzają się żyć zgodnie z ich prawami. Zapytałem, jak mogą pozwolić, żeby Murzyni żyli wśród nich? Odpowiedział, że wśród Indian żyje wielu ludzi. Żadne inne pytanie nie przyszło mi do głowy, więc wyraziłem ubolewanie, że broń się zacięła, na co odrzekł, że pewnego dnia będę wdzięczny za takie małe błogosławieństwa.

Słyszałem głębokie oddechy Ntutkaru i Escuté. Nasłuchiwałem, póki sam nie usnąłem.



## J.A. McCullough

Była znów młoda i pędziła wagonikiem starej drewnianej kolejki górskiej, ale coś było nie tak, wagoniki jechały coraz szybciej i szybciej, aż w końcu na samym szczycie kolejka wypadła z szyn. Leciała, a potem już nie, obserwowała ziemię, a wszystko to trwało strasznie długo. *To poważne*, pomyślała i wtedy wszystkie wagoniki zwały się na nią.

Potem znalazła się na pustyni. Największe odwierty w jej życiu, inżynier rozporządzał cysternami jak dyrygent orkiestrą. Rury były pod ciśnieniem, dwanaście tysięcy funtów na cal kwadratowy i nagle pękła mufa. Mocna żelazna rura wiła się jak wąż. Piekły ją oczy, patrzyła prosto w słońce, nadlatywało lotnicze pogotowie ratunkowe, ale niewiele mogło zdziałać. *Tak*, pomyślała. *To się wydarzyło*.

Znów otworzyła oczy. Miała pewność, że był tu mężczyzna. Ciekawe, czy pobiegł po pomoc. Przyglądała się bierwionom i węglom w kominku. Pod sobą miała dywan koloru burgunda, ptaki, kwiaty i zawijasy, popiersia starożytnych Rzymian. Śniła. Zastanawiała się, w jaki sposób zostanie zapamiętana. Nie zarobiła aż tyle, żeby rozdać majątek jak Carnegie i wymazać grzechy związane z jej nazwiskiem, zawiodła, nie wspięła się na najwyższą złocistą gałąź. Liberałowie będą świętować jej śmierć. Zapalą papierosy z marihuaną, pojedą na sushi i zjedzą surowe potrawy, które przebyły osiem tysięcy mil. Podczas kolacji ponarzekają na takich jak ona, a kiedy wrócą do domów, w sypialni będzie zimno, więc nacisną przycisk na ścianie, żeby się ogrzać. Przez cały czas skarżąc się na ceny ropy.

Ludzie uważają, że Henry Ford zapoczątkował epokę samochodu. Nieprawda. Wóz przed koniem. To odwiert Spindletop zapoczątkował wiek samochodu, Spindletop i Howard Hughes ze swoim cudownym wiertłem, które dokończyło dzieła. Nowoczesność rozpoczęła się od gejzera Lucasa, kiedy ludzkość zdała sobie nagle sprawę, ile ropy naftowej kryje się pod ziemią. Wcześniej ropa była tanim rozcieńczalnikiem używanym do mycia trybów i rowerowych łańcuchów, a ta, na której zarobił miliony Rockefeller płonęła



w lampach naftowych zamiast łożu. To odwiert Spindletop i wiertło Hughesa otworzyły drogę autom, ciężarówkom, samolotom – temu wszystkiemu, czego istnienie zależy od taniej ropy, tak jak Kościół zależy od Boga.

Postępowała właściwie. Zrobiła coś z niczego. Długość ludzkiego życia podwoiła się, bez ropy nie ma szpitali, leków, które w nich podają, żywności, którą dowożą do sklepów, traktorów, które bez niej stoją bezużyteczne w stodołach. Zajęła się czymś nieprzydatnym, co zalegało pod ziemią, i wydobyła na powierzchnię, ku światłu, tam, gdzie nabrało znaczenia. To było jak Stworzenie. Jej całe życie.

Kiedyś nie była w tym wyjątkowa. Przemysłowcy budowali kraj, nafcjarze pozwalali mu działać. Teraz zostali tylko nafcjarze. Przemysłowcy, czy jakkolwiek się teraz zwa, wiedli życie oparte na zniszczeniu, zamykali fabryki i przenosili je za granicę. Nie liczyła na to, że będzie kochana, ale są sukinsyny i sukinsyny. Tamci rozebrali kraj cegła po cegle, a jeśli nienawidziła kogoś bardziej od związkowców, to ludzi, którzy nie chcieli pracować.

Opadły ją inne wspomnienia. Odwiedziny w domach meksykańskich parobków, gdzie jeździła wraz z ojcem, kobiety jakby z innego stulecia, noszące wiadra z wodą z odległych studni, grzebiące w ogniu, dodające niebieskiej farbki do parującego prania, wykręcające wygotowaną pościel. Robiące przetwory z owoców i warzyw w największym upale: w kamiennych *jacalach*, gdzie było goręcej niż na dworze. Mężczyźni siedzieli w cieniu, splatając arkany z końskiego włosia.

– Dlaczego nie kupują sznurów w sklepie? – zapytała, ale ojciec nie odpowiedział.

Chodziła po pastwiskach przed świtem, przykucała nisko w trawie, żeby wypatrzyć sylwetki koni na tle ciemnego nieba. Wokół niej *vaqueros* chwyтали wierzchowce na lasso. Zwierzęta parskały, dzwoniły uprząże, *vaqueros* uspokajali je po hiszpańsku. Niektóre konie poddawały się bez walki, inne stawały dęba i kopały, nie chcąc pędzić za dnia w słońcu przez kolczaste zarośla. Wiele z nich było jedną wielką blizną od kłębu do kopyt: kolce zdarły z nich włosie.

Niekończące się skrzywienie nawadniających wiatraków – klękała z Pułkownikiem w błocie obok zbiorników z wodą dla bydła, studiowali świeże nocne tropy. Krowy, jelenie, lisy, pekari, króliki, *paisano*, zajace, myszy, szopy, węże, indyki, rysie. Ślady pantery sprowadzały ojca i braci, starego Meksykanina z psami. Za którymś razem Pułkownik zaczął zacierać te ślady, zamazywał je ręką. *Nie mów*

*nikomu. Świat dorosłych opierał się na sekretach. Pogarda ojca i braci, kiedy powiedziała, że chciałaby zobaczyć niedźwiedzia lub wilka.*

*– Lepiej, żeby były w zoo – rzucił tata. – Lepiej, żeby ich w ogóle nie było.*

*A czego się nauczyła? Straciła przedwcześnie połowę rodziny. Ziemia nie była łaskawa dla swych synów, a jeszcze mniej łaskawa dla synów innych ziem. Kiedyś jej babka wyznaczyła nagrodę za każdą parę meksykańskich uszu: *zastępują na to, żeby traktować ich jak kojoty.* Pomyślała o braciach zabitych przez Niemców, o wuju Glennie rozerwanym na strzępy w okopie.*

*Przed dwunastoma laty miała zamiar przejść na emeryturę. Była tą samą dziewczynką, która klękała przy zbiornikach na wodę, a zaraz potem jej własne dzieci dożyły wieku średniego. Nie była ideałem, chciała wszystko naprawić, poznać wnuki. Była taka szansa. Ale ceny ropy spadły, mówili, że jest tańsza od wody, a to, co dostawała z dzierżawy stanowiło ułamek spodziewanych należności. Wiedziała, że ma ostatnią okazję pojednać się z rodziną. Ale żeby sprzedawać po tak niskiej cenie?! Od samej myśli robiło się jej niedobrze.*

*Potem był najazd Arabów na Nowy Jork. Znów zaczęła najmować wiertaczy. Dzieci miały własne życie, nie potrzebowały jej, a ceny ropy zaczęły rosnać. Żyła tylko po to, żeby ujrzeć szyb tam, gdzie kiedyś była jałowa pustynia, żeby zobaczyć wypływ po dobrych odwiertach, gejzer bijący z szybu, z którego wszyscy już zrezygnowali. Po to żyła. Coś z niczego. Dzieło Stworzenia. Dla rodziny zawsze znajdzie się czas.*



## Dzienniki Petera McCullougha

*13 sierpnia 1915 roku*

Pamięć to przekleństwo. Kiedy zamykam oczy, widzę odstrzeloną twarz Pedra, załzawiony otwór na policzku Lourdes – wypływał z niego przejrzysty płyn jak łzy. Zakrwawioną sukienkę Any. Gdy zasypiam, wracam do ich sypialni. Pedro siedzi na łóżku i wskazuje mnie palcem, mówiąc jakimś starożytnym językiem, a kiedy się zbliżam do niego, zauważam, że nie mówi ustami, a dziurą w skroni. Budzę się i leżę nieruchomo przez długi czas, mając nadzieję, że stanie mi serce, jakby śmierć mogła oczyścić z udziału w czymś takim.

To, co zaszło u Garciów było zaledwie początkiem. W mieście jest teraz przynajmniej stu uzbrojonych mężczyzn, których nikt nie zna, mają przy sobie karabiny i strzelby, jakby to wszystko działo się przed półwieczem, jakby tu w ogóle nie było miasta. W nocy zamordowano Amado Batistę, splądrowano jego sklep, próbowano podpalić cały budynek, ale ogień nie chwycił.

Wszystkie gazety opisywały Garciów jako meksykańskich radykałów. Mówiąc szczerze, byli najbardziej konserwatywnymi właścicielami ziemskimi w hrabstwach Webb i Dimmit. Fotografia ich ciał jest przedrukowywana w każdym zakątku stanu i Meksyku, gdzie – choć nikt nie przepada specjalnie za ziemianami – staną się bez wątpienia męczennikami.

Glenn jest w San Antonio, dochodzi do siebie w szpitalu. Ani on, ani Sally nie zareagowali nadzwyczajnie na wiadomość o eksterminacji Garciów. Zastanawiam się, czy tracę rozum, czy nie kocham swoich najbliższych, a może jest na odwrót – kocham ich za bardzo. Czy jestem jedyną zdrową na umyśle osobą, którą znam?

Tymczasem w pensjonatach zaroilo się od najgorszych mętów z doliny Rio Grande, a Rangersi nie potrafią utrzymać ich w ryzach. Zapropnowałem sierżantowi Campbellowi (Czy to on zastrzelił Pedra i Lourdes? Czy zrobił to mój własny syn?), żeby posłał po resztę kompanii, ale jego ludzie są zajęci wzdłuż całej granicy, strzegąc

innych rancz. Campbell, mimo swego nieprzyjemnego wyglądu, niepokoi się tym, że połowa zabitych to kobiety i dzieci. Odmawiam rozmowy na ten temat. Tacy ludzie jak on uważają, że wszystko da się rozgrzeszyć, że wystarczy się wypowiadać tyle a tyle razy, by na nowo móc popełnić zbrodnię.

W naszym domu przez cały dzień roilo się od życzliwych, więc w końcu pojechałem do miasta, żeby przed nimi uciec, a tam natknąłem się na dwie półciężarówki z tuzinem mężczyzn na pace; byli dobrze uzbrojeni i mieli nadzieję na bitwę z meksykańskimi powstańcami. Powiedziałem im, że wszyscy zginęli. Wyglądali na rozczarowanych i po krótkiej rozmowie postanowili zostać w mieście: nie ma co tracić nadziei.

Po powrocie do domu zastałem w nim sędziego Poole'a, który jadł naszą wołowinę i pił naszą whiskey i zbierał zeznania od wszystkich obecnych. Przedstawiłem mu swoją opowieść. *Tylko fakty*, poprawiał mnie kilkakrotnie, *a nie twoja interpretacja*. W końcu poprosił, żebym wyszedł z nim na dwór, z dala od innych.

– To czysta formalność, Pete. Niech ci się nie wydaje, że opowiem się po stronie meksykańskich najeźdźców, a nie białych.

O mało mu nie przypomniałem, że to *my* jesteśmy najeźdźcami, przeprowadziwszy nasze konie przez Nueces dobre sto lat po tym, jak osiedli tu Garciowie. Ale oczywiście ugryzłem się w język. Poklepał mnie po plecach dłonią rzeźnika i wrócił do darmowej wołowiny.

Do domu ciągle zjeżdżali jacyś ludzie, przywożąc ze sobą ciasto, pieczenie i wyrazy żalu, że nie zdążyli nadjechać w porę. Ich zdaniem byliśmy najdzielniejsi, decydując się na atak na Meksykanów tak niewielkimi siłami. Mówiąc o „niewielkich siłach” mieli na myśli siedemdziesięciu trzech mężczyzn. Przeciwno dziesięciu. Piętnaścioru, jeśli policzyć kobiety. Dziewiętnaścioru, jeśli włączyć w to dzieci.

*14 sierpnia 1915 roku*

Sally pytała, dlaczego nie odwiedzam Glenna w szpitalu. Wyjaśniłem jej powody: zeszłej nocy spalono trzy domy i zabito ośmiu mieszkańców miasta, wszyscy byli Meksykanami z wyjątkiem Llewellyna Pierce'a, który miał żonę Meksykankę.

Sierżant Campbell zastrzelił przynajmniej trzech szabrowników, a dwóch uciekło mu w zarośla. Jeden z zabitych jest z Eagle Pass.

Cała trójka podkładała ogień pod dom Custodia i Adrianego Moralesów. Moralesowie już nie żyli. Myślałem o Custodio i o tym, jak kochał nasze piękne konie. Zawsze liczył sobie za mało za naprawę uprzęży i innych rzeczy, które mu przynosiłem. Od dwudziestu lat zbierałem się, żeby zaprosić go na przejażdżkę.

Campbell wyznał mi, że jeden z jego ludzi odmówił strzelania do białych szabrowników. Znalaziono też zastrzelonego zastępcę szeryfa, ale nikt nie znał żadnych szczegółów. Campbell zatelegrafował po resztę kompanii, ale odpowiedziano mu, że Rangersoni są zajęci ważniejszymi sprawami na południu.

– Musimy coś zrobić z tymi Meksykanami – zwrócił się do mnie. – Nie są tu bezpieczni.

Wcześniej nie dbał za bardzo o bezpieczeństwo Garcíów. Nie powiedziałem tego, ale musiał to wyczytać z mojej twarzy.

– Nasza robota polega na egzekwowaniu prawa od wszystkich, którzy je łamią – mruknął. – Nie obchodzi mnie kolor ich skóry.

Kilka rodzin *Tejano* – Albertowie Gonzalesi, Claudiowie Lopezi, Janerowie, Sapinosowie, Urrakowie – wyjechali z miasta tego popołudnia z całym dobytkiem. Campbell uważa, że ta noc będzie gorsza od poprzedniej. Jego ludzie są w rozsypce, a przewaga tamtych jest jak pięćdziesiąt do jednego.

– Mówiono o zakupie karabinów maszynowych – powiedział. – Powinni byli już dawno to zrobić. – Potem zapytał: – Co pan sądzi o tym szeryfie Grahamie?

– Myślę, że będzie mu przykro, jeśli nie zdąży na szabrowanie.

– Tak też myślałem.

Zapadła cisza. Siedzieliśmy na werandzie, wpatrując się w okolicę.

– Jak się pan czuje, mając to wszystko? – zapytał.

– Doprawdy, nie wiem.

Pokiwał głową, jakby spodziewając się takiej odpowiedzi.

– Chce pan, żebym przyniósł jakąś kolację na później? – zapytałem.

Nie odpowiedział. Patrzyliśmy ku miastu, ale nie widać go było z werandy.

– Pana ojciec to jest ktoś, powiadam.

– Jest w porządku.

– Mój tatuś nie żyje – oznajmił.

Coś kazało mi się zastanowić, czy nie był za to odpowiedzialny. Ale lubiłem go. Nie miał więcej niż pięć stóp i pięć cali na obcasach, ale

całe miasto się go bało.

- Co pan zamierza zrobić tej nocy?
- Zastrzełę sporo ludzi, jak mi się wydaje.
- Nie wygląda to na jakiś ambitny plan.
- Nic więcej nie możemy zrobić.
- Robił to pan już wcześniej?
- Zastrzełem dwóch gości w Beaumont. Ale tu mamy sezon na indyki.

Zapadła cisza.

- Jak pan to robi?
- Używam oczu - odpowiedział.

### *15 sierpnia 1915 roku*

Zeszłej nocy widziałem przez okno kilka pożarów. Strzały padały sporadycznie, ale nieustannie. Przed świtem wyjechał kolejny tuzin meksykańskich rodzin. Zdaje się, że zrobili to o własnych siłach. Zginęło kolejne czternaście osób, sześć z nich to biali. Campbell przyznał przez telefon, że to on zastrzelił poprzedniej nocy zastępcę, który płądrował dom z odznaką na piersi.

Pojechaliśmy z Charlesem do miasta, po drodze natknęliśmy się na *Tejano* wiszącego na dębie.

- To Fulgencio Ypina - powiedział mój syn.

Zatrzymaliśmy się, Charles wspiął się na drzewo i odciął wisielca. Podnieśliśmy go z ziemi i złożyliśmy ostrożnie na pace. Fulgencio od lat wycinał u nas zarośla. Jego ciało zaczynało puchnąć.

- Kto pochowa tych ludzi? - zapytał Charles.
- Nie wiem.
- Przyjedzie wojsko?
- Tego też nie wiem.
- Powinniśmy zadzwonić do wuja Phineasa.
- Pojechał na ryby.
- No więc ty musisz coś zrobić.
- Na przykład co?
- Nie wiem. Ale musisz.

Ulice były wyludnione. Wszędzie wisały wypisane ręcznie tablice ostrzegawcze:

KAŻDY, KTO WYJDZIE PO ZMROKU NA TE ULICE  
(W TYM BIALI)  
ZOSTANIE ZASTRZELONY. ROZKAZ TEXAS RANGERS.

Kiedy odnaleźliśmy sierżanta Campbella, ten znów był ranny, tym razem w górną część łydki. Siedział na krześle na tyłach sklepu z paszą, bez butów i ze spuszczoneymi spodniami.

– Przynajmniej celują w pańskie kończyny – zażartowałem. Noga nie wyglądała źle, kula minęła kość i aortę.

Campbell wpatrywał się w doktora.

– Trafiają człowieka w dłonie, bo nimi zasłania się piersi, celując. A mnie trafili w nogę, bo ten, którego zastrzeliłem w nocy, pociągnął za spust, kiedy się przewracał.

Spojrzał na mnie tak, jakbyśmy zamienili się przeżyтыми na tym świecie latami.

– Może pan przekazać wszystkim meksykańskim rodzinom w mieście, żeby przyjechały na moje ranczo – powiedziałem.

– To wiele mi ułatwi. – Nie potraktował tego jako specjalnej uprzejmości. Wpatrywał się w Guillerma Chaveza, który mając dwadzieścia pięć lat, został miejskim weterynarzem, przejmując ten zaszczyt po ojcu. Teraz zdjął bandaż z dłoni i ramienia sierżanta.

– Kto to panu opatrywał?

– Ja. Jest pan prawdziwym doktorem?

– Przeważnie dla zwierząt.

– Dyplomowanym?

– Niech pan na mnie popatrzy i zgadnie.

Campbell pokręcił głową.

– Niezły pierdolnik.

– Jestem zaszczycony pańską obecnością – odpowiedział Guillermo.

– Nigdy nie przypuszczałem, że powiem coś takiego *Rinche*.

Campbell zignorował obelgę.

– Co się stanie, jeśli te kości tak się zrosną?

– Nie będzie pan mógł ruszać dłonią. – Wzruszył ramionami. – Ale martwi mnie przedramię. Te rany przydałoby się oczyścić.

– Albo stracę rękę? – Głos mu się załamał i wtedy ujrzałem Campbella takim, jakim był naprawdę: przerażonym dwudziestolatkiem. Jednak zaraz przybrał dobrze wszystkim znaną maskę.

– Niech pan je posypuje tym pudrem. Jak zaczną się paprać albo



lepić, trzeba dodać więcej. W ranie zawsze musi być suchy puder.

– To mi wygląda na żółty cukier.

– Cukier z sulfonamidem.

– Zwykły cukier?

– To doskonałe remedium. Sam cukier by wystarczył.

– Kurwa, nie wierzę.

– Może pan go używać albo nie, mnie to nie obchodzi. W hrabstwie Starr pańscy koledzy zamordowali mojego kuzyna, w Brownsville zabili mojego wuja i jego syna, a ja, bardzo proszę, opatruję panu rany.

– W każdym koszu trafią się zgniłe jabłka – odrzekł Campbell.

– Niech pan to powie Alfredowi Cerdzie albo Gregoriowi Cortezowi, albo Pedrowi Garcii. Albo ich żonom i dzieciom, które także nie żyją. Pańscy koledzy przyjeżdżają w dowolne miejsce i wzniesają zamęt, a potem trzeba wojska, żeby wszystko wróciło do normy. Mówię o rzeczach oczywistych, które nie nadają się nawet do poważnej dyskusji.

Campbell zaciskał palce, żeby sprawdzić, czy chwyci rewolwer.

– Ma pan morfinę? – zapytał Guillerma. A do mnie powiedział: – Nie możemy nawet panu zapłacić za korzystanie z rancza.

– Kiedy zatem przybędzie wojsko?

– Nigdy – odrzekł.

– No, cóż... jedna zadyma na jednego Rangera.

– No, tak, o ile nie jest się tym Rangerem.

Sally wpadła we wściekłość, dowiedziawszy się, że zaprosiłem na ranczo wszystkich Meksykanów z miasta i natychmiast kazała mi podać telefon Consueli. Słyszałem, jak ją instruuje, aby wraz z innymi pokojówkami ukryła srebra i zwinęła drogie dywany. Consuela oddała mi słuchawkę.

– Co się z tobą dzieje, Peter?

– Ci ludzie zginą, jeśli ich tu nie ukryję.

Nie odpowiedziała.

– Glennowi nic nie będzie – pocieszyłem ją.

– Skąd możesz wiedzieć? – zapytała. – Skąd możesz wiedzieć, jeśli cię tu nie ma?

Miałem nadzieję, że Meksykanie przeniosą się po cichu, ale po zmierzchu wszczął się rwetes, kiedy połowa *Tejanos* z miasta – blisko sto osób – przysła pieszo, przyjechała samochodami albo na koniach,

niosąc, pchając lub ciągnąc swój dobytek na wózkach zaprzęgniętych w osły, na taczkach albo na plecach. Midkiff i Reynolds nie potrzebowali zachęty i obaj wysłali ludzi, żeby chronili Meksykanów.

– Chronią nasze ranczo – poprawił mnie Pułkownik. – Nie bądź idiotą.

Campbell przyjechał osobiście, żeby wszystko sprawdzić, wyznaczył ośmiu swoich zastępców (choć nie miał do tego prawa) i wrócił do miasta, mocno kulejąc, z ręką na temblaku. Zdobył gdzieś Winchestera kalibru .351, z którego da się strzelać jedną ręką. Nie pytałem, skąd ma tę broń. Zamknęliśmy bramy rancza na łańcuch, a Charles i *vaqueros* okopali się przy drodze.



## Eli/Tiehteti

1849

Komancze Kotsoteka mieszkali przeważnie nad rzeką Canadian, tam, gdzie kończył się płaskowyż Llano, a suche równiny zamieniały się w trawiaste kaniony. Ich ziemie sięgały historycznie do obrzeży Austin, a Toshaway znał moje rodowe dziedzictwo lepiej ode mnie. Tekszańscy podpisali z nimi traktat gwarantujący, że na zachód od miasta nie będzie już osadnictwa, ale okazało się, że biali są pewną siebie rasą i kiedy traktat stał się niewygodny, nie mieli problemów ze złamaniem go.

– Jednego dnia stanęło parę domów – mówił Toshaway. – Ktoś rąbał drzewa. Wcale nam to nie przeszkadzało, tak jak wam nie przeszkadza, kiedy ktoś wchodzi do domu, pozbywa się waszego dobytku i wprowadza się tam z całą rodziną. Ale może się nie znam. Może biali są inni. Może Tekszańczyk, kiedy ktoś ukradnie mu dom, mówi: „Och, popełniłem błąd, zbudowałem ten dom, który ci się podoba, więc weź go sobie razem z tą żyzną ziemią, która żywi moją rodzinę. Jestem tylko *kahúu*, polną myszką. Pozwól, że pokażę ci, gdzie leżą moi przodkowie, żebyś mógł ich wykopać i splądrować groby”. Myślisz, że tak by powiedział, Tiehteti-taibo? – Tak brzmiało moje imię. Pokręciłem głową. – Zgadza się – przytaknął Toshaway. – Zabiłby ludzi, którzy ukradli mu dom. Powiedziałyby im: *‘Itsa nu kahni*. Teraz wytnę wam serce.

Leżeliśmy pośród kępy topoli, patrząc na dolinę Canadian. Trawa wokół nas była gęsta, grama i palczatka – rośło jej więcej niż ktokolwiek mógłby zjeść. Słońce chyliło się ku zachodowi, świerszcze piłowały nieustannie, a ptaki urządzały im rzeźnię. Po naszej stronie rzeki trzcina lśniła tak bardzo, jakby miała zapłonąć, ale po drugiej stronie, południowej, tam, gdzie były osady białych, skarpa już pociemniała. Przypomniałem sobie te wszystkie okazje, kiedy byłem wściekły na brata za palenie do późna świecy, wychodziłem wtedy spać na dwór.

Toshaway mówił dalej:

– Oczywiście nie jesteśmy głupi. Ta ziemia nie zawsze należała do Komanczów, przed wielu laty to była ziemia Tonkawów, ale spodobała się nam, więc zabiliśmy Tonkawów i przejęliśmy ich ziemię.... Tonkawowie są teraz *tawohho* i próbują nas zabić, kiedy tylko zobaczą. Ale biali tak nie myślą, wolą zapominać, że wszystko, czego chcą, już do kogoś należy. Myślą: *O, jestem biały, to musi być moje*. I naprawdę w to wierzą, Tiehteti. Nigdy nie widziałem białego, który nie byłby zaskoczony w chwili śmierci. – Wzruszył ramionami. – Kiedy ja coś kradnę, spodziewam się, że mnie zabiją i znam swoją pieśń, którą będę śpiewał, umierając. – Kiwnąłem głową. – Mówię jak niespełna rozumu?

– *No sé nada*.

Pokręcił głową.

– Nie jestem nawet odrobinę szalony. Biali są szaleni. Wszyscy chcą być bogaci, tak jak i my, ale boją się przyznać przed sobą, że wzbogacić można się tylko w jeden sposób: kradnąc innym. Uważają, że jeśli nie widzą ludzi, którym coś zabierają, jeśli ich nie znają ani nie przypominają, to w istocie nie kradną.

Do wodopoju zszedł niedźwiedź. Stada cyraneczek i świstunów opadały na oddalone od nas rozlewiska. Toshaway nie przerywał splatania *lassa*.

– *Moowi* – oznajmił.

– *Moowi* – powtórzyłem.

– Przyglądałem się wam wiele razy, Tiehteti. Twój ojciec widział mnie dwa razy, ale uznał, że mu się przywidziało. Widziałem, jak twoja matka karmiła zhańbionych głodujących Indian, którzy pukali do waszych drzwi, widziałem, jak kładłeś się na ziemi i wpatrywałeś w tropy jeleni. Widziałem, jak tamtego dnia zabiłeś wielkiego *tumakupa*. – Westchnął. – Ale Wyjadacze Korzeni poczuli zapach waszego wieczornego posiłku, a ja ich okłamywałem i mówiłem, że znam ludzi, którzy tu mieszkają, i że ludzie ci są bardzo biedni, *nabukuwaatu*. Wtedy odpowiedzieli mi, że jak na biednych jadacie bardzo sute posiłki i Urwat postanowił sam to sprawdzić.

Spojrzałem za wzgórze i ujrzałem mamę na ganku, siostrę w trawie i brata w płytkim dole. Zastanawiałem się, czy moje rodzeństwo zrobiło coś, co sprowadziło na nas Indian. A potem zastanawiałem się, czy moja siostra traciła i odzyskiwała przytomność tak jak ja. Mama nigdy by sobie na to nie pozwoliła. Ale siostra... Z pewnością straciła

przytomność, tak musiało być. Nie mogła widzieć tego, co się z nią dzieje. Potem pomyślałem o ojcu. I pozbyłem się tej myśli. Między nami na zawsze pozostanie wstyd.

– *Moowi* – powtórzyłem raz jeszcze.

– *Moowi* – odpowiedział Toshaway.

Toshaway nie wiedział, ile ma lat, choć wyglądał na mężczyznę czterdziestoletniego. Jak inni pełnokrwisci Komancze miał pokaźne czoło, duży nos i ciężką kwadratową głowę. Przypominał parobka i poruszał się wolno jak stary kowboj, ale wystarczyło, że dosiadł konia, a przestawały go obowiązywać prawa fizyki. Wszyscy Komancze jeździli tak dobrze, choć nie wszyscy przypominali Toshawaya: byli ciemniejsi i jaśniejsi, smukli jak Karankawowie i grubi jak bankierzy, mieli twarze jak topory albo jak hiszpańscy królowie, słowem tworzyli demokratyczną mieszaninę. W krwi niemal każdego z nich płynęła krew jeńców – z innych indiańskich plemion, z Hiszpanii, a od jakiegoś czasu z Anglii i Niemiec.

Jeśli chciałem się ukryć, wstawałem przed świtem i szedłem po mokrej trawie napełnić dzbany wodą z chłodnego strumienia. Potem rozpalałem ognisko. Przez resztę dnia robiłem to wszystko, czego nie chciało się robić kobietom. Tłukłem kukurydzę dla żony Toshawaya, oczyszczałem z wnętrzości i obdzierałem ze skóry dziczyznę przyniesioną przez mężczyzn, znów przynosiłem wodę i drwa na ogień. Większość Komanczów używała krzemienia i stali, tak samo jak my, ale nauczyli mnie krzesać ogień za pomocą patyka juki, obracanego w dłoniach nad cedrową deszczułką. Obracało się patyk i obracało, dociskając go do deszczułki, aż tworzył się węgielek albo dłonie spływały krwią. Węgielek miał wielkość łebka od szpilki. Zazwyczaj gasł, zanim zdążyło się przyłożyć do niego kłębek puchu z pałki albo próchna, albo czegokolwiek, co służyło za podpałkę.

Escuté i Ntutkaru, kiedy nie polowali, przesypiali całe dnie, robiąc przerwy na palenie i hazard. A kiedy chciałem z nimi porozmawiać na oczach innych, nie zwracali na mnie uwagi albo bili, choć nie tak mocno jak kobiety.

Kiedy nie miałem nic innego do roboty, zatrudniano mnie przy wyprawianiu *ta?siwoo tthu* – skór z bizonów – co przypominało drukowanie pieniędzy na wyżymacze. Wyprawienie jednej zajmowało tydzień. Skóry sprzedawano za garść szklanych paciorków i wszywano, na przykład, w szynel żołnierza walczącego z innymi Indianami;

w najlepszym razie skóry lądowały na sofach w Bostonie albo w Nowym Jorku, gdzie ludzie, którzy wybili tamtejszych Indian, delektowali się rdzennie amerykańskim rzemiosłem.

To wszystko należało do kobiet – prace, które wykonywałem. Jeśli potrzebował mnie Toshaway, wszystko inne szło w ką. Czasem łapałem i siodłałem mu konia, czasem zapalałem fajkę lub malowałem go przed wyjazdem. Kiedy wracał z wyprawy lub najazdu, całymi godzinami wybierałem mu z włosów wszy, przecinałem wrzody, gotowałem obiady, wrywałem włosy z brody, a potem zmywałem barwy. Toshaway poświęcał więcej czasu na kosmetykę od mojej siostry, nakładał na siebie tony makijażu, całymi godzinami cesał włosy szczotką z jeżozwierza, natłuszczał je, wplatał w warkocze miedziaki i futro, póki fryzura nie uzyskała pierwotnego kształtu.

W zależności od pory roku zajmowałem się też zbieractwem: owoców *wokwéesi* (kolczastej gruszki), *tuałpi* (dzikiej śliwki) i *tunaséka* (persymony), strąków *wohi?huu* (jadłoszynu), *kuuka* (dzikiej cebuli), *paapasi* (dzikich ziemniaków) albo *mutsi natsamukwe* (winogron mustangów). Nie wolno mi było zabierać ze sobą noża, strzelby ani łuku, tylko kij udający motykę. A wszędzie wokół były ślady wilków, niedźwiedzi i panter.

Żaden biały, nawet Irlandczyk, nie poświęciłby choćby godziny na wykopywanie garści cherlawych ziemniaków, ale i tak wiedziałem, że mi się upiekło. Wciąż żyłem. Miałem pełny brzuch, grzałem się przy ogniu podczas zimnych nocy, słysząc wokół siebie pochrapywanie innych. Wiedziałem, jakbym wyglądał leżąc nieruchomo w trawie: droga do nieba ociekałaby moją krwią.

Byłoby pięknie wyłożyć teraz wszystkie podobieństwa losu, który mnie spotkał, z dolą czarnych Afrykanów trzymanyh przez mych ziomek w okowach, ale niestety nic takiego nie rzuciło mi się w oczy. Myślałem tylko o sobie i własnych kłopotach. Byłem jak puste wiadro, które napełniano jedzeniem albo życzliwością, na jaką tylko było stać mych gospodarzy, utykałem dzień po dniu, marząc o dodatkowej porcji jedzenia albo pochwale, albo paru wolnych minutach dla siebie.

Co się tyczy ucieczki: między *rancherią* a cywilizacją leżało osiemset mil pustyni. Za pierwszym razem złapały mnie inne dzieci. Za drugim pojmał mnie sam Toshaway i oddał żonom. Żony i ich matki złożyły mi skórę, poprzecinały pięty i odbyły długą dyskusję o dobrodziejstwach płynących z wydłubania mi jednego oka. Domyśliłem się, że trzeciej ucieczki nie przeżyję.

Żeby wygarbować skórę, należało rozciągnąć ją na trawie włosiem do ziemi i przybić w rogach palikami. Potem klękało się na pokrwawionym wnętrzu, szorowało i zeszkrobywało tłuszcz i ścięgna kawałkiem tępej kości albo metalu. Jeśli narzędzie było zbyt ostre i nie zachowało się należytej ostrożności, można było przebić skórę na wylot i zniszczyć ją, za co obrywało się cięgi. Pomiedzy jednym skrobaniem a drugim posypywałem skórę popiołem z drewna, żeby ług zmiękczył tłuszcz. W trakcie posyłano mnie po wodę albo drewno, albo dawano do oczyszczenia, odarcia ze skóry i oddzielenia kości przyniesionego przez mężczyzn lub chłopców jelenia. Jedyne, czego nie robiłem, to cerowanie i szycie, choć kobiety nauczyłyby mnie i tego, gdyby tylko mogły. Zawsze brakowało im czasu na wyrób i naprawy tego, czego potrzebowali mężczyźni: mokasynów i pludrów (jedna skóra), niedźwiedzich okryć (dwie skóry), wilczych okryć (cztery skóry). Skóry należało ciąć w taki sposób, aby kształt zwierzęcia pokrywał się z kształtem człowieka, a wykończenie jednej jeleniej czy wilczej skóry zajmowało cały dzień, bo nie można było popełniać błędów.

Oprócz wytwarzania wszystkich narzędzi potrzebnych plemieniu – toporów, szydeł, igieł, motyk, skrobaczek, noży i naczyń – kobiety splatały nici, sznury i dratwy. Indianie potrzebowali całe mile nici, sznurów i dratew – do tipi i na ubrania, do siodeł i uzd, powrozów do pętania, do każdego narzędzia czy oręża, które wytwarzali – wszystko w ich życiu trzymało się na sznurku, który trzeba było skręcać cal po calu. Moczono w wodzie lub tłuczono liście juki czy agawy, oddzielano włókna traw albo cedrowej kory. Kiedy oddzielono je od reszty, zaczynało splatać. Przechowywano także ścięgna zwierząt – ścięgno z kostek jelenia wsadzano do ust i żuto, aż się rozdzieliło. Włókna biegnące wzdłuż kręgosłupów były dłuższe i łatwiejsze do obróbki, ale zawsze ich brakowało, gdyż odkładano je do sporządzania broni i kobiety nie mogły ich używać.

Kiedy brakowało sznurów, można je było skręcać z niewyprawionej skóry, ale skóra nadawała się do ważniejszych zastosowań i napinała się, kiedy ją zmoczono. Skórę kładziono na płask i wycinano z niej spiralę o szerokości cala albo dwóch, zaczynając od zewnątrz i tnąc do środka, aż cała stała się jedną długą nicią. Na jedno lasso potrzeba sześć różnych nici, choć lasso pletli przeważnie mężczyźni, chyba że jakaś kobieta nie miała co robić.

Komancze nie mieli cierpliwości dla ignorancji białych jeńców, bo wychowano ich ze świadomością, że to, czy rozpalenie ogniska albo



wyrób broni, albo tropienie zwierzęcia czy człowieka trwa minutę czy godzinę może niekiedy oznaczać różnicę między życiem a śmiercią. Kiedy nie było nic do roboty, nikt nie mógł dorównać im w gnuśności. W innych wypadkach stawali się precyzyjni jak jubilerzy. Patrząc na las, widzieli każdą roślinę i znali jej nazwę czy porę, kiedy jest jadalna lub nadaje się na lekarstwo; widzieli tropy wszystkich żywych stworzeń, które tamtędy przechodziły. Każdego z nich można byłoby zrzucić gołego na ziemię, a po kilku dniach urządziliby się na niej wygodnie.

W porównaniu z nimi byliśmy tępi jak osły. Nie potrafili pojąć, dlaczego nas nie pokonali. Tshaway zawsze powtarzał, że białe kobiety znoszą tuziny jajek jak kaczki, a z jajek tych biali wykluwają się noc po nocy, więc nieważne, ilu się zabije, i tak będą nowi.

Co do mnie, to śniłem nocami, że skrobię skóry i budziłem się, czując skrobaczkę w dłoni. Kiedy skóra została oczyszczona i wysuszona, braliśmy wielką miskę i zanurzaliśmy ją w zwierzęcych mózgach, łożu, mydlanej wodzie z juki (które wykopywałem, ciąłem, zносиłem do obozu, a następnie tłukłem i gotowałem) i jakiejś starej wątrobie. Najczęściej używaliśmy łożu z niedźwiedzia i to właśnie z tej przyczyny zabijano miśki. Mój ojciec i inni ludzie z pogranicza uznawali niedźwiedzie mięso z miodem za królewski obiad, natomiast Indianie jedli niedźwiedzinę tylko wtedy, kiedy nie mieli kopytnego mięsa.

A co się tyczy skór: jeśli zostawało na nich włosie, garbowało się tylko jedną stroną, a jeśli nie było włosa, garbowało się je obustronnie. Potem nadchodził czas na najgorszą część wyprawiania: dwa dni ugniatania i wykręcania, żeby skóra stała się miękka. Ostatnim krokiem przy irsze jest wędzenie, żeby skóra stała się wodoodporna, czego nie robiło się z irchą na sprzedaż.

Kiedyś w sierpniu nosiłem wodę i przyłączył się do mnie Ntutkaru. Powitałem go z radością, gdyż nie było go prawie przez całe lato, a choć mieszkaliśmy w jednym tipi, rzadko miewaliśmy okazję, by z sobą porozmawiać, jako że kobiety zatrudniały mnie od świtu do nocy. Wrócił z ostatniego najazdu ze skalpem, więc choć wciąż wyglądał jak chłopak z kościstymi ramionami i nogami, kobiety pytały go teraz o zdanie, a mężczyźni zapraszali do uprawiania hazardu. Komancze nie mieli rytuału przechodzenia w dorosłość – nie uganiali się za wizjami ani nie przebijali sutków haczykami; kiedy uznawali, że są w stanie wyruszyć na wyprawę, zwyczajnie to robili, pilnując

najpierw koni, a potem stając do boju.

– To babska robota – przywitał mnie Ntutkaru.

Niosłem wodę pod górę. Po jej zanieśieniu miałem zabrać się za kopanie ziemniaków w błocie.

– Każą mi to robić – odpowiedziałem.

– Więc im powiedz, że już nie będziesz.

– Toshaway spuści mi baty.

– Z całą pewnością nie.

– Więc jeśli nie on, to jego żony, matka i sąsiadki.

– I co z tego?

Szliśmy dalej.

– Co im powiem?

– Wystarczy, że powiesz nie – odrzekł. – Reszta to szczegóły.

Wspinaliśmy się na wzgórze. Popołudnie było chłodne i kobiety nie wymagały ode mnie za wiele. Nie czułem potrzeby doprowadzania do awantury. Ntutkaru musiał to wyczuć, bo odwrócił się nagle i kopnął mnie w krocz. Opadłem na kolana.

– Dla własnego dobra słuchaj mnie teraz uważnie. – Kiwnąłem głową. Pomyślałem, że dawniej rzuciłbym się na niego i zamordował go na miejscu. Teraz miałem tylko nadzieję, że nie kopnie mnie po raz drugi. – Każdy mężczyzna chce zostać *Numtuntu*, a ty wyrzekasz się tego, choć podaję ci to na talerzu. Kiedy Indianie głodują w rezerwatach... Czikasawowie, Czirokezi, Wichita, Szaunisi, Seminole, Quapawowie, Delawarowie... – przerwał – ...nawet Apacze i Osedzowie, i mnóstwo Meksykanów... wszyscy oni chcą się przyłączyć do naszego plemienia. Opuszczają rezerwaty, ryzykując *ooibehkartu*... połowa z nich umiera, usiłując nas znaleźć. Jak myślisz, dlaczego?

– Nie wiem.

– Bo jesteśmy wolni. Mówią jak Komancze, zanim tu dojadą, Tiehteti. Mówią swoim językiem i mówią też po naszymu. Wiesz, dlaczego? – Rozejrzałem się za dzbanem, który niosłem. – Bo Komancze nie są babami.

– Muszę zanieść wodę – odpowiedziałem.

– Rób, co chcesz, ale wkrótce będzie za późno, a wszyscy uznają cię za *na?raiboo*.

Następnego ranka żony Toshawaya, jego matka i sąsiadki sprzątały obozowisko. Mężczyźni siedzieli wokół ognia, palili albo jedli śniadanie.

– Przynieś mi wody, Tiehteti-taibo. – Tak brzmiało moje pełne imię. Oznaczało Żaloszny Biały Człowieczek. Nie było złe, jeśli chodzi o imiona Komanczów. Ruszyłem bez zastanowienia po dzban, a potem poczułem na sobie spojrzenie Nttukaru.

– No, dalej – popędzała mnie córka Toshawaya. Spiorunowała Nttukaru wzrokiem – musiała wiedzieć, co się święci. Praca, która tak mnie wyczerpywała, męczyła wcześniej jej matkę i babkę; jeśli rzucę wszystko, praca znów przypadnie kobietom.

– Nie będę już nosił wody – oznajmiłem. – *Okwéetuku ntu miaru.*

Jedna z sąsiadek, kobieta o głosie osła, cięższa ode mnie o sześć do ośmiu kamieni, porwała jedną ręką topór, a drugą chwyciła mnie za nadgarstek. Dałem drapaką między tipi, omijając garnki i narzędzia. Mężczyźni pohukiwali radośnie, a sąsiadka rzuciła we mnie toporem, który – takie szczęście nie dopisywało mi od miesiąca – trafił styliskiem w głowę. Rozdzwoniły się wszystkie dzwony, ale babon już mnie nie gonił. Dyszał ciężko. Zwolniłem kroku.

– Zabiję cię, Tiehteti.

– *Nasiuntu* – rzuciłem. Oszczaj się. Mężczyźni odwrócili głowy i zaczęli rozmawiać głośno o planowanej wyprawie łowieckiej. – Idę nad rzekę – oznajmiłem. – Ale już nigdy nie przyniosę wody.

– Więc przynieś chociaż drewna – zawołała za mną matka Toshawaya. – Już nie będziesz musiał nosić wody.

– Nie – rzuciłem. – Niczego już nie będę nosił.

Ruszyłem w dół strumienia aż do rzeki Canadian i usiadłem w słońcu. Na przeciwnym brzegu, o dwie staje w dół rzeki, zobaczyłem jelenie i Indian. Przysnąłem i obudziło mnie burczenie w brzuchu – wyszedłem z obozu bez śniadania. Nie miałem noża, jedyne, co miałem to przepaska na biodrach. Wokół rosło pełno strąków jadaloszynu, ale chciałem mięsa, więc wszedłem w trzciny i przez pół godziny polowałem na żółwia. Ryby były tabu, ale żółwie nie. Nie miałem czym go zabić, więc zaniósłem go na brzeg, gdzie znalazłem spory kawałek tęczowego krzemienia. Stanąłem na skorupie, a żółw wystawił łeb, który mu uciąłem krzemieniem. Wypiłem kropelkę jego krwi, smakowała rybami, ale nie była zła, więc wypilem więcej, a potem odwróciłem żółwia i wyssałem z niego całą krew.

Pomyślałem, że mama nie byłaby uszczęśliwiona, widząc jak piję gadzią krew niczym dziki Indianin. Obliczyłem, że spędziłem z Komanczami już pół roku, ale przez cały ten czas nie miałem kiedy się zastanowić, bo tylko pracowałem i spałem. Teraz przyszło mi do

głowy, że mój mózg został wytarty jak gumką do czysta. Bo kiedy myślałem o matce, widziałem ładną kobiecą twarz, choć nie byłem do końca pewny, czy ta twarz należała do niej. Zapomniałem o żółwiu i usiadłem. Przyglądałem się Indianom na drugim brzegu. Mieli ze sobą nowego jeńca, czerwonego Meksykanina. Pomachałem do nich, odpowiedzieli tak samo. Poczułem się lepiej.

Z żółwia wyływała krew. Zastanawiałem się, czy Ntutkaru mówił prawdę, czy zrobił ze mnie durnia. Jeśli pozwolą kobietom znów mnie pociąć – a była to jedyna zabawa, jaką kiedykolwiek miały – lepiej dla mnie byłoby nosić wodę.

Wypatrzyłem drugiego żółwia grzejącego się w słońcu i postanowiłem go złapać, potem wypatrzyłem jeszcze kolejne dwa. Obciąłem im głowy, ale nie miałem czym rozpaść ognia. Nie wpadłem w rozpacz. Znalazłem suchy cedr i oderwałem od niego korę. Znalazłem też drugi krzemień, żeby wykopać dołek do rozpalania ognia oraz krótki prosty patyk do obracania. Miałem sprawne mocne dłonie i po kilku minutach wyborowałem żar, a podpałka zapaliła się od węgielka z łatwością.

Kiedy nadjechał ojciec Toshawaya, przysypiałem w trawie z brzuchem pełnym żółwiny. Spojrzał na puste skorupy.

– Nic dla mnie nie zostawiłeś, obżartuchu?

– Nie wiedziałem, że przyjedziesz.

Siedział na koniu, patrzył na rzekę i myślał o jakichś sprawach.

– Wskakuj na konia za mną – powiedział wreszcie. – Już nie musisz przejmować się kobietami.

Następnego dnia spałem najdłużej od wielu miesięcy, a obudziła mnie paplanina Ntutkaru i Escuté.

– Biały staje się mężczyzną – oznajmił Ntutkaru, kiedy wyłoniłem się z tipi. Aż nie mogłem uwierzyć, że spałem tak długo.

– Po prawdzie – odpowiedział Escuté – stał się chłopcem.

Podali mi kawałek upieczonego mięsa i lemoniadę z sumaku oraz kilka małych ziemniaków. Siedzieliśmy i paliliśmy.

– Co dzisiaj robimy?

– *My* nic nie robimy – odrzekł Escuté. – *Ty* dołączysz do innych dzieci.

Spojrzałem na nich uważniej, ale nie żartowali. Mężczyźni postanowili, że jako ktoś opóźniony we wszystkim, co męskie, nadaje się najlepiej do grona ośmio- i dziewięciolatków.

Dziesięciolatek z plemienia Komanczów potrafił zabić za pomocą

prymitywnego, wykonanego przez siebie łuku każde stworzenie mniejsze od bizona. Podczas potyczki w Ratuszu w San Antonio, gdzie na rozmowach pokojowych pojawili się wielcy wodzowie, których następnie zmasakrowali biali, pewien ośmioletni Komancz, usłyszawszy o zdradzie, porwał swój dziecinny łuk i strzelił z niego prosto w serce najbliższego białego. Wyrywał strzałę z serca zabitego, kiedy i jego zamordowano.

Dzieci, do których mnie posłano, były mniejsze od anglosaskich równolatków, ale każdą minutę krótkiego dotychczasowego życia poświęcały na jazdę konną, strzelanie i polowanie. Potrafiły osiąść konia, który zrzuciłby każdego białego i trafiały w siebie nawzajem tępyimi strzałami w pełnym galopie. Nigdy nie chodziły do szkoły niedzielnej ani na lekcje, w gruncie rzeczy nikt od nich niczego nie wymagał i nie żądał, z wyjątkiem tego, by żyły zgodnie z odwiecznymi prawami, czyli polowały, tropiły i bawiły się w wojnę. Zanim urosły im długie włosy, jeździły na wyprawy pilnować koni, aż wprawianie się w prowadzenie wojny i sama wojna stały się jednym.

Zachęcano je także do kradzieży, ale tylko podczas obecności właściciela kradzionej rzeczy i tylko pod warunkiem, że ją zwracały. Nóż myśliwski Toshawaya skradziono podczas południowego posiłku, a pistolet wyjęto mu spod okrycia. Biali wiedzieli, że Indianie potrafią ukraść konia jeźdźcowi, który zdrzemnął się w siodle, nawet jeśli owinał sobie wodze wokół nadgarstka, a kiedy Komancz mówił: „Ten wojownik to najlepszy złodziej koni w naszym plemieniu”, było to największym komplementem, sposobem na powiedzenie, że człowiek ów potrafi wślizgnąć się niepostrzeżenie w sam środek obozu wroga, człowiek, który z pewnością stanie się bogaty, jako że konie były wspólną walutą zarówno wśród Indian, jak i białych. Komancze byli równie uszczęśliwieni, mogąc okraść z koni oddział Rangersów czy grupę osadników, jak wtedy, kiedy ich zabijali, wiedzieli bowiem doskonale, że bez koni biali są zdani na łaskę polujących na bizona wilków, górskich panter czy możliwość dostępu do wody.

Po kilku tygodniach uznano, że jestem gotów do polowań z łukiem, więc pewnego dnia wraz z trzema innymi chłopcami zaszyłem się w kępie trzcin nad rzeką i czekałem. Nic do nas nie przyszło, a po jakimś czasie jeden z chłopców zerwał trzcinę, włożył ją sobie do ust i dmuchnął w taki sposób, że ozwało się beczenie spłoszonego jelonka. Po kilku chwilach usłyszeliśmy stąpanie, potem zapadła cisza, a potem znów stąpanie. Wreszcie w wysokiej trawie i zwalonych przez

wiatr drzewach pojawiła się łania. Strzygła uszami i patrzyła prosto na mnie. Wiedziałem, że nie naciągnę niepostrzeżenie łuku. Nie mówiąc już o tym, że strzały nie przejdą przez czaszkę zwierzęcia, tylko między żebrami.

Dziesięciolatek wydał kolejny odgłos, który – zda się – dobiegał z drugiej strony gęstwiny. Łania odwróciła głowę, ale wciąż stała do nas przodem.

– Teraz możesz strzelać – szepnął chłopiec.

– Ale stoi przodem...

– Poślij strzałę w szyję.

– Celuj niżej, żeby trafić, kiedy opuści głowę.

Naciągnąłem cięciwę i poczułem się lepiej – zwierzę wciąż trwało w bezruchu – ale po brzęku zwolnionego jelita łania przykucnęła i wyskoczyła wysoko. Jakimś cudem strzała w nią weszła, ale tylko przecięła mięsień. Uciekła pędem z zadartym ogonkiem. Najmłodszy z chłopców pokręcił głową.

– *Yee* – powiedział. – *Tiehteti tsa?awinu.*

– Co myślisz? – zapytałem.

– *Aitu* – odpowiedział najstarszy. – Kiepsko. Będziemy ją tropić przez cały dzień.

Pozostali westchnęli. Przemknęliśmy nad rzekę, rozejrzeliśmy się za żółwiami, założyliśmy parę wnyków, a kiedy chłopcy doszli do wniosku, że łania już się uspokoiła i zaczęła sztywnieć od rany, poszliśmy za nią przez jednakową wysoką trawę i znaleźliśmy zwierzę pół mili dalej, kierując się czterema plamami krwi i wygniecionym mchem na pniu drzewa. Widząc nas, zerwała się do biegu, ale trafiliśmy ją jeszcze trzema strzałami. Oczekaliśmy długą chwilę, a kiedy znaleźliśmy ją po raz drugi, była martwa.

– To było oszustwo: przyzywanie jej głosem – powiedziałem.

– Więc następnym razem podejdź ją i rzuć w nią włócznią.

– Albo nożem.

– Albo rzuć się na niedźwiedzia.

– Mówiłem tylko o beczeniu jelonka.

Najstarszy machnął niecierpliwie ręką.

– Kazali nam upolować jelenia, *Tiehteti*, i byliby bardzo źli, gdybyśmy tego nie zrobili. Następnym razem traf prosto w szyję, żebyśmy nie musieli tropić zwierzyny przez cały dzień.

– Celuj w grube tętnice.

– I nie przebieraj palcami – dodał ośmiolatek. Naciągnął niewidzialny

łuk. – Trzymaj palce jak najdalej od cięciwy.

– Tak jak ci pokazywaliśmy – zakończył najstarszy.

Nic nie odpowiedziałem.

– Jak będziesz przebierał palcami i kręcił cięciwą, nigdy nie strzelisz prosto.

– Toshaway może zaświadczyć, że dobrze strzelam z broni palnej.

– Więc znajdź sobie jakąś, cwaniaku.

Chłopcy sporządzali własne łuki i strzały, ale prawdziwa broń była dziełem starych wojowników, zbyt ślepych lub zbyt wolnych, by jeździć na wyprawę; mężczyzn bez pary albo – co niewiarygodne – zmęczonych zabijaniem, pragnących poświęcić ostatnie lata życia na wytwarzanie dzieł artystycznej natury.

Do wyrobu łuków najlepiej nadawała się żółtnica, choć jesion, morwa i orzesznik też nie były złe; strzały robiono z derenia. Nosiliśmy przy sobie duże nasiona *ohapuupi*, wsadzając je wszędzie gdzie się dało – tak postępowały rozmaite plemiona od setek, a może tysiący lat, a drzewa *bois d'arc* rosły wszędzie na równinach. Równie ważny był *parua*, czyli dereń. Kiedy znajdowaliśmy kępę dereni, przycinaliśmy pnie niemal do ziemi. Każdy taki pień wypuszczał nowe gałązki następnej wiosny – rosły prosto i idealnie nadawały się na dobre strzały. Położenie kęp derenia było zapamiętywane, a drzewa przycinano starannie, żeby nie obumarły.

Zwykły łuk – lepszy od tych, które dziś robią w fabrykach – był wart jednego konia. Górne i dolne ramię łączyśka musiało uginać się równomiernie przy odpowiednim naciągu w odpowiedniej odległości od majdanu. Ozdobny albo bardzo dobry łuk był wart tyle, co dwa albo trzy konie. Łuki miały jard wysokości (niewiele w porównaniu z tymi, które były używane przez plemiona ze wschodu, ale my – inaczej niż oni – walczyliśmy konno) i cięciwę z jelit albo lepiej ścięgien grzbietowych jelenia lub bizona. W trudnych czasach wyrabiający łuki zbrojmistrze produkowali je bardzo szybko; w dobrych – kiedy nie ginęli wojownicy, a wraz z nimi oręż – rzemieślnicy nie śpieszyli się, a ich dzieła przechodziły do legendy.

Ze strzałami było tak samo. Zrobienie jednej zajmowało i pół dnia: strzały odpowiednio prostej, o właściwej długości i sztywności, z piórami w lotce w jednakowym położeniu, a podczas jednej minuty walki wystrzeliwało się i dwa tuziny. Strzały sprawdzano pod względem twardości i sprężystości, podstawiano pod światło i prostowano w zębach. Krzywa strzała nie różniła się niczym od

karabinu z wykrzywioną lufą. Komancze strzelali z łuku na odległość pięćdziesięciu jardów, kiedy posyłali strzały jedna po drugiej, i na odległość stu jardów, kiedy mogli długo mierzyć. Pewnego bezwietrznego dnia widziałem jak Toshaway zabił antylopę oddaloną o całą staję: pierwsza strzała trafiła zwierzę w kłęb (tak cicho, że nawet nie dało się zauważyć), druga spadła na ziemię, a trzecia, równie cicho, utkwiała między żebrami.

Cięciwy robiono najczęściej ze ścięgien, które – gdy były suche – posyłały strzały najszybciej, choć nie można było na nich polegać, kiedy zamokły. Niektórzy woleli cięciwy z końskiego włosia, z których strzelało się wolniej, ale niezawodnie w każdych warunkach, a jeszcze inni wybierali do tego celu niedźwiedzie jelita.

Najlepsze pióra na lotki pochodziły z indyka, ale sowie czy z myszołowa nadawały się równie dobrze. Nigdy nie używano piór jastrzębia ani orła, bo były umazane krwią. Najlepszy promień strzały był rowkowany na całej długości. My używaliśmy dwóch rowków, a Apacze ze szczepu Lipan czterech. Rowki zapobiegały tamowaniu krwi w ranie otwartej przez grot, a także wypaczaniu się promieni strzał.

Groty strzał myśliwskich mocowano pionowo, ponieważ żebra zwierzyny są ustawione pionowo względem ziemi. Groty wojennych mocowano równoległe do ziemi, tak jak ludzkie żebra. Groty myśliwskie nie miały kolców i przywiązywano je mocno do promienia, żeby strzałę dało się wyciągnąć i użyć ponownie. Strzały wojenne miały kolce, a groty przywiązywano luźno, żeby po wyciągnięciu promienia ostrze tkwiło dalej w ciele wroga. Jeśli dostało się taką strzałą, należało ją wypchnąć z ciała z drugiej strony. W tamtym czasie wiedzieli już o tym wszyscy biali, choć nie mieli pojęcia, że wykorzystujemy inne strzały na polowaniu.

Wszystkie plemiona z równin używały strzał z trzema piórami, choć niektóre ludy ze wschodu stosowały tylko dwa pióra, czym gardziliśmy, gdyż nie zapewniało to celności. Oczywiście Indianie ze wschodu mieli to gdzieś, jako że żyli z tygodniowych przydziałów mięsa od białych, a poza tym i tak byli przez większość czasu pijani, wyrzucając sobie, że nie umarli wraz z przodkami.

Jesienią i zimą widywałem czasami Niemkę, którą ze mną pojmano. Większość indiańskich rodzin miała przynajmniej jednego niewolnika albo jeńca, często meksykańskiego chłopca albo dziewczynkę, gdyż Komancze najczęściej wyprawiali się na wypad i kraść konie do



Meksyku. To, co robili w tamtym kraju miało zupełnie inną skalę, bo potrafili jednej nocy zrównać z ziemią całe wsie. Teksaszczyki nie mogli więc narzekać.

Oczywiście było też wielu białych jeńców z osad spod Dallas, Austin czy San Antonio; jednego z chłopców porwano nawet we wschodnim Teksasie. Byli też jeńcy z innych plemion. Ponieważ pokładano we mnie wielkie nadzieje na przyszłość, unikałem kontaktów z pozostałymi jeńcami.

Jedyną osobą, dla której zrobiłem wyjątek była owa młoda Niemka, która nosiła imię *Suhi?ohapitu* – Żółte Włosy Między Nogami – lecz najczęściej mówiono do niej Żółte Włosy. Bez względu na to, kim była wcześniej, dla Komanczów stała się nikim, była niewidzialna. Przez całe dni skrobała skóry, nosiła drewno i wodę, kopała *tutupiptu*, słowem robiła to samo co ja przez pierwsze pół roku. Tylko że dla niej to nigdy nie miało się skończyć.

Wiosną wpadłem na nią na jednym z pastwisk, gdzie pilnowałem koni. Wyglądała na dobrze odżywioną i była mocno umięśniona jak na białą kobietę – bez grama zbędnego tłuszczu. Chyba odzwyczaiła się od wody, bo poczułem jej zapach z dużej odległości, a na plecach miała pełno *mohto?a*, jakby nie kąpała się od miesięcy.

– To ty – powitała mnie po angielsku. – Wybrany. – Domyśliłem się, że jest nadszana. – Widzę, że dobrze cię traktują.

Dawno niesłyszany angielski odrzucił mnie. Powiedziałem jej – w języku Komanczów – że powinna się umyć. To nie było miłe, ale wpadłem we wściekłość, kiedy zasugerowała, że stałem się jakimś dezerterem.

– Po co? – zapytała. – Myślałam, że przestaną się do mnie dobierać, ale nic nie jest ich w stanie powstrzymać.

– Nie wolno im już tego robić. Mogą mieć przez to duże kłopoty.

– Ale robią to nadal.

– Ale nie powinni.

– Gadaj zdrów.

– Robią ci to tak, jak wcześniej?

– Nie. Tylko jeden czy dwóch – odpowiedziała. – Ale to żadna różnica.

– Jak się miewają wasze konie? – zapytałem. – Ten ze skreconą nogą... Mógłbym go opatrzyć.

– Zastanawiasz się czasem nad tym, kim jesteśmy? – zapytała. – Mnie, kiedy się do nich odzywam, w ogóle nie zauważają. Dali mi nowe imię ze względu na to... – Wskazała palcem między nogi. – Tylko tym

jestem. – Nic nie odpowiedziałem. – Jedyna myśl, która sprawia mi radość to to, że kiedy umrę, stracą dużo pieniędzy, bo nie zdążą wyprawić wszystkich skór. – Spojrzała na mnie. – A ty, Tiehteti... – użyła indiańskiego imienia – ...jak siebie widzisz?

– Normalnie – odpowiedziałem.

– Jesteś za młody. Wiedzą, kogo porywać.

To też mnie rozeźliło.

– Mógłbym ci pomóc, gdybyś mnie tylko poprosiła – mruknąłem, choć nie wiedziałem, co mam na myśli.

– Więc mnie zabij. Albo mnie stąd zabierz. Wszystko mi jedno.

Wróciła do skrobania skór. Odszukałem wzrokiem Ekanaki, srokatego pinto o kasztanowych uszach, którego dostałem od Toshawaya. Słońce chyliło się ku zachodowi, robiło się zimno i wszędzie leżał koński nawóz.

– Muszę iść po konia – powiedziałem.

– Tak myślałam.

Byłbym najszczęśliwszy, gdybym nie musiał z nią już nigdy rozmawiać.

– Tiehteti – zawołała za mną – jak będę wiedziała, że to ty, nie będę się opierać. – Wskazała palcem tętnicę na szyi, gdzie wbija się nóż. – Obiecuję. Sama nie umiem tego zrobić.



## J.A. McCullough

Dom od dawna wydawał się wymarły, a ona była jego ostatnim dzieckiem. Chciała się podnieść. Nad jej głową wisały milczące żyrandole, obojętne na jej cierpienie. *Wstań*, pomyślała. Ale nic się nie stało.

W czasach jej dzieciństwa dom był radosnym i hałaśliwym miejscem, w którym ani na chwilę nie zapadała cisza, trudno tu było o minutę spokoju. Sama myśl o tym, że któregoś dnia będzie leżała samotnie na podłodze, a wokół zapanuje grobowa cisza... Kiedy wracała do domu ze szkoły, w salonie albo na galerii zawsze ktoś perorował, wystarczyło, że zrobiła parę kroków i spotykała Pułkownika otoczonego wianuszkiem znajomych, którzy pili albo strzelali do glinianych gołębi. Pojawiali się poważni młodzi ludzie, którzy robili notatki, bardzo starzy osadnicy z równin, dożywający swoich dni w wynajętych pokojach, oraz tacy, którzy jak Pułkownik, byli milionerami.

Pojawiali się reporterzy i politycy, i Indianie przyjeżdżający całymi grupami po sześciu czy ośmiu w jednym samochodzie. Pułkownik zmieniał się w obecności Indian. Z rubasznego gospodarza białych stawał się potulnym, kiwającym głową słuchaczem. Nie podobała się jej ta przemiana. Indianie nie nosili się tak, jak powinni, wyglądali na farmerów albo Meksykanów, cuchnęli i w ogóle nie zwracali na nią uwagi. Przemykali po całym domu, a ojciec uważał, że kradną. Ale Pułkownikowi wcale to nie przeszkadzało, a Indianie rozumieli się z kowbojami. Często zastawała ich wszystkich o poranku w salonie, tuziny śpiących pośród dawnych wrogów starców, wszędzie rozlane piwo i whiskey, a na kominku niedojedzona ćwiartka wołu.

Dom należał do Pułkownika, nikt nie miał co do tego wątpliwości, choć on sam sypiał najczęściej w *jacalach* na wzgórzu. Ojciec skarżył się na hałas, na „zastaw się, a postaw się”, na niekończący się korowód obcych i gości, na rachunki za żywność i na liczbę służby. Pułkownik wcale go nie słuchał, uznawał ojcowskie zainteresowanie bytłem za nazbyt wymagające.

– Od dwudziestu lat nie zarobiliśmy ani centa na tych głupich

bydlętach – mawiał. – Twój ojciec nie potrafi się wysrać bez pytania o zgodę powiatowego agronoma. – Pułkownik opowiadał się za ropą, za tym, żeby Jonas wyjechał do Princeton, a Clint i Paul gospodarzyli na farmie. – Ale ty – mawiał, klepiąc ją po ramieniu – ty coś osiągniesz!

Nie wiedziała, jak kruche są te przewidywania. Teraz, patrząc na olbrzymi salon z podłogi, ujrzała dom takim, jakim się stanie: siedliskiem nietoperzy i sów, myszy i kojotów, jeleni przechadzających się po pokrytych pyłem posadzkach. Dach się w końcu zawali, w środku wyrosną kolczaste zarośla, aż z domu zostaną kamienne mury na pustyni.

Oprócz Pułkownika, jedyną osobą, która poświęcała jej czas, była babka. W upalne dni siadywały w bibliotece, a babka sortowała po raz tysięczny zawartość różnych szkatułek, zdjęcia i dagerotypy: o, na tym jest jej pierwszy mąż, który zmarł, nim zdążyli mieć dzieci, a na tym jej siostry, które umarły na tyfus, a tu stryj Glenn w wojskowym mundurze. Zachowało się więcej fotografii Glendale'a – którego postrzelili Meksykanie, a zabili Szkopy – niż mamy Jeannie. Jeśli babka wiedziała coś o kobiecie, która wydała Jeannie na świat, milczała o tym jak zaklęta.

– To twój pradziadek Cornellius, najślawniejszy prawnik w Dallas, twój prapradziadek Silas Burns, który miał największą plantację w Teksasie, zanim jankesi przepędzili Murzynów.

Jeannie nie wiedziała zbyt wiele o Murzynach, z wyjątkiem tych, którzy pracowali na kolei. Mówiono, że jest ich pełno we wschodnim Teksasie. Wiedziała natomiast dużo o starcach na dagerotypach, ich śmiesznych wysokich kołnierzykach i wąsach, surdutach zapiętych pod szyję i twarzach z takim wyrazem, jakby usiedli na drzazdze. Bez względu na to, co mówiła babka, nie była z nimi spokrewniona i nigdy nie będzie. Zaproszenia na przyjęcia, wizytówki, krzykliwe broszki. Tania biżuteria nadająca się tylko dla dziecka. Pierścionek zaręczynowy od pierwszego męża, który zmarł zanim poznała Petera McCullougha. Dziadka Jeannie. Okrytego Wielką Hańbą.

Babka zabierała ją czasem na konne przejażdżki, stajenny przygotowywał konia i boczne siodło – jedyne w hrabstwie Dimmit. Babka dobrze jeździła, nawet na tym przedziwnym siodle. Krzyczała na Jeannie za jazdę na oklep i wspinanie się na ogrodzenia.

– Nadziejiesz się na coś i później będzie ci przykro.

Nie mówiła, dlaczego ma jej być przykro, a czasem, kiedy Jeannie przysypiała podczas wspomnień nudnego dzieciństwa babki, budziło

ją mocne szczygnięcie. Babce i innym dorosłym nie przeszkadzało, że są nudni. Często opowiadali tak długo, że Jeannie wolałaby umrzeć zamiast opisywanej we wspomnieniach osoby, która nieodmiennie była mądrzejsza, ładniejsza albo przystojniejsza, miała więcej elegancji lub wdzięku, a także dowcipu od któregokolwiek ze znanych dziewczynce żyjących. Jeśli Pułkownik znał jakieś nudne historie, musiał o nich zapomnieć. Nigdy nie powtarzał niczego dwa razy. Mówił, gdzie znaleźć gniazdo jastrzębia albo parę jeleni, które padły zakleszczone rogami, albo skamieniały odcisk liścia, albo starą kość, albo odłamek fioletowego krzemienia. Mieli pudełeczko z tym, co razem znaleźli, z czaszkami myszek, wiewiórek, szopów i innych zwierzątek.

Kiedy nie było gości, Pułkownik siadywał na galerii i ostrzył grotty albo strugał cedrowe patyki. Pewnego dnia, kiedy z cedrowego patyka zostały tylko wióry, powiedział jej:

– Gdybym nie był tak stary, weszlibyśmy w przemysł lotniczy. Budowalibyśmy tutaj aeroplany i sprzedawali je rządowi, a lądowałyby na tym polu pod Sanderson.

Chciał nauczyć ją robienia grotów, ale mu się nie udało. Skaleczyła się głęboko w dłoń o ostry kawałek krzemienia: początkowo była bardzo zdziwiona, że kamień może przeciąć skórę do kości, potem zafascynowana wpływem własnej krwi, aż w końcu ją zemdlilo. Pułkownik wyrwał się z transu i we dwoje pokuśtykali do kuchni, gdzie zabandażował jej rękę i wyprowadził z powrotem na werandę.

– Dzisiaj ja stawiam – rzucił i puścił do niej oko. Podszedł do barku i przygotował jej koktajl ze świeżą miętą i lodem, ale bez bourbona i – wbrew zaleceniom taty – pozwolił jej pić prosto z zimnego srebrzystego shakera. We dwoje zawsze konspirowali przeciwko temu wszystkiemu, co było stosowne i dobre. Siedziała z nim uszczęśliwiona, zapominając o bólu. – To był głupi pomysł – odezwał się wreszcie, wracając do porażki z grotom. – Choć jeśli potrafisz zrobić sobie nóż, potrafisz wszystko. Któregoś dnia wezmę komplet grotów, które sam zrobiłem i rozrzucę je po całym ranczo. Za tysiąc lat znajdzie je jakiś archeolog i będzie wymyślał bujdy na ich temat. – Podniósł głowę. – Na tym więzowcu siedzi drozd.

Spojrzała na pastwisko, ale niczego nie dostrzegła. Słońce mocno grzało, ale był dopiero początek roku; trawa wciąż była zielona, a wieczniezielone dęby zaczynały wiosenne zrzucanie liści.

– Mówili mi, że był taki Niemiec, Hertz – powiedział. – Jego nazwiskiem określa się różne rzeczy, a między innymi i to, jak pęka

krzemień, kiedy w niego uderzyć. Zawsze w taki sam sposób. – Podniósł odłamek. – Choć oczywiście Hertz tego nie odkrył. Człowiek, który to odkrył nie żyje od dwóch milionów lat. Bo od tak dawna ludzie tłuką kamieniem o kamień, żeby zrobić narzędzia. – Podniósł kolejny odłamek. – Zapamiętaj – mruknął – wszystko jest gównem, jeśli nie podpiszesz tego własnym nazwiskiem.





## Dzienniki Petera McCullougha

*16 sierpnia 1915 roku*

Strzelaninę dało się słyszeć zaraz po zapadnięciu zmroku. Przed północą przy bramie stanęło z pięćdziesięciu ludzi z pochodniami. Wołali, że mamy im oddać Meksykanów.

Wahali się na gościńcu. Było ich z pięćdziesięciu, fakt, ale wtargnięcie na ziemię McCulloughów to nie w kij dmuchał. Kłębili się długo i w końcu któryś z nich postawił stopę na szczeblu ogrodzenia, zaczął się wspinać. W tym momencie otworzyliśmy ogień nad ich głowami. Charles dobrze wykorzystał automatycznego remingtona, wystrzeliwując wszystkie piętnaście nabojów w załamującą się i uciekającą drogą falangę. Poświęciliśmy później dużo czasu na dogaszanie ognia, który wzniecili rzucając pochodnie.

Potem pod bramę podjechał Niles Gilbert oraz dwóch innych z Ligi Prawa i Porządku i zażądał ode mnie, abym wyrzucił Meksykanów, bo w przeciwnym razie spłonie miasto. Charles odkrzyknął mu:

– Idź pan strzelać do tych durniów, co wam palą miasto. Macie dosyć broni.

– Ilu masz ludzi, Peter?

– Wystarczająco dużo. I uzbroiłem także Meksykanów. – Co nie było prawdą.

– To się nie skończy dla ciebie dobrze – zawołał.

Consuela i Sullivan gotowali przez całą noc, więc było dosyć wołowiny i *cabrito*. Rano połowa rodzin poprosiła o pozwolenie pozostania na ranczo, dopóki w mieście się nie uspokoi. Druga połowa zabrała żywność oraz wodę, i wyruszyła pieszo lub konno przez nasze pastwiska ku rzece i dalej do Meksyku. Znajdą się w strefie wojny, ale widocznie uznali, że to mniej niebezpieczne od tego, co dzieje się tutaj.

Wszyscy oczywiście uważają, że ocalił ich Pułkownik, bo któż mógłby to uczynić, jak nie Don Eli? To napełniło mnie wielką goryczą, ale nie zadałem sobie trudu, żeby wyprowadzać ich z błędu. Nie wiem, w jaki

sposób kiedykolwiek osiągną demokrację, jeśli nadal wierzą, że ich życiem kierują wpływowi i potężni ludzie. Albo też dostrzegają coś, czego my już nie zauważamy.

Ojciec zachowywał się przyzwoicie, bawiąc dzieci na werandzie opowieściami o Indianach, ucząc je rozpalać ogień dwoma patykami i pokazując, jak się strzela z łuku (ciągle potrafi naciągnąć swój stary indiański łuk, którego cięciwa jest dla mnie sztywna jak z żelaza). Był wesoły i rozbawiony, często wybuchał śmiechem – nie widziałem go w tak dobrym nastroju od śmierci mamy. Może powinien zostać nauczycielem? Kiedy spoglądaliśmy razem za odjeżdżającymi ku rzece uchodźcami, uciekającymi z całym dobytkiem na grzbietach mułów lub wozach, mruknął:

– Zdaje się, że widzimy wszystkich uciekających na południe po raz ostatni.

Mimo to kochają go. Nocami idą spać do *jacali*, gorących latem i mroźnych zimą, a on wraca do domu – rozległego białego monstrum, na które musieliby pracować przez tysiąc lat albo i tysiąc tysięcy. Rodzą martwe dzieci i chowają je pod *corralami*. Kim ty jesteś, by twierdzić, że nie są szczęśliwi? Tak powie każdy biały, patrząc ci prosto w oczy.

Po wyjeździe największej grupy Meksykanów wybraliśmy się w kilka osób do miasta, chodziliśmy od drzwi do drzwi i wszystkim, których nie znaleźliśmy, daliśmy pięć minut na wyjazd. Campbell postawił nową tablicę:

KAŻDY, KTO NOSI BROŃ, ZOSTANIE  
ZASTRZELONY I/LUB ARESZTOWANY.

Do szóstej ulice opustoszały. Spalono czternaście domów. Sierżant Campbell jutro wyjeżdża, żeby opatrzyć rany. Zmyto mu niewątpliwie głowę, bo nie wyjechał na południe chronić dużych rancz: dwieście milowych działek uważa się za ranczo średniej wielkości. Dzięki cukrowi Guillerma stan ręki Campbella przestał się pogarszać.

Żeby się odprężyć, po raz pierwszy od tygodnia czytam gazety. Burza w Galveston zabiła wczoraj trzysta osób. Podczas ostatniego wielkiego zwycięstwa w Galveston zginęło dziesięć tysięcy osób, kończąc panowanie tego miasta nad Teksasem.

O piątej rano zadzwoniła Sally. Zdaje się, że gorączka Glenna zaczęła

opadać.

### *18 sierpnia 1915 roku*

Dzisiaj na zebraniu wszystkich pozostających przy życiu mieszkańców miasta zaproponowałem, żeby stację kolejową nazwać na cześć Billa Hollisa (który zginął u Garciów); moją propozycję przyjęto i wprowadzono w życie. Bardzo mi przykro z powodu Marjorie Hollis. We wszystkich artykułach gazetowych wspominało o rannym Glennie, wszystkie doniesienia wymieniały Charlesa, który jakoby poprowadził atak na zabudowania Garciów (dodając za każdym razem, że jest wnukiem słynnego pogromcy Indian, Eli McCullougha), natomiast Bill Hollis doczekał się tylko jednej wzmianki w lokalnej gazecie.

Później zastanawiałem się, dlaczego nie zaproponowałem, aby stację nazwano na cześć któregoś z wielu zabitych Meksykanów.

### *20 sierpnia 1915 roku*

Była burza, a wraz z nią ulewa. Wszyscy są w dobrych nastrojach, z wyjątkiem mnie. Nie mogę spać, wracają do mnie oblicza Garciów, cały poranek spędziłem w nerwowym oszołomieniu, szukając czegoś do roboty, jakbym nie miał czym zająć myśli... Unikam zerkania w cienie, bo wiem, kogo tam znajdę.

Pojechałem do Reynoldsów zapytać o dziewczynę, która przeżyła, Marię Garcia, jak wszyscy dobrze wiemy. Wygląda na to, że Maria najpierw zamknęła się w sypialni, a potem zniknęła w nocy, skradłszy starą parę butów, jako że była bosa.

Ike poprosił mnie na werandę, gdzie nikt nie mógł nas usłyszeć.

– Pete, nie bierz tego do siebie, ale gdybym był tą dziewczyną, mógłbym uznać, że jestem jedynym żyjącym świadkiem morderstwa. – Podniósł obie ręce. – Nie twierdzą, że była świadkiem czegokolwiek, ale z jej punktu widzenia...

– Byłem temu przeciwny od początku.

– Wiem. – Zaszurał podeszwą. – Czasem żałuję, że tu nie da się inaczej żyć.



## Eli/Tiehteti

1850

Po upływie roku traktowano mnie jak każdego innego Komancza, choć trzymano mnie na oku, niczym pijącego wuja, który złożył przysięgę abstynencji. Przyroda wyposażyła mnie w ciemne oczy i włosy, a zimą, chcąc zachować brązowy kolor skóry, kładłem się na skórach w słońcu. Przez większość nocy spałem mocno jak zarżnięte ciele i nie myślałem o ucieczce do białych. Wśród nich czekał mnie tylko wstyd, a jeśli ojciec wybrał się mnie szukać, w ogóle o tym nie słyszałem.

Escuté i Ntutkaru nadal mnie ignorowali, więc spędzałem czas z młodszymi chłopcami. Dorośliśmy do okiełznywania koni, a wkrótce mieliśmy opiekować się całą *remudą* podczas wypraw. Z równin stale napływały do nas dzikie konie: zawsze kiedy wypatrzone ich stado, najlepsi jeźdźcy ścigali je i chwyтали na lasso. Te, którym nie skrecono karku, sprowadzano do obozowiska. Tam zatykano im nozdrza, aż padły na ziemię. Wtedy pętano je i zostawiano nam do okiełznania.

Biali lubią kasztanki, ale konie tej maści są nieprzydatne dla Indian. Chwytaliśmy tylko pięć rodzajów koni: ubarwione czarno, ubarwione czerwono, appaloosa, czerwone pióropusze i czarne pióropusze. Pióropusze miały ciemne pasy wokół głów, ciemne uszy i gwiazdę albo tarczę na piersi. Jeden z nich – *pia tso?nika*, pióropusz wojenny – miał ciemne plamy wokół oczu i z daleka wyglądał jak trupia czaszka albo śmierć. Całe wieki znojnego życia uczyniły z tych zwierząt pantery – miały one tyle wspólnego z udomowionymi końmi, co wilk z pieskiem pokojowym; przy pierwszej sposobności kopały każdego w żebra. Kochaliśmy je.

Spałem, kiedy chciałem, jadłem, kiedy byłem głodny, a jak mi się nie chciało, mogłem nic nie robić przez cały dzień. Biali we mnie spodziewali się, że w każdej chwili dostanę polecenie wykonywania takich czy innych obowiązków, niewolniczej pracy, ale to nigdy się nie zdarzyło. Jeździliśmy konno, polowaliśmy, uprawialiśmy zapasy i robiliśmy strzały. Zabijaliśmy każdą żywą istotę, na której zatrzymał

się nasz wzrok, od kuropatw do piesków preriowych, przez siewki i bażanty, czarnoogoniaste jelenie i antylopy. Strzelaliśmy z łuków do panter i wapiti, i niedźwiedzi każdej wielkości, rzucając zdobycze w obozie kobietom do oczyszczenia i odchodząc z wypiętą piersią jak mężczyźni. Wzdłuż rzeki wykopywaliśmy kości wielkich bizonów i olbrzymie skamieniałe skorupy, tak ciężkie, że trudno je było podnieść. Wyławialiśmy z wody raki i gliniane skorupy i zanosiliśmy je na wysoki brzeg, żeby rozbić wszystko w drobny mak o skały. Nocami strzelaliśmy do rysiów polujących na kaczki w trzcinach. Robiło się coraz cieplej, wschodziła trawa, juki wypuszczały listki i wielkie białe kwiaty wiszące dziesięć stóp nad ziemią. Rabaty niebieskiego łubinu, gailardii i żółtych astrów ciągnęły się przez całe mile raz zielone, raz niebieskie, raz czerwone i pomarańczowe tak daleko, jak okiem sięgnąć. Śniegi stopniały, a niebo okrywały pękate wysokie chmury, które pędząc z wiatrem zakrywały raz po raz słońce: pędziły na południe do Meksyku, gdzie wypalały się na zawsze.

Było pewne, że kilku z nas zostanie zabranych na wyprawę. Byłem najstarszy i jako jedynemu wyrosły mi tam włosy, ale miałem braki. Dobrze strzelałem z ziemi, ale inni chłopcy zabijali bażanty i króliki w pełnym galopie. Mimo to, kiedy pewnego ranka na pastwisku pojawił się Toshaway z pistoletem i tarczą ze skóry bizona, wybrał z grupy właśnie mnie. Inni komentowali to złośliwie, ale nie zwracałem na nich uwagi. Odeszliśmy spory kawałek, aż w końcu Toshaway oparł tarczę o cherlawą topolę i podał mi broń.

– Strzelaj.

– Tak bez powodu?

– Jasne.

Strzeliłem i tarcza się przewróciła. Ołów rozbił się o nią, ale nie przebił. Toshaway wyszczerzył zęby i znów oparł tarczę o drzewo, a ja wystrzelałem całą amunicję.

– W porządku – powiedział. – Tarcza zatrzyma ołowianą kulę, ale jak myślisz, że zawsze będziesz strzelał w nieruchome, jesteś idiotą. – Przełożył ramię przez pasy tarczy i zaczął nią obracać. – Tarcza zawsze się rusza. Wojownika kryją też pióra, ale co ważniejsze, tarcza zatrzyma tylko kulę z pistoletu. Kula z karabinu przebije tarczę, to tak samo pewne jak to, że złamiesz sobie nogę, skacząc z drzewa na równy grunt. Jeśli skoczysz na stromiznę, nic ci się nie stanie. Dlatego ruchoma tarcza odbije nawet kulę z karabinu. *Nahktusuaberu?* – Kiwnąłem głową. – Dobrze – mruknął. – A teraz to, co najzabawniejsze.

Szliśmy przez kilka minut, aż stanęliśmy na środku starego pastwiska na obrzeżach obozu. Wszyscy mogli widzieć to, co tu się działo. Jakiś tuzin wojowników siedział nieopodal w słońcu. Grali w *tukii*, ale ujrawszy mnie, wstali i chwycili za broń. Każdy z nich miał łuk i kołczan ze strzałami.

– Dobrze – powtórzył Toshaway. – To będzie bardzo łatwe. Zostaniesz tu, a oni będą do ciebie strzelać. Wolałbym, żebyś korzystał z tarczy tak często, jak się da.

– Dokąd idziesz?

– Nie chcę, żeby mnie zabili! – Wyszczrzył zęby i poklepał mnie po głowie. Wojownicy ustawili się w nierównym szeregu oddalonym o jakieś sto jardów, a kiedy wszyscy byli gotowi, Toshaway pomachał nad głową strzałą i zawołał do mnie: – *Ke matuu mutsiptu!* Są tępe! – Wojownicy roześmiali się. – Nie mają grotów! – powtórzył.

Z tipi wychodzili ciekawscy, a ja zastanawiałem się, czy Toshaway sprawdził każdą strzałę, gdyż z pewnej perspektywy byłoby zabawne, gdyby wśród tępych znalazło się kilka z grotami. Byłem wart tylko tyle, co koń lub dwa, a mnóstwo ludzi z wioski wciąż nie miało ze mnie pożytku.

– *Tiehteti tsa maka?mukitu-tu!* – Kiwnąłem głową. – Ruszaj tarczą!

Skurczyłem się i ukryłem za nią. Strzały potrzebują kilku sekund, żeby pokonać sto jardów, co może wydawać się wiecznością, ale nie wtedy, gdy jest się celem. Większość odbiła się od tarczy, jedna czy dwie w ogóle nie doleciały, ale część trafiła mnie w udo i goleń, a potem znów w tę samą goleń. Było to bardzo zabawne, a kilku wojowników zaczęło mnie naśladować: podskakiwali na jednej nodze i wołali *anáa anáa anáa*. W końcu Toshaway kazał im wrócić na miejsca.

– Musisz się ruszać! – krzyknął. – Tarcza jest za mała, żeby cię ukryć!

Rozbawieni Indianie znów zaczęli strzelać, a ja znów oberwałem parę razy w nogę. Jedna ze strzał obtarła mi czoło, kiedy wyjrzałem zza tarczy.

– Nie musisz się chować przed tymi, które w ciebie nie lecą – ktoś zawołał.

Kucałem, kurczyłem się w sobie – byłem najzabawniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widzieli, a ich uciecha trwała tak długo, póki nie pozbyli się wszystkich strzał. Pokuśtykałem z powrotem do wioski, ale podniósł się wrzask, więc zamieniłem się tylko miejscami

z wojownikami, którzy zbierali strzały.

– To dla twojego dobra – krzyknął ktoś inny. Oślepiało mnie słońce. Zmrużyłem oczy, widząc przed sobą strzałę, która zawisała w powietrzu.

Ocknąłem się jakiś czas później. Nade mną stał Toshaway i pomrukiwał jak kaznodzieja.

– Co? – zapytałem.

– Już doszedłeś do siebie?

– *Haa*. – Dotknąłem przepaski. Była sucha.

– Dobrze. A teraz posłuchaj przez chwilę, powiem ci, co usłyszałem kiedyś od ojca. Różnica między człowiekiem odważnym a tchórzem jest bardzo prosta. Chodzi o miłość. Tchórz kocha tylko siebie... – Zakreśliło mi się w głowie, poczułem chłód ziemi pod plecami. Zastanawiałem się, czy nie rozłupali mi czaszki. Tępą strzałą można zabić jelenia, jeśli jest wystarczająco blisko. – ...tchórz dba tylko o własne ciało – mówił Toshaway. – Kocha je nade wszystko. Człowiek dzielny najpierw kocha innych, a siebie na końcu. *Nahkusuabertu?* – Kiwnąłem głową. – To... – poklepał mnie – ...musi przestać znaczyć cokolwiek. – I znów mnie poklepał: po twarzy, po piersi, po brzuchu, po rękach i nogach. – To wszystko nic nie znaczy.

– *Haa* – odpowiedziałem.

– Dobrze. Jesteś dzielnym małym Indianinem. Ale wszyscy się nudzą. Wstawaj i pozwól im postrzelać.

Po pewnym czasie znów leżałem na ziemi. Wojownicy wrócili w cień i grali, a Toshaway przyniósł mi zimnej wody i obwiązał mi głowę kawałkiem kołdry. Spod niej widać było tylko moje oczy. To wywołało kolejny huragan śmiechu, ale kołdra była jak hełm i przestałem się bać. Pod koniec dnia zmniejszyli odległość o połowę i bardzo się starali we mnie trafić. Po tygodniu żaden już nie potrafił.

Egzamin dojrzałości zdawałem przed całym plemieniem: trzymałem tarczę, a wielki gruby młokos o imieniu Pizon – który nie ukrywał, że jego zdaniem powinienem pozostać *na?raiboo*, a nie członkiem plemienia – celował do mnie z pistoletu Toshaway. Byłem napięty jak struna, ale osłoniłem się przed każdym strzałem, poruszając umiejętnie tarczą. Pizon spojrzał na mnie w taki sposób, że nie miałem wątpliwości – wolałby odstrzelić mi głowę, ale mogłem zachować tarczę. Była czymś świętym i przechowywano ją w ochronnym futerale z dala od obozowiska. Jeśli przypadkiem dotknęła jej kobieta mająca menstruację, należało ją zniszczyć.

Łowy tej wiosny należały do najgorszych, jakie pamiętano. Kiedy



dorastał Toshaway, od stad bizonów preria stawała się czarna na długie tygodnie, lecz żaden z młodszych Indian nie widział czegoś takiego. Na części równin panowała susza, ale główną przyczyną były plemiona ze wschodu, których liczba w Terytoriach wzrastała z miesiąca na miesiąc. Wszystkie czuły się bardzo swobodnie na naszych terenach łowieckich, a zabijanie ich zajmowało nam tyle samo czasu, co mordowanie białych. Walka z innymi plemionami była niezłą zaprawą bojową dla młodego wojownika bez potrzeby pokonywania dużych odległości.

Kiedy juki przestały kwitnąć, Toshaway, ja oraz parę tuzinów innych wojowników wyjechaliśmy na patrol, szukając bizonów albo naruszających nasze terytoria Indian. Po kilku dniach ujrzeliśmy niewielkie stado wędrujące na zachód w kierunku Nowego Meksyku i suchych połaci równin. Oznaczało to, że coś albo ktoś przeszkadza mu w normalnej wędrówce. Zwiadowcy pojechali na wschód, a reszta z nas zabiła bizony. Po powrocie zwiadu dowiedzieliśmy się, że w okolicy grasuje banda Tonkawów. Komancze podchodzili z dużą ostrożnością do niektórych Indian z fortów, ale Tonkawowie lubili wodę ognistą, a zabicie takiego nie było dla nikogo stratą. Po dziesięciu latach wszyscy Tonkawowie byli już martwi.

Ntutkaru, który uczył mnie trudnej sztuki obdzierania bizona ze skóry, włożył nóż do pochwy i po trzech długich susach już siedział w siodle. Zapomniałem, gdzie odłożyłem łuk i zanim dosiadłem konia, wszyscy już odjechali, by dać popalić piekłu.

Preria nie jest tak płaska, na jaką wygląda, przypomina pofalowany ocean z wzniesieniami i dolinami, a ja – nie spiesząc się specjalnie do zabijania Tonkawów – wkrótce straciłem wojowników z oczu. Był ładny dzień, trawa poniżej mnie falowała we wszystkich kierunkach, niebo było przejrzyste, mimo paru chmur. Słońce grzało mnie w plecy. Myśl o rozprawie z Tonkawami nie wydawała się pociągająca. Nie pozwolono mi zabrać na wyprawę broni palnej, a nawet stojąc mocno na ziemi, strzelałem z łuku tak sobie. Jeśli cel się ruszał i nie stał naprzeciw mnie, moje strzelanie z konia nie przynosiło efektów.

Koń czuł, że coś jest nie w porządku i próbował dogonić pozostałe. Dobrze i płynnie kłusował, więc nie pozwalałem mu wydłużyć kroku. Spojrzałem na słońce i przyszło mi do głowy, że skręcę na południowy wschód ku krawędzi Llano. Mógłbym swobodnie polować za pomocą łuku i, gdyby mnie nie schwytano, dotrzeć do pogranicza za jakieś dwa tygodnie. Wszędzie rosły małe czerwone kwiatki, *puha natsu*. Nie

znałem ich angielskiej nazwy. Pomyślałem o ojcu. Spiałem konia i popędziliśmy cwałem. Kilka minut później usłyszałem strzały i krzyki, a potem zobaczyłem jeźdźców i konie. Toshaway i Pizon oraz kilku innych stali nad leżącym na ziemi mężczyzną. Leżał w rabacie gailardii, przekłuty kilkoma strzałami. Stracił tyle krwi, że można by nią pomalować dom, a krew opalizowała czerwono w zieleni wokół.

– Miło, że do nas dołączyłeś, Tiehteti-taibo.

Komancze oddychali bez trudu, pot zdążył już na nich wyschnąć, a konie pasły się w trawie. Nikt nie miał przy sobie broni z wyjątkiem Nttukaru, który dzierżył włócznię na wypadek, gdyby Tonkawa odzyskał chęć walki. Wyglądali tak, jakby oceniali przydatność upolowanego jelenia czy wapiti. Co się tyczy Tonkawy, to śpiewał i dyszał z umazanym krwią torse. Spływała mu także po brodzie, wyglądał, jakby żywił się ludzkimi trupami. Toshaway i Pizon zamienili dwa słowa na stronie, a potem Pizon wyjął z juków stary jednostrzałowy pistolet i podał mi go za kolbę. Był kalibru .69 – armata, jeśli idzie o broń ręczną.

– Pokaż, co umiesz, Tiehteti.

– Gdybyś to ty tam leżał – dodał Pizon – właśnie odcinałby ci piersi i jadł je na twoich oczach.

Ranny podniósł głowę i spojrzał na mnie, a potem przeniósł wzrok na prerię. Jego pieśń stała się bardziej uporczywa, czekanie nie miało sensu, więc pociągnąłem za spust. Pistolet uderzył mnie w nadgarstek, a trup opadł dalej na skałę. Jego muzyka ustała i tylko przebierał nogami jak pies we śnie. Był to dorodny wojownik o pięknych długich włosach, a Pizon zdjął mu cały skalp za i pod uszami. Kula musiała roztrzaskać mu czaszkę, bo kiedy Pizon zdejmował skalp, głowa się otworzyła, jakby miała zawiasy u dołu, twarz poleciała naprzód, a potylicą w przeciwną stronę. Nikt nigdy nie widział, żeby czegoś takiego dokonała kula z pistoletu. To był dobry omen. Inni rozmawiali półgłosem, a ja przyglądałem się dalej martwemu wojownikowi, którego twarz wpatrywała się w piersi – wszystkie jego sekrety otworzyły się na wiatr.

– Dziwnie się zachowujesz, Tiehteti-taibo.

– *Haa* – odpowiedziałem. – *Tsaa mantusukaru.*

Posłano mnie i Nttukaru po broń zabitego wojownika i wszystko inne, co mógł zgubić, uciekając. W tym trupie leżącym w kałuży krwi wśród gailardii było coś takiego, że dołączyłem do Nttukaru najszybciej jak mogłem. Po godzinie odnaleźliśmy karabin Tonkawa. Był to

nieużywany muszkiet Springfielda, a Ntutkaru nie mógł uwierzyć swemu szczęściu, bo Tonkawowie byli ubodzy i mieli zazwyczaj najgorszą broń.

– Musiał to dostać od białych – stwierdził Ntutkaru. – Konia też.

Nic mnie to nie obchodziło. Oglądanie dobytku trupa nudziło mnie, według mnie nie miał za wiele i nie miałem zamiaru poświęcać całego dnia na szukanie jego brudnej myśliwskiej torby. Zastanawiałem się, czy byłem jedyną osobą, która zdawała sobie sprawę z tego, ile karabinów i koni mają biali.

Pozostali zniknęli nam z oczu, trawa sięgała do pasa w każdą stronę, a nad nią wznosiło się niebo. Mój koń żarł kwiatki: z pyska wystawał mu łubin. Byłem ciekaw, czy pozwolą mi zachować skalp Tonkawa.

Drugi z Tonkawów uciekł, ale ponieważ poruszał się pieszo po nieznannej ziemi, miał niewielkie szanse na przeżycie; Indianie z rezerwatów stali zaledwie parę szczebli wyżej od białych. Nie zadaliśmy sobie trudu, by go ścigać. Po zakończonej walce z pewnością wypatrzyłby nas pierwszy i prawdopodobnie zastrzelił któregoś. Komancze – w przeciwieństwie do białych, których szlachetni wodzowie byli gotowi poświęcać dowolną liczbę ludzi, by zabić jednego Indianina – nie uważali, że warto poświęcać czyjeś życie za śmierć wroga. Była to jedna z ich zgubnych cech charakteru, jeśli idzie o walkę z Amerykanami.

Więc zamiast gonić pojedynczego Tonkawa, przygotowaliśmy się do świętowania, zabierając skalp, konie i całkiem nowe karabiny, których idealny stan był kolejnym znakiem nadciągającej burzy. Ntutkaru znalazł torbę zabitego wojownika i wyjął z niej tuzin tekturowych pocisków – kolejny luksus białych.

– Popatrzcie na to gówno – powiedział.

Ale nikt go nie słuchał. Wyruszyliśmy w drogę powrotną do zabitych bizonów, urządziliśmy sobie wielką ucztę z ich wątrób i żółci, a potem rozpaliliśmy ogień z jadalnego tłuszczu i suchych szczap, upiekliśmy mięso i szpik. Skalp Tonkawa należał do Pizona. To, że go zastrzeliłem, było częścią formalności.

Następnego dnia wiatr zmienił kierunek i wszyscy poczuli słaby zapach zgnilizny. Niemal nie zwróciłem na to uwagi, zawsze coś gniło na prerii, ale Komancze uznali smród za ważny i po zapakowaniu mięsiwa w skóry bizonów i przytroczeniu ich do juczych koni pojechaliśmy tam, skąd wiał wiatr. Po kilku godzinach dotarliśmy do niewielkiego kanionu porośniętego wysoką trawą, z strumieniem

płynącym przez środek. Gdy wjechaliśmy w głąb, smród bardzo się nasilił, a konie odmówiły dalszej jazdy.

Wokół panowała cisza, jeśli nie liczyć szumu wiatru, strumienia i trzepotania skór namiotów. W kanionie stało kilkaset tipi, a pośród nich stapały tysiące sępów, jakby ptaki te porzuciły stan dziki i postanowiły się ucywilizować.

Pochyliłem się i zwymiotowałem, ktoś za moimi plecami zrobił to samo. Postanowiono, że do obozowiska wejdę ja i dokonam inspekcji, reszta zostanie z tyłu.

– Żartujecie? – zapytałem.

– Oprócz nas, nie ma tu żywego ducha – odrzekł Toshaway. Dał mi jakiś gałgan, żebym przewiązał sobie usta i nos.

– Daj mi jeszcze pistolet.

– Nie będzie ci potrzebny.

– Daj mi go.

Wzruszył ramionami i podał mi rewolwer, a potem pochylił się i pomógł mi zawiązać szmatę na potylicy.

– Pamiętaj, żeby ją podnieść, jak będziesz rzygał. W przeciwnym razie, pożałujesz.

Kilka sępów odleciało, inne zrobiły mi miejsce, żebym mógł przejść, w powietrze wzbiły się muchy, które zaraz wylądowały wielkimi czarnymi falami. Na ziemi leżały ludzkie trupy; czy były ich setki, czy tysiące, orzec się nie dało. Wszystkie były rozerwane i zgniłe, częściowo wyżarte, poczerniałe, powykręcane i niepoliczone. Mój koń początkowo omijał ostrożnie ciała, lecz widząc, że inaczej się nie da, stapał po szczątkach ludzi. Wszędzie leżały głowy z kręgosłupami, stopy i dłonie, żebra, poczerniałe ciała, pobielające kości. Do skał przywarły grudki tłuszczu, w gałęziach topoli zaklinowały się ramiona i nogi zaciągnięte tam przez pумы lub rysie. Wszędzie walały się porozrzucane i pordzewiałe karabiny, noże i łuki. Trupów było tyle, że nawet wilki, kojoty i niedźwiedzie nie dały rady ich zjeść. Słońce pociemniało, ale widziałem, że nikt nie został oskalpowany. Nie mogłem sobie wyobrazić, kto mógłby dopuścić się takiej zbrodni.

Większość koni pożarły lub przegoniły wilki, ale kilka tuzinów najwierniejszych albo najbardziej bezradnych pasło się na obrzeżach obozowiska. Wśród nich stała wielka gniada klacz, osiodłana, ale siodło zsunęło się jej pod brzuch, przez co ledwo powłóczyła nogami. Cmoknąłem na nią i podjechałem bliżej, a ona stała zrezygnowana, czekając, co zrobię. Przeciąłem popręg, a słysząc spadające na ziemię

siodło, klacz cofnęła się, zadrżała i ruszyła kłusem. Miała na biodrze piętno armii amerykańskiej, ale siodło było indiańskie. Zastanawiałem się, ile to zwierzę już widziało.

Jedno tipi było zasznurowane na głucho, a wokół namiotu ułożono kamienie i krzaki; nie zsiadając z konia, chwyciłem skórzane poły i przeciąłem sznury. W środku leżały dwa martwe sępy i dziesiątki maleńkich ciałek, ułożonych starannie rzędami jedne na drugich. Ten, kto je tu składał, nie miał dość sił, by je zakopać albo też dzieci umierały za szybko. To musiała być ospa albo cholera, albo jakaś inna choroba; zawróciłem konia i spałem go, wróciłem tam, gdzie czekali na mnie Komancze.

– Mają włosy?

– Tak – odpowiedziałem.

– Ilu?

– Setki. Może tysiące.

– Według mnie koło tysiąca. Niczego nie dotykałeś?

– Niezupełnie. Tipi, które stało w słońcu.

Zmrużył oczy i rozejrzał się. To był ładny niewielki kanion.

– Są gorsze miejsca, żeby umrzeć.

– Kim byli?

– To chyba szczep Kopiającego Psa. Komancze Tenewa. Są poza swoim terytorium, więc coś było nie w porządku, kiedy rozbili tu obóz. Uciekali przed czymś. Pewnie przed *tasía*... – Poznaczył twarz palcem.

– Dar od wielkiego białego ojca.

Wjechałem na koniu w środek strumienia, oczyściłem końskie nogi i kopyta piaskiem. Potem zrobiłem to samo z całym moim ciałem. Tej nocy spałem daleko od innych. Po kilku dniach, zanim dojechaliśmy do obozu, wszedłem do rzeki, żeby znów się umyć i kazałem Nttukaru przynieść sobie miskę mydła z juki i postawić ją na ziemi. Potem jeszcze raz umyłem konia.

Kiedy dotarłem do wioski, przygotowywano się do wielkiego święta i tańca skalpu. Jeden z szamanów zabrał mnie do tipi i kazał się rozebrać. Połykał kłęby dymu z cedru i szaławii, wydmuchiwał je na mnie, a potem natarł mnie liśćmi. Powiedziałem mu, że umyłem się mydłem, ale uważał, że dym jest lepszy.

Po kilku tygodniach do wioski zjechała grupa Komanczów, którzy nam powiedzieli, że widzieli Indian zabijających bizony. Toshaway kazał mi przygotować się do kolejnej wyprawy zwiadowczej. Okazałem entuzjazm.

– Daj mi karabin Tonkawów – powiedziałem.

Musiał dojść do wniosku, że coś ma się wydarzyć, bo dał mi broń i tuzin ładunków papierowych<sup>[11]</sup> bez zbędnych komentarzy.

Nocami rozpalaliśmy ogniska, ale tylko w jarach i daleko od drzew, żeby nic nie niosło poświaty. Wysłaliśmy zwiadowców, którzy po powrocie donieśli nam, że widzieli Indian zarzynających bizona: byli to Delawarowie, którzy – choć Komancze nigdy tego nie przyznawali – byli najlepszymi myśliwymi ze wszystkich wschodnich plemion, doskonałymi tropicielami i wojownikami, których należało traktować poważnie.

Postanowiliśmy nie rozpalać ognia i przespać się przed atakiem. Delawarowie też nie rozpalali ognisk, choć nie wiedzieli, że ich widziano. Myślałem o nich, leżąc w ciemności: byli niegdyś władcami wschodu, tak jak my władcami zachodu, a teraz zabili ledwie dwadzieścia bizonów i nie mogą świętować przy ognisku.

Była szarówka, a nad trawą unosił się mokry opar. Konie pędziły we wszystkie strony i wszyscy krzyczeli, a ja wpatrywałem się w wojownika przekłutego czterema czy pięcioma strzałami, który stał i spokojnie ładował muszkiet. Ktoś nadbiegł od tyłu i przebił go włócznią. Ntutkaru. W wojowniku wijącym się na ziemi było coś niesamowitego, ale Ntutkaru nie zwrócił na to uwagi.

Reszta Delawarów poszła szybko w rozsypkę, ale jeden z nich wyraźnie nie dawał za wygraną. Trzymałem się na obrzeżach potyczki, a on rzucił się w moją stronę. Wyglądał tak, jakby stał w miejscu, ale nie zareagował na strzał, a poprzez dym nie mogłem dojrzeć, czy go trafiłem. Odjeżdżał. Wiedziałem, co należy zrobić. Nie miałem czasu na przeładowanie karabinu, a choć wszędzie toczyła się walka, wiedziałem, że Toshaway i Pizon mają mnie na oku. Kiedy o tym myślałem, właśnie skończyli dorzynać jednego wojownika, zauważyli uciekającego Delawara i puścili się za nim.

Dołączyłem do nich. Nigdy tak mocno nie okładałem konia, ale cała nasz czwórka rozciągnęła się długim szeregiem na prerii z Delawarem na czele. Dosiadał pięknego wierzchowca i z każdą chwilą zdobywał nad nami przewagę, był już blisko pół mili dalej, ale nie miał się gdzie ukryć: nie było tu żadnych kanionów ani lasu, tylko otwarta preria, więc zaczęliśmy go doganiać. Koń Toshawaya potknął się i zderzył z koniem Pizona, a ja zdążyłem objechać zamieszanie.

Co się tyczy Delawara: widziałem lśniąca plamę na jego plecach – tam, gdzie weszła kula – i spałem konia jeszcze mocniej, choć nie

miałem żadnego planu. Nie wiedziałem, co zrobię, jeśli dogonię zbiega.

Runął na ziemię. Przed nim był parów, który chciał przeskoczyć, ale koń go zrzucił. Spadł w wysoką trawę. Dotarłem do niego szybciej, niż się spodziewałem i wystrzeliłem z łuku, ale strzała minęła go o kilka dobrych stóp. Próbowałem wystrzelić następną, ale trzęsły mi się ręce, koń uskoczył w bok, a ja zsunąłem się na ziemię. Delawar nie poruszył się. Poczujęm się lepiej, patrzyłem na cięciwę, naciągając łuk; kiedy podniosłem wzrok, widziałem jak się obraca, napina łuk i strzela – a wszystko jednym płynnym ruchem.

Sterczała ze mnie strzała. Wydawało się, że powinienem usiąść. Potem spojrzałem na siebie i doszedłem do wniosku, że nic mi się nie stało. Chwyciłem strzałę i wyciągnąłem ją.

Później zdałem sobie sprawę, że Delawar był tak osłabiony, że nie miał siły naciągnąć łuku do końca. Pas od kołczanu zatrzymał strzałę. Właśnie wtedy podniosłem łuk, który upuściłem, wycelowałem starannie i strzeliłem Indianinowi w brzuch. Strzała zagłębiła się w nim po lotkę.

Rozglądał się za kołczanem. Zgubił go podczas upadku. Strzeliłem raz jeszcze, potem po raz trzeci między żebra. Szarpał pierwszą strzałę, która wbiła się w ziemię, wiedziałem, że chce posłać ją we mnie. Wystrzeliłem strzały, które miałem w kołczanie, a Delawar się poddał, choć nie był jeszcze martwy. Wiedziałem, że powinienem podejść i go dobić, ale nie chciałem się do niego zbliżyć, było mi wstyd za jego świszczący oddech i bulgotanie, za własne niecelne strzały, za lęk przed człowiekiem, który był bliski śmierci, i wtedy ktoś kopnął mnie w bok. Tshaway. I Pizon. Nie słyszałem, jak nadjechali.

– *Ku?e tsasimapu.* – Tshaway wskazał brodą Delawara.

– Zrób to szybko – dodał Pizon. – Zanim zdechnie.

Indianin leżał na boku, przewróciłem go na brzuch. Postawiłem mu stopę na plecach i chwyciłem za włosy. Uniósł rękę, żeby mnie powstrzymać, ale przeciąłem skórę wokół głowy. Uderzał mnie w dłoń przez cały czas.

– Odetnij – zawołał Pizon. – Jednym cięciem.

Skalp odpadł jak pękająca gałąź, a Delawar przegrał walkę. Odszedłem kilka jardów i spojrzałem na zdobycz: to mogło być cokolwiek, skóra bizona albo cielaka. Wschodziło słońce, poczułem ból w nodze. Nadziałem się na własny grot, który przeszył plecy Delawara. Wydał z siebie ostatni pojękujący grzechot, a ja – patrząc na wojownika leżącego na ziemi, przeszytego z każdej strony moimi

strzałami, patrząc na trawę unurzaną w jego krwi – jakbym się ocknął, jakby w mej głowie uniósł się opar, jakby mnie znów ochrzczono wodą, jakbym został wybrany przez samego Boga. Podbiegłem do Toshawaya i Pizona i uściskałem ich.

– Pierdolony białas – mruknął Pizon. Ale śmiał się od ucha do ucha. Spojrzał na Toshawaya. – Chyba jestem ci winny konia.

Kiedy wróciliśmy, zaczęły się wielkie tańce, bo zdobyliśmy osiem skalpów, ale najpierw Pizon opowiedział, jak samotnie ruszyłem w pościg za Delawarem, jak prawdziwy Komancz, nie mając innej broni prócz łuku, a wszyscy wiemy, dodał, jak utalentowanym strzelcem jest Tiehteti. Rozległ się śmiech, co mnie zirytowało. Mówię poważnie, ciągnął Pizon. To nie był jakiś brudny *Nuntu Tutuka*, ale wojownik, a jedyną bronią Tiehteti była ta, którą nie umie się posługiwać z konia. Tamten strzelił mu prosto w serce, ale strzała nie przeszła. Co nam to mówi o Tiehtetim?

Przez resztę wieczoru szaman, który leczył mnie z ospy, opowiadał wszystkim, że dał mi niedźwiedzie lekarstwo, gdyż tylko ono mogło powstrzymać strzałę, ale nikt nie chciał mu wierzyć. Wiedziałem, że Delaware był bliski śmierci, kiedy go dogoniłem, bo dostał kulę w płuca i spadł z konia na skały; gdybym schwytał go pięć czy dziesięć minut wcześniej, przeszyłby mnie strzałą w kręgosłup. Lecz nawet umierając, zdołał we mnie strzelić i gdyby nie pas od kołczanu, który zatrzymał strzałę, grot trafiłby mnie w serce. Ale przed końcem nocy te szczegóły nie miały już znaczenia, bo rozpoczęto taniec skalpu: staliśmy się wieczni, staliśmy się Ludem Wybranym, nasze imiona po wsze czasy będzie powtarzała noc, kiedy znikniemy z tej ziemi.

Otworzyłem oczy przed świtem. Leżałem na podwórku przed naszym starym domem, a nade mną stał Indianin. Widziałem, jak przeszywa mnie strzałami, ale nie wierzyłem własnym oczom. Przypomniałem sobie, że uderzyłem się w głowę i prawdopodobnie majaczę. Komancz był młody i skądś go znałem, a po jakimś czasie zacząłem poznawać jego twarz.

Kiedy nadszedł poranek, nadal czułem w sobie otwory po strzałach. Słońce było wysoko i świeciło prosto w otwarte drzwi tipi, Ntutkaru i Escuté siedzieli na dworze i palili. Wszedłem i usiadłem z nimi. Nadeszło trzech chłopców, którzy zabierali mnie na polowanie – wszyscy oni byli lepszymi myśliwymi ode mnie, lepszymi jeźdźcami i łucznikami – przywitali się, ale nie usiedli: stałem od nich wyżej. Ntutkaru pozbył się ich machnięciem ręki.



– Skończyłeś z dziećmiakami – powiedział.

Escuté kazał matce przynieść nam coś do jedzenia, a potem pieczone nad ogniem słodkie ciasteczka z wiązowca z łożem. Nttukaru i ja dziękowaliśmy jej, Escuté tylko jadł. Musiał dostrzec, jak na niego patrzę, bo powiedział:

– Giniemy za każdym razem, kiedy opuszczamy obóz. Wszystkie to wiedzą. Połowa z nas zginie, zanim osiągniemy czterdzieści zim.

Jakiś czas potem nadszedł Gruby Wilk, najstarszy syn Toshaway, wraz z żoną.

– Więc to jest ten sławny biały chłopak?

– Jesteś już mężczyzną, Tiehteti – odezwał się Escuté. – Jestem pewien, że Gruby Wilk docenia twój szacunek, ale nie musisz już patrzeć w ziemię.

Gruby Wilk pochylił się i chwycił mnie za podbródek, lecz szybko zwolnił uścisk.

– Nie słuchaj mego popieprzonego brata. Zawsze wprawiam go w zły nastrój. – Wskazał brodą za ramię. – To jest Nienawidzi Pracy. Musiałeś ją widzieć wcześniej, ale jako mężczyzna masz prawo z nią rozmawiać i przyglądać się jej nieszczęsnym delikatnym dłoniom.

Nienawidzi Pracy, która stała daleko za mężem, uśmiechnęła się i pomachała, ale nie odezwała się. Była z całą pewnością najładniejszą Indianką, jaką widziałem. Miała około dwudziestu lat, jasną cerę i lśniące włosy, a także ładną figurę. Powszechnie uważano, że stanie się tragedia, kiedy figurę tę zrujnują niedługo dzieci. Jej ojciec zażądał za nią pięćdziesięciu koni, co według Nttukaru było oburzające, ale Toshaway, który straszliwie rozpieszczał synów – co zauważał każdy, kto znał Escuté – zapłacił pełną cenę i małżeństwo zostało zaaprobowane.

Gruby Wilk był wysoki jak jego ojciec, a choć wciąż miał jeszcze młodzieńczą twarz, cienkie ramiona i wielki brzuch wskazywały na znacznie starszego mężczyznę. Wyglądał tak, jak Toshaway, gdyby ten przestał polować i jeździć na wyprawy. Kiwnąłem głową do Nienawidzi Pracy i starałem się udawać brak zainteresowania.

Gruby Wilk podniósł mi opatrunek i zaczął delikatnie obmacywać: przeciętą skórę i kość, ciągle ropiejącą ranę.

– Skurwiel – mruknął. – Nigdy nie widziałem takiej rany na żywym. – Otaksował mnie wzrokiem. – Ojciec dużo o tobie mówił, ale on lubi wszystkich i uważaliśmy, że mięknie. Teraz przyznajemy mu rację. Taka rana to jest coś. – Ujął mnie za ramiona. Bardzo lubił dotykać

jak na Indianina. – Przyjdź do mnie, jakbyś kiedyś czegoś potrzebował. I nie trzymaj z moim bratem, to mały zgorzkniały sukinkot. – Potem odszedł z ładną żoną.

– Co za gruby chuj – mruknął jego brat, kiedy odeszli na odpowiednią odległość.

– Escuté miał nadzieję, że Gruby Wilk podzieli się nią, ale Gruby Wilk jeszcze nie chce się dzielić.

– Mam mnóstwo swoich *tai?i*. Nie potrzebuję łaski grubego. – Spojrzał na Nttukaru. – Ale ty...

– Ja też mam mnóstwo.

– Chyba od staruch.

– Jak twoja matka.

– To byłoby do ciebie podobne – odrzekł Escuté.

Zapadła cisza. Miałem na podorędziu mnóstwo wymyślonych historii o dziewczynach, z którymi byłem, ale Nttukaru i Escuté woleli nie pytać.

Po południowym posiłku poszedłem nad strumień, żeby oczyścić zdobycz. Wyskrobałem wnętrze skóry z resztek mięsa i tłuszczu, przepłukałem w wodzie, przetarłem szorstkim kamieniem i znów wypłukałem, zeskrobując tkankę łączną palcami. Powtarzałem to tyle razy, aż wnętrze skalpu stało się białe, pełne i miękkie. Potem wziąłem drewnianą miskę, napełniłem ją wodą z mydłem z juki i starannie umyłem włosy, oddzielając od siebie kosmyki, starając się nie ciągnąć za mocno, jako że Delawar mógł nadal czuć to, co robię. Wyjąłem pomiędzy włosów każdy rzep i źdźbło trawy, każdą łuskę łupieżu i każdy strup krwi. Zaplotłem mu na nowo warkoczyki, wplatając w nie wszystkie turkusowe i szklane paciorki w tych samych miejscach, w których były wcześniej. Przygotowałem pastę z mózgu i łożu, wtarłem ją we wnętrze skóry, której pozwoliłem wyschnąć, żeby wetrzeć w nią więcej pasty. Naciągnąłem skalp na wierzbową obręcz, by wysechł, a potem zaniósłem trofeum do tipi i powiesiłem je w cieniu.

Tamtej nocy rozmawialiśmy do późna. Powiesiłem skalp nad moim posłaniem i patrzyłem, jak się obraca w ciepłym powietrzu znad ognia. Węgłe poczerniały i wszyscy posnęliśmy, a po jakimś czasie usłyszeliśmy szuranie, poruszyła się poła tipi, ktoś chciał wejść do środka i obudził mnie i moich towarzyszy. Poznałem po włosach, że gość jest kobietą, ale na resztę było za ciemno.

– Jeśli przyszedł do Escuté, jestem tutaj.

– A Ntutkaru jest prosto przed tobą. Po drugiej stronie paleniska.  
– Obaj śnicie – powiedziała. – Zapomnijcie, że tu jestem.  
– Żono Grubego Wilka: chyba żartujesz.  
– Gdzie jest Tiehteti?  
– Właśnie tutaj – mruknął Escuté. – Właśnie z nim rozmawiasz.  
– Jest tu czy go nie ma?  
– Nie wiem. Tiehteti, jesteś tu? Pewnie nie. Widziałem, jak szedł na pastwisko. Pierdoli Kobyłę miał mu coś pokazać.

Nienawidzi Pracy pokręciła głową.

– Jesteś prawdziwym durniem, Escuté.  
– Ale zabawnym.  
– Czasem.  
– Ntutkaru, mam złe wieści. Do tipi po raz tysięczny przyszła kobieta, która nawet na ciebie nie spojrzy.  
– Odpierdol się – odrzekł Ntutkaru.  
– A co się tyczy Tiehteti – oznajmił – nadszedł czas, żeby został mężczyzną. To wymaga fizycznej bliskości, więc w którymś momencie... o ile nie chcesz tylko patrzeć, jak to robią najlepsi... będziesz musiał powiedzieć tej kobiecie, należącej do najurodziwszych z plemienia Komanczów, a przy okazji najbardziej leniwej, gdzie jesteś w tym tipi.

– Jestem tutaj – odezwałem się cicho.

– Ntutkaru, ty chudy zboczeńcu, nie myśl sobie, że będziesz tu leżał i walił konia. Wstań i pozwól Tiehtetiemu zrobić to, jak należy.

– *Noyoma nakuhkupa.*

– Wolałbym nie – odrzekł Escuté. – Gdyż jestem mądry i jestem wielkim wodzem. Któregoś dnia będę wodzem was wszystkich.

Escuté i Ntutkaru zabrali koce i wyszli.

– Tiehteti? Powiedz coś, żebym cię mogła odnaleźć.

– Idź wzdłuż ściany w prawo.

Poczułem, jak dotyka posłania. Było zbyt ciemno, żeby ją zobaczyć, a nawet poznać po czym innym niż głos, ale słyszałem szelest, kiedy się rozbierała. A potem wsunęła się pod przykrycie. Miała gładką skórę. Zaczęła całować mnie w szyję i przejechała mi palcami po brzuchu. Chciałem ją dotknąć, ale odsunęła moją rękę i dalej głaskała mnie po brzuchu, a potem po udach. Wydawało mi się, że powinienem coś zrobić, więc sięgnąłem do jej krocza, dotknąłem włosów, ale znów odsunęła mi rękę. Poczułem uległość. Niczego ode mnie nie żądano: była dorosłą kobietą i dzierżyła wodze.

Była takiego samego zdania. Przesuwała paznokciami po moim ciele, po piersiach i nogach, całując mnie powoli w szyję. To trwało znacznie dłużej, niżli się spodziewałem, lecz w końcu dosiadła mnie, a ja znalazłem się w środku.

Rozległ się jakiś hałas. Escuté wsunął głowę do środka tipi.

– Ile to potrwa, żono Grubego Wilka? Minutę? Albo niech zgadnę, jest już *puu!*

– Wynoś się! – zawołała. – Idź zwał sobie konia z Ntutkaru.

Pocałowała mnie w nos. Pochyliła się nade mną, zupełnie nieruchomo. Chciałem poruszyć biodrami, ale powstrzymała mnie.

– I jak ci tam, mój szwagrze?

Wydałem jakiś odgłos. Poruszyła biodrami.

– Mam tak robić?

– Tak.

– Hmm. Może nie. – Nie odpowiedziałem. – Może sobie tak posiedzimy – mruknęła. – Odchrząknąłem. – Mnie jest tak dobrze – powiedziała.

To wydawało się zupełnie nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności. Po jakimś czasie zaczęła się wolno poruszać. Pochyliła się nade mną, dotknęła czołem mego czoła i przytrzymała mi ręce. Miała słodki oddech.

– Nienawidzi Pracy nie jest moim prawdziwym imieniem – oznajmiła.

– Naprawdę nazywam się Jedyne Ptak.

Zanim Escuté i Ntutkaru wrócili do tipi, spałem z Jedyne Ptakiem pięć razy. Spodziewałem się, że Escuté coś o tym powie, ale nie zrobił tego. Szeptali z Ntutkaru na boku, a potem Ntutkaru udał się na swoje posłanie, lecz Escuté, zamiast pójść spać, wsunął się cicho pod nasze przykrycie. Dotknął włosów Jedyne Ptaka, a potem poklepał mnie delikatnie po twarzy, po piersi i powiedział coś w języku Komanczów, czego nie zrozumiałem. Jedyne Ptak mruknęła przez sen, a Escuté pochylił się i pocałował jej włosy, znów mnie poklepał, a potem pocałował mnie w czoło. W końcu wrócił na swoje posłanie.

Byłem rozbudzony. Obudziłem Jedyne Ptaka i znów to zrobiliśmy. Przed świtem, gdy niebo poszarzało w otworze na dym, poczułem, że wstaje. Przyciągnąłem ją do siebie.

– Nie – szepnęła. – Jest już późno.

– Powiedz mi, dlaczego mówią na ciebie Nienawidzi Pracy?

– Bo pracuję tylko za dziesięciu mężczyzn, zamiast za pięćdziesięciu.

– Pochyliła się i pocałowała mnie. – Nie patrz na mnie w obecności

innych. To pewnie już nigdy się nie powtórzy. Mój mąż po raz pierwszy wysłał mnie do kogokolwiek i nie wiem, w jakim będzie nastroju, kiedy wrócę.

Po kilku godzinach Escuté, Ntutkaru i ja siedzieliśmy przy ogniu, jedząc suszone mięso wapiti i przyglądając się krzątaniu w obozie. Coś było nie tak z Escuté: zazwyczaj starannie układał włosy w wachlarz na czubku głowy, ale tego ranka nawet się nie pomalował.

– Czy Gruby Wilk będzie na mnie zły? – zapytałem.

– Odetnie ci kutasa. Mam nadzieję, że było warto.

– Nie słuchaj go – odezwał się Ntutkaru. – Każdy chce przespać się z Nienawidzi Pracy, a ty jesteś jedynym, któremu się udało, z wyjątkiem tego, który zapłacił za nią pięćdziesiąt koni.

– To mój ojciec zapłacił pięćdziesiąt koni, a nie mój gruby brat. Gdyby mój ojciec ją dosiadał, nie miałbym nic przeciwko temu.

– Escuté jest, jak widzisz, szczególnie zawiedziony.

– A nie mam prawa? Gdzie się podziało moje pięćdziesiąt pierdolonych koni, gdybym chciał się ożenić? A Nienawidzi Pracy posyłają tymczasem do Tiehteti.

– Z kim chcesz się ożenić? – zapytałem.

– Z nikim. Właśnie o to chodzi. Z kim mam się, kurwa, ożenić, kiedy gruby przywłaszczył sobie najpiękniejszą dziewczynę, o jakiej kiedykolwiek słyszano?

– Jej siostra też nie jest zła – mruknął Ntutkaru.

– A ja jestem w czarnej dupie. Właśnie o to chodzi. Mój brat to tłusty tchórz, ale to ja wychodzę na tego niedobrego. Osiem koni, które poszły na jego żonę należało do mnie, to ja dałem je ojcu! A mój brat? Kiedy po raz ostatni ktoś widział go na wypadzie?

– Nie mów tak głośno – przestrzegł go Ntutkaru.

– Gównu mnie obchodzi, kto mnie słyszy.

– Później cię obejdzie.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Nie wiedziałem, czym się martwi Escuté. Miał już sześć skalpów, a choć był niższy i szczuplejszy od ojca i brata, był dobrze zbudowany, zwinnie się poruszał, a wszyscy młodzi Indianie, zarówno chłopcy, jak i dziewczęta, patrzyli na niego z podziwem. Potem przyszło mi do głowy, że może ma rację, bo Nienawidzi Pracy była jedyną piękną dziewczyną, na którą zasługiwał.

– Jest taka bardzo piękna dziewczyna wśród pojmanyh, należy do Leniwych Stóp. Jasnowłosa. Niemka?

– Żółte Włosy – powiedziałem.

- Właśnie. Jest równie piękna jak Nienawidzi Pracy.
- Nie ożenię się z pierdolonym jeńcem! Bez obrazy, Tiehteti.
- Wszyscy pochodzimy w którymś pokoleniu od jeńców – rzekł Nttukaru.
- Owszem, ale tak czy siak ja tego nie zrobię.
- Tej nocy nie byłeś taki zły – zauważyłem.
- Nie, nie byłem. I nie złoścuję się na ciebie, Tiehteti. Cieszę się, że popróbowaleś, zasłużyłeś na to. Chodzi mi o ojca, który myśli, że gruby jako najstarszy nie może być niczemu winien! Pięćdziesiąt jebanych koni! Nawet nie negocjował ceny!
- Wszyscy wiemy, że to ty zostaniesz wodzem – uspokajał go Nttukaru. – Wszyscy to wiedzą. Twój brat nie będzie wodzem. Jest tylko człowiekiem, który ma bogatego ojca.
- No, dobra, a jeśli mnie zabiją, zanim zostanę wodzem? Mój ojciec ciągle będzie popierał grubego i kupował mu żony.
- Zadbam o to, żeby cię nie oskalpowali.
- Niewiarygodne – mruknął Escuté, kręcąc głową.
- Nadal masz ojca – dodał Nttukaru. – Powinieneś się cieszyć.
- Twój ojciec miał dobrą śmierć i go nie oskalpowali – powiedział Escuté. – Jest już w szczęśliwej krainie Wielkich Łowów.
- Dzięki, Escuté. A gdzie dokładnie jest ta kraina? Słyszałem, że gdzieś za słońcem na zachodzie. To dziwne, wiesz, bo czasem czuję potrzebę, żeby o coś zapytać ojca albo poczuć jego dłoń na ramieniu, ale wszyscy zapewniają mnie, że on jest już na zachodzie, tuż za słońcem. Tylko Tiehteti, który nie zna naszych zwyczajów, mówi mi, że jak się idzie za słońcem na zachód, to w końcu trafia się na nieprzebytą połąć słonej wody, a nie na ziemię, w której konie cwałują nad chmurami, gdzie nie jest ani ciepło, ani zimno, i gdzie zwierzyna nabija się sama na włócznię, piecze sama na ogniu i gdzie do wszystkiego się je najtłustszy szpik.
- Wybacz mi – mruknął Escuté. – Nie mam prawa narzekać.
- Ha. Prawda po raz pierwszy spłynęła z twych ust.
- A z innej beczki... – zacząłem. – Myślicie, że ujrzę jeszcze kiedyś Nienawidzi Pracy?
- Znając mojego brata, odpowiem ci, że nie.
- Trudno orzec – stwierdził Nttukaru. – Ale myślenie o niej teraz to bardzo zły pomysł. Gruby Wilk może być na to uczulony. To, co zrobił było bardzo wspaniałomyślne, ale niewykluczone, że tylko na pokaz.
- Chyba było jej dobrze.

Escuté pokręcił głową.

– Bądź ostrożny, chłopcze.

– Było jej dobrze, bo mąż jej pozwolił. Lecz jeśli to stanie się po raz kolejny bez jego zgody albo Gruby Wilk tylko nabierze podejrzeń, że coś takiego mogło się wydarzyć, obetnie jej nos i uszy, potnie jej twarz. Tobie zrobi to samo.

– Na twoją korzyść przemawia to – powiedział Escuté, unosząc dłoń – że mimo twych niesłychanych osiągnięć Gruby Wilk uważa, że jesteś bardzo młody i nie stanowisz zagrożenia. Więc wszystko możliwe.

– Ale będzie lepiej, jak zaczniesz myśleć o jej siostrze, Kwiecie Prerii, która jest niezamężna.

– I nie tak leniwa. Ale i nie tak ładna, jeśli już o tym mowa.

– Ale całkiem, całkiem. Poza tym jest inteligentna.

– Wskutek czego o jej względy zabiega wielu mężczyzn o większych od twoich zaletach. Wojownicy ci zabili więcej niż jednego wroga i ukradli wiele koni.

– A poza tym przeleciał ją Escuté, więc na pewno jest chora.

– Być może – dodał Escuté – powinieneś skupić się na jeździe konnej i strzelaniu, które wymagają, jak wszyscy wiedzą, uwagi. Traktuj następne spotkanie z Nienawidzi Pracy jak możliwe spotkanie z Wielkim Duchem.

– Skalpy i konie, mój synu.

Nie odpowiedziałem.

– Ale jeśli jakaś inna dziewczyna zechce przyjść z własnej woli do twojego tipi i uda się jej przedostać nocą przez moje i Ntutkaru posłania, co mało prawdopodobne, wtedy możesz bezpiecznie ją wypierdolić. Pamiętaj jednak, że w odwrotnej sytuacji... gdybyś, na przykład, rozmawiał z jakąś dziewczyną, a ona, na przykład, dawałaby ci jakieś znaki, pozwoliła ci, na przykład, wsadzić palec w dziurę podczas zbierania drewna na opał, co dałoby ci pewność, że cię lubi, przez co mógłbyś zapragnąć kochać się z nią w jakimś przyzwoitym miejscu, na przykład w jej tipi nocą...

– Natychmiast zostałbyś zabity przez jej ojca – dokończył Ntutkaru. – Albo jakiegoś innego członka rodziny.

– Który następnie da Toshawayowi konia jako rekompensatę za twoją śmierć.

– Mówiąc krótko – podsumował Ntutkaru – do czasu ślubu kobiety mogą być z kim im się żywnie podoba, ale to one dokonują wyboru. Jeśli później tak postępują, obcina się im nosy.

– Więc co mam zrobić?

Escuté kręcił głową.

– Posłuchaj tego białego! Stracił dziewictwo dopiero tej nocy.

– Konie i skalpy – odrzekł Ntutkaru. – Konie i skalpy.

[\[11\]](#) Gotowy, prefabrykowany ładunek upychany między kulą a kapiszonem [przyp. red.].





## Jeannie McCullough

W roku 1937, kiedy miała dwanaście lat, z farmy nieopodal rancza McCulloughów zniknął mężczyzna, niejaki William Blount, a wraz z nim jego dwaj synowie. Sama farma była sucha, a rodzina żyła z pomocowej mąki i króliczego mięsa. Żona Blounta twierdziła, że mąż i dwaj synowie poszli na ziemię McCulloughów, gdzie wciąż było mnóstwo wody i rosła trawa, żeby upolować jelenia i najeść się do syta. Ani Blount, ani jego synowie nie wrócili do domu, a żona utrzymywała, że słyszała strzały dobiegające z rancza.

Wszyscy wiedzieli, co się stanie, jeśli wkroczy się bezprawnie na ziemię McCulloughów. Obie drogi do miasta wiły się przez ćwierć miliona akrów należących do klanu, lecz jeśli gdzieś w okolicy zepsuł się samochód, lepiej było przejść dziesięć mil drogą do miasta, niż wybrać skrót przez pastwiska, gdzie strażnicy ogrodzenia wypatrywali złodziei. Po zamieszkach Garciów ranczo ogłoszono stanowym terenem łowieckim, co oznaczało, że oprócz *vaqueros* ziemię McCulloughów patrolowali strażnicy łowieccy, zatrudniani, technicznie rzecz ujmując, przez stan i będący dodatkową ochroną. Mówiono, że co roku zakopywano gdzieś na pastwiskach z tuzin ludzi – kłusowników i wędrujących Meksykanów. Inni mówili, że z dwa tuziny. *Niech ludzie sobie gadają*, powtarzał jej ojciec. Ale widziała, że jej bracia, którzy traktowali *vaqueros* jak rodzinę, nie czuli się najlepiej w towarzystwie strażników ogrodzenia.

Dzień po zniknięciu Blountów Jeannie otworzyła frontowe drzwi i ujrzała w nich samotnego szeryfa. Człowiek ten pochodził z północy i podejrzewano, że jest półkrwi Indianinem; był wysoki, szczupły, miał ogorzałą twarz i orli nos. Wybrano go zamiast Bergera, człowieka ojca, żeby przypodobać się Meksykanom. Berger polował na ich ziemi i pożyczzał od nich konie. Van Zandt pojawiał się tylko wtedy, kiedy były kłopoty. Albo, jak mawiał ojciec, kiedy potrzebował pieniędzy.

Na podeście schodów, tuż pod wielkim oknem od Tiffany'ego, stał szezlong, na którym można było leżeć i czytać. Można też było słuchać tego, o czym mówiło się na dole, nie będąc widzianym. Położyła się na

szezlongu, a przez okno wpadało słońce; wzdłuż schodów wisały rodzinne portrety: Pułkownika opierającego się na szabli w mundurze Przegranej Sprawy; nieżyjącej żony Pułkownika z trzema chłopcami. Żonę i jednego z synów – Everetta, o czym wiedziała – oświetlała nieziemska poświata; Peter (wyklęty) i Phineas (którego lubiła) wyglądali normalnie. Wzdłuż schodów stały także marmurowe cherubiny i popiersia. Słuchała ojca i szeryfa.

– Nie chciałem przychodzić z tym do pana – powiedział Van Zandt.

Ojciec odpowiedział coś, czego nie usłyszała.

– Ludzie mówią, że powinniśmy szukać tych Blountów.

– Evan, gdybyśmy wpuszczali na naszą ziemię dziesięciu zastępców szeryfa za każdym razem, kiedy zginie jakiś Metys...

– To biały i jego dwóch synów, a ludzie są podminowani, nawet Meksykanie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– No, cóż, to nic nowego – odrzekł ojciec. – Jest tutaj wielu takich, którzy mnie nie lubią, jeśli nie tracę pieniędzy, kupując od nich konie.

Stosunki między McCulloughami a obywatelami miasta były napięte od pewnego czasu. Trzecia część mieszkańców nie miała pracy, a przed kilkanaście miesięcy wyszło na jaw, że jej ojciec zablokował budowę nowej drogi stanowej, która miała przeciąć ich ziemię. Droga ta skróciłaby podróż między Laredo a Carrizo Springs o trzydzieści mil. „San Antonio Express” rozdmuchał tę historię. Pisali to samo, co o ranczach Kinga i Kenedy’ego: „kolejne królestwo otoczone murami”. Zwykłym ludziom wstęp wzbroniony.

– To przez tego cholernego Roosevelta – mruknął ojciec. – Zapamiętaj moje słowa: to były ostatnie wolne wybory, jakie widzieliśmy w tym kraju. Stoimy na krawędzi dyktatury.

Następnego dnia przy głównej bramie zebrał się tłum. Stali tam przez cały dzień. Ojciec nie wyszedł do ludzi, żeby porozmawiać. Zamiast tego rozdał pół tuzina pistoletów maszynowych Thompsona tym parobkom, którzy wiedzieli, jak się nimi posłużyć. – Nie wychodź dziś na werandę – przykazał jej. – Nie podchodź do okien i nie zapalaj świateł.

– Co się stanie? – zapytała.

– Nic. Takie zbiegowiska miały miejsce wiele razy w przeszłości.

Położyła się wcześniej do łóżka, wspiąwszy się po schodach do wschodniego skrzydła, gdzie były sypialnie dzieci. W każdej z nich była oddzielna weranda, na której stały łóżka; zgasiła światło i po chwili zastanowienia – wbrew zakazowi ojca – wyszła na werandę i położyła

się cicho na łóżku. Na niebie jak zawsze jaśniały gwiazdy, leżała słuchając świerszczy, pohukiwania sów, muczenia bydła, krzyków lelka i wycia kojotów. Trzeszczał wiatrak zasilający domową cysterne, ale prawie tego nie zauważała. Rechotały żaby na drzewach, co oznaczało deszcz. Usłyszała szelest na sąsiedniej werandzie – jej brata, Paula.

- To ty?
- No – odpowiedział.
- Co się według ciebie wydarzy?
- Nie wiem.
- To jakaś bzdura z tymi Blountami, nie?

Nie odpowiedział.

- Nie?
- Nie jestem pewny – odrzekł.
- Jonas i Clint są w łóżkach?
- Są z tatusiem.
- Widzisz, co się dzieje przy bramie?
- Przestań mnie w kółko pytać.

Zapadła cisza, którą przerwał Paul:

- Nic nie widzę.
- Co się stanie, jak się przedrą?
- Myślę, że tatuś ich zastrzeli. Widziałem jak nieśli lekki karabin

maszynowy Lewisa.

Ojciec musiał zadzwonić do gubernatora, bo następnego ranka z San Antonio przyjechała kompania Rangersonów. A dzień później ojciec zgodził się, żeby szeryf przeszukał całe ranczo – ćwierć miliona akrów. Blountów nigdy nie znaleziono, ale wiedziała, jak wszyscy inni, że to było szukanie igły w stogu siana.

Z czwórki rodzeństwa tylko ona i Jonas lubili szkołę. Paul i Clint nudzili się tam, ojcu nie była do niczego potrzebna, a obowiązek szkolny traktował jako sposób na sięganie przez rząd do jego kieszeni. Szkoła mieściła się w McCullough Springs – miejscowości nazwanej na cześć jej pradziadka. Po incydencie z Blountami ojciec zabrał się za poprawianie wizerunku i zgodził się zapłacić za od dawna planowany przez szkołę mural: sielankową scenę przedstawiającą Amerykanów i Meksykanów pracujących ręką w rękę przy budowie miasta. Ostatecznie jednak wymalowano na nim chudych jak szkielety robotników rolnych *Tejano*, zgarbionych nad polem cebuli. Oczy wychodziły im z orbit, a w oddali widać było kilka przechylonych

krzyży. *Patrón*, przypominający nieco ojca Jeannie, siedział na czarnym koniu i pilnował robotników. Mural zamalowano, a ojciec przestał przypochebiać się mieszkańcom miasta.

McCulloughowie płacili za utrzymanie szkoły, choć dorzucali się do tego również Midkiffowie i Reynoldsowie. Dzieci meksykańskie uczyły się za darmo, choć nigdy długo. Pojawiały się i znikwały przez cały rok, miesiąc tu, miesiąc tam, a inspektor szkolny nigdy ich nie szukał. Zaprzyjaźnianie się z nimi nie miało sensu, bo znikwały na pół roku, a kiedy wracały, trzeba było zaczynać wszystko od początku. Dzieci białych farmerów były lepsze, lecz kiedy przyjeżdżały na ranczo, widziała w ich oczach, jak bardzo żałują, że nie mieszkają tu zamiast niej. Nagle stawały się zadziwiająco uprzejme. W końcu przestała się przyjaźnić z kimkolwiek. Jediną osobą, z którą miała coś wspólnego była Fannie Midkiff, ale była trzy lata starsza i miała bzika na punkcie chłopaków. Wszyscy mówili, że czeka ją smutny koniec, czy nazywa się Midkiff czy nie.

Zanim zmarł Pułkownik, pozwalano jej – o ile mężczyzna miał siłę – siadywać z nim i odrabiać lekcje. Pułkownik spędzał poranki na zachodniej werandzie z dala od słońca, a wieczory na wschodniej, również z dala od słońca. Nigdy nie brakowało mu gości: był wśród nich człowiek z rządu (Żyd, jak mówiono) z maszyną nagrywającą, do której Pułkownik mówił całymi godzinami. Na werandach stały szezlongi i sofy, więc Pułkownik mógł spać, kiedy tylko miał na to ochotę. Spał i spał – właśnie tym zajmował się przede wszystkim. *Któregoś dnia usnę na wieki*, powtarzał.

Ale nie sypiał za długo. Zawsze budził się na czas, żeby zastrzelić węża, który chciał dostać się przez szerokie ubite podwórko w chłód pod werandą. *Kiedyś zamieszkamy w domu, w którym nie będzie ubitego podwórka*, mawiała babcia. *Tego samego dnia*, kończył Pułkownik, *pokąsają nas jadowite węże*.

Jeśli Jeannie była akurat w pobliżu, kiedy Pułkownik się budził, posyłał ją po lód. Albo miętę; zasadził całą rabatę wokół jednego ze zbiorników na wodę. Wydawało się, że żyje samymi miętowymi koktajlami z bourbonem. Jeannie miażdżyła miętę na dnie szklanki, dodawała trzy łyżki cukru i napełniała szklankę lodem. Czasem, zanim nalał do niej whiskey, pozwalał jej possać słodki miętowy lód.

Kiedy nie było gorąco, chodziła z Pułkownikiem na spacer, szurając nogami w wysokiej trawie pod przejrzystym niebem, zatrzymując się na odpoczynek w kępie wiecznozielonych dębów czy w młodziaku

cedrowych wiązów, albo nad strumieniem, jeśli płynęła w nim woda. Zawsze czegoś nie dostrzegła, a to jelenia, a to lisa, a to lotu ptaka czy czmychania myszy, a to kwitnącego w nieodpowiedniej porze kwiatu czy gniazda węży. Choć widziała dwa razy lepiej, czuła się przy nim ślepa, bo nie zauważała praktycznie niczego, oprócz słońca i trawy. Często zastanawiała się, czy Pułkownik nie zmyśla, ale zawsze kiedy razem spacerowali, znajdował dla niej coś na pamiątkę – pobielającą od słońca czaszkę oposa, zrzuczone rogi, jaskrawą lotkę dzięcioła różowoszyjnego. Chodził bardzo wolno, często przystawał i opierał się na niej. Jeśli nie było za sucho, kiedy odnajdywali gniazdo węży, posyłał ją po słoik nafty, żeby wlać ją do dziury, ale przeważnie było bardzo sucho. Czasem, kiedy się zatrzymywali, prosił ją, żeby wyciągnęła kolec z jego żółtej stwardniałej stopy. Nie nosił butów, nie umiał już w nich utrzymać równowagi. Chodził tylko w indiańskich mokasynach. Indianie – ci prawdziwi z rezerwatu w Oklahomie – obdarowywali go takimi rzeczami, a kiedy wyjeżdżali, Pułkownik był smutny i nie miał cierpliwości dla jej ojca ani nikogo innego, kto zwracał mu głowę. Jeannie była jego ulubienicą, wszyscy o tym wiedzieli; ojciec udawał, że go to nie obchodzi – wiedziała, że prawda była inna.

Jeśli Pułkownik był zajęty, a ona nie miała zadanej pracy domowej ze szkoły, jej obowiązkiem było zebranie mlecznych krów z pastwiska i wydojenie ich. Czuła ich słodki oddech i wsłuchiwała się w dźwięk wiadra, najpierw cichutki, a potem głośniejszy, kiedy wypełniało się mlekiem. Jej bracia nienawidzili tej pracy, bo nie była *vaqueros* – pozwalanie na batożenie się po twarzy obesranym ogonem krowy – ale jej sprawiała wielką satysfakcję, tak jak ulga zwierzęcia, odgłos strumieni mleka wydobywany z wiadra. Mleko zanoszono do kuchni, odcedzano i zostawiano w lodówce albo nastawiano na śmietanę, którą później zdejmowano z wierzchu. Służba mogła brać tyle chudego mleka, ile tylko chciała, ale wszystko inne zostawiano dla rodziny. Zawsze mieli go więcej niż potrzebowali i często zsiadały się całe wiadra, które bracia zanosili potem do baraków *vaqueros*. Kiedy dorosła, bardzo jej tego brakowało: zsiadłego mleka z trzciniowym cukrem i owocami. Gdy zaczęto pasteryzować mleko, wmówiono ludziom, że zsiadłe jest niezdrowe, a ona piła je przecież przez całe życie.

Jeśli nie zaganiała mlecznych krów, szukała cielaków. Teoretycznie zadanie to należało do jej braci, ale rzadko się z niego wywiązywali.

Osierocone cielęta zaganiano do zagród przy domu. Jeannie przywiązywała krowę do płotu i spryskiwała głowę cielaka jej mlekiem. Pozwalała, by krowa poczuła własne mleko na sierotce, a potem przystawiała cielaka do wymiona. Krowy zazwyczaj kopały obce cielaki, więc Jeannie musiała odczekać i powtórzyć wszystko raz jeszcze. Czasem jakaś poddawała się od razu i pozwalała małemu ssać, ale najczęściej trwało to wiele dni. Clint i Paul kupowali konie za pieniądze z cieląt; nikt nie wiedział, co Jonas robi ze swoimi. Jeannie oddawała je ojcu na przechowanie, a kiedy miała dwanaście lat założyła sobie konto w banku w San Antonio, wpłacając na nie blisko dziesięć tysięcy dolarów.

Kiedy nie mogła siedzieć z Pułkownikiem na werandzie, jej ulubionym miejscem był stary dom Garcíów, który – choć gospodarzy nie było tu od dawna – nadal nazywano *casa mayor*. Wiedziała od początku, co się z nimi stało.

– Pedro Garcia nie miał synów, którzy mogliby pracować na ranczu – tłumaczył jej ojciec – a jego córki poślubiły złych mężczyzn, którzy wpędzili Pedra w długi. Żli mężczyźni kradli nasze bydło i postrzelili twojego stryja Glendale’a.

– Więc pojechaliśmy do nich i ich zastrzeliliśmy.

– Nie, teksańscy Rangersi pojechali do ich domu i próbowali przemówić im do rozsądku, a my pojechaliśmy z nimi. Ale Garcíowie zaczęli strzelać.

Nie było na świecie niczego wznioślejszego od godności teksańskiego Rangersa.

– Cieszę się, że zginęli – powiedziała o Garcíach.

– To byli dobrzy ludzie, którym przydarzyło się nieszczęście – odrzekł. A potem dodał: – Nieszczęścia przydarzają się dobrym ludziom.

Na przykład córki – to jedno z nieszczęść, jakie mogą się przydarzyć. Kiedyś podsłuchiwała ojca rozmawiającego z reporterem, który odwiedził ich z okazji setnych urodzin Pułkownika. Tata mówił wtedy: „Najpierw trzeba modlić się o synów, a potem o ropę. Niech pan spojrzy na Millerów z Carrizo: mieli kiedyś osiemdziesiąt milowych działek, lecz cóż z tego, kiedy nie mieli ich komu przekazać, prócz kobiet”.

Poszła natychmiast do swojego pokoju, a w porze kolacji udała, że jest chora. Po tym wydarzeniu przestało jej przeszkadzać, że Pułkownik wyrażał się źle o ojcu.

Dom Garcíów wzniesiono w latach sześćdziesiątych osiemnastego

wieku, jako jeden z pierwszych w okolicy. Stał na wzniesieniu nad doliną rzeki Nueces, gdzie – mimo suszy – ze skał nadal tryskało źródło. Dom, który przypominał mały zamek, zbudowano z ciężkich kamiennych bloków. Wieńczyła go wysoka na czterdzieści stóp wieża obserwacyjna, na której trzymano straż nad wrogim terytorium. Okna *casa mayor* były wysokimi szparami – zbyt wąskimi, by dało się przez nie przejść. Wszędzie widać było otwory strzelnicze, z których – jak sobie wyobrażała – zadawano śmierć pogańskim Indianom.

Dach dawno się zawalił, a w środku *casa mayor* rosły wśród ruin jadaloszyny i akacje, a także dęby i wiązowce wyrastające ponad mury. Z zewnątrz dom przypominał ogrodzony murem ogród, przyjemne i bezpieczne miejsce, którym wcale nie był. Z podłóg zostały klepiska, wszędzie wystawały pordzewiałe gwoździe, sprężyny i kawałki połamanego drewna, nie mówiąc o kolcach akacji. Nie pozwalano jej wchodzić do środka, ale i tak to robiła, starając się dotrzeć ostrożnie na wieżę. Po przedarciu się przez nadpalone belki stropowe i kolczaste krzaki trafiała na kamienne schody wijące się spiralnie w wieży do samego szczytu, gdzie nie było już żadnego podestu. Stawała na wąskim ostatnim schodku i przyglądała się opadającej ku rzece Nueces okolicy, odszukiwała wzrokiem swój dom, a za nim McCullough Springs z dwu i trzypiętrowymi budynkami oraz wielkim kamiennym bankiem. Kiedy Pułkownik przeniósł się tutaj, najpierw mieszkał w *jacalu*, a potem w drewnianym domu. Dom ten spłonął, kiedy umarła jego żona, a on sam postawił kamienny.

Musiała zmrużyć oczy, żeby nie widzieć farmerów i przypominających mrówki robotników rolnych na polach w pobliżu rzeki, unikała też spoglądania na własny dom i miasto – chciała zobaczyć tę ziemię taką, jaką była kiedyś. Raj ubogiego człowieka – tak ją opisywał Pułkownik. Ale wolała wyobrazić sobie, że jest księżniczką, do której wzdychają wszyscy synowie *hacendados*. Było ich siedmiu, a ona nie chciała żadnego, zamknęła się w wieży i odmawiała jedzenia do czasu, aż wyszło na jaw, że najuboższy i najbrzydszy jest prawdziwym księciem w przebraniu. Popłynęła z nim do Hiszpanii, gdzie jest chłodniej i gdzie służba karmiła ją śliwkami. Innym razem udawała, że jest panią Rosalie Evans, Angielką, o której bez przerwy opowiadał tata. Przed kilkoma laty pani Evans zabarykadowała się w takiej wieży, jak ta, i w imię demokracji ostrzeliwała się aż do śmierci przed meksykańskimi komunistami, którzy przyszli zabrać jej ziemię.



Kiedy znużyło ją stanie na wieży (miała tylko wąskie schodki i czteropiętrową przepaść pod sobą) albo oczy rozboleły ją od słonecznego blasku, rozbierała się do naga i siadała w źródle – najlepszym na ziemi McCulloughów. *Vaqueros* omijali *casa mayor* z daleka, nie musiała się więc bać, że ktoś ją zobaczy.

Strumyczek bijący ze źródła spływał po skałach ku rzece, lecz kiedyś zatamowano go, co sprawiło, że z jednej strony powstało kamienne rozlewisko, z którego czerpano wodę do cysterny pod domem. Kiedy pochylała głowę, czuła wilgoć. Z cysterny inne kamienne koryto niosło nadmiar wody do basenu poniżej domu, a stamtąd do pralni i kuchni, skąd wypływała na duży naturalny taras, porośnięty obecnie jadłoszynem i persymonem, gdzie kiedyś znajdował się kuchenny warzywnik. Wszystko to wyglądało jak rzymskie ruiny, które pokazywano w szkolnych podręcznikach, lecz tutaj mogła przechadzać się wzdłuż krawędzi starego basenu, wyobrażając sobie, że jest pełen chłodnej wody, i siadywać w cieniu wiecznozielonych dębów. Dalej widziała pofalowane wzgórza, kępy drzew i bizona pasące się – jak sobie wyobrażała – nad rzeką. To mogło oznaczać niebezpieczeństwo. Potrzebowała broni przeciw Indianom. Trudno jej było sobie wyobrazić piękniejsze życie.

Na pastwisku pod domem był kamienny murek i ruiny – resztki kościoła i innych ważnych budowli, których przeznaczenie pozostawało tajemnicą. Nadal stały stare *corrales de leña*, nadal biło źródło Garcíów, lecz ktoś zburzył tamę, więc woda nie docierała do rozlewisk. *Casa mayor* wysechł jak wszystko inne. Strumyczek znów płynął pierwotnym korytem obok starego kościoła, gdzie czasem, szczególnie po deszczach, wypłukiwał ciekawe rzeczy. Małe kawałki cyny, których przeznaczenia nie знаła, niezliczone okruchy kolorowej glazurowanej ceramiki czy potłuczone filiżanki, które – jak mówił Pułkownik – służyły do picia czekolady. A oprócz tego rogowe guziki, mosiężne śruby, rozmaite monety i fragmenty kości.

Tylko dzieci nie bały się *casa mayor*. Meksykańscy parobcy, gdy kazano im sprowadzić bydło z pobliskich pastwisk, zawsze żegnali się znakiem krzyża. Byli głupimi katolikami, więc to nie ich wina. Trudno też winić Garcíów za ich własne lenistwo, choć stali się kradnącymi bydło Metysami, ale żałowała ich, mimo że postrzelili jej stryja Glenna.

Czasem wydawało się jej dziwne, że leniwi Metysi byli w stanie wznosić tak wyszukane kamienne budowle, zaopatrzone w cysterny, baseny kąpielowe i przeróżne ogrody, ale gdy nachodziły ją takie myśli

– zresztą niezbyt często – przypominała sobie, że ludzie często robią dziwne, nieprzewidziane rzeczy, jak Brennerowie, dwaj bracia, których zastrzelono podczas napadu na bank w San Antonio, czy Moralesowie, którzy od trzech pokoleń pracowali dla McCulloughów, a ich córka uciekła z domu, by zostać prostytutką. Tak mówił Clint. Wyskrobała jego imię na miękkich wapiennych ścianach *casa mayor*, C-L-I-N-T, literami tak dużymi, jak on sam.

Pewnego skwarne go letniego dnia, kiedy nie było już szkoły, a miała po dziurki w nosie pływania w zbiorniku, wybrała się konno z Clintem i Pauliem na hacjendę. Wybrali okreśną drogę, odkrywając źródło, którego nikt wcześniej nie widział – nie tak obfite, jak przy *casa mayor*, ale źródło tak czy inaczej. Zasilało strumień obrośnięty persymonami, winoroślą i dębami. Podjechali nad krawędź rozlewiska – gdzie można było zebrać tyle żab, ile dusza zapagnie – i zapamiętali to miejsce, żeby wrócić do niego później. Na całym ranczo było pełno wyschniętych w większości, wypełnionych piaskiem strumieni, których bieg wyznaczały szkielety suchych drzew. Nawadnianie, mówił Pułkownik, osuszyło całą okolicę. Z wyjątkiem starej posiadłości Garcíów, gdzie nadal biły wszystkie źródła – była to najlepiej nawodniona część całego rancza.

Jonas, jej najstarszy brat, nie towarzyszył im. Właśnie wybierał się na studia na wschodzie i za karę ojciec nie dał mu ani jednego wolnego dnia przez całe lato. Paul i Clint postanowili nie pracować w spiekocie. Kiedyś, lata temu, zapytała Clinta, czy tata nie powinien przypadkiem znaleźć sobie nowej żony, żeby mieli prawdziwą mamę. Brat odpowiedział, że mają prawdziwą mamę, tylko ona ją zabiła. Bo się urodziłaś, dodał. Jedyłą satysfakcją sprawiło jej wtedy bardzo długie lanie, które dostał Clint. Mimo to wiedziała, że powiedział prawdę. Mama umarła w połogu, wydając ją na ten świat. Bóg tak chciał, mawiał ojciec. Choć innym razem powiedział, że to kara za to, że nie chodził do kościoła.

Wyobrażała sobie, jak by to było mieć mamę. Chodziłyby razem i zakopywały różne rzeczy, żeby potem je odkopać. Kiedyś, w szkole, zakopała gruby srebrny sygnet – prezent od Pułkownika – tak głęboko w piaskownicy, jak tylko mogła. Kiedy po chwili wróciła, kopał w niej Perry Midkiff. Stała nad nim nauczycielka.

– To moje – powiedziała Jeanne Anne, pokazując palcem sygnet.

– Nie – odpowiedziała nauczycielka – Perry go znalazł na moich oczach.

- Ale ja go tam zakopałam!
- Po co miałabyś zakopywać sygnet w piaskownicy? – Nauczycielka była młoda, gruba i nie miała podbródka – umrze jako stara panna, mówiono.
- Chciałam go odkryć – odpowiedziała Jeannie, ale mówiąc to, wiedziała już, że sprawa jest przegrana. Straciła sygnet na zawsze.

W *casa mayor* było mnóstwo rzeczy do odkrycia i odkopania na klepisku wewnątrz domu albo na dziedzińcu, albo wokół starego kościoła i w zapadniętych *jacalach* dawno zmarłych *vaqueros*. Rzadko zdarzało się, żeby nie znalazła tam jakiegoś skarbu. Był tam niszczący hiszpański murek, osłaniający przed ostrzałem. Bracia rozbili go w drobny mak, usiłując kopać. Znajdowali mnóstwo starej broni, tak pordzewiałej, że trudno ją było zidentyfikować: rapiery, groty lanc, topory, ostrza noży, a nawet jednostrzałowy pistolet z wyłamanym zamkiem.

Tamtego dnia, idąc wzdłuż łożyska strumienia obok kościoła, natknęli się na świeże, wypłukane przez wodę osuwisko brzegu. Tuż pod ziemią leżał płaski kawałek drewna, a Clint, wyczuwając skarb, zaczął kopać i odskoczył gwałtownie. Patrzył na nich oświetlony jaskrawym słońcem ludzki szkielet w poszarpanym całunie. Clint pochylił się i podniósł czaszkę. Była mała, mniejsza od kantalupy, i miała ciemnożółty kolor. Jeannie myślała, że wszystkie kości są białe. W trumience był też złoty łańcuszek, który wyjął Clint.

- To dziewczynka! – wykrzyknął.

Clint przez chwilę wpatrywał się w czaszkę z udawanym przerażeniem, a potem rzucił ją w trawę. Jeannie chciała jej dotknąć, ale nie mogła. Paul włożył czaszkę z powrotem do trumny, zamknął wieko, zasypał je ziemią i kamieniami.

- Zwierzęta znów ją odkopią, kretynie.

- Nie mają tu nic do zjedzenia – odrzekł Paul. – Tylko nas interesują stare kości.

Rozebrali się w cieniu nad strumieniem, choć byli już zbyt dojrzały, by zdejmować w swoim towarzystwie bieliznę. Usiedli w chłodnej wodzie, patrząc na pastwiska, niski pokruszony mur starego kościoła i odległą rzekę Nueces.

- Ile miała lat?
- Była prawie dorosła – odrzekł Paul.
- Mniej więcej w twoim wieku – dodał Clint.

Po jakimś czasie zrobiło im się chłodno. Temperatura wody nigdy się nie podnosiła, bez względu na upalną pogodę. Zjedli lunch i usiedli na ciepłych płaskich kamieniach. Niedaleko kościoła, w cieniu, stało stadko krów. Przypatrywały się im. Po chwili na niższym pastwisku pojawił się byk, który wachał powietrze, szukając konkretnej krowy. Widzieli, jak ta uciekła, zatrzymała się, zerknęła przez bark i znów zaczęła uciekać. Jeannie miała straszliwe przeczucie, że zwierzęta wpadną do trumny, ale nawet się do niej nie zbliżyły.

– Wszystkie są takie, co nie? – mruknął Clint. – Uciekają, choć naprawdę tylko o to im chodzi. On zaraz dostanie to, czego chce. Ona też.

Jeannie roześmiała się nerwowo i zacisnęła uda. Pod włosami miała niewielkie płatki skóry, a pod nimi małą dziurkę, w którą, jak wiedziała, musi wejść mężczyzna, choć nie rozumiała, jak i dlaczego miałyby na to pozwolić, chyba że z mocy jakiegoś osobliwego paktu, takiego jak ten, który zawarła z Paulem, pożyczając mu kiedyś konia.

– Widzisz – odezwał się szyderczo Clint, wskazując ją brodą. – Ona wie, o czym mówię.

Krowa podbiegła na wzgórze w ich stronę, ujrzała ich i stanęła. Byk ją dopadł, a ona nie uciekała, więc szybko wspiał się na nią.

– Spójrz na tę pierdoloną lagę – syknął Clint.

Byli zbyt daleko, ale doskonale wiedzieli, że byk coś wsadził krowie i poruszał tym w tę i w tę. W końcu zsunął się z niej, stał, dysząc i parskając.

– Któregoś dnia jakiś dorodny byczek zrobi ci to samo.

– Daj jej spokój – mruknął Paul.

Clint trzasnął go, ale brat nawet się nie poruszył. Biedny łagodny Paul. Po kilku latach na komodzie w jego pokoju – gdzie stało schludnie zasłane łóżko, biblioteczka pełna dziesięciocentowych westernów, wisiało szkolne zdjęcie odkurzone co tydzień przez pokojówkę – położyła list, zawiadamiający o jego śmierci. *Postrzał z broni krótkiej, Ardeny*. Styczeń, śniegi sięgające pasa, a Paul, który wychował się na Pustyni Dzikiego Konia, nie miał nawet palta.

Clint zginął jako pierwszy, we Włoszech. Obaj bracia przejechali pół świata, żeby umrzeć, ale tamtego wieczoru – zanim którykolwiek z nich opuścił ranczo na zawsze – Clint podszedł do niej i bez jednego słowa podał jej złoty łańcuszek z grobu dziewczynki. Krwawy Clint – tak go nazywała w myślach, choć wiedziała, że sprawiłoby mu to przykrość. Jego rozrywką było chwytanie w sidła ptaków i małych zwierzątek,

obdzieranie ich ze skóry i wypychanie, aż przestawały przypominać siebie i stawały się guzowatymi poduszczkami. Miał je wszędzie w pokoju. Jako czternastolatek był już doskonałym ranczerem, ale ojciec dbał tylko o Jonasa. Był najstarszy. Clint lepiej jeździł na koniu, lepiej rzucał lassem – rzucał jak starzy Meksykanie z ręki i spod ręki, bez kręcenia, bez dodatkowych ruchów, rzadko kiedy zmarnował pętlę. Potrafił wybrać cielę ze stada, zanim się zorientowało, że w ogóle stoi obok. Był zawsze pierwszy przy powalaniu wielkich byków za ogon czy dosiadananiu dzikich mustangów: widziała konie tarzające się po ziemi, wyskakujące ze skóry – i tak nie mogły zrzucić Clinta z grzbietu.

To nie miało znaczenia. Jonas był najstarszy i ojciec poświęcał więcej uwagi różnorodnym brakom pierworodnego – a było ich co niemiara – niż osiągnięciom Clinta. Pewnego dnia ranczo stanie się własnością ojca, a po nim obejmie je Jonas. Wszyscy o tym wiedzieli, w tym Clint, który przez dwa dni leżał chory w łóżku po wypiciu butelki jeżynowej nalewki babci. Ale Jonas wyjeżdżał z końcem lata i powiedział jej w zaufaniu, że nigdy nie wróci. Wtedy mu nie uwierzyła.

Teoretycznie Jeannie miała też drugą rodzinę, zestaw dziadków ze strony matki. Ale ta druga babcia zmarła długo przed jej przyjściem na świat; równie dobrze mogłaby nie istnieć. Z kolei drugi dziadek umarł, kiedy miała osiem lat. Był farmerem, który przyjechał z Illinois kupić ziemię od Pułkownika sprzedawaną po promocyjnej cenie. Może gdyby jego córka – matka Jeannie – nie odeszła, wnuczka poznałaby go lepiej, ale podczas kilku odwiedzin był tak milczący i pełen szacunku, że przypominał obcego. Nic od niej nie chciał ani od jej braci, a raz po jego wyjeździe tata nazwał go człowiekiem, który zna swoje miejsce.

Znacznie później uświadomiła sobie, że – przynajmniej z naukowego punktu widzenia – ten milczący farmer był krewnym bliższym jej od Pułkownika, ale szybko pozbyła się tej myśli. Kiedy umarł, nie spotkała już więcej rodziny ze strony matki. Zresztą niewiele za nimi przemawiało, bo nawet najuboższy *vaquero* stał wyżej od farmera. Bardziej interesował ją stryj Glenn. Był jeszcze chłopcem, kiedy do niego strzelano po raz pierwszy i wyobrażała sobie, że postąpiłaby tak samo jak on, odważnie powiadomiła ojca o Meksykanach z tyłu, i nie łąpała się za serce, żeby bezboleśnie umrzeć. Oczywiście Glenn nie umarł. Ale ona by umarła. Nazwaliby na jej cześć szkołę, postawili pomnik, a jej nauczycielka miałaby się z pyszna za to, że pozwoliła Perry'emu Midkiffowi ukraść srebrny sygnet Pułkownika.

Po śmierci Pułkownika babka przeniosła się do Dallas, wracając na

ranczo kilka razy do roku, żeby sprawdzić, czy wszystko idzie dobrze. Jeannie nie spodziewała się, że będzie za nią tęsknić. Babka upierała się, żeby Jeannie się myła i przebierała przed obiadem, czego nie musieli robić jej bracia. Szorowała dłonie wnuczki i czyściła jej paznokcie stalową wykałaczką. Braciom Jeannie tylko groziła palcatem, jeśli zdarzyło im się zachować niewłaściwie lub powiedzieć coś, czego nie powinna słyszeć dama. Ale nie bywała u nich często.

Zatem jako jedyna kobieta, która pozostała w domu, była zupełnie nieprzygotowana na to, co wydarzyło się, kiedy miała dwanaście lat i co kazało jej pobiec pędem do ojca – tak szybko, że o mało nie nadepnęła węża. Tato szybko pojął sytuację, zanim padły jakiegokolwiek słowa. Zdała sobie sprawę, że musiał się tego spodziewać. Zadzwoił gorączkowo po pokojówkę. Czekali na nią w milczeniu. Ojciec, jak zauważyła, był bardziej zawstydzony od niej; miała szczęście, że to nie przytrafiło się przy braciach albo w szkole, czy też w kościele. W zasadzie nie mogło przytrafić się o sposobniejszej porze, bo spacerowała samotnie, przyglądając się tropom przy zbiorniku.

– Babcia nic ci o tym nie mówiła? – Zadzwoił raz jeszcze na pokojówkę. – Gdzie się wszyscy podziali? No cóż, z naukowego punktu widzenia stałaś się kobietą. A twoje ciało przygotowuje się do tego, że za kilka długich lat, jako dorosła kobieta... wyjdiesz za męża.

Wiedziała, że wcale nie miał na myśli zamążpójścia. Patrząc na niego – przestępował z nogi na nogę i plamił białą koszulę potem – doszła do wniosku, że nie może mu całkiem ufać. Pułkownik miał rację: jedyną osobą, na której może polegać jest ona sama. Zawsze o tym wiedziała tak czy inaczej, a teraz całkiem przestała się wstydzić. Była tylko zażenowana zachowaniem ojca, który mimo wielkiego wzrostu i potężnych dłoni okazał się zupełnie bezradny. Przeprosiła go i poszła do starego pokoju Jonasa, wyjęła z komody podkoszulek i pocięła go na paski. Jeden z nich wsadziła do majtek.

Kiedy zeszła na dół, pokojówka już na nią czekała. Obejrzawszy ręczną robotę Jeannie, uznała, że się nada, i wyjaśniła jej najlepiej jak umiała, po części po hiszpańsku, a po części w zaszyfrowanym katolickim angielskim, co się właściwie dzieje i że nie, nie przestanie. Potem obie pojechały do miasta na zakupy.



## Dzienniki Petera McCullougha

*5 września 1915 roku*

Glendale siedzi w domu od dwóch tygodni, ale jest blady, słaby i nadal walczy z jakąś infekcją. Jutro zabiorą go z powrotem do San Antonio. Ręka Charliego wygląda już lepiej, choć nie całkiem, a ja mam w głowie taki obraz: obaj moi synowie w jednej trumnie.

Po długiej nieobecności wróciła czarna zjawa. Widuję ją w cieniach gabinetu, chodzi za mną po domu, choć jeszcze nie zaczęła mnie przyzywać (kiedy widziałem ją na środku rozlewisk Red – miała rozłożone ręce jak Chrystus). Wpakowałem w nią cały magazynek. Nie mam już siły złościć się na Pedra i ojca. Odwiedziłem groby mamy, Everetta i Pete'a Juniora (ukąszenie przez węża, trudno o to winić Pułkownika, ale i tak mam do niego żal).

Ma się rozumieć, czuje, że coś jest nie tak. Udaje, że nie wie co. Kilkakroć zastał mnie zaczytanego w wielkim salonie i przystawał, jakby czekając, że się odezwę. Kiedy tego nie robiłem – bo od czego miałbym zacząć? – człapał dalej.

Człowiek tak inteligentny jak Pedro nie mógł tego przeoczyć. Tak mówi głos ojca – ten w mojej głowie. I dodaje, że Pedro nie miał wyboru: jego córki wyszły za tych mężczyzn, a oni znaleźli się w jego rodzinie, płodzili jego wnuki. A jeśli Pedro nie miał wyboru, my też go nie mieliśmy. Tak wygląda logika mojego ojca – nigdy nie ma żadnego wyboru.

Tymczasem prześladowają mnie własne tchórzliwe uczynki. Gdybym poślubił Marię (w której byłem krótko zakochany) zamiast Sally (moją właściwą wybrankę)... która miała trzydzieści dwa lata, dwukrotnie została porzucona, kochała życie w Dallas; i której zgorzknienie było widoczne od chwili, gdy wysiadła z pociągu; która przyjechała tu, bo jej ojciec, mój ojciec i jej własna biologia nie zostawili jej wyboru. *Czułam się tak samotna, kiedy poznałam Petera, tak opowiada*



o naszym narzeczeństwie. Nasi ojcowie zaaranżowali krycie jak dla jałówki i byka. Może przesadzam, bo w gruncie rzeczy spędziliśmy przyjemnie kilka pierwszych lat, ale później Sally musiała zdać sobie sprawę, że – co zawsze powtarzałem – nie mam zamiaru opuścić tej ziemi. Wiele rodzin o naszej pozycji, podkreślała, utrzymuje więcej niż jeden dom. Ale nie jesteśmy tacy jak inni.

Są takie chwile, kiedy widzę José i Chico oraz (co niemożliwe) samego Pedra, strzelających do nas z drugiej strony rzeki. Innym razem przypominam sobie wydarzenia tak jak naprawdę wyglądały: pół tuzina jeźdźców w ciemności ukrywa się w zaroślach oddalonych o setki jardów. Być może Meksykanów – ze względu na krój ubioru – a być może nie.

Byłem z tyłu, wysoko na brzegu rzeki, i miałem najlepszy widok. Gdybym lepiej celował albo zsiadł z konia... ale nie chciałem nikogo trafić. Wydawało mi się, że zdołam odepchnąć śmierć, nawet jeśli tylko na chwilę, więc celowałem nad ich głowami i opróżniłem cały magazynek, tylko wściekłość i wrzask, trudne warunki rozgrzeszały mnie z braku celności. Gdybym celował troszkę lepiej... wygląda na to, że jeden z mężczyzn, do których z rozmysłem nie wycelowałem, postrzelił Glenna. Wszystko mogło zakończyć się inaczej. Choć to mało prawdopodobne.

Nie umiem nie współczuć Meksykanom. Jeśli chodzi o ich białych sąsiadów, to rodzą się na tym świecie jako kojoty w ludzkiej skórze, a kiedy zdychają, są traktowani jak kojoty. Instynkt każe mi trzymać ich stronę, choć gardzą mną za to. Widzę w nich siebie – uwłacza się im. Być może nie da się szanować człowieka, który ma to wszystko, czego sami nie posiadamy. Chyba że jest gotów nas zabić. Wygląda na to, że rodzą się z szacunkiem dla rządów twardej ręki – jest im wygodnie w tradycyjnych relacjach *patróna z peónem* – a każda próba zmiany tych stosunków jest traktowana przez nich jako niegodna, podejrzana, jako oznaka słabości.

Być zwykłym zwierzęciem jak mój ojciec! Nieniekupionym świadomością czy sumieniem! Spać zdrowo, być czegoś pewnym, traktować ludzi jak zbędne mięso.

Kiedy zasypiam, śni mi się Pedro ułożony porządnie przy swoich

*vaqueros* na dziedzińcu. Mają otwarte oczy i usta, wszędzie roją się muchy i pszczoły. Śni mi się w łóżku z martwą córką u stóp, z martwą żoną przy boku. Zastanawiam się, czy widział, jak je zastrzelono? Zastanawiam się, czy w ludziach, którzy to zrobili, rozpoznał przyjaciół?

17 września 1915 roku

Sally przeniosła się do swojego pokoju. Glenn nadal przechodzi rekonwalescencję w San Antonio – jeździmy tam na zmianę, żeby z nim pobyc. Pilkington nie umie wyjaśnić, co mu dolega. *Vaqueros* podejrzewają ciemne moce – jakąś *bruja*.

Dziś przy obiedzie Sally zagała rozmowę:

– Pułkownik, jaką nagrodę wyznaczył pan za wilki?

Mój ojciec: – Dziesięć dolarów za skórę. Tyle samo za panterę.

– Jaka, pańskim zdaniem, powinna być nagroda za głowę Meksykanina?

– Przestań – rzuciłem.

– Tylko pytam, Pete. To rozsądne pytanie.

– Moim zdaniem nie trzeba wyznaczać nagrody – wtrącił się Charles.

– Więc dziesięć dolarów to za dużo? Czy za mało?

– Wolałbym nie rozmawiać na ten temat, ani dziś, ani nigdy.

– Niespecjalnie martwisz się tym wszystkim, Peter, nie zauważam tego. Czy ktoś to zauważył? Czy Peter tym się przejmuje?

Wszyscy milczeli. W końcu odezwał się Pułkownik:

– Pete ma własny sposób na radzenie sobie z różnymi sprawami. Daj mu spokój.

Wstała i zniosła talerz do kuchni, obrzucając ojca wściekłym spojrzeniem. Mnie już nienawidzi.

Próbuję się pocieszać, że nie jesteśmy osamotnieni w cierpieniach. Przed dwoma tygodniami spalono (znów) mosty kolejowe wiodące do Brownsville, przecięto linię telegraficzną, a z tłumu robotników wybrano dwóch białych i zastrzelono o poranku. W odwecie zabito około dwudziestu *Tejanos* – tylu się doliczono. Trzeci Regiment Kawalerii toczy regularne boje z armią meksykańską wzdłuż granicy – strzelają zza rzeki. Pod Los Indios powstańcy zabili trzech kawalerzystów, a w leżącym naprzeciw po stronie meksykańskiej

Progreso zatknięto na pal głowę zaginionego szeregowca naszej armii.

Z lepszych wieści: powietrze pachnie słodko, a ziemia zaczyna wracać do życia. Pada nieprzerwanie, wzeszły dalie i heliotrop, wszędzie w meksykańskich oliwkach latają kolibry i motyle rusałki, pachnie *éban* i *guayacan*. Chmury płoną o zachodzie, a rzeka lśni od słońca. Ale nie dla Pedra. Dla niego jest tylko ciemność.

### *1 października 1915 roku*

Obudziłem się na fotelu obok szpitalnego łóżka Glenna, wyobrażając sobie, że jeśli zostanę tu wystarczająco długo, przyjdzie matka i rozmasuje mi kark. Zawsze polegałem na innych, jeśli chodzi o przepędzanie duchów. Kiedy się goliłem, twarz, którą ujrzałem w szpitalnym lustrze, nie należała do mnie. Wyglądało to tak, jakby w szkłe kryła się jakaś wada, moje rysy wykrzywiły się, stały nieproporcjonalne jak u zmarłego.

### *3 października 1915 roku*

Z powrotem w domu. Sędzia Poole przyjechał z Laredo i poinformował mnie, że Pedro Garcia od ośmiu lat zalegał z podatkami. Wiedziałem, do czego zmierza. Było mi straszliwie wstyd. Dzwoniło mi w uszach, prawie nie słyszałem, co mówił.

Sędzia patrzył na mnie.

– To mało prawdopodobne – powiedziałem.

– Pete, mam w swej pieczy rejestry podatkowe hrabstwa Webb i sprawdziłem u Brewstera w hrabstwie Dimmit.

– Nadal w to nie wierzę.

Poole siedział i cały się trząsł jak wiadro zsiadłego mleka. Zdawał sobie sprawę, że nazywam go kłamcą, ale jestem synem Pułkownika, więc postanowił przejść nad tym do porządku dziennego. Powtórzył, że stan Teksas proponuje nam sprzedaż ziemi Garcíów, blisko dwieście milowych działek, w zamian za spłatę zaległych podatków.

– Szeryf Graham zajął już tę ziemię w imieniu sądu.

– Wydawało mi się, że ogłasza się licytację za zaległe podatki.

– Już ogłoszono. Wisi na drzwiach sądu, jeśli o to chodzi, ale nikt tego nie zobaczy, bo jest przykryte innymi. Nie widzę powodu, żeby

jakiś jankeski spekulant przebijał was w licytowaniu ziemi, która się wam prawowicie należy.

Jak wszyscy cudzołożnicy jest namiętny jak Casanova i pewny siebie jak chodzący po wodzie Chrystus... Nieważne, że wszyscy jankescy spekulanci dawno temu uciekli, wypłoszeni strzelaninami. Nie można się było wycofać... Przeprosiłem go, mówiąc, że jestem rozkojarzony z powodu Glenna. Pokiwał głową i poklepał mnie po dłoni swoim śliskim pazurem. Miałem nadzieję, że powoływanie się na Glenna w takich okolicznościach nie skaże mnie na męki piekielne, choć przystałbym na nie z ochotą, gdybym mógł jednocześnie pozbyć się towarzystwa Poole'a. Przeprosiłem go raz jeszcze, ale nie zdołałem wyjść (z mojego własnego salonu), gdy usłyszałem, że drobny dowód wdzięczności za jego wstawiennictwo byłby mile widziany. Przyszło mi na myśl sto dolarów, ale czytał moje myśli. Dziesięć tysięcy będzie w sam raz, prawda?

Poole mógł oddać tę ziemię każdemu, ale Reynoldsowie i Midkiffowie (jak wszyscy inni hodowcy bydła w Teksasie) borykają się z problemami finansowymi, a Pułkownik wydaje tyle pieniędzy na kupowanie praw do poszukiwań ropy, że prawdopodobnie wyglądamy na bogaczy. Wszyscy kochają słabsze drużyny. Dopóki nie muszą stanąć po ich stronie.

Jestem ciekaw, czy Pedro rzeczywiście nie płacił podatków. Może spóźniał się o rok? Osiem lat... to niemożliwe. Wiedział, co spotyka Meksykanów, którzy nie płacą podatków, choć nie przewidział, że to samo może spotkać i tych, którzy płacą. Słyszę Pułkownika: „Nikt nigdy w całej historii ludzkości nie kupił uczciwie ziemi”, ale nie czuję się od tego lepiej.

Całkowity koszt działek Garcii: \$103 892,17. Mniej więcej tyle, ile była warta ta ziemia, gdy mieszkali jeszcze na niej Apacze.

### *27 października 1915 roku*

Pułkownik uparł się, żebym pojechał z nim do domu Garcíów. Kiedy zsiadliśmy z koni, wyjął z juków kilka baniek z naftą.

– Nie zrobię tego – powiedziałem.

– Powinienem był to zrobić przed pięćdziesięciu laty, Pete. Wybiliśmy wilki, nie możemy zostawiać siedliska dla innych.

- Nie pozwolę ci spalić tego domu.
- Cóż, nie pozwolę ci mnie powstrzymać.
- Tato...

- Pete, nie rozmawialiśmy od bardzo dawna i wiem, że jestem wobec ciebie niesprawiedliwy. A ty masz żal o te prawa do ropy. Nie powinienem był robić tego za twoimi plecami. Przykro mi, ale to był jedyny sposób.

- Gównu mnie obchodzą prawa do wierceń!
- To było konieczne - odrzekł.

- Doskonale dajemy sobie radę bez nich. W przeciwieństwie do naszych sąsiadów.

- Wiesz, że lubiłem starego Pedro.
- Widocznie za mało.

Milczeliśmy przez długą chwilę.

- Nie muszę ci mówić, jak kiedyś wyglądała ta ziemia - odezwał się w końcu. - A ty nie musisz mi przypominać, że to ja ją zrujnowałem. Zrobiłem to, tymi rękami, zrujnowałem ją na zawsze. Masz tyle lat, że pamiętasz jak między tym ranczem a Kanadą rosła trawa sięgająca jaj perszerona i tak, to możliwe, że za tysiąc lat znów będzie tu jak kiedyś, choć to mało prawdopodobne. Ale takie są dzieje rasy ludzkiej. Zamieniamy ziemię w piach, to, co rodzi w to, co jałowe, owoce w osty. Tylko to potrafimy.

- Osty można usunąć.
- Tylko jakim kosztem! Z naszych własnych pieniędzy!
- I tak nieźle nam się powodzi.

Wzruszył ramionami.

- Pete, kocham tę ziemię i kocham moją rodzinę, ale nie bydło. Ty dorastałeś pośród krów. Nie powiem, choć to prawda, że dorastałem wśród bizonów, bo to byłaby przesada. Powiem natomiast, że dla ciebie krowy są święte, podobnie jak ludzie, którzy je hodują i o nie dbają. Dla mnie mogłyby nie istnieć. Zacząłem je hodować, żeby utrzymać rodzinę, lecz za mojego życia zniknęły te rzeczy, że nie potrafię przejmować się krowami. Co sprowadza mnie do początku: ile straciliśmy w tym roku z jednego pastwiska przez Garciów?

- Tato... - powtórzyłem. Dziwne słowo, kiedy pada z ust blisko pięćdziesięcioletniego mężczyzny. Pułkownik mówił dalej:

- Na samym zachodnim pastwisku tylko w tym roku straciliśmy czterdzieści tysięcy dolarów. Na innych pastwiskach z osiemdziesiąt. Wiesz, że okradali nas od dawna, od czasu, kiedy pojawił się pierwszy

zić. Przez cztery lata panowała susza, ale to nie ona zmniejszyła pogłowie cieląt o pięćdziesiąt procent. Dobrze je karmiliśmy. A czy nie straciłeś przypadkiem nagle trzydziestu procent mlecznych krów? Padły? Nie. Zniknęły za sprawą człowieka. Jak policzyć to wszystko sumarycznie, to okradli nas z jakichś dwóch milionów dolarów.

– Nie zapomnij policzyć sumarycznie mułów.

Pokręcił głową i spojrzał gdzieś w dal. Milczał bardzo długo. Nie musiałem, w przeciwieństwie do niego, kupować tej ziemi. Uważam za oczywistość coś, co dla niego jest niewyobrażalne. Działki Garcíów podwoją wielkość naszego rancza i to w czasach, w których inni hodowcy borykają się z trudnościami. To wielki wyczyn z pewnego punktu widzenia, a ja zastanawiam się, czy Pułkownik dopuszcza jakikolwiek inny. Znów się odezwał:

– Nigdy nie miałeś wyrzutów, Pete, sprzeciwiając się najbliższemu. Ale nie potrafisz sprzeciwić się obcym. Z tym zawsze miałeś problem. – Wytarł chustą czoło. – Spalę to gniazdo karaluchów. Pomożesz mi, czy nie?

– Po co nam to wszystko?

– Po to, żeby nie wziął tego ktoś inny. Bo ktoś kupiłby tę ziemię, może Ira Midkiff albo Bill Reynolds, albo sam sędzia Poole, który wziąłby połowę, Graham jedną ćwiartkę, a Gilbert drugą. A jeśli nie oni, to jakiś nowy nafcjarz. Jedyną pewną rzeczą było to, że Pedro ją straci. Jego czas minął.

– Nie minął sam z siebie.

– Mówimy dokładnie to samo, tylko ty nie przyjmujesz tego do wiadomości.

– Nie musiało tak się stać.

– Musiało. Garcia zdobył tę ziemię w taki sam sposób: przepędzając z niej Indian. My musieliśmy zrobić to samo. A kiedyś ktoś inny robi to samo nam. Zachęcam cię, żebyś o tym nie zapominał.

Podniósł dwie bańki z naftą, po jednej z każdej strony, i ruszył wolno schodami do góry. Bańki były ciężkie, chwiał się pod ich ciężarem i o mało ich nie wypuścił. Patrząc na niego, zdałem sobie sprawę, że to człowiek z zupełnie innych czasów. Jest jak skamielina wypłukana ze strumienia albo rów w dnie oceanu. Pochodził z epoki, w której każdy brał to, co chciał i nie musiał się usprawiedliwiać.

Uświadomiłem sobie również, że nie różni się niczym od naszych sąsiadów: robią dokładnie to samo, choć w nowocześniejszy sposób. Potrzebują rasowego uzasadnienia, żeby usprawiedliwić własne

kradzieże i morderstwa. Najbardziej postępowym z nich jest mój brat, Phineas, który nie ma nic przeciwko Meksykanom ani komukolwiek innemu, uważa natomiast, że wszystko jest kwestią ekonomii. Nauki, a nie uczuć. Silnych należy wspierać, słabi muszą zginąć. Żaden z nich nie widzi jednak, a raczej nie chce widzieć, że ciągle mamy wybór.

Usłyszałem, jak ojciec przewraca jakieś sprzęty w domu. Na koniu nadal wyglądał młodo, na ziemi dopadał go ciężar lat. Było mi go żal, kiedy widziałem jak dźwiga bańki z naftą. Chyba jestem nienormalny. Poszedłem za nim do domu. Mogłem go przewrócić i zabrać mu naftę. Ale było za późno. Została tylko formalność.

W środku wszystko było pokryte pyłem, który wpadł przez otwarte okna i drzwi, wszędzie widać było ślady zwierząt, krew wyschła i zamieniła się w zwykłe czarne plamy. W salonie ojciec rzucał meble na stos i polewał je naftą. Chodziłem za nim po całym domu, do sypialni, a potem do gabinetu Pedra. Wyjmował wszystkie papiery z szuflad: stare listy, kursy akcji, akty urodzenia i śmierci od dziesięciu pokoleń, akt nadania ziemi z czasów, gdy obszar ten był hiszpańską prowincją – Nuevo Santander.

Kiedy polał wszystko naftą, zapalił zapałkę. Stałem i patrzyłem, jak zwija się papier, jak ogień zajmuje biurko i wspina się po ścianie na dużą mapę stanu, sporządzoną w czasach, w których wszystkie działki ziemi miały hiszpańskie nazwy. Usłyszałem, jak ktoś przyzywa mnie po imieniu – Pedro. Potem zdałem sobie sprawę, że to ojciec. Poszedłem go szukać, a kiedy wyszedłem z gabinetu, cały dom zasnuwały kłęby dymu. Ojciec rozpalał ogniska w innych pokojach. Zanurkowałem pod kłębiącym się dymem i zajrzałem do sypialni Pedra i Lourdes. Ich łóżko zaczynało się palić. Zapłonął baldachim, a ciemny pokój wypełniła jasna poświata. Zastanawiałem się, ile pokoleń Garciów zostało spłodzonych w tym łóżku, wiedziałem, że Pułkownik myśli o tym samym.

Widziałem w płomieniach mroczną postać, która mnie przyzywała, odwróciłem się z wysiłkiem i odszedłem ku słońcu. Kiedy wyszedłem na dwór, ojciec kuśtykał już ku zabudowaniom gospodarczym Garciów, trzymając w rękach kolejne bańki z naftą.





## Eli/Tiehteti

### *Bizon*

Do Komanczów należała cała ziemia między Meksykiem a oboma Dakotami, na ziemi tej było najwięcej bizonów na całym kontynencie. Północne szczepy polowały na bizony w sezonie łowieckim, natomiast Kotsoteka, których terytoria leżały w środku ziemi Komanczów, nie robili tego przez cały rok. Latem polowali na byki, które były wówczas najtłustsze, a zimą na krowy. Do trzeciego roku życia mięso byków i krów było równie dobre, potem krowy stawały się lepsze. Stare byki zabijano głównie dla skór.

Na bizony polowano za pomocą włóczni albo łuku. Polowanie z włócznią wymagało sporej odwagi i umiejętności: należało dogonić bizona i jedną ręką wbić włócznię między żebra, tak, by grot przebił płuca i serce. Przy pierwszym ukłuciu zwierzę obracało się i bodło rogami, próbując zepchnąć prześladowcę na inne biegnące bizony. Pozostawało tylko wbić całą włócznię, wepchnąć ją z całych sił, używając w tym celu masy napierającego zwierzęcia. O ile zwierzę nie zgniotło najpierw myśliwego.

Przeciężny bizon był dwa razy większy od udomowionej krowy i zajadły jak niedźwiedź grizzly. Potrafił trafić człowieka kopytem w głowę, jeśli chciał, co na szczęście rzadko mu się zdarzało, lecz gdy koń się potknął albo trafił na dziurę wykopaną przez pieski preriowe, można się było założyć o każde pieniądze, że niewiele z niego zostanie, bo bizony – w przeciwieństwie do koni – skręcały, żeby tratować ludzi. Łuk zapewniał większą swobodę ruchów, a zwierzę można było zabić z pewnej niewielkiej odległości – kilku jardów – strzelając pod ostrym kątem za ostatnie żebro. I znów zwierzę – czując ukłucie strzały – odwracało się i bodło. Najlepsze konie skręcały po brzęku cięciwy, a to ćwierć sekundy ratowało najczęściej życie.

Dopóki nie weszły do użycia długie karabiny Sharpsa, bizony zabijano w biegu od tyłu albo z boku; i tak grupa jeźdźców zmuszała bizony do dzikiego pędu, a potem doganiała prowadzące zwierzę

i zmuszała stado do skrętu, tworząc młyn, pędzący okrąg. Wtedy myśliwi rozpoczynali łowy.

Kiedy zabito tyle zwierząt, ile da się oprawić w ciągu jednego dnia, uwalniano stado z młyna, a zwierzęta znikwały gdzieś na prerii. Trafione bizony zarzynano tam, gdzie padły, choć „zarzynanie” nie jest dobrym słowem. Komancze działali jak chirurdzy. Po dobiciu bizona nacinali starannie skórę wzdłuż kręgosłupa, gdyż tuż pod nią jest najlepsze mięso i najdłuższe ścięgna, a następnie obdzierali zwierzę ze skóry. Jeśli łowy odbywały się blisko wioski, pojawiały się wesołe dzieci, które domagały się od oprawców kawałków gorącej wątroby z żółcią z wyciśniętego pęcherzyka. Wyjmowano żołądek, opróżniano go z trawy, a pozostałe soki wypijano natychmiast na pokrzepienie lub smarowano nimi twarze tych, którzy mieli wrzody czy wysypki. Zawartość jelit wyciskano palcami, a same jelita albo opiekano, albo zjadano surowe. Nerki, łój z nerek i łój z combra również spożywano na surowo podczas dzielenia zwierzęcia, choć czasem przysmażano je nad ogniem wraz z jądrami byka. Jeśli brakowało trawy, zawartością żołądka karmiono konie. Zimą, gdy dochodziło do odmrożeń, żołądek wyjmowano w całości i wkładano do niego odmrożone dłonie czy stopy, żeby się ogrzały. Odmrożenia goiły się zazwyczaj zupełnie. Kiedy brakowało wody, otwierano żyły zwierzęcia i wypijano krew, zanim zastygła. Rozłupywano czaszkę, wyjmowano na skóry mózg i zjadano go na miejscu – miał delikatny tłustawy smak. Odcinano wymiona mlecznych krów i pito z nich mleko. Jeśli mózgi nie zostały zjedzone, zabierano je do obozu do garbowania skór. Każde zwierzę ma odpowiednio duży mózg, żeby wygarbować w nim jego własną skórę; bizony są wyjątkiem, bo są za duże.

Żołądki po opróżnieniu płukano i suszono, a potem używano jako pojemniki na wodę. Jeśli w wiosce nie było metalowych garnków i naczyń, w żołądkach gotowano potrawy: wypełniano je w połowie wodą i wrzucano do niej gorące kamienie, aż się zagotowała. Innym często używanym pojemnikiem na wodę była cała skóra jelenia, którą – jeśli miała być użyta w tym celu – nacinano i zdejmowano w całości, a potem zaszywano końce. Ale mówimy o bizonach.

Po spożyciu organów wewnętrznych myśliwi odpoczywali, a za ciężką pracę dzielenia tuszy bizona zabierały się kobiety. Mięso odcinano od kości w pasach długości trzech do czterech stóp. Rozkładano je na czystym wnętrzu skóry niedawno zabitego zwierzęcia, skórę zawijano, wiązano i wkładano na koński grzbiet lub na sanie z gałęzi, i wieziono

do wioski do suszenia. Po którym pakowano mięso do *oyóotu*, pojemników ze skóry, które zszywano zwierzęcymi ścięgami. Po wysuszeniu mięso można było przechowywać bez końca.

Język, garb, boczne i górne żebra należały do najlepszych partii mięsa i zazwyczaj odkładano je do pieczenia. Kości łamano i gotowano, a maślany szpik, *tuhtsohpe?aiptu*, zbierano z wrzątku i używano jako sos lub – po zmieszaniu z miodem – jako słodki sos, lub też po schłodzeniu i wymieszaniu z rozgniecionymi strąkami jadaloszyu jako deser. Z łopatek robiono szufle i motyki. Mniejsze kości rozłupywano i po utwardzeniu w ogniu i zaostrzeniu używano jako igieł lub szydeł, lub też jako noży, grotów do strzał i skrobaczek. Kopyta gotowano na klej używany do wyrobu siodeł, mocowania ścięgien do łuków i niemal wszystkiego innego. Każdy wojownik miał przy sobie trochę tego kleju do szybkich napraw. W rogach przenoszono drewnianka do krzesania ognia i oczywiście proch.

Odchody bizonów, używane jako paliwo, przydawały się w każdym sezonie na prerii, paliły się dłużej, wolniej i równiej od jadaloszyu. Po wysuszeniu i sproszkowaniu wyściełano nimi nosidła dla niemowląt, gdyż utrzymywały ciepło i pochłaniały wilgoć, choć trudno dostępny puch z rosnących nad wodą pałek uważano za najlepszy.

Ze ścięgien biegnących wzdłuż kręgosłupa oraz z powięzi spod łopatek, garbu i brzucha wykonywano przeróżne nici, cięciwy i wiązania łuków. Nici, sznury i lassa splatano z długiego włosa z łba bizona. Z więzadła na karku wyrabiano fajki. Naprężacze do strzał wykonywano ze środkowej kości garbu, choć wielu wolało używać własnych zębów.

Pochwy wytwarzano ze skóry ogona, a rękojeści noży i pałek z kości ogonowych. Tchawicę cięto i obwiązywano, robiono z niej pojemniki na farby, gliny i makijaż. Twarda żółta pasta z woreczka żółciowego służyła jako farba wojenna, z suszonych wymion robiono talerze i miski (naczynia gliniane są kruche, ciężkie i ogólnie nieprzydatne ludowi, który żyje na koniach). Nienarodzone cielęta wyjmowano z macic i gotowano w łożysku; były delikatniejsze od cielęciny, więc karmiono nimi niemowlęta i starców oraz tych, którzy nie mogli gryźć. Z osierdzia robiono worki, ale samo serce zawsze zostawiano tam, gdzie padł bizon. Kiedy pomiędzy zostawionymi wraz z sercem żebrami wschodziła trawa, Stwórca widział, że jego lud nie jest zachłanny i odnawiał plemiona bizonów, żeby już zawsze wracały na równiny.



## Jeannie McCullough

Pułkownik zmarł w roku 1936. Następnego roku Jonas wyjechał do Princeton, skąd przyjechał tylko dwa razy, żeby kłócić się hałaśliwie z ojcem podczas każdego pobytu. Przesztano o nim mówić w domu. Babka także zniknęła, ale nie zmarła, tylko wróciła do Dallas, gdzie mieszkała ze swoją rodziną.

Ojciec i bracia jadali kolację na pastwisku albo po późnym powrocie do domu przekaszali coś na zimno. Trójka rodzeństwa wracała do domu ze szkoły. Jej bracia szybko się zmieniali i wyjeżdżali na spotkanie ojcu. Jeannie kontynuowała naukę. Co sobotę przyjeżdżał do niej nauczyciel z San Antonio, który wyznaczał jej dodatkowe lekcje. Babka upierała się przy tym, a ojciec zgadzał się na wszystko, co sprawiało, że była zajęta. Któregoś dnia zbuntuje się, nauczy tylko połowy tego, co będzie zadane. Wiedziała już, co pominie: łacinę, z całą pewnością łacinę. Nauczyciel zwiesi długi spocony nos, kiedy oznajmi mu triumfalnie, że nie przetłumaczyła ani słowa ze Swetoniusza!

Kiedy odrobiła lekcje, cisza panująca w domu dawała jej się we znaki. Wciągała wtedy kowbojki i tupała w nich po podłodze, choćby po to, by usłyszeć ich odgłos, a potem jadła sama kolację na werandzie. Słuchała radiowych przemówień prezydenta, a czasami, kiedy była bardzo poirytowana, nie wyłączała radia, żeby ojciec po powrocie do domu musiał wychodzić na werandę i je gasić. Wiedziała, jak bardzo go to złości i sprawiało jej satysfakcję.

Skończyła z pracą na pastwiskach. Wiedziała, że byłaby w niej dobra, gdyby starała się dalej, ale było na nich gorąco, praca trwała do późna, była nudna, a poza tym nikt jej tam nie chciał. Nawet Pułkownik, który założył ranczo, nie rzucał lassem przez ostatnie trzydzieści lat: nie widział sensu w hodowli bydła, pominąwszy ulgi podatkowe. Należało zainteresować się ropą, więc kiedy odwiedzał ich brat dziadka, Phineas, który zawsze ciągnął za sobą geologa, wskakiwała na tylne siedzenie samochodu, a mężczyźni jechali z przodu, rozmawiając o łupkach, piasku i geofizyce wiertniczej, przy której geolog bardzo się podniecał. Nie przeszkadzało mu, że Jeannie

miała zaledwie trzynaście lat, był uszczęśliwiony, mogąc pleść o wszystkim, co wiedział. A Phineas był zadowolony, kiedy słuchała. Przemysł naftowy rozkwitał, w niektórych rejonach południowego Teksasu nie trzeba było włączać świateł, jadąc w nocy samochodem, bo paliło się mnóstwo gazowych flar, a ogień rozjaśniał niebo na wiele mil wokół.

Babka wracała dosyć często, pachnąc staromodnymi perfumami i dropsami miętowymi; miała surową kościstą twarz nad czarną suknią – zawsze czarną, jakby była w żałobie po kimś lub po czymś nikomu nieznanym. Nic jej się nie podobało: zawsze łajała służbę, ojca i jej braci. Chodziła do baraków i kazała parobkom prac prześcieradła. Jeannie zapisywała długie kąpiele na otwarcie porów, które – według babki – robiły się coraz większe z każdym mijającym miesiącem.

Po umyciu twarzy, odżywieniu włosów, wysuszeniu się i przebraniu, siadywała w bibliotece na sofie, a babka czyściła jej paznokcie, spiłowywała krawędzie, obcinała skórki i wcierała zimny krem w skórę. *Jeszcze zrobimy z ciebie damę*, powtarzała, choć Jeannie nie rzucała lassem od przeszło roku i nie miała już odcisków na dłoniach. Co trzecie odwiedziny babka kazała jej przynosić do biblioteki całą odzież, żeby ocenić krój i dopasowanie sukienek: *W tej wyglądasz jak nagrzana służąca*. Wzmiankowany element garderoby trafiał do pudła, które babka zabierała do Dallas do przeróbek.

Babka zawsze przywoziła wieści z miasta, które według Jeannie były niezwykle nudne, oprócz opowieści o zrujnowanej czci grzecznych panien. Historie te pojawiały się coraz częściej w wykładach babki. Tak czy inaczej, nie zasypiała już podczas tych przemów. Znajdowała pociechę w przestrogach przed przebywaniem na słońcu: *Masz dosyć piegów*; w pilnowaniu diety: *Masz biodra matki*; w nakazach, by myć włosy raz dziennie i nigdy nie nosić spodni. Potem babka ujmowała dłoń Jeannie, jakby coś mogło się w niej zmienić przez dziesięć minut, odkąd dotykała jej dłoni po raz ostatni; nie, nic się nie zmieniało, Jeannie wciąż miała krótkie nieeleganckie palce, których nie wydłużą żadne lekcje gry na fortepianie. Palce babki były guzowate i artretyczne, przypominały szpony zwierzęcia, ale kiedyś składały się na dłoń damy bez względu na to, ile lat zmarnowała na ranczu.

Jakiś miesiąc po ukończeniu przez Jeannie ósmej klasy babka poinformowała ją – przekazawszy pierwszej tradycyjne wieści z Dallas – że została przyjęta do szkoły z internatem w Greenfield w stanie Connecticut. Jeannie nie miała pojęcia, że składała do niej papiery.

– Wyjeżdżasz za sześć tygodni – oznajmiła babka. – Jutro pojedziemy pociągiem do San Antonio i kupimy ci odpowiednie ubrania.

Jej protesty, które trwały przez całe lato, nic nie znaczyły. Clint i Paul uważali, że nie ma o co się spierać, a ojciec był zadowolony, uznając szkołę za lepsze miejsce od rancza, posunął się nawet do tego, że przywołał Jonasa jako przykład osoby, która odnalazła swoje miejsce na północy.

– Nie jestem nim! – protestowała, ale wszyscy wiedzieli, że to nie do końca prawda. Babka dała jej naszyjnik z pereł i cztery pary irchowych rękawiczek, ale to nie zmniejszyło jej złości. Nie spojrzała nawet na ojca, który wsadzał ją do jadącego na północ pociągu. Przyglądała się natomiast przez długi czas perłom po zaciągnięciu wieczorem zasłonek w przedziale sypialnym. Są warte dwadzieścia tysięcy dolarów, mówiła babka. Jej wnuczka nie będzie wyglądała jak wieśniaczka.

Jonas miał wyjść po nią na Penn Station, ale spóźnił się o godzinę. Przez którą natknęła się na mężczyznę z opuszczonymi spodniami i bardzo białym tyłkiem, poszturchującego kobietę w czerwonej halce w odległej kabinie toalety dla pań. Wybiegła stamtąd, ale po pięciu minutach zdała sobie sprawę, że nie ma wyboru i wróciła. Wybrała kabinę najbardziej oddaloną od mężczyzny i jego przyjaciółki. Jakimś cudem nie ukradziono jej bagażu.

– Nienawidzę tego miejsca. – Tak powitała Jonasa, który zadbał o właściwe przechowanie jej toreb, a potem zabrał ją na lunch. Szli pomiędzy wysokimi budynkami.

– Nie zadzieraj tak głowy – powtarzał. – Nie chcesz wyglądać jak turystka.

Ale nie mogła się opanować. Fotografie nie oddawały wielkości budowli, które pochylały się złowrogo nad ulicami, gotowe się przewrócić w każdej chwili i zmiażdżyć ją wraz z bratem, o ile nie nadjedzie taksówka. Od zgiełku ciężarówek i rozwrzeszczanych ludzi dzwoniło jej w uszach, łomotało serce, a przestało dopiero wtedy, kiedy znalazła się dalej na północy od miasta w pociągu do Greenfield, jadącym między drzewami i pastwiskami. Gdzieś w oddali dostrzegła parę krów i pasących się owiec, holsteiny i jerseye – *wiem przynajmniej tyle*, pomyślała; będzie miała o czym rozmawiać z koleżankami.

Wiele rzeczy spodobało się jej w Greenfield. Stare kamienne domy ze

stromymi ostrymi dachami, wysokie porośnięte bluszczem mury, słońce świecące jak przez gazetę – to, co było tutaj latem, w Teksasie uchodziło za zimę – gęste lasy i pofalowane pola za szkołą. Nie wiedziała, że jest tyle odcieni zieleni, nie wiedziała, że na ziemię spada tyle deszczu i panuje na niej taka wilgoć. Szkoła liczyła zaledwie czterdzieści lat, choć równie dobrze mogła liczyć i czterysta, biorąc pod uwagę to, jak obrosły ją winorośle i jak ocierały się o nią drzewa na wietrze. Przez tych kilka chwil, które miała tylko dla siebie każdego dnia, nie mogła nie czuć się kimś ważnym, kimś, kogo za chwilę porwie jakiś książę albo syn premiera, który – o czym już wiedziała – będzie Anglikiem, a nie Hiszpanem. Innym razem wołała, żeby nikt jej nie porywał, bo widziała siebie jako premier rządu, co wcale nie było niepojęte, bo czasy się zmieniały. Widziała siebie za wielkim drewnianym biurkiem, piszącą listy do lojalnych obywateli.

Ale nie miała zbyt dużo czasu dla siebie. Dni były sztywno zorganizowane: pobudka, po niej śniadanie i kaplica, dalej lekcje, lunch, lekcje, sport, obiad, nauka własna. Gaszenie świateł o jedenastej, dyżurna chodziła po korytarzach, żeby to sprawdzić.

Jej współlokatorka, mała Żydówka o imieniu Esther, zasypiała płacząc, a pod koniec pierwszego tygodnia, kiedy Jeannie wróciła z obiadu, dziewczynka i jej rzeczy zniknęły. Ojciec Esther miał fabryki w Polsce, ale stracił wszystko przez Niemców. Nie był w stanie opłacić czesnego. Jeannie przeniesiono do ładniejszego pokoju. Jej nową współlokatorką została dziewczyna o imieniu Corkie, która była nieśmiała, ale miła i w przeciwieństwie do Esther czuła się dobrze w nowej szkole. Znała wszystkich, choć Jeannie domyślała się, że nie ma zbyt wiele przyjaciółek. Corkie miała ramiona grube jak cedrowe gałęzie, była wysoka i opowiadała o wszystkim z pewną rezygnacją: o pociągłej twarzy, która nigdy nie będzie ładna, o za wysoko wyciętych czerwonych ustach, o rozdwijających się postrzępionych włosach. Wnosząc z tego jak się ubierała – w bure, nudne sukienki – i z obojętności, z jaką podchodziła do swojego wyglądu, Jeannie uznała, że pochodzi z bardzo biednej rodziny, więc starała się być dla niej nad wyraz miła i przynosiła jej desery, które szmuglowała z jadalni, tak jak kiedyś wiadra zsiadłego mleka dla *vaqueros*.

W następnym poniedziałek zapytano ją podczas lunchu, kim jest jej nowa współlokatorka. Odpowiedziała, że Corkie Halloran.

– Och, chcesz powiedzieć, że mieszkasz z Potężną Safoną!

Tak nazwała Corkie niejaka Topsy Babcock. Była mała i śliczna,



miała bardzo jasne włosy i odpowiednią do nich cerę, oraz uśmiech, który zmieniał się jak uliczne światła. Czasem oznaczał aprobatę, a czasem jej brak – Topsy nie była osobą, którą chciałoby się zawieść. Inne dziewczęta przy stole wyśmiewały się z Corkie Halloran, a Jeannie razem z nimi, choć nie wiedziała dlaczego.

– Chodziła do Spence, ale jak głosi plotka, spędzała o wiele za dużo czasu z pewną dziewczynką, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Powinni ją byli wysłać do St. Paul! Nadałaby się idealnie!

Wszystkie dziewczęta uznały, że to zabawne, a Jeannie kiwnęła głową. W następny weekend Corkie zaprosiła kilka koleżanek do domu rodziców, oddalonego o zaledwie czterdzieści minut drogi od szkoły. Ku zaskoczeniu Jeannie wybierało się do niej wiele dziewcząt, które się z niej wyśmiewały: Topsy Babcock, Natalie Martin, Kiki Fell i Bootsie Elliot. Jeannie spodziewała się, że pojedą jakimś starym gruchotem albo ciężarówką, ale przyjechał po nie szofer w liberii, prowadzący siedmiomiejscowego packarda. Kiki zapytała:

– To ty jesteś tą dziewczyną, która trafiła na Żydówkę, prawda?

Kiki była ciemnowłosą wersją Topsy, choć miała krótkie, sięgające zaledwie poniżej uszu włosy, niemal tak krótkie jak chłopak, a dziewczyny opowiadały, że zmniejszono jej chirurgicznie nos. Od czasu przyjazdu do Greenfield, Jeannie przed pójściem spać coraz częściej stawiała przed lustrem i przyglądała się sobie. Jej nos znacznie się wyprostował, ale oczy pozostały nijakie – koloru mgły albo deszczu. Miała ostry podbródek i wysokie czoło, a blizna przecinająca brew – z której zawsze była dumna, bo przypominała blizny jej braci – nadawała jej męski wygląd. Blizna była głęboka i nie dało się jej nie zauważyć.

– McCullough... – odezwała się Topsy – to żydowskie nazwisko, prawda?

Dziewczyny zachichotały, wszystkie z wyjątkiem Corkie, która wyglądała przez okno.

– Nie sędzę.

– Żartowałam. Oczywiście, że nie.

Jeannie milczała przez resztę podróży. Było tu niewiele domów. Drogi wąskie i kręte, ale wyasfaltowane. Wysokie żywopłoty, czerwone stodoły, wszechobecne kamienne mury. Wszystko okrywał cień, słońce przeświecało słabo przez drzewa, a niebo wydawało się małe i zapadnięte. W powietrzu panował chłód, choć był dopiero wrzesień.

Topsy, Kiki i Bootsie chodziły razem do szkoły powszechnej,

pozostałe dziewczyny poznały się w podobny sposób, jak się domyślała. Tak jak ona знаła dzieci Midkiffów i Reynoldsów. Druga milcząca dziewczyna w samochodzie, Natalie, miała długie kasztanowe włosy i duże piersi – garbiła się, żeby je ukryć. Celowo wyglądała przez okno, nie patrzyła na Jeannie, choć śmiała się, jak pozostałe, ze wszystkiego co mówiła Topsy.

Jeannie poczuła ulgę, kiedy samochód skręcił w kamienną bramę i ruszył długim podjazdem obrośniętym po obu stronach dużymi drzewami. Całe akry porastała trawa, nigdy w życiu nie widziała tyle zielonej i dorodnej trawy; liczyła w głowie wielkość stada, które można by tutaj wypasać (Akr na głowę? To możliwe...), ale wołała nie dzielić się tymi rachunkami.

Na szczycie wzgórza pojawił się dom. Poczowała zażenowanie. Nie był wcale większy od domu Pułkownika, ale jednak wspanialszy, z łukami, kolumnami, wieżyczkami, ciemny granit, marmurowe rzeźby, szlachetna patyna, jakby stał tutaj od czasu królów.

– Czym się zajmuje twój ojciec?

Oczy wszystkich dziewcząt skierowały się na Jeannie. Córki też na nią spojrzała, a Jeannie domyśliła się, że popełniła jakiś błąd. Ale było za późno. Córki odpowiedziały:

– Jeździ do swojej firmy w Nowym Jorku, gra w racquets w klubie, jeździ konno i dużo strzela. I pracuje nad powieścią.

– Co to za firma?

– No wiesz... – Córki wzruszyła ramionami.

Wtrąciła się Bootsie Clark:

– Tata Poppy też jeździ konno i strzela, jak przypuszczam. – Dziewczęta postanowiły, że będą nazywać Jeannie Poppy. – Jest kowbojem, prawda?

– Kowboje to parobcy.

– Więc kim jest twój tata?

– Hodowcą bydła. – Chciała jeszcze dodać: *ale nasz majątek nie pochodzi od krów*, lecz przerwały jej inne dziewczęta.

– Jeździ konno na te epickie spędy? Aż do Kansas?

– Takie spędy skończyły się w osiemnastym wieku.

– Szkoda – mruknęła Bootsie. – Wyglądały bardzo ekscytująco.

Jeannie nie wiedziała, co okaże się gorsze: odpowiedzieć im czy przemilczeć to wszystko.

– Bydła nie pędzi się tak jak pokazują w kinie. Bydło musi iść wolno, bo inaczej straci na wadze.

– Jak ci się podoba dom Corkie? – zapytała Natalie, zmieniając nagle temat. – Spodziewam się, że twój dom jest większy.

– Niezupełnie.

– Oczywiście, że tak. Słyszałyśmy, że wszystko jest większe w Teksasie.

Wzruszyła ramionami.

– Ale nie jest tak ładny jak ten. I nie ma wokół tyle zieleni.

– Ile macie akrów?

To było niegrzeczne pytanie – ostatnia rzecz, o jaką pytało się kogoś w Teksasie – ale wiedziała, że musi odpowiedzieć.

– Trzysta dziewięćdziesiąt sześć działek.

– To niedużo – stwierdziła Topsy.

– Powiedziała „działek”, a nie „akrów”.

– A ile to jest „działka”?

– Nie używają nawet słowa „akr”! Akr to za mało!

– Ile to jest działka? – powtórzyła pytanie Kiki.

– Sześćset czterdzieści akrów.

Z jakiegoś powodu wszystkie dziewczyny, z wyjątkiem Corkie, wybuchły histerycznym śmiechem. Corkie wpatrywała się w kierowcę, czekając, aż otworzy drzwi.

– Ty też będziesz hodować bydło?

– Nie sądzę.

– Więc co chcesz robić?

– Zostanie czyjąś żoną – odpowiedziała Corkie. – Jak my wszystkie.

Tego popołudnia wybrały się na konną przejażdżkę. Poniżej domu stały stajnie z dwudziestoma chyba końmi, dalej był olbrzymi corral nazywany tutaj ujeżdżalnią oraz duże pastwisko. Wszystko to było otoczone wypielegnowanym lasem, ale Jeannie nie pytała, gdzie kończy się posiadłość. Pod drzewami pracowali mężczyźni: cięli gałęzie i ładowali je na wóz.

Miała na sobie bryczesy i wysokie buty do konnej jazdy, które pożyczyła od młodszej siostry Corkie. Czuła się idiotycznie, ale wszystkie inne dziewczyny wyglądały tak samo. Zakładała, że wybierają się na długą przejażdżkę, cztero- albo pięciogodzinną, i żałowała, że zjadła tak mało na lunch.

– Wyobrażam sobie, że macie konie – powiedziała Natalie.

– Owszem – odpowiedziała. – A wy?

– Mówiąc szczerze, nie ma dla nich miejsca w Tuxedo Park. –  
Wzruszyła ramionami.

– Topsy i Natalie były sąsiadkami dziewczyny, z którą cię zakwaterowano.

– Jej ojciec kupił dom w Tuxedo Park przed dziesięcioma laty – wytłumaczyła Topsy. – Ale nie chcieli przyjąć go do klubu, więc jego bliscy nie mogli nawet zamoczyć palca w jeziorze. Gdyby ktoś zobaczył, że się w nim kąpią, wezwano by policję.

– Opowiedz jej o weselu.

– Ostatniego lata było u nich wesele, ale wszystkie dzieciaki z Tuxedo Park odwróciły drogowskazy, więc nikt z gości nie mógł do nich trafić. Co kompletnie zepsuło uroczystość. – Roześmiała się. – Problem polega na tym, że niektórym wydaje się, że jak mają pieniądze...

Jeannie kiwnęła głową. Wyprowadzono konie. Kasztanowate, o mniejszej piersi i dłuższych nogach niż konie do krów.

– Kazałam tego osiodłać jak dla siostry – powiedziała Corkie. Podała jej wodze. – Jesteś jej wzrostu.

Siodło było proste, bez widelca i wysokiego tylnego łęku, a kiedy Jeannie dosiadła wierzchowca, okazało się, że strzemiona są ustawione tak wysoko i niewygodnie, jakby koniem miało jeździć dziecko.

Koń był wysoki i długonogi – blisko szesnaście dłoni. Wyglądał na szybkiego wierzchowca, a biegał jeszcze szybciej. Jazda na tym mocniejszym od koni do krów zwierzęciu przypominała jazdę automobilem. Z koniem do krów (dziewczęta nazywały te konie „ćwierćmilowymi”) był czas na negocjacje, był czas, żeby pozwolić mu zrobić to, co uważał za stosowne; ten koń był zarówno szybki, jak i niecierpliwy w wykonywaniu poleceń, puszczanie wodzy tylko wyprowadzało go z równowagi, jak puszczanie kierownicy auta. Koń – jak wszystko inne w życiu tych dziewcząt – był tutaj po to, żeby im służyć.

Stwierdziła, że prawie nie potrzebuje wodzy, bo koń reagował na każde napięcie łydek. Był tak uwrażliwiony, że początkowo trudno jej było na nim jechać. Zastanawiała się, czy jeździ gorzej, niż się jej wydawało. Było jej niewygodnie w siodle, a kiedy ruszyły galopem, z trudem się na nim utrzymywała. Galopowały szybko przystrzyżoną alejką, a przed nimi widać było przeszkody. Corkie pokonała pierwszą, Jeannie miała złe przecucie, ale popędziła za nią. Nie musiała się o nic martwić. Koń pokonał przeszkodę bez wskazówek z jej strony.

Po godzinie jazdy dziewczyny były już zmęczone i postanowiły wracać

do stajni. Jeannie spięła konia i wcisnęła się w wąską szparę między Topsy i Bootsie, mając nadzieję, że się przestraszą, a potem wyprzedziła Corkie. Koń świetnie się bawił, więc okrążyła cwałem corral (ujeżdżalnię, poprawiła się), która miała z pół mili obwodu. To był dobry koń, nie chciał wracać, a Jeannie zrobiło się przykro. Żałowała go i życia, jakie tu wiódł na tych kilku milach wypielegnowanego szlaku, dosiadany przez dziewczyny, które spędzały więcej czasu przebierając się do końskiej jazdy niż w siodle. Bez sensu.

Zanim uspokoiła konia i wróciła do stajni, koleżanki czekały już na nią, oddawszy wierzchowce stajennemu i jego potomstwu.

– Ona naprawdę jeździ jak kowboj, prawda? – odezwała się Bootsie.

– Czułaś się dziwnie, nie mając na czym oprzeć rąk?

– Nie dotyka się rogu – odpowiedziała. Wiedziała, że na początku była niezdarna, ale potem pokazała im klasę. Było oczywiste, że jeździ konno lepiej od każdej z nich, pewnie nawet lepiej niż Corkie. Było równie oczywiste, że żadna z nich tego nie przyzna. A jeśli nawet, to w ich ustach zabrzmiałoby to jak zniewaga. Korciło ją, żeby wskoczyć na konia, pogalopować do lasu i rozpocząć długą drogę powrotną do Teksasu. Co nie byłoby trudniejsze od wszystkiego, co przeżył Pułkownik. Ojciec zapłacił za konia.

– Więc po co on tam jest? – zapytała Bootsie, myśląc ciągle o rogu.

– Zawiesza się na nim narzędzia, owija wokół niego lasso i tak dalej.

– Zdaje się, że było ci niewygodnie. Ale jestem pewna, że się przyzwyczaisz.

– Jeżdżę lepiej od którejkolwiek z was – rzuciła. Poczowała pieczenie na policzkach. Zmusiły ją do powiedzenia czegoś, czego nie była pewna. – Z wyjątkiem Corkie – dodała.

– Mimo to – upierała się Bootsie – wyglądałaś dziwnie w tym siodle.

– To nic w porównaniu z tym, co robimy w domu.

– Bo u was wszystko jest lepsze. Jestem pewna.

– Nie, bo chwytamy na lasso duże zwierzęta i staramy się, żeby nas nie rozpruły rogami.

– Grozisz nam? – zapytała Topsy.

– Nie, strasznie nudzi. Na śmierć.

– Wracam do domu – rozładowała sytuację Corkie. Stała pod jedną z końskich zagród i wyglądała na zmęczoną. – Zaraz podadzą obiad.

Tamtej nocy nie mogła zasnąć, wędrowała długo ciemnymi korytarzami, aż znalazła drogę do kuchni, gdzie chciała wypić szklankę mleka. Właśnie zajrzała do lodówki, kiedy usłyszała kogoś za

plecami.

– Nie wolno panience być tutaj – skarcił ją jakiś głos. Należał do którejś ze służących.

– Przepraszam.

Twarz kobiety złagodniała.

– Wystarczyło poprosić, kochanie. Przyniesiemy ci wszystko, co trzeba.

Wypiwszy mleko, postanowiła wyjść na dwór. Było ciemno, ale w stajni świeciło się światło, więc zeszła w dół stoku po mokrej trawie – mokrej! wszystko tu jest mokre! – choć nie bardzo wiedziała po co. Żeby porozmawiać z koniem? Wyprowadzić go ukradkiem na nocną przejażdżkę? Odjechać i nigdy nie wrócić? Kiedy zbliżyła się do stajni, stwierdziła, że światło pali się w górnym oknie, gdzie – według niej – powinno być składowane siano. Za cienką zasłoną ktoś się poruszał, słychać było cichą muzykę. Była już tak blisko, że czuła zapach koni. Ktoś znów przeszedł za zasłoną, a Jeannie rozpoznała w tej postaci stajennego. Mieszkał wraz z rodziną nad końmi. Wpatrywała się w okno, kiedy opadł na fotel i – jak jej się wydawało – przymknął oczy, żeby słuchać cichej muzyki z radia. Nie mogła w to uwierzyć. W Teksasie nawet najgorsi parobcy, tacy, którzy nie robią nic innego oprócz stawiania ogrodzeń, śpią w barakach. Nie mieszkają ze zwierzętami.

Poczuła zmęczenie i zawróciła do domu, zmarzły jej nogi przemoczone od rosy. Był dopiero wrzesień, dopiero zaczynały się chłody. *Ale będzie lepiej*, pocieszała się. Przypomniała sobie indiańską niewolę Pułkownika – jeśli on to przetrwał, ona zdoła przetrwać na północy... choć kto wie... to wszystko tylko słowa, bo czasy są zupełnie inne.

Wróciła do domu i usłyszała jakiś hałas na końcu korytarza, poszła w tamtą stronę. Mieściła się tu biblioteka albo jakiś gabinet. W kominku płonął ogień, a w skórzanym fotelu ktoś siedział i palił fajkę. Zbliżyła się do drzwi, a kiedy znalazła się odpowiednio blisko, mężczyzna podniósł głowę.

– Przepraszam – powiedziała.

Był to ojciec Corkie. W półmroku wyglądał niemal jak chłopiec. Musiał być bardzo młody, kiedy dzieci przyszły na świat. Był przystojny, o niebo ładniejszy od córki. Zdjął okulary do czytania, a Jeannie zauważyła, że ma wilgotne oczy, jakby płakał. Przetarł je i powiedział:

– Ty jesteś tą dziewczyną z Teksasu, prawda? – Kiwnęła głową. – I jak ci się tutaj podoba?

– Wszędzie jest zielono. Wszędzie rośnie ładna trawa. – Tylko to przyszło jej do głowy, bała się powiedzieć coś więcej.

– Ach, trawnik – mruknął. – Tak, dziękuję. – A potem dodał: – Mój pradziad spędził trochę czasu w Teksasie, zanim przyjęto was do Unii. Mówiąc szczerze, odegrał kluczową rolę w tym procesie. Ale potem wybuchła wojna secesyjna, więc wrócił tutaj. Zawsze chciałem wybrać się do Teksasu i ujrzeć go na własne oczy.

– Powinien pan.

– Tak, kiedyś to zrobię. Zdaje się, że teraz wszyscy jeżdżą tam zarabiać pieniądze. Powinienem pojechać. – Milczała. – No, cóż... – Kiwnął głową. – Muszę wracać do pracy. – Założył okulary. – Dobranoc.

Następnego dnia po śniadaniu Corkie szepnęła jej, że nie powinna przeszkadzać ojcu, kiedy pracuje w bibliotece.

– Kończy powieść – dodała. – Píše ją od dawna i nie wolno mu przeszkadzać.

Kiwnęła głową i przeprosiła. Usiłowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widziała płaczącego ojca. Nie widziała.

W następny weekend pojechała pociągiem spotkać się z Jonasem w Princeton. Podróż była przyjemna i czuła się bardzo dorosła, przemierzając nieznaną okolicę całkiem sama. Chyba nigdy nie zdoła się przyzwyczać do takiej obfitości zieleni. Ale wszędzie, gdzie się zatrzymywała czuć było lekki zapach pleśni, rozkładu, jakby drzewa rosły i rosły bez względu na cokolwiek, podobnie jak pnącza, które zarastały ludzką pracę i wysiłki, a ludzie spoczywali tylko w wilgotnej ziemi tak samo jak wszyscy przed nimi. Kiedyś było tu tak jak w Teksasie, teraz zostali tylko ludzie, ich nieskończone mrowie, między którymi nie było miejsca na nic nowego.

Jonas wyszedł po nią na stację, ścisnął ją bardzo długo. Na szyi miała perły, włożyła elegancką sukienkę.

– Jak sobie dajesz radę?

– Och, dobrze.

Dotknął pereł, chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

– Przyzwyczaisz się – mruknął. – Tutaj jest lepiej niż w McCullough czy Carrizo. Tam nie można niczego się nauczyć.

– Ludzie są oziębli.

– Bywają tacy.

– Siedziałam w pociągu z dwoma panami i żaden z nich nawet się do mnie nie odezwał, nie pozdrowił mnie. Trwało to pełną godzinę.

– Tu jest inaczej – powiedział.

Później spotkali się z przyjaciółmi Jonasa: Chipem, Nelsonem i Bundyem. Była dopiero druga, a oni wszyscy już pili. Chip wybuchnął śmiechem, kiedy usłyszał akcent Jeannie. Był miękki w pasie, nie otyły, ale miękki wszędzie, i bardzo opalony oraz pewny siebie, zupełnie nieproporcjonalnie do wyglądu.

– Cholerni McCulloughowie! Oboje jesteście z Teksasu! Przez chwilę trudno w to było uwierzyć, bo ten tu dobrze się maskuje. – Wskazał Jonasa. Potem przekrzywił głowę, zmrużył oczy i otaksował Jeannie spojrzeniem. – Bundy, ta też nie ma ani kropli smolistej krwi. Znaleźliśmy się w towarzystwie jedynych pełnokrwistych południowców, jacy kiedykolwiek stąpali po tej ziemi.

Paliły ją policzki, a Bundy dotknął jej ramienia.

– Nie przejmuj się nim. Wszyscy tu jesteśmy ofiarami chowu wsobnego i nie wiemy, jak się zachować, kiedy pojawi się ktoś nowy.

Ale Chip jeszcze z nią nie skończył.

– Jakie jest panny zdanie o tej wojnie, panno McCullough? Powinniśmy wysłać piechotę morską czy czekać? – Musiała zrobić głupią minę. – Mówię o wojnie, którą zapoczątkował Adolf Hitler. W zeszłym tygodniu.

– Nie wiem – odpowiedziała.

– Mój Boże, McCullough! Czego oni was tam uczą, do cholery, w tym Greenfield!

– Błogosławieństw małżeństwa – zakpił Nelson.

– Rzuć te szmaty i przenieś się do Porter's! – Machnął ręką. – Zorganizujemy to! W Greenfield niczego cię nie nauczą.

Trwało to całymi godzinami. Nie wiedziała nic, o czym nie słyszeliby starsi chłopcy, nic, czego by już nie przemyśleli. W końcu wybrała się z Jonaszem na spacer wokół kampusu.

– Oni się wygłupiają, Jeannie.

– Nienawidzę ich – oznajmiła. – Nienawidzę każdego, kogo tu poznałam.

Wydawało się jej, że spędzą wieczór razem, ale Jonas musiał się uczyć. Następnym razem, obiecał, będzie mogła zatrzymać się u niego w pokoju i pozna jego innych przyjaciół. Ludzi, których warto znać, którzy pomogą jej dostać się do Barnard, kiedy nadejdzie pora. Teraz jest zmęczony i musi się uczyć. *Jesteś zmęczony, pomyślała, bo piłeś*



*przez całe popołudnie z przyjaciółmi.*

Rozważała, czy nie wspomnieć mu, że jechała trzy godziny pociągiem, żeby się z nim spotkać, a teraz będzie musiała wracać przez następne trzy, ale była tak zła, że nie zdołała nic powiedzieć. Kiedy dojechała do Nowego Jorku, było już ciemno, a pociąg do Connecticut odjeżdżał dopiero za pewien czas. Poszła się przejść po mieście, zaglądała w witryny lombardów, była poszturchiwana przez przechodniów, a mężczyźni patrzyli na nią w taki sposób, że w Teksasie ktoś by ich zastrzelił, a przynajmniej zabrał na przesłuchanie. Wszystkie gazety krzyczały o wojnie: Niemcy zajęły Polskę. W Greenfield wszystko było tak nowe, że nie zdołała zarejestrować wybuchu wojny; nawet teraz ważniejsze od niej było to, żeby nie spóźniła się na pociąg.

Wróciła do Greenfield tuż przed zgaszeniem świateł, a ponieważ nic nie jadła w podróży, poszła spać głodna. Następnego ranka Corkie powiedziała jej, że zapowiedziano jesienne tańce. Musi zaprosić jakiegoś chłopaka, a najlepiej kilku. Nawet Corkie, która w ogóle nie dbała o takie rzeczy, sporządziła listę dwóch tuzinów młodzieńców i miała zamiar napisać zaproszenia do każdego z nich. Jeannie przeprosiła ją i poszła na cały dzień do biblioteki.

To będzie katastrofa. Nie tylko nie miała kogo zaprosić – jedyni chłopcy, jakich poznała, byli przyjaciółmi Jonasa – ale podczas poprzedniego weekendu, kiedy dziewczyny dobrały się do wina rodziców Corkie i rozpoczęły tańce, okazało się, że nie zna żadnych kroków. Ani charlestona, ani hat dance, ani walca, ani box stepa. Nie znała żadnego z nich. Corkie chciała jej pokazać, ale to nie miało sensu, zupełnie nie. Nauka tańca zajmie lata, całe lata, a jesienna impreza będzie dla niej upokorzeniem. Nawet jazda konna z tymi dziewczynami – jedyna rzecz, którą naprawdę umiała – była w jakimś sensie upokarzająca.

Tymczasem dziewczęta rozmawiały już o tańcach, a raczej o dużych balach, które wyprawia się w okolicach Bożego Narodzenia. Jako czternastolatki zaczynały chodzić na bale. Uświadomiła sobie, że jej koleżanki ze szkoły przez całe życie przygotowywały się do tej chwili. Kiedy wyjechała do Princeton odwiedzić Jonasa, one kupowały z matkami suknie balowe. I oczywiście znały mnóstwo odpowiednich chłopców, którzy przyjadą tu z innych szkół oddalonych niekiedy o wiele godzin jazdy.

W sobotę spakowała małą podróżną torbę i powiedziała Corkie, że

znów wybiera się do Jonasa. Pojechała pociągiem do Nowego Jorku i poszła szukać banku. Nie miała przy sobie dość pieniędzy na podróż, którą chciała przedsięwziąć. Okazało się, że banki są zamknięte w weekendy. Wszystkie? Owszem. W końcu weszła do jednego z lombardów przy Penn Station. Mężczyzna w środku miał około pięćdziesięciu lat i wyglądał tak, jakby niewiele jadł i w ogóle nie wychodził na słońce. Mówił z ciężkim obcym akcentem. Jeannie nigdy nie widziała takiego Żyda. Podała mu perłowy naszyjnik babci.

– Są prawdziwe?

– Oczywiście – odpowiedziała. Spojrzał ponad jej barkiem na ulicę, by sprawdzić, czy ktoś na nią czeka. A potem włożył perły do ust, jakby chciał je zjeść. Lecz potarł każdą o przednie zęby. Potem spojrzał na nie przez lupę.

– Przysłała cię policja?

– Nie – odpowiedziała.

– Jestem ciekaw, dlaczego je tu przyniosłaś?

– Zobaczyłam napis nad witryną.

– Są twoje i możesz nimi rozporządzać?

– Tak. – Spojrzał na nią, ale nic nie powiedział. – Jak się nazywa pańskie nakrycie głowy? – zapytała, siląc się na uprzejmość.

Powiedział coś w rodzaju „hipa”.

– Jestem Żydem. Złym Żydem, bo pracuję w szabat. Nie martw się, nie zjem cię. Ale nie mogę też kupić od ciebie tych pereł.

– Nie mam pieniędzy. Poszłam do banku, ale wszystkie są zamknięte, a muszę wrócić do domu.

– Przykro mi. – Stali, mierząc się wzrokiem, a w końcu Żyd powiedział: – Pójdę obudzić brata. Ale on powie ci to samo.

Na tyłach pojawił się inny mężczyzna, znacznie lepiej ubrany. Obejrzał perły, przesunął je po zębach, a potem przyjrzał się im przez lupę przy bardzo jaskrawym świetle i wreszcie pod czymś, co wyglądało jak mikroskop.

– Warte są niewątpliwie kilka tysięcy dolarów...

– Dwadzieścia – powiedziała.

– Osiem – mruknął. – Dobrego dnia dla idealnego kupca.

– Tyle mi wystarczy.

Uśmiechnął się.

– Nie mogę ich od ciebie kupić. Jesteś za młoda. Przykro mi.

Łzy stanęły jej w oczach. Chciała odebrać perły i wybiec z nimi na ulicę, ale zmusiła się, by tam zostać, żeby widzieli, że płacze.

- Jesteś za młoda – powtórzył.
- Nic mnie to nie obchodzi. Nie wyjdę stąd.

Mężczyźni popatrzyli po sobie i zaczęli rozmawiać w obcym języku. W końcu ten lepiej ubrany powiedział:

- Możemy ci dać pięćset dolarów. Chciałbym więcej, ale nie mogę.
- Wezmę tysiąc – odpowiedziała przez łyżę.

Tamtej nocy pojechała pociągiem do Baltimore. Po czterech dniach, kiedy babka odbierała ją w San Antonio, powiedziała jej, że perły zostały skradzione.

Nie podzieliła się tą historią z wieloma osobami, nawet Hank nigdy nie pojął jej znaczenia. To był punkt zwrotny w jej życiu i w jakimś sensie również najważniejszy moment. Zobaczyła świat i uciekła, natomiast Jonas, mimo swych wszystkich braków, nie uczynił tego. Zdarzało się jej zastanawiać, jak wyglądałoby jej życie, gdyby została na północy. Jak Jonas, który znalazł swoje miejsce i wiódł wygodne życie. Zostałaby czyjąś żoną. A nie o to jej chodziło.

Jonas miał czworo dzieci, które go uwielbiały, i tuzin wnuków. Jej domy – wszystkie trzy – stały puste. Bezsensowne pomniki. Dzieło całego życia trafi w ręce wnuka, którego prawie nie zna, który załamię się pod tym ciężarem. *To niesprawiedliwe*, myślała. Chciało jej się płakać.

Rozejrzała się. Teraz już była pewna. Zapach, który czuła w salonie, był zapachem gazu.



## Dzienniki Petera McCullougha

*1 listopada 1915 roku*

Phineas przyjechał z Austin. Jesteśmy ulubieńcami stolicy, bo zabiliśmy dziewiętnastu sąsiadów i pozwoliliśmy postrzelić dwóch spośród nas. Phineas mówi coś o wyborach zastępcy gubernatora. Glenn wrócił do domu, ale wciąż choruje. Rozmawiał długo z moim bratem. Chłopcy zawsze lubili Phineasa, który jest dla nich młodszym wcieleniem Pułkownika, szczytem męskości. Oczywiście nie mówię im o swoich podejrzeniach, choć nie jestem pewny, czy w odwrotnej sytuacji zachowałyby się podobnie. Prawdopodobnie zabrałyby mnie na pastwisko i zastrzeliły.

Jakim cudem dwóch mężczyzn z jednego ojca może różnić się tak bardzo... Mój ojciec uważa, że matka musiała zadać się z jakimś poetą, skrybą, czy innym krótkowzrocznym podstępny półmężczyzną. We mnie zawsze było dwóch ludzi: ten sprzed śmierci matki nieustraszony jak jego bracia i ten po jej śmierci jak sowa siedząca w cieniu na gałęzi, wpatrująca się w resztę poruszającego się w słońcu świata.

Jak to się dzieje, że ojciec i Phineas potrafią stanąć przed stoma ludźmi i nie zastanowić się nawet, co tamci o nich sądzą. Nie potrafię zjeść obiadu, by nie zastanawiać się, czy nie mówię za dużo czy za mało, czy za dużo albo za mało piję, zawsze staram się nie skrobać po talerzu nożem i widelcem, zwracam uwagę na stukot odstawianej szklanki z wodą. A jednak, kiedy przeszedłem przez murek u Garcíów, zapomniałem się.

Dbam o ich grób, o czym nikt nie wie. Tamtego dnia, po moim powrocie na ranczo, zakopano ich w jednym dole: matkę, ojca, córki, wnuki, rozmaitych pracowników. Nie postawiono żadnego krzyża, a ze względu na wapienne skały grób nie był za głęboki, więc przykryłem go ziemią i kamieniami. Stary Pedro wysyłał księdza do każdego *vaquero* po poronieniu żony, zawsze płacił za wyściełane trumny

i chrześcijański pogrzeb. Nadal pamiętam ten dom takim, jaki był zawsze i za każdym razem przeżywam wstrząs, widząc osmalone ściany, ptaki latające tam, gdzie kiedyś był dach. Drewno było stare i wyschnięte, ogień miał co palić. W środku nic nie zostało, oprócz gwoździ, kawałków szkła i metalu. Nawet kiedy na to patrzę, wydaje mi się tylko złudzeniem.

Może dlatego przeżywam nieustanne rozczarowania: patrząc na świat, spodziewam się od niego dobra, jak głupie szczenię. I każdego dnia przeżywam zawód, jak Prometeusz.

Pojechałem z Phineasem sprawdzić, co zostało z *casa mayor*. Wyjaśnił mi, że rozmawiał już z sędzią Poolem o „podatkowych problemach” Garcíów. Czekałem, aż przyzna się do oszustwa, ale nie zrobił tego. Nie ufa mi do końca. Zupełnie jak Pułkownik.

Kiedy dojechaliśmy do *casa mayor*, przeżył wstrząs. Siedział nieruchomo w siodle. Zsiadłem z konia i poszedłem złożyć uszanowanie przy grobie Garcíów. Chyba domyślił się, co robię, bo dał mi spokój. Kiedy mijałem źródło, zobaczyłem, że ktoś wrzucił do potoku zdechłego psa. Związałem zwierzę i wyciągnąłem.

– Widok stąd do samej choleralnej granicy, nie?

To była przesada, ale wiedziałem, o co mu chodzi.

– Wiesz co, Pete, powinieneś trzymać się z daleka od tego miejsca przez pewien czas. Mnie także ten widok sprawia przykrość, a tobie...

– Pokręcił głową.

– Pedro Garcia był przyjacielem.

– Właśnie o to chodzi – odrzekł.

Poszedłem za dom, gdzie można było usiąść na patio i przyjrzeć się wszystkiemu. Dołączył do mnie po kilku minutach.

– Nie powinieneś mieć tego za złe tacie.

– W jaki sposób? Wytłumacz.

– To i tak by się stało. Rzecz jasna, Pedro nie zalegał osiem lat z podatkami. Ale mógł zrobić co innego...

– Na przykład?

– Dobrze wydać córki za męża? Myślał chyba, że je uszczęśliwia, ale...

– Ale mogłyby wyjść za białych, o to ci chodzi?

– Czemu nie? Wszystkie stare rody tak robiły. Czują pismo nosem i wydawały córki za właściwych ludzi. – Wzruszył ramionami. – To zwykły darwinizm, Pete. Sytuacja wymagała rozwagi, a Pedro zwiększył ryzyko.

Przypomniałem sobie, jak Pedro zachęcał mnie do zalotów do Marii. Zrobiło mi się niedobrze.

– Ty i tata macie wgląd w wiele spraw.

– Nie ma takiej chwili w ciągu dnia, żebym nie myślał o ranczu.

– Jesteś tu dwa razy w roku – powiedziałem.

– Myślisz, że bank w Austin zechciałby pożyczyć pół miliona dolarów jakimś ranczerom, których na oczy nie widział i nic nie wie, oprócz tego, że są zastawieni po dziurki w nosie? Albo Roger Longoria z Dallas? Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego dostajesz od niego kredyt na tak korzystnych warunkach? Albo dlaczego w ogóle dostajesz jakiś kredyt? Albo jak to się dzieje, że hodowla bydła upada w całym Teksasie, a do nas jakimś cudem płynie strumień pieniędzy?

Postanowiłem zmienić temat.

– A tymczasem tata wyrzuca pieniądze na prawa do wydobywania ropy.

– Tata wyczuwa nadciągające zmiany jak sęp pustą manierkę u wędrowca na pustyni. Ma więcej rozumu od nas dwóch razem wziętych, a gdyby tylko chciał, mógłby zostać gubernatorem.

– Bardzo w to wątpię.

Pokręcił głową. Każde słowo przeciwko Pułkownikowi jest jak obraza boska, obraza deszczu, że pada, albo białego człowieka – najlepszych rzeczy na ziemi.

– Przez całe życie zastanawiam się, co ty sobie tak naprawdę myślisz – powiedział. – Najpierw wydawało mi się, że jesteś opóźniony w rozwoju, potem myślałem, że jesteś czerwony. W końcu pojąłem, że stałeś się sentymentalny. Wierzysz w otwartą przestrzeń, kodeks honorowy, szlachetność cierpiącego kowboja i kamienne serca bankierów – wszystko to, co przeczytałeś u Zane’a Greya... – Mówiąc szczerze, nie czytałem Zane’a Greya, choć nie gardzę Wisterem, ale próba wytłumaczenia bratu różnicy jest bezcelowa. – ...wiesz, w dawnych czasach, kiedy tata potrzebował bydła, znajdował je na prerii albo płacił jakiemuś Metysowi po dziesięć centów za głowę, żeby je ukradł. Jak znalazł nienapiętnowane cielę, zaraz rozgrzewał pręt, jak wpadł mu w oko kawałek gruntu, zaraz go grodził. Jeśli w okolicy był ktoś, kto mu się nie podobał, przepędzał go. A... – spojrzał na mnie znacząco – ...kiedy ktoś kradł mu bydło, przeprowiał się przez rzekę i palił całą jebaną wieś i zabierał całe bydło na swoje pastwiska.

– Niewiele się zmieniło od tamtej pory.

– *Wiele* się zmieniło. Teraz potrzebne ci są liczydła, żeby oszacować,

czy produkujesz dosyć wołowiny z akra, żeby wystarczyło ci na pensje. Jedna czwarta twoich robotników chodzi wycinać kolczaste zarośla, kolejna jedna czwarta zajmuje się tylko odganianiem gzów i wyszukiwaniem kleszczy. A kiedy ty zajmujesz się tymi gównami...

Podniosłem dłoń, żeby się zamknął.

– Tak wygląda nasze życie, Finn. Możemy się na nie skarżyć albo pracować dalej, a ja wybieram to drugie. Tacie wydaje się, że siedzimy na oceanie ropy, ale to nieprawda. Siedzimy na stercie drogich i całkiem bezwartościowych pozwoleń na odwierty na ziemi, która nawet do nas nie należy. – Wydawało mi się, że dobrze to rozegrałem, ale Phineas tylko się uśmiechał. Zmusiłem się, żeby nie odejść.

– Kiedy odkryto ropę w północnym Teksasie, Pete?

Zawsze tak robili: zwracali się do mnie po imieniu, jakby strofując dziecko. A mimo to nadal czuję przymus opowiadania się, jakbym – wbrew trwającym przez lata bezskutecznym próbom – był w stanie coś im wyjaśnić.

– Przed dwunastoma laty – oznajmił, kiedy mu nie odpowiedziałem. – Obecnie połowa naszej ropy pochodzi właśnie stamtąd. Spindletop był zaledwie dwa lata wcześniej. Największy jebany szyb naftowy w dziejach ludzkości, przed którym Rockefellerowie, Melloni, Pewsi i wszyscy ci skurwiele ze wschodu zarabiali setki milionów w Pensylwanii. Pensylwanii! Gdzie w całym stanie są może dwa wiaderka ropy. Chryste, Pete, wiertło Hughesa! Kiedy to było? W 1908? Wcześniej wiercono w ziemi tak, jak za czasów rzymskich. Nadażasz?

Spoglądając na grób Garciov, nie powiedziałem mu, że w roku 1908 odkryto również jaskinię w La Chapelle, gdzie znaleziono małpoluda, neandertalczyka liczącego pięćdziesiąt tysięcy lat, którego pochowano z namaszczeniem w grobowcu, zostawiając mu na życie wieczne mięso i kilka krzemiennych noży. Od tak dawna marzymy o życiu wiecznym. Odkąd nie byliśmy jeszcze prawdziwymi ludźmi.

– ...to jest jak hodowla bydła w roku 1865. Nie może się nie powieść. Wystarczy, że znajdziemy ropę na paru akrach, a zwrócą nam się koszty.

Wróciłem bez słowa do konia. Phineas zrobił to samo. Jechaliśmy w dół wzgórza przez starą osadę Garciov, obok ruin kościoła i starego cmentarza; spalona wieża *casa mayor* nadal górowała nad wszystkim. Zmierzaliśmy wolno ku rzece, nie rozmawiając ze sobą. Mój brat trzymał się kilka kroków z tyłu. W końcu się zrównaliśmy.



– Wiesz, zawsze cieszyło mnie to, że lubisz tu mieszkać. Kiedy wyjechałeś na studia, wydawało mi się, że ugrzęznę tu na zawsze, ale wróciłeś. I zawsze byłem ci za to wdzięczny, bo ranczo jest zbyt ważne, by prowadził je ktoś spoza rodziny. Właśnie to chciałem ci powiedzieć. Jestem ci wdzięczny, że tu jesteś.

– Dzięki.

– Pamiętaj tylko, że nie jesteś tu sam, a ja myślę o wszystkim tak samo jak ty.

Nie odpowiedziałem. Phineas odziedziczył po ojcu umiejętność zamieniania każdego komplementu w protekcyjną przyganę. Odezwałem się do niego:

– Co jest z tym Poolem? Zastanawiam się, kiedy to kupno ziemi odbije się nam czkawką?

– Zaległe podatki – rzucił.

– Wytłumacz.

– Zaległe podatki – powtórzył. – Niewykluczone też, że sędzia chce opuścić hrabstwo Webb. Szukamy dla niego wakatu w Piątym Okręgu Sądowym. Ale ty i inni możecie kopać w papierach bez końca. Garcia zalegał z podatkami, a jeśli wcześniej nie było tego w księgach, to teraz jest i nie ma nic więcej do dodania.

Inne wydarzenia z okolicy:

18 października sześćdziesięciu powstańców napadło na pociąg pod Olmito (pięciu zabitych).

21 października siedemdziesięciu pięciu powstańców zaatakowało oddział wojska w Ojo de Agua (trzech zabitych, ośmiu rannych).

24 października, drugi atak na most kolejowy w Tandy Station.

30 października, gubernator Ferguson odrzuca prośby o posiłki Rangersów. Powód? Są za drodzy. Podniesienie podatków nie wchodzi w grę.

Co być może obróci się na dobre. Za każdego zabitego powstańca staje stu innych, nawróconych dla sprawy. *Tejanos* nie mają nic przeciwko wojsku, ale nienawidzą Rangersów.

*15 listopada 1915 roku*

Mamy już niebudzący zarzutu tytuł do ziemi Garcii i stało się tak, jak mówił ojciec: jesteśmy jak łaskawi królowie. Pedro musiał oszczędzać,

my dajemy pracę połowie mężczyzn z miasta. Każdy, kto chce, może znaleźć pracę: przy wrywaniu kolczastych zarośli, kopaniu rowów irygacyjnych, łapaniu zdziczałych od dwudziestu lat longhornów. Przebodły na śmierć dwóch mężczyzn, a Benito Soto zmarł na atak serca, ale ludzie stają pod bramą każdego dnia, zastanawiając się, czy najmujemy. Mimo przestróg szeryfa, pozwałam niektórym Meksykanom nosić broń. *Sediciosos* rozstrzeliwują wszystkich tych, którzy pracują dla *gringo*.

Nie pojmuję, w jaki sposób udaje nam się zachować pozór niewinności, mimo tego, co się wydarzyło. To przygnębiające. Jakbym był jedynym człowiekiem, który pamięta prawdę.

Trzeba jakoś poprawić nastrój. Rekordowy rok, jeśli chodzi o opady – spadło już dwadzieścia jeden cali wody. Im szybciej usuniemy kolczaste chwasty, tym prędzej wyrosnie na nich trawa. Nad miastem unosi się chmura dymu od wypalania, lecz w chmurze tej widzę tylko zapowiedź dobra. Popiół użyźni ziemię, a powszechnie wiadomo, że andropogon i grama kiełkują najlepiej po pożarach.

W mieście wyczuwa się pewne zgorzknienie (wśród białych), że nikt oprócz nas nie otrzymał oferty na zakup ziemi Garcíów. Wdowa po Billu Hollisie była jedną z czołowych podżegaczek. Kobieta jest bez środków – nie stać jej na zakup nawet ćwierci działki, a co dopiero dwustu! – ale wyczuła niesprawiedliwość. Dutch Hollis, brat Billa, nie trzeźwieje od śmierci tamtego.

Will proponuje Pułkownikowi, żebyśmy zaoferowali Marjorie Hollis wysoką cenę za jej dom, żeby pozbyć się jej z miasta. I być może znamy kogoś w jakimś odległym hrabstwie, kto zatrudniłby Dutcha Hollisa. Dłuższy pobyt w mieście nie wyjdzie mu na zdrowie, zbyt często kieruje wzrok ku naszemu dużemu białemu domostwu na wzgórzu i grobowi brata...

W taki sposób rozwiązuję problemy. Ale Pułkownikowi nigdy nie przeszkadzało, że ktoś go nie lubi.

*1 stycznia 1916 roku*

Sally wyjechała do Dallas do swego ojca i sióstr, zabierając Glenna i Charliego.

Po ich wyjeździe poszedłem na grób Pete'a Juniora, matki i Everetta.

Obsiałem je żytem, żeby się zieleniły. Ptaki i tak to wydziobią. Nie wiem, czy to, że cmentarz znajduje się tak blisko domu jest dobrym znakiem, czy złym.

Po południu pojechałem do *casa mayor*. Grób Garcíów mocno się zapadł. Machałem łopatą przez trzy godziny, żeby go wypełnić. Wróciłem dobrze po zmroku.

Tymczasem trwają najazdy bandytów: w Big Bend napadli na trzy rancza. Dwunasty regiment kawalerii, po kilku miesiącach dużych strat, przekroczył granicę i spalił dwa meksykańskie miasteczka.

#### *4 stycznia 1916 roku*

Wróciła Sally z chłopcami. Oskarżyła mnie, że bardziej żałuję Garcíów niż naszego syna. Zapytała, dlaczego tak często do nich jeżdżę.

– Bo nikt inny tego nie robi.

– Ci Metysi postrzelili Glenna – rzuciła. – Pomyśl o tym.

– A my ich zabiliśmy. Wszystkich dziewiętnaścioro. Z których żadne nie strzelało do Glenna.

– To nie wyrównuje rachunków – mruknęła.

– Masz rację – odparłem. – Ale nasza rodzina nie jest tak duża, prawda?

– Chyba zaczynam cię nienawidzić. Ale nawet tego nie zauważasz.

– Jeśli mnie nienawidzisz, to tylko dlatego, że mam zasady.

Zaniemówiła. Poszedłem do gabinetu, dołożyłem drwa do kominka i zasłałem sofę. Dopiero teraz, odkąd od trzech miesięcy nie sypiamy ze sobą, zastanawiam się, jak to się stało, że w ogóle coś do niej czułem. Nadal jest ładna, czarująca na swój sposób. Lecz jeśli kiedykolwiek zdarzyło jej się pomyśleć o kimkolwiek innym, oprócz niej samej, nic o tym nie wiem.



## Eli/Tiehteti

1850

Przed latem dowiedzieliśmy się, że Penatekowie, największy i najzamożniejszy szczep Komanczów, praktycznie przestał istnieć. Po zeszłorocznej epidemii ospy przyszła kolej na cholere – choroby te roznosili zmierzający do Kalifornii poszukiwacze złota, którzy srali do strumieni – a tych, którzy przeżyli, dobiła surowa zima. Do czasu pojawienia się skowronków Penatekowie – z wyjątkiem jakiegoś tysiąca przybłędów – gnili w ziemi.

Żeby uciec od chorych Indian i przynoszących choroby białych przeprowadzających się przez Canadian w drodze do Kalifornii, przenieśliśmy obozowisko daleko na północ do ówczesnego Nowego Meksyku. Znaleźliśmy się teraz na ziemiach Wyjadaczy Korzeni, a ja miałem nadzieję, że spotkam Urwata i zdołam mu odpłacić, ale nigdy go nie zobaczyłem, jako że Wyjadacze przenieśli się jeszcze dalej na północ na terytoria Szoszonów.

Mimo eksterminacji dziesięciu tysięcy Komanczów, równiny nigdy nie były bardziej zaludnione. Wysiedlone plemiona – począwszy od wschodnich, jak Czikasawowie i Delawarowie, po bliższych nam Wichitów i Osedzów – nadal przenoszono na nasze tereny łowieckie. Bizonów było tak mało, jak nigdy dotąd, a wiosenne łowy nie zapewniły wystarczająco dużo mięsa i skór, byśmy przetrwali kolejny rok. Toshaway i pozostali starsi zdecydowali postawić wszystko na jedną kartę: zaplanowali największy wypad w dziejach szczepu, omijający większość osadnictwa w Teksasie i zapuszczający się wprost do Meksyku. Ze względu na liczebność wypadu i duże odległości, wojownikom miały towarzyszyć niektóre kobiety, a także część chłopców do pomocy przy rozbijaniu obozów. W sumie trzysta osób wyruszyło w lipcu na południe, w tym Toshaway, Ntutkaru i Escuté. Mieli wrócić w grudniu.

Zostałem w głównej *rancherii*, gdzie – bez wojowników i bizonów – strażą i nieustannym polowaniem zajęli się młodszy chłopcy, ze

skalpami czy też bez. Panowało poczucie, że wszystko zmienia się na gorsze. W obozie było pusto, wszyscy tęsknili za którymś z członków rodziny, a dominującym nastrojem stała się apatia. Jedyna dobra wiadomość dotyczyła rynku jeńców: białego można było odsprzedać rządowi amerykańskiemu w jednym z nowych fortów nawet za trzysta dolarów albo więcej. Kupiliśmy kilku białych od Wyjadaczy Korzeni i sprzedaliśmy ich Nowym Meksykanom, którzy ostatecznie sprzedali ich w fortach.

Nienawidzi Pracy już nigdy nie przysłała do mojego tipi, ale stopniowo zaczęły przychodzić do mnie inne dziewczęta, gdyż ich *notsakapu*, czyli kochankowie, wyprawili się na wojnę, a ja byłem znany ze swojego odizolowania i niechęci do rozmów z innymi młodymi *tekuniwaptu*. Miałem już jeden skalp, ale wciąż byłem jeńcem i pozostali mężczyźni nie mieli nic do zyskania, zadając się ze mną.

Więc kobiety odnajdywały mnie, kiedy polowałem albo drzemałem i opowiadały mi rzeczy, których nikt nie chciał słuchać. Która sypia z mężami przyjaciółek albo z *paraibo*. Która planuje przyłączyć się do Wyjadaczy Korzeni albo założyć nowy szczepek. Która ucieknie ze swoim *notsakapu*, bo jego rodziców nie stać, żeby za nią zapłacić, i która ma już dosyć bycia trzecią żoną jakiegoś grubego starego kacyka – który, nawiasem mówiąc, kłamał o swoich wojennych wyczynach – a która złapała *pisiptu* od żonatego mężczyzny i nie wie, czy warto zapłacić za uleczenie.

Pewnej nocy ktoś wszedł do tipi i usiadł przy wejściu, szukając wzrokiem mojego posłania. Poczułem słodki zapach, którego nie znałem – jak miód albo cynamon.

– Kto tam? – zapytałem.

– Kwiat Prerii.

Pogrzebałem w węglach, żeby zrobiło się jaśniej. Nie była zapewne tak urodziwa jak jej siostra, Nienawidzi Pracy, ale nadal pozostawała poza moim zasięgiem, więc uznałem, że przysłała porozmawiać.

– Jestem zmęczony – powiedziałem.

Nie zwróciła na to uwagi i rozebrała się. I zaraz usnęła wtulona we mnie, tak szybko, że zacząłem się zastanawiać, czy tylko po to przysłała – żeby się do kogoś przytulić w nocy, kiedy jej kochanek wojuje z Toshiwayem i innymi. Zasnąłem, ale nie całkiem. Było za ciemno, żebym mógł się jej przyjrzeć, ale była ciepła, słodko pachniała i miała gładką skórę. Leżałem przez długi czas, dysząc w jej szyć. Miałem

ochotę spółkować, ale nie chciałem jej budzić. I musiałem zasnąć, bo po chwili poczułem, że mną potrząsa. Wkładała ubranie.

– Nie myśl, że to się powtórzy i nie mów o tym nikomu.

Zastanawiałem się, co mi nie wyszło.

– To samo mówiła mi twoja siostra – powiedziałem.

– Nie jestem taką dziwką jak ona, więc oczekuj, że dotrzymam słowa.

– Ona też dotrzymała.

– Więc jesteś jednym z tych niewielu szczęściarzy, z którymi spała tylko raz.

– Ha – mruknąłem.

Poprawiła okrycie.

– To nieprawda.

– Możesz wrócić na posłanie – powiedziałem. – Nie musimy nic robić.

– Rozważyła moją propozycję i wróciła pod skóry. Zrobiłem jej sporo miejsca. – Dobrej nocy.

– Jest ci ciężko, kiedy wszyscy odeszli?

– Wszystkim jest ciężko.

– Ale tobie musi być wyjątkowo. Nttukaru i Escuté to twoi jedyni przyjaciele.

– To nieprawda.

– Więc kto jeszcze?

Wzruszyłem ramionami.

– Czym pachniesz? – zapytałem, zmieniając temat.

– To? To sok z topoli, z pąków. Można go zbierać tylko latem.

– Ma ładny zapach.

Milczała.

– Ludzie są głupi – powiedziała. – Wszyscy pochodzimy od jeńców.

– Ale nie wszyscy tak wyglądają.

– A co powiesz o Grubym Wilku?

– Nie, on nie.

– Biedny Tiehteti.

– Biedne nic – odparłem.

– No, dobrze. Przepraszam.

– Czas spać.

– Zastanawiam się, kiedy przestaniesz być tak miły.

– Czas spać – powtórzyłem.

– Jesteś miły – upierała się. – Nie wystugujesz się nikim, obdzierasz ze skóry upolowane przez siebie zwierzęta... przeważnie...

– Zapytaj tego *papi bo?a*, jak jestem miły. – Wskazałem wiszący nad

posłaniem skalp Delawara.

– To komplement. – Po krótkiej chwili położyła mi dłoń na udzie. Nie byłem pewny, co to oznacza. Przesunęła dłoń wyżej. – Jeszcze nie śpisz?

– Nie.

Pociągnęła mnie i położyła na sobie, podciągając *kwasu*. Jak zwykle nie trwało to długo, a potem było mi głupio, bo nie przestała się ruszać. Zacząłem z niej schodzić, ale przytrzymała mnie.

– Nic nie szkodzi – powiedziała. – Ze mną wszystkim idzie na początku szybko.

Poirytowała mnie ta pewność siebie. Ale zaraz przestałem się złościć. Usnąłem. Kiedy się obudziłem, już jej nie było, ale wróciła następnej nocy.

Za dnia nie rozmawialiśmy ze sobą, ale nocą, kiedy wygasły ogniska, słyszałem jak szeleszczą poły tipi, a Kwiat Prerii kładzie się na moim posłaniu. Trzeciej nocy znałem już na pamięć każdy cal jej ciała, jakbym był ślepy jak szczeniak, ale zdarzały się takie noce, kiedy miała inne włosy albo inaczej pachniała, więc nie byłem pewny, czy to ona. Komancze traktowali taką zagadkowość za pewnik, co działało na korzyść kobiet, które mogły zaspokajać swoje potrzeby bez nadwerężania reputacji; dla mężczyzn było to mniej korzystne, bo nigdy nie mieli pewności, czyje zdobyli serce albo czy sami nie zostali zdobyci i robili to z kimś, na kogo nie mieliby ochoty. W nocy każda skóra była gładka, skazy niewidoczne, krzywe zęby proste, wszystkie kobiety stawały się wysokie i piękne – był to najprzyjemniejszy rodzaj demokracji. Nie przedstawiały się po imieniu, więc trzeba było całować pierś, ucho czy podbródek, żeby rozpoznać kształt, albo też wygięcie biodra czy obojczyka, miękkość brzucha, całą długość gardła: wszystkiego należało dotknąć. Następnego dnia odmalowywaliśmy kształty zapamiętanych dzięki dłoniom i ustom obrazów, a przyglądając się spacerującym w słońcu dziewczętom, zastanawialiśmy się, która była z nami.

Zawsze tak było. Opowiadano legendę o pięknej dziewczynie, którą każdej nocy odwiedzał kochanek (nam, mężczyznom, nie wolno było tego robić, ale legenda mówiła o innych czasach). Gdy namiętność przerodziła się w miłość, dziewczyna zaczęła dociekać jego imienia. Znała każdą część jego ciała, ale nie całość, a wraz z upływem czasu myśl o jego tożsamości nie dawała jej spokoju, gdyż chciała spędzać z nim nie tylko noce, ale i dni, nie chciała się z nim rozstawać.



Pewnego wieczoru, przed przyjściem kochanka, poczerniła dłonie sadzą z ognia, żeby oznaczyć jego plecy i uzyskać odpowiedź. Kiedy wstała rano, żeby przynieść wody rodzinie, ujrzała odciski swych dłoni na plecach ukochanego brata. Zapłakała głośno i uciekła ze wstydu z plemienia, a jej brat, który nigdy nikogo nie kochał tak jak jej, pobiegł za nią. Dziewczyna nie zwalniała, a on nie mógł jej dogonić, obiegli ziemię, aż w końcu ona stała się słońcem, a jej brat księżycem. Są teraz razem na niebie o niektórych porach, lecz nie wolno im się dotykać.

Co się tyczy Kwiatu Prerii – była poważnie związana z chłopcem o imieniu Atakuje Wroga, starszym ode mnie o pięć czy sześć lat, dzięki czemu wyruszył na długą wyprawę z Toshawayem, Pizonem i innymi. Ona miała szesnaście lat, czyli – wedle Komanczów – była już zdolna do zamążpójścia, ale cena pięćdziesięciu koni zapłacona za Nienawidzi Pracy odstraszała większość kandydatów do jej ręki, co uważała za tymczasową korzyść, wiedziała bowiem, że żadnego mężczyzny z plemienia na nią nie stać. Z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że kiedy los się odmieni i znów wróci dobrobyt, kupi ją jakiś stary gruby wódz, a jej życie w dotychczasowym kształcie dobiegnie końca.

Większość dziewcząt martwiła się o to w skrytości ducha. Kwiat Prerii miała nadzieję, że pozostanie wolna do ukończenia dwudziestu lat, rok dłużej niż jej siostra, zanim jakiś starzec zdecyduje się kupić ją za żonę. Atakuje Wroga nie miał pięćdziesięciu koni ani nawet dwudziestu – zaledwie dziesięć, jak przypuszczała – a jego rodzina niewiele więcej. Jej ojciec nigdy nie uzna go za odpowiedniego kandydata. W gruncie rzeczy żaden młody wojownik nie dysponował wymaganym przez ojca kapitałem. Wspaniałomyślność Toshawaya była niesłychanym wyjątkiem, więc Kwiat Prerii była skazana na zostanie trzecią czy czwartą żoną kogoś, kogo nigdy nie pokocha, najniższą w domowej hierarchii, która po ślubie poświęci życie na skrobanie skór jak zwykła *na?raiboo*.

Tymczasem zaprzyjaźniłem się z łukiem. Z braku bizonów, co drugi dzień polowałem na jelenie, wapiti albo antylopy na obozowe mięso, choć jak wszyscy pozostali, musiałem wyprawiać się coraz dalej i dalej, żeby wytropić zwierzęta. W sierpniu nie było mnie przez blisko pięć dni i uświadomiłem sobie, że mógłbym zwyczajnie jechać dalej na wschód, aż odnalazłbym białych, ale kiedy siedziałem na koniu, wpatrując się w prerię, mając za sobą muła wyładowanego mięsem dla plemienia,

zdałem sobie sprawę, że nie mam do czego wracać, nie mam już żadnych bliskich, z wyjątkiem ojca, który – jeśli wciąż żyje – nie starał się mnie odnaleźć. Wiele białych rodzin aktywnie szukało swoich porwanych potomków, a wieści o nagrodach bardzo szybko rozprzestrzeniały się wśród plemion. Przed miesiącem do wioski wjechał wolny Murzyn z Kansas, co było tak wielkim zaskoczeniem, że postanowiono darować mu życie. Indianie porwali jego żonę i dwoje dzieci, a Murzyn miał nadzieję ich odnaleźć. Nie byli u nas, ale wiedzieliśmy, że widziano ich z innym szczepem na zachodzie, więc nakarmiliśmy Murzyna i pozwoliliśmy mu odpocząć wraz z końmi przez dwie noce, a potem skierowaliśmy go do *Noytukannttu*.

Jedynymi nie-Indianami, których powszechnie nienawidzono byli *Tuhano*, czyli Teksańczycy, których zawsze zabijaliśmy bez pytania o cokolwiek. Pozostali biali i Murzyni, skoro już o nich mowa, byli przeważnie sądzeni indywidualnie, a jeśli człowiek ten uczynił coś wyjątkowo odważnego czy sprytnego – jak, na przykład, wjazd w samo południe do wioski pełnej Komanczów – nie tylko pozwalano mu żyć, ale traktowano jako honorowego gościa tak długo, jak chciał z nami zostać. Ojciec Toshawaya powiedział mi, że zanim pojawili się *Tuhano*, Komancze nie mieli nic przeciwko białym – handlowaliśmy z Francuzami i Hiszpanami od setek lat – i dopiero przybycie chciwych i okrutnych *Tuhano* wszystko zmieniło. Biali wiedzieli o tym, a każdy Teksańczyk, który wpadł w ręce Indian, twierdził, że pochodzi z Nowego Meksyku albo Kansas. Przyznanie się do pochodzenia z Teksasu groziło przypiekaniem na wolnym ogniu. Nawet nóż był zbyt szybki dla Teksańczyka.

Siedziałem na koniu i wpatrywałem się w błękitny front wiejący nad równiną i postanowiłem wracać do wioski. Uświadomiłem sobie, że od kilku miesięcy przestałem myśleć o powrocie, bo z pewnością umieściliby mnie w sierocińcu, a w najlepszym razie dostałbym pracę służącego. Plemię traktowało mnie już jak dorosłego mężczyznę, białym nie przyszłoby to do głowy. I oczywiście miałem jeszcze Kwiat Prerii, która zaprzeczała co prawda, że to, co nas łączy jest czymś poważnym, ale każdej nocy wracała do mojego tipi. Kiedy spotykałem ją, jak niosła wodę, nosiłem wodę za nią, pomagałem jej zbierać drewno na opał czy obdzierać ze skóry jelenia, którego zabiłem dla jej bliskich. Ojciec Kwiatu Prerii nie aprobował mnie, choć teoretycznie byłem synem Toshawaya; wolał Escuté, który był starszy, nie był biały i nie był jeńcem.

Większość chłopców wstydziła się za mnie, gdyż wiedzieli, że kiedy Atakuje Wroga wróci z wojny, Kwiat Prerii zapomni o moim istnieniu, a jej ukochany, nawet jeśli mnie nie zabije, to wyrządzi sporą krzywdę, o czym przypominali mi bez końca, namawiając, żebym przestał się z nią widywać, a przynajmniej nie poniżał się publicznie. Jeśli kiedyś wydawała mi się brzydszą z sióstr, teraz myślałem o niej wprost przeciwnie. Kwiat Prerii stąpała zgrabnie jak łania, jej oczy, policzki i piersi nie były tak przesadne jak u siostry, ale znacznie ładniejsze, jakby Stwórca postanowił, że nie będzie w niej żadnego nadmiaru. A poniżanie się wcale mi nie przeszkadzało.

A poza tym mieliśmy mnóstwo innych zmartwień. Jedzenia było dosyć, ale każdego dnia jedliśmy to samo. Kończyły nam się zapasy cukru, kukurydzy i dyni, a nie mieliśmy nadmiaru koni czy skór, żeby je uzupełnić. Brakowało ołowiu i prochu oraz śrub do naprawiania broni. Znajdowaliśmy się w zimnej, suchej, nieznannej okolicy. Powoli załamywało się poczucie panowania odwiecznego porządku: mali chłopcy, którzy powinni oddawać się zabawie, musieli polować, starcy wykonywali pracę kobiet. I być może z powodu tej ogólnej bylejakości Kwiat Prerii odwiedzała mój namiot. Albo też dlatego, że w czerwcu, kiedy – jak zakładano – wyprawa wojenna dotrze do Meksyku, miała kilka snów, w których ujrzała oskalpowanego trupa Atakuje Wroga, o czym nie mogła mówić żadnemu innemu Komanczowi, jako że był to zły omen. Gdyby z jakiegoś powodu podzieliła się tym snem, większość starszych plemienia uznałaby ją za *bruja* i zostałaby wypędzona ze szczepu albo zabita. Oczywiście osobą, która miotała złe zaklęcia na Atakuje Wroga byłem ja sam, choć nie wierzyłem w takie sprawy, a poza tym było mi go żal, bo parokrotnie zabrał mnie na polowanie, więc nie życzyłem mu oskalpowania, a co najwyżej pojmania przez Meksykanów i wtrącenia na zawsze do lochu.

Tak czy inaczej było to najwspanialsze lato, jakie kiedykolwiek przeżyłem i mimo ponurych nastrojów, czułem się ukontentowany jak nigdy przedtem. Każdego dnia mogłem zginąć z rąk białych czy wrogich Indian, mógł mnie rozszarpać grizzly albo wataha polujących na bizona wilków, ale rzadko musiałem robić coś, na co nie miałem ochoty i może na tym właśnie polega różnica między białymi a Komanczami, bo biali zawsze byli gotowi zaprzedać swoją wolność za dłuższe życie i lepsze jedzenie, a Komancze cenili wolność ponad wszystko. Kiedy było zimno, sypiałem w tipi, a kiedy robiło się ciepło, w altanie z krzaków lub prosto pod gwiazdami; chodziłem polować

i wędrowałem, kiedy chciałem, miałem dziewczynę, nawet jeśli ona uważała, że należy do innego. Jedyne, czego mi brakowało to łowienia ryb, bo Komancze ich nie jedli, chyba że głodowali. Lecz nawet na wyprawach łowieckich, kiedy mógłbym łowić ryby, nie robiłem tego.

W październiku starsi plemienia postanowili, że powinniśmy przenieść się na południe na znane terytoria, gdyż zima tutaj będzie surowsza, a pożywienie trudniejsze do zdobycia. Choć wojownicy jeszcze nie wrócili, co zaczynało wszystkich martwić, zwinęliśmy obóz i zostawiliśmy szczegółowe instrukcje w postaci hieroglifów wyrytych na drzewach, dokąd wyruszamy.

Rozbiliśmy obóz blisko starej wioski, dziesięć mil na północ od rzeki Canadian. Spodziewaliśmy się, że stary obóz może być zajęty, bo leżał niedaleko kilku dobrze znanych indiańskich szlaków, ale miejsce było wolne i porosła je wysoka trawa. Rok był mokry, więc mieliśmy mnóstwo paszy dla stada koni na zimę, co było dobrym znakiem. Nie pasły się tu żadne inne konie, co było złym znakiem i plemię znów pograżyło się w przygnębieniu; panowało przekonanie, że olbrzymia liczba Komanczów, nie tylko Penatekowie, musiała zginąć, bo trudno było uwierzyć, że tak dobre obozowisko pozostało wolne od czasu naszego wyjazdu.

Kiedy w grudniu wrócili w końcu wojownicy, jedyną dobrą wiadomością było to, że Toshaway, Escuté i Ntutkaru wciąż żyli. Wszyscy byli tak bladzi i wychudli, kiedy się pojawili, że wzięto ich za duchy. Toshaway o mało nie stracił odmrożonej stopy. Escuté dostał kulkę w ramię na początku wyprawy i przez trzy miesiące jeździł ze złamaną ręką. Prawie nie mógł jej unieść, nie mówić już o strzelaniu z łuku.

W czerwcu zdobyli osiemset koni, ale zastawiono na nich zasadzkę: wojsko i Meksykanie działali teraz ręką w rękę, zamiast zabijać siebie nawzajem, tak jak zawsze to robili. Blisko połowa wojowników Kotsoteka zginęła lub rozproszyła się. Wojsko oraz kilka kompanii Rangersów przegoniło resztę wojowników w głąb Nowego Meksyku.

Kiedy to się działo, obóz, w którym zostały kobiety czekające na powrót wojowników z Meksyku, zaatakowali Apacze Mescalero. Zabili i uprowadzili większość kobiet. Ciała były tak porozrzucane przez zwierzęta, że nie dało się ich policzyć ani rozpoznać. Wśród nich była córka Toshawaya, a z trzystu Kotsoteków, którzy wyruszyli na wyprawę, wróciło mniej niż czterdziestu, a choć nikt nie wspominał o tym w tej samej rozmowie, stracono również niemal tysiąc koni, co

oznaczało, że nie mamy nadmiaru zwierząt na handel, a zima będzie nawet gorsza niż się spodziewano. Od tamtego dnia aż do wczesnej wiosny w obozie słychać było tylko płacz i zawodzenie, połowa kobiet w wiosce pocięła sobie twarze i ramiona, a wiele z nich obcięło sobie palce na cześć zabitych mężów, synów i braci.

Kwiat Prerii przestała do mnie przychodzić przez pewien czas, gdyż Atakuje Wroga został ponoć zabity, ale jego ciało znalazło się za linią wroga i nie udało się go odzyskać. Zakładano, że został oskalpowany i zbezczeszczony. Kwiat Prerii prawie nie jadła i nie wychodziła z tipi, ponieważ jednak nie byli małżeństwem, nie mogła opłakiwać go publicznie ani powiedzieć nikomu, kogo znała, że kiedy to się stało, widziała śmierć Atakuje Wroga na własne oczy, tak wyraźnie, jakby przy niej była.



## Jeannie McCullough

1942

Phineas wezwał ją do Austin, kiedy skończyła szkołę średnią. Był maj, już upalnie, sto stopni<sup>[12]</sup> w McCullough, dziewięćdziesiąt w Austin, podróż do Barton Springs zapowiadała się przyjemnie: można tam leżeć na trawie i przyglądać się pływakom – flirtującym parom, młodym mężczyznom z futbolówkami – być samej przez cały dzień w miejscu, w którym nikt jej nie zna. Są ludzie nieprzeniknieni – jej pradziadek, na przykład – ale to nie dotyczyło jej. *Jestem nudna, myślała. Przewidywalna. Ale odważna na swój sposób, odważna mimo...* Nie lubiła wspominać północy ani czasu, który tam spędziła. Było jej źle i wyjechała. Nie bała się ryzykować, kiedy na czymś jej zależało, choć nikt inny tego nie pojmował. Kiedy na czymś jej zależało, była naprawdę odważna. Ale nikt o tym nie wiedział, więc to było bez znaczenia.

Jechała pociągiem do Austin. Na drodze było więcej samochodów, dwa albo trzy razy więcej, niż w czasach jej dzieciństwa. Mówiło się, że większość Teksaszczyków mieszka teraz w miastach. W hrabstwie Dimmit trudno to było zauważyć. Przyglądała się ciężarówce z pół tuzinem Meksykanów na skrzyni. Ocierali sobie kolana o stertę metalowego złomu, kiedy kierowca lawirował i zmieniał pasy – jeden błędny ruch i wszyscy mogli wylecieć za burtę. Zastanawiała się, dlaczego pozwalają się traktować w taki sposób. To zwierzęta, tak mówił jej ojciec. W dniu wyborów zawoził ją na południowy kraniec McCullough: piaszczyste ulice, blaszane szopy, wieńce chili, kozie mięso i wszędobylskie muchy. Ojciec wyjmował z lodówki na półciężarówce kawałki wołowiny i skrzynki ciepłego piwa. Płacił podatki za głosujących, pokazywał im, jak stawiać krzyżyki. *Gracias, patrón. Gracias.* Są potulniejsi od Murzynów – kolejna rzecz, którą zawsze powtarzał.

Okna w wagonie były otwarte, czuła chłodny wiatr na twarzy, ale pociła się pod sukienką i pod pachami. O tej porze roku spiekota jest

wszechogarniająca – przerażający dopust Boży. Nie. Jest jak obuch młotka na głowie młodego wołu. Do września będzie tylko gorzej. Z drugiego końca wagonu zerkało na nią trzech żołnierzy, jeden z nich był o wiele starszy, a dwaj pozostali, Meksykanie w jej wieku, bali się na nią patrzeć. Większość komisji poborowych nie wzywała jeszcze białych, choć niektórzy, jak jej bracia, zgłosili się do wojska na ochotnika.

Przyglądała się swojemu odbiciu w oknie, nałożonemu na wyschnięty pędzący krajobraz. *Jestem ładna*, pomyślała. Co prawda są ładniejsze, ale i tak znajdowała się powyżej przeciętnej. *Phineas da mi pracę*. Coś w rodzaju specjalnego doradcy, zaufanego. Ale to nie było możliwe. Nie miała przecież żadnych kwalifikacji, nie mogłaby zostać sekretarką. Trzeba znać stenografię, żeby ubiegać się o taką posadę. W zasadzie nie znała się na niczym, nic nie robiła dobrze, była amatorką. Bez sensu. Gdyby w tej właśnie chwili zniknęła z powierzchni ziemi, nikomu nie zrobiłoby to różnicy.

*Ckliwość,ikliwość*. Oparła czoło o szybę i czuła drzenie pociągu. *To nawet nie jest twoje słowo*, pomyślała, *to słowo pochodzi od Jonasa*. Widziała wzgórza na północy, wyżynę Llano. Pułkownik znał się na takich rzeczach: ta skała ma dziesięć milionów lat, ta dwieście, a tu jest paproć odbita w kamieniu. Żołnierze patrzyli na nią już zupełnie otwarcie. Gdyby była młodsza, o jakiś rok czy dwa, odwróciłaby głowę i spiorunowała ich wzrokiem, ale teraz pozwalała im pożerać się oczami, fantazjować na jej temat – jak sobie wyobrażała. Za kilka miesięcy wyjadą na wojnę, wielu nie wróci, spoczną w obcej ziemi. Może wszyscy trzej – może ich linie życia dobiegają końca. Zastanawiała się, który z nich przetrwa, doszła do wniosku, że ten większy, choć nigdy nic nie wiadomo. Teraz już nie jest tak jak kiedyś: spada bomba i ginie stu synów swoich matek. Poczwała do nich litość, zastanawiała się, czy nie powinna im czegoś dać – papierosów, wody sodowej, ale to były tylko drobiazgi, pieniądze im nie pomogą. Miała tylko jedno i pozwoliła sobie myśleć o tym przez chwilę, przełożyła nogi i poprawiła sukienkę – to była tylko myśl, absolutnie wykluczone, nigdy nikomu się nie oddała. Ale doprawdy, jakie to ma znaczenie? Zdarzało się, że rozpaczliwie, dosłownie rozpaczliwie marzyła o tym, żeby pozbyć się dziewictwa, ale nie, pomyślała, niemożliwe, to nie może być jakiś pryszczaty żołnierz, ani nawet ten starszy, bardziej przerażający, ze śladem po brzytwie wypalonym na szyi, jakby ktoś ciągnął go na łąso. To on zginie. Natychmiast to poczuła. Myśl ta



podnieciła ją. To wszystko było bardzo przejmujące.

A potem poczuła winę. Przypomniła sobie braci, którzy są wciąż w Ameryce na szkoleniu w Georgii. Clint zrobi coś, żeby się popisać i zginie. Paul będzie ostrożniejszy, ale łatwo go przekonać, żeby zaryzykował, na przykład w imię przyjaźni. Modliła się, żeby się nie zaprzyjaźniał z nikim – w przeciwnym razie zginie. Przez takich jak Jonas: jedyny z jej braci, który zachowywał się jak syn zamożnego człowieka. Nie miał zamiaru w ogóle ryzykować, jeśli może zrobić to ktoś inny. I jest oficerem.

Trawa za oknem pociągu zbrązowiała już od słońca. Od południa płaska teksańska równina ciągnęła się aż do Meksyku, od północy zaczynały się stoki. Żółtawa letnia mgiełka. Muł ciągnący pług. Nie wiedziała, skąd to wie, ale była pewna, że przez wiele tygodni nie będzie padać; taka susza każe się zastanawiać, czy będzie jeszcze padać kiedykolwiek.

Jej stryj Phineas był potężnym człowiekiem, stał na czele Komisji Kolei Żelaznych, niektórzy mówili, że jest potężniejszy od gubernatora. Nie był w istocie jej stryjem, był bratem dziadka, ale to on decydował, ile ropy można wypompować z całego Teksasu. Co w jakiś sposób wpływało na ceny baryłki. Podejrzewała, że z ropą jest tak samo jak z bydłem. Podczas suszy wszyscy musieli szybko sprzedawać stada, więc ceny spadały, choć kiedy bydła było za mało, znów pięły się w górę. Tyle że przetwórnice mięsa przerywały ten proces – kupowały tanio od zaniepokojonych ranczerów i podnosiły ceny zbytu, wmawiając ludziom z miasta, którzy się na niczym nie znali, że susza oznacza braki. Wszystkie pieniądze powędrowały do przetwórnicy i nie zarabiano się już ich na porośniętej trawą ziemi, ale w betonowych budynkach. Armour and Swift. Ojciec ich nienawidził. Tymczasem w Teksasie wydobywano więcej ropy niż w jakimkolwiek miejscu na ziemi. Ludzie zajmujący się tym jakoś nie narzekali.

Otworzyła oczy. Leżała na podłodze w wielkim salonie i wpatrywała się w ogień. Jej własne ramię – skóra tak stara i cienka, że niemal przenikało przez nią światło – przesunięty na nadgarstku zegarek. Może zdoła poruszyć choć jednym palcem? Nie. Przesunęła wzrokiem po pokoju i zatrzymała go na globusie obok otomany. Globus nie był starszy od niej samej, ale wiele pokazanych na nim krajów przestało istnieć. Nie ma nadziei dla pojedynczego człowieka. Zauważyła zaprawę murarską osypującą się do kominka. Kamienie wkrótce się rozpadną. *Kiedy to się stało?*, zastanawiała się, a potem pomyślała:

*Nie spodziewałam się, że będę tak długo żyła. Tyle że to kłamstwo. Zawsze wiedziała, że to inni nie przetrwają.*

Śmierć, codzienna towarzysząca. Tu jest inaczej niż w zaludnionych okolicach na północy. Jonas to wyczuwał i zdołał się ocalić. *Ty o niczym nie masz pojęcia.* Miała, ale wydawało się jej, że zdoła przed nią uciec. Przyglądała się węglom na palenisku. Zastanawiała się, czy naprawdę przewidziała śmierć Clinta i Paula, czy raczej umysł znów spletał jej figla, a pamięć odnotowała coś, co nigdy nie było prawdą, jak taśma magnetyczna, którą ktoś zmontował.

Phineas był dla niej dobry. Trudno sobie wyobrazić, jaką posiadał władzę; jak OPEC wiele lat później, Komisja Kolei Żelaznych kontrolowała cenę ropy na całym świecie. Phineas był niewiarygodnie bogaty. Mógł stworzyć albo zrujnować każdego nafcjarza w stanie, każdego polityka – można było wiercić tyle szybów, na ile się miało ochotę, ale bez jego zgody nie wypompowano z nich ani kropli.

Siedziba komisji mieściła się w ponurym stanowym biurowcu, jedyne, co wyróżniało to miejsce spośród innych, to samochody: packardy, cadillac sixteen, lincolny zeyphyry i continentale. Gabinet Phineasa mieścił się w rogu budynku, na ścianach wisiały jego myśliwskie trofea, Yellowboy Winchester Pułkownika, dwa skrzyżowane kołty Peacemaker, plakietki od Hodowców Bydła z Południowego Zachodu i Stowarzyszenia Pędzących Bydło Starym Szlakiem. Obok zdjęcia ze słoniami i lwami oraz dzikiej rogacizny każdego kształtu – polował na pięciu kontynentach. Fotografie Teddy'ego Roosevelta na Kubie, Phineas uśmiecha się na niej szeroko, jest bardziej pewny siebie niż stary prezydent.

Teraz stryj miał już siedemdziesiąt pięć lat, ale nadal emanował potęgą. W ogóle nie przypominał Pułkownika: był wysokim mężczyzną o gęstych siwych włosach, nosił drogie garnitury i miał piękne sekretarki. Nie chodził w kowbojkach ani z ozdobnym sznurkiem pod szyją – taką pozę przyjmowało późniejsze pokolenie – przypominał bardziej bankiera ze wschodu. Ale podupadał na zdrowiu. Miał spuchnięte nogi, łomotało mu serce. Było jasne, że nie doczeka wieku ojca.

Jeannie przypatrywała się jego sekretarce, która stawiała na stole kawę i tackę z kołaczami. Brunetka o fiołkowych oczach, wysokich kościach policzkowych, doskonałej figurze – ona sama nigdy nie będzie tak ładna. Phineas zapytał o wieści od Clinta i Paula, pogratulował jej skończenia szkoły średniej. Ma jakieś plany? Niezupełnie. Usiadła na

krześle, z którego rozciągał się widok na stanowy kapitol i centrum Austin. Była zaledwie pięć godzin od rancza, ale znalazła się w zupełnie innym kraju.

Kiedy sekretarka zamknęła za sobą drzwi, w Phineasie zaszła jakaś zmiana i domyśliła się, że chce przejść do interesów.

– Podejrzewam, że oboje to wiemy: ranczo przynosi straty. – Kiwnęła głową, choć to nie było aż tak oczywiste: od rozpoczęcia wojny ceny wołowiny stopniowo rosły. – Mieszkałem na tej ziemi, zanim ją zasiedlono – ciągnął. – Pochowałem w niej matkę i ojca, i brata. A teraz mój synowiec, twój ojciec, rujnuje wszystko do cna. Zadowala się paleniem naszymi pieniędzmi, jakby na wiosnę wyrastały nowe, jak trawa. Dlaczego ojciec zapisał mu większość ziemi, nie mam pojęcia. – Odchylił się w fotelu. – Widziałaś księgi?

– Chyba nie – odpowiedziała.

– Oczywiście, że nie. – Nakazał jej gestem obejść biurko, na którym leżała otwarta księga rachunkowa. Wskazał jakąś liczbę: nieco ponad czterysta tysięcy dolarów. – Zeszłoroczna sprzedaż bydła. Wydaje się, że to duża kwota i rzeczywiście tak jest, bo twój ojciec sprzedaje dużo. Ale następne trzydzieści siedem stron to tylko rubryka „winien”. – Przerzucał kartki, najpierw po jednej, potem po dwie i trzy naraz, aż dotarł do końca. Pokazał inną liczbę, nieco mniej niż osiem tysięcy dolarów. – Wydatki rancza przewyższają dwukrotnie wpływy.

*To jakieś nieporozumienie*, pomyślała, ale nie odezwała się. Zapytała natomiast:

– Od jak dawna to trwa?

– Och, przynajmniej ze dwadzieścia lat. Jedyne, co trzyma nas na powierzchni, to ropa i gaz, ale szyby są już stare i płytkie, a Pułkownik, całkiem rozsądnie, wydzierżawił tylko kilka tysięcy akrów, wierząc, że później odda ziemię po wyższej cenie. Czego jeszcze nie uczyniliśmy. – Przerwał. – Z przyczyn, których do końca nie rozumiem, w naszym stanie istnieje klub bogatych dzieci, które uwielbiają bawić się w hodowców bydła. Jakby ten tytuł miał dziś jakiegokolwiek znaczenie. Bob Kleberg nakładł twojemu ojcu do głowy, że dzięki technologii, lepszym bykom rozplodowym i paru bramom na kółkach, zdoła zarobić pieniądze na sprzedaży wołowiny, co – mówiąc między nami – nigdy się nie udało samemu Klebergowi na jego własnej ziemi. Jak wiesz albo i nie, King Ranch, całe milion akrów, było na krawędzi bankructwa, dopóki Humble Oil nie pożyczył im trzech milionów dolarów. Wielka szkoda, bo sam złożyłem Alice King bardzo

hojną ofertę. Zawsze lubiłem wybrzeże. – Czekał na jej reakcję, ale milczała, więc ciągnął dalej. – Twój ojciec liczy na to, że szybko umrę, bo wydaje mu się, że kiedy odziedziczy moje pieniądze, problemy znikną. Nie zdaje sobie jednak sprawy, albo nie dba o to, że nawet z *moimi* pieniędzmi ranczo i tak zbankrutuje. Pozostaje pytanie, ile milionów dolarów chce zmarnotrawić twój ojciec, zanim to nastąpi.

Zrozumiała, dlaczego ją wezwano: chciał, żeby zdradziła ojca. Ku jej własnemu zaskoczeniu nie miała nic przeciwko temu, a przynajmniej nie tyle, ile powinna. Jej ojciec, mimo pielęgnowanego wizerunku twardziela, był mięczakiem. Zawsze o tym wiedziała, może dlatego, że wskazywał na to Pułkownik. Zarabianie pieniędzy było ostatnim zmartwieniem ojca, bo chciał tylko pojawiać się na pierwszych stronach czasopism, jak Pułkownik. Zawsze wiedziała, że Pułkownik go nie szanuje, a teraz przekonała się, że Phineas – inny słynny członek rodu – również.

– Mam zamówić lunch? Czy możemy dalej rozmawiać o interesach?

– Nie jestem głodna – odpowiedziała.

– Dobrze. Powiedz mi, co wiesz o uldze podatkowej od przychodów z surowców nieodnawialnych?

– Nic – odpowiedziała.

– Oczywiście. Podobnie jak twój tata. Ulga podatkowa od przychodów z surowców nieodnawialnych jest tym, co sprawia, że przemysł naftowy jest tak odległy od hodowli bydła jak biegun północny od południowego. W tej chwili obowiązuje prawo, które stwierdza, że jeśli prowadzi się wiercenia w poszukiwaniu ropy naftowej, można odpisać od przychodów dwadzieścia siedem i pięć dziesiątych procent jako stratę.

– Bo wydaje się pieniądze na wiercenie szybów?

– Tak z całą pewnością informujemy gazety, choć ogólnie rzecz biorąc, odpisujemy już około sześćdziesięciu procent z tych kosztów jako koszty niematerialne. Ulga podatkowa od przychodów z surowców nieodnawialnych jest czymś zupełnie innym. Każdego roku, kiedy z szybu płynie ropa, zarabiasz na niej pieniądze, a jednocześnie zmniejszasz swoje obciążenie podatkowe.

– Ma się zyski, które nazywa się stratami. – Zauważyła, że był z niej dumny. – To brzmi nieuczciwie – dodała.

– Przeciwnie. To prawo obowiązujące w Stanach Zjednoczonych.

– Jeszcze.

– Długo jeszcze. Ustanowiono je nie bez przyczyny. Ludzie trzymają

bydło, choć tracą na tym, ale nie trzeba nikogo zachęcać do hodowli. Przemysł naftowy jest natomiast kosztowny od samego początku: samo znalezienie pokładów ropy sporo kosztuje, nie wspominając o eksploatacji. To ogromnie ryzykowne przedsięwzięcie. Więc jeśli rząd chce, żebyśmy szukali ropy, musi nas do tego zachęcić.

– Więc powinniśmy wiercić.

– Oczywiście, że powinniśmy wiercić. Dlaczego twój ojciec wciąż myśli o krowach, pozostaje dla mnie zagadką. Zysk, jaki mieliśmy w dawnych czasach, opierał się na nadmiarze zapasów, na wykorzystaniu tysięcy lat trawy przez dekadę. Wypełniliśmy pastwiska jak te szafki na akta, ani cała miejsca z obu stron, szukaliśmy trawy. Ale jak już wiesz, słuchając mnie od tak dawna, fakty są nudne, szczególnie dla ludzi pokroju twojego ojca. Bo co robi każdy luizjański nafcjarz, zarobiwszy pierwszy milion? Kupuje sobie ranczo i wpuszcza na nie herefordy, tak jak kupuje packarda i piękną żonę. Nie spodziewa się z tych inwestycji żadnego zysku. Tymczasem reszta z nas nie ma wyboru i musi żyć terażniejszością. Dzwoni do mnie sekretarz marynarki wojennej i mówi, że nie chce słyszeć o jakichkolwiek ograniczeniach wydobywania. Chce odwiertów, odwiertów i jeszcze więcej odwiertów, bo jedyna przewaga, jaką mamy nad Niemcami, to nasza ropa. Budują rurociąg stąd do New Jersey, gdzie są wszystkie rafinerie i chcą od nas każdej cholernej kropli, którą wydobędziemy.

Wyglądał przez okno. Znów mówił, ale Jeannie straciła wątek – to znów były podatki – i poczuła się niedobrze. Nigdy w życiu nie zdoła porozmawiać o tym z ojcem, to wykluczone. *Ta wojna nie będzie trwać wiecznie*, powtarzał tata, *a wszystko wróci do normy*. Zastanawiała się, jak to jest być kimś takim jak ojciec, traktować siebie niczym jakiegoś monarchę z kraju, o którym nikt nigdy nie słyszał. Na jego obronę można powiedzieć tylko to, że ostatnio ludzie zaczęli się z nim liczyć. Pułkownik nie żył już wystarczająco długo, a reporterzy zajęli się ojcem: przyjeżdżali do nich, a on opowiadał im historie Pułkownika, przemieszane z jego własnymi, na przykład o tym, jak w roku 1915 podczas wojen z bandytami najechali razem dom pełen meksykańskich złodziei koni. Mówiło się, że kiedyś z zimną krwią zastrzelił człowieka.

Nieważne, na lepsze czy na gorsze, ojciec należał do wymierającego gatunku: większość starych ranczerskich rodzin zbankrutowała. Większość ludzi mieszka teraz w miastach – Jeannie nie odnalazła się

jeszcze na dobre w Austin – czasy pogranicza minęły dawno temu, choć zdarzają się tacy, którzy wolą tego nie zauważać. Jeśli chodzi o ojca – mężczyznę o ciężkiej głowie i wielkich dłoniach – stał się wreszcie tym, kim chciał być przez całe życie: reprezentantem minionej ery, emisariuszem straconego czasu. To, że jego samego nie było wtedy na świecie nie miało większego znaczenia – zabierał reporterów do corrali i dawał przedstawienie: łąso i ujeżdżanie. Trzymał dla gości starsze łagodniejsze konie, co w dawnych czasach byłoby niewyobrażalne, jako że konie kosztują i służą do pracy, a nie zabawy.

Klakson samochodu z ulicy przywrócił ją do teraźniejszości. Phineas ciągle mówił.

– ...nawet jeśli w górach nie mają jeszcze elektryczności, nawet jeśli spotyka się tam dzieci z krzywymi zębami siedzące na osiołkach, ta wojna wciągnęła resztę świata do nowoczesności. Polska kawaleria rozbiła się o niemieckie czołgi, każdy kanibal na południowym Pacyfiku widział już japońskie samoloty Zero, a jeśli ktoś wątpił, czy epoka konia dobiegła końca, teraz rozstrzygnęliśmy tę kwestię raz na zawsze. – Kiwnęła głową. To nawet dla niej było oczywiste. – Jeannie, za parę lat, kiedy będziemy wspominać te czasy, dojdziemy do wniosku, że prawie w ogóle nie wykorzystywaliśmy naszej ropy. I właśnie dlatego musimy postawić na tej ziemi kilka szybów. Mam dosyć pożyczania pieniędzy twojemu ojcu.

Następnego dnia wróciła pociągiem do domu. Mieli długą przerwę w San Antonio. Powietrze było nieruchome, słońce rozgrzewało wagon do czerwoności. Pófleżała przy oknie, próbując oddychać powoli, myśląc o rzeczach chłodnych: cysternie z wodą, źródelku w *casa mayor*. Wszędzie było pełno żołnierzy – Meksykanów pocących się pod mundurami, zwieszających w odrętwieniu głowy, zlanych potem; ich jedyną nadzieją było to, że pociąg wkrótce ruszy, byli jak młode woły jadące do Fort Worth. Tysiące z nich padło ofiarą Japończyków, którzy obcinali im głowy mieczami. Choć sam McArthur zdołał uciec. Nieco zbyt triumfalnie, pomyślała.

Wpatrywała się w ich twarze, ale opuszczali głowy. Żywe trupy. Ilu z nich nie było jeszcze mężczyznami? Miała już dosyć samotności, wyobrażała sobie rozgniewaną twarz ojca, „oddałam się żołnierzowi”, i uczucie pozbywania się wielkiego ciężaru. Clint i Paul poszli do takiego domu w Carrizo. Ojciec wiedział o tym wcześniej. Ale mnie nie wolno.

Kiedy była młodsza, zachodziła do ojca pracującego w gabinecie. Siadała obok niego w fotelu i czytała albo trzymała go za szyję i zerkała mu przez ramię. W końcu odwracał się i całował ją bez słowa – znak, że chciał zostać sam. Tylko tyle miał. Uścisk i pocałunek. Choć konie też całował, poświęcał im miesiące, żeby je zrozumieć, znacznie więcej czasu niż własnej córce. Phineas wykorzystywał ją, to prawda, ale zawsze miał dla niej czas, nawet jak była mała. Musiała być dla niego utrapieniem, ale zawsze czegoś ją uczył. Ojcu tylko wchodziła w drogę. Była niedogodnością. Tym czymś, co mogło być synem. To oczywiście przesada i niecała prawda, ale wpadała we wściekłość, siedząc sama nocami w domu, kiedy ojciec i bracia byli na pastwisku. Od czasu wyjazdu Clinta i Paula było lepiej, ale nie do końca. *On cię kocha*, myślała, *ale woli się nad tobą nie zastanawiać*. Więc co go interesuje? Konie. Krowy. Może kobiety, choć o żadnej nie słyszała. Postanowiła, że jeśli kiedykolwiek będzie mieć dzieci, nie zostawi ich samych choćby przez minutę.

– Ale i tak nie będę mieć dzieci – powiedziała głośno.

Spojrzał na nią czarny bagażowy w drzwiach, a potem zawstydzony odwrócił głowę. Pociąg ruszył. Zastanawiała się, co powie ojcu.

Kiedy miała szesnaście lat, całowała się z jednym *vaquero* w stajni, którą ten czyścił. Stali tam przez dziesięć minut, czuła jego język poruszający się delikatnie w jej ustach. Myślała o nim przez całą noc, o jego policzkach i długich rzęsach, ale kiedy poszła się z nim spotkać następnego dnia, nie dopuścił jej do siebie. Po tygodniu wyjechał. Wiedziała, że nikt ich nie widział. Wyglądało to tak, jakby ojciec coś wyczuł – wyczuł, że coś sprawia jej radość – i zniszczył to.

A jednocześnie nie dbał o to, że cały ród chyli się ku upadkowi. Dbął tylko o siebie. W końcu zbankrutują, a wszystko, czego kiedykolwiek dokonali, zostanie zapomniane. Nie będą się różnili niczym od Garciów: dzieci obcych będą buszowały po ich domu, dziewczynka spocznie w płytkim grobie. Oparła czoło o szybę i słuchała stukotu kół – wszystko się skończy.

Nie. Nie pozwoli na to. Nie wiedziała, jak go powstrzymać, ale zrobi to – była tego pewna. Phineas jest stary, ojciec jest głupcem, a Jonas zajmuje się tylko sobą. Paul i Clint są szczęśliwymi dzikusami, zupełnie bezmyślnymi. *Wszystko zależy ode mnie*, pomyślała. *Będę musiała coś zrobić*.

Jorge odebrał ją ze stacji w Carrizo. Nie chciało jej się rozmawiać,

więc jechała na tylnym siedzeniu, inaczej niż zazwyczaj, bo nie lubiła okazywać ludziom, że są służącymi. Ale Jorge to nie przeszkadzało. Poczuł nawet ulgę. Lubił żyć we własnym świecie, tak jak ona, lubił jeździć samochodem, żeby pomyśleć o życiu, tak jak ona, rozgryzać w głowie problemy. Na swój sposób ją to krępowało.

Kiedy wjechali na wapienny podjazd, na szczycie wzgórza pojawił się dom, odbijające się od kredowych ścian słońce aż oślepiało, dalej rosły ciemnozielone dęby i wiązy, nad którymi wznosiło się bladoniebieskie upalne niebo. Na drugim piętrze będzie nie do zniesienia, na pierwszym nieco lepiej: dziś będzie spała na werandzie, na prześcieradłach zmoczonych w lodowatej wodzie, przy dwóch włączonych wiatrakach. Przed frontonem domu stało zaparkowane czarne coupé, które należało do babki. Kierowca, biały, siedział sam na ganku, z dala od *vaqueros*, którzy jedli hałaśliwie obiad.

Zaciągnięto story przed słońcem, a dom pachniał gorącym kamieniem. Poszła na górę i przebrała się z przepoconej sukienki, poprawiła włosy, umyła twarz, a potem zeszła na dół, żeby dołączyć do ojca i babki w jadalni.

Ojciec uśmiechnął się i wstał, żeby ją pocałować; od razu domyśliła się, że coś jest nie tak. Zastanawiała się, czy coś nie przydarzyło się braciom, ale przypomniała sobie natychmiast, że jeszcze nie wyjechali z kraju. To oczywiście nic nie znaczyło. Jeden z *vaqueros* stracił syna na unitarce: zginął przejechany przez dżipa w bazie wojskowej. Wszystko to przemknęło przez jej głowę w jednej chwili, ale szybko pozbyła się niepokojących myśli. Gdyby coś się stało z Paulem albo Clintem, nie siadaliby tak spokojnie do obiadu.

Babka, słabsza od Phineasa, nie wstała. Jeannie przywitała się z nią, całując w policzek.

- Jak minęła ci podróż?
- Skwar – odpowiedziała.
- A Phineas?
- Miewa się dobrze.

Ojciec, który nie miał ochoty rozmawiać o stryju, oznajmił:

– Twoja babcia właśnie poinformowała mnie, że rozmawiała z osobami z Southwestern w Georgetown. – Jeannie kiwnęła głową. – Możesz rozpocząć tam studia w sierpniu.

– Och, zupełnie mnie to nie interesuje – rzuciła radośnie, jakby ktoś pytał ją o zdanie.

Ojciec i jego matka popatrzyli po sobie.



– Jeannie, to nieprzyjemne, ale wszyscy mamy w życiu jakieś zadania. Moim jest utrzymanie tego rancza na powierzchni. Babcia jest z nami i pilnuje, żebym nie popełniał błędów. – Uśmiechnął się wyrozumiale do matki. – Twoim zadaniem jest natomiast zdobycie odpowiedniej edukacji.

*On jej nie szanuje*, zdała sobie nagle sprawę. Uszło z niej powietrze, rozmowa z Phineasem była tylko rozmową, niczym więcej. Poczwała chłód. Skończy w Southwestern; wywiąże się ze swojej powinności jak najlepiej.

– Tym razem nie będziesz tak daleko – pocieszyła ją babka.

Później nie przypominała sobie, żeby dokonała jakiegoś wyboru, słowa pojawiły się same:

– Nie mam zamiaru zostać sekretarką.

– Nie musisz – zgodził się ojciec.

– Ani nauczycielką.

– Wszyscy mamy jakieś obowiązki, Jeannie.

– Rozmawiałam z Phineasem dokładnie o tym samym – oznajmiła lekkim tonem. Napila się wody.

– Trudno mi z tym dyskutować – powiedział ojciec.

– Pokazał mi księgi. – Ojciec zaczął mówić o czymś zupełnie innym i dopiero po chwili pojął sens jej słów. Miała zamiar spiorunować go wzrokiem, ale nie zdołała; mówiła do talerza: – Rzeczywistość jest taka, że ranczo tonie. Jest inaczej niż mówisz. – Podniosła wzrok. Twarz ojca nie wyrażała niczego. Kącikiem oka dostrzegła, że babka zabiega o jej uwagę. – Wiem, ile tracimy na bydle.

– No cóż, nie powinnaś spędzać tyle czasu ze starym Phineasem – odpowiedział. Próbował się uśmiechnąć, ale nie zdołał.

Znów zrobiło się jej niedobrze. Może przeziębila się w pociągu.

– ...to ranczo nie jest dobrym miejscem dla tak utalentowanej młodej osoby – mówił ojciec. – Z końcem lata zameldujesz się w college'u i wykorzystasz szansę, której ja nigdy nie miałem.

– Twoje życie nie jest cięższe od mojego – powiedziała. – Jeździsz na koniu wartym dwadzieścia tysięcy dolarów, a zachowujesz się tak, jakbyśmy byli nędzarzami z przytułku. Co roku tracimy na twoje bydło czterysta tysięcy dolarów. Phineas mówi, że ma dosyć pożyczania ci pieniędzy. Coś trzeba zrobić. – Wyłożyła mu wszystko czarno na białym: ogłosiła secesję. Całym sobą mówił: „Odejdź od stołu, odejdź natychmiast od stołu”. A ona odpowiadała: „Nie odejdę”. I tak by zresztą nie mogła, nogi odmówiłyby jej posłuszeństwa. – Każdego dnia

udajesz, że zajmujesz się naszym utrzymaniem, choć w gruncie rzeczy marnotrawisz tylko rodzinne pieniądze.

– Są moje – rzucił. – Nie należą do ciebie. Nie masz nic do powiedzenia, jesteś dzieckiem.

– To pieniądze Pułkownika. Nie zarobiłeś z nich ani centa.

– Przestań natychmiast!

– Nie jedliśmy razem obiadu od dwóch tygodni. Dlaczego? Bo bawiłeś się z końmi. Wcześniej nie jedliśmy razem obiadu przez blisko sześć tygodni. Stać cię na to tylko dlatego, że mamy ropę.

Spodziewała się, że wymierzy jej policzek, ale uspokoił się.

– Pieniądze z ropy, córeczko, idą na rekultywację ziemi. Idą na to, żebyśmy nie musieli spać w błocie podczas spędów, żebyśmy mogli wracać do domu i spać we własnych łóżkach. A samolot był nam potrzebny dlatego, że brakuje ludzi do objeżdżania odległych pastwisk.

– Więc może powinniśmy zaprzestać zupełnie spędów – zaproponowała. – Oszczędzilibyśmy mnóstwo pieniędzy.

Wtedy wstał. Wyprostował się i zrobił krok w jej stronę, ale nic więcej. Odwrócił się i wyszedł z jadalni. Słyszała jego wolne donośne kroki, uświadamiające, że dom wciąż należy do niego. Szedł korytarzem, minął salon i znalazł się w foyer, z którego wyszedł frontowymi drzwiami, które trzasnęły za nim.

– To było bardzo głupie – powiedziała babka.

Wzruszyła ramionami, zastanawiając się, czy zniszczyła wszystko, co знаła, a potem doszła do wniosku, że to i tak nie ma znaczenia. Jeszcze poprzedniego dnia, jeszcze przed godziną, taka rozmowa z ojcem, taka rozmowa z kimkolwiek, byłaby nie do pomyślenia.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że się go boisz – zwróciła się do babki.

– Czy to dlatego, że Pułkownik nic ci nie zostawił?

Kobieta udała, że tego nie słyszała.

– Nie możesz tu zostać, Jeannie. Szczególnie po tym, co się stało.

Miała wrażenie, że byłaby najszczęśliwsza, gdyby już nigdy nie musiała zamienić ani słowa z babką i z nikim z rodziny.

– Twój ojciec nie pozwoli ci prowadzić rancza.

– *Nie ma* żadnego rancza! Żyjemy na minerałach za pożyczone pieniądze.

– Czy to Phineas napisał ci tę mówkę? Bo jeśli ci się wydaje, że jakakolwiek kobieta zdoła figurować w jego rachubach, to grubo się mylisz. – Posłała wnuczce jadowite spojrzenie. – I to na więcej sposobów, niż ci się wydaje.

– Chyba się przekonamy. – Myślała teraz o ojcu, o tym jak wychudł. Wiedziała, że nie śpi po nocach.

Babka odłożyła nóż i widelec, układając je starannie na obrusie, który wygładziła. Upiła łyk sherry.

– Zawsze wiedziałam, że masz mnie tylko za naprzykrzającą się staruszkę – oznajmiła. – Uważasz, że jestem taka z natury albo z usposobienia, albo nigdy się nad tym nie zastanawiałaś. Ale kiedy zdecydowałam się tu wprowadzić, zdałam sobie sprawę, że mam wybór między tym, żeby mnie lubiano, a tym, że będę miała coś do powiedzenia. Ty również musisz dokonać takiego wyboru. Bowiem albo będą cię kochać i nie szanować, albo będą cię szanować i nienawidzić.

– Wszystko się zmienia.

– Tak ci się tylko wydaje, ale kiedy wojna dobiegnie końca, mężczyźni wrócą do domów i będzie po staremu.

– Chyba się przekonamy – powtórzyła.

– To miejsce... – powiedziała babka, machając pogardliwie ręką, nie tylko na Jeannie, ale i na wszystko inne: dom, ziemię, ich dobre imię.

– Pochodzę z najbogatszej rodziny w czterech hrabstwach, ale kiedy idę głosować, nadal patrzą na mnie jak na raroga.

Zapadła cisza. Przyszło jej do głowy, że przez wiele lat marzyła o czymś takim – żeby babka traktowała ją jak przyjaciółkę, prawdziwą osobę. Tyle że teraz już nie chciała. Domyśliła się, że powinna się czuć uprzywilejowana, lecz zamiast tego czuła tylko zażenowanie. Była zażenowana tym, że babkę dręczył jej własny syn, zażenowana jej skargami na swoją płęć. Współczucie zamieniło się powoli w gniew. Bo babka powinna być teraz z innymi, rozwiązywać problemy społeczne z właściwymi ludźmi, bo jeśli nie ona, to kto? To była słabość całej rodziny, a strach i szacunek, jakie czuła wobec niej przez świadome życie spłonęły tak szybko, jak strach i szacunek do ojca. Usiadła prosto, wygładziła sukienkę. Będzie osamotniona w życiu, jasne, ale wcale jej to nie przeszkadzało.

– Nie znajdziesz tu męża, który przyjął do wiadomości, że mamy już połowę dwudziestego wieku. Pojmujesz?

– Chcesz powiedzieć, że skończę tak jak ty?

– Dokładnie to chcę powiedzieć. Poślubisz mężczyznę takiego jak twój ojciec, twój dziadek albo bracia. Mężczyznę, który będzie żył na pastwisku i przychodził do ciebie, żeby się ogrzać.

– Tak się nie stanie.

– Nie będziesz miała wyboru, Jeannie.

[\[12\]](#) 37,7° Celsjusza [przyt. tłum.].



## Dzienniki Petera McCullougha

*10 marca 1916 roku*

Wczoraj Pancho Villa przekroczył granicę Nowego Meksyku, zabijając dwudziestu ludzi. Dziś niemal każdy biały chodzi z pistoletem albo przewieszonym przez ramię karabinem, nawet po zakupy.

Niemcy obiecały wesprzeć wojska meksykańskie swoją piechotą, gdyby Meksyk zdecydował się nas zaatakować. Miasto ogarnęła panika. Jesteśmy zaledwie dziesięć mil od granicznej rzeki.

Nie czuję się na siłach, żeby komukolwiek udowodniać, że Kaiser nie wyśle niemieckich żołnierzy do McCullough Springs, gdyż każdego dnia traci we Francji dziesiątki tysięcy ludzi. Nie czuję się na siłach, żeby wskazywać, że liczba Amerykanów zabitych w Columbus odpowiada liczbie *Tejanos* zabijanych każdej nocy w rowach południowego Teksasu. Nie czuję się na siłach, żeby to robić, gdyż wszyscy wydają się uszczęśliwieni z powodu nowego zagrożenia: sąsiedzi, którzy od wieków nie rozmawiali ze sobą, odnawiają nagle przyjaźnie; żony mają dobry powód, żeby kochać się z mężami; nieposłuszne dzieci odrabiają lekcje i wracają wcześniej do domów.

Na obrzeżach miasta zastrzelono czterech Meksykanów – nastolatków. Nikt nie wie, kim byli ani kto ich zastrzelił. *Vaqueros* uważają, że to *fuereños* z głębi Meksyku, choć jak zdołali to wywnioskować ze spuchniętych ciał, jest ponad moim pojmowaniem. O takich incydentach nie pisze się w gazetach. Gdyby znaleziono cztery zdechłe muły, wszczęto by śledztwo, teraz słyhać tylko ogólne utyskiwania na koszty pogrzebu.

*14 marca 1916 roku*

Jeszcze więcej krwi na naszych rękach. Charlesa zabrano do Carrizo. Uzupełniał w mieście zapasy, kiedy wpadł na Dutcha Hollisa. Było

dopiero południe, ale Dutch był już mocno wstawiony i w obecności sporego tłumu zmierzających na lunch gapiów oskarżył naszą rodzinę o przeróżne zbrodnie (których jesteście oczywiście winni), w tym o ukartowanie morderstwa Garciów, żeby zdobyć ich ziemię. Po krótkiej walce na pięści Dutch powalił Charlesa, który podniósł się, poszedł do ciężarówki i wrócił z pistoletem. Dutch sięgnął albo i nie sięgnął po nóż (składany scyzoryk trzymany w pochewce – taki, jakie noszą tu wszyscy mężczyźni). Charles strzelił mu w twarz.

Nasz *caporal* Garza wyszedł na ulicę i widział ostatni akt. „Madonna, powinien pan to widzieć, ręka mu nawet nie drgnęła”. Opowiadał mi to, spodziewając się, że będę z Charlesa dumny.

Tuż po powrocie do domu Charles osiodłał konia i pojechał w kierunku Meksyku. Dogoniłem go z Pułkownikiem kilka mil od rzeki i przekonałem, żeby wrócił.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałem mu w domu. Wzruszył ramionami. – Przebrniemy przez to.

Nic nie odpowiedział. Poczulem w sobie dawną niemoc. Po co ja w ogóle żyję? Zdaje się, że wszyscy zadają sobie to pytanie.

– Należało mu się – mruknął Charles. – Od dawna chodził po mieście i czekał wciąż to samo.

– Zginął jego brat...

– Jego brat? A co z moim? – Spiał konia i podjechał do Pułkownika, który był na czele. Kiwnęli do siebie głowami, nie odezwali się, panowało między nimi jakieś milczące porozumienie, tak jak między ojcem a Phineasem. Dostałem gęziej skórki... przemknęło mi przez głowę, że to ja powinienem uciec do Meksyku...

Czy Charles miał rację? Myślał tak, jak jego matka... Czy zagrożenie śmiercią jest tym samym, co śmierć?

Kiedy wróciliśmy do domu, czekał już na nas szeryf Graham. Charles potknął się i pobladł. Graham powiedział, że nie ma pośpiechu. Chciało mu się pić. Spędziliśmy resztę wieczoru we czterech na werandzie, pijąc whiskey i przyglądając się zachodowi słońca. Pułkownik, szeryf i Charles siedzieli razem i gawędzili swobodnie o tym, jak najlepiej uporać się z tym incydentem; niebo miało zwykłą krwistoczerwoną barwę, co tylko mnie wydawało się symboliczne, jako że siedziałem w pewnym oddaleniu od reszty.

Kiedy słuchało się, jak rozmawiali o śmierci Dutcha Hollisa, można było odnieść wrażenie, że doszło do jakiegoś wypadku, że uderzył piorun, gwałtownie wylała rzeka, Dutch zginął z ręki Boga. A nie

mojego syna. „Musiałem to zrobić, działałem odruchowo”. Szeryf kiwał głową, sącył whiskey, a ojciec mu dolewał. Zastanawiałem się, czy się nie wtrącić i nie zauważyć, że całe dzieje ludzkości charakteryzują się nieubłaganym odchodzeniem od zwierzęcych odruchów ku racjonalnej myśli, od wrodzonych zachowań ku nabywanej wiedzy. Młoda pantera porzucona w głuszy wyrośnie na całkiem normalnego dorosłego osobnika. Małe dziecko porzucone w tym samym miejscu wyrośnie, jeśli przeżyje, na nierozpoznawalnego dzikusa, nienadającego się do życia w normalnym społeczeństwie. Mimo to są tacy, którzy uważają, że jest akurat na odwrót: nadal jesteśmy stworzeniami kierującymi się wyłącznie instynktem, jak wilki.

Kiedy zapadł zmierzch i wszyscy przekonali siebie nawzajem o słuszności postępowania mojego syna, Graham zawiózł Charlesa do Carrizo, gdyż – jak uznano – lepiej będzie jeśli spędzi tę noc w areszcie. Glenn trzymał się od tego wszystkiego z daleka. Nie wie, mówiąc ogólnie, co myśleć o postępowaniu Charliego.

*15 marca 1916 roku*

Pojechałem obejrzeć ciało Dutcha Hollisa, zanim go pochowają. Leżał w szopie Grahama, obłożony blokami lodu. Był nieogolony, nikt go nie umył. Twarz i ubranie miał brudne i oblepione skrzepniętą krwią; jak wszyscy umarli, wypróżnił się przed śmiercią. Nie tak dawno temu, może przed dwudziestoma laty, był dzieckiem szukającym matki... chłopcem stającym się mężczyzną... Przypomniało mi się nagle, jak razem z bratem grał na skrzypkach w domu Midkiffów. Zajrzałem w ciemny otwór tuż nad brwią – skomplikowana maszyna zdruzgotana na zawsze. Kryły się w niej słowa i muzyka... położyliśmy temu kres. Pod koszulą coś majaczyło, kobiecy medalion... Podniosłem go z piersi Dutcha, ale nic nie widziałem w półmroku. Szarpnąłem i zerwałem łańcuszek z szyi, potrząsając przy tym głową zabitego. Potem szybko wyszedłem z szopy i wróciłem do światła.

Kiedy dojechałem do domu (z łomoczącym przez cały czas sercem, jakbym popełnił jakąś wielką zbrodnię, jakby zbrodnią było nie tylko zabicie Dutcha, ale i odebranie mu medalionu), odważyłem się otworzyć puzderko: było puste, ani zdjęcia, ani miłosnych zakłęb, ani kosmyka włosów. Zawiozłem medalion do Garciów i tam go pochowałem przy naszych innych ofiarach. Przez cały czas wydawało



mi się, że jestem śledzony, męczyło mnie poczucie, że popełniam przestępstwo. Są tacy, którzy rodzą się, by ścigać, i tacy, którzy są ścigani... Zawsze wiedziałem, że należę do tych drugich.

*16 marca 1916 roku*

Charles wrócił do domu, ale nie wolno mu opuszczać żadnego z czterech hrabstw, w których znajduje się nasza posiadłość. Chodzi dumny jak paw z wysoko podniesioną głową. Nie mogę na niego patrzeć. Sędzia Poole zapewnia nas, że nie dojdzie do procesu. Szeryf i mój ojciec odwiedzili już domy tych, którzy mogliby zostać powołani do ławy przysięgłych.

Chciałbym móc napisać, że jestem rozdarty między nadzieją, że zostanie ukarany, a nadzieją na jego uniewinnienie. Ale nie mogę. Chcę tylko uniewinnienia. Choć jest winien kolejnej zbrodni... Ale to mój syn, którego sam wychowałem.

Pojechałem do miasta po zakupy, chodziłem przez cały czas z kapeluszem naciągniętym na czoło, modląc się, żebym nie spotkał Esther Hollis, matki Dutcha i Billa, ale wieczorem przypomniałem sobie z wielką ulgą, że nie żyje od kilku lat.

Nikt się specjalnie nie przejął tym, co się wydarzyło, a najmniej Meksykanie. *Coraje*, mówią, spiekota, pył i ciernie. Nawet konie to rozumieją. Po pełnokrwistym mężczyźnie, wnuku wielkiego *patróna*, należy się spodziewać *coraje*. Szczególnie, jeśli ktoś znieważa jego rodzinę. Publicznie... W gruncie rzeczy nie mógł zachować się inaczej.

A tymczasem obaj Hollisowie gniją w ziemi. Nie da się wierzyć, że zostaliśmy stworzeni na Boże podobieństwo. Jest w nas coś z gadów; przywiązanie do dzidy jaskiniowców. Pozostałość po czasie, który spędziliśmy na bagnach. Są tacy, którzy chcą tam wrócić. Być jak gady, powiadają. Być jak węże, czekać w ukryciu. Oczywiście nie mówią „węże”, mówią „lwy”, ale między tymi dwoma nie ma specjalnej różnicy, jeśli nie liczyć wyglądu.

*24 marca 1916 roku*

Ława przysięgłych nie wniosła oskarżenia.

*2 kwietnia 1916 roku*

Mimo Dutcha Hollisa, mimo Garciów, nasze nazwisko znaczy więcej niż kiedykolwiek przedtem. Tam, gdzie spodziewam się rozżalenia, odbieram wyrazy szacunku; tam, gdzie spodziewam się zawiści, otrzymuję wsparcie. Nie okradaj McCulloughów – znajdą cię i zabiją; nie szkaluj McCulloughów – zginiesz. Mój ojciec uważa, że tak powinno być. Informuję go, że mamy dziesiąty wiek drugiego tysiąclecia.

Ale w ostatecznym rozrachunku jest tak, jak mówi: wszyscy uważają, że jesteśmy lepsi. Gdyby kiedyś przyszło im do głowy, że jemy i krwawimy tak samo jak oni, przegoniliby nas widłami i pochodniami. Albo, żeby trzymać się konwencji, wodą święconą i osikowymi kołkami.

Z wieści o powszechniejszych cierpieniach: partyzanci Villi zaatakowali wczoraj koszary w Glenn Spring. Pomijając moją sympatię dla meksykańskiego ludu, obaj z ojcem oczekujemy z niecierpliwością dostawy lekkiego karabinu maszynowego Lewisa, który wystrzeliwuje dziesięć naboju kalibru .30 na sekundę. Prawdziwe błogosławieństwo dla nielicznych, stawiających czoła wielu. Z powodu wojny w Europie nie nadążają z produkcją.

Słychać poważne głosy, które wieszczą, że rząd meksykański przygotowuje się do ataku na Laredo – na drugim brzegu rzeki gromadzą się żołnierze Carranzy. Meksykanie uważają, że powinniśmy wycofać się do pierwotnej granicy (na rzece Nueces). Z kolei mieszkańcy Teksasu twierdzą, że granica przebiega trzysta mil dalej na południe, gdzieś w okolicach Durango.

Sally chce się przenieść do San Antonio, Dallas albo Austin – gdziekolwiek daleko stąd.

– Absolutnie nic nam nie grozi – powiadam jej. – Ani szkopska, ani meksykańska armia nie staną pod naszą bramą w przewidywalnej przyszłości.

– Nie o to mi chodzi – mówi.

– Chodzi ci o chłopców?

– O wszystkich trzech. Dwóch żywych i jednego w ziemi.

– Nic im nie będzie.

– Dopóki nie zrobią po raz kolejny czegoś podobnego. Albo dopóki nie odzuka ich czyjś brat.

– Nie ma już więcej Hollisów. Zadbaliśmy o to.

– Ale są inni – mówi.

Zastanawiałem się, czy nie wspomnieć, że to cena, jaką płaci za poślubienie jednego z rodu wielkiego Eli McCullougha, ale ugryzłem się w język. Nie miałem na to sił.

– Moi bratankowie w Dallas również mają broń – stwierdziła. – Używają jej do polowania na jelenie. Chodzą do szkoły, uganiają się za nie tymi dziewczętami, co trzeba, ale... – Załkała. – ...poszłam go zobaczyć...

– Kogo? Dutcha? – zapytałem łagodnie.

– ...złożyli go w szopie za biurem Billa Grahama. To niegodne.

Nie odpowiedziałem. Między nami było źle od tak dawna, bo za każdym razem, kiedy odzyskiwałem nadzieję, przekłuwała ją jak mydlaną bańkę. Odwróciłem głowę i zamknąłem się w skorupie.

– Zostaniesz tutaj sam, Pete. Straciłam wszystkich synów, na których mi zależało.



## Eli/Tiehteti

*Wiosna roku 1851*

W uszach białych imionom Indian brakuje jakiejkolwiek godności czy sensu, co sprawia, że jeszcze trudniej traktować ich jako istoty ludzkie, a nie negrów z prerii. Powodem takiego ich brzmienia jest to, że dla Komanczów imiona zmarłych są tabu. Imię Komancza – inaczej niż u białych, których miliardy noszą jedno i to samo imię, wymieniając się nim bez końca – żyje i umiera z jedną osobą.

Rodzice nie nadają imienia dziecku, robi to krewny albo powszechnie szanowana osoba ze szczepu. Wymyśla je wedle jakiegoś uczynku albo upodobania dziecka. Jeśli wybrane imię nie służy dorastającej osobie, można je zmienić: na przykład Atakuje Wroga był niedużym i nieśmiałym chłopcem, więc uznano, że jeśli otrzyma chełpliwe imię, wyleczy się z nieśmiałości, i tak się stało. Niektórzy Indianie mieli dwa albo trzy imiona nadawane im już jako dorosłym, jeśli ich rodzina lub przyjaciele dostrzegli w nich coś, co warto było upamiętnić. Właściciel Niemki, Żółtych Włosów, urodził się jako Sześć Jeleni, ale gdy był nastolatkiem zmieniono mu imię na Leniwe Stopy i pozostał nimi do końca życia. Syn Toshawaya Gruby Wilk zawdzięczał swoje miano temu, że jego chrzestny wypatrzył w przeddzień nadania imienia bardzo tłustego wilka, co samo w sobie było zastanawiające, a że jako imię nie brzmiało źle, takie zostało. Toshaway oznacza Biały Guzik i towarzyszy mu od urodzenia. Ponieważ nazywanie go Białym Guzikiem jakoś mi nie pasowało, myślałem o nim zawsze jak o Toshawayu. Powszechne były również imiona brzmiące z hiszpańska, które częstokroć nic nie oznaczały: Pizon, Escuté, Concho... był nawet wojownik, który nazywał się Hisoo-ancho i którego porwano z Meksyku, kiedy miał siedem czy osiem lat. Nazywał się po chrześcijańsku Jesus Sanchez i tylko na to reagował, więc tak zostało.

Wiele imion Komanczów brzmiało tak wulgarnie, że biali nie odważyliby się ich wydrukować, a zatem – gdy wymagała tego sytuacja

– cenzurowano je. Wódz, który poprowadził słynny najazd na Linnville w roku 1840 (podczas którego pięciuset wojowników splądrowało magazyn z elegancką odzieżą i uciekło w cylindrach, sukniach ślubnych i jedwabnych koszulach) nosił imię Po-cha-na-quar-hip, co oznacza Wiecznie Twardy Kutas. Jego prawdziwe imię czy choćby eufemistyczne tłumaczenie jako, powiedzmy, Wiecznotrwała Erekcja, nie mogło ukazać się w gazetach, więc biali nazwali go Garbem Bizona. Takim mianem określano go aż do śmierci wiele lat później, a zmarł w rezerwacie usiłując nauczyć się rolnictwa, bo stracił zarówno ziemię, jak i dobre imię, choć w głębi duszy na zawsze pozostał Wiecznie Twardym Kutasem.

Szaman, który wraz z Quannah Parkerem poprowadził cały naród Komanczów przeciw białym podczas wojny nad Rzeką Czerwoną z roku 1874, nosił imię Isahata?i, co oznacza Pizda Kojota. Gazety nazywały go Ishtai, Eshati i Eschiti, nie podając żadnego tłumaczenia. Toshaway miał bratanka o imieniu Pierdoli Kobyłę, który zasłużył sobie na to miano w okresie dojrzewania, a Nienawidzi Pracy, jak już wspominałem, nazywała się najpierw Jedynym Ptakiem. Komancze to dobroduszny lud i imiona przyjmowano z dużą dozą humoru, choć kiedy Pierdoli Kobyłę zdobył pierwszy skalp i postanowiono, że jego imię zmieni się na Człowiek na Wzgórzu, Pierdoli Kobyłę nie narzekał.

W lutym plemię już głodowało. Od ponad roku nie dało się upolować bizonów, a większość jeleni, wapiti i antylop wybito przez zimę. Te zwierzęta, które przeżyły, poruszały się tylko nocami, jedząc suche gałązki i krzaki. W tamtym czasie zaczęliśmy już tropić nowiki w gniazdach i zjadać ich zapasy wyschniętych owoców i orzechów łącznie z gryzoniami, jeśli zdołaliśmy je schwytać. Wszyscy wiedzieli, że wkrótce zaczną wymierać bardzo młodzi, bardzo starzy i chorzy, i tak by się stało, gdybyśmy nie wytropili podążającego na północ stada bizonów. Odebraliśmy to jako znak, że złe czasy dobiegają końca, a Stwórca Wszystkich Rzeczy wybaczył nam i odpuścił winy. Zanim zakwitły pierwiosnki, uzupełniliśmy zapasy mięsa i skór, i wyglądaliśmy lata, kiedy robi się ciepło. Kobiety miały teraz dwa razy więcej pracy przy garbowaniu, przygotowując skóry na przyjazd kupców Comanchero.

W maju nadeszła pora kolejnych wypraw. Trzecia część szczepu zginęła w poprzednim roku, podobnie jak większość stanowiących jej majątek koni, więc gdyby letnie wyprawy znów miały się nie powieść, zostalibyśmy skazani na wymarcie. Toshaway wyruszał ponownie,

choć Escuté, który wciąż nie dawał sobie rady z łukiem, miał zostać w wiosce – na jego miejsce wyznaczono mnie. Ntutkaru jechał z nami, ale w przeciwieństwie do innych młodych wojowników nie chwalił się swoimi przyszłymi wyczynami.

– Nie załamuj się – pocieszał go Escuté. – Przywieziesz sobie piękną Meksykankę i będziesz słuchał, jak ją pierdołę.

Ntutkaru pokręcił głową.

– Pozwól, że zgadnę: masz złe przeczucia?

– Przestań – rzucił, wskazując mnie brodą.

Escuté przeniósł na mnie wzrok.

– Ten ma zawsze złe przeczucia, nie musisz go słuchać.

– Przed poprzednią wyprawą też je miałem.

– Ach, *puha tenahpu*. Prawie zapomniałem.

– Wszystko się zmienia – odpowiedział Ntutkaru. – Czy nam się to podoba, czy nie. Penatekowie...

– Jebać pieprzonych Penateków. Byli *tai?i* białych. Zasłużyli na to, co ich spotkało.

– Było ich cztery razy więcej od nas.

– I kurwili się z białymi, za co spotkała ich kara.

– Oczywiście. Ci, którzy dokonali największego najazdu na białych, też się z nimi kurwili.

– Przed dziesięcioma zimami.

– Mieli stada koni wielkie jak stada bizonów.

– Ntutkaru, przeżyliśmy jeden zły rok, a ty masz nastrój jak wyruchany przez grzechotnika koliber. Poproś, żeby pozwolili ci zostać, bo jak będziesz tak gadał, zamiast śpiewać *woho hubiya*, ktoś zamknie ci usta tomahawkiem.

– Jeśli powiesz się nam tak jak poprzednio – odrzekł Ntutkaru – nie będzie komu zamknąć mi ust czymkolwiek.

– Nie słuchaj go, Tiehteti. Właśnie od takiej gadaniny umierają ludzie. – Pokręcił głową. – Przywieziesz nam tysiąc koni, sto skalpów i pięćdziesiąt meksykańskich niewolnic. Tego dokonasz. Reszta to strata czasu.

– W porządku – mruknął Ntutkaru.

– Ręka doskwiera mi tak, że spać nie mogę, ale czy słyszałeś, żebym się skarżył jak dziecko? Zabij paru Meksykanów, zgiń jak bohater, gówno mnie to obchodzi, ale nie pierdol bez sensu, bo od takiego pieprzenia poderżniesz sobie zaraz gardło i gardła najbliższych.

– Będziemy unikać białych – oznajmił Toshaway – ale...

– Nie musisz się o mnie martwić – przerwałem mu.

– To dobrze. – Spojrzał na wioskę, wyraźnie mniejszą niż w poprzednim roku. – Szkoda, że nie przyszedłeś na ten świat przed dwudziestoma zimami, Tiehteti, bo to dopiero były czasy! Polujące na bizona wilki szły za nami podczas wypraw całymi watahami, bo wiedziały, że zawsze dostaną coś do zjedzenia. – Podrapał się w brodę. – Ale może dożyjemy jeszcze takich czasów.

Zjechaliśmy z równin, a wokół znów pojawiły się mesy i kaniony, rosły drzewa – topole i dęby – wysoka trawa i gęste gailardie, a różnokolorowe rabaty ciągnęły się całymi milami.

Toshaway miał krewnych wzdłuż zlewiska San Saba, a kiedy ich szukaliśmy, natrafiliśmy na niedawno zrównaną z ziemią wioskę Komanczów, gdzie doliczyliśmy się około siedemdziesięciu ciał – wszystkie z nich były oskalpowane. Wśród trupów było kilku wojowników, ale większość stanowiły kobiety z dziećmi i starcy. Toshaway odnalazł krewnych. Wymordowano cały spokrewniony z nami szczep Kotsoteków. Wiele kobiet i dziewcząt potraktowano tak jak moją matkę i siostrę, i pocięto w taki sam sposób. Poświęciliśmy cały dzień na chowanie ich w ziemi.

– Ich mężczyźni wyjechali – zauważył Pizon.

Wszędzie były ślady butów – uszytych w Austin albo San Antonio, albo gdzieś na wschodzie. Na ziemi walały się kule z muszkietów, a konie były podkute. Tipi, broń i cały dobytek wioski wrzucono do ognia i spalono. Chciało mi się wyc ze wstydu, ale pozostali Komancze zachowali kamienne twarze. Mówili między sobą, że kilka wiosen wcześniej najbliższa osada białych była oddalona o setki mil stąd. To, że biali znaleźli tę wioskę, to zły znak.

– Ilu jest białych? – zapytał Toshaway. – Czy ty wiesz?

– Mówią, że jakieś dwadzieścia milionów.

Odkaszlnął i spojrzał na mnie.

– Nie żartuj.

– To prawda.

– W porządku, Tiehteti.

Podczas przerwy w chowaniu ciał objechaliśmy wioskę dookoła. To nie mógł być szwadron Rangersów, bo dwunastu białych nie jest w stanie zabić siedemdziesięciu trzech Komanczów, nawet kobiet i dzieci. Toshaway doliczył się trzystu jeźdźców, ale na ziemi było tak wiele śladów, nakładających się jedno na drugie – co kazało przypuszczać, że biali poświęcili przynajmniej jeden dzień na



plądrowanie i gwałcenie – że niczego nie można było ustalić na pewno.

Przypomniałem sobie, jakie ślady zostawiał mój ojciec – miał osobliwy kaczycy chód, a lewą stopę stawiał zawsze dalej od prawej, i jak na tak wysokiego mężczyznę, nosił buty w małym rozmiarze. Postanowiłem, że nie będę sprawdzał.

Na szczycie wzgórza wypatrzyliśmy koleiny, jakby stały tam wozy. Tyle że wokół były połacie wypalanej trawy.

– Dziwne – mruknął Toshaway.

– Tu stały armaty – powiedziałem. – Dlatego trawa jest wypalona.

– Armaty są ciężkie, nie?

– Górską haubicę może ciągnąć koń. Wojsko strzela z nich przez cały czas do Meksykanów.

Wzgórze było oddalone od wioski może o staję, a kule do muszkietów walające się po ziemi pochodziły z kartaczy. Haubica górską załadowana kartaczem działała jak dwieście strzelających jednocześnie karabinów albo, jak uwielbiał powtarzać mój ojciec, bicz samego Stwórcy.

– To wszystko jest bardzo dziwne, Tiehteti. W jaki sposób, na przykład, niezauważenie zajęli pozycje? I po co ciągnęli ze sobą armaty taki kawał drogi, nie mając pewności, że trafią na Indian? To wszystko mnie zastanawia. – Pokręcił głową. – Ktoś ich prowadził.

– Rozstawili działa po ciemku.

– Jasne, że po ciemku. Ale mimo wszystko! Musieli wiedzieć, że są tu Indianie. – Spoglądał z góry na ruiny wioski. – Większość mężczyzn zginęła od ostrzału, nie wiem, czy był wśród nich mój kuzyn. Ale rozpoznałem jego żonę i dwie córki.

Pozostali wojownicy zmywali z siebie popiół i krew w rzece. Zanim stamtąd odjechaliśmy, okorowaliśmy kawałek pnia topoli i wryliśmy na nim hieroglify, mówiące o tym, co się stało i ilu zabitych pochowaliśmy – na wypadek, gdyby wrócili tu inni członkowie szczepu.

Następnej nocy ujrzelśmy poświatę dalekich ognisk, takich, jakie palą tylko biali, dwa razy większych niż trzeba. Paliły się ich ze dwa tuziny. To mogło być tylko wojsko, gdyż w całym Teksasie nie ma tylu Rangersów, by zasiać przy takim ogniu.

Spierano się, czy ukraść im konie, ale postanowiliśmy jechać dalej. Będzie bezpieczniej zabrać konie Meksykanom, więc zamiast iść spać, jechaliśmy przez całą noc, żeby oddalić się od żołnierzy. Przeprawiliśmy się przez Pecos, nie natknąwszy się na nikogo, choć widzieliśmy świeże ślady podkutych koni, które szły w niewielkiej

karawanie. I znów spieraliśmy się, czy za nimi jechać, ale wojsko było wciąż bardzo blisko i ponownie postanowiliśmy czekać. Kiedy wyjechaliśmy z doliny Pecos, znaleźliśmy się na płaskiej i suchej równinie poprzecinanej długimi pasami wapiennych skał, porośniętej dębami, jadłoszynem, akacjami, a tu i tam cedrami. Nie spoczeliśmy, póki nie dotarliśmy do Gór Davisa, gdzie doszło do kolejnego sporu, czy jechać dalej zwykłym szlakiem obok starego Presidio del Norte, gdzie było dużo wody i świeżej trawy, i gdzie nie trzeba było się wspinać, czy raczej skręcić na wschód w góry, gdzie było stromo, brakowało wody, ale przez to i ludzi. Młodzi wojownicy, którym paliło się do skalpowania, byli poirytowani, że nie zaatakowaliśmy wojska ani podróżnych, których ślady widzieliśmy, więc postanowiono, że pojedziemy obok Presidio.

Trzymaliśmy się w bezpiecznej odległości od miasta, zjeżdżając stopniowo w dolinę ku samej rzece, a potem z powrotem w góry. W odległości jednego dnia drogi od granicy znajdowało się *latifundio*, gdzie trzymano – jak głosiła wieść – tysiąc koni.

Przy *latifundio* była nieduża wioska. Zostawiliśmy naszą *remudę* sześciu młodym wojownikom, którzy mieli jej strzec. Większość z nich lepiej ode mnie jeździła konno i strzelała z łuku, ale to nie miało znaczenia, bo ja zdobyłem skalp, a oni nie.

Wszyscy inni wojownicy wybrali najlepsze konie, pokryli twarze i ciała czerwonymi, czarnymi i żółtymi barwami, wsunęli ramiona w srebrne i mosiężne obręcze i bransolety, i przywiązali pióra do końskich grzyw. Toshaway upewnił się, że mam pióropusz i dużą brązową tarczę, którą malowałem przez długi czas. Wypróżniałem się trzy razy, ostatnim razem samą wodą. Nie spuszczałem z oczu Toshawaya i Ntutkaru. Toshaway śmiał się i żartował z wojownikami, pilnując, żeby każdy się przygotował. Ntutkaru trzymał się na uboczu i wyglądał na zatroskanego. Widziałem, jak szedł w krzaki, a potem jeszcze raz po kilku minutach. Próbowałem zjeść trochę pemikanu, ale miałem sucho w ustach. Doszedłem do wniosku, że tak jest lepiej. Jeśli trafią mnie w brzuch, lepiej, żeby nie był pełny.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy w hacjendzie odezwał się dzwon, prawdopodobnie wzywając na obiad; Komancze uznali jednak, że nas zauważono i wszyscy wskoczyli na konie, pędząc ku wiosce i ranczu. Poprawiano tarcze. Kilku wojowników miało obrzyny lub powtarzalne pistolety, lecz większość tylko łuki i w gotowości pół tuzina strzał zaciśniętych w tej samej ręce, co łuk; siódma strzała była

karbowana, a kołczany wisały tak, by łatwo z nich było wyciągać kolejne strzały w razie potrzeby. Wodze wiążano na krótko, żeby nie przeszkadzały. Oczekiwano, że będziemy powodować końmi tylko za pomocą kolan.

Najechaliśmy na nich ze słońcem za plecami, idąc cicho stępą przez zarośla do samej krawędzi wioski. Potem spięliśmy konie do galopu. Musieliśmy przeciąć nieduży rynek, rozległo się dzikie wycie i pohukiwania, jakbyśmy świętowali objawienie Wielkiego Ducha; odziani na biało Meksykanie uciekali w *chaparral*, wznosząc ku niebu okrzyki *Los bárbaros!*; pomiędzy dwoma domami wzniósł się pojedynczy obłoczek dymu, inny muszkiet celował z okna. Wycelowałem w lewo od lufy, ale koń galopował zbyt szybko i chybiłem. Wypuściłem z dłoni karabin i wyjąłem łuk. Byliśmy już w wiosce, pędziliśmy szeroką główną ulicą, po jej obu stronach stały domy z białej cegły. Zastanawiałem się, ilu tu mieszka ludzi, kątem oka widziałem kolejne obłoczki dymu, słyszałem tylko wycie i pohukiwanie; doszedłem do wniosku, że nic mi się nie stanie. Wszystko poruszało się bardzo wolno. Widziałem każdy kamień i grudkę ziemi, strzały frunące ku mężczyznom na dachach lub za murem, chłopca dzierżącego *escopeta*, pędzącego przed nami: spadł mu z głowy kapelusz, chciał po niego sięgnąć, kiedy przeszła go strzała, dostał jeszcze jedną i skręcił gwałtownie, kryjąc się między domami.

Znaleźliśmy się na końcu wioski. Była w niej tylko jedna ulica, więc zawróciłem konia i pogałem w powrót. Widziałem jakiegoś starca, który wyszedł z domu z pistoletem. Mierzył starannie, słyszałem świst przelatującej kuli. Nim zdołałem wycelować z łuku, mój koń skręcił i stratował go. Poznałem po odgłosie, że starzec już nie wstanie. Pędziłem wzdłuż długiego muru z cegły, na którym wybuchały obłoczki gliny i zdałem sobie sprawę, że do mnie strzelają. Jechałem na przedzie, ale po obu stronach przelatywały strzały i znów dotarłem do końca wioski.

Mężczyzna w czarnym surducie *hacendado* przykucnął za jądłoszynem, strzelając spokojnie z karabinu powtarzalnego. Wystrzeliłem do niego dwa razy z łuku, ale strzały odbiły się od gałęzi, a potem zza moich pleców pofrunęła strzała, która odnalazła mężczyznę. Upadł na plecy. Rozległo się *whoopwhoopwhoop*, Toshaway potrząsnął łukiem i zawrócił, wypatrując kolejnych ofiar. Uświadomiłem sobie, że za mało strzelam. Przystanąłem, żeby znaleźć

strzały. Tarcza trąciła mnie w nos. Zobaczyłem mężczyznę w białej koszuli w chmurze dymu i posłałem mu strzałę. Wypuścił muszkiet i postawił kilka niepewnych kroków, a potem uciekł w *chaparral* ze strzałą wystającą z piersi. Posłałem kolejną w jego plecy, ale nie zwolnił kroku. Zniknął. Zauważyłem, że stoję w miejscu. Spiałem konia i wróciłem na ulicę.

To już nie był atak, ale ogólna bijatyka. Obok mnie fruwały strzały. Ludzie padali na ziemię. Zerkałem na kogoś – dostawał strzałę. Przenosiłem wzrok na kogoś innego – również padał. Czułem się jak bicz Boży, przypomniałem sobie o tarczy, podniosłem ją, obróciłem i w tej samej chwili uderzyła mnie w głowę. Przetarłem oczy i spiałem konia, a w tarczę trafiono po raz trzeci i czwarty. Obracałem ją kuliście. Skurczyłem się w sobie, znów znalazłem się na końcu wioski i wjechałem prosto w *chaparral*, żeby się pozbierać.

Zobaczyłem przed sobą kobietę z dzieckiem. Biegła na oślep, a koń skręcił, żeby ją stratować. Powstrzymałem go kolanami, ominął ją, zatoczyłem koło i wróciłem do wioski. Ulica była zasłana ciałami, Komancze zsiadli z koni i skalpowali trupy. Ale większość wojowników pojechała dalej. W odległości kilkuset jardów, przy głównych zabudowaniach rancza, trwała strzelanina. Zza muru wyłonił się mężczyzna z muszkietem, rozejrzał się i uciekł w *chaparral*. Przebiłem mu koszulę strzałą, ale biegł dalej. Zrozumiałem, że większość moich strzał chybia. Stałem na chwilę. Nic się nie działo. Wróciłem tam, gdzie strzelano.

Tuzin Indian otoczyło główny budynek rancza, strzelali do niego z łuków i raz po raz z broni palnej. Mieszkańcy jeszcze żyli i odpowiadali regularnym ogniem. Nad oknami i otworami strzelniczymi unosiły się chmury dymu. Na kamiennym patio obok armaty z krótką lufą leżało dwóch mężczyzn; mieli w pobliżu wycior i beczkę prochu. Ale główne siły Komanczów zaganiały konie. Przyglądając się oblężeniu domu, poczułem się dziwnie, więc zanim ktoś zdołał zmusić mnie do wzięcia w tym udziału, odjechałem pomagać przy koniach.

Jechaliśmy przez całą noc, wszyscy byli w dobrych nastrojach, bo pędziliśmy przed sobą tysiąc koni – dosyć, by nasz szczep znów stanął na nogach. Myślałem o mężczyźnie, którego przeszyłem strzałami w pierś i plecy, o tym, którego stratowałem koniem i innych, do których strzelałem bez pewności trafienia. Przypuszczałem, że wszyscy mogą już nie żyć. Żaden z nich nie wzbudził we mnie takich uczuć, jak

ten pierwszy Delawar i zastanawiałem się, czy jeszcze kiedyś w przyszłości poczuję się tak jak wtedy. Wmawiałem sobie, że to tylko Meksykanie, którzy postąpiliby ze mną tak samo. Ojciec zawsze powtarzał, że czerpią podobną radość z torturowania ludzi, co Indianie.

Koło południa znaleźliśmy się u stóp wzgórza, pędząc konie wyschniętym łożyskiem strumienia. Zatrzymaliśmy się na wzniesieniu, na przeciwległym stoku, żeby zebrać myśli. Podjechałem do Toshawaya, który stał z Pizonem i napełniał bukłak wodą ze strumienia, klnąc przy tym na Indian, którzy wprowadzili konie w potok, zamiast pędzić stado wzdłuż brzegów.

– A – powitał mnie Pizon. – Wielki Tiehteti.

– Ten, który szarżuje na przedzie. – Wyszczrzyłem zęby. – Och, to był piękny widok, Tiehteti, jak szarżowałeś przez środek wioski. Co prawda nie trafiłeś w nikogo z łuku, ale wszyscy do ciebie strzelali. I też pudłowali. – Zachichotał i pokręcił głową. – Trzeba to było widzieć!

– Jednego trafiłem – mruknąłem.

– Jesteś pewny?

– Tak. W pierś. I w plecy. I stratowałem drugiego koniem.

– Oskalpowaleś ich?

– Nie, galopowałem dalej. – Nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego ich nie oskalpowałem. – Na tego z muszkietem – dodałem.

– O, z muszkietem!

– Pizon i ja byliśmy tuż za tobą – powiedział Toshaway. – I wszystkim wydawało się, że słońce świeci tylko dla ciebie. Ludzie z wioski tylko ciebie widzieli, tylko do ciebie strzelali, nie zwracali na nas uwagi.

– I pędziłeś jak jebana burza.

– Tak mi mówiliście.

– Ale nie podczas ataku. Podczas ataku nie można jechać szybciej niż się strzela.

– Nie martw się, zastrzeliliśmy wszystkich za ciebie. A Saupitty i Dziesięć Bizonów zabili tych, których nie widzieliśmy. Przepiękna, jebana rzeź.

– Jak to możliwe, że chybiałem? – zapytałem.

– Powiedziałbym, że strzelasz jak baba – rzucił Pizon – ale to byłoby niesprawiedliwe wobec kobiet.

– Musisz pamiętać, Tiehteti, że kiedy szarżujesz prosto na kogoś, to, że jedziesz na koniu nie ma żadnego znaczenia. Ma natomiast

ogromne, kiedy strzelasz w bok. Kiedy koń pędzi, mierzysz krok za celem, jeśli jest blisko, strzała do niego doleci; jeśli cel jest daleko, mierzysz i pięć kroków za nim, choć wszystko zależy od kąta, wiatru i twojej własnej szybkości. Podczas pędu konia musisz pamiętać, że strzała mknie w przód i opada. Wczoraj wszystkie strzały miały cele, bo mierzyłeś prosto w nie.

– To prawda – przyznałem.

– Pierdolić to – rzucił Pizon. – I tak zasługujesz na skalp. Nigdy w życiu nie zastrzeliłem tyłu ludzi, którzy mnie nawet nie widzieli. Jesteś jebanym wojownikiem, Tiehteti – dodał. – Martwiłem się o ciebie. Ale Toshaway ma rację. Nie umiesz strzelać za chuj. – Musiał zobaczyć moją minę, bo dorzucił szybko: – Przynajmniej z konia. Widziałem, jak strzelasz z ziemi i nic do tego nie mam. Ale kiedy wrócimy, powinieneś przez resztę roku ćwiczyć strzelanie z siodła do celów po bokach.

– I może damy ci w przyszłości parę pistoletów. Wszyscy biali je mają, więc strzelanie z nich nie jest zbrodnią.

– Prosiłem już o jeden.

– Gdybym ci go dał, co by się stało z łukiem? – Pokręcił głową. – Dobrze strzelasz z pistoletu, wszyscy o tym wiemy, ale nie ma sensu ćwiczyć czegoś, w czym jesteś dobry.

Staliśmy nad strumieniem. Napełniłem *pihpoo* błotnistą wodą. Dalej na północ płynęła rzeka, a nad nią wznosiły się góry – fioletowo-błękitne z tej odległości. Po skalnym podłożu nadjechał z tętentem *Nttukaru*. Towarzyszył mu inny młody *mahimiawapi*.

– Ścigają nas. Stu ludzi, może więcej. – Staliśmy i wpatrywaliśmy się w niego. – Słyszeliście?

– Nie bądź babą, *Nttukaru*.

– Musimy ruszać – nalegał.

– Skąd do chuja wzięło się stu ludzi? – zapytał Pizon. – W całej tej prowincji nie zostało sto koni.

– Stu, pięćdziesięciu, jest ich dużo. Nie wiem, jak ich policzyć.

– Najpierw stu, teraz pięćdziesięciu. Za chwilę będzie pięciu starców pasących kozy.

– Toshaway – zwrócił się do wodza *Nttukaru*. – Weź lunetę, ale nie będzie ci potrzebna.

Pobiegł z powrotem na szczyt. Pizon popatrzył na chłopca, który przyjechał z *Nttukaru*.

– Czy on nie zachowuje się jak baba?

– Nie wiadomo, czy to ludzie czy konie, bo widać tylko chmurę pyłu – odrzekł wymijająco młokos. – Ale Nttukaru ma lepszy wzrok ode mnie.

– Pewnie jakiś kutas pędzi bydło.

– Podążają za nami.

– Podążają wyschniętym łożyskiem strumienia przez *chaparral*. Na szczycie wzgórza jest źródło. Każde zwierzę żyjące w tej okolicy korzysta z tego szlaku.

– To są ludzie, Pizon.

Pizon machnął ręką.

– Nie bądź taki jak oni, Tiehteti. Jest mnóstwo rzeczy, którymi należy się martwić, ale jak będziesz myślał, że za każdym krzakiem kryje się wróg, to wkrótce ci się odechce i nie zauważysz prawdziwego. Który cię zabije. – Splunął na ziemię. – *Yee*, oszaleję przez was. Będzie pora, żeby się martwić, jak dojedziemy do Presidio. – Nikt mu nie odpowiedział. – Jebane dzieciaki.

Wrócił Toshaway.

– *Tuyato?yeru*, młodzi mają rację. Kiedy dojedziemy do rzeki, zabierzesz konie i pojedziesz na północ, a reszta z nas skęci na zachód. – Pizon spojrzał na niego. – Mają rację. Są daleko w gęstej chmurze pyłu, ale to ludzie i ścigają nas na pewno.

Kiedy dotarliśmy do rzeki, było już ciemno i wyprzedzaliśmy ich zaledwie o kilka mil. Woda była płytka, nie nadeszły jeszcze letnie deszcze. To działało na naszą korzyść, podobnie jak to, że jeszcze nie wzeszedł księżyc.

Pizon i około dwudziestu Komanczów popędzili stado w dół rzeki prosto środkiem nurtu. Będą gnali konie w ten sposób aż do gór Teksasu. Reszta wojowników wjeżdżała i zjeżdżała z obu brzegów, żeby zatrzeć ślady, skierować je w górę rzeki lub na przeciwny brzeg – w dowolną stronę, oprócz rzeczywistej. Potem ruszyliśmy w górę rzecznej nurtu.

– Jesteśmy przynętą – powiedziałem.

– Jeśli są głupi, uznają, że się przeprawiliśmy i wjadą prosto na skały po teksańskiej stronie. Wtedy zaczną się pytać, dokąd pojechaliśmy. Jeśli są sprytni, domyślą się, że w górę rzeki.

– A jeśli pojedą w dół?

– Módlmy się, żeby tego nie zrobili. Dla dobra całego plemienia.

– Więc pojedą za nami.

– Prawdopodobnie.

Kiedy dotarliśmy do skalistego brzegu, wyjechaliśmy rzędem z rzeki

i po krótkiej dyskusji o miejscach zbiórki rozdzieliliśmy się na trzy grupy, zmierzające w różnych kierunkach. Toshaway, ja oraz kilku innych skierowaliśmy się dalej na zachód.

– Jeśli to Meksykanie, powinni tu zostać – powiedział.

W końcu wzeszedł księżyc i przekonaliśmy się, gdzie jesteśmy. Potem rozległ się tętent, ze dwudziestu jeźdźców pędziło w górę rzeki, z zarośli wyłoniła się inna grupa, rozpoczęła się strzelanina, która nie ustawała. Wjechałem w *chaparral*. Kiedy spojrzałem za siebie, jedynym, który jeszcze trzymał się na koniu był Toshaway. Za jego plecami siedział inny Indianin. Zatrzymałem się w gęstwinie i wycelowałem z karabinu w szczelinę, widziałem zbliżających się do niej ludzi i pociągnąłem za spust, kiedy w nią wjechali. Jeden z nich zgiął się wpół i wjechał prosto w ciernie. Rozpoczęła się kanonada, kule odłupywały gałęzie wokół mnie, ale nie mogli mnie widzieć, a ja nie zwalniałem. Po kilku minutach wszystko ucichło. To cud, że nie wyłupiłem sobie oczu kolcami. Jechałem pod górę przez jakieś pół mili, a potem zatoczyłem koło i czekałem.

Na dole nad rzeką padły strzały, załadowałem karabin i ruszyłem w tamtą stronę. Zobaczyłem człowieka kucającego w krzakach. To był Toshaway. Był całkiem nagi, ranną nogę obwiązał przepaską biodrową. Miał tylko łuk i garść strzał, stracił nóż i pistolet. Wskoczył na mojego konia, spiąłem go i odjechaliśmy.

– Jesteś ranny? – zapytał.

– Chyba nie.

– W takim razie to koń.

Miał rację. Cały bok zwierzęcia ociekał krwią, którą wziąłem za pot.

– Dobry koń, dobry – powiedziałem.

– Wykorzystaj go, ale bądź dla niego łagodny.

– Jak twoja noga?

– Kula minęła tętnicę, bo już bym nie żył.

Jechaliśmy przez dwie godziny, wspinając się na goły górski stok, trzymając parowów, żeby nas nie wypatrzyli. Woda, która wydrażyła te jary, dawno wyschła, a łożyska potoków były tak zapiaszczone jak równiny. Zatrzymaliśmy się na szczycie. Kiedy spoglądałem za siebie w dół, Toshaway odciął igły kolczastej gruszki, przeciął ją i przyłożył do rany. Przywiązałem mu opatrunek przepaską. Mięsień był poharatany. Za naszymi plecami góra opadała stromo ku rzece, nie odjechaliśmy daleko, ale wysoko się wspięliśmy. Widziałem jeźdźców na tle odbijającego się w wodzie księżyca i wiedziałem, że i oni nas



widzą na tle jasnych skał.

- Jedziemy.
- Czy boli?
- Czy boli! Och, Tiehteti!

Nad rzeką padały strzały – znaleźli kogoś z naszego szczepu. Strzały osłabły i ustały. Zastanawiałem się, kogo dopadli.

- Nie zatrzymuj się – mruknął Toshaway.

Kiedy wzeszło słońce, koń już zdychał. Toshaway był blady i spocony, na północy mieliśmy przed sobą suchą nieckę, która ciągnęła się przez dziesiątki mil.

- Ile masz wody?
- Trafili w *pihpóo* nad rzeką.
- Niedobrze – odpowiedział.

Koń leżał na boku. Nie było dla niego nadziei. Toshaway przeciął tętnicę na szyi zwierzęcia i pił przez minutę. Potem kazał mi zrobić to samo. Koń nie protestował. Toshaway znów pił po mnie. W ustach miałem pełno końskiego włosia, a w brzuchu końskiej krwi i chciało mi się rzygać. Ale zmusił mnie, żebym pił więcej. Oddech konia przyspieszył.

– Teraz idziemy – powiedział. – I módlmy się, żeby sępy nie wskazały naszym znajomym drogi do *tusanabo*.

Obejrzałem karabin, zamek był wyłamany, więc rzuciłem go w krzaki.

– Prowadzili ich jebani Indianie – powiedział. – Apacze Lipan. Byli z nimi i biali. – Pokręcił głową. – Apacze ssą kutasy Meksykanów, a ci ssą kutasy białych. Świat sprzyścił się przeciwko nam.

Po południu znaleźliśmy się w niecce. Z góry dostrzegliśmy linię drzew dalej na północy – musiał płynąć tam strumień, ale żeby do niego dotrzeć, należało przejść wiele mil po otwartej przestrzeni. Jedyne schronienie dawały opuncje i wielkie jak sztylety juki. Każdy, kto tu spojrzy, od razu nas dostrzeże.

- Nie dojdę dookoła przy krawędzi. Niestety.
- Przejdziemy przez równinę.
- Nie – odrzekł. – Zostawisz mi kilka strzał. Pójdiesz dłuższą drogą w ukryciu.
- Przejdziemy przez równinę – powtórzyłem.
- Tiehteti – zaczął – dobrze jest oddać życie, ale nie za trupa.
- Idziemy przez równinę.

Późnym popołudniem znaleźliśmy się w cieniu nad strumieniem. Który był w zasadzie błotnistą strużką, smakującą jak najgorsza sraczka, ale obaj położyliśmy się na brzuchach i piliśmy przez długie minuty. Zostawiłem Toshawaya i zabrawszy łuk, poszedłem rozejrzeć się za jeleniem albo czymś innym nadającym się do zjedzenia. Poza tym potrzebny był nam żołądek jako bukłak na wodę.

Siedziałem w wierzbach, wypatrując jakiejś zwierzyny, kiedy zobaczyłem mężczyznę na gniadym koniu, jadącego w górę strumienia. Prowadził za sobą srokiego osiodłanego painta, niedużego, pokrytego odciskami dłoni, takiego samego, jakiego dosiadał Dziesięć Bizonów.

Mężczyzna był biały, miał nową irchową kurtkę, a przy pasie skalpy. Zacząłem się unosić. Przystanął. Wpatrywał się w moje ślady w błocie. Naciągałem cięciwę tak wolno, że nie zauważyłby tego, nawet gdyby patrzył wprost na mnie, przeświecające przez liście słońce rzucało na niego cętkowany wzór, znalazłem jasną plamę i wypuściłem strzałę. Zobaczył ją, a potem jego koń zawrócił i pognał przez zarośla. Słyszałem łomot i trzask. Przeszedłem dziesięć jardów, napiąłem cięciwę i czekałem. Widziałem konia tuż za linią drzew. W końcu zacząłem go okrążać.

Leżał na trawie w cieniu. Wyciągnął strzałę i nadal trzymał ją w dłoni. Coś w nim przypominało mi ojca, ale nie był do niego podobny, jeśli nie liczyć brudnych czarnych włosów, przekrwionych oczu i jasnej cery pod kapeluszem. Patrzył prosto na mnie, ale to było złudzenie. Policzyłem skalpy przywiązane do siodła i przewróciłem go na brzuch, żeby mu je zabrać.

Oprócz koni miał dwa całkiem nowe kolty Navy, karabin kalibru .69, niemal nowy pas z ładownicą, prochownicę, nóż, ciężki mieszek z kulami, trzy bukłaki z wodą i torbę z jedzeniem. Naznaczyłem strzałę krzyżykiem, zdjąłem z niego irchowe ubranie i zwinąłem, gdyby Toshaway go potrzebował. Paint pasł się nad brzegiem strumienia. Cmoknąłem na niego. Przybiegł natychmiast. Nie miałem pewności, czy należał do Dziesięciu Bizonów, ale nosił siodło Komanczów i był pokryty czerwonymi i żółtymi odciskami dłoni.

Patrzyłem poprzez góry na północ, gdzie rosły drzewa i soczysta trawa. Mógłbym stąd odjechać, nie będzie już zasadzek, po ośmiu dniach znalazłbym się w Bexar. Ale ochota na to szybko mi minęła i poszedłem odszukać Toshawaya.

Siedzieliśmy, jedząc suszoną wołowinę białego, pijąc czystą wodę, zagryzając suszonymi śliwkami i jabłkami, które też miał w torbie.

Wracała mi powoli otucha, kiedy Toshaway powiedział, że nadeszła pora, żeby wyciąć gnijące mięso z nogi. Przepołowił kilka kolczastych gruszek, zebrał liście larrei na opatrunek i zmieszał wszystko z wodą, w której namoczył dwa czyste kawałki koszuli białego. Potem usiadł przy strumieniu.

– Nie bądź jebanym rzeźnikiem – powiedział – ale nie ociągaj się za bardzo.

Wsadził patyk do ust, a ja ująłem nóż do skalpowania i wyciąłem mięso wokół otworu po kuli. Oczy uciekły mu w tył głowy, wypuścił patyk z ust. Skończyłem czyszczenie, a potem przewróciłem go na brzuch i oczyściłem wylot kuli. Przepchnąłem kawałki koszuli białego przez ranę i wykręciłem. Kończyłem, kiedy się ocknął. Nie przestawał szczać, ale nawet tego nie zauważył. Z rany lała się krew, na co powiedział, że to dobry znak. Zamknąłem ranę i przykryłem ją rozciętymi połówkami gruszki, a potem przewiązałem bandażem z koszuli łowcy skalpów.

Siedzieliśmy nad strumieniem, a Toshaway oświadczył mi, że tamtej nocy, kiedy mnie pojмали, wiedział, że zastrzeliłem Skulonego Niedźwiedzia, ale nie mówił o tym nikomu w plemienu.

– Sam siebie nie rozumiałem. Wiedziałem, że to zrobiłeś i nikomu nie powiedziałem. – Milczałem. – Wiedziałem, co w tobie siedzi – oznajmił. – Teraz zobaczą to inni.

Nie słuchałem go. Wspominałem tamtą noc, kiedy mnie pojмали, wspominałem matkę i siostrę. Ujrzał coś w mojej twarzy, bo powiedział, że jego dziad był meksykańskim jeńcem – cały szczep składał się z jeńców, tak żyją Komancze. Dzięki jeńcom przetrwała nasza krew.

Jechaliśmy dalej, zmieniając opatrunki. Po kilku dniach natknęliśmy się na iglicznę i napełniliśmy strąkami torby. Trochę zjedliśmy, a resztę zachowaliśmy do opatrywania rany. Odpoczywaliśmy za dnia, jechaliśmy nocami.

Kiedy po dwóch tygodniach dojechaliśmy na równiny, w nodze została wyrwa, ale zaczerwienienie i opuchlizna zniknęły. Po dwóch kolejnych tygodniach wróciliśmy do wioski.



## Jeannie

*Wiosna 1945 roku*

Rozpętała się potężna nawałnica, ulewa, deszczu było tyle, że ziemia nie nadążała go wchłaniać, ciężkie chmury zakrywały całe niebo. W południe zrobiło się całkiem ciemno. Błyskawice i pioruny przetaczały się echem przez dom, a Jeannie była pewna, że to ostrzał artyleryjski albo nieudana misja lotnictwa z bazy w hrabstwie Kaufman. Widziała ogień przeskakujący po cedrach nieopodal domu, całe drzewa stawały w płomieniach, ale na szczęście gasił je deszcz.

Ojciec był poza domem na odległym pastwisku. Nie wrócił na kolację, ale po kilku godzinach przy bramie stanął jego koń, sam, z siodłem. Zrobiło się jeszcze ciemniej. Nie widziała prawie własnych stóp. Nie było szans, żeby po niego jechać, ale na dworze nie panował chłód, a ojciec był zaradny, więc spodziewała się, że wróci nad ranem, przemoczony i z otartymi stopami, ale cały i zdrowy.

Mimo to źle spała, budziła się co godzinę, aż w którymś momencie wyjrzała przez okno i zobaczyła księżyc. *Vaqueros* czekali na dole, jej koń był już osiodłany. O świcie ruszyli rozmytym śladem ojcowskiego gniadosza, niemal niewidocznym po ulewie, ale gdy się skupiła, była w stanie określić z jego pomocą właściwy kierunek.

Ślad prowadził do wyschniętego zazwyczaj potoku i urywał się na bliższym brzegu. Nad horyzontem robiło się coraz jaśniej, ptaki nawoływały się, jakby nic nie zaszło. Jeannie i starsi *vaqueros* szukali dalej, konie większości ludzi cofnęły się, żeby nie zacierać śladów, ale nawet po wschodzie słońca nie wypatrzoneo niczego. Ojciec musiał zsiąść z wierzchowca po dojechaniu do potoku. Albo – co bardziej prawdopodobne – dojechał do niego galopem, oślepiiony przez nawałnicę. Koń zarył w ziemi przed wezbrany potokiem, wyrzucając jeźdźca z siodła. Woda opadła, środkiem dna płynęła teraz cienka strużka, ale na sykomorach wisiała świeża, porwana przez wodę trawa. Człowiek, który wpadł do wody, mógł się znajdować wiele mil stąd. Dziesiątki mil.

Cztery dni później jeden z *vaqueros* Midkiffów znalazł ojca przy rzecznych wrotach: z zarośli i naniesionych przez wodę śmieci wystawała biała podeszwa stopy. Nikt jej nie powiedział. Zadzwoił telefon, a potem Sullivan wsiadł do ciężarówki i pojechał do miasta, a kiedy wrócił, na przednim siedzeniu leżało pudło z rzeczami ojca. Były brudne i porozrywane, ale rozpoznała koszulę. Podniosła ją, chcąc przyłożyć do policzka, ale zaraz rzuciła na ziemię. Roiała się od czerwi.

Clint zginął pod Salerno, Paul w Ardenach, choć modliła się za nich co wieczór i nie opuszczała niedzielnych nabożeństw. Kiedy zginął Clint, nie przestała się modlić za Paula i Jonasa, a w pewnym momencie – wiele miesięcy przed śmiercią ojca – zaczęła się modlić i za niego. Teraz zastanawiała się, czy nie doprowadziła do ich śmierci. Jedno było tak samo prawdopodobne jak drugie. Postanowiła, że przestanie się modlić za najstarszego brata. I przeżył.

Ze względu na stan zwłok ojca pogrzeb zaplanowano na następny dzień. Leżała w łóżku przez całe popołudnie, była wyczerpana, lecz nie mogła zasnąć; uświadomiła sobie, że trzeba nadal prowadzić ranczo, że nie został już nikt, oprócz niej.

Wyznaczyła sobie jeszcze kilka minut, a potem przygotowała kąpiel, wyszorowała się starannie, choć nie marnując czasu, myła się tak, jak według niej matka myje dziecko. Włożyła czarną sukienkę, a potem się rozmyśliła. Ale nie mogła sobie pozwolić na wydziwianie. Przebrała się w dżinsy i stare kowbojki, wiedząc, że babcia by tego nie zaaprobowowała, choć już nie żyła od roku. Umalowała się trochę, co było niemal tak samo złe jak spodnie. Ale miała jasne rzęsy, tak jak wszystko inne, przez co wyglądała za młodo. *Gdzie jest Jonas?*, zastanawiała się.

Od czterech dni nikt nic nie robił, wszyscy czekali na ojca. Teraz trzydziestu pracowników – *vaqueros*, strażników ogrodzenia, małą skaczących po wiatrakach – zebrało się wokół baraku. Siedzieli na ganku albo w cieniu, rozmawiali cicho między sobą i zastanawiali się, co będzie dalej. Powiedziała im, że nic się nie zmieni i jeśli z jakiegoś powodu nie będzie jej w domu, czeki z wypłatą rozda im pani Wright, księgowa. Wszyscy dostaną zapłatę za cztery minione dni, ciągnęła, a jutro będzie wolne. Ale już pojutrze trzeba zająć się rzeczonymi wrotami, jechać do Midkiffów po część stad, zajmijcie się naprawami szkód wywołanymi przez nawałnicę i nie pytajcie o pozwolenie.

Nie powiedziała im, że nie jest upoważniona do podpisywania

czeków. Przez resztę dnia i nocy martwiła się na przemian tym, że nikt nie przyjedzie na pogrzeb i że nie wie, gdzie jest testament ojca. Prawnik rodziny przekopał gabinet taty od góry do dołu, ale nic nie znalazł; koło północy Jeannie znalazła dokument w starej szafce na akta. Testament był zmieniany kilka razy, raz na korzyść Clinta, innym razem Paula, ale jego ostatnia wersja sporządzona przed zaledwie kilkoma miesiącami – i niewątpliwie z wielkim bólem – wyznaczała Jeannie jako jedyną spadkobierczynię ojcowskich udziałów w ranczo. Jonas dostał udział w zasobach mineralnych i to wszystko. Ogarnęła ją radość, nie mogła powstrzymać uśmiechu, a potem śmiechu na całe gardło, a wreszcie straszliwego wstydu. Mimo to Phineas będzie rozradowany – cała posiadłość znalazła się w rękach ich dwojga. Jonas nie będzie oponował, usiłował wydostać się z Niemiec, nie mógł się załapać na latające nieregularnie i zawsze pełne samoloty, a rejs statkiem zająłby całe tygodnie. Teraz znów mogła się martwić tylko o pogrzeb.

Na dworze paliły się ogniska, pieczono cielaki, kozy i świnie. Z Carrizo przywieziono fasolę, kukurydzę, kawę i dwa tuziny sklepowych ciast. Do tego sto skrzynek piwa Pearl i cztery skrzynki whiskey. Dom tętnił życiem, co nie zdarzało się od lat. Kucharki nie spały przez całą noc, robiąc to, co do nich należało; podobnie pokojówki, które zmieniały pościel w pokojach gościnnych, wyjmowały składane łóżka z komórek i przygotowywały dom dla gości.

Phineas przyjechał w sporym towarzystwie. Napłynął potok, a potem zalew ludzi z Austin, San Antonio i Dallas, z Houston i El Paso, z Brownsville. Byli wśród nich ranczerzy z południowego Teksasu, reporterzy, w sumie prawie pięciuset gości, co na początku doprowadziło ją do łez wzruszenia – ojciec był bardziej doceniany, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażała – ale wraz z upływem czasu przekonała się, że większość przyjechała, bo wypadało, wcale nie dla ojca ani dla niej, czy rodziny, ale dla idei McCulloughów. Miejscowi Meksykanie, którzy w swej masie nienawidzili ojca, nie bez powodu zresztą, również przyszli na pogrzeb, bo tak się robi, kiedy umiera *patrón*.

Tylu gości było w domu po raz ostatni na pogrzebie Pułkownika, ale tamto wydarzenie miało zupełnie inną rangę, a żałobnicy czuli nieudawaną rozpacz, bo coś dobiegło końca i dorośli mężczyźni nie potrafili powstrzymać łez. Teraz oblicza były poważne, ale nieznekane, a rozmowy miały lekki charakter. Jej ojciec nie znaczył aż tyle. To nie

było sprawiedliwe, ale im bardziej się nad tym zastanawiała, im więcej przyjmowała kondolencji i im dłużej wsłuchiwała się w prowadzone szeptem w całym salonie rozmowy o okolicznościach śmierci, tym większą czuła wściekłość. Zginął głupio. Przez upór i błędny osąd. Wszyscy *vaqueros* wrócili do domu, kiedy tylko zaczęło wiać – pioruny zabiły więcej kowbojów niż broń palna – ale ojciec z tymi swoimi przekonaniem uznał, że musi dokończyć liczenie. *Nie przeszkadza mi to, że trochę zmoknę* – tak brzmiały jego ostatnie słowa.

Krażyła po domu wśród setek ludzi, dziękując im za przybycie, zachęcając do jedzenia; zapach wołowiny, *cabrito* i pieczonych prosiąt, niekończący się korowód talerzy z fasolą z sosem i *tortillas*, galony piwa i słodkiej herbaty. Wchodziła i wychodziła z kuchni: tak, powinni dać w łeb kolejnemu cielakowi i od razu na węgle; tak, ktoś musi pojechać jeszcze do Carrizo, nie wiadomo jak długo zostaną goście. Od czasu do czasu pojawiał się przy niej Sullivan i wciskał jej w rękę szklankę z zimną herbatą. Pociła się w sukience. Poszła się przebrać, ale nie miała w co – w całej garderobie była tylko jedna czarna sukienka. Powiesiła ją przed wentylatorem w sypialni, wytarła się myjką, a potem sama stanęła przed wiatrakiem. Odnotowała w pamięci, żeby sprawdzić, ile zarabia Sullivan: jego rodzina pracowała na ranczo od trzech pokoleń, a jej ojciec skąpił pracownikom pieniędzy. Kusiło ją, żeby odpocząć, ale wiedziała, że zaśnie. Wróciła na dół, chodziła między ludźmi, niemal nie słysząc o czym do niej mówią. W rogu stał Phineas, opierał się na lasce, perorował o czymś w grupie młodych mężczyzn. Był tak wyraźnie zadowolony z siebie, że odwróciła się od niego, kiedy ją zawołał.

*Vaqueros* i Meksykanie z miasteczka stali z szacunkiem z boku, rozmawiając cicho. Mężczyźni z miasta – wszyscy w kowbojskich butach i kapeluszach – tupali i przekrzykiwali się, jakby byli z rodziny. Patrząc na nich, czuła własną słabość. Pułkownik by ich przepędził. Żałowała, że nie pojawił się żaden z jego starych przyjaciół; przyjeżdżali jeszcze raz na jakiś czas i na cześć Pułkownika opróżniali sześciostrzałowce prosto w sufit, żeby oczyścić dom. Ale to była fantazja. Z tego, co wiedziała o kowbojach, nawet starych, jasno wynikało, że nie czuli się dobrze w tłumie, byli uprzejmi i okazywali szacunek, a większość z nich nie spjrzałaby na tych nowych ludzi, ludzi z miasta.

Jonas spóźnił się na pogrzeb, ale przyjechał z Niemiec, gdzie wojna praktycznie dobiegła końca. Jeannie prawie go udusiła, kiedy po niego



pojechała, nie wiedziała, czego się spodziewać – nieobecnego spojrzenia, głębokich blizn, utykania – ale Jonas wyglądał zdrowo, był sprawny i chodził pewnie. Kiedy wszedł do domu, a ich kroki poniosły się po olbrzymim salonie o kamiennych ścianach i z sufitem trzydzieści stóp nad głową, powiedział z miejsca:

– Musimy cię stąd, do cholery, wydostać! Tutaj nie da się prowadzić normalnego życia. Wojna skończy się za kilka tygodni, a ja załatwię ci pracę w Berlinie. Będiesz maszynistką czy kimś w tym rodzaju, ale zamieszkamy razem.

Nie była pewna, jak powinna zareagować – propozycja Jonasa brzmiała kusząco, ale nie mieściła się jej w głowie, za nic w świecie nie zostanie maszynistką! To on powinien przyjeżdżać do domu, a nie wysyłać ją do wrogiego kraju.

– Do diabła – ciągnął – mamy przecież pieniądze, nie musisz w ogóle pracować, tylko zamieszkaj ze mną.

– Jak tam jest? – Wzruszył ramionami. – Domyślam się, że widziałeś straszne rzeczy.

– Nie gorsze od innych.

Chciała go zapytać, czy kogoś zabił albo widział trupy, ale zdaje się, że wyczuł jej zamiar, bo wstał gwałtownie i przeszedł na drugi koniec salonu, patrząc na stare ryciny, marmurowe posągi i figurki; kręcił przy tym głową, podnosił jakieś bibeloty i odstawiał je na miejsce.

– Chciałbyś coś zjeść? – zawołała.

– Lepiej pojedźmy na grób, nie mam za dużo czasu.

To nie miało sensu – wracał do domu przez tydzień – ale postanowiła nie zwracać na to uwagi, przypuszczając, że miesza mu się w głowie.

– Chcesz jechać samochodem czy konno?

– Pojedźmy konno. Od czterech lat nie siedziałem na koniu.

Przy kolacji, którą nazywał teraz obiadem, zapytał ją zbyt, jak się jej wydawało, obcesowo:

– Czy masz wokół siebie jakichś mężczyzn, którzy ci się podobają?

Nie. Choć, prawdę mówiąc, przed rokiem zadała się z kolejnym *vaquero*, mniej przystojnym od innych, bo ze zmiążdżonym nosem: całowali się za jednym z zarośniętych *corrali*, a potem leżeli razem przy źródle w starym domu Garcíów. Był bardziej natarczywy, niżby chciała – mężczyźni, którzy nie poszli na wojnę nie musieli liczyć się z oporem – ale tamtej nocy, kiedy się nad tym zastanawiała, żałowała, że przytrzymała mu dłonie. Kolejną szansę miała po długiej przerwie dopiero po kilku dniach i kiedy już umówili się na schadzkę, zabrała

ze sobą starą prezerwatywę, znalezioną rzecz jasna w pokoju Clinta i ukrytą w kieszeni sukienki. Czekala przez godzinę, potem druga, leżąc sama pod drzewami w miękkiej trawie obok starego kościoła. *Vaquero* nie przyjechał. I znów nietrudno było się domyślić, co zaszło: przyjaciele młokosa bali się jej ojca, bali się o pracę i przestrzegli go. Płakała przez wiele dni, bo nawet dla takiego mężczyzny, którego uznawała (snobistycznie, o czym wiedziała) za niegodnego siebie, nie była wystarczająco dobra. Zawsze uważała, że można ją traktować jak męskie trofeum: była drobną blondynką, nie tak kształtną jak inne, ale z pewnością kobiecą. Jej zadarty nos wyprostował się, oczy powiększyły i w pewnym świetle mogła uchodzić – jak przypuszczała – za piękność. Na co dzień była przynajmniej ładna, o wiele ładniejsza od przeciętnej, a choć to prawda, że w Carrizo mieszkała ładniejsza od niej Meksykanka, dziewczyna ta była bardzo biedna.

Ale tak czy inaczej... zbliżała się do dwudziestki, powinna zacząć żyć, powinna mieć prawdziwych konkurentów do ręki, a nie tych paru chłopaków z miasta, żywiących przekonanie, że ją adorują, choć jej zdaniem wcale tego nie robili. Nie myślała o sobie jako o kimś bogatym, choć wiedziała, że inni właśnie tak ją odbierają, nie ufała białym z miasta, widzieli ją w złym świetle. *Vaqueros* znała dobrze i wystarczająco im ufała – działaliby wbrew własnemu interesowi, gdyby chcieli zniszczyć jej reputację – choć niewątpliwie oni nie ufali jej albo jej nie szanowali; niewykluczone też, że wyczuwali jej desperację.

Co się tyczy Jonasa: prawie go nie poznawała. Miał pełniejszą twarz i budowę, nie zostało w nim nic z dawnego chłopca. Mówił za szybko, jak ktoś wychowany na północy, nieustannie przeklinał, również jak ci z północy. Był, ogólnie rzecz biorąc, zbyt pewny siebie. Przy kolacji czy, jak wolał, obiedzie upił się whiskey, potem rozmawiali i rozpalili wielki ogień w kominku, który ojciec uważał za marnotrawstwo. Kiedy wreszcie przyszła pora układania się do snu, Jonas odmówił nocowania w swoim starym pokoju – na pokaz, jak przypuszczała – i zamiast tego zabrał koc na sofę przy kominku. Jeannie poszła do siebie, siedziała w sypialni w szlafroku i czuła, że będzie odpowiedzialna za utratę wszystkiego. Brat pozbył się odpowiedzialności, nie dbał o dom i ich dziedzictwo. Choć, oczywiście, sporo z niego stracił. To musiało go boleć, ta ostatnia ojcowska obelga, choć i tak dostał połowę minerałów, które w ostatecznym rozrachunku okazały się dla niego ważniejsze od samej ziemi.

Następnego ranka jedli śniadanie w salonie, gdzie mogli słuchać radia.

– Zostaniesz tu do końca wojny?

Pokręcił głową.

– Pamiętam, jak tata wyłączał radio, kiedy przemawiał prezydent.

Zastanawiała się, czy będzie musiała bronić ojca do końca wizyty Jonasa. Jak się okazało, musiała to robić przez resztę życia. Swojego i brata.

– Przestał to robić, kiedy wybuchła wojna – odpowiedziała. – W dniu lądowania w Normandii dał wszystkim wolne, siedzieliśmy przy radiu i słuchaliśmy, a tata wyciągnął wielką mapę i pokazywał na niej: tu jest Osiemdziesiąta Dywizja Powietrznodesantowa Paula, wylądowali tutaj, a tu jest dywizja Jonasa. Rysował, żeby wszyscy widzieli. Był z was dumny.

– No cóż, pomylił się, bo nasza dywizja lądowała dopiero następnego dnia, a Paul w ogóle nie był na plaży, bo zrzucili go na tyłach Niemców.

– Nie pamiętam wszystkich szczegółów – przyznała.

– A pamiętasz, jak mówił, że wybór Roosevelta to koniec amerykańskiej demokracji? Albo że Dust Bowl<sup>[13]</sup> to wymysł komunistów? – Pokręcił głową. – Nie wiem, skąd my się mu wzięliśmy.

– Nie był taki zły. – Nie znała tak surowego brata, ale może w ogóle go nie znała. Przymknęła oczy.

– Pamiętam, jak powtarzał, że mieszkamy na pograniczu przez wielkie „P” – ciągnął Jonas. – Mówiłem mu, że pogranicze zniknęło, zanim się urodził, na co robił mi wykład o tradycji, którą kontynuujemy. Mówiłem mu, że nie ma *żadnej* tradycji, że coś, co trwa od zaledwie dwudziestu lat *nie może mieć* tradycji. Tak czy siak... nie wiem, co stanie się z tym miejscem, ale teraz nie bardzo widzę jego sens. Za mało tu ludzi, żeby zaistniała kultura, a z drugiej strony za dużo, żeby miejsce to zachować w pierwotnym interesującym stanie. To zwykła prowincja. – Nie odpowiedziała. – Powinnaś to sprzedać. Zachowaj minerały, ale wyrwij się stąd. Z łatwością moglibyśmy załatwić ci studia w Barnard.

– Nie przeniosę się na północ – odpowiedziała cicho.

– Wtedy byłaś jeszcze dzieckiem.

– Jestem tu szczęśliwsza.

– Jeannie... – Stukał się w czoło, jakby powiedziała najgłupszą rzecz pod słońcem. – Wszystko, czego nas uczono okazało się kłamstwem

albo głupim żartem. Zawsze mówiono, że jankesi to, jankesi tamto, że to najgorsi ludzie, najbardziej zakłamani. Któregoś dnia przyszło mi do głowy, że jeśli tata tak ich nienawidzi, moje miejsce jest wśród nich. Ojciec był gorszy od najgorszych ludzi, których poznałem w Princeton, urodził się w bogactwie, ale zawsze narzekał, jaki jest biedny i wykorzystywany. A to, w jaki sposób traktował Meksykanów... – Nie odpowiedziała. Miał zamknięte oczy. – Kiedy tam pojechałem, byłem jak dziecko we mgle.

Został jeszcze przez tydzień, aż nabrali pewności, że posiadłości nic nie grozi. Gniew gdzieś zeń uleciał. Zmienił testament, zapisując jej wszystko na wypadek, gdyby coś się z nim stało. Podpisał plenipotencję. Stał się jej bliższy niż kiedykolwiek – straciła ojca, ale odzyskała brata. A potem wsiadł do pociągu na wschód, ku wojnie, i nie widziała go przez trzy kolejne lata.

Począwszy od wyjazdu Jonasa, zaczęła żyć: spała przez trzy czwarte dnia, budziła się w środku nocy i przemierzała pusty dom; zasypiała, płacząc, na sofie i budziła się po kilku godzinach, bo słońce świeciło jej w oczy. Wracała do siebie, bo w oknach sypialni wisały story, przed progiem znajdowała śniadanie na tacy albo obiad: zimne jajka, zimne mięso. Szła do łazienki. Nie miała nic do roboty. Żadnej pracy, niczego pożytecznego, do czego mogłaby się przyłożyć. Raz w tygodniu, w czwartek, jak się domyślała, znajdowała na stole w jadalni spięte czeki dla pracowników – podpisywała je jeden po drugim i zostawiała pod drzwiami. Wspominała ojca i płakała, wspominała braci i płakała. Zdawała sobie niejasno sprawę, że płynie czas, zastanawiała się, dlaczego nie dzwoni Phineas, dlaczego nie zaprosił jej do siebie, żeby z nim zamieszkała. I często już sama nie wiedziała, czy płacze z tego powodu czy dlatego, że umarł ojciec, bracia, a nawet pradziadek, który nie żył od blisko dekady, ale był dla niej lepszy niż ojciec. Kiedykolwiek.

Mógł minąć miesiąc. Albo dwa. Pewnego ranka obudziła się wraz ze wstającym słońcem i z absolutną pewnością zgodziła się na to, że już nikt nigdy nie będzie o nią dbał.

Tydzień później pojawił się mężczyzna z Southern Minerals, który chciał porozmawiać o jej przyszłości.

– Wpadam tu od jakiegoś czasu, ale zawsze mówiono mi, że panienka niedysponowana. – Zachowywał się tak, jakby znali się od bardzo dawna, ale Jeannie skrzyżowała ramiona i stała twardo w progu. Z miejsca zaoferował jej milion dolarów plus dwanaście i pół

procent z zysków za wydzierżawienie posiadłości, z wyjątkiem tego obszaru, na którym wiercił już Humble Oil. Znał całą jej historię. Wiedział, że bracia zginęli na wojnie, że ojciec zabił się przypadkowo, a Jonas wrócił do Niemiec. – Będzie panienka mogła przenieść się do miasta. – Poprawił się szybko: – Albo będzie mogła panienka dalej hodować cielaki. Życie stanie się znośniejsze. – Obdarzył ją pełnym współczuciem spojrzeniem.

Nie patrzyła na niego. Modliła się, żeby w pobliżu znalazł się któryś z *vaqueros*.

– Mówi pan jak kaznodzieja – rzuciła.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się i wrócił do zachwyty nad trawą, piękną pogodą i dorodnym bydłem, ale po jakimś czasie, kiedy wiedziała już, co powiedzieć, przerwała mu:

– Czy inni ludzie ciągle godzą się na jedną ósmą z zysków, czy tylko wdowy i sieroty?

Znów się uśmiechnął – przejrzał ją i rachuby stojące za jej nieuprzejmością. Stanął bliżej, a ona musiała się powstrzymać, żeby się nie cofnąć – to oznaczałoby oddanie progę, za którym panowała spiekota. Naturalnie powinna zaprosić go do środka, ale doszła do wniosku, że może na nią napierać, ile chce, ona i tak nie ustąpi. Z drugiej strony zastanawiała się, czy nie postępuje głupio, nie ocenia błędnie całej sytuacji. Zastanawiała się, gdzie są pokojówki i jak ten człowiek dostał się za bramę. Stał tak blisko, że czuła jego oddech. Niepokoiła się, że jest całkiem sama. Wszyscy *vaqueros* byli na pastwiskach wiele mil stąd, a Hugo, kucharz, pojechał do Carrizo po sprawunki. Została sama, a ten mężczyzna nic sobie z niej nie robił.

– Chyba jestem zmęczona – powiedziała.

Kiwnął głową, ale nie przestawał mówić. Zdjął kapelusz, żeby wytrzeć czoło, które było białe: kancelista. Po raz drugi wspomniał o tym, że to nie najlepsze miejsce dla samotnych dziewcząt, a ona poczuła swędzenie na szyi, a potem w palcach – może już było za późno? Weźmie to, co chce. Miała sucho w ustach, ale zebrała siły i wykrztusiła:

– Jeśli pan nie odejdzie, wezwę szeryfa.

Nie ruszył się, jakby ta groźba wymagała namysłu. A może chciał pokazać, że odchodzi z własnej woli. Potem wyciągnął rękę i ścisnął ją za ramię, życząc dobrego popołudnia.

Zamknawszy drzwi, poszła prosto do gabinetu ojca, mijając po drodze dziesiątki otwartych okien, balkonowych drzwi

z nieprzydatnymi zamkami... mógł się dostać do domu w dowolny sposób, najprawdopodobniej od tyłu. W szufladzie ojca znalazła pistolet Colta, przesunęła zamek, tak jak ją nauczono, ale z rękojeści wysunął się magazynek i wpadł pod biurko. Otworzyła dużą szafę, w której ojciec trzymał resztę broni i znalazła karabin kalibru .25-20, z którym polowała jako dziecko. Bracia uznali to za zły omen, ale ustrzeliła dwa jelenie. Znalazła właściwe naboje, załadowała go i wróciła do holu. Wszystko trwało kilka minut. I było absurdalne. Gdyby ten mężczyzna naprawdę chciał ją napaść, dobrałby się do niej sto razy. Czuła narastającą wściekłość... na Jonasa, na ojca, na...

Coś się działo na dworze... ford tego gryziopórka stał już przy bramie. Przyglądała się mu z oddali – był teraz zaledwie plamką – jak otwiera bramę i przejeżdża. Poczowała wielkie zmęczenie. Chciała się położyć. Zamiast tego załadowała kilka rewolwerów (nie wierzyła już automatowi), włożyła je do kosza i obeszyła dom, wsadzając je w różne miejsca jak nasiona w ziemi: jeden ukryła w dużym wazonie obok frontowych drzwi, drugi na półce w kuchni, trzeci pod swoim łóżkiem, a czwarty pod jej ulubioną kanapą w wielkim salonie.

Wyszła na werandę, skąd roztaczał się widok na wzgórza aż do głównej drogi, i zaczęła się zastanawiać nad tym, co zaszło. Telefon do szeryfa byłby błędem. Powinna wezwać *vaqueros*. Myśl o tym, że ktoś mógłby ustrzelić tego szczura sprawiła, że ulżyło jej na sercu, a w głowie przejaśniło. Usiadła i przyglądając się chmurom, wyobrażała sobie, jak by to mogło wyglądać. Upadłby na pysk, jak jeleni albo wieprz. Zastanawiała się, dlaczego drżą jej ręce. Tracę rozum, pomyślała. Opuściła werandę i przeszła się po domu, przystając przed dużym lustrem w holu. To był żart, broń była żartem, a ona zachowywała się jak dziecko, bawiące się w dorosłego. Znów przyszło jej do głowy, że traci rozum.

Poczowała ulgę, kiedy wrócił kucharz i zaczął plotkować z którąś z pokojówek. Nie była pewna, czy nie mówi do siebie, czy pokojówki ją słyszały czy nie. Wszyscy mieli rację – Jonas, ojciec, babka – to nie było miejsce dla niej.

Zobaczyła pierwszą ciężarówkę *vaqueros* wspinającą się na szczyt odległego wzgórza, prowadzącą konie z pastwiska. Potem ujrzała drugą i trzecią. Wszystko zrobiło się normalniejsze. Zwyczajne. Powie im. Nie dba o to, co stanie się z tym gryziopórkiem. *W ogóle mnie to nie obchodzi*, pomyślała. *W ogóle!* Tu nie jest Północ, gdzie nachodzi się niewinnych ludzi. Ładowanie rewolwerów było pomyłką, potrzebny jej

był nieprzebyty mur mężczyzn – taki, jakim otaczał się ojciec.

Sullivan, *vaqueros*, będą wiedzieli, co z tym zrobić. Postanowiła działać, zanim straci zapał wskutek rozdzierania szat. Bo ten człowiek nie był przecież zły, a ona jako osoba młoda i samotna prawdopodobnie źle wszystko odczytała (*ale on cię napastował!* – przypomniawszy sobie). Tak, napastował! I zapłaci za to. Nawet Jonas musiałby się z tym zgodzić. Nie zginie, ale spotka go coś nieprzyjemnego. Nie była pewna, co. Nie obchodziło jej to. Przypomniawszy sobie, jak ją chwycił, a potem bardzo szybko, żeby nie zmienić zdania, wybiegła przez frontowe drzwi i nie zwracając uwagi na nawoływania Hugo, który zapraszał ją na kolację, ruszyła ścieżką ku barakom.

[13] Katastrofa ekologiczna, która w latach 1931-1938 dotknęła dziewiętnaście stanów na obszarze Wielkich Równin w Stanach Zjednoczonych w wyniku suszy, erozji gleby i rabunkowej eksploatacji gruntów rolnych. Katastrofa ta zbiegła się z Wielkim Kryzysem [przyp. tłum.].





## Dzienniki Petera McCullougha

25 marca 1917 roku

Wróciła susza, ale z powodu wojny nie zmniejszamy pogłowia bydła. Obudziłem się po nocy barwnych snów, rozsunałem story, spodziewając się odnaleźć za nimi zieloną krainę młodości i sennych majaków. Ale pominawszy okolice domu, wokół rosła tylko rzadka szczeciniasta trawa i kłujące krzewy, spod których wyzierały wapienne skały. Ojciec ma rację: zrujnowaliśmy tę krainę na zawsze przez jedno pokolenie.

Tymczasem ojciec wynajął naganiaczy, żeby sprowadzić z północy farmerów. Zamówiono specjalne pociągi, a jankesom pokaże się najlepsze farmy (nawodnione), najlepsze domy (nasz, bo najbardziej rzuca się w oczy), a następnie zaoferuje się im twardy jak kamień grunt za pięćset razy tyle, ile zapłacili za niego obecni właściciele. Polecono mi, żebym się nie pokazywał.

Pułkownik od dwóch miesięcy kieruje wodę z cystern na trawnik (teraz mamy trawnik zamiast brudnego klepiska), a strumień, który biegnie pod domem, obok pastwiska Everetta, został skazany na zalewanie nizin, które widać z werandy. Przyszedł do nas Ike Reynolds, żeby się poskarżyć, że woda mu wyschła, ale Pułkownik wytłumaczył mu powody i wyszedł przekonany. Nawet źródła w Carrizo już ledwo biją – mówi się, że to efekt nawadniania. Podziemne *resaca* całkiem wyschły. Cała ziemia, jak się wydaje, powoli zamienia się w pustynię, ludzkość wymrze i zastąpi ją coś nowego. Nie ma żadnego powodu, żeby istniała nasza rasa. Urodziłem się zapewne tysiąc lat za wcześnie albo nawet dziesięć tysięcy. Kiedyś tacy jak mój ojciec będą wspomniani jak Rzymianie, którzy karmili lwy chrześcijanami.

6 kwietnia 1917 roku

Usłyszałem wieczorem rozmowę Charliego, Glenna i mojego ojca,

wszedłem do dużego salonu, żeby przekonać się, o co chodzi – wszyscy trzej spojrzeli na mnie i umilkli. Wszedłem, oczywiście. Mijają pokolenia i wszystko zostaje bez zmian – milczące porozumienie między moim ojcem a pozostałymi, nieme, zawsze wykluczające mnie spojrzenia. Dziś Wilson wypowiedział Niemcom wojnę.

*9 kwietnia 1917 roku*

Przyszli do mnie moi dwaj synowie. Obaj postanowili wstąpić do wojska. Powiedziałem im, że byłoby lepiej, gdyby poczekali do końca roku, bo wtedy łatwiej nam będzie nająć ludzi, którzy ich zastąpią. Nie byli przekonani.

– Mamy mnóstwo pieniędzy, żeby wynająć ludzi – stwierdził Charlie.

Sally przez cały dzień jest u siebie, nie może podnieść się z łóżka. Nie mogli wybrać sobie gorszej wojny, żeby na nią pójść. Karabiny maszynowe i półtonowe pociski artyleryjskie. Zawsze wydawało mi się, że Europejczycy wrócili do epoki kamienia łupanego, kiedy wylądowali w Ameryce, ale niewątpliwie nigdy z niej nie wyrosli. Pod samym tylko Verdun zginęło siedemset tysięcy.

Trzeba kolejnej epoki lodowcowej, która zepchnęłaby nas do oceanów. Żeby dać Bogu drugą szansę.

*12 kwietnia 1917 roku*

Chłopcy wsiedli dziś do pociągu do San Antonio. Sally pakuje się, żeby wyjechać do rodziny w Dallas. Powiedziała mi, że właśnie z tego powodu zawsze żałowała, że nie mamy córek. Odpowiedziałem, że w pełni się z nią zgadzam.

– Pojedź ze mną – zaproponowała.

Nie potrafiłem jej wyjaśnić, dlaczego nie przetrwałbym w Dallas.

Złowieszczy znak: tuż po odwiezieniu przeze mnie Glenna i Charliego na stację, zadzwonił poczmistrz. Przysłano lekki karabin maszynowy Lewisa. Po paru żytniówkach z miętą wypitych z Pułkownikiem doszedłem do wniosku, że wypróbuję go. Wzięliśmy największy bęben – blisko sto naboju – i po mozolnym załadowaniu i rozpracowaniu mechanizmu przewijającego taśmę w bębnie – przypominającego

kieszonkowy zegarek – byliśmy gotowi posłać parę kolczastych opuncji do nieba, kiedy w polu ostrzału pojawiło się nieszczęsne stadko pekari. Zwierzęta były oddalone o ćwierć mili, ale karabin reklamowano jako skuteczny na odległość trzykrotnie przekraczającą „bliski ostrzał”. Pułkownik prawie nie widział świń, więc zaproponował, żebym to ja strzelał, a on będzie prowadził obserwację przez lornetkę. Położyłem się na ziemi za karabinem, a on stanął obok. Widziałem jakąś rozmazaną postać machającą z oddali.

Podnieśliśmy celownik i wystrzeliłem krótką serię – może z pięć nabojów.

– Niech mnie cholera, Pete, nie wcelowałeś! Spudłowałeś o jakieś trzydzieści jardów.

– To przez wiatr. – Dzwoniło mi w uszach. Udałem, że poprawiam celownik.

– W porządku, znów ryją. Będziesz strzelał czy szczał w gacie?

Wymierzyłem w największą ze świń, która z takiej odległości przypominała brunatną plamę na tle zielonych zarośli, i pociągnąłem za spust. To było jak trzymanie parowozu. Z Lewisa się nie celuje, tylko kieruje lufę do celu jak strażacki wąż.

– W lewo! – krzyczał. – W prawo, w prawo, strzelaj w prawo... teraz w lewo, bardziej w lewo, lewo, lewo, *lewo, lewo!* – Robiłem, co kazał, widząc, jak kule unoszą kłęby pyłu między biegnącymi brązowymi świniami. – Załóż ten drugi bęben, jeszcze parę się rusza. – Wykonałem rozkaz. – Skurwysyn, ciekawe, czy to naprawdę czterysta jardów.

Zagłuszyłem go, puszczając kolejną serię.

Kiedy poszliśmy po konie, moja klacz – przyzwyczajona do polowań z siodła na jelenie, przepiórki i indyki – miała oczy jak koła u wozu. Wiedziała, że dzieje się coś wbrew naturze. Koń ojca przepadł i szukaliśmy go prawie przez pół godziny. Zanim wróciliśmy do domu, pojechaliśmy obejrzeć ofiary. Pekari leżały rozrzucone na dużym obszarze wapiennej skały, choć „rozrzucone” to złe słowo: wyglądały, jakby ktoś wsadził im w odbyty po lasce dynamitu.

– Dobrze – powiedział ojciec, szacując szkody. Objeżdżał szczątki, kiwając głową. A potem zapytał: – Myślisz, że Niemcy to mają?

– Tysiące – odpowiedziałem.

Lewis wystygł na tyle, że mogłem przytroczyć go do siodła. Oczywiście, że Niemcy mają karabiny maszynowe. Ale w naturze ojca

nie leży przyjmowanie do wiadomości faktów. Ruszyliśmy w drogę powrotną do domu.

– Pamiętam, kiedy pięciostrzałowy kolt był bronią masowego rażenia. Minęło jakieś dwadzieścia lat i pojawił się karabin Henry’ego. Ładowałeś go w niedzielę i strzelałeś przez cały tydzień. Z osiemnastu nabojów, o ile pamiętam.

– Życie staje się coraz łatwiejsze – zauważyłem.

– Wiesz co? Zawsze myślałem, że dojdiesz do czegoś dzięki tym książkom. To smutne, że tak się nie stało.

– Doszedłem – mruknąłem.

– Ale nie tutaj, tylko w świecie... o to mi chodzi. Myślisz, że ja nie *sabe*, ale *sabe sabe*. Mój brat był taki sam jak ty. To dziedzictwo krwi.

– Wzruszyłem ramionami. – Złe czasy, złe miejsce... wszystko złe!

– Nieprawda. Kocham moją rodzinę i kocham to miejsce – zaprotestowałem, bo z jakiegoś powodu to była, przynajmniej w tamtej chwili, prawda.

Chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język. Kiedy tak jechaliśmy w słońcu i pyle ku naszemu wielkiemu białemu domostwu na wzgórzu, wydawał się odprężony, siedział swobodnie w siodle. Domyśliłem się, że wspomina, obejmuje myślą to wszystko, co uczynił i za co podziwia go cały świat.

Ja z kolei usiłowałem sobie przypomnieć, jak często widywałem go w domu, kiedy byłem mały (nigdy) – matka zawsze go tłumaczyła. Czy wybaczyła mu tamtego dnia na samym końcu? Ja nie. Zawsze nam czytała, zawsze próbowała nas czymś zająć. Nie pozwalała nam się nudzić i zauważać, że znów nie ma ojca. A on był jak Odyseusz w jakiejś dziecięcej wersji Odysei. Stawał naprzeciw cyklopom, Lotofagom, syrenom. Everett, jako że był znacznie starszy, wychodził czytać na dwór. Później znalazłem jego pamiętnik pełen szczegółowych rysunków ciemnoskórych nagich dziewcząt. Mama wmawiała nam, że ojciec jest jak Odys, co czyniło mnie, jak się łudziłem, kimś w rodzaju Telemacha... teraz wydaje mi się, że zostanę raczej Telegonosem, którego dzieje zaginęły. Zresztą w mojej historii są inne niedostatki.

*13 kwietnia 1917 roku*

Tego ranka Sally znalazła mnie w gabinecie, w którym spałem. Przyniosła tacę z kawą i kołaczami. Domyśliłem się, że czegoś chce.

Jeszcze nie wyjechała do Dallas.

– Jak tam ta wasza nowa broń?

– Przypuszczam, że podoba się Pułkownikowi.

– Czy takich używamy na wojnie? Czy używają ich Szkopy?

– My, oczywiście.

– Ale Szkopy też je mają?

– Ma się rozumieć – odpowiedziałem.

– No tak. Mam nadzieję, że dobrze się z nim bawiłeś. – Pokręciła głową. – Przez cały czas, kiedy strzelałeś, myślałam tylko o Glennie i Charliem.

– Domyślam się.

Stała, a ja wpatrywałem się w zmarszczki wokół jej oczu, coraz głębsze z każdym upływającym rokiem, jak moje. W porannym świetle przypominała mi matkę, jej jasne włosy i cerę... Ale Sally, inaczej niż mama, zawsze coś kombinuje. Choć dziś wyglądała na zmęczoną myśleniem. Podszedłem do niej i przytuliłem ją.

– Nie jestem pewna, czy mogę tu jeszcze zostać.

– Mówiłaś o tym.

– Mówię poważnie. – Wzruszyłem ramionami i puściłem ją, ale tym razem to ona mnie przyciągnęła. – Musimy się trzymać razem – szepnęła. I dodała: – Nie dotykałeś mnie od tygodni.

– Ty mnie również.

– Dotykałam, tylko nie zauważyłeś.

– Chłopcom nic się nie stanie.

– Pete... – zaczęła – ...czy na świecie jest taka osoba, z którą kiedykolwiek rozmawiałeś szczerze?

Nie wiedziałem, do czego zmierza.

– Nie ma nikogo poza tobą.

– Więc zacznij ode mnie – poprosiła. – Powiedz mi szczerze, co myślisz. Powiedz mi prawdę, a nie to, co, jak ci się wydaje, chciałabym usłyszeć.

– Mówisz głupstwa.

Spojrzała na mnie.

– Wiem, że za mało się staram. Wiem, że nigdy się nie starałam.

Co miałem jej powiedzieć? Że zawsze wiedziałem, że tu jest moje miejsce? Że któregoś dnia będę musiał coś przedsięwziąć, żeby udowodnić, że moje życie miało jakąś wartość? Czterdziestosześcioletni mężczyzna, który czeka na spełnienie przeznaczenia... Które już się pewnie dokonało.

– Obiecałeś mi, że zamieszkamy w mieście, kiedy chłopcy opuszczą dom.

– Wiem – odrzekłem.

– Mam jeszcze kilka lat przed sobą, mogłabym je ocalić. Kilku mężczyzn nadal uważa, że jestem atrakcyjna. Jeśli chcesz, żebym sama przeniosła się do San Antonio, powiedz. Bo w gruncie rzeczy jestem gotowa dzielić czas między tym ranczem a jakimś cywilizowanym miejscem, jeśli będziesz mi towarzyszył raz po raz.

– To miejsce bez mnie legnie w gruzach – stwierdziłem. – A Pułkownika nie można zostawić samego.

– Martwisz się o ojca.

– Ma osiemdziesiąt jeden lat.

Pokręciła głową. Spoglądała długo przez okno.

– Czy to twoja ostateczna decyzja?

*15 kwietnia 1917 roku*

Sally pojechała na stację. Przez ostatnie dwa dni kochaliśmy się cztery razy – więcej niż przez ostatni rok. Kiedy ją odwożem, ogarnęło mnie głębokie przygnębienie, poczułem bezsens samotności... parokrotnie puszczałem kierownicę samochodu... ale to też było bez sensu. Bo właściwie to wszystko było konieczne. Był jakiś większy plan. Czułem dziwne swędzenie pod czaszką, jak wtedy, kiedy najechaliśmy Garcíów, jak wielokrotnie, kiedy byłem młodszy, na przykład wtedy, kiedy Phineas chwycił za uzdę tego karego konia. Ojciec chciał, żebym ja to zrobił, ale nie mogłem przy tych wszystkich ludziach.

Kiedy wróciłem, było już ciemno, w domu także panowały ciemności, cisza i pustka. Dodałem kolejny wpis do listy, którą zacząłem w Austin i która początkowo nazywała się „Siedem rodzajów samotności” (mężczyzna i kobieta siedzący obok siebie, chłopiec trzymający matkę za nogę, zimny deszcz, krakanie kruków, śmiech dziewczyny na kamiennej ulicy, czterech przechadzających się policjantów, myśl o ojcu); oczywiście lista liczyła obecnie kilkaset pozycji. Powinienem był spalić ją dawno temu, ale zamiast tego dodałem kolejny punkt: „Cichy dom”.

Jutro zwolnię całą służbę z wyjątkiem Consueli i jednej czy dwóch pokojówek. Nie będą mieli problemów ze znalezieniem pracy – niemal wszyscy mężczyźni trafiają do wojska – dam im trzymiesięczną

odprawę.

Usiłowałem usnąć, ale po kilku godzinach wstałem i zacząłem chodzić po domu, zapalając światła. Słyszałem, jak wiatr gruchocze szybami w oknach po drugiej stronie budynku. W końcu, nie mogąc już dłużej tego znieść, poszedłem sprawdzić, czy ojciec nadal nie śpi.





## Eli/Tiehteti

*Jesień 1851 roku*

Pizon i pozostali, pędząc przed sobą tysiąc skradzionych koni, dotarli do wioski tydzień przed nami; nadal wracali do niej pojedynczy maruderzy. Straciliśmy jedenastu wojowników, ale wypad był uznawany po cichu za triumf. Wiedzieliśmy oczywiście, że odnosząc takie triumfy, stracimy mężczyzn, którzy dosiadają wierzchowców.

Krótsze i mniej liczne wypadki trwały przez całe lato, wybierali się na nie głównie młodzi wojownicy, którzy potrzebowali koni i skalpów, zarówno po to, żeby się ożenić, jak i udowodnić swoją pozycję. Wojsko niemal ukończyło budowę drugiej linii fortów – od Belknap przez Abilene do Mason – ale wielu osadników przeskakiwało przez nią. Dla weteranów najbardziej złowieszczym znakiem było pojawianie się miododajnych ewodii, które poprzedzały linię osadnictwa o sto mil albo i więcej, a teraz docierały do obrzeży Llano. Byliśmy szczęśliwi, znajdując miód, ale wiedzieliśmy, co to oznacza.

*Comancheros* dowiedzieli się jakoś, że znów jesteśmy zamożni, a ja przekonałem Toshawaya, żeby podwoił cenę za sprzedawane przez nas konie. Wcześniej dobrego konia można było dostać za garść szklanych paciorków i parę jardów perkalu, teraz potrzebowaliśmy więcej amunicji i części do broni, więcej stalowych grotów i żywności. Zostałem w wiosce, polowałem i ujeżdżałem konie, ale większość czasu poświęcałem Kwiatu Prerii, która mogła już pokazywać się ze mną publicznie, gdyż mój status dorównywał pozycji *Ntutkaru* czy nawet *Escuté*, nawet jeśli ustępowałem im pod względem umiejętności.

Najważniejszym wydarzeniem końca lata było pojmanie młodego myśliwego, który wraz z towarzyszami zabijał bizona. Wszyscy oni przecenili ochronę, jaką dawało im wojsko i Rangersi. Dopadliśmy ich w dolnych rejonach kanionu Palo Duro i po krótkiej strzelaninie wybiliśmy wszystkich, oprócz jednego. Wyczołgał się spod wozu z uniesionymi rękami, a ja – wiedząc, co go czeka – natychmiast napiąłem cięgiwę. Pizon odepchnął mnie, a strzała minęła młokosa

daleko.

Miał dwadzieścia parę lat, jasne włosy, brodę, niebieskie oczy i niewinny wygląd. Byłem uszczęśliwiony, zdobywszy jego formy na kule Springfield and Minie, ale prawdziwą zdobyczą był on sam. Ponieważ żył, nie był ranny i znajdował się blisko wioski, postanowiliśmy zabrać go do obozu i poddać torturom. To wywołało wielkie podniecenie i w obozie przerwano wszelkie prace. Wyglądało to tak, jakby zawitał cyrk albo ogłoszono publiczne wieszanie, jak to robią biali. Musiał spodziewać się tego, co się z nim stanie, bo błagał mnie o pomoc, ale nic nie mogłem zrobić, a kilku nowych jeńców, których pozycja była mniej pewna, skopało go po twarzy, chcąc udowodnić swoją lojalność.

Torturowanie jeńca było uznawane za najwyższy zaszczyt, jaki mógł przypaść w udziale kobietom z wioski i w tym celu zebrała się rada staruch, obok których zasiadły młodsze niewiasty. Kwiat Prerii był niepokieszony, że nie wybrano jej do rady.

Myśliwy został rozebrany do naga, dłonie i stopy przywiązano mu do pali w taki sposób, że zawisł w powietrzu, a kobiety zaczęły wyśmiewać jego jasne włosy i skurczone ze strachu genitalia. Jedna usiadła na nim okrakiem, udając ku uciesze pozostałych, że z nim spółkuje. Zebrała się prawie cała wioska, włącznie z dziećmi, które stały lub siedziały na ramionach rodziców, tak jak mali świadkowie publicznego wieszania w mieście. Kobiety ułożyły cztery małe stosiki, po jednym pod każdą ręką i nogą. Dokładano do ognia ostrożnie, tak by płomień nie buchał wysoko, lecz stawały się coraz gorętsze, do chwili aż przestał wrzeszczeć, co oznaczało, że nerwy obumierały. Wówczas znów dokładały do ognia po jednej krótkiej gałązce, a on zaczynał śpiewać. Ochrypl od wrzasków, a dzieci naśladowały jego głos z wielką radością. Późnym popołudniem nie był w stanie wydać z siebie choćby jęku, a ja zastanawiałem się, czy przerwał sobie struny głosowe. Przy kolacji nakarmiono go wywarem i napojono wodą, jego ciało pokrzepiło się ochoczo, choć on sam musiał wiedzieć, dlaczego jest karmiony. Później znów go nakarmiły, a ja podszedłem bliżej, przypuszczając, że traci przytomność, ale rozpoznał mnie i błagał, żebym go zabił, jak chrześcijanin chrześcijanina. Stałem nad nim i zastanawiałem się, dobrze wiedząc, czego sam bym chciał w takiej sytuacji, a potem odwróciłem się i poszedłem do tipi, przy którym zdybał mnie Toshaway.

– Wiem, co kombinujesz, Tiehteti. Wszyscy się domyślą, a kara

będzie surowa. Bardziej niż ci się wydaje.

– Nic nie kombinuję – odrzekłem. – On strzelał do naszych bizonów.

– Tak jest – mruknął. – Tak jest, Tiehteti.

Tamtej nocy Kwiat Prerii była rozpalona. Staralem się, jak mogłem, ale po drugim razie przeszła mi ochota. Ocierała się o mnie, aż w końcu ją powstrzymałem.

– Zazwyczaj nie mogę się opędzić od Nttukaru i Escuté – powiedziała. Teraz wyjechali na wyprawę, więc mieliśmy tipi tylko dla siebie. – Ale kiedy naprawdę by mi się przydali...

– Jestem pewny, że inni jeszcze nie śpią, jeśli tego naprawdę chcesz.

– Wiesz, że nie. – Przytuliła się do mnie. – Co się dzieje?

– Nic.

– To przez tego białego, prawda? – Pokręciłem głową. – Dobrze – mruknęła. – Przepraszam, że jestem tak rozbudzona.

– Daj mi chwilę.

– Nie martw się.

– Spróbuję – przyrzekłem. Ale nie mogłem.

Rano, tuż po śniadaniu, obcięli mu dłonie i stopy, gdzie nerwy obumarły, a kiedy znów ucichł, rozpalili ogień pod kikutami, gdzie nerwy jeszcze żyły. Towarzyszyło mu mniej widzów, a choć wrzask przypiekanego żywca wypełniał całą wioskę, zaczęto go traktować jako coś normalnego.

Toshaway wytłumaczył mi, że kiedyś tak postępowano z jeńcami, ale wraz z upływem lat, odkąd wyprawy wojenne oddalały się coraz bardziej od obozowiska, ryzyko przywożenia do wioski dorosłego mężczyzny tylko po to, żeby go torturować, przestało się opłacać.

– Jadę na polowanie – mruknąłem. Spojrzał na mnie. – Nic mi nie jest – powiedziałem.

Kiedy nie chce się widzieć węży, są wszędzie, a kiedy potrzebuje się węża, nigdzie nie można go znaleźć. Niektórzy wojownicy doili grzechotniki i wcierali jad w wojenne strzały, ale ja napociłem się przy swoim orężu tak bardzo, że wolałem nie ryzykować. Mimo to wiedziałem, jak doi się grzechotniki i po całym dniu poszukiwań trafiłem późnym popołudniem na wielkiego *wutsutsuki*, który wygrzewał się na skale w słońcu. Kiedy przestał się rzucać, obciąłem mu łeb i zawiązałem w skórę.

Drugiej nocy myśliwy dostał trochę wywaru i wody. Miał już tylko z pięćdziesięciu widzów, którzy siedzieli wokół, jedli i obserwowali go. Położyłem się spać o normalnej porze, a potem odczekałem, aż

ucichną rozmowy. Nocne niebo było zachmurzone, niemal czarne, co odebrałem jako dobry znak. Podkradłem się do przywiązanego do pali myśliwego. Kiedy znalazłem się bliżej, z jego ust wydobył się jakiś odgłos. Mógł powiedzieć „proszę” albo w ogóle już nic nie mówił.

To był głupi plan: ciemno, małe ostre zęby węża i okaleczony człowiek. Tyłem noża wydołem paszczę węża z jadu prosto w jego usta. Spadła zaledwie kropla czy dwie, ale zaczął się szarpać.

– Niech to w ciebie wnuknie – szepnąłem. – Nie trzymaj tego w ustach.

Zrobiłem mu lekkie nacięcie na szyi i wycisnąłem resztę jadu w tę ranę. Skaleczyłem się przy tym w dłoń. Jego oddech przyśpieszył. Odszedłem i obmyłem się w strumieniu.

Kiedy wróciłem do tipi, Kwiat Prerii leżała na pościeli tak podniecona jak poprzedniej nocy. Kiedy skończyliśmy, zapytała:

- Gdzie byłeś?
- Chodziłem.
- Mokry?

Drętwiało mi ramię. Po chwili sam zadałem jej pytanie:

– Czy to ci nie przeszkadzało? To, co robili temu człowiekowi? – To zabrzmiało głośniejsz niż chciałem. – Dlatego, że jest biały?

- Nie wiem. Ale lepiej z nikim o tym nie rozmawiaj.
- Nie rozmawiam. Nie będę.

– Nawet ze mną – powiedziała. Zapadła cisza. – Wiem, że nie jesteś słaby. Wszyscy wiedzą, że nie jesteś. – Dobierała starannie słowa. – Toshaway mówi, że zostaniesz wodzem. Szyją ci okrycie z bizona, ale to miała być niespodzianka.

– Pytałem tylko, jak się z tym czułaś?

– Na tym okryciu będzie pokazane, jak zabiłeś Delawara, jak zaczarowałaś jego strzały i jak ocaliłeś Toshawaya przed żołnierzami. Ale to ma być niespodzianka. – Po chwili dodała: – Ten człowiek jest biały. Przemyśl to sobie.

– Tam, gdzie dorastałem, nie robiliśmy takich rzeczy.

Odsunęła się ode mnie.

– Wiesz, nie zawsze byłem Kotsoteka – szepnęła.

– Nie wiedziałem.

– Kiedy byłem *tuepuru*, może sześciioletnią dziewczynką, Teksańczycy najechali mój szczerp. Mój brat kazał siostrze i mnie wskoczyć do rzeki i odpłynąć. Bratu odstrzelili głowę w wodzie, strzelali też do mnie, ale nie trafili. Następnego dnia wróciliśmy z siostrą do wioski

i znalazłyśmy mamę razem ze stoma innymi martwymi kobietami, martwymi starcami i dziećmi. Teksańczycy obcięli mamie głowę i nabili ją na tyczkę w ziemi, wzięli *tutsuwai* i wbili jej między nogi, a wokół było tyle krwi, że domyśliłyśmy się, że zrobili to, kiedy jeszcze żyła. Przy szyi nie było krwi, więc wiedziałyśmy, że obcięli jej głowę, kiedy była martwa. Urodziłam się *Pena tuhka*, ale zostałam Kotsoteka.

– To samo stało się z moją mamą i siostrą – powiedziałem jej. – I z moim bratem.

– Tiehteti – szepnęła – to nieprawda. – Sięgnęła po odzienie i zaczęła się ubierać, a ja postanowiłem, że to już mnie nie obejdzie. Oczywiście miała rację: ona mogła mówić o swojej rodzinie, a ja nie mogłem, bo jeśli moja rodzina nie wywodziła się z plemienia Komanczów, to tak, jakby nie istniała. – Możesz mnie poprosić, żebym została, jeśli chcesz – mruknęła.

Nie odpowiedziałem, usłyszałem jej ciche łkanie, więc chwyciłem ją i przyciągnąłem do siebie.

– Nie będę już o tym mówił – obiecałem.

Wzruszyła ramionami. Rozebrała się, leżeliśmy przytuleni do siebie, a w końcu usnęła. Nie spałem, zastanawiałem się, czy drętwienie ręki przenosi się na bok tułowia czy tylko to sobie wyobrażam. A potem myślałem o ojcu. Na początku lat czterdziestych odnosiliśmy tak niewiele zwycięstw nad Komanczami, że kiedy się pojawiały, wieść o nich obiegała cały stan. W tamtych latach była tylko jedna kampania, podczas której zabito wielu Komanczów – ekspedycja Moore'a nad rzekę Kolorado. Moore twierdził, że zabił ponad stu pięćdziesięciu wojowników, ale towarzyszyła temu plotka, że były to raczej kobiety i dzieci, a wojownicy byli na łowach, kiedy ekspedycja dotarła do obozowiska Indian. Mój ojciec towarzyszył Moore'owi i czasem opowiadał o tej wyprawie – tak samo, jak mówił o wszystkim innym. Coś się zwyczajnie wydarzyło. Mali Indianie stali się dużymi Indianami. Wszyscy to wiedzieli.

Kwiat Prerii pocałowała mnie przez sen.

– Jesteś dobry – szepnęła. – Jesteś uczciwy i dobry, i niczego się nie boisz.

Następnego ranka biały myśliwy już nie żył. Miał spuchniętą twarz i szyję, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Większość była rozczarowana. Szybka śmierć białego była kolejnym złym znakiem mówiącym o przemijaniu tradycji: kiedyś torturowani jeńcy wytrzymywali dwa albo trzy dni dłużej.

Jeśli ktokolwiek podejrzewał, że maczałem w tym palce, nie powiedziano mi o tym. Każdą noc spędzałem z Kwiatem Prerii, a Toshaway zaproponował, że pożyczy mi konie na zapłatę za przyszłą żonę. Odchrząknął i dodał znacznie ciszej, że teraz pięćdziesiąt koni byłoby zbyt wygórowaną ceną. Czasy się zmieniły.

Uhonorowano mnie okryciem ze skóry bizona i moim własnym tipi. Zapowiadało się, że rok okaże się dobry. Nadeszła jesień, padały ulewne deszcze, upały odeszły znad równin. Noce były rześkie, dni słoneczne, łowy dobre, a ja zacząłem planować życie z Kwiatem Prerii.

Kilka tygodni po śmierci łowcy bizonów Indianie zaczęli chorować.



# 26

## Jeannie

*Lato 1945 roku*

Nadeszło Zwycięstwo i przez kilka tygodni wydawało się, że wszystko będzie inne, ale tak się nie stało. Jej bracia nie wrócili, *vaqueros* zajmowali się bez niej swoimi sprawami – nie widziała powodu, żeby pomagać im w traceniu pieniędzy. Kilka razy pakowała walizkę, czując się na tyle zdesperowana, żeby skorzystać z propozycji Jonasa, ale nigdy nie zdołała do niego wyruszyć, zanim zmieniła zdanie. Była pewna, że w Berlinie, gdyby go tam znalazła, byłoby tak samo jak w Princeton – porzuciłby ją w taki czy inny sposób.

Była przede wszystkim znudzona. Robiła dla kucharza sprawunki w Carrizo (zawsze zapominając o tym czy tamtym), wyjeżdżała do San Antonio, gdzie znało ją kilku krawców, którzy obiecywali przedstawić ją młodym mężczyznom, ale nigdy tego nie zrobili. Odwiedziła Phineasa, spodziewając się, że złoży jej propozycję zamieszkania w wielkim domu wychodzącym na całe Austin. Uważała, że mogłaby siedzieć na jego werandzie i dyskutować z nim do późna w nocy, ale stryj wolał własne towarzystwo (*Jesteś już dojrzałą kobietą* – tak to ujął), więc zatrzymała się w Driskill.

To był dobry rok dla ziemi. Trawa nie zżółkła. Mając tyle wybornej paszy, mogłaby kupić kilkaset hodowlanych zwierząt, ale bydło stało się luksusem, tak samo konie, nawet trawa była luksusem: uboższe rancza przypominały teraz klepiska. Tak czy inaczej, wolała trawę od krów.

Raz w tygodniu siodłała ojcowskiego konia, Generała Lee, i zabierała go na przejażdżkę. Sullivan sprzeciwiał się temu – chciał zastrzelić zwierzę i pewnie miał rację. Generał Lee zaskakiwał ją wielokrotnie. Stał spokojnie, pozwalając się siodłać, a potem, kiedy wkładała nogę w strzemień, zaczynał wierzgać. Starał się chodzić prosto, ale zrzucił ją więcej niż raz. Powinieneś być wdzięczny, przekonywała go. Jestem jedynym powodem, dla którego żyjesz. Ale nie był wdzięczny. Musiał się domyślać, że go nie ceni albo że ma ambiwalentne uczucia, albo



zwyczajnie nudził się tak jak ona, bo nie miał pracy ani żadnych perspektyw, a kiedy trwa to zbyt długo, złe nawyki biorą górę.

Kiedyś w Teksasie było pełno dzikich koni – pięć milionów, dziesięć, nikt tego nie wiedział. Ale konie te schwytano i wysłano Anglikom podczas I wojny. Pomiędzy wojnami powstały fabryki utylizacji odpadów zwierzęcych, a Teksas został oczyszczony z tych zwierząt. W czasach jej dzieciństwa większość starych kowbojskich koni wysyłano do wschodniego Teksasu, gdzie zaprzęgano je do pług, ale to się zmieniło wraz z nastaniem traktorów. Stare konie przerabiano na paszę dla innych zwierząt.

Liczyła się tylko ropa. Podczas wojny alianci spalili siedem miliardów baryłek, z czego dziewięćdziesiąt procent pochodziło z Ameryki, głównie z Teksasu. The Big Inch i Little Big Inch<sup>[14]</sup>: bez nich nie byłoby inwazji w Normandii. Alianci płynęli ku zwycięstwu na morzu teksańskiej ropy. Czasem zastanawiała się, czy gdyby nie ukończono budowy rurociągów, nie odwołano by wyzwolenia Europy, dzięki czemu Paul i Clint przeżyliby. A może wojna nadal by trwała? Może zginąłby również Jonas? Wszyscy tak mówili: jeśli nie stałoby się to czy tamto, wojna nigdy by się nie skończyła. Nie wiedziała, czy w to wierzyć. Ludzie, którzy to powtarzali zachowywali się jak jeźdźcy zrzućeni z koni podczas zsiadania. A jeśli chodzi o koniec wojny: okazało się, że Rosjanie są tak samo źli jak Hitler.

Nie, nie pojedzie do Europy. Nie podąży za bratem jak kundel. Coś się zmieni. Czowała to.

Odkąd *vaqueros* zajęli się gryzpiórkiem, nikt jej już nie nachodził, ale któregoś dnia nadszedł list od dyrektora Humble Oil. Chciał ją zaprosić na lunch.

Spotkali się w mieście, był elegancko ubrany, miał szlachetne rysy i schludny przedziałek w siwiejących włosach. Był przystojny i opalony, od razu go polubiła, a gdy tylko zamówili steki, zaferował jej cztery miliony plus dwadzieścia pięć procent z zysków.

To było dwa razy więcej niż proponował Southern Minerals, ale udała, że się głęboko namyśla, a potem zapytała:

– Co jeszcze nam dacie? – Nie zmienił miłego wyrazu twarzy. – Wiem, że zakładacie ludziom bramy na kółkach, ale my już je mamy.

– A czego jeszcze potrzebujecie? – zapytał.

– A gdybym poprosiła was o odchwaszczenie ziemi w promieniu... – zastanawiała się nad odpowiednio dużą liczbą – ...pięciu tysięcy stóp od każdego szybu?

– Życzy sobie panienka, żebyśmy pozbyli się jadłoszynów? – Kiwnęła głową. – Chce panienka, żebyśmy odchwaścili pięćset sześćdziesiąt osiem akrów z jadłoszynu wokół każdego szybu?

Jak on to policzył? Nie miała pojęcia, jak tego dokonał bez pióra i kartki papieru. Ale wiedziała, że nie może ujawnić swej ignorancji, więc mruknęła:

– Chcemy, żebyście odchwaścili ziemię wokół każdego szybu bez względu na to, czy jest w nim ropa czy nie.

Roześmiał się jak Phineas.

– Kochanie, zdajesz sobie sprawę, że w południowym Teksasie jest mnóstwo miejsc, w których potwierdzono złoża ropy, a żaden z właścicieli nie żądał tego rodzaju wodotrysków.

– Wiem, że zapłaciliście trzy i pół miliona plus procent za King Ranch – oznajmiła. – Przed dziesięcioma laty. Bez potwierdzania złóż ropy. I wiem też, że zajęliście się ziemią, bo jestem dobrą znajomą Boba Kleberga.

Zapadła cisza, która trwała i trwała. Na dworze było gwarno, ludzie ubrani w garnitury szli na lunch lub robili zakupy. Zaczęła przeproszać, że posunęła się za daleko, ale przecież to on czegoś od niej chciał, tak jak ten poprzedni, więc umilkła i siedziała w ciszy, jakby nic się nie stało. Mężczyzna wyglądał przez okno. Zwróciła uwagę na jego jasne oczy i drobne rysy – męskie, ale wyraziste – musiał je odziedziczyć po matce. Był uderzająco przystojnym mężczyzną. I zapewne zdawał sobie z tego sprawę nie gorzej od niej. Wyglądało na to, że podejmuje jakąś decyzję. Dokonywał osądu.

– Żałuję, że nie możemy zaoferować więcej, ale... – Rozłożył ręce.

– A gdybyśmy podłączyli się do waszego rurociągu?

– To zabawne – mruknął.

– Cóż, obecnie nie płynie nim zbyt wiele ropy. Rury wam zardzewieją.

– Jeśli myśli panienka o wierceniu własnej ropy, panno McCullough, to zapewniam, że nie ma pewniejszego sposobu na bankructwo. Skończy pani w czynszówce z Murzynami i nierobami. Jeśli przyjmiecie naszą ofertę, ta ziemia będzie utrzymywać waszą rodzinę przez kilka następnych stuleci, a pani nie zabrudzi sobie nawet paluszka, chyba że atramentem podczas podpisywania dzierżawy.

Wiedziała, że ten człowiek nie ma racji, ale nie wiedziała dlaczego, domyślała się, że jeśli powie choćby słowo, obnaży swoją ignorancję – jeśli nie zrobiła tego do tej pory. Zabrała torebkę, uściśnęła mu dłoń i wyszła z restauracji, zanim podano jedzenie. Stek kosztował trzy

dolary i zastanawiała się, czy nie powinna była zostawić pieniędzy. Nie. Zwolniła kroku, idąc ulicą miasta nazwanego na cześć jej rodziny, mijając cienie markiz, zaparkowane samochody, spoglądając na jasne niebo między kamiennymi frontonami sklepów. Cztery miliony dolarów. To niewiele dla niej znaczyło. Mówiąc szczerze, czuła większy żal z powodu trzydolarowego steku.

Potem poczuła się głupio. Wcale nie była dorosła, była dziewczyną, księgowa mówiła, że będzie winna rządowi pięć milionów dolarów w podatkach gruntowych – to też nie wydawało się rzeczywiste. Mogą przedłużyć rurociąg, ale będą musieli wiercić i to szybko. Chodziło o to, żeby znaleźć właściwych ludzi. Phineas mówił, żeby się nie martwiła, ale ona i tak nie miała zamiaru się przejmować.

Droga z miejskiej zamieniła się w wiejską. Mijała domy Meksykanów, ich brudne zaułki, drzwi, które się nie zamykały, ludzi żyjących po dziesięciore w jednej izbie, kawałki mięsa wiszące na słońcu, przyciągające muchy. Była pewna, że powinna zawrócić i złapać dyrektora Humble, zanim wyjedzie z miasta. Ale nie zwolniła kroku. Wokół kolczaste zarośla i ziemia uprawna. Najlepsze wyjściowe pantofle tonęły w kurzu – zniszczy je. Postępowała głupio, rozmawiając z ludźmi za plecami Phineasa. Postąpiła głupio, wspominając o rurociągu. Nie powinna uczestniczyć sama w takich spotkaniach. Ale to też nie miało sensu. Phineas nie będzie żył wiecznie, nie różnił się niczym od jej ojca.

Ed Freeman stał na polu cebuli i grzebał przy rurach doprowadzających wodę. Ciekawe, czy oddał ojcu pieniądze? Pomachała do niego, a on spojrzał tak, jakby coś jej groziło, jakby musiał śpieszyć jej z pomocą. Szła dalej wzdłuż rowu, a pot spływał jej już po plecach.

Ojciec pozwolił, żeby nienawidziła matematyki, mówił, że to nie ma znaczenia, czy będzie z niej dobra czy zła. W tym również się mylił. Matematyka miała znaczenie. Co obliczył ten dyrektor? Pięć tysięcy razy pięć tysięcy? Nie, to było jakieś zadanie geometryczne. Nie mam najmniejszego pojęcia jakie, pomyślała.

Minął ją wolno toczący się w pyle samochód: biały wiózł czterech Meksykanów do pracy. Numer rejestracyjny 7916. Siedemdziesiąt dziewięć razy szesnaście. To niemożliwe. Nie wiedziała, jak on to zrobił. Ale policzył.

Kiedy tylko wróciła do domu, zadzwoniła do Phineasa i powiedziała mu o wszystkim, nawet o tym, że zapytała o rurociąg. Mruknął, żeby

się nie martwiła: nie powiedziała mu niczego, o czym by nie wiedzieli. Poczwała ulgę, ale Phineas nie przestał mówić. Zaprosił ją do Austin. Chciał, żeby kogoś poznała.

[\[14\]](#) Dwa rurociągi poprowadzone w czasach II wojny światowej ze wschodniego Teksasu do stanów północno-wschodnich [przyp. tłum.].



## Dzienniki Petera McCullougha

*17 kwietnia 1917 roku*

- Czy zajmie się pan uprawą ziemi, Pułkowniku?
- Oczywiście – odparł. – To naturalna kolej rzeczy.

Jest ich chyba pięćdziesięciu, wszyscy w odświętnych garniturach, jedzą polędwicę i piją bordo w dużym salonie, słuchając jak Pułkownik zachwala cudowny południowy klimat. Zastanawiam się, czy nie wyjść z cienia na werandzie i nie powiedzieć, że ojciec strzela do farmerów, którzy domagają się od nas myta za pędzenie bydła. Przez całe życie powtarzał, że dłubanie w ziemi to najpodlejsza forma ludzkiej egzystencji. Twierdzi, że odziedziczył to przekonanie po Indianach, choć „dłubanie w ziemi” jest powszechne wśród wszystkich jeżdżących na koniach, od hodowców bydła po najuboższych *vaquero*.

- ...zimowe ogrody Teksasu – ciągnie – dwieście osiemdziesiąt osiem słonecznych dni... zapomnicie, czym jest odgarnianie śniegu. – Lekki aplauz. – Co więcej, przekonacie się, że jest tu znacznie mniej postępowych kobiet, niż, dajmy na to, w Illinois.

Śmiech i oklaski. Zatykam uszy. Postanawiam się przejść. Rzecz jasna pokażą im tylko najlepsze farmy: nie te, na których woda jest tak słona, że nie nadaje się do nawadniania; nie te ze starych pomiarów, rozparcelowane mniej niż dziesięć lat temu, bo większość z nich jest już ziemią jałową najniższej klasy. Gleba obumarła, jak ta, którą można zobaczyć w Chihuahua.

*18 kwietnia 1917 roku*

Wpadłem w sklepie na syna Midkiffa, Raymonda. Po południu pędził drogą kilka cielaków, kiedy natknął się na ukrytą pod jakimiś drzewami karawanę farmerów z Illinois. Stali przy drodze, przyglądając się kulom gradu wielkości pomarańczy, rozprawiając o tym, że o mała nie zginęli. Jeden z nich zawołał Raymonda i zapytał, czy taka pogoda

to jakiś wybryk natury.

– Jasna sprawa – odpowiedział Raymond. – Ale szkoda, że nie byliście tu w zeszłym roku, jak padał deszcz!

Kiedy Pułkownik wrócił do domu, był wściekły i powiedział, że musimy zwolnić tego miękkiego zezowatego kutasa, który pędził pręgowane cielaki drogą. Wytłumaczyłem mu, że nie możemy zwolnić Raymonda. Odpowiedział: w porządku, więc go zastrzelmy. Przypomniałem mu, że Midkiffowie to nasi sąsiedzi.

Oczywiście wszyscy farmerzy uznali, że Midkiff żartował. Nawodnione pola przynoszą obfite plony. Ludziom tym brakuje jakiegokolwiek punktu odniesienia, żeby zrozumieć ten kraj. Kilku z nich powtarzało starą mądrość: „Jak się orze, to pada”. Zastanawiam się, w którym stuleciu żyją.

Wszystko to sprawia, że z jakiegoś powodu czuję nieznośną samotność... ale zawsze byłem gorliwym badaczem tego stanu emocjonalnego.

*19 kwietnia 1917 roku*

Całe Ranczo Pinkarda – ponad sto działek – rozparcelowano i sprzedano. Rodzina przenosi się do Dallas. Pojechałem odwiedzić Eldridge'a Pinkarda. Nie potrafił spojrzeć mi w oczy. Jesteśmy niemal w tym samym wieku – jego ojciec osiadł w tej krainie niedługo po Pułkowniku.

– Któregoś dnia bank zabrałby wszystko, Pete. – Wzruszył ramionami. – Nawet przy tych cenach wołowiny, susza... Musiałem wyjąć pieniądze z rancza, póki jeszcze cokolwiek zostało.

– Słyszałem, że kupiłeś coś w Cross Timbers.

Zaśmiał się gorzko.

– Całe dwie działki.

– Wpuścisz tam parę sztuk.

Wzruszył ramionami i kopnął czubkiem buta w ziemię, podniósł wzrok na swoje dawne pastwiska.

– Zanim zaczniesz myśleć, że jestem gównem warty...

– Nie myślę tak – skłamałem.

– Myślisz, ale doceniam, że nie chcesz robić mi przykrości. Nie chciałem tego mówić tym, co tu zostają, ale znamy się od czasów,

kiedy żyli tu Indianie...

– Jasne – odpowiedziałem.

– Trzymałem gębę na kłódkę, póki nie zacząłem gadać o tym z Eustice'em Caswellem z komisji poborowej... – Kręcił głową. – Za rok, Pete, wszyscy zdrowi mężczyźni popłyną za morze. A ja nie mogę się nawet wyszczać, żeby jakiś akwizytor obligacji nie zawracał mi dupy o dziesięć dolarów. Ale... mówiąc szczerze, zazdroszczę tym chłopakom, którzy płyną do Europy, bo kiedy dotrą do Francji, zobaczą więcej świata niż ja dotąd widziałem. A kiedy to zrozumiałem, pomyślałem, że mam ostatnią szansę w życiu. I byłbym głupcem, gdybym z niej nie skorzystał.

– Pewnie tak.

– To nie tak, że nasi ojcowie tu dorastali, Pete. Nie tak, że ludzie żyją tu od pokoleń. To tylko miejsce, w którym się zatrzymali.

– Ogrodzenia zabrały nam wszystko – powiedziałem.

Miałem wrażenie, że zaraz się rozplącze, ale nie zrobił tego. Nie był uszczęśliwiony, ale nie był też zrozpaczony. Podobała mu się myśl, że może stąd wyjechać.

– Wiesz, gdybym tu został, wybudowałbym drogi przez całe ranczo, tak żebym mógł je prowadzić z czterema ludźmi, żebym mógł dojechać wszędzie w dziesięć minut, zamiast cztery godziny, żebym każdego dnia mógł jeść kolację w domu i pasać bydło z ciężarówek. Wszystko da się zrobić, jak człowiek trochę pogłókuje. Ale nawet wtedy... – Podniósł nogę i zmiażdżył obcasem pęd jadłoszynu. – Bądźmy szczerzy, Pete. Ta ziemia jest do niczego. Szkoda, że jej nie fotografowali, kiedy byliśmy dziećmi, bo nie chcę pamiętać jej takiej, jak teraz.

Kiedy wróciłem do domu, ojciec stwierdził, że wiedział o tym od miesięcy – kupił połowę zasobów mineralnych pod ziemią Pinkarda. Zapytałem go, czym za nie zapłacimy.

– Postanowiłem sprzedać pastwiska za Nueces.

– To gdzie będziemy trzymać byki?

– Po odjęciu prowizji dla agenta dostaniemy trzydzieści jeden i pół dolara za akr. Możemy odgrodzić, co nam się żywnie podoba. Pieniądzy wystarczy na minerały Pinkardów i połowę ziemi Garciov.

– Te pastwiska widać z każdego wzniesienia na naszej ziemi – mruknąłem.

– I co z tego? Będziemy sobie patrzeć na ładne córki farmerów.



– A jeśli odmówię podpisania aktu sprzedaży?

– Możesz robić, co chcesz – odrzekł.

Tyle tylko, że nie mogłem. Podpisałem, wiedział, że podpiszę. Pocięczałem się, że dojazd na pastwiska za Nueces i tak był niewygodny. Pułkownik uspokajał mnie, podkreślając, że zachowaliśmy prawa do zasobów mineralnych.

– Wiadomo przecież, że sama ziemia jest gównem warta – oznajmił. – Na szczęście ci durni jankesi byli zbyt zajęci chwaleniem się swoimi college'ami, żeby to zmiarkować.

W porządku, tylko że pastwiska za Nueces były jedynym rozsądnym miejscem do trzymania byków. Teraz będzie trudniej kontrolować hodowlę, będzie więcej pracy – dla nas i dla *vaqueros* – i wszystko będzie droższe. Co się tyczy minerałów: wzdłuż wielkiej rzeki prowadzono liczne odwierty. Ciężarówki i robotnicy nie zwracają już niczyjej uwagi. Ceny za dzierżawę podskoczyły trzykrotnie. Ale i tak najbliższe poszczęściło im się w Piedras Pintas, daleko na wschodzie, choć nie wydobywają tam więcej niż kilkaset baryłek dziennie. Reszta to gaz, który póki co jest bezużyteczny.

## 26 kwietnia 1917 roku

Pułkownik, którego nie było przez tydzień, wrócił dziś z Wichita Falls z prawie nowym obrotowym sprzętem do wierceń na kilku starych ciężarówkach. Twierdzi, że dostał go za dobrą cenę.

– Gość, który go miał, zbankrutował – powiedział mi, jakby na pocieszenie.

Przyjechał z nim pijany facet, który twierdzi, że jest geologiem. I drugi pijak, który mieni się wiertaczem. Pijacy numer trzy, cztery i pięć stawiają wieże wiertnicze. Wyglądają tak, jakby spali w gnojówce.

– Skąd ich wytrzasnąłeś? – zapytałem ojca.

– Wichita Falls – odrzekł, jakbym nie wiedział, skąd wraca.

– Stawiamy więcej studni z wiatrakami?

– Spokojna twoja głowa.

Pojechał wraz z geologiem oglądać piaszczyste pastwiska Garcíów. Budowniczy wieży, narzędziowy i wiertacz rozsiedli się na jego werandzie, żeby dalej pić.

4 maja 1917 roku

Nie znalazłszy niczego lepszego, wyznaczyli miejsce wierceń jakieś pół mili od domu na podstawie mglistego wspomnienia wycieku, który ojciec mógł widzieć przed pięćdziesięcioma laty i który nie pojawił się od tamtej pory.

– To ciekawe miejsce – powiedziałem mu – które będziemy widzieć i słyszeć z domu. Domyślam się, że na blisko czterystu działkach nie było lepszego.

– Powiedział mi o nim mrówkolew. Zawsze słuchaj mrówkolwów. Czasami nie wiem, czy bierze mnie za głupka, czy sam nim jest.

27 maja 1917 roku

Wśród Meksykanów wybucha panika. Sześciu naszych najlepszych *vaqueros*, w tym Aarón i Faustino Rodriguez, poinformowało mnie, że rezygnują z pracy i wracają do Meksyku, bo ich zdaniem rodziny nie będą teraz bezpieczne. Powód: dobrzy ludzie w Austin uchwalili sfinansowanie powiększenia szeregów Rangersów. Liczba Rangersów na granicy zwiększy się do ośmiuset (obecnie było ich czterdziestu). Próbowałem im wytłumaczyć, że Meksyk jest obecnie strefą wojny. Nic im to nie przeszkadza. Tam jest bezpieczniej niż tu, mówią.

Freddy Ramirez (nasz *segundo*, który pierwszy przyłapał Garciów na kradzieży bydła) również złożył wypowiedzenie. Fabryki w Michigan nadal przyjmują Meksykanów. Tak przynajmniej słyszał. Próbowałem obrócić wszystko w żart:

– Michigan? *Muy frío!* – Tarłem dłońmi ramiona.

Nie uznał tego za zabawne.

– Zimno przetrzymamy. *Rinches* pewnie nie.

Ojciec nie dba o to, że stracimy siedmiu najlepszych pracowników. Połowę zatrudnionych wyznaczył do pomocy w stawianiu wieży oraz przywożenia potrzebnego sprzętu i zapasów. Rozpoczęli wiercenia. Łoskot jest nie do zniesienia. Kiedyś słyszeliśmy tylko ryk krów czy skrzypienie wiatraków, teraz czuję się jak na stacji kolejowej, choć pociąg nie przyjeżdża, nie odjeżdża ani nie cichnie. Ze względu na upał wszystkie okna są otwarte. Chodzę z watą w uszach.

19 czerwca 1917 roku

Wiercenia trwają dalej, ale do tej pory znajdują tylko piach. Tymczasem, z powodu sprzedaży Rancza Pinkarda i innych mniejszych podobnych posiadłości, miasto jest nie do poznania. Wszędzie ciężarówki i zbieracze warzyw w miejsce koni i *vaqueros*. W sklepie Gilberta sprzedają nawóz na tony. Pojechałem tam, żeby kupić parę drągów do rozbijania skał, kilka szufli i skrzynkę naboju kalibru .30 do rządowego Lewisa.

– Czy to jest również cena dla mnie? – zapytałem. Wszystko było trzy razy droższe.

– Nieee. Ta garstka z nas, która została, powinna trzymać się razem.

– Udał, że coś liczy i zmniejszył rachunek o połowę, co i tak stanowiło dwadzieścia procent więcej niż za to samo w poprzednim miesiącu. Postanowiłem jednak dać mu spokój.

– Kto został? – zapytałem.

– Z Metysów nikt. Wszystkie dziesięć rodzin... Vargasowie, Guzmani, Mendezesi, Herrerowie, Riverowie, i chuj wie, kto jeszcze... wszystko działo się jakby jednego dnia... sprzedali swoje działki Shawowi, temu, co ma hotel, kupili kilka starych ciężarówek i pojechali do Michigan, w czterdziestu czy pięćdziesięciu w jednej karawanie. Wykupili wszystkie prycze i koce. Mówili, że Ford najął dwa tysiące Meksykanów do jednej fabryki. Całkiem zabawne, jak się o tym pomyśli, że niby Metysi mają budować samochody i w ogóle.

Zastanawiałem się, czy mu nie powiedzieć, że paru z tych „Metysów” (przynajmniej Vargas i Rivera) studiowało w Mexico City, kiedy Gilbert i jego zezowaci bracia bzykali jałówki w Eagle Pass.

– Nawet stary Gomez wszystko sprzedał. Ze sklepu, po kosztach własnych. Mam całe skrzynie *metate*, *chorizo*, ozd z końskiego włosa i sznurów ze skóry. A prócz tego te gówna *curandero*. Uwierzysz w to? Masz przed sobą nowego *curandero* z tego miasta! – Myśl o tym, że jakikolwiek Meksykanin zaufał Nilesowi Gilbertowi na tyle, żeby sprzedać mu swoje zioła była przygnębiająca. Uregulowałem rachunek i pośpiesznie spakowałem sprawunki, ale usłyszałem jeszcze: – Zabawne, że brakuje mi tych ludzi. Sam nie wierzę, że to mówię, zważywszy na kłopoty, jakie sprawiali.

Wzruszające uczucia mordercy. Ale sam nie jestem lepszy.

Choć zniknęły wszystkie tutejsze meksykańskie rodziny (wiele z nich mieszkało tu od pięciu czy dziesięciu pokoleń – dłużej niż jakikolwiek biały), w ich miejsce pojawili się nowi. Nie mówią po angielsku i staną się łatwą zwierzyną dla takich ludzi jak Gilbert. Mimo wszystko tutaj jest lepiej niż w północnym Meksyku, gdzie ciągle trwa wojna. *Nie wiem, na co się skarżą, powiedział ojciec. Przynajmniej nie płacą podatków.*

Po powrocie do domu pojechałem pomóc przy rotacji bydła na pastwisku numer dziewiętnaście. Grodzimy i przegradzamy, i, jak wspomniał Pinkard, wszystko da się zrobić. Tylko to nie ma już w sobie duszy. Kiedy odeszła? Nikt tego nie wie.

### *20 czerwca 1917 roku*

Potrzebuję nowej ciężarówki. Zdecydowałem się na Wichita. Dwie i pół tony – marzenie. Nie mogę się natomiast zdecydować, czy wybrać przekładnię ślimakową, czy łańcuchową.

Zastanawiałem się nad fordem (teraz w Dallas produkują model T), ale każdy, kto ma forda, ma też wybite albo złamane ramię od kopiącej korby. Kierowcę forda można rozpoznać po gipsie na ramieniu – to stary żart. Nie da się konstruować śmieci i spodziewać się, że się przetrwa w dzisiejszym świecie. Ludzie chcą trwałych rzeczy.

### *21 czerwca 1917 roku*

Wczoraj zapukała do drzwi biedna Meksykanka. Byłem zaskoczony, że ośmieliła się przejść przez bramę. Skądś ją znałem, ale nie umiałem sobie przypomnieć skąd, przypuszczałem, że to żona albo siostra któregoś z parobków. Była chuda i blada, miała na sobie tylko luźną sukienkę i cienki szal na szyi, a kiedy wiatr okleił spódnicą jej nogi, przekonałem się, że są cienkie jak u szkieletu.

– *Buenas noches* – powitałem ją.

Nie odpowiedziała.

– Nie poznajesz mnie. – Mówiła doskonale po angielsku.

– Chyba nie – odpowiedziałem.

– Jestem María Garcia. – Cofnąłem się. – Córka Pedra Garcii.



## Eli/Tiehteti

*Jesień 1851 roku*

Na początku była tylko gorączka, a potem krosty i wszyscy spanikowali. Czwarta część szczepu zwinęła tipi, zabrała konie i opuściła wioskę w ciągu kilku godzin. Po paru dniach ci, którzy zachorowali jako pierwsi, pokryli się wrzodami: na twarzach i szyjach, rękach i nogach, we wnętrzu dłoni i na podeszwach stóp. Szamani wznieśli parownię nad strumieniem. Wsadzali ludzi do zimnej wody, potem do parowni, a na końcu znów wrzucali do strumienia. Niedługo po tym ludzie zaczęli umierać, a wkrótce zachorowali sami szamani.

Biali szczepili dzieci od stu lat, a kiedy Teksas włączono do Unii, szczepionki można było dostać w większości miast. Niemcy sprowadzili doktora do Fredericksburga i mama zabrała nas tam na zastrzyki.

Kwiat Prerii zachorowała jako jedna z pierwszych. Nie dotykała martwego myśliwego, ale ja go dotknąłem. Miałem nadzieję, że to tylko gorączka, ale potem zrobiło się jej dziwnie w ustach, wargi spierzchły, a wokół nich stwardniała skóra, co starałem się wygładzić palcami.

Epidemia trwała już od kilku tygodni, kiedy do wioski wjechało dwóch młodych Komanczów w odświętnych barwach, wołając, że nasza wojenna wyprawa, w której brali udział Escuté i Nttukaru, odniosła wielkie zwycięstwo, że zdobyto wiele skalpów i koni, nie tracąc przy tym nikogo. Posłańcy przystanęli na krawędzi wioski, a na ich spotkanie pokuśtykał Toshaway z pierwszymi czerwonymi plamami na twarzy. W rękę trzymał łuk i kołczan.

– W szczepie panuje zaraza – oznajmił. – Musicie odjechać.

Posłańcy zaprotestowali: nie chcieli, by odebrano im radość ze zwycięstwa, więc Toshaway powiedział w końcu, że zastrzeli każdego, kto wjedzie do wioski, w tym swoich własnych synów, bo taka śmierć będzie dla nich lepsza od *tasía*.

Tego samego dnia pojawili się jeźdźcy. Zatrzymali się kilkaset jardów od wioski, a ci, którzy wciąż mogli chodzić, wyszli się z nimi pożegnać.

Toshaway stał oparty o łuk. Od grupy oderwało się dwóch wojowników: Escuté i Nttukaru. Podjechali na odległość pięćdziesięciu kroków, a Toshaway naciągnął cięciwę i wystrzelił w ziemię przed nimi.

– Zaczekamy na was na ziemi Yamparika – odezwał się Escuté.

– Tam się nie spotkamy – odpowiedział Toshaway. – Ja spotkam się z wami w szczęśliwej Krainie Wiecznych Łowów. – Podjechał inny młody *tektuniwaptu*. – Powiedziałem wam, co zrobię. Zastrzelę każdego, kto wejdzie do tej wioski.

– Gdzie jest Robi Się Grubsza? – zapytał młodzieniec.

– Jest chora – zawołał ktoś.

Młokos jechał dalej. Toshaway posłał strzałę obok jego głowy.

– Możesz mnie zabić, jeśli chcesz, ale tak czy inaczej umrę w tej wiosce z moją żoną.

Toshaway zastanowił się nad tym. I wycelował łuk w pozostałych.

– Reszta z was odjedzie – nakazał.

Kilku innych *tektuniwaptu*, nie wiedząc co począć i nie chcąc wyjść na tchórzy, ruszyło do wioski, ale Escuté i Nttukaru powstrzymali ich. Nawet bardzo chorzy wyszli z tipi. Zebrali się na granicy obozowiska i zaczęli nawoływać młodych, najpierw każąc im trzymać się z daleka, a potem opowiadając im o wszystkim, co chcieli wiedzieć, o rodzinnych wieściach, o starych rodzinnych sekretach, o tym, co powinni byli powiedzieć im dawno temu i o tym, co się wydarzyło od wyjazdu młodych wojowników. W końcu, gdy przekazano sobie na odległość wszystkie wieści, jeźdźcy spięli konie i wzniesli wojenne okrzyki, a cały szczerp odpowiedział im po raz ostatni własnym wojennym zawołaniem. Okrzyki mieszały się w powietrzu, wojownicy potrząsali łukami i włóczniami, a potem zawrócili konie i zniknęli na prerii.

Czwartego tygodnia wrzody pokryły całą twarz Kwiatu Prerii, nie było na niej nic, co bym znał – sama stała się chorobą. Każdego ranka nasze posłanie było mokre od pękających na jej skórze pęcherzy, lecz w końcu wrzody zaczęły zasychać i pokrywać się strupami; wydawało się, że wyzdrowieje.

– Już nie będę piękna – mówiła. I płakała.

– Będiesz nadal piękna – powtarzałem jej.

– Nie chcę żyć z taką kostropatą twarzą.

– Wszystko się zagoi – odpowiadałem. – Tylko nie drap.

Tamtej nocy przestała gorączkować, oddychała z łatwością. Przyglądałem się jej przez długi czas. Obudziłem się wraz ze wschodem

słońca, miałem zdrtwiałą rękę, na której leżała. Nie poruszyła się, kiedy jej dotknąłem.

Był przejrzysty ciepły dzień, ale na dworze prawie nikogo. Toshaway leżał w hamaku, miał przymknięte oczy i wystawiał twarz ku słońcu. Wrzody na jego skórze zaczynały puchnąć.

– Źle wyglądam? – zapytał.

– Widziałem gorsze rzeczy.

– Tak. Niedługo i mnie się pogorszy. – Splunął. – Co za niemądry sposób, żeby umrzeć, Tiehteti.

– Silni zawsze przetrwają.

– Tak się mówi pośród białych?

– Tak.

– Kłamiesz.

– Może nie – odrzekłem.

– Więc teraz mówisz „może”... – Znów zamknął oczy. – To niegodne. – Nie byłem pewny, czy mówi o moim kłamstwie czy o chorobie. – Kiedy byłem młodszy zachorował syn naszego *paraibo*. Zawsze był drobny, ale zaczął chudnąć z dnia na dzień i nie polepszało mu się w ogóle, choć leczyli go wszyscy szamani. W końcu *paraibo* zapytał, czy wyświadczę mu przysługę. Odprawił rytuał oczyszczający, umył i ubrał syna jak na wojnę, dał mu własną tarczę, tarczę wodza, a potem wszyscy poszliśmy w góry, gdzie mój przyjaciel i ja stoczyliśmy bitwę z synem wodza, tylko my trzej, i zabiliśmy go. W taki sposób zamieniliśmy bezsensowną śmierć w śmierć chwalebna.

– Nie zabiję cię.

– I tak byś nie zdołał – odpowiedział, szczerząc zęby. – Jeszcze nie teraz.

– Może kiedyś... – Nie chciałem tego powiedzieć, ale wiedziałem, że chciał to usłyszeć.

– Podejdź bliżej, jak się nie brzydzisz mnie dotknąć. – Usiadłem na ziemi. – Cuchniesz.

– Właśnie umarła Kwiat Prerii.

– Ach, Tiehteti... – Ujął mnie za rękę. – Tak mi przykro. A ty pozwoliłeś mi gadać... – Rozpłakał się. – Tak mi przykro, mój nieszczęsny synu. Wybacz mi, Tiehteti.

Kiedy pochowałem Kwiat Prerii, zacząłem chodzić po innych tipi. Wszędzie był nadmiar ciał. Pizon zmarł tego popołudnia i pomogłem jego synowi go pochować. Tydzień później pochowałem jego żonę, a po dwóch tygodniach syna. Całe rodziny umierały jednej nocy, więc



chodziłem od tipi do tipi i po pochowaniu wszystkich zawiązywałem poły namiotu. Pochowałem Czerwonego Ptaka, Grubego Wilka, Nienawidzi Pracy, której martwe oblicze ucałowałem, wyobrażając sobie, że nie ma na nim strupów; potem Leniwe Stopy i dwóch z jego jeńców, Trudno Odnaleźć, Dwa Idące Niedźwiedzie, Zawsze U Kogoś W Gościnie, Hisoo-ancho i jego troje dzieci, których imion nie znałem, Słonecznego Orła i Bolesny Upadek Przez Potknięcie. Czarnego Psa, Małą Górę i jej męża. Znów Zagubioną, która zmarła w ramionach Wielkiego Niedźwiedzia, niebędącego jej mężem. Pochowałem Hukiyani i W Lasach. Humaruu i Czerwonego Wapiti. Piitsuboa, Biały Jesion, Ketumse. Imion innych nie znałem albo nie pamiętałem.

Spałem w swoim tipi, a w ciągu dnia siedziałem przy Toshawayu. Chore były także jego dwie żony, a wszyscy troje leżeli na jednym posłaniu. Mieli duży zapas drewna, więc w środku było ciepło.

– Podejź tu, Tiehteti – poprosiła Situtsi.

Podszedłem. Usiadłem tyłem do nich, wyciągając nogi do ognia. Głaskała mnie po głowie. Zamknąłem oczy. Watsiwannu spała najdalej z brzegu. Toshaway mruczał coś pod nosem. Nie wiedziałem, czy zdaje sobie sprawę z mojej obecności. Ale chwilę później powiedział:

– Tiehteti, jeśli to przydarzy się następnemu szczepowi, do którego trafisz, chcę, żebyś pojechał do białych i powiedział wojsku, gdzie jest wioska. Powiedz im, żeby zabrali ze sobą górskie haubice. Rozumiesz?

– Tak.

– To rozkaz – rzekł. – Od twojego wodza.

Kiwnąłem głową.

– Wrócisz teraz do białych? – zapytała Situtsi.

– Oczywiście, że nie.

– Czy biali na to chorują?

– Tak, ale mają lekarstwo dla ludzi, którzy są zdrowi. Podają je im i nie mogą się zarazić.

– Tobie też podali? – zapytał Toshaway.

– Kiedy byłem dzieckiem.

– Więc co myślisz o zaklęciach Komanczów? – zapytał. A potem się roześmiał. Situtsi także się śmiała.

– Poprowadzisz naszych do dobrego miejsca – powiedziała.

– Nie wybiegaj myślą naprzód – napomniał ją Toshaway. – Najpierw musi pochować. – Podniósł głowę, żeby na mnie spojrzeć. – To twoje jedyne zadanie. Musisz nas pochować.

Jeńcy zaczęli uciekać, kradli konie i znikali na równinie. Nikt nie

miał siły ich zatrzymywać. Co się tyczy mnie: chowałem. Połamałem przy tym wszystkie szpadle z kości, więc kopałem trzonami włóczni, tyczkami od tipi i tym, co wpadło mi w ręce. Mogłem chować ich tygodniami lub przez całe miesiące, bo zrobiło się zimno, w nocy chwytał mróz, ale za dnia słońce ogrzewało ziemię, więc kopałem dalej. Ci z Komanczów, którzy wyzdrowieli, kopali ze mną, choć mieli plamy na twarzach. Inni z ocalonych zaczęli polować, więc mogliśmy kopać bez ustanku. Byli też tacy, którzy nie robili nic, czekali, żeby umrzeć z bliskimi, a kiedy nie umarli, dołączali do nas.

Kopiąc grób dla Toshawaya i Situtsi z dala od wioski, na zboczu, na którym często siadywałem, by myśleć, znalazłem nieduży czarno-biały kubek. Był wykonany z ceramiki, a pod nim, kopiąc głębiej, leżał płaski kamień, a pod nim jeszcze jeden kamień. Im głębiej kopałem, tym więcej odkrywałem kamieni, które ułożyły się w mur, a potem węgiel, a potem przestałem kopać.

Ani Komancze, ani Apacze przed nami nie budowali kamiennych domów, a żaden z jeżdżących konno narodów nie wypalał ceramicznych naczyń. Caddowie i Osedzowie nie mieszkali tak daleko na zachodzie, podobnie jak biali czy Hiszpanie, więc uświadomiłem sobie, że trafiłem na pozostałości po jakimś starożytnym plemieniu, które żyło w miasteczkach lub miastach – plemieniu tak dawno wymarłym, że nikt o nim nie słyszał.

Postanowiłem, że zabiorę kubek i zapytam o niego dziadka, ale on nie żył, więc pomyślałem, że zapytam Toshawaya, ale on też nie żył, więc już odstawiałem kubek, ale zmieniłem zdanie, nie potrafiłem przestać obracać go w dłoniach, aż w końcu wiedziałem dlaczego: bo leżał tu tysiąc lat albo dłużej, przez co Toshaway i wszyscy inni wydawali się bardzo młodzi – tak młodzi, że była jeszcze dla nich nadzieja.



## Jeannie McCullough

1945

Mężczyzna, któremu przedstawił mnie Phineas przypominał płacącego plonami dzierżawcę – był mocno opalony, miał wysokie kości policzkowe i surowy, niedożywiony wygląd – i gdyby nie wąskie pasemko włosów między głębokimi zakolami, mógłby być półkrwi Indianinem. Opierał się o szafkę z aktami, usiłując wyglądać na starszego niż był w istocie, a kiedy weszła, skinął głową i jakby nie zauważywszy niczego intrygującego, odwrócił się do brata jej dziadka. Było coś takiego w jego zachowaniu, co kazało jej się zastanawiać, czy tego młodego mężczyznę nie łączy z Phineasem jakaś bliższa więź i czy przypadkiem nie jest jednym z powodów, dla których nigdy nie mogła się zatrzymać w domu stryja. Doszła do wniosku, że go nie lubi.

– Hank jest wiertaczem – przedstawił go Phineas. – I szuka pracy.

Hank znów skinął głową, ale nie wyciągnął do niej ręki. Kontynuował rozpoczętą wcześniej rozmowę o skałach i drenowaniu odwiertów czy czymś równie nudnym. Udawała, że słucha, wędrując po gabinecie, rozmawiali dalej, a Jeannie zaczęła się zastanawiać, po co w ogóle ją zaproszono. Oglądała zdjęcia Phineasa z członkami jej rodziny i różnymi znanymi ludźmi. Wiertacz miał na sobie białą koszulę i ciemne spodnie, które były czyste, ale niezbyt nowe; do tego robocze buty, bo – jak się domyślała – nie miał innych. Mimo to pragnęła, by zwrócił na nią uwagę – nie był przystojny w dosłownym sensie, ale miał w sobie *coś*. *Za długo mieszkasz sama*, pomyślała.

Z drugiej strony, Phineas niemal nigdy nie traktował innych jak równych sobie, a z jakiejś przyczyny wiertacz należał do tej ekskluzywnej kategorii, choć nie pojmowała dlaczego. Co się tyczy samego wiertacza (Hanka, napomniała się): dalej nie zwracał na nią uwagi. Weszła sekretarka, prawdziwa piękność jak wszystkie pracujące u Phineasa dziewczyny – szatynka o kremowej cerze z wyeksponowanymi wszystkimi walorami w obcisłej zielonej sukience. O mało nie wylazła ze skóry, żeby dotknąć dłoni Hanka podczas

napełniania jego filiżanki, ale on zachowywał się tak, jakby nie istniała, więc Jeannie szybko wybaczyła dziewczynie jej urodę i nabrała pewności, że coś łączy tego młodego mężczyznę z jej stryjem. Po jakimś czasie przestali rozmawiać i Phineas obrócił się w fotelu.

– Wynajmujemy Hanka – oznajmił. – Pojedzie dziś z tobą na ranczo.

Wrócili do McCullough Springs starą ciężarówką Hanka. Było gorąco, silnik warczał i łomotał, miała nadzieję, że mężczyzna nie zauważy, jak bardzo się spociła. *To tylko wiertacz*, napominała się. I nie tak znowu przystojny. Była dla niego za dobra. Miał płaski nos – może dlatego, że ktoś go złamał lub też od urodzenia. Było w nim coś z kundla, jak powiedziałyby babka, ale mimo to miał w sobie nieudawaną męską pewność, którą widywała u najlepszych *vaqueros*. Mimo niepozornej budowy emanował zarozumiałością, jakby wszystko potrafił zrobić lepiej od innych. Przypominał jej Clintę: chłopaka, któremu życie przychodziło łatwo i sprawdzał się we wszystkim, czego tknął.

Hank miał dwadzieścia cztery lata i podczas wojny (oraz przez wszystkie wcześniejsze lata od dzieciństwa) szukał z nieżyjącym już ojcem ropy. W pewnym momencie byli warci kilka milionów, ale ostatecznie odwierty przyniosły im straty, a ojciec zginął w wybuchu gazu, zostawiając Hanka w trudnym położeniu. Miał własny agregat prądotwórczy Cummins, sześciokołową ciężarówkę International z napędem na wszystkie osie, znał dziesiątki dobrych robotników szukających pracy, ale w tej chwili ledwo wystarczało mu na benzynę.

– Mógłbym wypożyczyć sprzęt – powiedział – ale jaki to ma sens? – Nie czekał na odpowiedź. – Masz braci albo siostry?

– Trzech braci – odpowiedziała. – Dwóch zginęło na wojnie.

– Ja mam dwie siostry. – Coś mogło jej przyjść do głowy, więc dodał:

– Na wypadek, gdyby się zastanawiała: zgłosiłem się na ochotnika w czterdziestym drugim, ale nie przyjęli mnie, bo jestem daltonistą. – Kiwnęła głową i wyjrzała za okno, przyglądała się mijanym krzakom i spieczonej ziemi. Każdy, kto nie był na wojnie, czuł się w obowiązku przedstawiania usprawiedliwienia. – Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, że jestem daltonistą, widzę tak samo jak wszyscy. Po kilku miesiącach zgłosiłem się na komisję w Houston, ale nie zdołałem odczytać jakichś liczb podczas testu, więc znów mnie nie przyjęli, tylko że tym razem wróciłem tam i kiedy nie patrzyli, pożyczyłem sobie książkę z testami. – Spojrzał na nią. – Doszedłem do wniosku, że to niewielka cena.

– Pewnie tak – potwierdziła.

– Więc nauczyłem się tych liczb na pamięć, ale musiałem pojechać do Nowego Meksyku, żeby mnie nie rozpoznali. Zdałem test, ale za szybko i za dobrze, bo zaczęli mi pokazywać liczby w przypadkowej kolejności i za cholerę nie mogłem rozpoznać ani jednej. Powiedzieli, że wiedzą, co zrobiłem i dodali, że jeśli jeszcze raz spróbuję takich sztuczek, każą mnie aresztować za sabotaż.

– Niezła historia.

– Sabotaż! Wyobrażasz sobie!

– Ale to chyba błogosławieństwo.

– Też mi błogosławieństwo! Próbowalaś kiedyś pobyc przez cztery lata z facetami, którzy biorą cię za komunistę albo innego nieroba? Miałem zamiar wyjechać do Kanady i wstąpić do tamtejszej armii, i tak powinienem zrobić, ale ojciec mnie przekonał, że bym dał spokój.

– Wielu mężczyzn pracujących przy wydobywaniu ropy i gazu nie poszło do wojska – powiedziała. – Bez nich nie wygralibyśmy tej wojny.

– No tak, ale nie chciałem być jednym z nich.

Miała ochotę powiedzieć coś jeszcze, ale on opuścił szybę i zrobił przewiew. Byli już na południe od San Antonio na wielkiej płaskiej równinie. Zmrużyła oczy przed słonecznym blaskiem, hałas silnika sprawiał, że nie dało się myśleć. Hank nie zwalniał poniżej osiemdziesiątki, a ona zastanawiała się, co się stanie, gdy pęknie opona. Wpatrywała się w drogę, którą jechał, w napinające się i rozluźniające mięśnie jego przedramienia, w zaciskające się szczęki. Było jasne, że należał do ludzi nieustannie o czymś myślących. Przypomniała sobie ojca, który uważał się za wyśmienitego kierowcę, choć nim nie był. Hank jechał ciężarówką jak po sznurku. Fakt, za szybko, ale nie rzucało go po całej drodze. Myślała o braciach: co by powiedzieli, gdyby mogli mówić; czy zmienili swoje zapatrywania na wojnie... Zresztą to bez różnicy. Kiedy mężczyźni wbiją sobie coś do głowy, nie dbają o to, czy zginą przez to, czy nie.

– Cieszę się, że tu jesteś – powiedziała, kiedy podciągnął szybę. Kiwnął głową. Może już nie pamiętał, o czym rozmawiali? Albo nie zgadzał się z nią? Zanim dojechali do McCullough Springs, zaczęła się zastanawiać, jak by to było, gdyby zamieszkała z nim w wielkim domu. Jej podejrzenia co do Hanka i Phineasa były błędne – Hank był stuprocentowym mężczyzną. Lecz poza tym nic nadzwyczajnego. Nie miała pojęcia, dlaczego ją tak interesuje. *Nie spotykasz zbyt wielu mężczyzn*, pomyślała.

Udawiała, że drzemie, żeby móc mu się ukradkowo przyglądać. Nic

nie mogła poradzić na to, że czuła, że na niego czekała – nie na kogoś takiego jak on, ale dokładnie na niego; że czekała nań, nie wiedząc nawet o jego istnieniu. Potem, po minucie, dochodziła do wniosku, że wynajmie mieszkanie w Dallas albo San Antonio, żeby nie czuć się tak samotna. Przypuszczała, że ten człowiek przypomina jej ojca i braci: miał w sobie taką samą pewność siebie, choć brakowało mu ich próżności: przyszedł w roboczych butach do gabinetu najpotężniejszego człowieka w Teksasie. *Jest jak Pułkownik*, wmawiała sobie. Tak jak Pułkownik nie wyskoczył sroce spod ogona.

Kiedy stanęli przed bramą, siedzieli w milczeniu przez długą chwilę, aż zdała sobie sprawę, że on spodziewa się od niej, jako pasażerki, że wysiądzie i mu otworzy, nawet pomimo tego, że jest kobietą. Potem wjeżdżali na wzgórze. Pojawił się olbrzymi biały dom – zastanawiała się, czy to dla niego nie zbyt wiele. Ale nie wydawał się przejęty. Równie dobrze mógłby podjeżdżać pod stary barak. Zaparkowali w cieniu i weszli do środka. Przed wejściem wytarł nogi.

– Każę komuś zabrać twoje bagaże i wskazać pokój. Potem zjemy kolację.

– Chciałbym rzucić okiem na mapy, które dostałem od twojego stryja – powiedział. – Póki pamiętam ukształtowanie terenu.

– Jest tu dużo stołów. – Wskazała mu wejście do salonu.

Poszła na górę i czytała w słońcu, w szumie i chłodzie klimatyzatora. Ojciec był im przeciwny. Zrobiło się jej przyjemnie, bo miała wrażenie, że całuje któregoś z *vaqueros*. Kiedy otworzyła oczy, miała jeszcze w uszach przedziwne cmoknięcia ich ust. Obudziła się. Zeszła na dół i zastała Hankę jedzącego samotnie w kuchni. Flores usmażyła mu stek.

– Mogłeś mnie zawołać – powiedziała.

– Pomyślałem, że chcesz zjeść sama.

– Zazwyczaj jadamy w towarzystwie. To zupełnie normalne.

– Nie byłem pewny, czy zaliczam się do towarzystwa.

– Owszem – odpowiedziała.

– W porządku. W takim razie proszę mi wybaczyć, panno McCullough, że wyrzekłem się przyjemności zjedzenia z panną obiadu.

– Odwróciła się do niego plecami i naląła sobie szklanekę mleka z lodówki. – Postaram się zadośćuczynić.

– Owszem – odpowiedziała. – Domyśliła się, że wyszczerzył zęby. – Wskażę ci teraz pokój – powiedziała.

Zaprowadziła go na górę. Mijali po drodze olbrzymie ciemne

malowidła, przedstawiające Pułkownika i jego potomstwo; rzymskie popiersia, rysunki z Pompejów i srebrne bibeloty na marmurach. Znaleźli się w końcu po przeciwnej stronie domu przy pokojach gościnnych. Domyślała się, że Hank przywykł do sypiania w ciężarówce, więc powiedziała:

– Mam nadzieję, że kwatery będzie ci odpowiadała. – Wzruszył ramionami, a ona znów poczuła irytację. – Zatem dobrej nocy – mruknęła. – Nie jesteś taki zły, na jakiego wyglądasz.

Uśmiechnął się, co jej się nie spodobało – było nazbyt oczywiste. Odeszła pośpiesznie korytarzem.

Następnego ranka rozłożył mapy w jadalni.

– Z tego, co mówił twój stryj, wynika, że największe uskoki są tutaj, we wschodniej części posiadłości. Właśnie tam zaczniemy.

– Najłatwiej będzie dostać się tam konno. W przeciwnym razie zaplątamy się w cierniach. – Nie odpowiedział. – Znajdę ci odpowiednie buty do jazdy – dodała. – Te twoje nie wejdą w strzemiona.

– Będę z tobą szczerzy – zaczął. – Konie mnie nie lubią. A ja też nigdy za nimi nie przepadałem.

– To bardzo dziwne.

– Dla ciebie pewnie tak. Ale ja wolę ciężarówkę. Nie łzawią mi w niej oczy i wiem, że mnie nie kopnie.

– Proszę mi przypomnieć raz jeszcze, skąd pan pochodzi?

– Z księżycy.

– Nauczę cię lubić konie.

– Możesz spróbować – mruknął. – Ale jak kopnie, moje uczucia do ciebie mogą pozostać nieodwzajemnione.

Odwrócił głowę i odchrząknął głośno. Ona także odwróciła wzrok. Nigdy nie spotkała kogoś tak bezpośredniego. Poczowała swędzenie i kłucie. Szkoda, że Flores podsłuchiwała, ale co tam...

– Nikt cię nie kopnie – szepnęła. – Twoje uczucia nie pozostaną nieodwzajemnione. – Piekła ją szyja. Jeszcze bardziej.

– Pewnie masz rację.

– W związku z czym?

– Przekonamy się.

Ale kiedy wsiedli do ciężarówki, stracił zainteresowanie nią. Patrzył prosto przed siebie, zerkał w lewo, potem w prawo, a na nią nawet nie spojrział. Przyglądał się temu, co na zewnątrz. Przypomniała sobie to, co powiedziała: nazbyt wiele. Była zbyt bezpośrednia. Ogarnęła ją rozpacz: tak, była zbyt dosadna, nie wiedziała, co powiedzieć. Okazała



się zupełnie inną dziewczyną niż ta, za którą siebie brała.

– Nigdy nie byłam z żadnym mężczyzną – powiedziała. – Na wypadek, gdybyś się zastanawiał. – Roześmiał się, a potem opanował. – Nie chcę, żebyś wziął mnie za kogoś innego – upierała się.

– Odwykłaś od rozmawiania z ludźmi, prawda? – Wyglądała przez okno. Przez chwilę, zupełnie idiotycznie, myślała, że się rozplacze. – Wszystko w porządku – powiedział. Wyciągnął rękę i uściśnił jej dłoń, a potem cofnął równie szybko. – Ze mną jest tak samo.

Przez cały dzień jeździli po gruntowych drogach rancza. Hank zatrzymywał ciężarówkę, wysiadał i wspinał się na dach.

– Czego szukasz?

– Skarpy – odpowiedział. – Ale za dużo tu tych cholernych cierni.

– Są wszędzie.

– Właśnie to powiedziałem.

– Nie tylko na naszej ziemi.

Patrzył dalej.

– Zapomniałem lornetki – oznajmił. A potem dodał: – Jesteś bardzo wrażliwą dziewczyną, jak na kogoś, kto posiada taki szmat kraju. – Nie odpowiedziała. – Ale masz przynajmniej dobre drogi. Niemal zawsze kiedy wierciliśmy w Teksasie, trzeba było przedzierać się przez busz, co najmniej trzy mile jadłoszynu.

– Może powinniśmy wiercić w pobliżu pól Humble Oil.

– Dobry pomysł – odrzekł. – Tylko że oni eksploatują te pola od dwudziestu pięciu lat. A jeśli coś znajdziemy, damy im powód do usprawnienia szybów i zwiększenia wydobycia, za co twój stryj na pewno mnie nie pochwali.

– Więc masz zamiar zacząć wiercić na pełnym pustkowiu?

– Znasz się na koniach?

– Tak.

– Więc przyjmij do wiadomości, że ja znam się na ropie.

– I tym przekonałeś mojego stryja?

Wyszczrzył zęby.

– Zrobimy tu otwór strzałowy z ciężarówki i nie będziemy spekulować.

– To chyba będzie drogie?

– Nie tak drogie jak sucha dziura.

Spała u siebie w sypialni, a on w swoim pokoju. Nie chciała, żeby sobie coś pomyślał, choć z drugiej strony chciała. Nie zamknęła drzwi, uchyliła je lekko, na cal, na wypadek, gdyby zechciał do niej przyjść.

Co oczywiście było absurdalne. Nie wiedział nawet, gdzie znajduje się jej pokój i nie będzie jej szukał po ciemku.

– Jesteś dziwką – powiedziała na głos.

Choć minęły dwa lata, odkąd dotykał ją mężczyzna. A w porównaniu z matką, która w jej wieku miała już dzieci...

Nie spała niemal przez całą noc. W marzeniach brała z nim ślub, widziała, jak ją wykorzystywał i rzucał. Doszła do wniosku, że wcale jej to nie przeszkadza, o ile nie będzie brutalny. Potem myślała o wspaniałym męskim życiu. Mężczyźni mogą sobie pójść i doświadczyć co tylko im się zamarzy i kiedy, a tymczasem ona miała już prawie dwadzieścia lat i ciągle była dziewicą – jej jedyna nadzieja spała po drugiej stronie domu. Zachowywał się tak, jakby mu się podobała, ale przypuśćmy, że tak nie jest. Byłaby to perspektywa tak straszna, że wołała jej nie rozważać. Wyglądała przez okno, czekając aż wszędzie słońce.



## Dzienniki Petera McCullougha

*22 czerwca 1917 roku*

Stałem w otwartych drzwiach i czekałem, aż wyjmie pistolet albo zamachnie się nożem, ale nie poruszyła się. Była niższa, niż ją zapamiętałem, sukienkę miała w strzępach, wyblakła, nie do noszenia, a jej oblekająca kości skóra stwardniała jak rzemień. Na twarzy dostrzegłem strupy: musiała się przewrócić albo ją uderzono. Zwiesiła ręce po bokach, jakby nie miała sił ich podnieść.

Próbowałem przypomnieć sobie jej wiek... musiała mieć wtedy ze trzydzieści trzy albo cztery lata, teraz była już starsza... Zapamiętałem ją jako śliczną dziewczynę o czarnych oczach, teraz wyglądała jak swoja matka. Ktoś złamał jej nos, który zrósł się krzywo.

– Przyszłam do naszego domu – powiedziała. – Miałam nadzieję, że znajdę tam akt urodzenia. – Wzruszyła ramionami. – Kiedy przekraczam granicę, zakładają, rzecz jasna, że nie mam obywatelstwa.

Odwróciłem od niej wzrok. Jej akcent sprawiał mi ból – studiowała przez cztery lata w żeńskim seminarium – bo nie przystawał do wyglądu.

– Możesz go nie znaleźć – odpowiedziałem cicho, mając na myśli akt.

– Tak, wiem. Widziałam. – Nie mogłem spojrzeć jej w oczy. – Jestem bardzo głodna – powiedziała. – Niestety... – Bardzo chciałem podnieść wzrok, ale nie potrafiłem. Zapadła cisza, zorientowałem się, że czeka na moją odpowiedź. – Pójdę do Reynoldsów – szepnęła.

– Nie – rzuciłem. – Wejdz.

Przez dwa lata mieszkała u kuzyna w Torreón, ale on był zwolennikiem Carranzy, jego dom napadli ludzie Villi i zamordowali go, pobili Marię i żonę kuzyna, kto wie, co jeszcze im zrobili. Wydała dawno wszystkie pieniądze, jakie jej zostały, była w drodze od blisko miesiąca. W końcu uświadomiła sobie, że nie ma dokąd pójść, więc wróciła tu. Przypominała mi parokrotnie, że ma amerykańskie obywatelstwo.

Wiem o tym, odpowiadałem. Choć oczywiście wygląda na Meksykankę jak każda inna.

Czy kondolencje z powodu utraty rodziny byłyby na miejscu? Prawdopodobnie wręcz przeciwnie. Więc nic nie powiedziałem. Staliśmy w kuchni, odgrzewałem fasolę i *carne asada*, kilka *tortilli* zrobionych przez Consuelę, trzęsły mi się ręce. Czułem jej spojrzenie na plecach. Fasola zaczęła się przypalać, odsunęła mnie. Uśmiechnąłem się do niej, zazwyczaj tego nie robię, nie odpowiedziała na uśmiech. Wkroiła do fasoli kilka pomidorów, cebulę i paprykę, zmieszała wszystko razem.

– Wybacz, ale jestem bardzo głodna.

– Oczywiście. Mam do zrobienia parę rzeczy na górze.

Kiwnęła głową, nie spuszczając ze mnie wzroku, nie tykając jedzenia, dopóki się nie odwróciłem.

Usiadłem w gabinecie i czułem się tak, jakby wyszło ze mnie życie... cała siła i energia, które kiedyś miałem, lata spędzone na uniwersytecie... wszystko rozbiło się o skały na tym ranczo. O mało nie podniosłem słuchawki telefonu, żeby dzwonić po szeryfa, żeby ją stąd zabrał, choć trudno orzec, jaki mogłem mieć powód. Zabiliśmy jej najbliższych, spaliliśmy jej dom, ukradliśmy jej ziemię... to ona powinna dzwonić po szeryfa... to ona powinna stanąć przed naszymi drzwiami z setką mężczyzn z załadowaną bronią.

Zastanawiałem się, czy nie wyjść przez okno na dach werandy. Od ziemi dzieliło mnie zaledwie piętnaście stóp, mógłbym zeskoczyć w trawę i odejść, żeby nigdy nie wrócić. Mogłem też poczekać, aż ktoś – może mój ojciec albo Niles Gilbert – wyprowadzi ją na dwór i powiedzie w zarośla, żeby przeciąć ostatnią nitkę. Widzę Pedra, łzę spływającą z oka Lourdes, widzę odchyloną głowę Any, jej otwarte jak do śmiertelnego krzyku usta.

Postanowiłem, że jej powiem. Robiłem, co mogłem. Może nawet to widziała? Stałem między dwoma liniami, ale i tak zaczęli strzelać. Poszedłem do sejfu i odliczyłem dwa tysiące dolarów, schowałem je do kieszeni. Zawiozę ją do szpitala w Carrizo czy gdziekolwiek, gdzie odnotowano jej narodziny, zdobędę niezbędne dokumenty i wyprawię ją w drogę – uprzejmię, ale stanowczo. Nie miała tu czego szukać.

Obierała mango.

– Jakie masz plany? – zapytałem najłagodniej jak umiałem.

– Teraz zamierzam zjeść to mango. Za twoim pozwoleniem, rzecz jasna. – Nie odpowiedziałem. – Pamiętasz, jak siadywaliśmy na naszym *portico*? – Obierała owoc. Nóż ześlizgnął się ze skórki, ale obierała dalej, jakby nic się nie stało.

– Chcesz bandaż?

– Nie, dziękuję. – Włożyła kciuk do ust.

Spojrzałem na stół, rozejrzałem się po kuchni, po blaszanym dachu. Drżały jej ramiona, opuściła głowę, nie widziałem jej twarzy. Nie mogłem powiedzieć nic, co nie dałoby się zrozumieć opacznie. To trwało, dopóki nie postanowiłem włożyć naczyń do zlewu.

– Oczywiście nie powinnam była tu przychodzić – powiedziała.

– Wcale nie przeszkadzasz.

– Przeszkadzałam kuzynostwu.

– Masz jeszcze jakichś krewnych?

– Szwagrow. Mam nadzieję, że nie żyją, ale ten typ zawsze przetrwa.

Było oczywiste, jak zachowałyby się każdy normalny człowiek na moim miejscu. Zapewniliśmy lokum licznym starym znajomym ojca, zniedołężniałym pasterzom z innej epoki, starcom, którzy nie mieli rodzin albo nic do powiedzenia najbliższym. Dziesiątki takich ludzi dożywało swych dni w naszych barakach, jadając posiłki z *vaqueros* albo z nami, w zależności od tego, jak blisko byli kiedyś z ojcem. Ale to była zupełnie inna historia. Tak będzie się o tym mówiło.

– Mieszkam tu sam – powiedziałem jej. – Ojciec ma własny dom trochę wyżej. Żona mnie opuściła. Synowie są w wojsku.

– Czy ty mi grozisz? – zapytała.

– Przeciwnie.

– Myślałam, że chcesz mnie zastrzelić – powiedziała. – W zasadzie ciągle możesz.

Przestałem jej współczuć. Myślałem dalej naczynia, choć były już całkiem czyste.

– Więc po co przyszłaś? – Cisza. – Zostań zatem na noc. Na piętrze jest mnóstwo pustych pokoi. Wejdz po schodach, skręć w lewo i wybierz sobie jeden.

Wzruszyła ramionami. Ssała pestkę mango, sok spływał jej po pokrytej strupami brodzie. Wyglądała, jakby spędziła życie na schodach w Nuevo Laredo, było w niej takie samo odwieczne połączenie beznadziei i złości. Łudziłem się, że mi odmówi, że posiłek w domu wroga wystarczy.

– Dobrze – odpowiedziała. – Zostanę na noc.

23 czerwca 1917 roku

Nie czułem się bezpiecznie w sypialni, więc położyłem się w gabinecie, zamknąwszy drzwi na klucz. Ładowałem, rozładowywałem i przeładowywałem pistolet. Nasłuchiwałem jej kroków w korytarzu, choć chodnik był gruby i wiedziałem, że nic nie usłyszę.

Koło północy rozładowałem pistolet po raz kolejny. Oczywiście jestem taki sam jak inni, mam w sobie te same mroczne żądze. Nie obawiałem się jej fizycznie. To było coś znacznie gorszego.

Przysnąłem, kiedy zaczynało szarzeć. Potem do gabinetu zajrzało słońce. Przewróciłem się na drugi bok, żeby spać dalej. Z daleka do moich uszu dobiegał niesłyszany od wieków dźwięk. Kiedy zdałem sobie sprawę, co to za dźwięk, zerwałem się natychmiast i natychmiast ubrałem. Na dole Consuela stała w drzwiach salonu i słuchała. Zobaczyła mnie i odeszła zawstydzona, jakbym ją na czymś przyłapał.

Maria siedziała na taborecie i grała na fortepianie. Musiała usłyszeć moje kroki, bo wyprostowała się, odczekała kilka taktów, a potem grała dalej. Miała rozpuszczone włosy, przez które widać było jej szyję. Z odznaczającymi się kręgami. Co grała, nie wiedziałem. Coś starego. Niemieckiego albo rosyjskiego. Stałem kilka kroków za nią. Grała, nie odwracając się. W końcu poszedłem do kuchni. Consuela spojrzała na mnie.

– Mam przygotować dla niej śniadanie?

Kiwnąłem głową.

– Jest kawa?

– W dzbanku. *Frío*.

Nalałem sobie filiżankę mimo to. Consuela zajęła się siekaniem *nopalu*, który wrzucała do rondla z roztopionym masłem.

– Ojciec wie?

– Dowie się wkrótce.

– Mam traktować ją jako gościa czy...

– Oczywiście – odpowiedziałem.

Zastanawiałem się, jak dobrze znała Garciów. Tyle że Garciowie byli bogaci, a Consuela jest służącą. Słońce wzeszło przed dwoma godzinami i zalewało dom, przez otwarte okna wpadało ciepłe powietrze. Byłem spóźniony do pracy o cztery godziny. Zajrzałem do

spizarni i zabrałem z niej kilka kawałków *cabrito*, zawinałem je w szmatkę razem z *tortilla*.

- Pozwól mi to odgrzać – powiedziała.
- Muszę już iść – rzuciłem. – Zobaczymy się przy obiedzie.
- Mam jej pilnować?
- Nie – odpowiedziałem. – Daj jej, co tylko będzie chciała.

Wróciłem do domu dobrze po zmierzchu, kiedy Consuela poszła już do siebie. Czułem zapach gotowania, ale talerze były czyste i odstawione na miejsce. Maria siedziała przy stole i czytała książkę: „Wirgińczyka” Wistera.

- Lubisz go? – zapytała.
  - Nie jest zły.
  - Silny biały mężczyzna pojawia się w niezamieszkannej głuszy, żeby się sprawdzić. Tylko że coś takiego nigdy się nie wydarzyło.
- Usiadłem, nie było nic więcej do powiedzenia. W końcu zdecydowałem się porozmawiać o tamtym:

- Wszystko wydarzyło się wtedy bardzo szybko. – Wróciła do lektury.
- Uważam, że powinniśmy o tym porozmawiać.
- Ma się rozumieć – odpowiedziała. – Chcesz, aby ci wybaczone.

W domu odczuwalny był nocny chłód. Na dworze pohukiwała krzykliwa sowa, piszczął wiatrak, a z daleka dobiegał szum ojcowskiego wiertła. Siedziałem i słuchałem.

- Odejdę rano. Przepraszam, że tu przyszedłem.
- Odprężyłem się.
- W porządku.

Nie spałem przez kilka godzin. Igram z nieszczęściem, z jakąś niewyobrażalną katastrofą. Czuję to w kościach, tak jak ojciec nadciągający deszcz. Chcę tylko, żeby odeszła... sama myśl o tym przynosi mi ulgę. Wszystkie moje szlachetne zamiary przepadły... wspaniałomyślność, kiedy jest naprawdę potrzebna, staje się na wagę złota jak pokarm karmiącej piersią królowej. Mam wrażenie, że w każdej chwili drzwi domu może wyważyć banda *sediciosos*, która postawi mnie pod najbliższym murem z cegły...

Ale nie tego boję się najbardziej. Widzę Pedra, siedzimy we dwóch na jego *portico*. Przychodzi Aná, przynosi słodką herbatę. Pedro upija łyk, ale herbata cieknie mu po koszuli na kolana. Ma pod brodą dziurę, której nie zauważyłem. Potem stoję z ojcem i Phineasem na krawędzi ciemnozielonego pastwiska, pachną akacje, krzaki wokół pokrywają



się złotem. Przed nami rośnie stary jesion... pod nim człowiek na koniu, ma sznur na szyi, wszyscy czegoś ode mnie chcą. Nie mogę tego zrobić, choć to takie proste. W końcu Phineas klepie konia w zad, mężczyzna zsuwa się z grzbietu, obraca i macha nogami, szuka nimi podparcia, ale znajduje pustkę...

Upokorzenie z powodu porażki, zawiść wobec Phineasa. A przecież wiem, że sam bym tego nie zrobił, bez względu na to, ile daliby mi szans. Chcieli, żebym zmężniał. Wszystko na nic.

Otworzyłem oczy. Było mi zimno. Przez dom wiał wiatr, była druga lub trzecia nad ranem, skrzypiał wiatrak, wyły kojoty. Pomyślałem o małym jelonku biegającym w panice w kółko, potem podszedłem do okna i wyjrzałem na dwór. Świecił jasno księżyc, widziałem odległe pastwiska – przynajmniej na dziesięć mil. A wszystko to nasze.

W końcu ubrałem się. Stałem na korytarzu w zachodnim skrzydle domu, szedłem cicho i ostrożnie, jakby na schadzkę, choć to nie miało żadnego znaczenia... byliśmy sami. Zauważyłem, że mam nieświeży oddech, tłuste włosy i twarz, cuchnę starym potem, ale szedłem dalej. Włóczęga we własnym domu. Mijałem popiersia na piedestałach, rysunki ruin... kolejny portret mamy, pokój Glenna, pokój Pete'a Juniora, pokój Charliego... W końcu usłyszałem obracający się za drzwiami wentylator. Zapukałem cicho. Zapukałem po raz drugi i czekałem, a potem trzeci raz. W końcu otworzyłem drzwi. Łóżko było puste, prześcieradła zmięte, ciemno. Podszedłem do okna. Stała na dachu werandy przy samej krawędzi.

– Wracaj tutaj. – Nie poruszyła się. Miała na sobie nocną koszulę, którą musiała dostać od Consueli. Przez chwilę myślałem, że lunatykuje. – Wracaj.

– Jeśli chcesz mnie zabić... – zawołała – ...nie dbam o to, ale nie zmusisz mnie do spaceru w *brasada*.

– Powinnaś tu zostać – powiedziałem.

– *Impossible*.

– Zostań, póki nie wydobrzejesz. – Pokręciła głową. – Chciałem cię zatrzymać, zanim odejdziesz. Tylko tego chciałem.

– Po to, żeby poczuć się lepiej. – Popatrzyła na mnie, pokręciła głową, a potem przeniosła wzrok na okolicę. Zdałem sobie sprawę, że patrzy na swój stary dom. Bałem się, że skoczy. – Dzisiaj w kuchni, kiedy odwróciłeś się do mnie plecami, chciałam poderżnąć ci nożem gardło. Zastanawiałam się, ile dzieli mnie od ciebie kroków i co zrobię, jeśli się odwrócisz.

- Zostań – powtórzyłem.
- Pokręciła głową.
- Nie wiesz, o co mnie prosisz, Peter.

*24 czerwca 1917 roku*

Z wieści, które nie dotyczą Garcíów: *vaqueros* skarżą się, że hałas odwiertów płoszy bydło. Mówią, że nie będzie cieląt, a krowy stracą mleko, jeśli ten hałas nie ustanie.

Poszedłem do ojca, żeby zapytać, jak głęboko chcą wiercić. Odpowiedział mi, że do samego środka ziemi. Pytam go, czy wie, że nasza warstwa wodonośna jest płytka, a woda najlepsza w tej części Teksasu, więc jeśli wpuści do niej ropę, będziemy załatwieni. Mówi, że ci ludzie są ekspertami. Ma na myśli tych, którzy śpią w gnojówce.

Mam wrażenie, że wkraczamy w epokę, w której ludzkie ucho przestanie odróżniać dźwięki. Dzisiaj prawie nie słyszałem jak wiercą. Czego jeszcze nie słyszę?

Kiedy wróciłem do domu na obiad, usłyszałem muzykę fortepianu, zanim stanąłem u drzwi. Zdjąłem buty i zostawiłem je na zewnątrz, żeby nie słyszała jak wchodzę, otworzyłem i zamknąłem drzwi bardzo cicho, a potem położyłem się na szezlongu, żeby słuchać jej gry. Kiedy otworzyłem oczy, stała nade mną. Przez chwilę wyobrażałem ją sobie taką, jaką była przed dziesięcioma laty: okrągła buzia, czarne oczy. Spojrzałem na jej dłonie. Nic w nich nie trzymała.

- Idę coś zjeść.
- Sama?
- Wszystko jedno – powiedziała.

Podgrzała to, co zostawiła dla nas Consuela. Kiedy skończyliśmy jeść, znów zapytałem ją o to, co się wydarzyło tamtego dnia. Udała, że nie słyszy.

- Czy mogę podgrzać jeszcze trochę? Nie mogę przestać myśleć o jedzeniu.
- W spiżarni zawsze coś jest – mruknąłem.

Przyniosła zimnego kurczaka i zaczęła jeść. Starła się jeść powściągliwie, ale robiła to z wysiłkiem. Byłem pełen, a ona wciąż wygłodniała.

– Opowiedz mi.

– Uważasz, że mówienie o tym pozwoli mi ci wybaczyć?

– Sam sobie nie wybaczyłem – odpowiedziałem cicho.

– Mówienie o tym niczego nie zmienia – rzuciła. – Chcę, żebyś to wiedział. – Kiwnąłem głową. – W porządku. Więc kiedy weszli do domu, zastrzelili wszystkich, i tych, co leżeli na podłodze, i tych, co stali. Ktoś zastrzelił moją siostrzenicę, sześciolatkę, i wtedy, jak ostatni tchórz, uciekłam do siebie i zamknęłam się w szafie. Pamiętam, że potem siedziałam na łóżku i ktoś mnie rozbierał, myślałam, że chcą mnie zgwałcić, zanim zabiją, ale wtedy zobaczyłam ciebie. Pomyślałam, że to ty chcesz mnie zgwałcić i to wydało mi się jeszcze gorsze. Potem prowadziłeś mnie przez dom. Zajrzałam do pokoju rodziców, mama i tata nie żyli, siostra leżała z nimi, potem *sala*, gdzie leżeli Cesar, Romaldo, Gregorio, Martin i ich rodziny, i mój siostrzeniec. Widziałam otwarte frontowe drzwi i wpadające przez nie słońce, i pomyślałam, że może przeżyję, ale kiedy wyszliśmy na *portico*, zobaczyłam, że zebrało się całe miasto. Żałowałam, że nie umarłam w tej szafie. O mało nie wyrwałam ci broni. Potem byłam u Reynoldsów. Uważali, że mnie ratują, że wyświadczają przysługę. Nakarmili mnie, pozwolili się wykapać, dali ubranie, pokój z czystą pościelą. Mój własny dom, moje własne łóżko i moje ubrania były zaledwie o kilka mil. Ale nie należały już do mnie.

– Nikt nie chciał, żeby to tak się skończyło.

– Tak łatwo ci kłamać! – zawołała. – Ty... ty sam... może miałeś jakieś obiekcje... może paru innych... Reynoldsowie rzecz jasna... ale nikt poza wami. – Opuściła wzrok na talerz. – I ciągle jestem głodna. Dlatego nie mogę uwierzyć. – Zapadła cisza, aż powiedziała w końcu: – Możemy wyjść na dwór? Zalewają mnie fale zimna i gorąca. Teraz jest mi gorąco.

Wyszliśmy na werandę i spoglądaliśmy na okolicę. Dzień był dosyć chłodny, przyjemny wieczór, słońce dopiero co zaszło. Zastanawiałem się, czy o tym nie powiedzieć, ale zmieniłem zdanie. Z drugiej strony wzgórza dobiegały odgłosy wiercenia. Siedzieliśmy przez chwilę, a potem powiedziała:

– Bardzo długo myślałam o tym, co się stało. A im dłużej się zastanawiałam, tym większej nabierałam pewności, że to było zwykłe nieporozumienie... te strzały do twojego syna... Glenna, prawda?

– Tak.

– Jak on się miewa?

– Przeżył.

– To dobrze.

Paliły mnie policzki. Z jakiegoś powodu było mi wstyd, że Glenn żyje.

– Jeden z waszych był ranny, jedenastu naszych zginęło. – Rozłożyła ręce jak szale wagi. – Wszyscy cierpieliśmy, a przeszłość pozostanie przeszłością. Trzeba żyć dalej. – Nie odpowiedziałem. – Tak właśnie myślisz, prawda? Twój syn został ranny, moja rodzina przestała istnieć, rachunki wyrównane. Jesteś z nich, rzecz jasna, najlepszy. Bo inni myślą: OK, zrobiono krzywdę białemu, nawet rzeka meksykańskiej krwi nie zmyje tej hańby. Pięciu, dziesięciu, stu... dla nich to wszystko jedno. W gazetach piszą o meksykańskiej padlinie – podniosła dłoń – jak o zwierzętach.

– Nie we wszystkich.

– Tylko w tych, co się liczą. Ale oczywiście nie jestem lepsza. Przez długi czas fantazjowałam, że rąbię i spalam każdego białego w mieście. Pamiętam dokładnie uśmiezek Terrella Snydera, pamiętam braci Slaughter...

– Slaughterów tam chyba nie było – mruknąłem.

– Byli, widziałam ich wyraźnie, ale to nieważne. Doszłam do wniosku, że gniew nie ma sensu, że muszę pogodzić się z tym, co się stało, ze wszystkim, przyjąć to jako dopust Boży. Tak to traktowałam. Zналиśmy waszą rodzinę od dziesięcioleci, nie znajdowałam innego wytłumaczenia. Zналиśmy ciebie, bardzo dobrze cię zналиśmy. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że byłbyś w stanie spiskować przeciwko nam. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie przesadziłam, uciekając od Reynoldsów... Więc kiedy zabili kuzyna, doszłam do wniosku, że wrócę. Przeprowadziłam się przez rzekę, dotarłam na nasze pastwiska i poczułam się lepiej. Postanowiłam, że będę szła przez całą noc. Wymyśliłam nawet jakąś historyjkę dla waszych strażników ogrodzenia, choć modliłam się, żeby ich nie spotkać, bo wiedziałam, że i tak wszystko zależy od ich nastroju... Ale nikogo nie spotkałam. Potraktowałam to jako dobry znak. Wiedziałam, w jakim stanie będzie dom. Wypruta tapicerka z mebli, ptasie odchody, brud, nasze dokumenty pogryzione przez myszy... niezmyte kałuże krwi moich najbliższych, kule w każdej ścianie. Wszystko miało wyglądać tak jak wtedy, kiedy stamtąd wyszłam... starsze o dwa lata. Kiedy dotarłam na niższe pastwisko przy starym kościele, właśnie wzeszło słońce i zobaczyłam, że dom spłonął. Ale wciąż się łudziłam, bo przecież puste domy padają łupem wandalii, umawiają się w nich kochankowie,

zajmują je biedacy... w tym suchym klimacie budynek mógł zająć się od niedopałka. Weszłam przez otwór, w którym były kiedyś drzwi, przedarłam się przez zgliszcza do gabinetu taty, gdzie w metalowych szafkach, które nie mogły spłonąć, były wszystkie nasze papiery. Szafki leżały pod gruzami, jak wszystko inne, ale znalazłam je po jakimś czasie. Powinien tam być mój akt urodzenia, trochę pieniędzy, jakieś akcje, nie wiem, co jeszcze. Ale wiesz, co znalazłam?

Odwróciłem głowę.

– Nic. Szafki były puste. Dokumenty zniknęły. Każdy skrawek papieru, każdy list, każdy zapis i zapisek. Wszystko zabrano. Wtedy domyśliłam się, że pożar nie był dziełem przypadku. Zabicie całej rodziny to za mało, należało pozbyć się wszelkich dowodów, że kiedykolwiek istnieliśmy.

– Nikt tego nie chciał – powiedziałem.

– Kolejne kłamstwo. Nawet ty! Nawet ty zapomniałeś już, co jest prawdą. Prawdą stały się twoje kłamstwa.

Wpatrywałem się w zielona jaszczurkę przemykającą po werandzie. Jakiś czas później usłyszałem ten odgłos – jej oddech świszcział jak u umierającego. Poczujęm się bardzo nieswojo, ale przyglądałem się jej dalej, a ona nie przestawała świszcząć. Spała. Pilnowałem jej bardzo długo, a kiedy upewniłem się, że nie umiera, wszedłem do domu, przyniosłem koc i okryłem ją.



## Eli/Tiehteti

*Późna jesień / wczesna wiosna 1851 roku*

Kiedy pochowaliśmy ostatnich umarłych, pięćdziesięcioro z tych, którzy przeżyli, zebrało pozostałe konie i wyruszyło na południowy zachód, głównie pieszo, w nadziei na odnalezienie bizonów, a przynajmniej ich śladów. Ale śladów nie było. *Nuntu kutsu* nie przemierzały tej okolicy od ponad roku. Nikt nie wiedział, gdzie rośnie dobra trawa ani dokąd powędrowały bizona. Później usłyszeliśmy, że zostały na północy u Czejenów i Arapahów. Zaczął padać śnieg i nie było już co jeść.

Wyjąwszy mnie, Żółte Włosy i kilku starych Komanczów, którzy zetknęli się wcześniej z chorymi na tę zarazę, reszta przeżyła cudem – nie znajdowałem dla tego faktu żadnego wyjaśnienia. *Tasía* zabijała słabych i silnych, mądrych i głupich, tchórzów i walecznych, a jeśli ci, którzy przetrwali mieli ze sobą coś wspólnego, to lenistwo lub fatalizm, które nie pozwoliły im uciec. Najlepsi z nas uciekli albo umarli od zarazy.

Nikt z nikim nie rozmawiał. Słychać było tylko wiatr, skrzypienie ładunków i chrzęst szurających po skałach sań. Jeśli nie natrafimy na jelenia czy antylopę, zabijemy konia, co spowolni naszą wędrówkę. Nikt nie miał żadnego planu, oprócz upolowania bizona. Nie wiedzieliśmy, co poczniemy, jeśli spotkamy *Tuhano* albo wojsko. Tych, którzy mogli walczyć zostało mniej niż dziesięciu. Wiele dzieci oślepiło.

Któregoś dnia, kiedy przyglądaliśmy się nadciągającym z północy kolejnym zwałom chmur, a niebo za nami miało barwę siniaka, zadrzałem nagle z zimna mimo skór i zdałem sobie sprawę, że nie widziałem wielu dzieci przy śniadaniu. Poprzedniego wieczoru – z tego, co pamiętałem – też ich nigdzie nie było. Spojrzałem za siebie i policzyłem maszerujących wolno w rozciągniętej kolumnie – dzieci nie było. Brakowało połowy. Matki zabrały oślepiłe na prerię i zabiły je, żeby reszta miała co jeść.

Tamtej nocy spotkaliśmy kupców *Comanchero*, którzy mimo zamieci

wypatrzyli nasze ogniska. Byli obładowani mąką kukurydzianą, dyniami, prochem i ołowiem, nożami i stalowymi grotami, wełnianymi kocami. Nie mieliśmy nic na wymianę. Okazało się, że i inne szczepy są zdziesiątkowane, bo postanowili dotrzymać nam towarzystwa przez kilka dni. Chcieli nam dać parę worków mąki, ale nie mieliśmy skór i nie mogliśmy im oddać koni. Gdy wrzucali worki z powrotem na muły, wszystkich ogarnęła rozpacz. Niektórzy siadali w śniegu i nie chcieli iść dalej. Noc zrobiła się przejrzysta, odszedłem od ognia, żeby popatrzeć w gwiazdy. Maszerowanie dalej nie miało żadnego sensu. Ci, którzy – jak ja – wciąż mogli polować, powinni odjechać, ale to było wykluczone. Stałem i dumałem, kiedy podszedł do mnie jedyny wódz, który przeżył, Skalista Góra.

- Muszę z tobą szybko porozmawiać, Tiehteti.
- Tak jest – odpowiedziałem.
- To pewne – zaczął – że nie przetrwamy zimy.
- Na to wygląda.

Spojrzał na prerię pokrytą warstewką śniegu, która wkrótce będzie głęboka na kilka stóp.

– Możesz nam pomóc. – Wiedziałem, do czego zmierza. Rząd nadal płacił sporo za uwolnionych jeńców. – Ty sam przetrwałbyś tę zimę. Większość z nas nie. Może nikt. Ale jeśli wrócisz do *taibo*... – Wzruszył ramionami. – Będiesz mógł uciec, kiedy zapłacą kupcom. – Nie spojrzałem na niego. – To ty podejmujesz decyzję. To twoja wola. Ale ludzie szepczą, że mógłbyś to zrobić z wyboru, zważywszy na ofiary, jakie złożyło już wiele rodzin. – Miał na myśli oślepte dzieci. – Pamiętaj wszakże, że jesteś jednym z nas i lepiej byłoby, gdybyś został.

Za Niemkę i za mnie *Comancheros* zostawili dwadzieścia worków mąki kukurydzianej, czterdzieści funtów *piloncillo* i dziesięć korców dyni. Dwadzieścia funtów ołowiu, beczułkę prochu, śruby do zamków w broni palnej, paczkę z tysiącem grotów i kilka traperskich noży z pochwami ze skóry. Uznano, że są hojni, choć kupcy byli pewni, że sporo na nas zarobią, bo byłem młody, a Niemka ładna, bez okaleczeń na twarzy. Wielu jeńców, a szczególnie kobiety, wracało z obciętymi uszami i nosami, z piętnami na twarzach, ale Żółte Włosy wyglądała nieskazitelnie i było jasne, że okaże się piękna, kiedy ją umyją. Zadano mi kilka pytań po angielsku, żeby przekonać się, czy nie zapomniałem języka. To nie było wcale tak rzadkie wśród ludzi, którzy, jak ja, przebywali blisko trzy lata wśród dzikich Indian, więc nasz powrót zapowiadał się ze wszech miar znakomicie, a *Comanchero* mogli liczyć



na sowitą zapłatę.

Skalista Góra poprosił mnie o zostawienie kolta Navy, jednego z dwóch, które zdobyłem na łowcy skalpów, ale to nie wchodziło w grę. Drugi kolt leżał w grobie Toshawaya. A mnie nie podobały się ani miny kupców, ani Skalistej Góry, jeśli już o tym mowa.

Pierwszej nocy Żółte Włosy trzymała się blisko mnie, z dala od *Comancheros*.

– Nie pozwól im mnie dotknąć – poprosiła.

– Nie pozwolę.

– Udawaj, że jestem twoją żoną.

– Oni chcą dostać za nas pieniądze – wytłumaczyłem jej. – Nic nam nie zrobią.

– Proszę...

Następnej nocy dowiedziałem się, że miała rację. Jeden z nich siadał coraz bliżej, aż w końcu objął ją ramieniem. Był to duży chłop z wielkim bebechem, wyglądał jak nieumyty Święty Mikołaj. Wstałem i wyjąłem nóż, a on podniósł ręce i roześmiał się głośno.

– Jesteś bardzo młody, ale nie będę z tobą walczył.

– Nie musimy walczyć o nią – powiedziałem. – Możemy po prostu walczyć.

Roześmiał się jeszcze głośniejsze i pokręcił głową.

– Widzę, chłopcze, że ją ściskasz jak śmierć murzyńskiego umarlaka. Powiedziałem, że nie będę z tobą walczył. Idę spać.

Wstał i wrócił na posłanie pod wozem. Tamtej nocy spała pod moimi skórąmi. Od dwóch miesięcy nie tknąłem żadnej kobiety ani nawet siebie, bo wciąż myślałem o Kwiecie Prerii i jej oszpeconej ospą twarzy, którą zasypałem ziemią. Leżąc z Żółtymi Włosami, zapomniałem o tym. Czułem słodki zapach jej niemytych włosów i w końcu, gdy nie mogłem się już opanować, pocałowałem ją w szyję. Zastanawiałem się, czy śpi, kiedy powiedziała:

– Nie będę się opierała, ale nie chcę tego robić teraz.

Pocałowałem ją w ucho, udając, że ogarnęła mnie braterska czułość. Odsunęła moją kuśkę, żeby jej nie dotykała. Zasnęliśmy. Następnej nocy powiedziała:

– Możemy się kochać, jeśli chcesz, ale musisz pamiętać, że zgwałciło mnie przynajmniej dziesięciu Indian z naszego szczepu. Próbowaliśmy rozmawiać z tobą o tym wiele razy. – Było mi tak bardzo wstyd, że udawałem, że śpię. – Nic nie szkodzi – powiedziała, poklepując mnie po biodrze. – Wątpię, czy przyjąłby cię do szczepu, gdybyś był dla

mnie miły.

– Przepraszam.

– Nie pozwól tylko, żeby zgwałcili mnie ci kupcy. Tego już nie wytrzymam.

Trzeciej nocy zapytałem ją:

– Myślisz, że nie możesz mi się podobać dlatego, że byłaś z tyloma mężczyznami, czy raczej nie chcesz ze mną spać?

– Z nikim nie chcę spać – odpowiedziała. – A szczególnie z tymi *Comancheros*. Święty Mikołaj pokazał mi kutasa i jaja. Są owrzodzone! Czwartej nocy nie dawałem za wygraną.

– Ale co ze mną?

– A zabiłbyś tych *Comancheros*, gdybym cię o to poprosiła?

– Tak.

– W takim razie będę z tobą spała. Ale musimy być cicho, żeby nas nie usłyszeli, bo będziesz musiał ich zabić.

– Zabiję ich – obiecałem, choć w gruncie rzeczy nie mogli dać mi powodu, bo byliśmy dla nich warci tyle, ile zarabiali przez rok.

Spojrzała na mnie. Była wrażliwą dziewczyną.

– Nieważne. Będę spała sama. – Wyszła spod skór. – Wolę, żeby mnie zgwałcili, niż żeby posiadał mnie kłamca.

– Będę cię bronił – powiedziałem. – Nie musimy nic robić. Przepraszam, że o tym wspomniałem.

Po raz ostatni zapytałem ją o spółkowanie w taki sposób:

– Byłaś kiedyś w ciąży?

– Trzy razy, ale poroniłam po kilku miesiącach.

– Jak to? – zapytałem.

– Biłam się po brzuchu kamieniami. I głodziłam na śmierć.

– Gdybyś urodziła dziecko, przyjęliby cię do plemienia!

– To byłoby cudowne, tyle że każdej nocy, kiedy tam byłam, marzyłam tylko o jednym: żeby wrócić do domu.

– Ale dokąd?

– Gdziekolwiek. Tam, gdzie są biali. Tam, gdzie nie mieszka się wśród mężczyzn, którzy gwałcą, kiedy tylko przyjdzie im na to ochota.

Powinienem jej współczuć, ale poczułem złość. Brakowało mi Tshawaya bardziej niż własnych rodziców, a na myśl o Kwiecie Prerii czułem w sobie taką pustkę, że miałem ochotę się zastrzelić. Odwróciłem się do niej plecami i zasnąłem.

Jechaliśmy razem przez trzy tygodnie, sypiając pod tymi samymi skórami, żeby *Comancheros* brali nas za małżeństwo, i każdej nocy

myślałem, że będziemy się kochać, skoro spaliśmy na łyżeczki pod jednym przykryciem, ale było tak jak powiedziała: w ogóle jej to nie interesowało. Pewnej nocy napiliśmy się nawet whiskey z kupcami, pozwoliła mi macać się bardziej niż zazwyczaj, ale wkrótce uświadomiłem sobie, że oddycha głęboko i śpi. Pozwoliłem dłoniom wędrować po niej do woli. *Comancheros* znali zasady: karmili nas cztery albo pięć razy dziennie i *Żółte Włosy* z każdym dniem wyglądała coraz zdrowiej: nie grałem już jej na żebrach, miała pełniejsze piersi i biodra, choć wciąż płakała każdej nocy.

– Gdybym mogła – powiedziała mi któregoś dnia – to zgwałciłabym wszystkich mężczyzn, którzy mnie zgwałcili. Wskrzesałabym ich z martwych i zgwałciła po kolei, a potem znowu i znowu. Wielkim zakrzywionym kijem, właśnie tak. Włożyłabym im ten kij do środka i szturchałabym ich bez przerwy, póki by mi się nie sprzykrzyło.

Nic nie odpowiedziałem. Myślałem o *Toshawayu* i *Ntutkaru*, i *Pizonie*, i *Kwiecie Prerii*, i *Grubym Wilku*, i *dziadku*, i *Nienawidzi Pracy*, która miała na imię *Jedyny Ptak*, o *Escuté* i *Jasnym Poranku*, *Dwóch Niedźwiedziach* i *Zawsze U Kogoś W Gościnie*. Zabiłbym *Żółte Włosy* bez mrugnięcia okiem, żeby któreś z nich odzyskać. Ale nie wiedziała o tym.

– Dużo o tym myślałam – ciągnęła. – O tym, żeby ich zgwałcić. Czasem tylko dzięki temu byłam w stanie przetrwać dzień. – Uśmiechała się. – Ale teraz nie muszę już o tym myśleć.

Nie rozmawiałem z nią tamtej nocy ani następnej.

Przez ostatni tydzień jeździliśmy po gościńcach, mijając wioski, osady, pierwszych białych, jakich widziałem od trzech lat, którzy nie chcieli mnie zabić. *Żółte Włosy* machała do wszystkich. Ale biali nie widzieli w nas niczego wyjątkowego: dwójkę innych białych. Byli zajęci osadnictwem.

Kiedy dojechaliśmy do Kolorado w okolicach Austin, nie mogłem uwierzyć, jak zmieniły się drogi. Były dwa razy szersze niż kiedyś i ubite, pozbawione kolein. *Żółte Włosy* była uszczęśliwiona, nadzwyczaj rozmowna, całowała kupców w policzki, dziękowała im, a przy kolacji przytulała się do mnie. Zerkali na mnie zazdrośnie, ale *Święty Mikołaj* trzymał ich krótko. Wiedział, ile jesteśmy warci. Zaoferował mi zapasowy bębenek do kolta, jeśli pozwolę mu umyć i obciąć sobie włosy, które sięgały mi połowy pleców. Przemyślałem to i zgodziłem się.

Kiedy się położyliśmy tamtej nocy, *Żółte Włosy* pozwoliła mi w siebie

wejść do połowy, ale była bardzo sucha, a choć ruszałem się w niej przez kilka minut, nie zwilgotniała, więc zrobiło mi się wstyd i wyszedłem.

– Nie przejmuj się, skończ to – powiedziała.

– Nie mogę, jak nie chcesz.

Wzruszyła ramionami.

– Wcale mi to nie przeszkadza. Dotrzymałeś słowa.

Zastanowiłem się nad tym, a potem wyszedłem spod skór, stanąłem, spojrzałem w niebo i dokończyłem ręką. Trawa nie była nawet zwarzona przez mróz, w tej pagórkowatej okolicy było znacznie cieplej niż na równinach. Wróciłem do niej pod przykrycie.

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedziała. – Nigdy nie znałam kogoś takiego jak ty.

Następnego dnia wjechaliśmy do Austin. Zabrano nas do domu kupca, którego znali *Comancheros*, a potem do stanowego kapitolu. Pojawiła się banda białych i wypytywali nas o nazwiska. Wszystko ciągnęło się przez cały dzień, ale w końcu zebrano po trzysta dolarów za każde z nas, zapłacono kupcom, a ci odjechali, nie pożegnawszy się ze mną choćby słowem, za to próbując pocałować Żółte Włosy na do widzenia. Uciekała od nich. Byliśmy w miejscu publicznym, nie miała zamiaru pozwolić się tknąć.

Naprawdę nazywała się Ingrid Goetz. Wieść o nas rozniosła się bardzo szybko i adoptowały ją różne majątne panie. Kiedy ją ujrzałem następnego dnia, miała na sobie błękitną jedwabną sukienkę i umyte, splecione w warkocze i upięte z tyłu głowy włosy. Ja natomiast nie pozwalałem się tknąć. Miałem na sobie irchowe pludry i przepaskę, byłem bez koszuli. Uparli się, żebym oddał rewolwer, ale zostawiłem sobie nóż, który trzymałem za pasem. Więc położyli mnie spać na wolnej pryczy w areszcie, a Żółte Włosy znalazła się na plantacji na wschód od miasta, w domu federalnego kongresmena i jego żony. Po kilku dniach wydano przyjęcie na naszą cześć w domu sędziego, georgiańskiej posiadłości nieopodal stolicy, z ładnym widokiem na rzekę. Sędzia był dużym rudym mężczyzną, który mógłby unieść beczkę w każdej ręce, choć miał dłonie miękkie jak u dziecka. W młodości studiował na Harvardzie, potem był senatorem w Kentucky, aż wreszcie wyrzekł się zupełnie polityki i przeniósł do Teksasu, żeby powiększyć fortunę. Czytał wiele książek i wysławiał się kwiecicie, był dobroduszny i od razu mi się spodobał.

Żółte Włosy i ja stanowiliśmy dziwną parę. Niemka wyglądała tak,

jakby całe życie spędziła w mieście, ja z kolei wziąłem kąpiel i straciłem warkocze, ale poza tym nadal przypominałem dzikie dziecko. Zebrało się kilku reporterów, którzy pytali, czy jesteśmy mężem i żoną, a ja – kiedy patrzyłem na nią z umyтыми włosami i czystą buzią, i wydawała mi się wtedy jeszcze piękniejsza niż sobie wyobrażałem – marzyłem, żeby odpowiedziała im twierdząco. Wszyscy inni też tego chcieli, bo byłaby to znakomita historia, ale Żółte Włosy okazała się samolubną istotą. Nie, nie jesteśmy związani w żaden sposób, a ja tylko byłem rycerski i broniłem jej czci i honoru przed Komanczami, dzięki czemu wraca do cywilizacji z niesplamioną czią i honorem, honor i cześć, honor i cześć, wciąż je miała, to wszystko.

Odebrało mi mowę. Nikt z wyjątkiem jankesów nie wierzył w ani jedno jej słowo. Teksańczycy dobrze znali indiański apetyt na kobiety.

Karmiono nas obficie świeżym chlebem, wołowiną i pieczonym indykiem, którego nie tknąłem, gdyż Komancze uważali, że od jedzenia go ubywa odwagi. Przyglądając się podejrzliwie ptaszysku, przypominałem sobie żart, który usłyszałem od Escuté: *Jeśli od jedzenia indyka ubywa odwagi, czego ubywa od lizania cipy?* Podano pieczone prosię, którego również nie tknąłem, gdyż według Komanczów było to nieczyste zwierzę. Zjadłem jakieś pięć funtów wołowiny i dwa króliki, i pochwalono mnie za dobry apetyt. Żółte Włosy skubnęła trochę chleba i indyka, a potem patrząc mi prosto w oczy, nałożyła sobie kilka porcji wieprzowiny.

Tamtej nocy, mimo wiatru wiejącego po domu, było mi tak gorąco i duszno, a łóżko okazało się tak miękkie i oblepiające ze wszystkich stron, że wyszedłem na dwór i spałem na dziedzińcu sędziego. Tymczasem Żółte Włosy zdążyła już naopowiadać wszystkim, że wywodzi się z arystokratycznego niemieckiego rodu, a ponieważ jego członkowie zostali wybici przez Indian, nie było nikogo, kto mógłby to potwierdzić. Byłem pewny, że kłamię, bo wiedziałem, gdzie mieszkała jej rodzina, inni też powątpiewali w jej słowa, ale nikt nic nie mówił. Nigdy nie widzieli zniewolonej przez Indian kobiety w tak dobrym zdrowiu i stanie. Darowanemu koniowi w zęby się nie zagłada.

Po kilku dniach sędzia zaprosił do siebie na barbecue kilka wpływowych osobistości z miasta oraz grupę reporterów ze wschodu. Poproszono mnie, żebym ubrał się w indiański strój i pokazał parę sztuczek. Oczywiście większości z tych rzeczy, które potrafią Indianie – jak tropienie zwierzyny czy odgadywanie nastroju człowieka po jego śladach – nie da się pokazać w cyrku, więc poprosiłem o konia

i przejechałem się po dziedzińcu na oklep, strzelając przy tym z łuku do beli siana. Sędzia zaproponował, żebym strzelał w pień, ale to nie wchodziło w grę, bo zniszczyłbym sobie strzały, a ponieważ zarówno strzały, jak i łuk zostały zrobione przez dziadka, nie miałem ochoty ich nadwerężyć, jeśli nie strzelałem do istot żywych. Siedziałem na koniu, a oni proponowali cele. Sędzia wskazał wiewiórkę siedzącą wysoko na wieczniezielonym dębie, więc zestrzeliłem ją z gałęzi, a potem jeszcze gołębia z innego konara. Widzowie bili brawo. Niedaleko dębu była nora w trawie, należąca – o czym wiedziałem – do królika. Posłałem w nią strzałę. Kilku reporterom ze wschodu zrobiło się niedobrze, kiedy królik piszcząc wyskoczył wysoko z nory i padł wierzgając na ziemię, ale sędzia roześmiał się i powiedział:

– Ma oko, czyż nie, drodzy panowie?

Wówczas żona spiorunowała go wzrokiem i sędzia zakończył pokaz. Murzyni rozdeptali królika, żeby go uciszyć, a potem zrobili to samo z dziurami w darni. Siedzieliśmy i piliśmy herbatę, a oni zaczęli mnie wypytywać o Żółte Włosy, czyli Ingrid Goetz, jak ją z uporem nazywali. Podczas mojego występu rzekomo zasłabła i zabrano ją z powrotem na plantację. Oczywiście wiedziałem, że udaje. Sędzia, który właśnie usiadł, zapytał:

– Dobrze ją poznałeś?

– Pojmano nas w tym samym czasie – odrzekłem.

– Więc poznałeś ją.

– Nieco.

– Czy prawdą jest zatem to, że jej nie wykorzystano? – zapytał reporter z „New York Daily Times”.

Zastanawiałem się, czy nie strącić jej z piedestału, bo wyraźnie nie chciała mieć ze mną do czynienia, ale nie mogłem jej tego zrobić.

– Z całą pewnością nie! – odpowiedziałem. – Indianie jej nie tknęli. Należała do szczepu i plemienia.

– To mało prawdopodobne – osądził sędzia. Był wyraźnie zażenowany, ale mówił dalej: – Jeśli to prawda, byłaby pierwszą białą kobietą, o jakiej słyszałem, niewykorzystaną przez całe indiańskie plemię. A często i przez gości plemienia. – Zakasłał w garść i wbił oczy w ziemię.

– Nie spotkał jej taki los – obstawałem przy swoim. – Wielu wojowników chciało ją poślubić, ale dała im kosza. Trzymano ją z dala od mężczyzn. – Sędzia posłał mi dziwne spojrzenie. – Był pewien młody wódz, na którego spoglądała łaskawiej, ale zginął w potyczce

z wojskiem i to zapewne złamało jej serce.

– Czy była związana z tym wodzem matrymonialnie albo w inny sposób?

– Nie – odrzekłem. – Komancze są bardzo surowi w tych sprawach.

– Nieszczęsna dziewczyna – rozczulił się reporter. – Mogła zostać królową!

– To wielce prawdopodobne.

Sędzia świdrował mnie wzrokiem, zastanawiając się, dlaczego tak bezczelnie łżę.

– Przypuszczam, że to dowodzi, iż czerwonoskóry potrafi być szlachetny, jeśli wymagają tego okoliczności – oznajmił reporter z „Daily Times”. Spojrzał wymownie na sędziego: – Wbrew temu, co mi mówiono. – Sędzia nie odpowiedział. – Wszystko jest zupełnie jasne – ciągnął reporter. – Gdyby Indian zostawić w spokoju... – wzruszył ramionami – ...nie przysparzaliby nam kłopotów.

– Czy wolno mi zapytać, skąd pan pochodzi?

– Z Nowego Jorku.

– To wiem, ale z jakiego plemienia? Z Seneków? Kajugów? – Pokręcił głową. – Może z Erie? Albo z Mohawków czy Mohikanów? Montauków albo Szinekoków? A może z Delawarów albo Oneidów czy Onondagów? Na pewno z moich ulubionych Puspataków! Przypuszczam, że to pańscy sąsiedzi. Chodzi pan do nich na taniec skalpu?

– Doprawdy! – oburzył się reporter.

– W pańskiej części kraju nie ma żadnych Indian, bo ich wymordowaliście! Skąd zatem ta troska o humanitarne traktowanie naszych plemion? Uważa pan, że nasi dzicy, inaczej niż ci, których powystrzelał pański dziadek, są wspaniałomyślni i mili?

– Ale proszę spojrzeć na tę kobietę! Była jeńcem i nie spadł jej włos z głowy!

Sędzia otworzył usta, ale ugryzł się w język. Po chwili mruknął tylko:

– Na to wygląda.

Dwa tygodnie później Ingrid Goetz wyjechała na wschód z tym samym reporterem. Nigdy już jej nie ujrzałem. Nigdy już o niej nie usłyszałem.

Mniej więcej w tym samym czasie sędzia Black powiedział mi, że mój ojciec nie żyje. Zabito go gdzieś nad granicą, dokąd wyprawił się z kompanią Rangersów. Kobieta, która twierdziła, że jest wdową po nim, przeczytała w gazecie artykuł o moim ocaleniu i napisała do sędziego, ofiarując mi dach nad głową.

Z tego, co było wiadomo ojciec wstąpił do Rangersów, gdy wróciwszy do domu, przekonał się, że gospodarstwo spalono i wymordowano albo porwano rodzinę. Przeżył pierwsze dwa lata służby, zginął w trzecim roku. W tamtych czasach Strażnicy Teksasu ginęli jak muchy podczas służby: na stu przyjętych kolejnego roku dożywała tylko połowa. Ich ciała leżały zakopane w całym stanie, chowano ich po trzech, czterech w jednym grobie. Ojca zabili Meksykanie. Tylko tyle wiedziałem.

Zabrałem łuk i kupioną przez sędziego parę spodni – żeby nikt nie wziął mnie za Indianina – i poszedłem nad rzekę. Chciało mi się płakać, ale nic z tego nie wyszło. Nie byłem pewny, czy wspominając ojca, nie zdradzam Toshawaya, więc przestałem o tym myśleć. W nocy przyśnił mi się ojciec i nasz stary dom, obok którego staliśmy.

– Nie dogoniłbyś nas – tłumaczyłem mu. – Nikt nie zdołałby tego uczynić.

Ojciec zniknął, a ja nie wiedziałem, czy mówiłem to jemu czy sobie.

Sędzia twierdził, że wszystko jest w porządku, ale wiedziałem, że zakłócam mu domowy spokój, szczególnie, że jego trzy córki zaczęły malować sobie twarze, wznosić wojenne okrzyki i ćwiczyć indiański wrzask. Żona sędziego podejrzewała, że to może mieć jakiś związek ze mną. Należała do ludzi, którzy lubią pomagać innym, ale miała tyle zasad, że nie byłem w stanie ich spamiętać.

Najczęściej wymawiałem się po śniadaniu i wędrowałem na cały dzień nad rzekę, rozglądając się za czymś do upolowania. Sędzia wymusił na mnie obietnicę, że będę się ubierał jak biały. Obawiał się, że mógłby zastrzelić mnie jakiś obywatel. Starłem się nie polować na ptaki, które lubiła żona sędziego, a któregoś popołudnia wróciłem do domu z czterema kaczkami i bażantem, które położyłem na stole do oskubania.

– Miałeś, jak widzę, udany dzień w pracy. – Sędzia siedział na werandzie i czytał książkę.

– Tak, proszę pana.

– Zapisanie cię do odpowiedniej szkoły raczej nie wchodzi w rachubę, nieprawdaż? – Kiwnąłem głową. – Zawsze intrygowało mnie, dlaczego białe dzieci przyjmują z taką łatwością indiański styl życia, natomiast dzieci indiańskie wychowywane w białych rodzinach zupełnie nie potrafią się odnaleźć. Nie twierdzę, rzecz jasna, że jesteś dzieckiem.

– Nie, proszę pana.

– Nie ulega wątpliwości, że Indianin żyje bliżej natury i bóstw przyrody. To poza dyskusją. – Zamknął książkę. – Niestety, Eli, nie ma



już miejsca dla takich ludzi. Twoi i moi przodkowie odeszli od tego w chwili, kiedy zasiali ziarno w ziemi i przestali wędrować jak inne stworzenia. Od tego nie ma odwrotu.

– I tak nie pójde do szkoły – odpowiedziałem.

– Obawiam się, że będziesz musiał, jeśli tu zostaniesz. Szczególnie w domu mojej pani. Spanie z dzikimi pod jednym dachem nie jest nazbyt stosowne.

Przyszło mi do głowy, żeby mu powiedzieć, że mam już dwa skalpy u pasa, jestem lepszym myśliwym, tropicielem i jeźdźcem od każdego białego w tym mieście. Pomysł, żebym chodził do szkoły z dziećmi był absurdalny. Powiedziałem jednak:

– Powinienem pewnie pojechać do nowej żony ojca... – Mieszkała w Bastrop, które wciąż było pograniczem.

– Nie ma pośpiechu – odrzekł. – Lubię twoje towarzystwo. Lecz nawet tam będziesz musiał zdobyć jakieś wykształcenie, jeśli poważnie myślisz o przyszłości. Bez względu na to, jak bardzo bolesne może ci się to wydawać.

– Mógłbym od razu wstąpić do Rangersów – oznajmiłem.

– Ma się rozumieć. Ale uważam, że masz w sobie potencjał do osiągnięcia rzeczy donioślejszych od wałęsania się po świecie z wyrzutkami i najemnikami.

Ubodło mnie to, ale nic nie powiedziałem. Usiłowałem rozgryźć, na jakiej podstawie uważa, że potrzebne mi będzie dalsze wykształcenie. Chodziło pewnie o to, że biali mieli fioła na punkcie zasad. A jednak to oni rządzą. A ja byłem jednym z nich.

Murzyn przyniósł nam herbatę z lodem.

– Coś nie daje mi spokoju – odezwał się sędzia po chwili. – Ingrid Goetz nie została potraktowana inaczej niż inne białe kobiety, prawda?

– Potraktowano ją tak, jak pan myśli.

– Więc wymyśliłeś tę historię, żeby ją chronić?

– Tak.

Kiwnął głową.

– Jestem rad, że czas spędzony pośród dzikich nie nadwerężył pańskiej wspaniałomyślności, panie McCullough.

– Dziękuję panu.

– Jeszcze jedno. – Skinąłem głową. – Zapodział się gdzieś ulubiony pers mojej pani, która obawia się, że możesz mieć z tym coś wspólnego.

– Nigdy w życiu.

- Jak Indianie traktują koty?
- Nigdy nie widziałem kota wśród Indian. Za to mnóstwo psów.
- Jedzą psy, prawda?
- Szoszonowie, owszem – odpowiedziałem. – Pies albo kojot jest święty dla Komanczów. Zjedzenie go równałoby się kłątwie.
- Ale jadają czasem ludzi?
- Tonkawowie, tak – odpowiedziałem.
- A Komancze nigdy?
- Komancz, który zjadł człowieka zostałby natychmiast zabity przez szczep, gdyż uważa się, że jedzenie ludzi łatwo wchodzi w nawyk.
- Interesujące – mruknął. Podrapał się w brodę. – A ten Taniec Słońca, o którym się tyle mówi?
- To Kiowowie – odpowiedziałem. – My nigdy tak nie tańczymy.

Niedługo po wyjeździe Ingrid kupcy przywieźli kolejne dwie kobiety przetrzymywane przez Indian: były to siostry z Fredericksburga. Wiele o nich szeptano, póki ludzie ich nie ujrzeli. Pierwsza miała odcięty nos. Druga wydawała się nietknięta, ale straciła rozum. Ukazał się o nich wielki artykuł w gazecie, ale nikt nie wiedział, co z nimi zrobić – nie były rozmowne, sprawiały natomiast bardzo przykre wrażenie, więc ostatecznie ulokowano je w wolnym domu parafialnym za kościołem. Na prośbę sędziego poszedłem je odwiedzić, żeby nawiązać z nimi kontakt, ale kiedy tylko odezwałem się do nich po komanczersku, nie chciały mieć ze mną nic wspólnego. Obie utopiły się po kilku tygodniach. Co, oczywiście, oszczędziło wszystkim wielu kłopotów, gdyż ludzie z dobrego towarzystwa traktowali je z grubsza jak kurwy, zakładając, że zostały zgwałcone przez chutliwych Indian. W przeciwieństwie do kurew, które mogą wyrzec się niemoralnego prowadzenia, okazać skruchę i zasłużyć na wybaczenie, damy te nie miały wpływu na to, co im zrobiono.

Męczyło mnie już przebywanie w domu sędziego, więc zacząłem sypiać na dworze. Wpakowałem się w tarapaty, pożyczając konia sąsiada i strzelając do wieprzy z łuku, nie wspominając już o tym, że wszystkie drobniejsze kradzieże, z którymi nie miałem nic wspólnego, szły teraz na moje konto. Przyznałem się sędziemu, że tak jak Komancze nienawidzę wieprzy. Musiałem to po nich odziedziczyć. Brakowało mi ruchu. Nie miałem pojęcia, czym zajmują się białe dzieci i młodzież. Chodzą do szkoły, odpowiedział sędzia. Mruknąłem, że rzeź wieprzy to nic w porównaniu z tym, co urządziłbym w szkole, gdyby mnie do niej posłano. Co oczywiście było przesadą, zwyczajnie bym

z niej wyszedł. Sędzia tymczasem obiecał sąsiadom, że wynagrodzi im straty, gdy ja wciąż przystosowuję się do cywilizowanego życia.

Któregoś popołudnia usadził mnie naprzeciw siebie i powiedział:

– Panie McCullough, nie chcę, aby odniósł pan wrażenie, iż jest niemile widziany w moim domu, ale być może nadeszła już pora, aby złożyć wizytę nowej rodzinie pańskiego ojca w Bastrop. Moja pani uważa, że dobrze to panu zrobi, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Nie lubi mnie.

– Ogromnie podziwia pańskiego ducha – odrzekł. – Ale jeden z Murzynów odkrył w pańskim dobytku coś, co uznał za ludzkie skalpy i doniósł o tym mojej pani.

– Czarnuchy przetrząsały mi torbę?

– Są ciekawscy jak dzieci – odparł. – Pan wybaczy.

– A gdzie jest teraz ta torba?

– Złożono ją nad stajniami dla bezpieczeństwa. Proszę się nie turbować, powiedziałem im, że ich wybatożę, jeśli czegokolwiek będzie w niej brakować.

– W takim razie jeszcze dziś wyruszę w drogę.

– Nie ma takiej potrzeby – odrzekł. – Ale niedługo.

Zebrałem rzeczy i kazałem Murzynom oddać skradzione skalpy oraz szalony kamień<sup>[15]</sup>. Potem odnalazłem sędziego w gabinecie, podziękowałem mu za gościnę i zostawiłem w podzięce myśliwski nóż i obszytą paciorkami pochwę. Znacznie lepszy i ostrzejszy myśliwski nóż wyzwoiliem ze szklanej gabloty u jednego z sąsiadów sędziego; należał podobno do samego Jima Bowiego<sup>[16]</sup>. Dałbym go sędziemu, ale nie chciałem przysparzać mu kłopotów. Co się tyczy indiańskiego noża, sędzia zapytał:

– Czy narzędzie to postawiło komuś włosy na głowie?

– Trochę. – Uniósł brwi. – Tylko meksykańskie i indiańskie – skłamałem.

Spojrzał na nóż.

– Każę sporządzić dla tego noża specjalną gablotę. Znam człowieka, który to robi.

– Jak pan sobie życzy – odpowiedziałem.

– Poznanie ciebie było dla mnie zaszczytem, młody człowieku. Czeka cię wspaniała przyszłość, o ile cię nie powieszają. Myślę, że wkrótce się przekonasz, że nie wszyscy słudzy prawa mają tak liberalne poglądy jak mówiący te słowa. Między nami mówiąc, sędzia z Bastrop to prawdziwa zakąła i mój największy wróg. Na twoim miejscu nie

wspominałbym przy nim o naszej przyjaźni, jeśli da się tego uniknąć.

Tamtej nocy wyjechałem do Bastrop wbrew radom sędziego, który twierdził, że powinienem poczekać do rana na jadący w tamtą stronę wóz. Jego pani czuła się wyraźnie winna, usunąwszy mnie z domu, a dzieci – kiedy się przekonały, że je opuszczam – płakały i nie dały się pocieszyć. Najstarsza córka sędziego wskoczyła na mnie i zaczęła całować po szyi, płacząc histerycznie.

Ale znów byłem wolny, gdyż czterdzieści akrów sędziego – jego prawdziwa duma – było dla mnie małe jak znaczek pocztowy, bo miałem niegdyś do swej wyłącznej dyspozycji ze dwadzieścia milionów akrów. A w Austin było pełno ludzi – pięć tysięcy, każdego dnia coraz więcej. Nie dało się przejść brzegiem rzeki, żeby nie słyszeć dzwoneczków na końskiej uprzęży albo pokrzykiwania flisaków. Każdy, kto miał oczy do patrzenia, widział doskonale, że było za dużo prosiąt do tego cycka.

[15] Chodzi o bezoar [przyp. tłum.].

[16] James Bowie, amerykański pionier i awanturnik, bohater rewolucji teksańskiej, właściciel myśliwskiego noża o długości ostrza 23,5 cm i szerokości 3,8 cm z zakrzywionym końcem i osłoną na dłoń. Noże tego typu do dziś nazywane są jego nazwiskiem [przyp. tłum.].



## Jeannie McCullough

Robiło się szaro, kiedy usnęła, a nieco później usłyszała jego wołanie. Otworzyła oczy. Wnosząc z donośności, stał tuż pod drzwiami, a choć myślała o nim przez całą noc, bała się i nie wiedziała, co począc, więc siedziała cicho, nasłuchując jego głosu w korytarzu. W końcu zdobyła się na odpowiedź:

– Zaraz zejść! Powiedz Flores, żeby nalała ci kawy.

Zszedł na dół. Zrobiło się jej przykro. Wmawiała sobie, że nie chciała, żeby ujrzał ją w takim stanie: bez makijażu, z opuchniętą po nocy twarzą, ale wiedziała, że to nieprawda. *Jestem tchórzem*, pomyślała. Umyła się, zczesła włosy do tyłu i umalowała się. Potem zeszła do kuchni.

– Jak spałeś?

– Chyba całkiem nieźle.

Jeśli ją to zraniło, nie okazała tego. Po śniadaniu, kiedy poszedł dumać nad tymi swoimi mapami, ruszyła zanieść kosz z lunchem do ciężarówki, kiedy jej uwagę przykuł ruchomy barek i stojąca na nim obok srebrzystego shakera butelka whiskey. Ukryła butelkę i shaker w koszyku, rugając się w głębi duszy i zastanawiając się, jak zdoła się wytłumaczyć, gdyby ją przyłapał lub gdyby się sprzeciwił, ale uświadomiła sobie, że przecież go tu nie ma, co sprawiło, że poczuła się lepiej i gorzej zarazem, bo jeśli chodzi o Hanka, nic nie działa się wystarczająco szybko. Wróciła do kuchni i owineła w ręcznik bryłę lodu; potrzebowała jeszcze cukru. Zawsze będzie mogła się tego pozbyć, gdyby zmieniła zdanie.

Gdy odjechali spod domu, poleciała:

– Zatrzymaj się obok tego zbiornika na wodę.

Posłuchał jej. Wysiadła z ciężarówki i narwała całą garść mięty, którą następnie schowała w koszyku.

– Do czego to? – zapytał.

– Do napoju orzeźwiającego.

– Wierzę ci na słowo.

Po kilku godzinach, kiedy uznał, że widział już dosyć, by urządzić

przerwę, zjedli lunch nad strumieniem przy starym domu Garciów. Wzdłuż potoku rosły młode topole. Przeprosiła go i zeszła po stromym zboczach, żeby zerwać garść pąków. Potem wróciła. Nacięła paznokciem pąk.

– Powąchaj – powiedziała.

– Co to jest?

– Powąchaj.

Zerknął na nią sceptycznie, a ona przystawiła mu dłoń pod nos.

– Ojej... – zawołał. Chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął. Siedzieli we dwoje, a Jeannie czuła jego oddech na dłoni. – Chciałbym tak pachnieć przez całe życie.

– To sok z pąków – wyjaśniła. – Można je znaleźć tylko parę razy w roku.

– A jak smakują?

– Spróbuj.

– Z ręki?

Wzruszyła ramionami. Przyglądała się Hankowi... mając nadzieję... sama nie wiedziała na co. Ale włożył opuszkę jej palca do ust i wyciągnął szybko.

– Pachnie ładniej niż smakuje – stwierdził i roześmiał się. Siedziała, licząc, że ją pocałuje, ale się nie poruszył, a nawet puścił jej dłoń. – To jest kraj... – rozmarzył się, wędrując wzrokiem po prerii.

Zmusiła się, żeby przytaknąć. Coś nad nią przesłaniało jej widok.

– Towarzystwo też nie jest złe. – Znów kiwnęła głową. Słyszeli szmer strumienia i cykanie świerszczy. – A jeśli mi powiesz, że trudno mnie rozgryźć, zgodzę się z tobą.

– Niczego takiego nie powiedziałam – szepnęła.

– Więc czekam niecierpliwie.

– Ale ty też nie powiedziałeś niczego takiego. – Pomyślała: *Jest idiotą!* Nie była w nastroju do towarzyskich rozmów, tamta chwila minęła, wszystko przepadło.

– Jesteś piękną dziewczyną. – Wyciągnął rękę, jakby chcąc dotknąć jej policzka, ale powstrzymał się. – Ale...

– Zrobię nam coś do picia – oznajmiła, choć nie była pewna, czy ma na to ochotę.

– Musimy ruszać – powiedział. Przykucnął i zaczął zbierać rzeczy. – Trudno byłoby mi ci wyjaśnić, jak bardzo potrzebna mi jest ta praca. – Chciał wstać, ale ujęła jego dłoń i przycisnęła ją do ust. – Nie znasz dobrze swojego stryja, prawda? – Pokręciła głową, ale nie puściła go. –

Każe mnie powiesić. Ale najpierw mnie zastrzeli i zasztyletuje.

– Nie zrobi tego – stwierdziła. – A ty zostaniesz na kocu. – Była zdenerwowana. Miała nadzieję, że nie było tego widać.

– Jestem najgłupszym mężczyzną pod słońcem. – Ale został na miejscu.

Przyniosła z ciężarówki składniki miętowego koktajlu, roztarła miętę z cukrem i dołała do shakera sporą porcję bourbona, zmieszała wszystko i dodała lód. Zapomniała zabrać szklanek. Miała nadzieję, że nie będzie mu to przeszkadzało. Usiadła i podała mu shaker.

– Dużo tego jak na napój orzeźwiający – powiedział. Zauważyła, że podczas jej nieobecności przeniósł koc w cień i rozłożył porządnie. Znów się denerwowała.

– Zapomniałam o szklankach – odrzekła. – To porcja dla nas dwojga.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Spróbowałbyś! To według przepisu pradziadka – dodała.

Upił łyk.

– Wspaniały koktajl. – Zakaszał. – Mój Boże, pij ostrożnie, żeby nie wyrosły ci włosy na piersi.

– Pijam to od dziecka. – Upiła łyk, a potem jeszcze jeden i poczuła, że alkohol od razu uderza jej do głowy. – Ojej... – westchnęła i położyła się.

– W porządku? – Kiwnęła głową. – Wyglądasz na zbolałą.

Ciągle się wahał. Nie był taki jak inni. Znów czuła poirytowanie, ale doszła do wniosku, że to ma swój urok. Ujęła go za rękę i przyciągnęła. Całowali się bardzo długo w bardzo, jak przypuszczała, taktowny sposób. Siedział przeważnie u jej boku. Czekala i pragnęła, by jego dłonie rozpoczęły wędrówkę po jej ciele, ale nie mogła się doczekać. Poruszyła biodrami, a wtedy przestał ją całować, a ona znów uczuła wstyd. Znowu posunęła się za daleko.

– Coś nie tak? – zapytała.

– Uważam, że powinniśmy kontynuować poszukiwania ropy, gdyż w przeciwnym razie twój stryj mnie zabije.

*Nie chodzi mu o to, że zginie, pomyślała, ale o to, że jest zrujnowany.* Jakież to przygnębiające, kiedy ludzie tak bardzo martwią się pieniędzmi. Ogarnął ją wewnętrzny chłód. Nie mogła na niego spojrzeć. Doszła do wniosku, że wcale by jej nie obeszło, gdyby przepadł na zawsze. Może jest niesprawiedliwa. Zmusiła się do otwarcia ust:

– Nie dowie się.

– Hm... Powiem coś, co nie leży w moim interesie: wystarczyło mi



jedno spojrzenie na twój dom, żeby wiedzieć, że nie nadaję się dla ciebie.

Wiedziała, co ma na myśli, ale udała, że nie ma pojęcia. Była bardzo zmęczona – mężczyznami, którzy starali się być wobec niej mili, zamiast zadrzeć jej kieckę i przycisnąć do ściany. Chciała, żeby przestał się wahać i rozważać to wszystko na głos.

– Cieszysz się złą reputacją? – Pozwoliła sobie na uszczypliwość.

– Nie mam żadnej reputacji. Przez całe życie uganiem się za ropą, a nie za dziewczętami. – Po chwili dodał: – Na nieszczęście mój ojciec należał do takiego typu ludzi, którzy rzucają synów na głęboką wodę, zamiast posyłać ich do burdelu.

– To zmniejsza ryzyko zachorowania.

– Tak, choć zwiększa ryzyko śmierci lub kalectwa.

– Naprawdę uważasz, że to tak niebezpieczne? – Głupie pytanie. To, co robił było niebezpieczne, niedawno stracił w wypadku ojca. Ale w tej chwili zupełnie o to nie dbała, nie chciała podążać w tę stronę, nie interesował jej jego ojciec ani nikt inny.

– Z czasem coraz bezpieczniejsze.

– Możesz robić to, co ci się podoba – powiedziała. – To oczywiste, kiedy się na ciebie patrzy.

– Lubię to, co robię. – Zapadła cisza. – Chcę, żebyś wiedziała: moje kłopoty finansowe mają charakter przejściowy. Na szczęście dla waszej rodziny.

Przyciągnęła go i znów pocałowała. Całowali się przez chwilę, ale jego dłonie nie poruszyły się, co było frustrujące, gdyż była gotowa mu się oddać, oprócz tego miała przeświadczenie, że już więcej go nie zobaczy. Zastanawiała się, czy jest w niej coś – w jej ciele, twarzy albo w czymś innym – co odstręcza mężczyzn. Może wyczuwali jej niedoświadczenie, może uważali, że nie będzie w tym dobra albo że to będzie znaczyło dla niej zbyt wiele. *To nic nie znaczy*, chciała mu powiedzieć. *To jest jak klątwa i chcę się tego pozbyć*. A może w ogóle nie myśleli o niej w taki sposób? Może tylko dobrze się z nią rozmawiało? Znów ogarnął ją chłód.

– Chyba musimy wracać do pracy.

– Powinniśmy – odpowiedział.

– OK, wspaniale. To świetny pomysł – dodała. Usiadła, zebrała szybko rzeczy i powędrowała do ciężarówki. Przed nim. Czowała na sobie jego spojrzenie, nie wiedział, co zrobił źle, ale jej to nie obchodziło. Chciała wrócić do domu.

Resztę dnia spędzili w drodze, zatrzymując się raz po raz, żeby mógł zaznaczyć coś na mapie.

– W jaki sposób znajdujecie tu drogę? – zapytał. – Cała okolica wygląda tak samo.

– Wcale nie! – zaprotestowała.

– Może do tego przywyknę.

– Jak długo tu zostaniesz? – Guzik ją to obchodziło, pytała z uprzejmości.

– Jeśli znajdziemy ropę? Mogą minąć lata, jeśli nie zawisnę wcześniej na dębie przed domem.

– To cedrowy wiąz – poprawiła go.

– Przekonamy się.

– Zawsze jesteś taki rozmowny? – zapytała.

Zaczerwienił się i wyjrzał przez okno, milczeli i znów zrobiło się niezręcznie. Rozważała, czy nie poprosić go, żeby podrzucił ją do domu, ale zapytała, nie wiedzieć czemu:

– Chodziłeś do szkoły?

– W pewnym sensie.

– Co to znaczy?

– Jestem dumnym absolwentem szóstej klasy.

– To lepsze niż nic.

– Nawet to jest niestety przesadą.

– Zdaje się, że umiesz czytać i pisać.

– Jak powiadają u nas: „Są jełopy i jełopy”. Należę do tej pierwszej kategorii.

Tego wieczoru zjedli kolację z *vaqueros*. Hank rozmawiał z nimi po hiszpańsku. Domyśliła się, że go polubili, choć byli jak zawsze podejrzliwi i... – nie, nie myliła się – ...zazdrośni, co ją zaskoczyło. Wrócił jej humor. Ale kiedy kolacja dobiegła końca, a pokojówki wraz z Flores i Hugo sprząтали ze stołu, poprosił o wybaczenie:

– Musimy jutro wcześniej wstać – powiedział wszystkim. – Dobrej nocy.

Do niej ani słowa. Poszła do łóżka wściekła.

Następnego dnia jechali jak zwykle i kazała mu stanąć – chciała zerwać więcej mięty.

– Zależy ci, żebyśmy nie pracowali, prawda?

– Będziesz tu przez rok.

– Jeśli twój stryj mnie nie wyrzuci.

– OK, nie obchodzi mnie, co robimy.

- Nie bądź rozczarowana.
- Za późno – powiedziała.
- Naprawdę jesteś?
- Tak.
- Nie wiedziałem.

Tymi słowami doprowadził ją do wściekłości.

- Jesteś naprawdę głupi.

Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej dłoni. Początkowo nie pozwoliła.

Tamtego popołudnia leżeli na kocu w cieniu. Zachęcała jego dłonie do wędrówki, co czyniły, ale pojawiała się naturalna przerwa i nie posuwały się dalej. Jej zainteresowanie zwiększało się i zmniejszało, pożądanie odpływało gdzieś z głębi niej, jakby czuła już rozczarowanie, które jeszcze nie nadeszło. Postanowiła podejść do tego rzeczowo, jak do zadania do wykonania, więc usiadła i rozpięła Hankowi koszulę, choć nie miała pojęcia, jak ją z niego zdjąć; potem rozpięła mu pasek i spodnie. Nie powstrzymywał jej, ale wpatrywał się w nią pytająco. Kiwała głową. Wówczas przejął stery i po kilku sekundach był już całkiem nagi. Ona zresztą też. Zawisł nad nią w powietrzu, przyglądał się piersiom i reszcie jej ciała – domyśliła się, że przypadła mu do gustu, ale nie chciała być oceniana, bo nie czuła się z tym dobrze, więc przyciągnęła go do siebie.

Leżeli w taki sposób, zsuwając się nieco, potem bardziej, aż w końcu to stało się nie do zniesienia, więc wpełchnęła się w niego mocniej; nie była pewna, jak dostać to, czego chciała, ale uniosła biodra, a potem jeszcze raz i nagle znalazł się w środku. Wcale nie bolało. Wręcz przeciwnie. Przyciągnęła go mocniej i wtedy zabolęło, ale zaraz przestało. Cienka jak papier zasłonka oddzielała szczypanie od tego, co było dokładnie takie, jak sobie wymarzyła. I wtedy Hank znów przejął stery, a ona zapomniała się na chwilę, a potem znów przypomniała się sobie i zaczęła się zastanawiać, czy jedynym powodem, dla którego tyle mówiło się o bólu nie było przypadkiem to, żeby nie robić tego przez całe życie bez wytchnienia.

Miała nad sobą drzewa, a potem już nie była pewna, co – wyglądało na to, że nie znajdowała się w żadnym konkretnym miejscu. Ciekawe, czy krwawi? *Poleje się krew*, mówili, *krew, krew, krew*. Jakby to było najgorsze na świecie! Chciało jej się śmiać, ale nie mogła, to nie zostałyby właściwie odebrane. Była w swoim cieple i poza nim, śniła i budziła się, była tu, a zaraz potem tam i znów tutaj na dobre: na kocu, z leżącym na niej mężczyzną, z kamieniem albo gałązką pod

plecami. Przytuliła się mocno do niego. Trwało to bardzo długo, aż w końcu wyszedł z niej gwałtownie. Wiedziała dlaczego, ale było jej przykro. Potem powiedział:

– Przepraszam.

– Za co? – Całowała go w szyję.

– Następnym razem będę lepszy.

– Podobało mi się.

– Będę lepszy.

– Wróć tam – poprosiła.

– Za parę minut. – Zsunął się z niej i położył obok, przekładając przez nią nogę.

Zaczęła poruszać biodrami. Zdaje się, że łamała jakieś reguły, ale była szczęśliwa.

– Dotkniesz mnie dłonią?

Była chyba zaborcza, ale przystał na to rozradowany. Czują, jak to narasta. Mocniej i lepiej niż wtedy, kiedy próbowała sama, lecz zanim poczuła spazm, położył się na niej.

– Rób to wolniej i dłuższymi pociągnięciami – poprosiła go.

Tak zrobił, a ona poczuła gorąco, jakby ktoś zanurzył ją w wiadrze z czymś ciepłym (*czerwoną farbą*, pomyślała, *to jest czerwone*). Wędrowało od bioder w górę i w dół. Potem znów było bardzo dobrze, a on chciał uciec po raz drugi. Przytrzymała go, żeby nie zdołał. Usiłował podnieść głowę, żeby pocałować ją w szyję, ale nie miał już siły. Był jak pijany albo senny, przesunął usta od jej ucha do ramienia, nie całując nawet. Miał przyjemny oddech. Przytuliła go.

– Czy ty? – zapytał po dobrej minucie.

Naprawdę nie wiedział? Poczuła się urażona, a potem już nie, bo była przewrażliwiona. To prawdopodobnie normalne. Znów zaczął mówić:

– Myślisz, że...

– Ciiiiiiii – szepnęła. – Ciiiiiiii. Ciiiiiiii. Ciiiiiiii. – Wciąż pływała pod wodą albo w ciepłej kąpieli.

Obudziła się chwilę później, serce biło jej dziwnie, ale to nie było jej serce, tylko jego. Krew, pomyślała po raz kolejny, ale uznała to za zabawne, ludzie są głupi, aż trudno uwierzyć – niemądrzy, pomyślała. Głaskała go po plecach, całowała włosy. Westchnął, ale się nie obudził. Wiał lekki wietrzyk, słyszała szmer strumienia ze źródła na wzgórzu przy starym kościele – tam, gdzie jej bracia znaleźli grób; *Wszyscy przepadli*, pomyślała, *wszyscy martwi*. Przyglądała się

migoczącemu słońcu. *Gdybym ja umarła...*

Po jakimś czasie Hank znów w nią wszedł, ale miała pełny pęcherz. Ruszał się w niej, ale ona chciała wstać. Nie była pewna, jak mu to powiedzieć i zaczęła się zastanawiać, czy nie oddała mu przypadkiem czegoś cennego, najcenniejszego co miała, nie prosząc o nic w zamian – nawet o obietnicę. Chciała, żeby przestał i upewnił ją w tym wszystkim, ale to nie był dobry pomysł – teraz mógł powiedzieć wszystko. Chyba czytał w jej myślach, bo jakby przebudził się ze snu i zdjął z niej ciężar.

– Przydusiłem cię?

– Nie – odpowiedziała.

Zsunął się ostrożnie, westchnęła, kiedy z niej wyszedł. Leżeli obok siebie przez długi czas spleceni nogami, aż w końcu naprawdę musiały wstać, bo doszłoby do wypadku – tego nie da się obejść.

– Dokąd idziesz?

– Muszę zostać sama na chwilę – powiedziała.

– Po co? – zapytał, a potem ugryzł się w język.

Wsunęła się w sukienkę, włożyła pantofle i pobiegła na drugą stronę domu. Kiedy wróciła, wciąż leżał nagi na kocu, nakrapiany słońcem. W cieniu było miło. Pogłaskała go po piersi. Dosyć kościstej, ale umięśnionej; ramiona też miał chude, ale węzłaste, na całym ciele nie było ani grama tłuszczu. Przesunęła palcem wzdłuż linii ciemnych włosów, biegnącej od pępka w dół ku... (*penisowi*, pomyślała). Znała wiele słów, ale nie była pewna, które jest właściwe w tej sytuacji, kiedy to leżało na jego udzie, ciemniejsze od całej reszty. Było pokryte zaschniętą błonką, na brzuchu też miał takie plamki. Dotknęła go, a on się wzdrygnął.

– Bolało?

– Wystraszyłaś mnie, nic więcej.

Teraz był mały. Bardzo mały. Opanowała się, żeby czegoś nie powiedzieć na ten temat.

– Jak myślisz, co powie Phineas? – zapytała.

– To przerażająca myśl.

– Przeciwnie. Uważam, że będzie uszczęśliwiony.

– Jesteś chyba jedyną osobą w Teksasie, która tak uważa. Ale... – Wzruszył ramionami. – Przypuszczam, że wiedział, że do tego dojdzie. Albo czegoś w tym rodzaju.

– Choć może nie tak szybko.

– Nie wiem, jak zdoła się pogodzić z kimś takim jak ja u twego boku,

ale myślę, że nie jest idiotą. Byłem zaskoczony, kiedy poprosił, żebym odwiózł cię do domu. To zupełnie nie miało sensu. Spojrzałem na ciebie tylko raz i pomyślałem...

- Co? - zapytała.
- Pomyślałem, że nigdy nie zechcesz ze mną rozmawiać i tyle.
- Dlaczego wysłał nas tutaj razem?
- Myślę, że głównym powodem jest to, że nie biorę dużo za pracę.
- Sam powiedziałaś, że nie jest idiotą.
- Z całą pewnością nie. To nie ulega wątpliwości.
- Chodzi mi o to, że cię polubił. A on nie lubi większości ludzi.
- Hę?
- A poza tym oboje jesteśmy sierotami.
- Nigdy nie myślałem o tym w taki sposób.
- Naprawdę?
- Nie - odrzekł. - Zapadła cisza. - Od ciebie zależy, co sobie o tym pomyślisz - mruknął. - Ludzie mają gorzej.
- Nie lubisz mnie, prawda? - zapytała.
- Masz rację. Nie umiem powiedzieć, czy cię lubię czy nie. - Popchnęła go. - Ładnie wyglądasz w słońcu.
- Czuję się ładna - powiedziała. Zdjęła sukienkę. Słońce stało się konstelacją rozproszonych rozbłysków pod jej powiekami. - Mogłabym tu leżeć bez końca.

Tamtej nocy znów się kochali, a potem każde poszło do swojej sypialni w przeciwległych skrzydłach domu. Nie chciała, żeby Flores coś podejrzewała, choć nie była pewna, dlaczego tym się martwiła; leżała i czuła się trochę winna i znów się zastanawiała, czy nie popełniła błędu.

Ale kiedy nadszedł ranek, Hank był jej pierwszą myślą: dlaczego nie leży przy niej w łóżku? Objęła poduszkę i przytuliła ją do siebie, pólżąc na niej obsypywała ją pocałunkami, wyobrażając sobie, że to on. A potem ogarnęło ją dziwne uczucie. Czy nie powinna zostać dzisiaj w domu? Zamknąć się w pokoju i nie wychodzić? To, co się wydarzyło było ekstrawagancją, czymś, co może się jej znudzić, nie powinna marnować wszystkiego od razu. Tak, była pewna, nie powinna się z nim spotykać. Nie będzie dobrze, jeśli się do niego przyzwyczai.

Mijał czas. Zdała sobie sprawę, że pewnie czeka na nią na dole. Czuła nerwowe podniecenie, ogarnęła się szybko i pośpieszyła na spotkanie. Jedli śniadanie powoli, szukając z wysiłkiem tematów do

rozmowy i wpatrując się z napięciem w plecy Flores – chcieli, żeby wyszła jak najszybciej. W końcu Jeannie powiedziała niewinnym, jak miała nadzieję, głosem (wcale nie był niewinny, nie mógł być!), że posprzątają z Hankiem po śniadaniu. Kiedy Flores odeszła, zdarli z siebie w spiżarni ubrania i spróbowali zrobić to na stojąco, ale nie przyniosło im satysfakcji, więc ostatecznie Jeannie wylądowała na posadzce wśród worków z fasolą i mąką. Oblały ją zimne poty, bo wyobraziła sobie, że widzi ją i osądza ojciec, a potem doszła do wniosku, że ma prawo robić to, co chce.

Pół roku później stanęła i działała pierwsza wiertnia. Po licznych poszukiwawczych strzałach Hank doszedł do wniosku, że najlepszym miejscem będą na początek stare pastwiska Garcíów. Wkładał (co na początku było obrzydliwe, a potem ujmujące) próbki skał do ust – wybierał je prosto z przesiewacza. Zaczynają smakować ropą, mawiał, więc jeśli chce się nauczyć tego fachu, musi nauczyć się smaku. Podał jej rozłupany kawałek wapienia z głębokości kilku tysięcy stóp pod powierzchnią ziemi. Kamień był mokry od wiertniczego błota, powąchała go: cuchnął obrzydliwie siarką. Dotknęła go językiem i o mało się nie zakrztusiła: rzeczywiście smakował ropą, ale i wieloma innymi rzeczami, czymś zgniłym i gorzkim, leżał w mokrej ziemi przez osiemdziesiąt czy sto milionów lat.

Pod koniec dnia wielki diesel Cumminsa zmienił nagle ton, kolumna wiertła szarpnęła i wpadła do otworu, a potem wiertnica, cała stalowa nadbudowa nad nimi, jęknęła głośno, jakby ją nagle obciążono.

– Niedobrze – powiedział Hank.

Silnik generatora przestał wyc, zrobiło się ciszej, a robotnicy wzięli się za robotę. Ktoś poruszył się wysoko na wiertni: wiertacz schodził z podestu, zeskakując, a nawet ześlizgując się po drabinie. Ominął ją, zbiegając schodami do dołów z błotem. Po krótkiej chwili zawył silnik pompy. Pozornie nic się nie zmieniło, ale wszyscy biegali wkoło jak w cyrku. To było zabawne. Oparła się o poręcz.

Układacz rur i cęgowy przecinali worki z żółtym sproszkowanym barytem, który wsypywali do dołów z błotem; wiertacz wypompowywał błoto z rezerwy. Dopiero teraz zauważyła zmianę: powrotna rura z błotem, z której do tej pory wszystko wypływało bez przeszkód do przesiewacza, zaczęła się krztusić i pluć. Błoto utrzymywało kolumnę wiertniczą w otworze i było jedyną przeszkodą, która powstrzymywała gaz przed wybuchem w szybie.

Zaczęła się denerwować. Po minucie coś się odkorkowało i błoto

wyleciało górą ruchomego ciężna. Śmierdziało siarką, a Hank wskazał ją palcem i polecił:

– Złaź.

– Dlaczego?

– Zaraz nas kopnie. – A potem przestał zwracać na nią uwagę. Nie była pewna, czy nie traktuje jej jak dziecka. Postanowiła, że właśnie tak się zachowa. Została na miejscu. Nigdy się tego nie nauczy, jeśli będzie uciekać za każdym razem, kiedy sprawy się skomplikują. – Złaź z wiertni! – zawołał, ale nie zrobiła tego. Wysprzęglił kolumnę wiertła i opuścił głowicę przeciwwybuchową. Jeszcze więcej błota wybiło nad ruchomym ciężnem, ochlapując jej sukienkę i pantofle. – Złaź, kurwa, z tej wieży, Jeannie. – Popchnął ją brutalnie ku krawędzi metalowych schodków. Odwróciła ku niemu głowę i w końcu zeszła. Znow nie zwracał na nią uwagi. Usiadła na głazie kilka jardów dalej. Bała się, choć nie wiedziała czego. Z drugiej strony, jeśli coś się stanie... to trudno. Będzie przy nim.

Po dziesięciu albo piętnastu minutach rura przestała się krztusić. Błoto znow spływało bez przeszkód do dołów. Mężczyźni roześmiali się i zaczęli klepać po plecach, rozmawiali ze sobą bardzo szybko i rechotali w sposób niekontrolowany – domyśliła się, że również się bali. Wiatr rozwiewał setki pustych worków po barycie. Hank machnął do motorowego, żeby zgasił silnik generatora, a wszyscy robotnicy usiedli przy budzie. Jeden z nich zapalił papierosa, ale Hank wyjął go z jego ust i zgasił pod butem.

– Bez kowbojskiej fantazji, OK?

Robotnik kiwnął głową. Potem Hank spojrzał na Jeannie.

– Kiedy następnym razem każę ci zleźć, to zleziesz.

– Jak się mam czegokolwiek nauczyć, kiedy każesz mi odejść, jak coś jest nie tak? – zapytała.

– Niczego więcej już byś się nie nauczyła. A ognistą kulę widzieliby w mieście.

Robotnicy garbili się na ławce w budzie. Wiertniczy chodził w tę i z powrotem i klął pompy błotne.

– Co z głowicą przeciwwybuchową? – zapytała.

– Czasem gaz wybuchu bez względu na cokolwiek. Możesz zrobić wszystko idealnie, a tego nie da się powstrzymać.

Od tamtej pory nie chciała go opuszczać. Jeśli Hank będzie przy szybie, który wybuchnie, ona będzie razem z nim. Już nigdy nie zostanie sama.





## Dzienniki Petera McCullougha

*25 czerwca 1917 roku*

Tego wieczoru znalazła mnie w gabinecie. Dałem jej ciężarówkę, żeby dojechała do Carrizo, licząc po trosze na to, że nie wróci.

– Przestraszyłam cię?

– Trochę – odpowiedziałem. Zdałem sobie sprawę, że rzeczywiście liczyłem na to, że zniknie, a myśl o tym przynosiła mi ulgę i przygnębienie.

Rozejrzała się wokół.

– Tyle książek. I sypiasz tutaj? – Kiwnąłem głową. – Ze względu na mnie?

– Weszło mi to w krew, zanim zostawiła mnie żona – odpowiedziałem, co nie było całkiem nieprawdą.

Usiadła na sofie.

– Spójrz na mnie – powiedziała, wyciągając ręce. – Jestem jak martwa. Nie mogę nawet spojrzeć na siebie w lustrze.

– Musisz jeść i wypocząć.

– Nie mogę zostać tak długo.

– Już ci mówiłem, że nie mam nic przeciwko temu.

– Ale ja mam. – Zapadła cisza, a ona znów rozglądała się wokół. – Jestem jedenaście lat młodsza od ciebie – oznajmiła. – Choć wiem, że wyglądam starzej.

– Ciągle jesteś ładna. – To nie była prawda, nie do końca, a mimo to bardzo się zaczerwieniłem. Jeśli przez cztery dni można wyładnieć, Marii się to udało. Nie miała już suchej skóry, usta były mniej spierzchnięte, lśniły jej umyte włosy. Chyba nie dosłyszała mojego komplementu.

– Wiesz, od lat wyobrażałam sobie, że powiem ci to wszystko, ale czuję się winna, bo widzę, że to cię rani. A potem złoścę się na siebie za to, że czuję się winna. Przez ostatnie dwie noce spałam tu bardzo dobrze. I znów czuję się winna. Jestem jednak tchórzem.

– To absurdalne – odrzekłem.

– Nie tobie to osądzać. – Rozglądała się nieustannie, przyglądając się książkom, taksując podłogę, ściany i sufit, jej spojrzenie złagodniało, ale miałem dziwne przeświadczenie, że nie zabawi długo na tej ziemi. Widziałem trupy zdrowszych od niej ludzi. – Sporo tu teraz farmerów.

– Owszem.

– A inni Meksykanie? Ci, którzy tutaj mieszkali?

– Część wyjechała do Michigan do pracy. Niektórzy zniknęli. Inni nie żyją.

Zapytała, którzy. Otworzyłem pamiętnik i powiedziałem jej o tych, których nazwiska zapisałem, choć znałem je niemal na pamięć. Zabici w zamieszkach: Llewellyn i Morena Pierce, Custodio i Adriana Morales, Fulgencio Ypina, Sandro Viejo, Eduardo Guzman, Adrian i Alba Quireno, cała czwórka Gonzalo Gomezów, dziesięcioro Rosario Sotosów, z wyjątkiem dwóch najmłodszych adoptowanych przez Herrerów. Uciekli podczas albo po zamieszkach: Alberto Gomezeowie, Claudio Lopezowie, Janerowie, Sapinosowie, Urracowie, Ximenesowie, Romerowie, Reyesowie, Domingo Lopez, niebędący krewnym Claudia, Antonio Guzman, niebędąca krewną Eduarda (zabitego), Vera Florez, Vera Cruze, Delgadosowie, Urrabazesowie.

– Mogli być też inni, o których nie słyszałem.

– Cóż, spisałeś ich nazwiska – powiedziała – a to już coś.

– Jest ich więcej – wtrąciłem.

Ci, którzy przenieśli się do Detroit do pracy: Adora Ortizowie, Ricardo Gomezowie, Vargasowie, Gilberto Guzmani, Mendezowie, Herrerowie (w tym dwie córki Rosaria Soto), Riverowie, Freddy Ramirez i jego rodzina.

– Jesteście właścicielami całej naszej ziemi? – zapytała. – Czy podzieliliście się z Reynoldsami i Midkiffami?

– Tylko my. I paru farmerów z Północy. – Co było prawdą i kłamstwem zarazem, i było mi przykro, że ją okłamałem.

– Zaległe podatki, jak podejrzewam.

– Mówili, że twój tata miał zaległości.

– To nieprawda. Wiesz o tym. – Wyjrzałem przez okno. – Jest we mnie tyle złości – powiedziała – że czasem zastanawiam się, dlaczego jeszcze oddycham.

*1 lipca 1917 roku*

María Garcia jest tu od dziesięciu dni. Według Consueli, kiedy wychodzę, chodzi po domu lub siedzi na werandzie i patrzy na okolicę, na ziemię, która należała kiedyś do jej rodziny, albo gra na fortepianie mojej matki. Kiedy wracam z pastwisk, siedzi zazwyczaj przy fortepianie – chyba wie, jaką mi sprawia przyjemność. Po kolacji spotykam ją w bibliotece. Oboje lubimy te same miejsca w domu: bibliotekę, salon, werandę od zachodniej strony. Dobrze chronione miejsca, z których rozciąga się wspaniały widok i w których słyhać, kiedy ktoś nadchodzi.

Gdy pytam o jej plany, mówi, że będzie dalej jeść, a kiedy skończy jeść, zaplanuje coś innego. Już teraz wygląda lepiej, przybrała na wadze, ubyło jej lat.

– Jeśli zacznę ci przeszkadzać – mówi – wyruszę w drogę.

Nie powiedziałem jej, że już przeszkadza, że ojciec zażądał, żeby odjechała.

– Dokąd pójdziesz?

Wzrusza ramionami. Pytam więc:

– Jak jest teraz w Meksyku? – Jakbym nie znał odpowiedzi.

– Podchodzą do ciebie na ulicy, kiedy wychodzisz z kina albo *cantiny*, mówią: „Masz rewolwer, jesteś teraz *Zapatista*, *Carrancista* albo *Villista*”, zależy, kto cię dopadnie. Jeśli zaprotestujesz albo jeśli przekonają się, że jesteś po drugiej stronie, zabiją cię.

– A twoi znajomi z uniwersytetu?

– To było piętnaście lat temu. Większość z nich wyjechała, kiedy zaczęło się źle dziać.

– Michigan? – Od razu pożałowałem, że jej to zaproponowałem.

– To nie jest mój kraj. – Wzrusza ramionami, co oznacza, że mi wybaczyła.

Patrzę na światło padające na jej włosy, które lśnią, na wygięcie szyi, gdzie widać zawilgotnienie. Ma bardzo ładną skórę. Odchyła się ku strumieniowi powietrza z wentylatora, kołysze nogą, patrząc na zawieszony na palcach pantofel, który musiała znaleźć gdzieś w domu.

– Nic mi się nie stanie – mówi. – Nie musisz się o mnie martwić.

*2 lipca 1917 roku*

Poszedłem zobaczyć się z ojcem, żeby omówić tę sprawę. Wiertaczom skończył się węgiel do bojlera, cisza przynosi ulgę. Zapomniałem, jak

brzmi.

Pułkownik siedział w cieniu na werandzie swojego domu, który przypomina *jacal*. Prawie nie widać z niego dużego domu, ale stoi w kępie dębów, a obok płynie strumień i jest w nim o dziesięć stopni chłodniej niż gdziekolwiek na ranczu. W nocy ojciec śpi w szałasie z ciernistych zarośli (choć doprowadził do niego prąd, żeby włączać wentylator Crockera) i uparcie nie chce załatwiać się w toalecie, przedkładając nad to kucanie w krzakach. Chodzenie wokół jego domu przypomina poruszanie się po polu minowym.

– Co za upał – powiedział. – Powinniśmy kupić ziemię w Llano.

W dużym domu było sto dziesięć stopni, w jego *jacalu* tylko sto [17](#).

– Musielibyśmy za to odgarniać śnieg – odrzekłem.

– Na tym polega problem z rodziną. Weźmy takiego Goodnighta, robi, co mu się żywnie podoba, przeniósł się aż do Palo Duro po odejściu Komanczów.

– Charles Goodnight ma rodzinę. Żonę w każdym razie. – Spojrzał na mnie. – Molly.

– Ta, nigdy o nich nie mówi. – Potem zmienił temat: – Przyjedzie tu taki człowiek na parę tygodni, nazywa się Snowball. To Murzyn, znam go z dawnych czasów. Zostanie tu na trochę.

Odchrząknąłem i powiedziałem:

– Jest też kwestia tej dziewczyny Garcíów.

– Nie jest tak ładna jak jej matka, trzeba przyznać.

– Jest dosyć ładna.

– Chcę, żeby ruszyła w drogę jak najprędzej.

– Jest chora.

– To nie leży w naszym interesie, Pete.

– Leży.

– Są trzy rzeczy związane z tą kobietą: pierwsza – jej szwagier postrzelił twojego syna. Druga – w obecności pół tuzina przedstawicieli prawa pojechaliśmy pojmać sprawcę. Niestety, nie wszystko przebiegło zgodnie z oczekiwaniami.

– To mało powiedziane.

Pomachał wściekle ręką, jakby chciał odgonić smród moich słów.

– Ostatnia sprawa: ziemię jej ojca wystawił na licytację za zaległe podatki stan Teksas, co zdarzyłoby się prędzej czy później bez względu na to, czy mieszkaliby tam czy nie. Nie płacili podatków. – Parsknąłem. – Wszystko jest w księgach.

– Wiemy, kto je sporządził.

– Pete, żebyś ty wiedział, kogo i co ja chciałem w życiu ocalić: Indian, bizona, prerię z widokiem na dwadzieścia mil bez płotu. Ale to wszystko przeminęło. – A swoją żonę?, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego. – Daj jej trochę pieniędzy i wypraw ją w drogę. Do weekendu.

– Po moim trupie.

Otworzył usta, ale nie był w stanie wykrztusić słowa. Sądząc po jego policzkach, było mu bardzo gorąco.

– Tylko nie stawaj na uszach... – zaczął, ale odwróciłem się już i szedłem przed siebie z drżącymi rękoma wbitymi w kieszenie. Przestały mi się trząść dopiero po powrocie do domu.

Zadzwoiłem do Sally, mając nadzieję, że stanie się głosem rozsądku. Nie rozmawialiśmy od miesiąca – porozumiewa się ze mną przez Consuelę – i była zaskoczona, słysząc mój głos. Powiada, że nie ma interesu w powrocie do McCullough Springs. Jej największy życiowy błąd. Rozmawialiśmy o Charliem i Glennie, którzy wciąż są szkoleni. Oboje zgodziliśmy się, że to mało prawdopodobne, żeby trafili na front. Podejrzewam, że Charlie byłby rozczarowany, ale nie powiedziałem tego.

Po pewnym czasie wspomniała, że spędziła dwa tygodnie w Górach Berkshire w Massachusetts ze „znajomymi”. Była ciekawa, czy o tym słyszałem, bo wydawało się jej, że dlatego dzwonię. Nagle objawiła mi się cała absurdalność pytania jej o zdanie w sprawie Marii Garcii; rozżłościłem się na siebie za to, że do niej zadzwoniłem, rozżłościłem na własną desperację. Ona natomiast uważała, że chodzi o jej „schadzki” i natychmiast przyjęła pojednawczy ton.

– Smutno mi, że cię tu nie ma – oznajmiła. – Byłoby o wiele zabawniej.

– Pracuję.

Cisza.

– Jesteśmy w separacji?

– Nie wiem.

– Ale postanowiliśmy spędzić trochę czasu z dala od siebie.

– Nie obchodzi mnie, co robisz – powiedziałem.

– Ja tylko głośno się zastanawiam. Próbuję rozgryźć nasz status.

– Możesz robić wszystko, na co tylko masz ochotę.

– Wiem, że ciebie to nie obchodzi, Peter. Nie obchodzi cię nikt inny poza tobą samym i nic innego poza twoim smutkiem. To obchodzi cię

najbardziej: dbanie, żeby być najniezwyklejszym na świecie.

– Wcześniej także nie martwiłem się o to, co robisz – powiedziałem. – Nie rozumiem, dlaczego miałbym teraz.

– Usiłuję zrozumieć, jak to możliwe, że wciąż cię kocham, bo tak jest. Chcę, żebyś to wiedział. Możesz to ocalić w każdej chwili.

– To miłe – powiedziałem.

Cisza.

– Słuchaj – odezwała się po chwili – a jak tam wiercenia?

Zszedłem, żeby sprawdzić, co z obiadem.

– Pański ojciec mówi, że mam dla niej nie gotować – powiedziała Consuela. Wzruszyłem ramionami. – Przygotuję dodatkową porcję dla pana.

Oczywiście nie ma z kim o tym porozmawiać, nawet z Consuelą nie można. Wiem, co by odpowiedziała. Wiem, co każdy by mi odpowiedział. Właściwą rzeczą jest pozbycie się jej. Być może dla jej własnego dobra.

Po trwających dziesięć minut poszukiwaniach odnajduję ją w bibliotece. Najprzyjemniejszy pokój w całym domu, jako że większość okien wychodzi na północ, a pośród głązów wybija jeszcze trochę wody, więc za oknem jest zielono.

– Co się stało? – pyta. Wzruszam ramionami. – Widziałam, jak wracałeś z domu ojca. – Znów wzruszenie ramion. – Oczywiście. Consuela dała mi parę rzeczy, zbiorę je.

– Czy twoja rodzina nie miała konta w banku?

– Miała – odrzekła. – To, co zdołałam wypłacić, przeznaczyłam na życie.

– Naprawdę nie masz dokąd pójść?

– Nie martw się o mnie.

– On zawsze tak postępował – mówię, mając na myśli Pułkownika.

– Ziemia odbiera ludziom rozum.

– Nie chodzi o ziemię.

– Wiem. Brat mojego dziadka był taki sam. Człowiek był dla niego przeszkodą, utrapieniem jak susza albo krowa, która nie daje mleka. Gdybyś stanął mu na drodze, wyciąłby ci serce, zanim zdołałby się zastanowić dlaczego to robi. Gdyby jego synowie przeżyli... – Wzrusza ramionami. – To oczywiście nie było nasze miejsce. Mój ojciec studiował od dwóch lat na uniwersytecie, kiedy zmarł jego stryj. Ale...

– Znów wzrusza ramionami. – Był romantykiem.

– Był dobrym człowiekiem – mówię.

– Był próżny. Spodobała mu się myśl, że może zostać *hidalgo*. Zawsze powtarzał nam, że to prawdziwe błogosławieństwo móc utrzymywać się z ziemi. Ale nie chodziło mu o nas. Liczył się tylko on. Nie przyjmował do wiadomości, że któregoś dnia może zginąć z ręki sąsiada, więc trzymał nas wszystkich w domu, mimo ryzyka, z którego wszyscy zdawali sobie sprawę. – Zapadło milczenie. – Ty też źle się tutaj czujesz – mówi. – Prawdopodobnie wiedziałeś o tym od zawsze, ale tkwisz tu.

Nie od zawsze, rzecz jasna. Ale prawdopodobnie odkąd umarła mama. Ale nie mogę jej o tym powiedzieć. Tej historii nie da się porównać z tym, przez co przeszła. Zamiast tego opowiadam jej inną:

– Pamiętam, że kiedy byłem dzieckiem, złapaliśmy takiego chłopaka, który według ojca kradł nam bydło. Miał może dwanaście lat, ale nie chciał nic ojcu powiedzieć, więc ten przerzucił sznur przez górną belkę bramy i założył pętlę na szyi chłopca. Drugi koniec sznura przywiązał do konia. Chłopak zaczął mówić. Narysował mapę na ziemi, powiedział, że ci, których szukamy są biali i że posłali go tutaj, bo sami nie znają okolicy. – Kiwa głową. Nie wiem, czy mam mówić dalej czy nie. Ale mówię: – Zdejmowałem pętlę z jego szyi, kiedy ojciec klepnął konia w zad i chłopak zawisł w powietrzu.

– I co?

– Umarł.

– Złapali pozostałych?

– Powiesił tych, których nie zastrzelił.

– Szeryf?

– Nie, mój ojciec.

Było ich dziewięciu, ale czterech ostatnich się poddało i ojciec kazał rozsiodłać ich konie, znalazł odpowiednią topolę i powiesił ich na ich własnym sznurze. Trzymałem kamfenową lampę, a Phineas zakładał pętle. Początkowo nie mógł się opanować, ale ostatniemu powiedział:

– Za minutę, współniku, będzie po wszystkim.

– To miłe z twojej strony – odpowiedział tamten.

Na co wtrącił się ojciec:

– Tak czy siak będziesz wisiał, Paco. Co za różnica, czy teraz czy za parę tygodni w Laredo.

– Wolę za parę tygodni. – Ślina ściekała mu z ust.



– Ciesz się, że nie obdarliśmy cię ze skóry – powiedział ojciec.

María siada obok mnie. Słońce zachodzi, w pokoju panuje półmrok. Chowa kosmyk włosów za ucho, a ja przełykam ślinę. Ma łagodne oczy. Dotyka mojej dłoni.

– Powinieneś przestać o tym myśleć – mówi.

Nie mogę. Ale trudno to wyjaśnić ludziom, więc nic nie mówię.

Phineas stał za jednym z koni i klepnął go w zad, potem podszedł do następnego. Kiedy zawisł ostatni, zrobiło się cicho, słychać było tylko chrzęst sznurów, dławienie się i wypróżnianie wymachujących nogami mężczyzn. Ciągłe tak nimi machali, kiedy ojciec powiedział:

– Mamy tu parę ładnych siodeł.

– Peter?

Jej dłoń leży na mojej, a ja boję się poruszyć.

– To gdzieś we mnie tkwi – mówię.

Siedzimy obok siebie i zastanawiam się, czy coś się stanie, ale oboje wiemy, że to niewłaściwe.

[17] Odpowiednio 43,3°C i 37,7°C [przyp. tłum.].



## Eli McCullough

### *Początek 1852 roku*

Przyjechałem do Bastrop i odnalazłem po adresie nowy dom – chybotliwą konstrukcję na ramach z dodanymi pokojami, zbudowaną jeszcze przed wejściem do Unii, kiedy brakowało materiałów. Ale z przodu był duży dziedziniec z rabatkami, trawą i pomalowanym na biało płotem. Moja macocha miała ponad czterdzieści lat, surowe oblicze i ciasno zawiązany czepiec. Wyglądała tak, jakby wychowała się na zsiadłym mleku. Indianie, kiedy myślą o białych, wyobrażają sobie właśnie taką osobę. Wnosząc ze spojrzenia, jakim mnie obdarzyła, nie byłem w jej oczach skarbem. Jej dwaj synowie byli ode mnie wyżsi i uśmiechali się złośliwie pod nosem. Postanowiłem, że rozwalę im łby.

– Ty musisz być Eli.

– Tak – odpowiedziałem.

– Cóż, znaleźliśmy dla ciebie jakieś odzienie. Możesz się przebrać. I lepiej oddaj ten pistolet Jacobowi.

Wyższy wyciągnął rękę po kolta. Pacnąłem go w łapsko.

– Zamykamy broń na górze – oznajmiła z naciskiem.

Pacnąłem go w łapsko jeszcze raz.

– Matko.

Przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, a potem powiedziała:

– Zostaw go.

Dostałem posłanie w tym samym pokoju, w którym spali chłopcy. Zerkali spod oka na mój myśliwski nóż i kolta – wszystko, co miałem. Kiedy tylko pokazano mi okolicę, wybrałem się na spacer i zgubiwszy tych dwóch, którzy usiłowali mnie śledzić, zakopałem kolta i wszystko inne, na czym mi zależało, w myśliwskiej torbie, zabrałem tylko łuk i strzały oraz małą sakwę z drobiazgami, które nie powinny nikogo zainteresować. W drodze powrotnej ujrzałem chodzących w kółko przyrodnych braci – chcieli przeciąć mi drogę. Zastanawiałem się, czy nie zwabić ich w zasadzkę, ale odechciało mi się i wróciłem do domu.

Tamtego wieczoru mieliśmy jeść soloną wieprzowinę, której nie tknałem. Zjadłem za to prawie cały kukurydziany chleb i masło. Rodzina pochodziła ze wschodniego Teksasu, gdzie nie wierzy się w pszenicę. To, że mieli masło, graniczyło z cudem.

Nie mogę winić macochy, że kupiła mi nowe odzienie, w tym trzewiki. Następnego ranka musiałem się ubrać jak jej synowie i potykałem się w butach, co wywołało wielką uciechę wszystkich, oprócz mnie.

Stan na polecenie sędziego płacił za moje wykształcenie, więc znalazłem się w jednoizbowej szkole, w której bardzo młoda nauczycielka usiłowała uczyć dwa tuziny dzieci w różnym wieku. Siedziałem przez kilka minut, a potem wstałem, żeby nie zasnąć. Było mi żal uczniów, którzy nie potrafili sprzeciwić się ani tej nauczycielce, ani nikomu innemu. Przez całe życie będą robili właśnie takie rzeczy. Było mi ich tak żal, że o mało się nie popłakałem. Nauczycielka zapomniała nagle, że jest miła i natarła na mnie z linijką, a ja pozwoliłem jej gonić się przez pewien czas, po czym wyskoczyłem przez okno.

Przez resztę dnia wiązałem wnyki i zastawiałem je, wchodząc i wychodząc z różnych stodół. Ukradłem kłacz, przejechałem się na niej przez godzinę, a potem odprowadziłem ją do zagrody. Podglądałem ładną starszą panią czytającą książkę na werandzie za domem. Miała gęste kasztanowe włosy ze śladami siwizny, a na sobie tylko halkę, bo było ciepło. Poprawiła pierś, potem drugą, sięgnęła dłonią pod halkę i tak została. Tego już było za wiele. Uciekłem i poświęciłem kilka chwil sobie. Doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie dałbym sobie radę w Bastrop. Kiedy wróciłem do domu, czekała już na mnie macocha.

– Słyszałam, że uciekłeś ze szkoły – powiedziała. – Słyszałam, że widziano cię na koniu pana Wilsona, chodziłeś też wokół podwórka Edmundsów i zaglądałeś im w okna.

Jak się o tym wszystkim dowiedziała, trudno dociec. Spodziewałem się, że każe mi pokazać ręce, żeby sprawdzić, czy nie ma na nich piętna Onana. A potem poczułem dziwny smród. Coś się paliło. Podszedłem do kominka; ktoś wrzucił w płomień moje mokasyny, łuk, strzały i przepaskę biodrową.

– Wojownik, który wykonał ten łuk, nie żyje – powiedziałem jej. – Nie da się go zastąpić.

– Tamten czas masz już za sobą, Eli.

Gdyby była mężczyzną, zabiłbym ją bez zastanowienia. Kiedy później nad tym myślałem, doszedłem do wniosku, że oboje mieliśmy szczęście.

– Jacob i Stuart przynieśli ci ze szkoły buty.

– W życiu nie założę tego kurewstwa – krzyknąłem.

Poszedłem do sypialni, zdjąłem z łóżka wełniany koc i wróciłem do kuchni. Zabrałem nóż i parę innych rzeczy, które znalazłem w szufladach, kłębek sizalu, igłę, nici i pół bochenka kukurydzianego chleba.

– Eli, możesz wziąć, co tylko chcesz – oznajmiła macocha. – Wszystko należy do ciebie. To twój dom.

Dziwnie się zachowywała. Była albo niespełna rozumu, albo należała do kwakrów.

Byłem pewny, że moi przyrodni bracia będą mnie tropić, więc specjalnie zostawiłem im ślady wiodące w ruchome piaski. Stamtąd poprowadziłem ich do gniazda grzechotników. W końcu stanąłem pod drzewem, gdzie zakopałem rzeczy. Odkopałem myśliwską torbę, w której spoczywał rewolwer i różne inne przydatne sprzęty – wszystko w doskonałym stanie.

Wędrowałem przez godzinę, aż znalazłem dla siebie miejsce na wysokim zboczu, ze strumieniem w pobliżu i mnóstwem cienia. Rozpaliłem ognisko i zasnąłem owinięty w koc, nasłuchując przedtem wycia wilków. Odpowiedziałem im wyciem, więc przez chwilę rozmawialiśmy. Trzymałem kolta pod kolanami na indiańską modłę, ale wiedziałem, że nie będzie mi potrzebny – ten kraj był już zasiedlony.

Następnego ranka naciąłem trochę pędów skradzionym myśliwskim nożem, który okazał się bardzo dobry, ciężki, ale wyważony. Nie stępił się nawet po piłowaniu co grubszych pędów. Ciekawe, czy naprawdę należał do Jima Bowiego? Z drugiej strony, gdyby Jim Bowie miał wszystkie noże, które mu przypisywano, musiałby żyć tysiąc lat. Zrobiłem z pędów stojak do suszenia i ramę do szałasów z krzaków. Ale zapracowywanie się na śmierć nie miało sensu, więc położyłem się w słońcu i spojrzałem na zielone wzgórza. Zapomniałem już, jak ciepło bywa na nizinie. Przypomniałem sobie tych wszystkich, których pochowałem na ośnieżonym Llano, zapłakałem nad nimi i usnąłem.

Po południu ustrzeliłem dwie łanie, oprawiłem je, oddzieliłem mięso i powiesiłem na stojaku do suszenia. Wyprułem długie ścięgna wzdłuż kręgosłupa, oczyściłem i przepłukałem żołądki. Zaostrzyłem jedną

z kości udowych na całkiem możliwą skrobaczkę i zdarłem resztki tkanek z obu skór. Słońce już zachodziło, więc rozpałem ognisko i zjadłem dobrą kolację z sarniny natartej cedrowymi jagodami i polanej szpikiem z suszonymi owocami wiązowca. Następnego dnia postanowiłem, że znajdę miododajną ewodię.

Po tygodniu miałem już gotowy łuk i tuzin strzał, ale wszystko tak podłej jakości w porównaniu z łukiem i strzałami dziadka, że dostawałem napadów furii za każdym razem, kiedy naciągałem cięciwę. Uszyłem sobie nową parę mokasynów i przepaskę, i tak wkroczyłem do Bastrop. Poszedłem prosto za chlew mojej macochy, gdzie przyrodni bracia trzymali wieprze, którymi chcieli mnie kiedyś nakarmić. Zrobiłem z nich jeże. Ich kundel bez wyrzutów sumienia przeszedł na moją stronę, a kiedy obłaskawiłem go pokrwawionym prosiakiem, zostaliśmy przyjaciółmi do końca życia. Poszedł za mną na wzgórze, dokąd bali się chodzić moi bracia, bo przekonano ich, że mogą ich porwać Indianie. Indianie rzecz jasna nie zawracaliby sobie głowy takimi jak oni: daliby im zwyczajnie w łeb.

Tkwiłem na wzgórzach przez miesiąc, odprawiając żałobę po Toshiwayu, Kwiecie Prerii i wszystkich innych. Przypuszczałem, że Ntutkaru i Escuté są gdzieś w śniegach, ale nie miałem pojęcia, jak mógłbym ich odnaleźć.

Często wracałem do miasta, głównie, żeby kraść to, co wpadło mi w oko, na przykład konie, na których trochę jeździłem, a potem zostawiałem je spętane, kiedy mi się znudziły. Wypuszczałem się do cudzych domostw i częstowałem świeżo upieczonym ciastem, kurczakami i wszystkimi innymi zdobyczami cywilizacji, ale kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, zawsze wracałem tam, gdzie było moje miejsce.

Nie potrzebowałem zbyt wiele czasu, żeby się zorientować, że najładniejszy dom w mieście należy do sędziego o nazwisku Wilbarger – wroga mojego przyjaciela z Austin. Siadywałem na drzewach wychodzących na jego tylne podwórko i słuchałem szemrzącego strumienia. Raz po raz na werandzie pojawiała się żona sędziego z książką. Była to owa kobieta w halce, którą widziałem wcześniej: bardzo ładna, dobrze po czterdziestce, ale chuda i smutna. Wszystko w niej było blade. Cera, oczy, nawet włosy. Nie miałem pojęcia, jak ktoś taki jak ona jest w stanie przetrwać w tak bezlitośnie słonecznym klimacie; służba musiała być tego samego zdania, bo zawsze jej

pilnowała, jakby spodziewali się, że w każdej chwili umrze albo ucieknie.

Kilka razy w tygodniu wybierała się sama na spacer do lasu, co było bezpieczne dla kogoś przy zdrowych zmysłach, ale nie dla niej, więc chodziłem za nią w bezpiecznej odległości. Wchodziła do strumienia i brodziła w nim, a przekonawszy się, że jest sama, rozbierała się do naga i pływała w jakimś rozlewisku. Miała kilka ulubionych miejsc, ale wszystkie były bardziej uczęszczane niż się spodziewała. Kiedy zanurkowała po raz pierwszy, wstrzymywała oddech tak długo, że o mało nie wskoczyłem do wody, żeby ją wyciągnąć. Miała tyle wspólnego z sędzią, co klacz pełnej krwi z zezowatym osłem. Po kąpieli kładła się w słońcu na kamieniach, a ja mrużyłem oczy, żeby się jej przyjrzeć. Miała siwe pasemka we włosach, czemu raczej nie poświęcałem uwagi. Byłem pewny, że sędzia dawno jej nie odwiedzał. Same grzmoty, bez piorunów.

Któregoś popołudnia na obrzeżach miasta zatrzymał mnie pewien człowiek, który przedstawił się jako zastępca szeryfa. Nie celował do mnie z broni, ale powiedział, że musi mnie zabrać na przesłuchanie. Mógłbym mu z łatwością uciec, ale byłem znudzony i ciekaw, jak wygląda areszt. Nie było źle. Żona sędziego przychodziła do mnie codziennie z trzema posiłkami i ciastem. Poznałem ją, oczywiście, a z bliska była jeszcze ładniejsza niż z daleka. Wysoka i szczupła, miała szare oczy i drobne kości, zachowywała się uprzejmie. Jedno spojrzenie wystarczało, by orzec, że nie pochodzi z tych stron. Miejscowe kobiety, które mogłyby się siłować w błocie z dzikimi świniami, musiały jej nienawidzić. Mówiła z trudnym niekiedy do zrozumienia akcentem, który przypadłby memu bratu do gustu. Mówili, że była Angielką.

Sędzia Wilbarger, na którego koniach pełnej krwi jeździłem nocami, wygłosił mi wykład o moralności.

– Rozumiem, że masz za sobą trudne przejścia – powiedział. – Ale nie możemy pozwolić, żebyś kradł konie i zabijał czyjaś trzodę. – Kiwnąłem głową. – Wieszaleń ludzi za kradzież koni.

Znów kiwnąłem głową. Przecież nie ukradłem naprawdę żadnego konia, pożyczałem je tylko i zwracałem – zapewne bardziej ułożone niż kiedykolwiek przedtem.

– Zostaniesz surowo ukarany, jeśli ktoś przyłapie cię ponownie na łamaniu prawa. To moje jedyne ostrzeżenie. Powiedz mi, chłopcze, że rozumiałeś, co do ciebie mówię. Wiem, że mówisz po angielsku, bo

spędziłeś wśród Indian niecałe trzy lata.

– Wiatr wieje łagodnie pośród kwiecia – odpowiedziałem po komanczersku. – A ty wyglądasz jak pizda bizona.

– Mów po angielsku – krzyknął Wilbarger.

– Waliłem sobie konia, patrząc na twoją żonę, ze trzydzieści razy.

– Po angielsku, chłopcze!

Nic więc nie odpowiedziałem. W końcu wstał.

– Jesteś cwańszy niż udajesz, chłopcze. Ale zostaniesz poskromiony, a ja zrobię to, jeśli zostanę zmuszony.

Trzymali mnie jeszcze przez całe trzy dni, ale po odwiedzinach Wilbargera szeryf pozwalał mi wychodzić na spacer.

– Nie wkurwiał go – mruknął szeryf. – Mówili mi, że przywiozłeś skalpy, ale wpakujesz się w gówno, z którego nie wyskoczysz. – Wzruszyłem ramionami. – To były indiańskie skalpy, czy tak?

– Jeden należał do białego – odpowiedziałem. – Ale on mieszkał w Meksyku.

Spojrzał na mnie i głośno zarechotał. Ja też wybuchnąłem śmiechem.

– Czy to prawda, że nic nie robiliście całymi dniami, poza jeżdżeniem konno i strzelaniem?

– Było jeszcze mnóstwo bzykania – odrzekłem.

– Miarkuję, że dali ci jakąś starą grubą squaw.

Pokręciłem głową.

– Bzyka się tylko młode. Jak wyjdą za mąż, już nie wolno. – Widziałem, że spodobało mu się to rozwiązanie, choć chyba mi nie uwierzył. – Ta, która mnie rozprawczyła miała dwadzieścia lat, a inne były młodsze.

– Sukinsyn! – mruknął. – Szkoda, że mnie nie porwali.

Potem poczułem się podle, wyraziwszy się w taki sposób o Kwiecie Prerii. I Nienawidzi Pracy, Grzmiącym Wodospadzie i Zawsze U Kogoś W Gościnie. Uświadomiłem sobie, że były to ostatnie osoby na świecie, które naprawdę mnie kochały. Wstałem i podszedłem do okna. Chciało mi się rzygać. Usłyszałem, że szeryf przestawia coś na biurku. Po chwili podszedł do mnie. Podał mi szklanekę whiskey.

– Więc co się, do cholery, stało? – zapytał. – Dlaczego wróciłeś?

– Wszyscy umarli – odpowiedziałem.

Od tego wspomnienia Indian popadłem w przygnębienie i kiedy mnie wypuścili, wróciłem do macochy, uznając, że mógłbym się z nią pojednać, ale nikogo nie było w domu. Czuję się podle i męczyła



mnie samotność. Nikt nie wracał. Poczułem niepokój. Wszedłem do sypialni przyrodnych braci, gdzie znalazłem kilka dobrych stalowych haczyków do łowienia ryb, więc schowałem je do kieszeni, a oprócz tego dużą kolekcję pomiętych pornograficznych pocztówek, które zostawiłem w kuchni dla macochy. Zabrałem im jeszcze proch i kapiszony, i wróciłem do lasu.

Spałem w szałasie z krzaków albo pod gołym niebem, zastawiałem wnyki, chwytałem szopy i garbowałem ich skóry, zabijałem jelenie i też je garbowałem. W rozlewisku przy starych żeremiach i tamie bobrów woda miała brązową barwę od dębowych liści – zakopałem skóry w błocie pod wodą. Po kilku tygodniach włosie wyszło, a skóry były ładnie wygarbowane, choć sztywne.

Biali z miasta lubili mnie tak jak poborcę podatków. Wiedziałem, że nie zniosą już więcej kradzieży koni i zabijania trzód, więc trzymałem się głównie na łonie przyrody. Ale znalazłem się w takim punkcie, w którym jelenie i wilki nie były już w stanie osłodzić mi samotności, nie mówiąc o tym, że wściekle chciało mi się kobiety, więc poszedłem sprawdzić, co słyhać u żony sędziego.

Wyszła w końcu na werandę. Jedna z Murzynek przyniosła jej herbatę. Musiałem się onanizować, a potem usnąłem. Kiedy się obudziłem, nie było jej już, a słońce chyliło się ku zachodowi. Sędzia miał w zagrodzie kilka prosiąt, a patrząc na nie, poczułem głód. Zastrzeliłem z łuku jedno; mimo głośnych przedśmiertnych pisków i kwików nikt nie wyszedł, więc odczekałem jeszcze trochę i poszedłem do wędzarni, poczęstowałem się dużą porcją soli, zabrałem prosię i wróciłem do obozu. Po kilku godzinach leżałem u siebie z brzuchem pełnym chrupkiego mięsa i przyglądałem się zachodzącemu słońcu. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, dlaczego Komancze tak bardzo gardzili wieprzowiną. To prosię było najlepszą rzeczą, jaką jadłem od bardzo dawna. Wyły wilki, odpowiedziałem im, a one mnie.

Następnego ranka żona sędziego wybrała się na codzienny spacer do ruczaju, ale zamiast pójść za nią, odczekałem, aż jej dwoje Murzynów zajmie się swoimi sprawami, najpewniej ruchaniem, i wślizgnąłem się do kuchni. Wyzwoliłem z niej butelkę słodkiego wina i kilka cygar, zapaliłem jedno i mało się nie porzygałem. Było mi niedobrze. Położyłem się na sofie, kręciło mi się w głowie. Wnętrze domu było gustowne, z drewnianą boazerią, grubymi dywanami i malowidłami na wszystkich ścianach. Sofa była twarda, jakby nikt na niej nie siedział.

Kiedy otworzyłem oczy, ktoś nade mną stał, ruszyłem pędem, nim

się obudziłem do końca. Byłem już prawie w drzwiach, kiedy przystanąłem. To była żona sędziego.

– Nie musisz uciekać – powiedziała. – Wyglądałeś na rozmarzonego, nie chciałam cię budzić. – Nie odpowiedziałem. – Miło znów cię widzieć – powiedziała. – To znaczy, nie za kratami. Choć widywałam cię także na dziedzińcu. – Nie chciałem zeznawać przeciwko sobie, ale nie chciałem też kłamać, więc milczałem. – Więc, co słyhać dziki Indianinie?

– U mnie wszystko dobrze – odpowiedziałem.

– Ludzie mówią, że jesteś bardzo niebezpieczny.

– Tylko wobec świń.

– Czy to ty poczęstowałeś się brakującym prosięciem?

– Zależy kto pyta.

– I tak mieliśmy ją zjeść. A może jego? Nie pamiętam. – Wzruszyła ramionami. – Możesz usiąść, jeśli chcesz. Nie powiem nikomu, że tu byłeś.

– Dziękuję, postoję – odpowiedziałem.

– Więc zjadłeś je? Mówią, że lubisz je zabijać.

– To jedno zjadłem.

– Cóż, cieszę się. – Milczałem. – Naprawdę powinieneś usiąść. Widzę, że zapaliłeś cygaro Roya. Są strasznie mocne.

Na samo wspomnienie o cygarze pozieleniałem. Postanowiłem, że zostanę w tym domu parę minut. Jeśli sędzia wróci, zabiję go i ucieknę do Indian.

– Co pani tu robi? – zapytałem.

– To mój dom.

– Ale tu w Bastrop.

– Sędzia był współnikiem mojego pierwszego męża.

– I zwinął interes?

– Mój pierwszy mąż zmarł na gorączkę w Indianola. Tutejszy klimat był dla mnie wstrząsem. Podobnie jak insekty.

– W Indianola są gorsze – powiedziałem. – Podobnie jak wszystko inne.

– Słyszałam, że na insekty najlepsze są okłady z błota.

Spoglądała na mnie dziwnie, więc usiadłem na sofie. Usiadła obok.

– Nie każe pani zawołać szeryfa?

– Zastanawiam się nad tym. Ale chyba mnie nie oskalpujesz, prawda?

– Zastanowię się.

- Ile masz lat? - zapytała.
  - Dziewiętnaście. - Miałem oczywiście szesnaście, ale od ciągłego przebywania na słońcu nigdy nie miałem czyraków.
  - Źle cię traktowali?
  - Kto? Szeryf?
- Uznała, że to zabawne.
- Nie, Komancze rzecz jasna.
  - Adoptowali mnie.
  - Ale należałeś do niższej kasty niż czerwonoskórzy, nieprawdaż?
  - Niekoniecznie. Należałem do szczepu.
  - To bardzo interesujące.
  - Moja indiańska rodzina umarła - dodałem. - Dlatego wróciłem. - Przybrała matczyną minę. Była naprawdę przemiłą kobietą. Ale zanim zboczyliśmy za bardzo z drogi prawości, zaproponowałem: - Mam zamiar skosztować portweinu sędziego, a potem ukradnę mu konia. Napije się pani ze mną?
  - Mogłabym wypić z tobą kieliszek - odpowiedziała, marszcząc nos. - Ale pod jednym warunkiem: że się wykąpiesz.
  - A może pani wykąpie się ze mną?
- Udała zdziwienie, ale wcale nie była zdziwiona.



## Jeannie McCullough

Usłyszeli go, zanim się pojawił, a kiedy w końcu zawisł nad drzewami, wydał im się niezdarny, przyciężkawy i niezbyt zajmujący, a większość żałowała, że przerwała pracę. Szeryf i jego ludzie odepchnęli wszystkich zawadzających, a kiedy było już bezpiecznie, helikopter opadł i osiadł na ziemi obok pola szpinaku Hollisa Frazier. Z maszyny wyskoczył wysoki mężczyzna z dużym nosem, a kiedy zebrał się wokół niego obsypany pyłem tłum, wszedł na drewnianą skrzynkę i zaczął mówić. Twierdził, że Coke Stevenson oddaje stan bogatym ranczerom i nafciarzom z północy, nie zostawiając zgoła nic dla ludzi pracy. Pomyślała, że czułaby się skrępowana, gdyby przyszło jej mówić do czterystu nieznajomych, ale mężczyzna ten – co było doskonale widoczne – nie tylko niczym się nie przejmował, ale wręcz delektował swoimi działaniami: teraz zwrócił megafon ku grupce ludzi stojących na obrzeżach tłumu i zachęcił ich do podejścia bliżej i wysłuchania tego, co ma do powiedzenia. Mówili na niego Wciskający Kit Johnson.

Kiedy przyglądała się, jak ściska dłonie wszystkich niższych od siebie mężczyzn dokoła, wiedziała już, że Phineas miał rację. Poznała Coke'a Stevensona, miłego pana, któremu niespecjalnie zależało na opinii innych. Miał własny kompas moralny, był naprawiaczem świata, kimś takim, kim powinny stać się nasze dzieci. Człowiek, którego miała przed sobą, czuł się tak szczęśliwy w tłumie, tak rozradowany tym, że ludzie na niego patrzą, że nie mógł mieć w środku nic więcej. W całym stanie nie było nafciarza, który by go nie popierał.

– Mam coś dla przyszłego senatora – zawołała do asystenta, mając nadzieję, że dostrzeże pochlebstwo.

Nie dostrzegł. Spojrzał na nią spode łba i powiedział:

– Może pani oddać to mnie.

Pocił się w czarnym garniturze, musiał pochodzić z północy, na nosie miał grube plastikowe okulary i był zapewne człowiekiem, którego nikt nie lubi i który właśnie staje na własnych nogach. Takie spojrzenia były jedyną rzeczą, na jaką można było liczyć od ludzi pracujących

w Waszyngtonie. Odebrał od niej kopertę, a Jeannie pomyślała o jego szefie, a potem o Coke'u Stevensonie, a wreszcie o Phineasie, który – zanim usiadła, by podpisać czek – powiedział:

– Problem większości ludzi polega na tym, że dają za mało. Wszyscy chcą zostać ambasadorami, ale kiedy przychodzi do wysupłania pieniędzy, uważają, że sto dolców to aż nadto, a potem się dziwią, kiedy nikt do nich nie dzwoni.

W kopercie znajdowały się cztery czeki, każdy na pięć tysięcy dolarów. Jeden od niej, jeden od jej prawnika Milтона Bryce'a, jeden od rządcy Sullivana i ostatni od *vaquero* o nazwisku Rodriguez. Sullivan i Rodriguez zarabiali we dwóch mniej niż pięć tysięcy na rok. Poprzedniego dnia przelała pieniądze na ich konta. Za każdy z tych czeków można było kupić nowiutkiego cadillaca, a asystent studiował je uważnie, upewniając się, że wszystko jest wypełnione jak należy. Potem poprowadził ją i szepnął coś na ucho szefowi. Twarz Johnsona rozjaśniła się, był w tym bardzo naturalny. Rozepchnął parę osób i tłum rozstał się: duże uszy, duży nos, krzaczaste brwi – górował wzrostem nad wszystkimi.

– Pani musi być stryjeczną wnuczką Phineasa. – Nie przestawał się uśmiechać, odkąd wylądował.

– Owszem – odpowiedziała.

– Cóż, stryj wiele mi o pani opowiadał i cieszę się, że mogę panią poznać. Proszę mu przekazać ode mnie, że bardzo mi brakuje naszych wypraw na ryby.

– Tak, proszę pana – dygnęła.

Ktoś chwycił go za łokieć. Wyszczrzył do niej zęby.

– Praca czeka! Ale z pewnością jeszcze się zobaczymy, młoda damo.

Kiedy kongresmen znalazł się na powrót w helikopterze, odnalazł ją sekretarz, który powiedział:

– Ponieważ osiągnęła pani limit wpłat, następnym razem proszę przygotować gotówkę. To będzie zacięty wyścig i potrzebna jest nam każda pomoc.

Podał jej brzoskwinię. Zastanawiała się nad tym, wracając do samochodu. Był zdezelowany i powgniatany, nadawał się co najwyżej do karmienia świń, a dziesiątki takich wraków stały porozrzucane przy drogach.

Kiedy to było? W czterdziestym siódmym albo ósmym. Nie pamiętała za dobrze. Wybrano go, choć to spora nieścisłość. Na szczęście Okręg 13 był w hrabstwie Jim Wells, a nie w Webb ani Dimmit<sup>[18]</sup>. Tamte lata

już się zacierały w jej pamięci. Wywiercili na ranchu tyle szybów, że rozpoczął się przepływ kapitału, potem zgodzili się, że nie będą już wiercić pod domem. Kupiła z Hankiem dom w Houston. Wynajęła małe biuro. Potem większe. Potem kupili większy dom. Gospodarka szła takim torem, że nie można było stracić pieniędzy bez względu na to, co się robiło.

Przez trzy lata, odkąd była z Hankiem, miała nadzieję, że ustalą sobie jakiś rytm: nudny, ale stabilny, że będą jak dwa obracające się naprzeciw siebie koła, kręcące się w wyznaczonych koleinach. Ale to się nie sprawdziło. Ich życie zmieniało się za szybko, a interes każdego roku powiększał się pięcio- albo i dziesięciokrotnie. Należał do niej i do Hanka. Nie była zaskoczona własnymi umiejętnościami, które zawsze brała za pewnik, ale jego... nie miały granic i często zastanawiała się, kiedy ją prześcignie, a myśl ta była zarówno bardzo wyzwalająca, jak i niepokojąca. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby zostać zwykłą żoną, kobietą, którą trzeba się zająć, że mogłaby wieść normalne życie i o nic się nie martwić.

Mężczyźni, których znała byli w większości głupcami, jak jej ojciec i bracia, ich życie kształtowała umyślna ignorancja, którą brali za dumę. Ta ignorancja kierowała każdą chwilą ich istnienia i aż do teraz Jeannie nigdy nie wątpiła, że widzi wszystko wyraźniej i prawdziwiej od każdego znanego jej mężczyzny, z wyjątkiem Pułkownika i może Phineasa. No a teraz Hanka.

Ale nie był ideałem. Nie miał cierpliwości dla spraw, które uznawał za głupie, choć mogły być ważne dla innych. Miał w sobie niemal północny chłód. Przyjechała ta okropna pisarka z Nowego Jorku i Jeannie nie chciała rozmawiać z nią sama, ale Hank zadbał, żeby wyjechać z miasta. Tymczasem ona zgodziła się jak niemądra spotkać z pisarką na ranchu oddalonym o osiem godzin jazdy samochodem od Houston – nie mieli wtedy jeszcze własnego samolotu – zamiast przyjąć ją w biurze. Kobieta pisała wielką powieść o Teksasie, rozmawiała już z Klebergami, Reynoldsami i wracała właśnie z otwarcia hotelu Glenna McCarthy'ego. I zdobyła Nagrodę Pulitzera! Znalezienie się w jej łaskach wydawało się dobrym pomysłem.

Zasiadły do wczesnej kolacji. Jeannie poinstruowała służbę, żeby nakryto stół najlepszą zastawą i sztućcami. Zauważyła, że kobieta zwraca uwagę na takie rzeczy, studiowała, niemal pochłaniała wzrokiem każdy detal, niczym ubogi krewny, który ma odziedziczyć majątek. Jako nastolatka musiała być wysoka i niezgrabna, ale teraz

miała siwe utapirowane włosy, jak gniazdo uwite przez ptaki, i jak większość kobiet z północy była pewna siebie, a ta jej pewność była odwrotnie proporcjonalna do wyglądu.

– Jest pani nastoletnią milionerką.

– Mam dwadzieścia dwa lata – poprawiła ją Jeannie.

– Ale odziedziczyła pani fortunę jako nastolatka.

– To prawda – zgodziła się – choć nigdy nie przypuszczałam, że to może mieć jakieś znaczenie.

– Och, ma – stwierdziła pisarka. – Ma ogromne! – Po chwili dodała: – Jakież to teksańskie! – Trudno było orzec, czy to komplement. – Nie czuła się pani samotna w tym wielkim domu?

– Jestem zamężna – oznajmiła Jeannie – a większość z nas nie mieszka już na wsi. Staliśmy się ludźmi z miasta. – Żałowała, że nie ma przy niej Hanka, wiedziałby, jak się postępuje z taką kobietą. Martwiła się, że powie w końcu coś idiotycznego.

– Wnętrze domu nie przypomina innych w tej okolicy – pochwaliła pisarka. Jeannie wzruszyła ramionami. – Wygląda, powiedziałabym, bardzo gustownie, jakby ten dom stał tutaj od zawsze.

Znów wzruszyła ramionami. Nie miała zamiaru plotkować z tą babą.

– Mój pradziadek był błyskotliwym człowiekiem.

Pisarka pokiwała głową. Jeannie nie potrafiła pojąć, co czyniło tę kobietę tak ważną. Nawet jej kapelusz wyglądał absurdalnie. Wszystko w niej było nie stąd, miała obsesję na punkcie pieniędzy i ziemi posiadanej przez tutejsze rodziny, chyba po to, żeby obrzucić wszystkich błotem.

Pokojówki przyniosły obiad. Jeannie długo się zastanawiała, co powinna podać i zrezygnowawszy z jakichś specjałów, które mogłyby wskazywać, że zabiega o względy pisarki, postawiła na *fajitas*. Flores była dobrą kucharką, natarła steki solą i ostrą papryką, opieką ją nad jadłoszynem i podała wszystko z przelewającymi się *guacamole* i salsą na świeżo upieczonych *tortillas*.

Kiedy skończyły, *vaqueros* wracali z pastwisk i zasiadali przy długim stole na tyłach domu. Flores wyniosła kolację, rozmawiając z nimi po hiszpańsku. Pisarka przyglądała się temu przez okno.

– Czy chce pani, żebym ją przedstawiła? – zapytała Jeannie. – Ci ludzie dla nas pracują.

– Chyba nie znam ich języka, kochanie. Ale z przyjemnością wyjdę na papierosa.

– Muszę się tylko odświeżyć – powiedziała Jeannie.



Kiedy wróciła z toalety, pisarka stała pod oknem w jadalni, a na jej twarzy malowało się przerażenie.

– Jeannie – zaczęła, wskazując brodą *vaqueros* – ci ludzie jedzą to samo, co my!

Jej książka ukazała się chwilę później, a następnie nakręcono film na jej podstawie, w którym główną rolę zagrał James Dean<sup>[19]</sup>. To była jedna wielka przesada. Wszyscy wyszli na błaznów, którzy przypadkowo się wzbogacili, jakby stan składał się z samych zacofanych potentatów pozbawionych choćby dwóch sąsiadujących ze sobą szarych komórek.

Mimo to książka i film spodobały się większości nafcjarzy. Którzy zaczęli prześcigać się w wymyślaniu tandetnych ekstrawaganckich grepsów, jak wyrzucanie drobnych przez okna limuzyn czy kąpiele w szampanie za dwadzieścia tysięcy dolarów. A może czasy te nie różniły się od poprzednich? Pogranicze nie było jeszcze do końca zasiedlone, kiedy Buffalo Bill zaczął objazdy ze swoją rewią, a Pułkownik zawsze skarżył się na tę chwilę, w której jego kowboje zaczęli czytać książki o kowbojach. Stracili trzeźwy osąd i poczucie prawdy, nie wiedzieli już co nią było: powieści czy ich własne życie.

Johnson przegrał o kilkaset głosów, ale i tak został senatorem, a Jeannie czekała na telefon od niego. Zadzwoił do Murchisonów, Cullena, Browna i Hunta. Zostało bardzo niewielu nafcjarzy, z którymi się nie skontaktował. Sam Rayburn był przewodniczącym Izby Reprezentantów, Rayburn i Johnson byli jedynymi kongresmenami, którzy nie pozwalali jankesom zlikwidować ulgi podatkowej od przychodów z surowców nieodnawialnych, a nafcjarze, którzy później opowiedzieli się za republikańską większością w Kongresie, potrzebowali tymczasem Johnsona i Rayburna u sterów, demokratycznej większości w Izbie i nie skąpili środków, żeby tak właśnie zostało.

Teraz wszyscy nie żyją: Hank, Johnson, Rayburn, Coke Stevenson, Murchison, Cullen i Hunt... ona sama niedługo do nich dołączy. Powinna się cieszyć: niemal wszyscy, których znała, przeszli już na drugą stronę. Ale nie czuła radości. Wstąpi w ciemność bez powrotu. To, że wcześniej wstąpili w nią inni nie było pocieszeniem. Nie była dobrą chrześcijanką – na tym polegał problem. Wszyscy prawdziwi wyznawcy kierowali się jakimiś motywami, czegoś chcieli i nie mogli tego dostać na tym świecie – pieniędzy, szczęścia, drugiej szansy – ale ona miała to wszystko albo tego nie potrzebowała i zawsze wierzyła, że

jej największym darem jest umiejętność widzenia wszystkiego w prawdzie. Dostrzeganie różnicy między jej pragnieniami a rzeczywistością. A rzeczywistość jest taka, że jej życie skończy się tak jak Hanka. Nie zobaczy go więcej: to, co sprawiało, że był Hankiem, przestało istnieć w chwili, w której umarł. Teraz mówi się, że nawet świetlisty tunel jest przedśmiertną sztuczką neuronów. Jest tylko ciało. Miała nadzieję, że się myli, ale bardzo w to wątpiła.

Rozejrzała się wokół po antycznych rżniętych meblach, chłodnym wysokim suficie i bierwionach płonących na kominku bez żaru. To coś w rodzaju czyścica. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby tak leżeć przez wieczność i przeżywać na nowo przyjemne wspomnienia. Przymknęła oczy, znalazła się w Waszyngtonie w odwiedzinach u Jonasa. Chciał, żeby kogoś poznała, a przez całe popołudnie pływali łódką po Zatoce Chesapeake.

Miała opalone nogi bez jednej żyłki. Włożyła letnią białozółtą sukienkę i siedziała na mahoniowym motorowym jachcie Chris-Craft; Jonas sterował łódką, a mężczyzna – o przerzedzających się włosach i zaróżowionej od słońca twarzy – flirtował z nią. Przyjemne uczucie. W domu nie mogłaby sobie na to pozwolić, ale tutaj, na czystych i chłodnych wodach zatoki, pod błękitnym, lecz wcale nie upalnym niebem, zupełnie jej to nie przeszkadzało. Po raz pierwszy od ponad roku zostawiła dzieci same. Choć jedno było z nią, w brzuchu. Tak czuła. Pewnie Benjamin. Niczego nie było po niej widać, więc miły pan nie mógł wiedzieć. Był niski i miał brzuszek – przeciwieństwo Hanka – ale był zabawny i uważała go za przystojnego. A może po prostu traktował ją lepiej: kobiety tutaj również miały swoje miejsce, ale nie było ono tak złe jak w Teksasie. Jankes mógł zapomnieć o przytrzymywaniu drzwi, lecz dzięki temu zapominał także (albo przynajmniej udawał), że jest szefem. Zaczęła wyobrażać sobie takie życie.

Miły pan wymienił z Jonaszem kilka uwag, a kiedy się odwrócił, nie był już uśmiechnięty.

– Przykro mi wracać do interesów, Jeannie, ale obawiam się, że nasz znajomy sternik... – wskazał Jonasa – ...ma coś pilnego do załatwienia w mieście.

Wzruszyła ramionami, jakby jej to nie obchodziło, choć z przyjemnością spędziłaby cały dzień na wodzie z dala od dzieci i telefonu.

– Co wiesz o Mohammadzie Mosaddeghu<sup>[20]</sup>? – zapytał.

– Wiem, że powinniśmy bardziej na niego uważać.

– A gdybym ci powiedział, że długo już nie porządzi? – Pozwoliła sobie na chwilę skupienia, a rozważając tę informację, wiedziała, że może powiedzieć cokolwiek. Wolała jednak milczeć. Dobrze, że nie było z nią Hanka. – Anglo-Irańczycy dostaną z powrotem to, co stracili – ciągnął – ale nic nie będzie już takie jak wcześniej. Czasy się zmieniły.

Upiła łyk drinka.

– Wielkie koncerty dostaną największe kawałki tortu, ale w tej chwili staramy się zebrać koalicję zainteresowanych. Potrzebujemy sprawdzonych ludzi z dostępnymi natychmiast środkami.

– Bo nie wyglądałoby to najlepiej, gdybyście oddali wszystko wielkim koncertom.

– Zgadza się – odrzekł. – A poza tym tu jest Ameryka. Dbamy o szarego człowieka. – Spojrzał na wodę. – Ładny dzień, prawda?

Wiedziała, że Hank naciskałby na szczegóły: cyfry, procenty, ale to nie było dobre podejście. Wystarczy się zgodzić i zaufać temu człowiekowi i Jonasowi.

– Weźmiemy tyle, ile będziecie nam mogli dać – oznajmiła. Zastanawiała się, czy nie zapytać go o ramy czasowe, ale to byłoby nawet gorsze od pytania o wielkość kawałka tortu. Znów czuła ulgę, że nie ma z nią Hanka.

– Znasz Sedco?

– Znam Billa Clementa.

– Skontaktuj się z nim, kiedy wrócisz do Teksasu. Powiedz mu, że ja cię przysłałem.

Jonas wziął kurs na Annapolis. Jeannie rozmawiała z przemiłym panem o czymś zupełnie innym. Ich kolana otarły się, a potem raz jeszcze. Liczyła na to, że zaprosi ją na drinka, kiedy dotrą do przystani i postanowiła, że odmówi, ale poczuła się dotknięta, kiedy tego nie zrobił. Oczywiście, nie o to chodzi. Zadzwoiła z hotelu do Hanka i powiedziała mu w zaszyfrowany sposób, że powinien uwolnić tyle gotówki, ile tylko się da. Oboje przyzwyczaili się do takich rozmów, oboje wiedzieli, że nie należy pytać przez telefon o szczegóły.

Od dziesiątków lat było jasne, że przyszłość przemysłu jest za oceanem. Pierwszy szyb w Iraku wzniesiono w roku 1927, kiedy kraj ten nosił jeszcze nazwę Mezopotamii. Wydobywano z niego dziewięćdziesiąt pięć tysięcy baryłek dziennie. Duży szyb w Teksasie nawet w tamtych czasach nie dawał więcej niż pięćset, może tysiąc baryłek i wszyscy wiedzieli, że wyczerpanie zasobów jest tylko kwestią

czasu. Zatoka Perska była miejscem, w którym znajdowały się prawdziwe złoża. Gdyby szyb w Iraku powstał dziesięć albo dwanaście lat wcześniej, Imperium Osmańskie nigdy by nie upadło. A świat wyglądałby zupełnie inaczej. Do lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku poszukiwania ropy w Stanach Zjednoczonych stały się karkołomnym interesem. Kosztowały majątek, szyby były mniej wydajne, a kiedy trafiono na ropę, nie było żadnej gwarancji, że uda się zdobyć pozwolenie na jej wydobycie. Rząd planował wojnę z Rosją i chciał mieć olbrzymie zapasy amerykańskiego surowca, gdyby do tego doszło. Najlepszy sposób przechowywania ropy to zostawienie jej tam, gdzie była od samego początku. Nazywano to „rezerwami strategicznymi”. Były dobre dla rządu, ale fatalne dla nacierzy.

Nie było dobrego rozwiązania. Naftowa gorączka z lat trzydziestych – napełnianie cystern nocami i transportowanie ich przez granicę, żeby uniknąć limitów wydobycia – dawno minęła. Trzeba było płynąć za morza. Na obszarze dawnego Imperium Osmańskiego ropę wydobywało się z ziemi za grosze. Nie istniała jeszcze infrastruktura, ale to było tylko kwestią czasu.

[18] W wyborach do amerykańskiego senatu w roku 1948 startował Lyndon B. Johnson, który rywalizował o fotel z gubernatorem stanu Coke'em R. Stevensonem. W 13. Okręgu Wyborczym w Alice w hrabstwie Jim Wells doszło do nigdy nieudowodnionego oszustwa: sześć dni po wyborach, kiedy głosy oddane na obu kandydatów niemal równoważyły się, z lekką przewagą Stevensona, w urnie wyborczej w Alice pojawiło się dwieście głosów na Johnsona. Mimo skargi wyborczej Stevensona, Konwencja Partii Demokratycznej poparła Johnsona, który w latach 60. XX w., po zabójstwie Johna F. Kennedy'ego, został prezydentem USA [przyp. tłum.].

[19] Chodzi o film „Olbrzym”, oparty na książce Edny Ferber pod tym samym tytułem [przyp. tłum.].

[20] Premier Iranu w latach 1951-53 [przyp. tłum.].



## Dzienniki Petera McCullougha

*4 lipca 1917 roku*

Kiedy jestem u siebie w gabinecie, nie zamykam drzwi, żeby słyszeć każdy szelest jej kroków po domu. Gdy słyszę, że ktoś idzie po schodach, przechodzę niby to przypadkowo korytarzem, żeby sprawdzić, łomocze mi serce... ale najczęściej to Consuela lub jej córka. Od kilku dni nie byłem na pastwiskach. Powiedziałem Sullivanowi, że tonę w papierach. Od tamtej pory wynajduję sobie zajęcia, żebym mógł zostać w domu.

Kiedy słyszę jej kroki, podbiegam do drzwi. Jeśli nie ma jej w zachodnim korytarzu (siedzę na końcu wschodniego, po drugiej stronie schodów), przechodzę na środek domu, mając nadzieję, że spotkam ją na schodach albo w westybulu poniżej. Potem przystaję, udając, że przyglądam się oknu z witrażem, co czynię od trzydziestu lat; z tego miejsca widzę każdego, kto przechodzi głównym wejściem albo z jednej strony domu na drugą. Kroki Marii są zupełnie inne od *vaqueros*, ale nieustannie dają się nabrać lekkim krokom Consueli czy jej córki Flores. I Mirandy, i Lupe Jimenez. Widząc mnie, wszystkie odwracają głowy – podejrzewają, że czają się właśnie na nie, choć w gruncie rzeczy chciałbym, żeby były kim innym.

Gdy mijają kilka godzin (które ciągną się jak tygodnie) i nie jest mi dane jej ujrzeć, zabieram z biurka jakieś bezwartościowe papiery i przechadzam się po domu, jakbym czegoś szukał. Jeśli drzwi do biblioteki są otwarte, wchodzę i udaję, że szukam jakiejś książki lub broszury, na przykład „Wykazu zarejestrowanych ras (1867)”, czy czegoś równie bezużytecznego, ale oczywiście María nie może o tym wiedzieć. Uważa, że jestem zapracowany i rozmawiamy przez góra pół godziny, po czym przeprosza mnie, że przeszkodziła mi w pracy i zabiera swoje rzeczy gdzie indziej, a ze mnie uchodzi tymczasem cała krew czy jakakolwiek inna siła witalna.

Dziś byłem w kuchni i jadłem opuncję, weszła María i zapytała mnie, co robię, a ja odruchowo podałem jej owoc, który ugryzłem już dwa

razy, a ona wzięła go bez wahania i odgryzła spory kawałek, patrząc na mnie przez cały czas. Potem nagle wyszła. Wsadziłem opuncję do ust i trzymałem ją tam bardzo długo, póki zdrowy rozum nie kazał mi jej połknąć.

Nie umiem sobie wyobrazić, jak mógłbym się z nią kochać. Akt ten wydaje mi się w jakimś sensie niegodny. Kazałem przenieść otomanę do salonu (skłamałem, że tam właśnie stała), żeby móc zamknąć oczy i czuć jej bliskość obok siebie. Uznała, że nie ma żadnych przeszkód, żebyśmy dotrzymywali sobie teraz towarzystwa, więc nigdy ode mnie nie ucieka. Nie potrafię nie wspominać raz po raz tamtej chwili w bibliotece (jej dłoń na mojej) i przeklinam siebie, że nie zareagowałem, nie odwzajemniłem dotyku, nawet nie oparłem się o nią – to prawdopodobnie stało się przyczyną, że nigdy już tego nie powtórzyła. A może był to tylko wyraz współczucia, a świat, który dla nas wymyśliłem, istnieje tylko w mojej głowie? Już sama myśl o tym sprawia, że czuję w sobie pustkę.

### *6 lipca 1917 roku*

Nadszedł i minął wyznaczony przez ojca termin wyjazdu Marii. Zaczynałem czuć się lepiej, póki nie znalazł mnie tego ranka.

– Pete, wyjeżdżam do Wichita Falls. Wrócę za tydzień. Do tego czasu ta kobieta Garcíów musi się stąd ewakuować. Zawsze pozwalałem ci na wszystko, ale to... – rozejrzał się po gabinecie, jakby szukając w książkach właściwych słów – ...nie sprzyja realizacji naszych celów.

– Co będziesz robił w Wichita Falls? – zapytałem.

– Nie twoje zmartwienie.

– Ona nic nam nie może zrobić.

– To trwa już za długo. Na całej Ziemi jest tylko jedna osoba, której nie wolno tu być, a ty musiałeś sprowadzić ją do domu.

– Nie zmienię zdania w tej sprawie – powiedziałem.

– Bo z każdym dniem stajesz się coraz elegantszy? Myślisz, że nie zauważyłem, że od dziesięciu lat nie zadałeś sobie trudu, żeby się umyć, a teraz nosisz świeże kołnierzyki?! – Nie odpowiedziałem. – To nie jest słomiana wdowa, którą sobie skubniesz na boku za darmo, synu. Ta kobieta może nas kosztować ranczo.

– Możesz odejść – powiedziałem. Nie ruszył się. – Opuść mój gabinet!

Później spotykam Marię w bibliotece. Udaję, że szukam jakiejś książki, kiedy pyta mnie à propos niczego:

– Jak twoja praca?

– Niespecjalnie się do niej przykładam – mówię.

Uśmiecha się, a potem znów poważnieje.

– Consuela mówi mi różne rzeczy.

– Bez względu na to, co ci mówi, nie pozwolę, żeby do tego doszło.

– Peter... – Wzrusza ramionami i wygląda przez okno za linię drzew.

Przyglądam się skórze na jej szyi, obojczyku, krawędzi ramion, patrzę na jej ręce, ciągle chude... – Nie powinnam tutaj zostawać. To ostatnie miejsce, w którym powinnam była się znaleźć.

– Zajmę się moim ojcem.

– Nie to mam na myśli.

– Nie masz dokąd pójść.

Wzrusza ramionami i milczy, zmienia wyraz twarzy. Jest skupiona, jakby coś postanowiła.

– Masz chwilę czasu? Jeśli nie jesteś zajęty pracą?

Siedzi na fotelu zwróconym w stronę okna. Podchodzę do sofy.

– Nie martw się o ojca – mówię.

Wstaje, podchodzi do mnie i siada obok. Dotyka mojego nadgarstka.

– Prędzej czy później będę musiała wyjechać. Za parę dni czy tygodni, to nie ma żadnego znaczenia.

– Dla mnie ma.

Dotyka mojego policzka. Jesteśmy tak blisko siebie, czekam, aż coś się wydarzy, ale nic się nie dzieje. Kiedy otwieram oczy, nadal na mnie patrzy. Pochylam się, a potem powstrzymuję. Wpatruje się we mnie. Całuję ją, lekko. Potem się odchyłam. Mam plamy przed oczami. Przesuwa palcem po moich włosach.

– Masz gęste włosy – mówi. – A twój ojciec jest łysy. Jest niski, a ty jesteś wysoki. – Czuję jej oddech. – Zapomnisz o mnie – mówi.

– Nie.

Znów czekam, aż coś się wydarzy. Opieramy się o siebie. Prostuję się i całuję ją po raz drugi, ale nadstawia tylko policzek.

– Chcę – mówi. Wstaje i wychodzi z pokoju.





## Eli McCullough

*1852 rok*

Parę tygodni później żona sędziego Wilbargera leżała ze mną naga na sofie – według mnie na złość sędziemu, według niej z tej przyczyny, że zażyła laudanum, a leżenie nago na sofie było bardzo wygodne. Wysłała Murzynów do Austin po zakupy. Miała twarz z rodzaju tych, które widuje się w starych księgach – bladą i bardzo delikatną; domyślałem się, że kiedyś musiała być kobietą, o którą walczyli mężczyźni. Domyślałem się, że zdaje sobie z tego sprawę, podobnie jak i z tego, że czasy te dawno minęły.

– Ile masz lat naprawdę?

– Dziewiętnaście – odrzekłem.

– Nie dbam o to, dobrze wiesz. Chcę tylko lepiej cię poznać.

– Siedemnaście – mruknąłem. Spojrzała na mnie. – Szesnaście.

– Mam nadzieję, że nie dowiem się za chwilę, że jesteś dziesięciolatkiem.

– Nie. Szesnastolatkiem.

– Przyjmuję to do wiadomości. To piękny wiek.

– Naprawdę?

– Dla ciebie. Piękny. – Umilkła. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że kobieta taka jak ona związała się z kimś takim jak sędzia. Zastanawiałem się, czy go kochała. A potem pomyślałem o Komanczach. – Jesteś na mnie zły?

– Nie – odpowiedziałem. – Dlaczego nie wrócisz?

– Do Anglii? Tu jestem powszechnie szanowaną osobą. – Roześmiała się. – Nie, oczywiście, że nie. Ale co miałabym tam robić?

– W Anglii jest pewnie lepiej niż w Bastrop.

– Pewnie.

Wpatrywałem się w jej gładki brzuch i zastanawiałem się, czy miała dzieci, ale coś podpowiadało mi, że bym o to nie pytał, więc zamiast tego mruknąłem:

– Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz tam wrócić. Nawet ja nie lubię

tego miejsca.

– To skomplikowane – odpowiedziała. – Nie mogę tego wyjaśnić.

Bywałem w mieście tak często, że raz po raz zwracałem uwagę na pewnego chłopaka, który musiał mnie śledzić. Wiedziałem, że nazywa się Tom Whipple, ma trzynaście albo czternaście lat, ale zaledwie pięć stóp wzrostu i do tego rozbieżnego zęza. W końcu przydybałem go, jak czał się, czekając na mnie, za węglem domu sędziego, co wziętem za zły znak. Odprowadziłem go do domu, a potem wyprowadziłem w las. Powaliłem go na ziemię, ale nie wyglądał na przerażonego.

– Jesteś dzikim Indianinem – powiedział.

– Jestem.

– No. Indianie zabili mi ojca, nadeszła pora, żebyś ty zabił mnie.

– Łazisz za mną – rzuciłem mu w twarz.

– Mówią, że kradniesz ludziom konie.

– Pożyczam je sobie.

– Mówią, że zabijasz cudze kurczaki i świnię.

– Przestałem to robić jakiś czas temu.

– Mówią, że ktoś cię zastrzeli.

Parsknąłem.

– Niech spróbuje, chciałbym to zobaczyć. Jestem szybszy od każdego z tych *desperados* z lucerny.

– Mój tata był Rangersem – powiedział.

Byłem w mieście wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że to nieprawda. Jego ojciec był skoczybruzdą i wraz z innymi geodetami miał nieszczęście trafić na Komanczów. Tak przynajmniej mówiono. Bo większość białych nie potrafi odróżnić Apacza od Komancza, a tego od białego ubranego w irchę. Milczeliśmy.

– Pokaż mi, jak się kradnie konie – poprosił.

Następnego dnia powiedziałem Ellen o Whipple'u czającym się za domem. Wyszliśmy więc tylnymi drzwiami i przez las wydostaliśmy się z miasta, by pójść nad rozlewisko, które znałem. Przyniosłem dwie jelenie skóry, żebyśmy mieli się na czym położyć.

– Trochę cuchną – powiedziała. – Bardzo są świeże?

– Sprzed kilku tygodni.

– Och, ty mój mały dzikusie!

Leżała, a słońce padało na jej nogi. Leżała z rozrzuconymi nogami i ramionami. Wiał wiatr, ale skały pod nami były nagrzane. Widziałem falujące cyprysy i gołe gałęzie dębów, niebo w wąskim przesmyku nad strumieniem. Byliśmy tak ze sobą niemal każdego dnia od miesiąca

i wszystko miało trwać aż do lata. To nie było złe.

– Czy miałaś kiedyś jakiś inny romans?

– Ależ z ciebie mężczyzna, co?

– Pewnie tak.

– Mężczyźni zawsze chcą wiedzieć.

– Bo niby dlaczego nie?

– Chcesz usłyszeć prawdziwą odpowiedź czy miłą?

– Prawdziwą – odrzekłem.

– Jesteś pierwszy. Nigdy z nikim nie czułam się tak dobrze jak z tobą. – Wstałem. – Przepraszam. Myślałam, że pół-Komanczowi to nie będzie przeszkadzać.

– Nie obchodzi mnie to.

– Wracaj! – Klepnęła miejsce obok siebie, a ja posłuchałem. Leżeliśmy przez jakiś czas, aż powiedziała: – Wiesz, czasem wydaje mi się, że mogłabym rozłożyć nogi przed niemal każdym, tylko po to, żeby nie oszaleć. Czasem jest tak, że mogłabym rozłożyć nogi przed Henrym.

– Zlinczowaliby cię bez dwóch, kurwa, zdań.

– Z powodu czarnego? Tak. Wiesz, że on nawet na mnie nie spojrzy?

– Bo jest Murzynem – odpowiedziałem.

– Ale i tak nie chce na mnie patrzeć. Wie, że by go za to zabili, więc boi się mnie. Jest mi niedobrze, kiedy o tym myślę. Boi się mnie bardziej niż Roy. – Milczałem. – Jeśli kiedykolwiek wrócę do Anglii, to właśnie z tego powodu.

Położyłem się obok niej, podniosłem jej nogę i wszedłem w nią. Potem poczułem, że muszę przestać i przytulić ją. Ale ona chciała, żebym ją dalej ruchał. Kiedy skończyliśmy, usnęła. Usiadłem i rozejrzałem się, patrząc na szemrzący na kamieniach strumień. Gdzieś siedział przedrzeźniacz i ćwiczył cały śpiewnik. Kiedy otworzyłem oczy, było już późno.

– Kiedy wraca Henry z Cecelią?

– Nie wiem – wymamrotała. – Posłałam ich do Austin.

– Powinniśmy się ubrać. – Nie poruszyła się. Otulały ją długie włosy, które nie były całkiem siwe ani całkiem kasztanowe. – Wiesz, jak będziesz ich tak wysyłać we dwoje po sprawunki, to pewnego dnia uciekną do Meksyku.

– Mam taką ogromną nadzieję.

– I wiesz, że wiedzą o nas.

– Mam ogromną nadzieję, że nie.

– Ależ tak.

– W takim razie Roy zastrzelił nas oboje.

– Nigdy mu nie powiedzą.

– Dlaczego?

– Lubią cię bardziej niż jego, to po pierwsze. A po drugie, to czarnuchy.

– Co to znaczy? – zapytała.

– Dobrze wiesz. – Przyglądałem się, jak wkłada bieliznę.

– Niezupełnie, obawiam się.

Wiedziałem, że miałem rację, ale ciągle byłem na nią zły.

– Jeśli nie lubisz sędziego, dlaczego go nie zostawisz? – Kręciła głową. – To nie takie trudne.

– Jasne – odpowiedziała. – Przypuszczam, że moglibyśmy uciec we dwoje.

– Powinniśmy.

– Nie wiesz, co mówisz, kochany. – Ściągnęła włosy z tyłu i związała je, a potem sięgnęła do torebki po laudanum. – Uważasz się za lepszego ode mnie, prawda? – Pokazała mi dwa zbliżone do siebie palce. – Tak troszeczkę, troszeczeczkę.

Wzruszyłem ramionami.

– Cóż, masz rację. – Poczęstowała mnie laudanum. – Nie chciałbyś spróbować?

– Niezupełnie.

– To dobrze – powiedziała. – Dobrze dla ciebie.

Ruszyła w drogę powrotną do miasta, a ja odczekałem pół godziny i poszedłem za nią. Na ziemi, oprócz jej śladów, widać było inne.

Konie pełnej krwi należące do sędziego znały mnie tak dobrze, że to nawet nie była kradzież. Tom Whipple nie miał zielonego pojęcia o tych zwierzętach. Kiedy zabrałem go po raz pierwszy do stajni, o mało nie wykopały go przez ścianę. Posadziłem go w siodle i usiadłem za nim. Kiedy wróciliśmy, był tak podekscytowany, że nie mógł przestać gadać, a kiedy rozstawaliśmy się w lesie, przyszło mi do głowy, że zrobi coś głupiego. Przyglądałem się jego piętom, kiedy odchodził.

Kilka dni później chciał złapać konia sąsiada, pociągowego perszerona o byczym karku, lecz zamiast wierzchowca dostał garść śrutu. Na szczęście drzwi stajni zatrzymały większość ładunku. Ale i tak płakał jak dziecko.

Myślałem, że Ellen odwiedzi mnie w areszcie, ale nie przyszła. Kiedy zapytałem o nią, szeryf tylko pokręcił głową.

– Zastanawiam się, synu, czyś nie mógł se wybrać gorszej damy do spółkowania. – Nie odpowiedziałem. – Byłeś pijany?

– Czasem.

– Ci dzicy musieli odebrać ci rozum, chłopcze. A tak na ciebie liczyłem.

– Myśli pan, że będzie prawdziwy proces?

– Jeśli będzie – powiedział – to najkrótszy w historii.



## Jeannie McCullough

Siedziała na sofie, przyglądając się Susan, która ssła kołderkę, i Thomasowi z przylizanymi włoskami, w dżinsowym kombinezonie, z tłustymi małymi rączkami, w czerwonej bandanie – zjadłaby go całego. Budował wieżę z klocków. Świeciło na niego słońce, a ona wpatrywała się z napięciem w przewracającą się po raz dwudziesty albo pięćdziesiąty (albo setny) wieżę i przymknęła oczy. Obudziła się z przestraczem. Thomas dalej ustawiał wieżę, Susan zasnęła. Miała wrażenie, że całe wcześniejsze życie, zanim urodziła dzieci, było snem. Czy w ogóle miała wtedy rozum? Była jak przeżuwające pokarm zwierzę.

Teraz nie spała. Była znudzona, ale było coś jeszcze, niepokój tak dojmujący, że nie potrafiła wysiedzieć dłużej na miejscu. Wstała, przeszła się po pokoju, a potem, zerknąwszy za siebie – dzieci zostały na swoich miejscach – wyszła przez przeszklone drzwi na tylny dziedziniec i obeszła trawnik wokół wysokiego drewnianego ogrodzenia. Trawa była gęsta, pod drzewami wilgotno. Mogłaby zrobić sobie drinka.

Wróciła na patio i przyglądała się dzieciom zza szyby. Oczywiście, że je kochała, ale zdarzało się – trudno było to przyznać – że nachodziły ją myśli, co by się stało, gdyby przestały istnieć. *Jesteś nienormalna*, myślała. *Jesteś bardzo nienormalna*. Usiłowała porozmawiać o tym z Hankiem, ale nie miał najmniejszego pojęcia, o czym mówi, więc ucięła temat, zanim zdążyła palnąć jakieś głupstwo. Hank spędzał z dziećmi piętnaście do dwudziestu minut dziennie. Choć we własnym mniemaniu opiekował się nimi od przyjścia do domu po wyekspediowanie do łóżek. Tyle tylko, że „opiekowanie się dziećmi” oznaczało według niego przebywanie w tym samym domu, co one. Jeannie poświęcała im tyle czasu jednego dnia, co Hank przez miesiąc. Specjalnie to policzyła, a co.

Była przygnębiona od narodzin Thomasa, pierworodnego. Poczwała jeszcze większe przygnębienie, kiedy w szóstym miesiącu ciąży z Susan lekarze nakazali jej zostawać jak najdłużej w domu. Zaczęła



się zastanawiać nad sensem tego wszystkiego. Tak jak wtedy, kiedy umarł ojciec. Coś było z nią nie tak, bo otaczała ją wspianała powiększająca się rodzina, piękne zdrowe dzieci, a ona pytała samą siebie, po co w ogóle żyje.

Rodzina była wspianała, urzekająca, ale rzecz jasna było też coś innego, coś, czego nigdy nie wolno mówić, bo zamkną ją na zawsze: obce stworzenie wysysające z niej krew. Leżała w szpitalu, a potem zagnieźdżał się w niej jakiś złowrogi duch, coś się budziło i przejmowało kontrolę: chwilę wcześniej była przecież sobą, a zaraz potem coś porywało ją i ciągnęło w dół; nie miała nic do powiedzenia, nie miała nawet pojęcia, jak bardzo jest bezradna. Tego nie da się wyjaśnić innym ludziom. Przetrwiała. Nieustannie miała przeświadczenie, że została oszukana, zdradzona przez własne ciało: wcześniej uważała, że istnieje po to, żeby jej służyć i sprawiać radość, a teraz była zła na Hankę i zazdrościła mu, bo nie ponosił żadnych kosztów i tylko trzymał ją za rękę, kiedy leżała na szpitalnym łóżku, wpatrywał się w nią czule i powtarzał: *oddychaj, oddychaj*. Tymczasem ona leciała samolotem bez silników, pikowała ku zagładzie w bezmiar oceanu i oddychanie było ostatnią rzeczą, która ją interesowała. O to również nie przestawała się złościć. O jego dobre rady w sprawach, o których nie miał najmniejszego pojęcia.

Była nierozsądna. Myślenie o tym nie miało sensu. Stała na patio i pilnowała dzieci za oknem, zastanawiając się, co powiedziałyby sąsiadce, gdyby ta ją zobaczyła, albo niani, gdyby zeszła na dół, albo Hankowi, gdyby wrócił do domu. Weszła do środka. Przywołała nianię interkomem i kazała jej spakować torbę dla Susan. Thomas był na tyle duży, że mógł zostać z nianią, Susan pojedzie z mamą do biura. Odwiedzała je kilka razy w tygodniu, by posmakować starego życia. *Jesteś jak dziecko*, pomyślała.

Położyła Susan na przednim siedzeniu cadillaca i poczuła natychmiastową ulgę, choć nie wyjechała jeszcze z podjazdu. Dziewczynka zaczęła płakać. Jeannie położyła ją sobie na kolanach i jechała. Po dwudziestu minutach stanęły przed biurem, a po długiej jeździe windą oddała córkę sekretarkom – uszczęśliwionym, że ją mają, że mogą potrzymać dziecko, że nie muszą pracować: wszystko jedno, jej to nie interesowało, chciała tylko zostać sama. Weszła do gabinetu i zamknęła drzwi. Było gorąco, ale przyjemnie, cały gabinet był przeszklony. Za oknami miała zielenią miasta, które rosło i rosło. Wschodni Teksas cieszył oczy obfitością i wilgocią, był Głębokim

Południem. Piekiełm latem.

Kochała swoje dzieci. Ale spodziewała się czegoś innego. Spodziewała się, że będą jak jej bracia, jak żrebaki albo cielęta, najpierw bezradne, ale stające szybko na własnych nogach. Nie przewidziała natomiast, że będą miały tyle potrzeb. Nazywali to miłością do dzieci, ale to wcale nie była miłość, jeśli miałyby być wobec siebie szczerzy, bo brały o wiele więcej, niż kiedykolwiek zdążą jej oddać. Może zabrały już wszystko?

– To karygodne – powiedziała na głos. – Nie wolno mi tak myśleć.

Siedziała w gabinecie, bojąc się oddychać. Wyglądała przez okna na wypełnione ludźmi wieżowce, widziała, jak wszyscy się krzątają, pracują w biurach. Nie było tam nikogo takiego jak ona. *Jesteś żałosna*, pomyślała. *Pomyśl o swojej matce*.

Usłyszała płacz Susan w sekretariacie. Wyrwało ją to z fotela, szła ku drzwiom, zanim uświadomiła sobie, co robi. Dziewczyny poradzą sobie bez niej. Wróciła za biurko – sterty, sterty papierysk – to absurdalne, bo zupełnie brakuje jej kontekstu. Zaczęła czytać jakiś przypadkowy dokument. Raport rzeczoznawcy, raport geologa, umowa, która dawno nie wypaliła. Było gorąco. Pytania były bezcelowe. Wiedziała, w co się pakuje (*choć nie wiedziałam*, upierała się w duchu, *nie miałam pojęcia*), jej życiem kierowały potrzeby innych. Jedyna potrzeba, jakiej nigdy nie zaspokoi, to pragnienie, które towarzyszyło jej każdego dnia: żeby wsiąść do samochodu, ruszyć w drogę i nigdzie się nie zatrzymywać.

Obudziła się nieco później. Spocona. Słońce wciąż zalewało biuro. Zastanawiała się, czy działa klimatyzacja. Przerzucała papiery, wyrzucając nieaktualne, ale to nie miało sensu, potrzebowała wielu miesięcy, żeby odnaleźć się we wszystkim. Potem usiadła na otomanie i znów zasnęła. Potem już było po piątej. Nic nie zrobiła. Spojrzała w lusterko puderniczki: miała obrzękniętą twarz z odciśniętym wzorem tapicerki; gdzieś tam kryła się ładna dziewczyna o pięknych kościach policzkowych, idealnej cerze, ślicznie wykrojonych ustach, ale w lusterku nie było tego widać. Była blada, z wyjątkiem sińców pod oczami. Miała żółte zęby, a włosy jak schnące na słońcu siano.

Znów przysnęła. Kiedy się obudziła, było już ciemno. Poprawiła makijaż i wyszła do sekretariatu. Susan spała na kolanach sekretarki – jedynej, która została. Wszyscy inni poszli do domu, a dziewczyna siedziała bez ruchu, jak w katatonii, i rozglądała się tylko bezradnie.

– Przepraszam – mruknęła Jeannie.

– Och, nic nie szkodzi. Uwielbiam ją – odpowiedziała sekretarka.

Naprawdę ją uwielbiała. Była uszczęśliwiona, mogąc trzymać dziecko na kolanach. Wyglądała na rozanieloną, tak jak dziecko, a Jeannie poczuła się przez to jeszcze gorzej.

– Dziękuję, że się nią zaopiekowałaś. Nie masz pojęcia, jaka to ulga.

Sekretarka spojrzała na nią. Rzeczywiście nie miała pojęcia. Byłaby w siódmym niebie, gdyby miała takie dziecko, a do dziecka męża.

Na szczęście Hank znów poleciał do Kanady. Oszczędziła mu przynajmniej tego widoku. Hank, Herman Jefferson (ich geolog) i Milton Bryce (ich prawnik) zawsze powtarzali jej, że nie musi zadawać sobie trudu i przychodzić do biura. Wszystko odbywa się zgodnie z planem bez niej od dwóch lat. Chcieli być delikatni i nie powiedzieli jej tego wprost, ale ich słowa znaczyły: *Jesteś tu niepotrzebna. Nasz świat kręci się dalej bez ciebie.* Tylko że jej świat przestał się już kręcić. *Szkoda, że nie umarłam,* pomyślała.

Kiedy Hank wrócił z Alberty, powiedziała mu, że nadeszła pora, żeby zatrudnić drugą nianię, a może nawet trzecią, jeśli będą mieli kolejne dziecko.

– To niemądre – rzucił. Krzątał się w kuchni, przygotowując sobie kanapkę, i ze zwykłą starannością odkładał wszystko na miejsce.

– Dlaczego? – Uznała, że chodzi mu o pieniądze.

– Dlatego – zaczął – że nie chcę, żeby nasze dzieci wychowywali ludzie, o których zapomną, kiedy dorosną.

– Więc zostań w domu i wychowuj je. – Spojrzał na nią, żeby się przekonać, czy mówi poważnie. – Nie musisz pracować – powiedziała. – Nigdy nie zabraknie nam pieniędzy.

Był poirytowany. Ugryzł kanapkę i popił ją mlekiem.

– Nie dam już więcej rady. Sama. Mówię poważnie.

– To absurdalne.

– Więc chyba jestem absurdalna.

– Nie, absurdalne jest to, co mówisz. Nie jesteś sama. Masz Evę przez cały dzień, a ja wracam do domu o szóstej. Każdego dnia.

– Więc zwracam ci uwagę, że dzieci są w połowie twoje – powiedziała.

– I mógłbyś poświęcać im połowę swojego czasu.

– Robię to, co do mnie należy... – Głos mu się załamał. Naprawdę tak uważał.

– Owszem – powiedziała. – Ale to nie jest połowa ani nawet ćwierć. Poświęcasz im jakiś jeden procent czasu. Doceniam, że nie zatrzasujesz drzwi do gabinetu i zostawiasz je otwarte, ale to zupełnie co innego od siedzenia przez cały dzień z dziećmi. Samemu. – Nie

odpowiedział. – Zatrudnimy drugą nianię. Dla ciebie to żadna zmiana.

– Wykluczone – powiedział.

– Nie zostawię przedsiębiorstwa.

– Już je zostawiłaś – rzucił. – Nie masz pojęcia o tym, co się dzieje.

Pomyślała, że jest taki sam jak jej ojciec. Być może przesadzała, ale raczej nie: robił to samo z miłą miną.

– Przestałam się czuć pełnowartościową osobą – powiedziała.

– Miło to słyszeć od matki własnych dzieci. – Nie patrzył na nią.

– Albo ja, albo one.

– Nie wiem, co cię napadło! – Choć był opalony, widziała, jak poczerwieniał mu kark. Odłożył kanapkę i wyszedł z kuchni, a potem z domu. Usłyszała silnik samochodu zjeżdżającego z podjazdu.

Oczywiście zaczęła płakać. Prawda była zbyt bolesna. Nie powinna była tego powiedzieć. Wyszła za dom i usiadła w zielonych ciemnościach. Hank i wszyscy inni żądali od niej, żeby została w domu i już nigdy więcej nie miała żadnej rozsądnej myśli, natomiast oni i tak będą robić to, co chcą. To było szaleństwo. Hank, Jefferson, Milton Bryce – nienawidziła ich wszystkich właśnie w tej chwili i zupełnie jej nie obchodziło, co o niej myślą. Podjęła decyzję. Nie wycofa się. Trzeba znaleźć jakieś wyjście. Jest warta pięćdziesiąt milionów dolarów i to nienormalne, naprawdę, że siedzi tu – czy gdziekolwiek indziej – uwięziona przez dzieci, męża, całą tę sytuację: nawet nie wiedziała, jak ją nazwać. Miała już dosyć tego wszystkiego, to był koniec.

Usłyszała wjeżdżający na podjazd samochód. Została na dziedzińcu, gdzie było ciemno. W środku Hank zszedł po schodkach do salonu i ominąwszy wszystkie nowe meble – warte dwieście tysięcy dolarów, z jej pieniędzy – podchodzi do baru, nalewa sobie whiskey i zagląda do szklanki. Potem podszedł do okna i wyjrzał. W domu było zbyt jasno, żeby mógł ją dostrzec, wpatrywał się tylko we własne odbicie. W surową twarz dzierżawcy, w gęste włosy, zakola, zmarszczki wokół oczu; tak, kochała go, ale nie poruszyła się. Będzie musiał wybrać.

Był dobrym człowiekiem. Ale w ostatecznym rozrachunku pieniądze należały do niej i bez tego argumentu pewnie by się nie poddał. To nie było właściwe – targowanie się z własnym mężem, manipulowanie nim, ale niewykluczone, że on posługiwał się nią przez cały czas, nawet jeśli mimowolnie.

Zatrudnili dwie dodatkowe nianie i Jeannie wróciła do pracy. Uznali, że jest złą matką. Słyszała sekretarki, oczywiście niezamężne, oczywiście zazdrosne, gotowe przespać się z Hankiem – bogatym

przystojnym mężczyzną – bez mrugnięcia okiem. Kobiety udawały solidarność wobec siebie, dopóki to miało znaczenie. Naturalnie zadbała o to, żeby wszystkie pracujące dla nich dziewczęta były tak brzydkie, że Hank musiałby upić się do nieprzytomności, żeby o którejś pomyśleć.

– Mamy najbrzydsze sekretarki na świecie – powtarzał zawsze.

Co z tego. Uważały, że jest wyrodną matką. Usiłowała o tym zapomnieć.



## Dzienniki Petera McCullougha

*7 lipca 1917 roku*

Spałem tylko kilka godzin, myśląc o niej po drugiej stronie domu. Nie przyszła na śniadanie i jeśli w ogóle wychodziła z pokoju, musiała zrobić to cicho jak sowa. Kiedy zszedłem na lunch, znalazłem naczynia na suszarce, niedawno umyte. Była tu, spóźniłem się. Straciłem apetyt i wróciłem do gabinetu. Wyjąłem i odstawiłem na miejsce przynajmniej dwa tuziny książek. Rozważałem telefon do Sally, a potem zrezygnowałem. Obezwładnia mnie potrzeba podzielenia się z kimś tym wszystkim. Gdybym tylko mógł wspiąć się na dach i ogłosić to przez megafon całemu światu...

Ale jestem szczęśliwy, wiedząc, że przebywa w tym samym domu. Jeśli ktoś zadaje sobie pytanie, czy lepiej jest kochać czy być kochanym... odpowiedź jest oczywista. Ciekawe, czy z tym zgodziłby się mój ojciec? Ciekawe, czy kiedykolwiek czuł to samo? Podejrzewam, że był do tego niezdolny jak wszyscy ludzie zżerani przez ambicję. Chce mi się nad nim płakać. Oddałbym wszystko w tym domu, cały nasz majątek, żeby to uczucie przetrwało, a na myśl o tym zaczynam łkać... nad ojcem, nad Marią, nad Nilesami Gilbertami, nad Pedrami.

Na szczęście lub nie pilne sprawy wyrwały mnie z tego grzęzawiska uczuć. Około drugiej w nocy rozległ się donośny łoskot. Kiedy wstałem, żeby sprawdzić, co się dzieje, szczyt wieży wiertniczej nie wystawał już ponad linią zarośli.

Jak się okazało, wiertniczy trafił na gazową kieszeń i stracił kontrolę nad wiertnią. Jeden z robotników zwałił się razem z wieżą na ziemię. Jakimś cudem wciąż żyje (mówią, że pijacy mają wiotkie kości). Drugim cudem było to, że nie doszło do samozapłonu gazu. A trzecim (z ludzkiej perspektywy) jest ropa, która wypływa równomiernie na nasze pastwiska, spływa po zboczach wzgórz i wpływa do strumienia.

Do wieczora zbiegło się całe miasto, żeby pogapić się na roztrzaskaną

wieżę, leżącą w bagnie oleistego błota. Było oczywiste, że dokonaliśmy nadzwyczajnego wyczynu o wprost monstrualnych proporcjach, że te kilka zmartwień, które mogliśmy mieć, odchodzi w przeszłość i że oddaliliśmy się jeszcze bardziej od codziennych trosk szarego obywatela. Ale ludzie z miasta zupełnie tego nie rozumieli. Myśleli, zdaje się, że to *im* się poszczęściło. Nabierali kubkami błota, żeby próbować ropę jak kawę.

Jest tak jak mówi ojciec. Ludzie chcą być rządzeni. Ubodzy chcą się wiązać – jeśli nie ciałem, to wyobraźnią – z pięknymi i bogatymi. Ubogi rzadko pozwala sobie na refleksję, że jego ubóstwo i majątek sąsiada są nierozzerwalnie ze sobą połączone, bo refleksja taka wzywałaby do czynu, a łatwiej przychodzi mu myśleć, że i tak ma lepiej niż pozostali, jeszcze ubożsi sąsiedzi.

Tłum cisnął się i napierał wokół zwałonej wieży, jezioro ropy rosło, a wiertacz, który o mało się nie posikał, nie umiał zdecydować, czy podpalić szyb. Gaz rozwiewa się na setki jardów nad ziemią i zapala z byle powodu. Znane były przypadki samozapłonu gapiów po upływie wielu godzin, a nawet dni po wybiciu ropy. Napił się jeszcze więcej whiskey, żeby rozjaśnić sobie w głowie i ostatecznie postanowił nie podpalać szybu. Ropa płynęła, a nie tryskała. Nie było więc dużo gazu. Tak przynajmniej miarkował. Ja zmiarkowałem, że jest pijany. Kazałem wszystkim odejść od szybu, choć kiedy ujrzałem Nilesa Gilberta i jego prosiakowate potomstwo wygrzebujące się z lepkiego błota – bo stanęli niemal u ujścia bulgoczącego czarnego źródła – żałowałem, że Bóg poskąpił nam teraz piorunów. Widząc ropę płynącą w dół wzgórza, uświadomiłem sobie, że za chwilę nie zostanie nic, by poskromić dumę człowieka. Bo nie ma już nic, nad czym byśmy nie zapanowali. Z wyjątkiem, rzecz jasna, nas samych.

*Vaqueros* używają koni i jesionów, żeby zbudować tamę, ale przegrywają bitwę. Jankeski farmer z wystającą zuchwą zaproponował, że pożyczy nam nowy traktor Hart-Parr. Gdyby pochodził stąd, zwyczajnie by na nim przyjechał, ale jako człowiek z północy myśli tylko o tym, jak napełnić kieszeń. Po krótkim zastanowieniu zgodziłem się mu zapłacić. Ropa płynie szerokim strumieniem do potoku – jesiony nie nadają się do budowy tam.

Mimo to wszyscy byli w dobrych nastrojach i poszli się upić, w tym upadły wiertacz i częściowo zmiażdżony robotnik. Zaczęli się zjeżdżać ludzie z Carrizo, choć co ich tu ściągnęło – czarna dziura, smród siarki



czy myśl o gotówce płynącej szerokim strumieniem do kieszeni najbogatszego sąsiada – pojąć nie mogłem. Pułkownik pojawił się o północy, jadąc przez całą drogę z Wichita Falls z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę, łapiąc przy tym gumę. Został mnie w gabinecie. Przez okno wpadał lekki smród siarki, jakby sam diabeł palił na naszej werandzie. Czystym zbiegiem okoliczności – jestem tego pewny – to także smród pieniędzy.

– Synu – powitał mnie Pułkownik. Objął. Był już tak samo pijany jak inni. – Od tej pory możesz płacić za wrywanie chwastów, ile tylko chcesz!

Ani słowa o Marii. Przeżyłem atak paniki i pobiegłem zajrzeć do jej pokoju: spała spokojnie w łóżku i wzdychała z jakiegoś powodu. Przyglądałem się jej, dopóki się nie poruszyła.

### *8 lipca 1917 roku*

Tego ranka czekała na mnie na dole.

– Świetna wiadomość, prawda?

Wzruszam ramionami. Myślę tylko o tym, co straciła. Dobrze, że znaleźli ropę na naszej ziemi, a nie u Garcíów.

– Będziesz miał dzisiaj dużo pracy?

– Nie sądzę – odpowiadam. – Mam do załatwienia parę spraw w Carrizo, jeśli chcesz, możesz mi towarzyszyć.

Zgadza się, co wprawia mnie w dobry nastrój, którego nie jest w stanie zepsuć ani sznur samochodów jadących do odwiertu, ani otwarta na oścież brama, ani nawet pięćdziesiąt cieląt, które wyszły tego ranka na drogę.

W Carrizo żadne z nas nie ma nic szczególnego do roboty. Postanawiamy bez namysłu pojechać do Piedras Negras na lunch (pada też propozycja Nuevo Laredo, ale María odmawia). Jazda zajmie nam trzy godziny, do domu wrócimy późno – nie rozmawiamy o tym. Splata włosy z tyłu głowy, by nie rozwiewał ich wiatr. Zerkam na nią: ciepłe usta, ciemne rzęsy, gęste włosy na karku. Dojeżdżamy w końcu do miasta koło czwartej po południu, a ja denerwuję się, myśląc o tych wszystkich *Carrancistach*, *Villistach* i *Zapatistach*, ale María zupełnie się tym nie przejmuje. Nie zwracamy uwagi na pucybutów i sprzedawców losów na loterię, wchodzimy do *cantina*, gdzie można usiąść na patio w altanie. Zamawiamy węgorza *arrachera*, pieczoną

rybę, *tortillas sobaqueras*, siekane awokado i pomidory. María bierze do tego tequilę z cytryną, a ja *Carta Blanca*. Nie jesteśmy w stanie zjeść wszystkiego, María wpatruje się w jedzenie. Wahamy się, czy nie zamówić więcej drinków. Wahamy się znów w samochodzie.

Zamiast wracać do domu, jedziemy dalej w głąb kraju, żeby zobaczyć starą misję świętego Bernarda. To niewielkie ruiny, jednopiętrowe, bez porównania ze skalą katedr w Mexico City, ale w swoim czasie był to najdalej wysunięty na północ ośrodek hiszpańskich wpływów w tym regionie. Wszystkie zmierzające na północ wyprawy wyjeżdżały właśnie stąd i tutaj wracały. W powietrzu jeszcze teraz dawało się wyczuć ulgę, z jaką Hiszpanie wracali do misji, gdy jej kopuła i łuki pojawiły się na horyzoncie. Czuło się też strach, z jakim stąd wyjeżdżali. Ta ziemia jest bardziej niebezpieczna od Nowego Meksyku. Uświadamiam sobie, że San Bernardo jest niewiele starsze – może z pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat – od *casa mayor* Garcíów. Milknę. María czyta w myślach albo uważa, że milczę z innego powodu, bo ujmuje moją dłoń i opiera mi głowę na ramieniu.

– Dobrze być z dala od twojego domu – mówi. Idziemy wolno małymi krokami, czekając, aż któreś z nas powie coś ważnego. Nie puszcza mojej ręki, ale nie patrzy na mnie. – A twoja żona? Wróci?

– Nigdy, mam nadzieję.

– Rozwiedziesz się z nią.

– Jeśli zdołam.

– Na fotografiach jest piękną kobietą.

– Pochodzi z dobrej rodziny.

– Tak wygląda.

– Wiesz, wyszła za mnie za męża, bo jej rodzina zbankrutowała. Wydawało się jej, że poślubia młodszą wersję mojego ojca, ale to nie ja, tylko mój brat Phineas.

– Może wybrała ciebie, bo jesteś przystojny.

– Z całą pewnością nie.

– Z całą pewnością – mówi. – Twój brat ma twarz łasicy.

– Żona chciała, żebym był kimś innym. – Wzruszam ramionami. – Dobrze, że wyjechała.

Wędrujemy dalej. Spodziewam się, że wypuści moją dłoń, ale machamy splecionymi rękoma w przód i w tył, jakbyśmy byli dziećmi. Trzyma mnie mocno. Kiedy dochodzimy do samochodu, mówi:

– Wrócimy bardzo późno do domu, prawda?

Jakaś część mnie – ta, która mną zawiaduje, kiedy pojawia się

ryzyko – mówi:

- Czeka ją na mnie.
- Aha – odpowiada i odwraca głowę.

Siada w samochodzie ze skrzyżowanymi rękoma i wpatruje się w misję oraz *brasada* na południu, a ja zapalam silnik. Kiedy do niej dołączam, przętykam ślinę i mówię:

- Może jazda po ciemku to nie jest najlepszy pomysł.
- Pewnie nie.

Znajdujemy hotel przy stacji kolejowej.

- Jak ci się podoba?

Nie patrzy na mnie. Milczymy, jakbyśmy byli starym, kłóącym się małżeństwem. W hotelu jest chłodniej, wentylatory pod sufitem obracają się, ale i tak pot spływa mi po plecach. Każdy odgłos ulega wzmocnieniu, tupię obcasami po posadzce, trzeszczy drewniana lada, na której się opieram, żeby nas zameldować. Waham się, a potem wpisuję Pan i Pani Garcia. Recepcjonista puszcza do mnie oko. Nasz pokój jest na pierwszym piętrze. Wchodzimy w milczeniu po schodach, a potem do pokoju.

- I co? – pytam.

Siada na łóżku i patrzy na wszystko oprócz mnie. Meble są tandetne, ktoś wyrył swoje inicjały na wezglowiu łóżka.

- Popełniamy błąd – mówi. – Powinniśmy wracać.
- *No quiero vivir sin ti* – mamroczę.
- Powiedz to po angielsku.
- Umrę, jeśli mnie zostawisz – mówię.

Wbija wzrok w podłogę, ale chyba się uśmiecha.

- Myślałam, że się wahasz, bo niedobrze wyglądam.
- Nie.

– Teraz powinieneś mi powiedzieć, że jestem piękna – uśmiecha się. Poklepuje łóżko obok siebie. – Usiądź obok.

- Kocham cię – mówię.
- Wierzę ci – odpowiada.

*9 lipca 1917 roku*

Leżymy naprzeciw siebie w łóżku, zarzuciła na mnie nogę, ale nie ruszamy się, przysypia. Przesuwam palcem po jej ramieniu, barku, szyi, a potem znów po ręce. Przez okno wpada kolejowa poświata.

– Dotknij moich pleców – prosi.

Przez długi czas rysuję na nich leniwe kształty, a potem całuję ją, by poznała moje zamiary. Przyciąga mnie na siebie. Zaczyna poruszać biodrami. Później po prostu zasypiamy. Budzimy się i robimy to po raz drugi.

– Byłabym najszczęśliwsza, gdybyśmy nigdy nie wstali z tego łóżka.

– Ja też – mówię.

Całuje mnie, a potem znowu i znowu, i znowu, i zamykam oczy. Rankiem, kiedy przez zasłony wpada pierwsze światło, zastanawiam się, czy czar przysł, ale patrzy na mnie w jaskrawym słońcu i wtula się w mój bark. Czuję jej oddech na szyi.



## Eli McCullough

Nie minęło zbyt dużo czasu, zanim sędzia Wilbarger zabrał się pełną parą za przygotowania do przyjęcia pod krawatem, bo kiedy Whipple puścił farbę, zrobili to też niewolnicy, a potem całe miasto ogarnęła plotkarska gorączka. Wszyscy wiedzieli, że bzykałem żonę sędziego osiem albo dziesięć razy dziennie, pijąc przy tym wino pana domu, kradnąc mu konie i karmiąc jego cygarami świnie. Uznawano za cud, że nie zastrzelił swej wiarołomnej towarzyszki łożnicy, choć wszyscy byli pewni, że ktoś musi zostać wysłany do diabła zamiast niej.

Miałem nadzieję, że zdobędę ludzkie serca swym młodzieńczym wdziękiem, ale wykazałem się wyjątkową ignorancją, bo biali nie kochają koniokradów i rzeźników wieprzy – nawet dobrych. Jedyne, co mnie uratowało, to interwencja sędziego Blacka z Austin, który zainteresował moją sprawą stanową legislaturę i oskarżył Wilbargera o psychiczne znęcanie się nade mną – bezbronnym, przywróconym cywilizacji indiańskim jeńcem, synem męczennika Rangersów; proces i wieszanie zostały odroczone do czasu, aż Wilbarger wymyśli sposób, żeby się mnie pozbyć. I wymyślił. Zaciągnął mnie do kompanii Rangersów. Co w tamtych czasach równało się szubienicy.

Myśl o wstąpieniu do Rangersów podobała mi się tak samo, jakby mojemu ojcu spodobał się pomysł zaciągnięcia się do Komanczów, ale powaga sytuacji nie zostawiała złudzeń. Zawieziono mnie do Austin w kajdanach i oddano pod nadzór sędziego Blacka, choć tylko na kilka godzin. Przygotował dla mnie małego gniadosza, dobre siodło, drugiego kolta Navy i karabinek Springfielda. Pojawiły się dzieci i odprowadzały mnie, ale sędzina została w domu, a on sam miał posępną minę – nic, co mógłbym powiedzieć, nie poprawiłoby mu humoru.

Zaciągnąłem się do kompanii we Fredericksburgu, niedaleko naszej akrokracji, którą ojciec zapisał macosze. Stróżowanie w Teksasie było nie tyle karierą, ile sposobem na śmierć w młodym wieku bez żadnego wynagrodzenia. Szansa na przeżycie roku w kompanii była taka sama jak podczas rzucania monetą. Szczęściarze lądowali w nieoznaczonym dole. Reszta traciła fryzury. W tamtych czasach dni doborowych

kompanii pod dowództwem Coffee Haysa i Sama Walkera należały już do przeszłości. Walker nie żył, zginął w Meksyku. Hays dał sobie spokój z Teksasem i wyjechał do Kalifornii. To, co zostało było zbieraniną żołnierzy bankrutów, awanturników, skazańców i zapomnianych przez Boga.

Na końcu każdej zmiany, ci, którzy przeżyli dostawali milę kwadratową niezagospodarowanego gruntu gdzieś w głębi stanu. Za tę dzierżawę płacono się krwią – nie tylko naszą, ale i Indian, których zabijaliśmy, żeby odebrać im po kawałku ziemi: to była nasza zapłata. Przy czym, jak w hazardzie, zawsze się traciło. Bezpieczne grunty były dawno zajęte, a ziemia, którą można było sobie wziąć, była bezwartościowa i taką miała pozostać przez wiele kolejnych dekad. Zatem nadania zawsze zamieniano na ruchomości – skupowali je spekulanci, mieszkający w wielkich domach i oferujący za ziemię konie czy nowe rewolwery; skupowali je w przeliczniku dziesięć centów za jednego dolara. Oprócz ziemi dostawaliśmy też wynagrodzenie w amunicji, której nigdy nie brakowało. Wszystko inne – od kukurydzianego chleba do mięsa – musieliśmy sobie sami załatwić lub zaanektować.

Doiliśmy stan z prochu i ołowiu, poświęciliśmy trochę czasu na szkolenie, a potem pomknęliśmy w dal. Jedyne, co robiliśmy, to strzelanie. Wbijaliśmy w ziemię sztchetę z płotu, a kapitan mówił nam, że nie odjedziemy stąd, póki każdy z nas nie trafi w nią z konia pięć razy pod rząd, przynajmniej w kłusie, choć lepiej w galopie, nieważne czy z prawej, czy z lewej ręki, bo kończy się zbywalnie.

Po tych kilku tygodniach stało się jasne, że broń palna lepiej leży mi w dłoni niż łuk. Ci, których było na to stać, mieli po dwa kolty Navy, bo ładowanie broni po każdym strzale trwało kilka minut. Paru ludzi miało kolty Walker, które były dwa razy dalej, ale ważyły dwa razy tyle i trzeba je było trzymać w olstrach przy siodle, a nie przy pasie, co mogło być niebezpieczne, gdy było się z dala od konia. Zdarzało się także, że walkerom opadał kurek i blokował się bębenek. Wbrew wszystkiemu, co o nich napisano, produkcja ustała nie bez powodu.

Podczas mojej pierwszej zmiany nie spotkaliśmy nawet pół Komancza. Widzieliśmy ich ślady i pozostałości po nich, ale nie mogliśmy ich dopaść. Komancze lepiej od nas opanowali sztukę najazdów, więc lepiej też ich unikali; lepiej od nas tropili, więc byli trudniejsi do wytropienia, zatem moje obawy, że któregoś dnia wezmę na muszkę Ntutkaru albo Escuté okazały się śmiechu warte.

Z wyjątkiem paru znużonych Lipanów i Mescaleros, łapaliśmy głównie Meksykanów i zbiegłych Murzynów albo wygłodniałych Indian z fortów, których zawodziły zmysły od długiego przebywania wśród białych. Tymczasem każda banda wyjętych spod prawa zasługujących na to miano miała na podorędziu stary łuk i strzały, i wyróżnawszy tych, których chciała, przeszywała ich jeszcze strzałami, żeby wina spadła na Indian. Gdzie tylko sięgnęło się wzrokiem, czerwonoskórzy byli sprzedawani za bezcen.

Kiedy brakowało zwierzyny albo trafialiśmy na skąpych osadników, głodowaliśmy całymi dniami, więc kiedy odzyskiwaliśmy cudzą własność, na przykład konie czy bydło, wszystko to, co nie miało rozpoznawalnego piętna wyruszało z nami w objazd po Meksyku, gdzie było sprzedawane wraz z siodłami i bronią. Osadnikom sprzedawaliśmy skalpy, włócznie, łuki i inne indiańskie przybory, które ludzie wieszali sobie w domach jako trofea. Uszy cieszyły się szczególnym wzięciem.

Mimo podkradania, wracaliśmy do domu z pustymi kieszeniami, zniszczonym ekwipunkiem i na zdychających koniach, a wszystko to należało wymienić w polu. Ustawodawcy zachęcali nas do kradzieży, głosząc, że „łupimy łupieżców”, ale kradzież pozostaje kradzieżą, nawet jeśli nie okrada się swoich, ale dla wybrańców narodu liczyło się tylko to, co zapisane w księgach i opodatkowane, bo tylko to miało znaczenie dla ich właścicieli – plantatorów bawełny. Co się tyczy tych ostatnich: podziwiali i szanowali stanowych stróżów prawa, którzy w przeciwieństwie do nich pracowali dla chwały, a nie dla pieniędzy. Przekazali tę mądrość hodowcom bydła, którzy z kolei przekazali ją nafciarzom. Był to wspaniale działający system, a każdy głupi stróż prawa, który miał czelność zasugerować, że lepiej byłoby, gdyby płacono mu w dolarach, a nie poklepywaniem po plecach, natychmiast okazywał się dekownikiem, wolnomyślicielem albo zgoła abolicjonistą, i musiał uciekać ze stanu.

W szeregach Rangersów było sporo dawnych indiańskich jeńców, część z nich myślała z rozkoszą o pomście na prześladowcach, choć większość wstąpiła do Strażników z tej samej przyczyny, co ja – bo zwyczaj białych przestały mieć dla nich jakikolwiek sens. Nie potrafili znieść przeludnienia w miastach czy nawet osadach, tęsknili za dawnym życiem na równinach, a jedyne, co ich do tego przybliżało – oraz do dawnych szczepów – to uganianie się za Indianami i zabijanie ich od czasu do czasu.



Na drugiej zmianie w drugim roku służby jeździłem z niejakim Warrenem Lyonsem, który spędził dziesięć lat wśród Komanczów. Po sporze z którymś z wodzów zbiegł na powrót do białych i wrócił do rodziny, ale tylko po to, żeby się przekonać, że nie ma jej nic do powiedzenia. Wtedy zaciągnął się do Rangersów. Ci, którzy z nim służyli nie byli pewni, czy jest geniuszem czy ludobójcą.

Wyjechaliśmy w maju w trzynastu, w czerwcu straciliśmy jednego gościa z Ohio, który zmarł na gorączkę, a w sierpniu nasz kapitan dostał kulę w dole szlaku San Antonio–El Paso. Na nowego kapitana wybraliśmy Lyonsa i dalej patrolowaliśmy obszar między Górami Davisa a granicą. Pewnego dnia we wrześniu tropiliśmy Meksykanów, którzy ukradli konie Edowi Hallowi, robiąc popasy przez dzień albo i dłużej w przyjemnym paśmie górskim na wschód od Presidio. Ze skał biły strumienie, co było częste w tamtych czasach, zanim zużyto całą wodę, a okolica opadała przed nami ku zielonym rzeczynom równinom, za którymi wznosiły się w pewnej odległości spowite błękitną mgiełką szczyty Sierra del Carmen. Krajobraz był kojący. Kiedy ostatnim razem byłem w tej okolicy z Toshawayem, Pizonem i innymi, nie miałem czasu na podziwianie widoków. Jedliśmy świeżą sarninę, owoce od osadników i generalnie cieszyliśmy się z wykonywanej pracy, gdy Lyons wypatrzył ośmiu jeźdźców zmierzających ku nam po meksykańskiej stronie – jadących w stronę przeprawy na starym wojennym szlaku Komanczów. Podał mi lunetę. Ledwo widziałem ich barwy, ale byłem pewny, że są Komanczami. Prowadzili niedużą *caballada*, może ze dwadzieścia koni.

– Co myślisz? – zapytałem Lyonsa.

– Dam sobie głowę uciąć, że to *Nutmuntu* – odpowiedział.

– Liczebność nie przemawia na naszą korzyść. – Zostało nas tylko jedenastu. O ile nie walczyło się z przewagą trzech do jednego, ktoś musiał zginąć.

– Są pewnie zmęczeni. I nie mają zbyt wielu koni.

– To nie znaczy, że są zmęczeni.

– To znaczy, że im się nie powiodło.

Powiadomiłem o tym innych. Rozległy się okrzyki podniecenia. Komancze byli w tych czasach taką rzadkością jak słonie, i każdy chciał upolować jednego. Lyons zbierał się metodycznie. A ja tymczasem nie potrafiłem się opanować, co było dziwne o tyle, że braliśmy udział w potyczkach średnio raz na tydzień. Zjechaliśmy ze stoku ku porośniętemu topolami łożysku rzeki, trzymając się

wilgotnego piasku, żeby nie wzniecać tumanów pyłu.

Komancze mieli tylko dwa muszkiety, więc postanowiliśmy zacząć się przy przeprawie w odległości strzału i zdjąć karabinami tyłu, ilu zdołamy, zanim zdołają do nas się zbliżyć. Zastanawiałem się, czy Lyons jest tak bardzo przejęty jak ja. Pozostali zachowywali się buńczucznie, bo nie walczyli nigdy z nikim innym poza Indianami z fortów.

Kiedy zbliżyliśmy się do rzeki, sprawdziłem kolty po raz trzeci i założyłem kapiszon w moim karabinie. Komancze byli nadal po drugiej stronie rzeki. Kryliśmy się między skałami i wierzbami, jeszcze nas nie widzieli, a ja zdałem sobie sprawę, że jeśli przyłapiemy ich w rzece, będzie rzeź. I znów pomyślałem o Toshawayu. Kiedy spojrzałem na Lyonsa, zobaczyłem, że ściągnął buty i włożył mokasyny, które woził w jukach. Był u Komanczów przez dziesięć lat, ciągle gadał do siebie w ich języku i nawet nie nazywał Komanczami, ale *Numuntu*. Nagle zrozumiałem, dlaczego nie był przejęty potyczką z niemal tak samo licznymi jak my Indianami: wracał do nich, by walczyć u ich boku. Odwiodłem kurek w pistolecie. Wstał i wszedł prosto na lufę.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz, McCullough?

– Co *ty*, kurwa, wyprawiasz?! – Nie opuściłem broni.

– Lubię walczyć w mokasynach – rzucił i odepchnął lufę. – Wpadłeś w prawdziwe gówno, McCullough. Policzyłeś wszystkich, oprócz dziewiątego.

Słyszałem ich śmiech i rozmowy, czekaliśmy, aż wyjadą z zarośli, żeby powitać ich równą salwą, ale Hinse Moody i inne półgłówki nie mogli dłużej wytrzymać, wystrzelili, wydali wojenny okrzyk, zbili się w gromadę, spięli konie i zjechali w dół stoku. Komancz był najcenniejszym trofeum, nikt nie chciał stracić okazji. Indianie ukryli się za skałami, a kiedy Moody i pozostali znaleźli się w zasięgu strzału z pistoletu, nadleciały strzały.

Po dziesięciu minutach dwóch Komanczów rzuciło się ku rzece. Moody i pozostali padli po pierwszej salwie, a niemal każdy inny miał teraz w sobie gałązkę derenia. Z wyjątkiem Lyonsa. Walczył jak czystej krwi *Numtu*, ukryty za bokiem bułanego konika, strzelał spod szyi wierzchowca. Koń, kiedy w końcu padł, wyglądał jak poduszcza do igieł. Indianie musieli rozpoznać w Lyonsie zdrajcę, bo strzelali tylko do niego. Myślałem, że ukryje się za martwym koniem, ale puścił się między strzałami i nie dostał nawet jednej. Odbijały się od skał wokół

niego, a on w pojedynkę nacierał na Komanczów.

W krzakach poruszył się jakiś podejrzany cień. Wpakowałem weń kulę, wymierzyłem o pół stopy dalej i posłałem jeszcze jedną, poprawiłem, i dla równego rachunku wystrzeliłem jeszcze tu i tam, aż opróżniłem bębenek. Ledwo zdążyłem go naładować, kiedy Lyons rzucił się pędem w lewo.

Zapadła cisza. Strzały już nie nadlatywały, a mnie dzwoniło w uszach. Wszędzie słychać było rżenie i parskanie koni. Ktoś jęczał i przywoływał żonę. Oprócz mnie i Lyonsa, zostało nas jeszcze trzech po tej stronie rzeki – ukryli się daleko za mną. Lyons był z przodu. Mój koń padł, a ja ochoczo ukryłem się za nim; teraz zerwałem się i podbiegłem z sześć czy siedem jardów. Potem podbiegł Lyons. Wpatrywałem się w stertę głązów, za którą byli Indianie, ale straciłem kapelusz i oślepiało mnie słońce. Znów podbiegłem. Nic się nie działo. Pobiegnę więc dalej, a z wierzb wyleciała strzała i otarła mi się o udo. Zobaczyłem szarżującego Lyonsa, opróżnił bębenek, więc zmusiłem się, żeby wstać. Nie za bardzo wiedziałem, w kogo mam celować. Z krzaków wyłonił się Lyons.

– Chyba już wszyscy.

– A tam dalej?

– Idź zobacz. Ale doliczyłem się pięciu trupów, plus tych dwóch, co uciekli.

– Jest jeszcze jeden nad wodą – powiedziałem.

– Więc masz ósmego.

Nie byłem tego tak pewny.

– Coś ci zostało?

Opuścił kurek, wyjął z kolta drugi bębenek i zajrzał do środka.

– Jeszcze dwie. Powinno wystarczyć na martwych Indian. – Spojrzał za siebie. – Hej, wy, jebane cioty! – Ci trzej zostali osiemdziesiąt jardów za nami. – Idźcie na prawo. – Pokazał im rzekę. Choć staliśmy na otwartej przestrzeni, tamci rzucili się w przód, ale po trzech krokach znów przywarli do ziemi. – Co to, kurwa, za tchórze?

– Chyba Murphy i Dunham. I jeszcze Washburn za nimi.

– Jebane chujolizy. – Spojrzał na mnie. – Co z tą nogą?

Opuściłem wzrok. Cudownym zrządzeniem losu grot skręcił o czwartą część cała na zewnątrz uda, zamiast wbić się do wewnątrz, tam, gdzie jest duża aorta. Obszedłem szerokim łukiem głązy. Lyons wspiał się na nie. Czułem, jak krew spływa mi do cholewki buta. Ale za kamieniami nie było już Indian, zostały tylko ich konie, które pały

się spokojnie nad wodą.

– Mamy dołączyć? – zawołał jeden z maruderów.

Spojrzałem na Lyonsa.

– Jeszcze nie – odkrzyknąłem.

Stąpaliśmy ostrożnie wśród pobitych Komanczów. Niektórzy leżeli w głębokich kałużach krwi, inni wyglądali na śpiących po szczęśliwym trafieniu w szyję, przez którą kula przeszła na wylot, nie powodując krwawienia. Unosiliśmy ich głowy i przyglądaliśmy się im długo. Lyons musiał rozpoznać kogoś, bo kiedy przywołał pozostałych, nie brał udziału w skalpowaniu i zdzieraniu odzieży. Odszedł na bok i nie chciał z nikim gadać.

Zaczęliśmy zbierać trupy i wtedy MacDowell – jeden z tych, których wzięliśmy za martwych – wstał nieoczekiwanie z ziemi. Dostał w łeb rykoszetem i doszedłszy do siebie, był w stanie wsiąść na konia. Zabandażowałem udo, nie mogąc się znów nadziwić własnemu szczęściu i temu, że strzała ominęła żyłę, i kazałem wrzucić na konie pięć naszych trupów. Zawieźliśmy ich do Fort Leaton, gdzie mieli szpadle.

Następnego dnia trzech z czterech żywych Rangersów: Murphy, Dunham i Washburn, oddało odznaki Lyonsowi.

– Nie chcemy indiańskich koni – powiedział Washburn. – Chcemy tylko zatrzymać broń i skalpy, i takie tam.

– Zatrzymajcie – odrzekł Lyons.

– Brakuje ci już terpentyny? – Spojrzałem na Washburna. Był to zezowaty facet ze wschodniego Teksasu, a podczas potyczki krył się sto jardów za nami.

– Za mało za to płacą – powiedział. – Każdy to wie, nawet taki kalafon jak ja. – Wskazał brodą innych. – Dunham jeździł z Hinse'em Moodym od ósmego roku życia. Wiedziałaś o tym?

– Nie – odpowiedziałem. Dunham już odszedł. Nie rozumiałem, dlaczego zwalają winę na mnie.

Trzej dezenterzy zajęli się pakowaniem. Zostaliśmy tylko we trzech: ja, Lyons i młody koniokrad MacDowell. Był dobrodusznym młokosem i ucieszyłem się, że przeżył. Później staliśmy na skalnej półce i patrzyliśmy, jak odjeżdżają ku górą. Czuli że się im przyglądamy, bo spięli konie.

– No tak – mruknął Lyons. – Wygląda na to, że podwoiliśmy udziały.

Przez resztę dnia czyściliśmy broń i naprawialiśmy ekwipunek. Dwa konie zdobyte na Komanczach miały amerykańskie piętna.

Sprzedaliśmy je Edowi Hallowi, żeby opchnął je do Starego Meksyku. Dostałem pięknego wałacha o maści koloru dyni; przegrałem go później w karty. Ed Hall wypytywał nas:

– Ilu waszym zdaniem uciekło?

– Dwóch.

– Jesteście pewni, że nie chcecie zostać dłużej?

– Nic ci nie będzie – mruknąłem. – Zaproś ich tylko na obiad pod armatą.

Zachichotał.

– Dwa razy nie dadzą się nabrać.

Armata nie należała oczywiście do niego. Należała do Bena Leatona, który zmarł parę lat wcześniej, a Hall ożenił się z wdową po nim, choć nie bardzo mu się udawało pielęgnować jego spuściznę. Leaton był nadzwyczajnym łowcą skalpów, a ja zawsze podejrzewałem, że stał na czele pościgu, który dopadł Toshawaya i mnie. Zastąpił tym, że zaprosił kiedyś pół indiańskiego szczepu na obiad, a w połowie posiłku wymknął się i odpalił ukrytą za zasłoną armatę nabitą kartaczem. Wystrzał zabił wszystkich łatwowiernych Indian i zdemolował jadalnię Leatona. Po tym obiedzie już nikt nie kradł jego koni.

Kiedy obudziliśmy się rano, stwierdziliśmy, że MacDowell umarł w nocy.

– Wisi nade mną klątwa – powiedział Lyons.

– Chyba gorsza wisiała nad MacDowellem. – Nie byłem w nastroju na jego błazenadę. Rwała mnie noga, w ogóle nie spałem i nie miałem siły kopać kolejnego grobu.

– Nie – odrzekł. – Od zawsze wiedziałem, że ci, co są ze mną, są skazani na śmierć. Mnie ani kula, ani strzała nawet nie draśnie.

– Mnie tak samo – mruknąłem.

Spojrzał na mnie.

– Od pół roku, kiedy cię znam, dostałeś dwa razy strzałą.

– Ale lekko – powiedziałem.

– Ale dostałeś. A to kurewska różnica.

Nie zdołałem go przekonać, że nie ma żadnej. Rzucił służbę w Rangiersach rok przed tym, jak zaciągnęliśmy się do Konfederacji. Potem przeniósł się do Nowego Meksyku i umarł, mimo szczęścia, klątwy i dobrego zdrowia.

Sprzedaliśmy konie, broń i siodła w Austin, podzieliliśmy się pieniędzmi, a Lyons znów pojechał nad granicę. Wystroiłem się w nową koszulę, spodnie i kapelusz, oddałem broń do rusznikarza,

żeby sprawdził obroty bębenków, i poszedłem do sędziego, żeby zapłacić mu za konia i kolta, które dał mi dwa lata wcześniej. Nie chciał pieniędzy, ale był uszczęśliwiony, widząc mnie żywego i – jak powiedział – noszącego się i zachowującego jak biały człowiek. Zjadłem obiad z nim, jego żoną i trzema córkami, które również były uszczęśliwione, mogąc mnie zobaczyć. Żona sędziego powoli się do mnie przekonywała.

– Wiedziałam, że wyjdzie ci to na zdrowie – oznajmiła. – Po prostu wiedziałam, że dzięki temu zdołasz się troszkę ucywilizować.

Przez grzeczność nie powiedziałem jej, że robię to samo, co z Indianami, tylko po drugiej stronie. Najstarsze córki robiły do mnie maślane oczy, co nie było złe, tylko że wprawiło mnie w pewien nastrój, który po kilku dniach opróżnił mi kieszenie.

Miasto przerosło mnie. Mieszkali w nim sami ulicznicy, włóczędzy, alfonsi i urodzeni w niedzielę. Sprzedałem mojego derringera za tuzin dawek kalomelu, wlewano go we mnie z obu stron, bo myślałem, że złapałem francę. Potem zastawiłem jednego kolta i wynająłem najtańszy pokój w mieście, czekając aż Wybrani zdecydują się sfinansować kolejny patrol.

W pensjonacie odnalazł mnie jakiś człowiek. Podał mi bez słowa skórzaną torbę myśliwską, jakbym na nią czekał. Wziąłem, ale nie otworzyłem jej. Potem sięgnąłem do tylnej kieszeni spodni po derringera, ale przypomniałem sobie, że go sprzedałem. Mężczyzna miał cofnięty podbródek i czterodniowy zarost, a na głowie ściągnięty na oczy przegniły kapelusz. Wyglądał jak pomocnik grabarza.

– Spotkałem niedawno Shera Washburna – powiedział. – Wspomniał, że jeździł z tobą, a ja znam, zdaje się, twoje nazwisko. Zmiarkowałem, że mam je nawet gdzieś zapisane. – Przyglądałem się mu. – Twój tata dużo o tobie opowiadał. Wszyscy wiedzieliśmy.

– Kim pan jest?

– Przyjechałem z Nacadoch. Próbuję tam sił przy uprawie ziemi, ale trzymałem tę torbę od dawna, żeby ci oddać.

W środku była kamizelka ze skalpów. Dziesiątki skalpów, z włosami i bez, zszyto starannie razem na wykrój kamizelki. Wszystkie były ciemnowłose.

– No tak, to indiańskie – oznajmił. – Możesz być tego cholernie pewny. Pomogłem twojemu ojcu przy połowie z nich.

Uniosłem kamizelkę. Była miękka i starannie uszyta. Przypomniałem sobie Toshawaya, który miał koszulę ze skalpów. Pochowałem go

w niej.

– Mogę coś panu za to dać?

– Nie. – Pokręcił głową i chciał splunąć na ziemię, ale się opanował.

– Wyjdźmy na powietrze – zaproponowałem.

Ruszyliśmy ku obrzeżom miasta.

– Wiesz, że cię szukał, nie? Zawsze się tym martwił: czy wiesz, że cię szuka. Zgubili trop dopiero na Llano.

– Ha – powiedziałem.

– No tak, szukał cię bardzo długo.

Doszliśmy do rzeki, stanęliśmy nad nią, nie było o czym mówić. Flisacy gromadzili zapasy dla osadników w górze rzeki. Wyjąłem tytoń, podałem mu, odkroił kawałek i włożył do ust.

– Twój tata to był ktoś – powiedział. – Wyczuwał Indiańców lepiej od wilka.

– Co mu się przytrafiło?

Patrzył na wodę.

– Pamiętam te czasy, jak stało się przy tutejszym kongresie i jednym uchem słyszało bilardowe kule, a drugim wojenne okrzyki dzikich. Było tu co najwyżej ze trzydzieści, czterdzieści domów. A teraz popatrz na to...

Odwrócił się i spojrzał na miasto, gdzie mieszkały tysiące ludzi. Przewoźnik na brzegu zarabiał sporo pieniędzy od każdej przeprawy.

– Co mu się stało? – powtórzyłem.

Milczał. A ja myślałem o ojcu, który wrócił do domu, do żony i córki, a potem ruszył za nami. Wpatrywałem się w wodę. Nie czułem już strachu. Stał razem ze mną. Nigdy nie odpowiedział.





## J.A. McCullough

Wiedziała, że nie jest sama: oprócz niej w salonie był ktoś jeszcze, ktoś odpowiedzialny za jej stan. *Przeżywam własną śmierć*, stwierdziła i pozwoliła płynąć myślom. *Mroźne miejsce. Stary staw. Ale umysł*, myślała, *umysł przetrwa*. To było wielkie odkrycie, wszystko łączyło się ze wszystkim, a korzenie bieły pod ziemią. Wystarczy tylko sięgnąć. Wielki ul. Nie była sobie pewna: czuła się jak dziecko. Umysł był tylko... liczy się dusza, zawsze to powtarzali. Ciało się kurczy, kurczy się i kurczy, natomiast dusza rośnie, dorasta do takich rozmiarów, że ciało jej nie mieści. Można wznieść piramidę albo wymurować kryptę, to nie ma znaczenia, ciało kurczy się i pochyla, mieli rację, myślała. Mieli rację przez cały czas, to był błąd, największy życiowy błąd. *Musisz się ocknąć*.

Otworzyła oczy, ale nie była już w salonie, widziała przed sobą barwy, krajobraz, zieloną równinę ciągnącą się daleko jak okiem sięgnąć, ogromny kanion dryfujący wśród chmur na przejrzystym niebie. *To nie są moje wspomnienia*, pomyślała, *należą do kogoś innego*. Widziała kojota tarzającego się w rowie, czuła zapachy, słyszała dźwięki, ogarniała wszystko. Przypomniała się jej kłódka, brama, strzelający mężczyzna.

Otworzyła oczy, natknęła się na pokój, liczyła krzesła, stoły, ryciny, węgle na kominku, była z powrotem w domu w River Oaks. Hank stał przy oknie. Złościł się na dzieci. Albo na coś innego: telewizję. Strzelano do prezydenta, jego żona gramoliła się przez kanapę na tył auta.

– H.L. jebany Hunt<sup>[21]</sup> – mówił Hank. – Właśnie zabiliśmy prezydenta.

Jakiś głos, jej własny:

– Mówią, że Oswald<sup>[22]</sup> pracował dla Rosjan.

*To nie dzieje się naprawdę*, pomyślała. Hank zmarł przed JFK. Wszystko się jej miesza. Ale Hank chyba tego nie zauważył.

– Hunt wysłał na lotnisko z tysiąc osób. Mieli transparenty ZDRAJCA i WRACAJ DO DOMU, JANKESIE. Parę godzin później

zastrelili go.

– To mało oczywiste – powiedziała.

Paliło się na kominku. Hank wyglądał przez okno, ale nie wiedziała, co widział.

– Kiedy Bóg oddaje ci w ręce mnóstwo pieniędzy, wydaje ci się, że bliżej ci do niego, niż do innych ludzi.

Potem ją całował. To trwało. Nie zauważył, że jest stara i bezzębna. Potem się kochali. Usnęła i znów się obudziła. Stali przy barze.

– Mamy jakieś powiązania z Huntem?

– Nie – odpowiedziała.

– To ulga. – Sączył whiskey. – Gdyby nie był takim kmiotem, byłby niebezpieczny.

– Ty jesteś kmiotem, kochanie.

– Jestem kmiotem kolekcjonującym dzieła sztuki. Za sto lat będziemy Rockefellerami.

Oczywiście miał na myśli Astorów, a nie Rockefellerów. Albo Whitneyów. Co się tyczy ich kolekcji dzieł sztuki: połowa z tego, co kupili na początku okazała się fałszerstwami i przez resztę życia wymieniała falsyfikaty na oryginały.

Jeśli idzie o JFK: wcale jej to nie zaskoczyło. W roku, w którym go zastrzelono, wciąż żyli Teksasńczycy, którzy widzieli, jak Indianie skalpowali ich rodziców. Ziemia była spragniona. Tkwiło w niej wciąż coś prymitywnego. Na ranchu znajdowali groty Paleoindian z Clovis i Folsom, a kiedy Jezus wspinał się na Kalwarię, tu Mogollonowie rozwalali sobie łby kamiennymi siekierami. Kiedy nadeszli Hiszpanie, byli już Suma, Jumano, Manso, La Junta, Concho i Chisos, i Toboso, Ocana i Cacaxtle, Coahuiltecanowie, Comecrudowie... ale czy to oni wybili Mogollonów, czy od nich pochodzili, nikt tego nie wiedział. Ich wszystkich zabili Apacze. Których z kolei wytrzebili, przynajmniej w Teksasie, Komancze. Których z kolei wybili Amerykanie.

Człowiek, jedno życie – nie warto nawet wspominać. Wizygoci rozbili Rzymian i sami zostali najechani przez muzułmanów. Których pokonali Hiszpanie i Portugalczycy. Nie trzeba Hitlera, żeby dostrzec, że nie było w tym nic przyjemnego. A mimo to żyła. Oddychała, nachodziły ją myśli. Krew, która spłynęła w dziejach, napełniłaby każdą rzekę i ocean, ale wbrew tym wszystkim rzeziom, oto jesteśmy.

[\[21\]](#) H.L. Hunt – amerykański potentat naftowy, konserwatywny działacz Partii Republikańskiej [przyp. tłum.].

[\[22\]](#) Lee Harvey Oswald – snajper, który strzelał do prezydenta Johna F. Kennedy'ego [przyp. tłum.].



## Dzienniki Petera McCullougha

*13 lipca 1917 roku*

Minęły cztery dni, odkąd wróciliśmy z Piedras Negras. Oczywiście zauważyli naszą nieobecność – mój chandler nie parkował w nocy pod domem – ale nic nie powiedziano. Maria uważa, że przeoczono nas w tym zamieszaniu. Miasto zalali naftowi rzeczoznawcy. Obcy stają u naszych drzwi o każdej porze dnia, a przez całą noc w domu ojca pali się światło. Midkiffowie i Reynoldsowie sprzedają dzierżawy, ale ojciec nie przyjmuje żadnej ze złożonych nam ofert. Poszedłem do niego i zastałem go nagiego w stawie przy źródle. Miał zamknięte oczy. Wyglądał jak mały blady chochlik.

– Nie wiem czemu, ale wcześniej upał tak na mnie nie działał – powiedział.

– Starzejesz się – mruknąłem.

– Ty też.

– Powinniśmy sprzedać parę dzierżaw i zapomnieć o tym wszystkim.

– Ta dziewczyna ciągle jest w domu? – Nie odpowiedziałem. – Wiesz co, jakbym nie trzymał twojej matki zamkniętej na klucz, gotów byłbym przysiąc, że zrobił cię Indianin.

– Nawet byś tego nie zauważył, bo nie było cię w domu – odpowiedziałem.

Zamyślił się nad tym, a potem zmienił temat.

– Niech znajdą jeszcze trochę ropy, a potem się zastanowimy nad sprzedażą dzierżaw. – Usiadłem na kamieniach. – W porządku, synu. Jesteś dobrym hodowcą bydła. Ale nie masz zielonego pojęcia o zarabianiu pieniędzy. I dlatego masz mnie.

– Dzięki, że mi przypomniałeś.

– Policz sobie, ile warte są nasze minerały, jeśli Reynolds i Midkiff dzierżawią po sto dolarów za akr.

– Dziesiątki milionów – powiedziałem.

– To policz sobie, ile będą warte po tysiąc dolarów za akr. Albo pięć tysięcy.

- Czemu to cię w ogóle rusza? – zapytałem.
- Tak się stanie. Przez następny rok kilkudziesięciu wiertaczy i nafciarzy dowiedzie wartości naszych dzierżaw. I wtedy je sprzedamy. Chciałbym wierzyć, że się myli. Wiem, niestety, że nie.
- Co się dzieje z tą dziewczyną? – zawołał, ale już odszedłem.

Z Marią działo się to, że od wielu dni byliśmy obolali. Pierwszej nocy po Piedras Negras wymknąłem się po cichu z jej pokoju, ale wróciłem do niej przed upływem godziny i od tamtej pory staliśmy się nierozłączni.

Tego ranka obudziłem się tuż po świcie. Leżałem, wsłuchując się w jej oddech, wchłaniając zapach jej włosów i skóry, przysypiając i znów się budząc, by patrzeć na nią, skąpaną w świetle i najprzyjemniejszym uczuciu bycia wraz ze mną. Już od dawna nie widziałem cienia. Nie myślałem o zmaltretowanej twarzy Pedra ani o krzyku Any. Z czystej perwersji usiłuję przywołać te obrazy, ale nie potrafię.

Zawsze wiedziałem, że nie jestem osobą, którą się kocha. Ludzie nie widzą tego, co ja sam i wystarczy im jedno spojrzenie, by dojść do wniosku, że nie warto ufać moim sądom. Moim wielkim szczęściem, ich zdaniem, było to, że urodziłem się w tej wspaniałej rodzinie; w przeciwnym razie zostałbym jakimś skrybą wynajmującym ciemny pokój w brudnym mieście. Przychodzi mi do głowy, że Maria obudzi się pewnego ranka i ujrzy mnie takim, jakim widzą mnie inni, że jej miłość okaże się nietrwała, choć teraz sprawia odwrotne wrażenie. Widzę moje własne infantylne spojrzenie odbite w jej oczach, przyłapuję ją na gapieniu się na mnie, kiedy stoję odwrócony; budzę się i widzę, jak oparta na łokciu obserwuje mnie. Pijemy siebie, jesteśmy sobą pijani. Co się tyczy mojej tak zwanej przypadłości – która, jak przypuszczałem, była związana z wiekiem, a według Sally stanowiła kolejny dowód mojego braku męskości – zostało po niej tylko wspomnienie. Dzieje się ze mną coś niebywałego: całe ciało jest owładnięte nienasyconym pożądaniem – jej, właśnie jej (sama myśl o niej...); nie rozdzielamy się, kiedy kończymy się kochać, a ona często kładzie się na mnie i zasypia ze mną w środku.

Tego ranka czytała mi z Pieśni Salomona; ja przeczytałem jej drugi z listów Heloizy do Abelarda; mam wrażenie, że kiedy jesteśmy razem, nasze istnienie staje się transcendencją tego wszystkiego, co złe na

tym świecie, lecz kiedy teraz siedzę i myślę o tym, zastanawiam się, czy nie ma w tym jakiegoś mroczniejszego motywu: mężczyzny nawiązującego romans z kobietą, która nie jest mu równa, choć oczywiście Maria jest mi równa pod każdym względem, oprócz władzy, co oznacza, że równa mi nie jest. Może odejść, ale i nie może, bo pominąwszy nasz pokój tutaj, nie ma dokąd pójść.

- Gdzie byłeś? – pyta, kiedy wracam.
  - W gabinecie.
  - Nie było cię tak długo.
  - Już nigdy tego nie zrobię.
  - Piszesz czasem o mnie?
  - Jesteś wszystkim, o czym piszę – mówię. – Bo o kim lub o czym miałbym pisać?
  - Od kiedy?
  - Od pierwszego dnia.
  - Ale wtedy nie byłeś szczęśliwy. Może powinieneś wyrwać te strony.
  - Byłem zawstydzony – mówię.
  - Myślałam o historii twojego ojca i tych trupach... – Zastanawiam się przez chwilę: to może być dowolna historia z życia mojego ojca. Po chwili uświadamiam sobie, o czym mówi. – ...i sama chciałabym ci opowiedzieć pewną historię. Może przyniesiesz zapiski?
  - Mam dobrą pamięć.
  - Ale się lenisz.
  - Nie. Mówię prawdę. Pamięć jest moim przekleństwem.
- Przesuwa palcem po moich włosach. Wstaję i idę po dziennik, tylko dla niej. Po drodze mijam Consuelę sprzątającą sypialnię, w której nie spałem od pięciu dni. Nie podnosi głowy.

Był Coahuiltecaninem, ostatnim na tej ziemi. Jego naród był starszy od Greków i Rzymian; kiedy wznoszono piramidy, żył tu już od pięciu tysięcy lat; w oczach jego narodu wszystkie inne rasy na ziemi były jak rozbiegane mrówki, które pojawiają się, kiedy przygrzeje słońce, i giną przy pierwszym mrozie.

W końcu zima nadeszła także i dla nich. Pojawili się Hiszpanie, a po nich Apacze, którzy kontynuowali dzieło Hiszpanów, a jeszcze później Komancze, którzy kontynuowali dzieło Apaczów, aż stało się tak, że tamtego dnia wiosną 1836 roku na ziemi został tylko jeden Coahuiltecanin. Brat mojego dziadka, Arturo Garcia, ujrzał

Coahuiltecanina klęczącego na pastwisku, szukającego czegoś wokół siebie, a ponieważ Indianin okazał się na wpół ślepy, Arturo poszedł mu pomóc. Po kilku godzinach szukania w trawie i nopalu znalazł to, czego szukał – kamień z czarnego obsydianu, który, zdaniem Artura, musiał mieć nadprzyrodzoną moc. Arturo urodził się na tej ziemi, podobnie jak jego ojciec, więc wiedział, że w okolicy nie ma takich skał.

Arturo był bogatym młodym człowiekiem z *remudą* koni pełnej krwi, piękną żoną i sześćdziesięciomilowym nadaniem od samego króla Hiszpanii. W domu miał wiele sreber, dzieł sztuki, rodzinnego oręża, gdyż jego ród parał się w dawnych czasach rycerstwem. Każdego ranka budził się przed świtem i przyglądał się wstającemu słońcu, oświetlającemu jego ziemię i dzieła, i to wszystko, co zostawi synom. Arturo był gorąckrwistym mężczyzną, zasłynął tym, że wycinał serca swoim wrogom, ale był również takim człowiekiem, który – choć miał stu pracujących dla niego ludzi, małe miasteczko pod opieką, piękną żonę i czworo dzieci – potrafił pomóc staremu Indianinowi szukać zagubionego kamienia.

Oczywiście nie wierzył we wróżów i przepowiednie, nie był ciemnym wieśniakiem. Studiował wraz z bratem na Uniwersytecie Papieskim, a jego przodkowie założyli uniwersytet w Seville. Od dziecka mówił trzema językami: po francusku, angielsku i hiszpańsku. Ale tamtego dnia nie czuł się wcale taki mądry. Amerykanie wbrew wszystkiemu wygrali bitwę z jego narodem pod San Jacinto, więc martwił się o swoich bliskich. To zwycięstwo było nieprawdopodobne. Z jednej strony stała wyszkolona armia potężnego, starożytnego imperium, nad którym nigdy nie zachodziło słońce, a z drugiej banda tępych barbarzyńców, skazańców i spekulantów. Choć Teksas był krótko otwarty dla Amerykanów, granice zamknięto w 1830 roku, a mimo to dalej napływali nielegalnie do stanu, by korzystać z wolnej ziemi, darmowych usług, niezbyt surowego prawa. Przypominało to wydarzenia na obrzeżach Cesarstwa Rzymskiego, kiedy Wizygoci pokonali rzymskie wojska. Może Bóg przeklina dumnych.

Arturo zwrócił się do wróża, czy może mu zadać pytanie, a wróż odpowiedział, że tak, choć nie gwarantuje mu, że uzyska odpowiedź. Mimo to Arturo zapytał:

– Czy stracę ziemię?

Wróż odpowiedział:

– Odejdź i nie zwracaj mi głowy sprawami tego świata. To miejsce



przepętnia duch, filozofia, natura samego wszechświata.

(Indianin nie mógł tak powiedzieć, przerywam jej).

(To, że był Indianinem ma się nijak do jego mądrości. Kładzie mi palec na ustach).

Tamtej nocy Arturo nie mógł zasnąć, myśląc o wszystkim, co ma do stracenia. Następnego ranka wrócił do wróża.

– Wróżu, czy stracę ziemię?

Na co wróż odpowiedział:

– Masz najlepsze konie na obszarze pięciuset mil, największy dom, najpiękniejszą żonę, starożytne dziedzictwo i czterech zdrowych synów. Ja jestem ślepym Indianinem bez grosza przy duszy. To ty powinienesz udzielać mi odpowiedzi.

– Ale ty jesteś mądry.

– Jestem stary. Tak stary, że pamiętam, jak bawiłem się w twoim domu, zanim tutaj stanął.

– Musisz się mylić – odpowiedział Arturo. – Ten dom stoi tu od blisko stu lat.

– Mimo to pamiętam. Była tu wielka skała, na której sypiałem z żoną i dziećmi, bo skała była ciepła, nawet zimą, jakby sięgała do samego środka ziemi. Musiała zostać stąd usunięta, bo rosła, przybywało jej trochę każdego roku.

Arturo wiedział, że była taka skała. Jej wierzchołek wysadzono w powietrze, a na tym, co z niej zostało wzniesiono dom. Ale wraz z upływającymi latami skała rzeczywiście rosła: pękały otynkowane ściany, wypaczały się wszystkie posadzki, a kamień położony na środku pokoju staczał się pod ścianę. W końcu zerwano posadzki, wyrąbano i wydłutowano skałę, ale Indianin nie mógł o tym wiedzieć.

– Starcze – odezwał się Arturo. – Wyświadczyłem ci przysługę, odwdzięcz mi się tym samym. Zachowam ziemię czy nie?

Stary Coahuiltecanin wstrzymał oddech na dziesięć minut. A potem powiedział:

– Nie spodoba ci się moja odpowiedź.

– Tak podejrzewam. – Indianin kiwnął głową. – Muszę to usłyszeć.

– Przykro mi, ale nie zachowasz ziemi. Ty, twoja żona i wszyscy twoi synowie zginiecie z rąk *Anglo*.

Tamtego wieczoru Arturo stanął na *portico* i przyglądał się bawiącym się w trawie synom, stojącej w pobliżu pięknej żonie i wielkim pastwiskom, na których *vaqueros* i ich rodziny zajmowali się jego stadami. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego ktoś taki jak on, człowiek

dobry, musi ścierpieć tak straszliwe przeznaczenie i tej samej nocy wyjął ze zbrojowni najstarszą broń rodu, *alabardę*, która walczyła z Maurami, Francuzami i Holendrami, i naostrzył ją tak, że przecinała włos na pół. Rano poszedł tam, gdzie koczował stary Coahuiltecanin i jednym cięciem pozbawił go głowy. Odcięta głowa potoczyła się po ziemi, a kiedy się zatrzymała, spojrzała na Artura i rzuciła klątwę.

(Ale płuca! – mówię. Bez płuc nie ma powietrza i...)

(Palec znów dotyka mych warg).

Po kilku miesiącach Arturo, zachowując największą ostrożność, wysłał rodzinę do Mexico City. Lecz zanim powóz stanął nad rzeką, napadli na niego biali z pospolitego ruszenia, którzy dopuścili się niewyobrażalnych okrucieństw na umierającej żonie Artura i zamordowali jego czterech synów. Postanowił, że już nigdy się nie ożeni.

W roku 1850, po drugiej wojnie<sup>[23]</sup>, pojechał do Austin i zapłacił wszystkie podatki gruntowe, a ponieważ posługiwał się angielskim w mowie i piśmie lepiej od każdego z prawników w stolicy, pozwolono mu zachować posiadłość. Ale tylko w połowie, drugą natychmiast skonfiskowano, bo urzędnicy *Anglo* doszli do wniosku, że tytuł do ziemi wygasł, choć dlaczego i w jaki sposób wskazać nie potrafili.

Arturo zniknął dwadzieścia lat później, został zamordowany wraz ze wszystkimi *vaqueros*. Mój ojciec, który był jego synowcem, odziedziczył posiadłość. Mama nie chciała o tym słyszeć. Prosiła, żeby sprzedał ziemię Amerykanom.

– Ale to mordercy! – mówił ojciec.

– Lepiej sprzedać im ziemię, niż mieszkać pośród nich – odpowiadała mama.

Tata o mało nie oszalał na myśl, że miałby się wyrzec wielkich rodowych pastwisk i pół roku po zamordowaniu Artura przeniósł się z mamą tutaj. Towarzyszył mu tuzin *vaqueros*, których wynajął w Chihuahua. Dom pozostał nietknięty, rodzinny skarb wciąż nienaruszony. Przeczytawszy zapiski stryja, ojciec poszedł wykopać szkielet we wskazanym miejscu. Pochował raz jeszcze Indianina, którego głowa była rzeczywiście odcięta; pochował go w najbardziej zacisznym miejscu, pod persymonem obok źródła, odesłał go w zaświaty z dobrym nożem i woreczkiem fasoli. Był pewny, że w ten sposób zdejmie z nas klątwę i zapewni bezpieczeństwo rodzinie.

(Spogląda na mnie: – Jak wiesz, nic to nie pomogło).

[23] Mowa o wojnie amerykańsko-meksykańskiej toczonej w latach 1846-48. „Pierwszą wojną” z meksykańskiego punktu widzenia była rewolucja teksańska 1835-36, zakończona porażką sił meksykańskich nad rzeką San Jacinto i proklamowaniem Republiki Teksasu, przyjętej do Unii jako dwudziesty ósmy stan w roku 1845 [przyp. tłum.].



## Eli McCullough

1854-1855

Tamtej zimy nie posłano nas nad granicę, ale na północ do patrolowania przełomów od rzeki Washita do Concho. Zimą Indianie zazwyczaj siedzieli cicho, ale rok wcześniej rząd osiedlił pięciuset niechętnych Komanczów nad Clear Fork, dopływem Brazos, a kolejne dwa tysiące Caddosów i Wacosów w większym rezerwacie położonym dalej na wschodzie.

Jak to wówczas, w rezerwatach brakowało żywności, a próby przyuczenia Indian do cywilizowanego życia białych przekonywały ich tylko o własnej wyższości. Uprawiane przez nich płody niszczyła susza albo szarańcza, a w dodatku było ich tylu ściśniętych na niewielkiej przestrzeni, że nie potrafili sobie tego wyobrazić. Uważali, że to nieludzkie. Osadnicy skarżyli się, że Indianie z rezerwatów kradną im bydło, a Indianie skarżyli się, że biali kradną im konie albo wypasają bydło na indiańskich pastwiskach. Ale nigdy nie złapaliśmy na gorącym uczynku żadnego Indianina, a białym, których łapaliśmy, nic nie mogliśmy zrobić.

Tymczasem w odległości strzału z kolta od Skarpy Caprock wznoszono domy. Osadnicy ruszyli za Belknap, Chadbourne i Phantom Hill, sto mil dalej od linii, której strzegło wojsko. Nie przejmowali się tym, że całe wschodnie Llano patroluje tylko jedna kompania Rangersów. Co się tyczy legislatywy: w oczach reprezentantów zawszeni koczownicy ani nie głosowali, ani nie zrzucali się na kampanie polityczne, więc ich problemy – traktowane po cichu jako spowodowane przez nich samych, choć niewątpliwie związane z rozwojem stanu – były ignorowane. Żadnych nowych podatków. Rangersi byli kosztowni.

Pewnej nocy w kwietniu rozbiliśmy obóz na mesie. W przeciwieństwie do innych patrolujących kompanii uważaliśmy z ogniem, rozpalając ogniska na indiańską modłę w jarach albo zagłębieniach i daleko od odbijających światło drzew. Otoczeni przez połacie ugoru, widzieliśmy

na odległość trzydziestu czy czterdziestu mil, a między dwoma płaskowyzami wiła się rzeka, wznosiły się strome wzgórza o ściętym szczycie, kamienne maczugi, opadały boczne urwiska i falujące pagórki porośnięte kępami jałowca i wiecznozielonego dębu. Ziemia się zieleniła, wzdłuż wszystkich strumieni rosły derenie i topole, brzegi rzeki porastała grama i palczatka, a całość – z czerwonymi wzgórzami, zielonymi dolinami i ciemniejszym niebem – była przyjemna dla oka. Wielka Niedźwiedzica wznosiła się wysoko na niebie, a choć od pół roku nie schwytaliśmy ani jednego Indianina, na dworze robiło się cieplej i nikt więcej nie odmroził już sobie paluszków. Szykowaliśmy się do spania, kiedy na wschodzie zajaśniała poświata, wydobywająca się z jakiejś niedużej dolinki i nasilająca się, gdy się w nią wpatrywaliśmy. Pięć minut później konie były już osiodłane i wyruszyliśmy przez mesę ku płomieniom.

Dom jeszcze się palił, kiedy tam dojechaliśmy. W progu leżało zwęglone oskałpowane ciało. Rozpoznaliśmy, że kobiece. W zaroślach znaleźliśmy mężczyznę przeszytego strzałami. Strzały miały dwa rowki, a odciski mokasynów zwęzły się ku czubkowi, więc wiedziałem już, że to Komancze. Gospodarstwo nie mogło znajdować się tu od dawna, słupki w corralu nadal ociekały sokami; obok wznosiła się rama wędzarni i stajni. Yoakum Nash znalazł srebrny medalion, a Rufus Choate kozik, więc napiwszy się wody ze strumienia i przeszukawszy dokładnie gospodarstwo, odjechaliśmy, tropiąc Indian. Ich ślady były całkiem wyraźne, a po przejechaniu mili, znaleźliśmy zaczynające dopiero sztywnieć ciało chłopaka z rozbitą czaszką. Kiedy dojechaliśmy do rzeki, ślady krzyżowały się w każdym możliwym kierunku, więc kapitan kazał mi jechać z przodu. Wszystko to było zbyt oczywiste. Wprowadziłem oddział do wody i brodziliśmy środkiem rzeki aż do długiego skalistego brzegu. Wiedziałem, że tu wyjechali i nie pomyliłem się: tam, gdzie skończyły się skały, zaczęły się ślady koni. Trawa była wysoka, a tropy wyraźne, ale było ich za mało. Prowadziły na skarpe, na którą – jak zakładali inni – Indianie mogli się wspiąć, żeby pilnować tyłów, ale było na to za wcześnie, więc poprowadziłem oddział z powrotem do rzeki. Straciliśmy kolejne pół godziny. Potem znaleźliśmy jasnoniebieską sukienkę na skalistym brzegu. To musiała być sukienka jakiejś dziewczyny, bo byłaby za mała na spaloną kobietę – wysoką i tęgawą.

– Wygląda na to, że ktoś ocalał – powiedział kapitan.

– Może – mruknął McClellan. Był porucznikiem. – Albo rzucili ją

w krzaki jak tamtego.

Wiedziałem, że dziewczyna żyje. Zabrali ją razem z bratem, ale okazał się za mały albo zbyt płaczliwy czy hałaśliwy, a ona była na tyle mądra, że szybko się uczyła, mimo tego, co jej zrobili przed przywiązaniem do konia.

Staliśmy na obu brzegach przez kolejną minutę, zbierając myśli, rozglądając się po skalnych maczugach, kanionach, wysokiej trawie i cedrach. Indianie mogli być wszędzie. W takiej okolicy jak ta nie trzeba było być Napoleonem, żeby zastawić zasadzkę, więc doszliśmy do wspólnego wniosku, że najlepiej będzie zostać na otwartej równinie wzdłuż rzeki. Po kilku następnych milach dojechaliśmy do zakola zarośniętego gęsto przez topole. Coś działo się ze światłem. Za naszymi plecami wschodziło słońce. Pojechaliśmy przodem z kapitanem i każdy z nas wyciągnął lunetę. Jakieś pięć mil dalej wzdłuż czerwonych skał widać było plamki.

– Widzisz konie?

– No.

– Wiedzą, że ich ścigamy?

– Nie sędzę.

Wschodzące słońce świeciło im w oczy, ale zawróciliśmy i wjechaliśmy w krzewy, starając się, by osłaniały nas ścięte pagórki i drzewa. Pogoniliśmy konie. Lecz kiedy spojrzeliśmy na nich ponownie – tym razem ze szczytu niewielkiego płaskowyżu – byli dalej niż poprzednio.

W południe konie robiły już bokami. Komancze dwa razy zmieniali wierzchowce, a kapitan wiódł nas brawurowo przez wąskie jary i gęstwiny w pełnym cwale.

– Nie chcą walczyć – powiedział. – Chcą tylko uciec.

Zbliżyliśmy się tymczasem do Llano, a ugory zwięziły się do jednego kanionu o szerokości kilku mil. Ze szczytów ścian odrywały się skalne bloki wielkości budynków sądów. Wszędzie rosły lasy skamieniałych pni i bierwion, a ze skalnych półek przyglądały się nam stada widłorogów. Indianie będą musieli się wspinać.

Zbliżaliśmy się do ujścia kanionu i kiedy wyjechaliśmy z kępy topoli, ujrzeliśmy ich przed nami: byli oddaleni zaledwie o pół mili, ale sześćset stóp wyżej. Jeden z nich odwrócił się i pomachał nam. Patrzyłem na nich przez lunetę. To był Escuté. Nie widziałem dobrze jego twarzy, ale poznałem go po prostych plecach, zdeformowanej ręce i fryzurze – żaden Komancz tak się nie cesał. Byłem ciekaw, czy jest

z nim Ntutkaru. I pomyślałem, że Ntutkaru pewnie nie żyje.

A potem w dolinie rozległ się cichy trzask. Jeden z naszych miał karabin Sharpsa z dalmierzem, ale musiał sporo spudłować, bo Indianie machali do nas nadal, znikając za skalistą półką.

Po trzech godzinach jazdy w zamkniętych kanionach i ślepych zaułkach znaleźliśmy wreszcie szlak, którym pojechali. Nad naszymi głowami zwieszała się miądrzyga i jałowce, woda spływała ze skalnych półek, na które konie ledwo wskakiwały. Paru ludzi z łukami, strzelających w dół tego komina, z łatwością by nas wybiło, więc poruszaliśmy się wolno. Drżały nam ramiona od unoszenia raz po raz pistoletów. Jar kończył się ślepym zaułkiem. Na ścianie znajdowały się rysunki i ryciny: węże, tańczący mężczyźni, konie, bizona, szaman w pióropuszu, korowód roztańczonych postaci, jakie widuje się w snach. Czułem, że znaleźliśmy się w uświęconym miejscu; spodziewaliśmy się, że za chwilę ukaza się nad nami Indianie i zasypią z każdej strony strzałami.

Potem wokół rozległ się jakiś szelest czy pomruk i Elmer Pease zaczął strzelać. Reszta ukryła się za najbliższymi skałami. Nie było strzał. W powietrzu zawisł jakiś derwisz, małe tornado, choć nie było wiatru: to był indiański duch, wisiał nad nami przez długi czas, a potem cofnął się w dół kanionu, gdzie zniknął. Kapitan wyszedł zza skały i powiedział:

– McCullough i Pease, wejdźcie za tę ścianę i sprawdźcie, czy da się tam gdzieś dojść.

Godzinę później byliśmy już na Llano. Ślad Komanczów był niewyraźny, ale widoczny. Poznałem po śladach, że trzech jeźdźców skręciło na zachód, pędząc tuzin nieosiodłanych koni, które zostawiały za sobą szeroki, dobrze ubity ślad – obejście. Główna grupa podążała rzędem dalej na północ, ich ślady były niemal niewidoczne wśród tropów bizonów i skał. Myślałem o dziewczynie, którą porwali. A potem o Escuté.

– Tędy pojechali – powiedziałem, wskazując na obejście.

Po pięciu czy sześciu milach ślad się urwał. Domyśliłem się, że ciągnęli za sobą gałęzie, które odrzucili. Albo pojechali rzędem. Albo znali jakieś sztuczki, o których nigdy nie słyszałem. Zawróciliśmy po własnych śladach; traciliśmy do nich sześć godzin, a oni ciągle zmieniali konie. Zeskoczyłem z siodła i rozejrzałem się po ziemi, ignorując ślady, które zostawili na skałach – niewidoczne dla pozostałych, ale całkiem czytelne dla mnie. To tu, to tam słaby odcisk,



tu i ówdzie odpryski kamienia

– Jestem zbity z tropu – powiedziałem. Kapitan popatrzył na mnie. – Moglibyśmy się rozdzielić i sprawdzić, co się stanie.

– Nie będziemy się rozdzielać – zdecydował.

– Wiemy, że nie pojechali na zachód i na południe też nie.

– Nic nie widzisz? – zapytał. – W ogóle nic?

– Nie ma śladów – odpowiedziałem.

Nie uwierzył mi, ale nic nie mógł zrobić. Pojechaliśmy na północ wzdłuż krawędzi Caprock, spinając konie i mając nadzieję, że ujrzymy ich na horyzoncie, zanim zajdzie słońce. Patrzyłem, dokąd jedziemy. Nasz szlak odklejał się stopniowo od szlaku Escuté, aż w końcu podążyliśmy – my i on – w zupełnie różne strony.

Kapitan przestał mi później ufać, ale to nie miało znaczenia. Po dwóch miesiącach wyruszyliśmy w nieplanowaną podróż do Austin, żeby uzupełnić zapasy, a kapitan zastał żonę dokazującą z markietaninem. Pistolet kapitana nie wypalił, a kochanek zadźgał go nożem. Po pogrzebie poszliśmy do aresztu i przejęliśmy markietanina. Szeryf bez słowa oddał nam klucze.

– Nie kiwniesz palcem? – darł się markietanin, przechodząc obok szeryfa. – Pozwolisz im mnie powiesić? O tak!

Kiedy wyprowadziliśmy go na słońce, zaczął nam opowiadać, że jest jednym z nielicznych filibusterów, którzy przetrwali ekspedycję na Mier, na co odpowiedzieliśmy, że to było dawno temu i w dodatku w innym kraju, i że najwyższa pora przyznać się do porażki. W odległości paru przecznic od kapitolu rozebraliśmy go do naga, odcięliśmy mu wszystko, co miał między nogami, spętaliśmy *riatą*, a potem przeciągnęliśmy w górę i w dół prowadzącej do kongresu ulicy. Przestał wierzgać, zanim go powiesiliśmy. Uważałem, że powinniśmy go oskalpować, ale pozostali stwierdzili, że bez tego prezentuje się całkiem ładnie i nie ma co przesadzać. Poszliśmy do tawerny, gdzie wybrali mnie na kapitana. Oczekałem, aż się upiją i posną, a potem wróciłem oskalpować markietanina. Zawsze lubiłem naszego dowódcę.

Jeśli pominąć Ntutkaru i Escuté, dobrze wiedziałem, komu jestem winny lojalność: najpierw każdemu innemu Rangersowi, a potem sobie – w takiej kolejności. Toshaway miał rację: trzeba kochać innych bardziej niż siebie, bo w przeciwnym razie czeka nas zguba – albo od środka, albo z zewnątrz, to nie ma znaczenia. Można rżnąć i plądrować, pod warunkiem że robi się to dla ludzi, których się kocha,

inaczej nie. Komancze nie mieli wyrzutów sumienia: wszystko, co robili służyło przyjaciołom, rodzinom, szczepowi. Wojenne rozterki są przypadłością białych, którzy walczą w armiach z dala od domu, dla ludzi, których nie znają. Istnieje mit o Dzikim Zachodzie mówiący, że stworzyli go i rządili nim samotnicy – było akurat na odwrót. Samotnik jest psychicznym słabeuszem – tak to widziano i traktowano go podejrzliwie. Nie dało się przeżyć za długo, jeśli ktoś nie osłaniał nas z tyłu, a wszyscy – Indianie i biali – widząc w nocy obcego, zapraszali go do ogniska.

W Rangersach ludzie przychodzili i odchodzili. Nie zawsze wybierali mnie na kapitana, ale miałem stałe miejsce w patrolach. Zajmowałem się rekrutami, starymi i młodymi, i widziałem przed sobą jasno wytyczony cel: każdy rok taki sam jak poprzedni, miały zmieniać się tylko twarze, które składałem do grobu albo poklepywałem na pożegnanie. Dbałem o ekwipunek, znosiłem rewolwery do rusznikarza, ogłowie i siodła do rymarza, kupowałem nową koszulę i spodnie, a potem sprzedawałem nadania ziemi za konia, whiskey lub coś pożytecznego. Goliłem półroczny zarost, dowiadywałem się, jaka kompania wyrusza na następną zmianę i dopisywałem swoje nazwisko do listy.



## J.A. McCullough

Było ciemno, głośno, nie wiedziała gdzie jest, słyszała tylko szum wody, jakby przyptyw zamieniał się w odpływ. Spierało się dwoje ludzi: *To dziewczynka*, mówił jeden głos, *to będzie dziewczynka*, a potem drugi głos, który należał do ojca: *Tak, moja droga*. Bicie serca, wzbierający oddech. Nie mogła się poruszyć. I głosy dzieci. *Moi bracia*, pomyślała. A potem nie była już pewna. Bo słyszała głosy mówiące po hiszpańsku i w jakimś innym języku, którego nie znała, choć chyba rozumiała. Czuła pieczenie. Wysoka trawa, słońce świecące prosto w oczy, mężczyzna z ciemną brodą w lśniącym hełmie – wyglądał, jakby nie wiedział, co robić. Podszedł i znów coś w nią wbił. Chwyciło. Wyciągnął i spróbował raz jeszcze – teraz przeszło na wylot, a mężczyzna i słońce stali się tylko czarnymi plamami.

Otworzyła oczy. Znów była w wielkim salonie. *Były inne życia przed tym*, pomyślała. Poczowała ulgę. To był początek czegoś, a nie koniec, myliła się przez cały czas, myliła się przez całe życie. A potem to zniknęło. Wymyśliła to sobie. Umysł wymyśla sobie historie. Cokolwiek, co nie obejmuje jego własnego końca. Dom zniknął, wiało pyłem, mogła zajrzeć w gwiazdy... Zmusiła się do powrotu do własnych myśli.

Ciężarówka jechała za szybko, zarzucało ją na zakrętach, jakby kierowcy wydawało się, że jedzie po asfalcie, a nie po wiejskiej drodze. Coś było nie tak, od razu się domyśliła, choć pojazd wciąż nie był większy od plamki, oddalony o milę albo więcej, ciągnął za sobą olbrzymi tuman. Komuś coś się stało, to jasne. *Tylko niech to nie będzie Hank*. Czuła to bardziej niż pomyślała. Stała w wielkim pokoju i wpatrywała się w nadciągający tuman. *Jeśli to nie Hank, nie opuścę żadnej niedzieli w kościele*. Może to przesada, absurdalna obietnica, najpewniej skończyło się im piwo. Mimo to miała przecucie. Podniosła słuchawkę i zadzwoniła po doktora, zanim ciężarówka nadjechała, zanim się upewniła.

– Mówi Jeannie McCullough – odezwała się. – Przypuszczam, że komuś coś się stało u nas. Zdaje się, że polowali na ptaki.

Wyszła na werandę. Któryś *vaquero* zobaczył co się święci, jechał ku bramie, by przejąć ciężarówkę. Zsunął się z konia i otworzył bramę na oścież, ciężarówka przemknęła przez nią, a Jeannie czuła teraz, że popełniono błąd, że *vaquero* nie powinien jej tutaj wpuszczać. Nagle zrobiło się jej bardzo zimno i chciała pójść na górę. Kiedy pick-up stanął pod werandą, zbiegła na dół. W kabinie był Hank i jeden z ludzi od ubezpieczeń. Poczowała ogromną ulgę, było jej głupio, *dzięki Boże, dzięki Boże*, uśmiechała się, była śmieszna, ale wtedy z samochodu wyskoczyło dwóch mężczyzn i przekonała się, że się pomyliła.

Stała za samochodem. Leżał na nim Hank z twarzą białą jak kreda, w nasiąkniętej ciemnej koszuli, wszędzie na lakierze jaskrawe odciski dłoni, na wszystkich oknach, trzeci z mężczyzn trzymał Hanka w ramionach i płakał. *Nic nie szkodzi*, pomyślała, *ma w sobie znacznie więcej krwi*. Wskoczyła na pakę, wszędzie walały się martwe kuropatwy, mężczyzna nie chciał puścić Hanka, trzymał go bardzo mocno. *Kochanie*, powiedziała, *kochanie, słyszysz mnie?* Miał zamknięte oczy, ale je otworzył. Przyłożyła policzek do jego policzka, ktoś mówił, że jest im przykro, że jest im przykro. *Hank, to ja. Otwórz oczy*. Otworzył, zobaczył ją. Chciał się uśmiechnąć, ale nie zdołał. Coś zmieniło się w jego oczach.

Po kilku chwilach nadbiegł pies Hanka. Przebiegł całą drogę z terenu polowań na przepiórki, wskoczył na ciężarówkę i zaczął lizać twarz swojego pana i szczekać, chciał go ocucić, ciągnął za rękaw i szczekał. Nie dał się odepchnąć.

– Zabierzcie stąd tego pierdolonego psa – to ona. – Niech ktoś zabierze tego pierdolonego psa.

Pointer ugryzł kogoś w rękę, a potem znów lizał policzek Hanka, szczekanie nigdy się nie skończy, wreszcie ten facet od ubezpieczeń złapał psa wpół i zniósł z ciężarówki.

– Ciiii – ktoś mówił. – Ciii, ciiii, ciii.

Nie wiedziała, czy mówią do niej czy do psa Hanka. *Nie*, pomyślała. *Nie, nie, nie*. Nie chciała się nad tym zastanawiać. Żałowała, że nie trafił jej szlag, zanim wyjrzała przez to okno. Pointer nie opuścił jej na krok. Wszędzie z nim latała, a osiem lat później, kiedy w końcu zdechł, obezwładnił ją żal, nie była w stanie chodzić do pracy, czuła się tak, jakby Hank umarł po raz drugi.

Był wielkim człowiekiem. Niektórzy ludzie właśnie tacy się rodzą, jakby spoczywała na nich ręka Boga, Hank był właśnie taki. Straciwszy go... o mało nie umarła. Kiedy do niej mówiono, topiła się

pod wodą. Słyszała i nie słyszała ich. Myślała o czymś zupełnie innym. Wciąż czuła ból, wciąż wiedziała, że żyje. Czy to prawda, co mówią, że jest się jak motyl rozprostowujący skrzydła: jednego dnia fruwa się po świecie, następnego już nie. Nie miała pojęcia. Nie chciała zapomnieć. *Chcę pamiętać, myślała. Będę pamiętać będę pamiętać będę pamiętać będę pamiętać.*



## Dzienniki Petera McCullougha

*22 lipca 1917 roku*

Na pastwiskach Reynoldsów i Midkiffów rozpoczęto wiercenia. W mieście wszystkie pokoje zajęte. Ulice pełne ludzi, ciężarówek, wózków, stert sprzętu. Niektórzy śpią w namiotach albo rowach. Niles Gilbert wynajmuje swój chlew za osiemdziesiąt dolarów na tydzień. Jak zwykle spodziewam się wybuchów niezadowolenia z powodu naszej ogromnej fortuny. Jest, rzecz jasna, na odwrót. Ludzie traktują nasze powodzenie jak swoje, jakby czynsz za chlew nie różnił się od kilku milionów dolarów za ropę.

I przez pewien czas wszyscy *rzeczywiście* zarabiają pieniądze. Sprzedają odzież, stare narzędzia, żywność, wodę, pokoje, wypożyczają samochody, ciężarówki, muły i wózki, końskie zaprzęgi, a nawet tylne podwórka. Grover Deshields przestał uprawiać pole, a zamiast tego jeździ po okolicy traktorem i za dziesięć dolarów (to w tych czasach tygodniówka) wyciąga z błota ciężarówki na polach naftowych. Krążą plotki, że nocami sam dolewa wody do błota. Kiedyś ten boom się skończy. Ale nie dla nas. Mamy teraz cztery wiertnie w różnych stadiach zaawansowania – wszystkie widać zza domu. Wiertacz ojca nie jest tym specjalnie przejęty, uważa, że niedługo stanie tu ze sto szybów albo i więcej. Uważa tak, choć najbliższe złożę ropy odkryto w Piedras Pintas. Są też pola Riesera i Jenningsów, ale na nich odkryto tylko gaz.

Co się tyczy Marii: przestałem już udawać, że jeżdżę na pastwiska. Sullivan odnajduje mnie wieczorami i składa raport z wydarzeń w ciągu dnia. Kilka razy o mało nas nie przyłapał... Myślałem, że z czasem to zauroczenie mi przejdzie, ale jeszcze się nasiliło. Każda godzina, której nie spędzam u jej boku sprawia, że nie mogę myśleć o niczym innym. Zapominam nazwiska ludzi, zapominam, co mam zrobić, zapominam, po co w ogóle żyję.

Chcę wiedzieć wszystko. Uczę się świata jak dziecko – smakując...



Chcę wziąć do ust każdą jej część. Rozmyślam o jej dawnych kochankach, o siostrach, ojcu, matce; kim była na studiach, skąd się wzięły jej poszczególne części.

Budzę się przed świtem, jeszcze śpi, odprężona, z rękami nad głową, z twarzą wtuloną w pachę, z podkurczonymi kolanami, jakby usnęła na plaży... Słońce rozjaśnia się i dotyka jej gładkiej skóry na szyi (z czerwonym śladem moich ust), ucha, wgłębienia za policzkiem, podbródka (dosyć ostrego), warg (lekko spierzchniętych). Jej oczy, które są niemal czarne, wyjąwszy kilka złocistych plamek, poruszają się we śnie. Nie budząc się, czuje, że nie leżę obok niej, więc wyciąga rękę i przyciąga mnie do siebie.

Cień ciągle się nie pojawił. Zacząłem zaglądać kątem oka w najciemniejsze zakamarki i nic... Pedro... teraz pamiętam jego twarz jako młodszego mężczyzny, i Lourdes, również młodsza i piękniejsza, jakby oboje młodnieli w moich wspomnieniach.

*23 lipca 1917 roku*

Napływ powietrza z północy, powyżej osiemdziesięciu stopni. Budzimy się rażni i przytomni – musimy być na dworze. Ponieważ istnieje niepisana umowa o przebywaniu w pobliżu ziemi Garciów, pakujemy koszyk do chandlera i jedziemy do Nuevo Laredo. Prowadzę, a María prowadzi moje dłonie, aż musimy się zatrzymać po drodze. Zastanawiam się nad tym, że nigdy tego nie robiłem: nie kochałem się z kobietą poza ścianami sypialni. Ciekawe, czy ona to robiła, czuję ukłucie zazdrości, choć wcześniej nic nie miałem do jej dawnych kochanków, ale zazdrość mija i znów jestem ukontentowany. Brzydota Nuevo Laredo trochę mnie przerasta.

– Tu nie jest ładnie – mówię.

– Dzięki nam będzie pięknie – odpowiada. Opiera głowę na moim ramieniu.

Szukamy jakiejś *cantina* (albo hotelu, przypomina mi), ale kiedy zbliżamy się do *plaza de toros*, spotykamy kilku pijanych, dobrze ubranych Amerykanów, nagabujących głośno meksykańskie dziewczęta. Jeden z nich zagląda do samochodu, mówi coś do kolegi o Marii. Naciskam hamulec, żeby się z nim rozmówić, ale María każe mi jechać dalej. Robimy kolejne kółko przez miasto, mijamy Alma

Latina, gdzie siedzi tercet *mariachi*, którzy nie mają dla kogo grać, a potem zauważamy jednocześnie te wszystkie *congales* i postanawiamy pojechać nad rzekę.

Odjeżdżamy spory kawałek od miasta i zatrzymujemy się na niedużym pagórku, z którego roztacza się dobry widok na sawannę. Na wzgórzu rośnie stary rozłożysty dąb, a pod nim miękka trawa. Leżymy na kocu, patrząc na nieskończone połacie ziemi i nieba, a María mówi:

– Lubię wyobrażać to sobie na początku czasów, kiedy wszędzie rosła wysoka trawa, po której pędziły mustangi.

– Ale konie są tutaj dopiero od kilkuset lat – mówię.

– Nie chcę o tym pamiętać.

– Musisz wyobrażać sobie bizony.

– Tylko że bizonów nie da się lubić – odpowiada. – Jaki sens mają bizony? – Wzruszam ramionami. – No, dobrze. Skoro wolisz bizony, będę je sobie wyobrażać, choć są włochate, śmierdzące, nieeleganckie i mają rogi.

– To jest ich kraj – mówię.

– W mojej wyobraźni to jest również kraj mustangów. Bo jeśli nie, to i nie mój. A jeśli nie mój, to i nie twój. W twoim świecie są tylko bizony i smutni Indianie.

– I rycerski Hiszpan na koniu. Który strzela do Indian.

– To prawda. Jestem hipokrytką. – Całuję ją w szyję. – Mój ojciec uważał, że po tej ziemi nadal cwałują mustangi. Mówił, że często widuje ich ślady, bez podków.

– To możliwe – stwierdzam.

– Często mi się śniły.

Przypominam sobie wszystkie mustangi, które zastrzeliliśmy. Ale Pedro też do nich strzelał. Każdy to robił. Rozglądam się. U stóp wzgórza płynie strumyk, który wpada do Rio Bravo. Nad wodą rosną persymony, derenie i pekany, cedrowe wiązy. Słyszę nawoływania zielonych modrowronek. Leżymy i kochamy się w słońcu, choć widzimy z daleka robotników na polach cebuli nad rzeką. María uważa, że wyglądają malowniczo. Jest mi ich żal, nic na to nie mogę poradzić.

– Jesteś pewny, że chcesz być ze mną? – pyta. – Może wolałbyś rewolucjonistkę? – Całuję ją. – Jestem stara i sentymentalna.

– Młodsza ode mnie.

– Kobiety starzeją się jak psy. – Spoglądam na nią. – Nawet ja. – Wzrusza ramionami. – Ale póki co rozgrzało nam się wino.

Wstaje i schodzi z pagórka, by włożyć butelki do strumienia. Martwię się, że nadejnie na rozłupnię buzdyganka, ale ma podeszwy twardsze od moich. Widzę, jak znika za wzgórzem, kołysząc drobnymi biodrami, widzę blizny na jej plecach, upięte na czubku głowy włosy.

Nie ma jej przez kilka minut. Przypuszczam, że się załatwia, ale kiedy nie wraca, postanawiam sprawdzić. Zastanawiam się, czy wciągnąć buty, ale nie robię tego, schodzę w wysokiej zbrązowiałej trawie, myśląc o węzach, rzepach i kolcach. Leży w strumieniu. Ma rozpuszczone włosy, które ją opływają, pod sobą białe kamienie. Stawiam trzy albo cztery chwiejne kroki, a ona podnosi głowę.

– Zawsze lubiłam świeże powietrze – mówi.

Klepie powierzchnię wody jak nasze łóżko. Kładę się obok niej. Jestem blady i piegowaty, opalony tylko na rękach, porośnięty rzadkim włosiem... ale przestaję o tym myśleć. Leżymy jak pierwsi albo ostatni ludzie na ziemi, słońce świeci prosto na nas, woda jest zimna, każda czynność ma wiekopomne znaczenie, jesteśmy jak dzieci, które wiedzą, że poza nimi nie ma nikogo. Wdrapujemy się na wzgórze na koc. Słońce nas osusza, Maria wtula się we mnie i zasypia. Niczego nam nie brakuje. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek czułem się tak szczęśliwy, a potem myślę o ojcu i zastanawiam się, czy on czuł kiedyś takie szczęście. Jeśli w młodości, to nic o tym nie wiem. Jest jak mój brat, jak broń wycelowana w sam środek świata.



## Eli McCullough

Nasza misja dobiegła końca w roku 1860. Stan był podzielony w sprawie secesji, plantatorzy i wszyscy, którzy czytali gazety opowiadali się za, reszta była przeciw. Ale rebelianci potrzebowali Teksasu: bez naszej bawełny, wołowiny i portów Konfederacja nie mogłaby przetrwać.

Tamtego lata spłonęło Dallas. Jak w spisku proroków, z pożarami związana była seria nadprzyrodzonych wydarzeń. Pierwszym cudem było to, że wszystkie budynki były puste, nikomu nic się nie stało, choć podpalono całą przecznicę. Drugim cudem okazał się brak świadków. Trzecim i ostatnim brak sprawców, choć abolicjoniści niczego tak nie uwielbiali jak brzmienia swoich głosów i za każdym razem, kiedy w Kansas spalił się ciągnięty przez woły wóz albo mydlarnia, dziesiątki wolnomyślicieli brały za to na siebie odpowiedzialność i zgłaszało się, żeby ich powiesić za zbrodnie. Plantatorzy spalili własne domy, żeby wprowadzić nas do wojny, lecz zanim następnego dnia wstało słońce, ich gazety obwinały zbiegłych niewolników i jankesów o podpalenie miasta; następnym celem podpalaczy miał być cały Teksas, który zamieni się w zgliszcza zaraz po tym, jak zgwałcą wszystkie białe kobiety.

Pod koniec lata większość Teksaszczyków była pewna, że jeśli zniesie się niewolnictwo, całe południe ulegnie afrykanizacji, żadna bogobojna kobieta nie będzie bezpieczna, a mieszanie się ras będzie na porządku dziennym. Choć na tym samym oddechu ludzie ci mówili, że wojna nie ma nic wspólnego z niewolnictwem. Bo chodzi w niej o ludzką godność, samostanowienie i wolność samą, inaczej mówiąc, o prawa stanów. Ta wojna miała nas uwolnić od wtykania przez Waszyngtona nosa w nasze sprawy. Nieważne, że nie pozwolił wcielić nas na powrót do Meksyku. I nieważne, że bronił nas przed Indianami. Warto przy tym zauważyć, że nawet wtedy nikt nie zakładał, że niewolnictwo będzie trwało w nieskończoność. Większość była przeciwko niemu, nie tylko w Ameryce, ale i na świecie. Ale plantatorzy doszli do wniosku, że jeśli uda im się je utrzymać jeszcze przez jakieś dwadzieścia lat,

warto o to walczyć. Właśnie wtedy obudził się we mnie duch posiadacza. Bycie nic nieznaczącym człowiekiem nie miało sensu.

Po głosowaniu nad secesją stan zaczął się wyludniać. Połowa znanych mi Rangersów wyjechała do Kalifornii – nie mieli zamiaru umierać po to, żeby bogaci mogli trzymać Murzynów. W ich ślady poszli ci wszyscy Tekszańcy, którzy kiedykolwiek zająknęli się niepochlebnie o serwokracji, plantatorach, czy byli podejrzani o głosowanie na Lincolna. Mnóstwo secesjonistów również wyjechało. Nad wieloma zmierzającymi na zachód, jak najdalej od wojny, karawanami wozów powiewała dumnie flaga Konfederacji. Ludzie ci opowiadali się za wojną, o ile sami nie musieli w niej walczyć, a ja od tamtej pory uważam, że właśnie to stało się główną przyczyną takiego a nie innego kształtu Kalifornii.

Nie byłem bezkrytyczny wobec niewolnictwa, ale kondycja ta wydawała mi się całkiem naturalna: biali mieli niewolników, Indianie mieli niewolników, a jak powiada Pismo: „będziesz korzystał z łupu twoich wrogów, których ci dał Pan, Bóg twój<sup>[24]</sup>”. Oblicza Chrystusa i jego matki widniały na niejednym mieczu, a wszyscy bohaterowie Teksasu zyskali sławę podczas wojny z Meksykiem. Wojna stała się dla nich przepustką do wieczności, nie rozumiałem, dlaczego teraz miałyby być inaczej.

Tych, którzy nie ustawiali się w kolejce do teksańskiej kawalerii, wcielano do piechoty i natychmiast wysyłano na wschód, więc każdy mężczyzna przy zdrowych zmysłach, który nie miał konia, starał się go wyprosić, pożyczyć albo ukraść. Zaciągnąłem się do Strzelców Konnych pod dowództwem McCullougha (zbieżność nazwisk), pod Sibleyem wysłano nas do Nowego Meksyku, żeby odbić go z rąk federalnych.

Od samego początku wszystko szło nie tak. Nasz dowódca, pułkownik Sibley, poważnie nudził się w marszowym eszelonie i po kilku tygodniach wycofał się na posłanie w wozie dowodzenia, wraz z dwoma kurwami i baryłką podrzędnej whiskey. Demokratyczni ekstremiści, znani jako „połykacze ognia”, podnieśli wrzask, bo wyobrażali sobie, że walczymy o ludzką godność i uwolnienie spod jarzma elit z północy, ale gdyśmy zarekwirowali parę innych burdeli na kółkach, skargi ustały. Reszta z nas przezwalała się CeBami – czarnuchami bogatych – na cześć tych niepokornych dusz, które natchnęły nas do walki o wolność. Co się tyczy Sibleya: dopóki dzielił się z nami swoją whiskey, zostawialiśmy go w spokoju.

W gazetach pisali, że z łatwością pokonamy jankeskich kmiotków, ale wkrótce przekonaliśmy się na własnej skórze, że była to błędna ocena. Wśród mieszkańców Nowego Meksyku nie było wielu farmerów. W gruncie rzeczy, byli to tacy sami ludzie, jak my, wychowani na polowaniach i uganianiu się za Indianami, a po kilku miesiącach zaszli nas od tyłu i spalili całe tabory. Sibley wpadł w przygnębienie i ponownie wycofał się do karetki z kurwami. Reszta z nas zagłosowała i postanowiła wracać do Teksasu. W gazetach pisali, że ponieważ w Nowym Meksyku roi się od dzikich, i tak go nie chcemy, zatem nasz odwrót należy uznać za triumf.

Richmond znajdowało się w odległości tysiąca pięciuset mil<sup>[25]</sup>. Nic dziwnego, że przeważnie zapominali o naszym istnieniu. Zaciskaliśmy pasa – nowy gubernator pojawił się na inauguracji w samodzielnym surducie – ale wszyscy mieli co jeść. Gdyby nie to, że na ulicach trudno było wypatrzeć młodych mężczyzn i gdyby nie wieści o zatopieniu jakiegoś jankeskiego statku w naszych portach, trudno byłoby się domyślić, że w ogóle trwa jakaś wojna. Awansowałem do stopnia porucznika, więc mogłem chodzić tam, gdzie chciałem, tyle że nie było specjalnie dokąd pójść. Komancze odbili mały ułamek swoich dawnych terytoriów, pogranicze cofnęło się o kilkaset mil. Na każdym wiejskim gościńcu, na którym nie czyhali Indianie, widać było jeźdźców konfederackiej Straży Krajowej. Za głowę dezerterską z armii Konfederacji płacono pięćdziesiąt dolarów, więc jeśli nie znało się osobiście strażników, zachodziło duże prawdopodobieństwo, że podrą każdą przepustkę, założą jej okazicielowi pętlę na szyję i zawiozą jego trupa do garnizonu, żeby odebrać srebrniki.

Sędzia Black miał wielkie wpływy, więc kiedy znudziły mi się koszary, przenieśliśmy się do jego domu, piłem jego bordo, spałem w jego gabinecie i zamawiałem kanapki przez kuchenną windę. Przeczytałem parę książek, ale przeważnie piłem whiskey, paliłem cygara i zastanawiałem się nad swoją przyszłością. Stało się dla mnie jasne, że życie sławnych i bogatych nie różni się specjalnie od życia Komanczów: robi się, co chce i przed nikim się nie odpowiada. Miałem zamiar skończyć wojnę jako kapitan albo major, a następnie zająć się bydlęciem lub transportem. Jedno wiedziałem na pewno: już nigdy więcej nie będę dla nikogo pracował.

Co się tyczy córek sędziego: jedna zmarła na malarię, a dwie pozostałe wciąż były niezamężne. Starsza miała dwadzieścia dwa lata, rude jak sędzia włosy, jasną skórę i mdły temperament, a poza tym

skłonność – zupełnie jak mój brat – do książek i rozmyślań. Wiązano ją z jakimś skandalem, ale nikt nie chciał o tym rozmawiać. Młodsza okazała się lepsza, przypominała najdokładniej matkę: była śniadą piękną z zamiłowaniem do luksusu i nienagannego zachowania w miejscach publicznych. Rozmyślając o nich, folgowałem sobie, ale sędzia liczył na to, że córki poślubią absolwentów Harvardu, synów Sama Houstona<sup>[26]</sup>, albo przynajmniej jakiegoś bankiera. Ja byłem tylko lichym poruczniczyką, którego czas na tej ziemi był już policzony, więc inwestowanie we mnie nie miało żadnego sensu. Zatem kiedy któreś nocy otworzyły się bezszelestnie i zamknęły drzwi mojej sypialni, obstawiałem, że to Millie, kwarteronka, która niedawno rozpoczęła służbę w domu sędziego. Podeszła i usiadła na łóżku. Spojrzałem na nią w świetle wpadającym przez okno: Madeline, starsza córka.

– Pomyślałam, że zechcesz – powiedziała.

Zechciałem. Była blada i ruda, w dodatku piegowata, ale miała wielkie zielone oczy i delikatne usta. Wszystko w niej było drobne, a choć w przeszłości przekonałem się, że całowanie tak ładnych dziewcząt jest jak gryzienie zielonej kiki, poklepałem materac, a ona położyła się obok. Miała słodki oddech, zdaje się, że po matczynej sherry. Kiedy się przekonała, że nie wykazuję żadnej inicjatywy, dosiadła mnie. Nie minęło dużo czasu, zanim zorientowałem się, że dziewictwo roztrwonila gdzieś w odległej przeszłości.

Wpadłem w popłoch jak Murzyn. Sędzia nigdy by mi nie wybaczył. W najlepszym razie kazałby mi się z nią ożenić. Należało również pamiętać i o tym, że była pijana i – jak mi się wydawało – lekko stuknięta. Kto wie, co się wydarzy, kiedy wszędzie słońce. Wyczuła moją płochliwość i położyła się na mnie. W przeciwieństwie do większości kobiet, które zgadzały się w tamtych czasach na moje towarzystwo, była miła i czysta. Przesunąłem palcem po jej włosach – cienkich jak pajęczynki: to porównanie chyba nie przypadłoby jej do gustu, więc zatrzymałem je dla siebie.

– Nie jestem dosyć ładna?

– Jesteś za ładna.

– Ale... – Dotknęła miejsca, które przypominało o mej porażce.

– Ale mam masę rzeczy na głowie – wytłumaczyłem jej.

– Bo będziesz musiał wrócić na tę obrzydliwą wojnę, którą tocymy dla posiadaczy niewolników?

– Dla Teksasu – odpowiedziałem.



– Teksas to nie Jefferson Davis<sup>[27]</sup> – zaproponowała.  
– Nie wolno tak mówić.  
– A kto mnie usłyszy?  
– Ja.  
– Nie bądź niemądry. Teksas jest wart, żeby za niego umrzeć, ale nie ci, którzy mają niewolników. A obecnie nie ma, zdaje się, żadnej między nimi różnicy.  
– Wielkie nieba, wolnomyślicielka w takim domu! – zawołałem.  
– Powiedziałam ojcu, że jest tchórzem, a jedynym powodem, dla którego niewolnictwo jeszcze trwa jest to, że tacy ludzie jak on schowali głowę w piasek. A tacy jak ty nadstawiają za to karku. Choć ty, w przeciwieństwie do niego, nie masz specjalnego wyboru. – Po chwili zapytała: – Jesteś chory na syfilis?  
– Nie – odpowiedziałem.  
– Ostrzegał mnie przed tobą, odkąd skończyłam dwanaście lat.  
– Powiedział ci, że mam kiłę?  
– Powiedział, że jeśli sprawdzę znaczenie tego słowa u Samuela Johnsona, ujrzę tam rycinę twojej twarzy. – Umilkłem. – Żartuję – mruknęła. – Byłam tylko ciekawa. Zważywszy na twoje dokonania...  
– Nie, nie mam kiły.  
– Przyszłabym do ciebie, nawet gdybyś miał. Kocham cię, a ty idziesz na śmierć. – Nie wiedziałem, co o niej myśleć. – I co? – zapytała. – Kochasz mnie?  
– Jezu... – mruknąłem.  
– Żartuję – westchnęła. – No, dobrze, pójdę już.  
– Umrę ze starości – powiedziałem jej.  
– Nie czuj się urażony.  
– Nie jestem.  
– Nie musisz się go bać.  
– Nie boję się. Obawiam się tylko, co będzie, jeśli zaczniesz spędzać ze mną zbyt wiele czasu.  
– Cóż, jestem pewna, że byłbyś zaszczycony, ale spóźniłeś się o pięć lat. O czym pewnie słyszałeś.  
Zacząła poruszać biodrami. Wsunąłem dłonie pod jej halkę. Wiedziałem, że nie postępuję właściwie. I niczym się nie wykpię. Ale, mówiłem sobie, to nadal młoda dziewczyna, a jej uczucia rozwieją się jak poranna mgiełka. Przez większość nocy kochaliśmy się z entuzjazmem, a nad ranem wróciła do siebie. Spodziewałem się, że przed wyjściem wygłosi mowę o tym, że zostaliśmy zaślubieni w oczach

Boga, bo taka była w tamtych czasach cena za figle, ale powiedziała tylko:

– Mama z tatą wyjeżdżają do San Antonio.

Tamtej nocy robiliśmy to kilka razy, a ja za każdym razem zabezpieczałem się.

– Boisz się, że będziesz musiał się ze mną ożenić – mówiła.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby się z tobą ożenić. – Do tamtej pory nawet o tym nie pomyślałem, ale to była prawda i wcale nie żałowałem swoich słów.

– Cóż, jesteś bardzo miły.

Udałem, że nie usłyszałem.

– Nic mi się nie stanie – powiedziałem po chwili. – Nie musisz się martwić.

– Naprawdę nie powinieneś tak mówić.

O mało jej nie powiedziałem, że Bóg i ja zakopaliśmy wojenny topór, choć z drugiej strony równie dobrze mógł to być diabeł. Wolałem jednak milczeć.

Kilka tygodni później dostaliśmy rozkaz wyruszenia do Kansas. Sędzia wezwał mnie do gabinetu. Był nieogolony, miał potargane włosy i domyśliłem się, że spał w ubraniu. Był dużym mężczyzną pod każdym względem i pominiawszy kolor włosów, nie wiedziałem, co mogło łączyć go z córką. Dopiero wtedy dostrzegłem, że Madeline ma jego oczy i wykrój ust, co sprawiło mi z jakiegoś powodu radość.

– Jesteś już prawie trupem – przywitał mnie. Wyjął pistolet z szuflady i grzmotnął nim o blat biurka. – Usiłowałem zmusić ją do wyznania, że nastawałeś na jej cześć, ale upiera się, że nie zrobiłeś tego. Czy to prawda?

– Tak – skłamałem.

– Mówiłem, że masz syfilis i jej twarz zostanie oszpecona na zawsze.

– To nie jest prawda, o ile wiem.

– Mówiłem jej, że zadajesz się z kurwami.

– Wyjeżdżam – oznajmiłem. – Nie musi się pan o to martwić.

– Nie martwię się o to – odrzekł. – Natomiast bardzo się martwię o córkę. Jestem, mówiąc szczerze, przerażony. Nie aprobuję tego. Lubię cię, ale nie z Madeline. Niestety ona zawsze dostaje to, czego chce. Ożenisz się z nią.

– Mam taki zamiar.

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedział. – Dobrym człowiekiem.

Nie spojrzał na mnie ani razu. Wyglądał przez okno. Wiedziałem,

czego tam szuka: chciał się dowiedzieć, kiedy dokładnie popełnił błąd. Czy wtedy, kiedy wpuścił mnie pod swój dach, kiedy wróciłem z indiańskiej niewoli, czy wtedy, kiedy ocalił mnie od stryczka w Bastrop, a może wtedy, kiedy przyjmował mnie w gościnie przez te wszystkie lata – zawsze wbrew zdrowemu rozsądkowi. Miał wilgotne oczy.

– Powiedz jakąś potworność, Eli. – Zaczął przekładać papiery na biurku, wznosić z nich schludne sterty, a potem wstał i podniósł z podłogi naręczkę książek, które leżały w tym gabinecie, odkąd tylko pamiętam. Położył tomy na półce. – Nie uczyni mojej córki wdową. – Spojrzał na tytuł książki i odstawił ją na półkę, spojrzawszy na grzbiet następnego, przeszedł parę kroków i zrobił miejsce wśród tomów.

Stałem już przy drzwiach, kiedy zawołał za mną:

– Musisz zrozumieć, że chciałem dla niej innego życia, Eli. Jesteś dobrym człowiekiem i kocham cię jak syna, ale wiem, jak będzie wyglądało wasze życie. – Dalej układał książki. – Chciałem, żeby wyszła za kogoś, kto ma dom w mieście, jakiegoś bankiera, urzędnika albo jankesa. Nie chcę, żeby zamieszkała w szałasie, umarła w połogu czy od picia skażonej wody, żeby kopnął ją koń albo żeby ją oskalpowali czy zastrzelili. – Kręcił głową. – Moja córka...

– Obiecuję.

– Nie możesz – powiedział. – Nie możesz niczego obiecać w imieniu innych ludzi.

[24] Księga Powtórzonego Prawa, 20,14, Biblia Tysiąclecia.

[25] W Richmond w stanie Wirginia mieściła się stolica Konfederacji przez niemal całą wojnę secesyjną [przyp. tłum.].

[26] Dowódca sił rewolucyjnych z czasów rewolucji teksańskiej, gubernator stanu [przyp. tłum.].

[27] Prezydent Skonfederowanych Stanów Ameryki [przyp. tłum.].



## J.A. McCullough

Wróciła do biura w Houston. Milton Bryce, w grubych prawniczych okularach, przeczesywał już włosy i doradzał, żeby złożyła ofertę na Browna i Roota. Ale nie było skąd przesyłać ropy, więc po co miałyby inwestować w firmę kładącą rurociągi?

– Ale oni budują także zapory, bazy wojskowe i tym podobne rzeczy – tłumaczył Bryce. – Mnóstwo zleceń od Korpusu Saperów. Jak wiesz, Herman Brown umarł...

– Słyszałam...

– A teraz George stara się wyjść z interesów. Teraz oznacza teraz. W tym tygodniu. – Nie spodobała się jej ta natarczywość. Przestała go słuchać. – Sprawa jest czysta i prawdopodobnie zdołasz kupić całość za czterdzieści. Gdybym sam miał tyle pieniędzy...

Zapamiętała, żeby się temu przyjrzeć, ale po kilku dniach ofertę złożył Ed Halliburton, choć jego firma wylewająca cement w szybach spadała na dno razem z resztą przemysłu. George Brown sprzedał przedsiębiorstwo za trzydzieści sześć milionów dolarów, a przed upływem dekady zyski firmy przekroczyły siedemset milionów rocznie. Budowali bazy dla wojska w Wietnamie.

To nie był jej jedyny błąd. Przez lata po śmierci Hanka czuła potrzebę kalkulowania i przekalkulowywania każdego ryzyka, jakby wszystko, co robiła oceniali inni, jakby jej najbardziej sekretne myśli miały zostać własnością publiczną. Stała się skrupulatna co do przecinka, potrzebowała mnóstwa argumentów do podjęcia każdej decyzji, przez cały czas coś czytała, przez cały czas coś rozważała. Rzadko zdarzało się jej prowadzić rozmowę, której nie przećwiczyłaby uprzednio, a czasem przekonywała samą siebie, że nawet Hank nie wytrzymałby takiego tempa. W chwilach otrzeźwienia widziała, że czegoś jej brakuje. Mężczyźni wokół zawsze byli pewni, że mają rację, nawet bez powodu. Właśnie to się liczy. Bycie pewnym wszystkiego. A jeśli popełnia się błędy, broni się swojego stanowiska jeszcze głośniejsze.

Tymczasem wszyscy ją okradali. T.J. Block, ich wspólnik przy kilku

projektach wiertniczych, wprowadził się „dla wygody” do biura Hanka. W zamroczeniu podpisała nowe dzierżawy, nie mając sił, żeby im się przyjrzeć, choć problemem był również Hank, który zawarł tyle ustnych umów, maczał palce w tylu przedsięwzięciach, złożył tyle obietnic... że nie była w stanie zapanować nad wszystkim. Nie wiedziała, kiedy ją okłamują. Płaciła dwa razy za wykonanie tych samych zamówień: betonowych drenów, wypompowywanie błota, nie potrafiła orzec, czy oszukują ją wiertacze, czy dostawcy, bo wszyscy korzystali z okazji i składano jej nawet oferty odkupienia firmy. Siostry Hanka procesowały się z nią o połowę zysków z przedsiębiorstwa, a pracownicy mieli ją za głupią: opóźniali wykonywanie poleceń, wyobrażali sobie, że nie widzi różnicy między dobrze a źle wykonaną pracą, niechętnie zabierali się za duże przedsięwzięcia, które ich zdaniem spalały na panewce. Były problemy z drenami, z cementem, z przesyłem, a sprzęt psuł się nieustannie... Przy Hanku starali się jak mogli najlepiej, przy niej mieli wszystko gdzieś.

Oczywiście zapewniali ją, że jest inaczej. Nie była pewna, czy nie zaczyna cierpieć na paranoję, czy nie brakuje jej piątej klepki. Być może to wszystko ją przerosło i powinna sprzedać firmę T.J. Blockowi, który zachowywał się tak, jakby już należała do niego. Każdy wiedział o czymś, o czym ona nie miała pojęcia. Zastanawiała się, czy jej telefon nie jest na podsłuchu.

Do tamtej pory wszyscy pracowali dla Hanka. Ona była tylko dodatkiem, śliczną blondynką i żoną, która – zamiast otworzyć gdzieś jakiś modny butik, stajnię czy coś równie sensownego – postanowiła dla rozrywki przychodzić do mężowskiego biura. Bała się, że naprawdę się załamie, zabierze dzieci i wyjedzie z Houston, wróci na ranczo, a potem jechała z Miltonem Bryce'em na lunch i zamiast zaparkować, pojechała dalej. Do końca ulicy i poza miasto, na wieś.

– I tak nie byłem głodny – powiedział.

Jechała dalej przez okolicę porośniętą wysokimi prostymi sosnami i dębami, promienie słońca padające na drogę miały zieloną barwę. Zapytała:

– Kto z całą pewnością mnie *nie okrada*?

Milczał, nie odpowiadał. Zastanawiała się, czy zwrócił się przeciw niej, jak pozostali.

– Bud Lanning nie jest zły – rzekł w końcu.

– Bud Lanning zamówił cztery tysiące stóp betonowych drenów do odwiertu o głębokości dwóch tysięcy stóp.

– Gordon Lytle?

Popełniła błąd. Przyliżał włosy.

– Co myślisz o panu T.J. Blocku?

– Jest w porządku – odrzekł Bryce. – Jeśli nie brać pod uwagę tego, że jest kłamcą i złodziejem.

Poczuła ulgę, na jej twarzy zagościł uśmiech. To szybko odeszło, bo zaraz zrobiła się wściekła. Jechali w milczeniu.

– O nic nie pytałaś – powiedział. – A donoszenie nie leży w zakresie moich obowiązków.

– Co by się stało, gdybym teraz wszystkich zwolniła?

– Musiałabyś najpierw wymienić zamki. I zatrzymać przynajmniej jedną sekretarkę. Może dwie.

Zawróciła przy wjeździe na drogę gruntową i pojechała z powrotem do miasta. Przez resztę popołudnia zwiedzali Muzeum Sztuk Pięknych. W końcu doszła do wniosku, że zje kanapkę. Lecz nawet to okazało się zbyt ambitnym przedsięwzięciem. Tego samego wieczoru wezwała ślusarzy i kazała wymienić wszystkie zamki. Kiedy rano ludzie zaczęli przychodzić do pracy, zwolniła wszystkich z wyjątkiem Edny Hinnant, sekretarki.

Nowi pracownicy okazali się lepsi, ale mimo to... żeby zyskać szacunek, musiała znać ich pracę na wylot, tak dobrze jak swoją. Jeśli nie rozumiała płytów przez pęknięcia, perforacji strumieniowej i strzałowej, różnych metod utwardzania piasku, zakwaszania i zapobiegania zamykaniu otworów... cóż, chciało jej się spać, ale miała tyle rzeczy do przejrzenia, znacznie więcej niż kiedykolwiek Hank. Znów zaczynała się wahać... bo jaki sens ma ciężka praca przy czymś, czego – zdaniem innych – nie powinna robić?

Później zdała sobie sprawę, że najzwyczajniej nie miała nic innego do roboty. Dzieci jej nie wystarczały, a od zawsze wiedziała, że w ogóle nie przypomina babki ani innych kobiet z okolicy, których życie kończyło się na kostiumach, charytatywnych kwestach i właściwym usadzeniu gości na przyjęciu. Zawsze miała jakąś wizję siebie, więc to, że inni czuli się upoważnieni do wyrażania opinii na ten temat – kim musi być – nie powinno być dla niej wstrząsem, a jednak było. Kiedy inne kobiety brały recepty na valium, ona prosiła o benzedrynę, i zawsze kiedy traciła otuchę czy chciała zostać w łóżku, albo jeść długi lunch, przypominała sobie o Pułkowniku, który pracował do dziewięćdziesiątego roku życia.

Nieskończone raporty, ćwiczenia umysłu pozwalające zachować

świeżość. Każdą widzianą przez siebie liczbę – na tablicy rejestracyjnej, na domu, na znaku – mnożyła, dzieliła, obracała nią w dowolny sposób: 7916 Oak Drive, siedemdziesiąt dziewięć razy szesnaście to osiemdziesiąt razy szesnaście minus szesnaście. Tysiąc dwieście osiemdziesiąt. Minus szesnaście. Tysiąc dwieście sześćdziesiąt cztery.

Co się tyczy mężczyzn wokół niej: byli uprzejmi, choć przeciwstawiali się wszystkiemu, co robiła. Przekonała Aubreya Stokesa, żeby sprzedał jej dzierżawę, zamiast iść z nią do wielkich koncernów, i już miała odłożyć słuchawkę, kiedy powiedział:

– Przyniosę ci po południu te papiery. Żebyśmy mieli pewność, że mówimy o tym samym. – Była zbyt zaskoczona, żeby odpowiedzieć. – To nic osobistego, Jeannie.

Ale było bardzo osobiste. W całym stanie nie było ani jednego nafcjarza, który nie uważałby własnego słowa za obligację, który nie pogardzałby jankesami i ich korowodem prawników i dokumentów. Mężczyźni, którzy wierzyli Hankowi na słowo, nie chcieli uwierzyć jej. Zachowywali się tak, jakby przyleciała z kosmosu albo z urokiem ignorowali próby rozmawiania o interesach i zmieniali temat na sprawy rodzinne, zdrowotne (żyła pod wielką presją). Nie mogli uwierzyć, że potrafi być bezwzględna czy choć skupiona, skoro natura wymagała od niej, żeby siedziała w domu z dziećmi.

Wyniosła z biura wszystkie ich zdjęcia. Nie mogła pozwolić na to, żeby ktokolwiek podejrzewał, że myśli o rodzinie, kiedy powinna zajmować się pracą; jednocześnie – choć uświadomienie sobie tego trwało znacznie dłużej – nie chciała, by zdjęcia te przeszkadzały w seksualnych fantazjach mężczyzn na jej temat. Nie chodziła z nimi do łóżka, nigdy by nie poszła, ale nie mogła im pokazywać zamkniętych drzwi. Zdjęcia dzieci w tym przeszkadzają.

Po zwolnieniu wszystkich spędzała siedem dni w tygodniu w biurze, a wiedząc, że będzie jej potrzebny ten sam Milton Bryce, potroiła jego wynagrodzenie i otworzyła jego żonie linię kredytową w Neiman Marcus. Co się tyczy jej dzieci: Tom i Ben wyczuwali, że muszą to wszystko znieść. Susan była stracona na zawsze. Chłopcy od początku byli dobrze wychowani i samowystarczalni. Susan cierpiała na kolki, a jako szkrab zawsze wślizgiwała się do łóżka Hanka i Jeannie pod pretekstem koszmarów. Kiedy miała cztery czy pięć lat, jeśli doszła do wniosku, że nikt nie poświęca jej wystarczająco dużo uwagi, sięgała po coś odpowiedniego, najlepiej wazon albo szklankę z wodą, i udając zainteresowanie przedmiotem, upuszczała go na podłogę.



Hank wiedział, jak się z nią uporać. Był cierpliwy i posiadał umiejętność szufladkowania spraw, której Jeannie nie potrafiła opanować. Jego umysł był schludnie uporządkowanym miejscem, a jeśli Susan wpadała w histerię, poświęcał jej całą uwagę, a potem zapominał o niej, wychodząc z pokoju. *Zajmuje się nią niania, nie trzeba się martwić* – tak działał jego umysł, jak zera i jedynki w komputerze. Natomiast Jeannie nawet po wyjściu do biura potrafiła złościć się na córkę przez pół dnia. Ataki hysterii dotyczyły jej osobiście, kaprysy córki boleśnie ją dotykały; w każdej rodzinie są ślady gorszej krwi, są tacy, którzy siadają i roztrząsają własne problemy, oraz tacy, którzy je rozwiązują. Kiedy Jeannie była w wieku córki, nauczyła się jeździć konno i rzucać lassem, współzawodniczyć z mężczyznami na ich własnych warunkach. Jej córka rywalizowała krzykiem i przeszkadzaniem – niemożliwa księżniczka. Przed śmiercią Hanka traktowała go jak świętego, a matkę jak kogoś z zupełnie innej bajki. Bez względu na to, co Jeannie robiła, nigdy nie wystarczało.

Oczywiście córka zachowywała się tak, jak powinny dziewczęta z Teksasu. To Jeannie była inna.



## Dzienniki Petera McCullougha

*1 sierpnia 1917 roku*

Większość wiertaczy pracowała dwa razy szybciej od Pułkownika i jego pijanych siepaczy. Z drogi widać było przynajmniej czterdzieści wiertni. Ciche noce odeszły do przeszłości. Miasto zalali nie tylko wiertacze, rzeczoznawcy i spekulanci, ale i ci, którzy budują zbiorniki, kopią rowy, kładą rury, zwożą drewno i paliwo, naprawiają narzędzia i inny sprzęt. Wszyscy pracują za dwukrotność zeszłorocznych wynagrodzeń.

Co się tyczy ofiar: za Gospodą Cabota (jak Wallace Cabot nazywa teraz swój dom) znaleziono ciało mężczyzny. W miasteczku namiotów eksplodowała bimbrownia. Wyrobnik śpiący pod ciężarówką został zmiażdżony. Nasz wiertacz twierdzi, że to pikuś. Poczekajcie, mówi, aż uruchomią resztę tych wiertni. Popłynie rzeka krwi i trupów.

Pytam Marię, co myśli o tym wszystkim. Mówi, że stara się nad tym nie zastanawiać.

*3 sierpnia 1917 roku*

Ojciec sprzedał dwieście osiemdziesiąt akrów dzierżaw pod starymi pastwiskami Garciów firmie Magnolia Oil. Prawie po tysiąc za akr. Wiertacze na pastwiskach Midkiffa i Reynoldsa trafiają w złoża kilkaset stóp pod powierzchnią ziemi, wiertnia Pułkownika (z samymi profesjonalistami) trafiła w dobre złożę ropy na głębokości ośmiuset. Chyba że ojciec podrasował wyniki. Tak czy inaczej wygląda na to, że przez następne dziesięć czy więcej pokoleń nie będziemy musieli martwić się o pieniądze. To bardzo mnie przygnębia.

Naturalnie Magnolia chce wiercić pod domem, gdzie znajduje się podobno odkryte przez ojca złożę (jedyne, z którego wypływała ropa), ale powiedziałem, że nie pozwolę na to. Ten obszar to obecnie półmilowy dół śmierdzącej czarnej mazi. Pojechaliśmy tam dzisiaj

z Sullivanem. Jest wściekły na ropę i martwi się o pracę.

– Nie mam nic przeciwko tej ropie – mówi – ale w mieście nie da się dostać szklanki wody, żeby ktoś nie żądał zapłaty.

– Ale teraz będzie nas stać na oczyszczenie wszystkiego z chwastów, przegrodzimy pozostałe pastwiska...

– Jaki sens ma odchwaszczanie, jeśli musimy patrzeć na te gówna i słuchać wiertaczy przez całą noc. Nie mówiąc już o tym, że zostawiają otwarte wszystkie bramy. – Przyglądaliśmy się rozlewisku ropy. – Myślisz, że sprzeda bydło? – zapytał.

– Nie pozwolę mu.

– Tak właśnie mówię chłopakom. Jemu zawsze coś innego chodzi po głowie, ale tobie... ty nie jesteś takim typem, który by na to pozwolił.

Zapada cisza, a ja przypominam sobie, że Sullivan nie powiedział słowa przeciwko ojcu przez trzydzieści lat, od kiedy go znam.

– Mamy dwa razy tyle sztuk, co przed dwoma laty – mówię. – I dwa razy więcej roboty. – Uświadomiłem sobie powód tego wszystkiego i skrzywiłem się. Zastanawiałem się, gdzie jest Maria.

– Ale bydło nie przyniesie tyle pieniędzy, co to gówno. Wszyscy się tym martwią.

– Nie powinni. – A potem zapytałem: – Słyszałeś już o tej dziewczynie Garcíów?

Nie odpowiedział. Nie byłem pewny, czy się zastanawia, czy mnie nie usłyszał. Jechaliśmy dalej, aż w końcu mruknął:

– Zdaje się, że wszyscy o niej słyszeli, szefie. Przynajmniej w tych trzech hrabstwach.

– To trudna sytuacja.

– Mówiąc najogólniej.

– Co się stanie z moją żoną?

– Może kopnie ją koń albo wpadnie do rzeki?

– Nigdy nie miałem tyle szczęścia.

– Fakt – mruknął. – Jeśli ktoś wpadnie do rzeki, to raczej ty.

*4 sierpnia 1917 roku*

Dzisiaj po raz pierwszy jedziemy razem do McCullough Springs. Początkowo trzyma się ode mnie na bezpieczną odległość, jakby była pracownicą, ale w końcu biorę ją za rękę. Jemy lunch w Almacitas, pijemy Carta Blancas, włączymy się po ulicach oparci o siebie. Chyba

nigdy nie czułem się lepiej. Choć jakaś część mnie zastanawia się, czy wytrzymamy napór narastającego wokół nas przyływu. Czy da się go zatrzymać miłością? To oczywiście absurd.

Wieczorem siedzimy w bibliotece, oparłem głowę o jej kolana. Pytam:

– Dlaczego nigdy nie wyszłaś za mąż? – Wzrusza ramionami. – Ale naprawdę.

– Miałam kochanków, jeśli o to ci chodzi. – Nie o to i czuję się z tym fatalnie, ale brnę dalej. – Nigdy nie oddałabym się komuś, kto mnie nie szanuje – mówi. – Wolałabym umrzeć.

– Nie mogli być wszyscy aż tak źli.

– Powinnaś urodzić się mężczyzną. – Szczypię ją w udo. – Wszyscy liczą, że będzie się na nich patrzeć z uwielbieniem, bez względu na to, co zrobili, a jeśli nie spodziewają się, że ktoś będzie prał ich rzeczy, to przynajmniej chcą, żeby ktoś pilnował tego, kto to robi. – Wzrusza ramionami. – Meksykanie są najgorsi. Zabierze cię taki gdzieś, powiedzmy, do ładnego hotelu albo na jakiś widokowy taras w górach, i pokaże wszystko, jakby sam tego dokonał. I po części w to wierzy.

– To *bravado* – mówię.

– Nieważne – odpowiada. – Wierzy w to. I dlatego nigdy nie wyszłam za mąż. I nigdy nie wyjdę. – Posłałem jej zbolące spojrzenie. Pochyliła się i całuje mnie. – Z wyjątkiem ciebie, rzecz jasna.

Wtulam się w jej podołek i obejmuję ją w pasie. Ale kiedy podnoszę wzrok, wygląda przez okno, jakby mnie przy niej nie było.

– Jest jeszcze jedna historia – mówi.

Dawno temu, tu na Pustyni Dzikiego Konia, był sobie pewien młody *vaquero*, bardzo przystojny, choć bardzo biedny; kochał się w córce bogatego ranczera *Tejano*. Ta dziewczyna, zbyt piękna, by na nią patrzeć, była marzeniem synów wszystkich ranczerów z obu stron rzeki; ubiegali się o jej rękę. Choć miała czyste serce, interesowały ją bardziej konie niż ludzie i marzyła o pewnym ogierze, który biegał w stadzie dzikich mustangów. Koń był niezwykle zarówno pod względem śnieżnobiałego umaszczenia, jak i wielkości: mierzył w kłębie szesnaście dłoni. Oprócz wspaniałej sylwetki, był wytrzymały jak paint i szybki jak koń pełnej krwi, a oprócz dziewczyny pożądał go każdy człowiek, który go widział lub tylko o nim słyszał. Ale nikt nigdy nie mógł go schwytać.

Kiedy młody *vaquero* dowiedział się, jak bardzo dziewczynie zależy

na koniu, postanowił go jej podarować. Przez wiele miesięcy śledził jego tropy i odkrywał sekrety. Potem czekał przez całą noc przy ukrytym wodopoju, a kiedy ogier się pojawił, zarzucił na niego lasso. Karmił go śliwkami, persymonem i kawałkami *piloncillo*. Powtarzał to przez wiele tygodni, aż koń pozwolił się pogłaskać i dotknąć, a potem założyć sobie ogłowie i siodło. Lecz nawet wtedy *vaquero* nie ośmielił się nań wskoczyć. Wsuwał nogę w strzemię i stał nad zwierzęciem, czekając aż koń pozwoli mu się dosiąść. W ten sposób okiełznał konia do siodła, nie okiełznując jego ducha.

Po wielu pieszczotach wyszczotkował i oporządził białego ogiera i pojechał na nim do domu ranczera *Tejano*, gdzie przywołał cicho jego córkę. Kiedy otworzyła okno, natychmiast poznała *vaquero* i konia, i wiedziała, że poślubi tego mężczyznę. Wymienili jeden niewinny pocałunek i zgodzili się, że znajdą księdza, zanim zdecydują się na cokolwiek więcej.

Niestety nie byli sami. Podglądał ich gruby synalek ranczera *Anglo*. Jeśli nie naprzykrzał się służącym, to znikał w krzakach pod oknem przepięknej *Tejana* i podglądał ją podczas ubierania i rozbierania, robiąc sobie przy tym niewypowiedziane rzeczy.

(Czy coś takiego pojawiło się w opowieści twojej mamy?, zapytałem).

(Nie odpowiedziała).

Synalek *Anglo* wrócił do ojca z nieprawdopodobną wieścią, że najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziano, ma zamiar poślubić zwykłego *vaquero*. A potem wraz z ojcem zastawili pułapkę. Czekali na niego ze swoimi robionymi na zamówienie karabinami, a kiedy *vaquero* odwrócił się do nich plecami, zamordowali go i przez resztę swoich dni opowiadali znajomym o pięknym strzale z bardzo dużej odległości, oddanym do Meksykanina.

Kiedy podjechali do ciała *vaquero*, śnieżnobiały mustang wrócił z prerii, żeby go strzec. Gryzł i kopał ranczera i jego synalka, więc zamordowali i konia. Obcięli *vaquero* głowę.

Córka ranczera, kiedy jej kochanek nie wrócił, wzięła pistolet ojca i zastrzeliła się. Ale Bóg nie pozwala, by szlachetne istoty pozostawały rozdzielone w wieczności, zatem przy każdej pełni księżyca widać *vaquero* jadącego na białym koniu z głową na kolanach. Dosiada upiornie białego mustanga i na czele stada koni szuka przeznaczonej mu istoty.

(Myślę, że źle zapamiętałaś tę historię, mówię jej).

(Jak to?)

(To stara baśń, nasza też, mówię).

Przez wiele lat czarny, a nie biały ogier cwałował z mustangami z upiornym jeźdźcem na grzbiecie. Na jego widok mustangi uciekały w popłochu, więc ludzie zawsze wiedzieli, kiedy pojawia się czarny mustang, bo tętent koni brzmiał jak tornado, które spada na pustynię. Tysiące mustangów galopowało po wapiennych skałach.

Bardzo niewielu ludzi zbliżyło się do konia i jeźdźca, a ci szczęśliwcy, którym to się udało powiadali, że jeździec dosiada wierzchowca normalnie, tylko nie ma głowy. Bo głowa ta, a na niej sombrero, leży na jego podołku. Przez wiele lat kowboje strzelali do upiora, ale kule przelatowały przez niego jak przez papier, a on jechał dalej.

W końcu kilku kowbojów postanowiło rozwiązać tę zagadkę. Czekali nocą u wodopoju, a kiedy stanął nad nim czarny mustang i jeździec bez głowy, zastrzelili konia. Na grzbiecie zwierzęcia siedział wyschnięty trup, przywiązany prosto sznurami do siodła. Głowę przywiązano mu do pasa. Po wielomiesięcznym śledztwie ustalono, że był to młody Meksykanin o nazwisku Vidal, znany kobieciarz i koniokrad. Ktoś zgotował mu taki koniec.

Okazało się, że byli to Creed Taylor i Bigfoot Wallace, legendarni Teksasczycy, o których napisano wiele książek. Słynęli z niecodziennego poczucia humoru, a chcąc przykładowo ukarać Vidala, obcięli mu głowę i przywiązali ją razem z ciałem do nieokiełznanego czarnego rumaka, którego schwytali w pułapkę wraz z innymi mustangami. Uwolnili konia wraz z jeźdźcem bez głowy, a para ta przez ponad dekadę mamiała i straszyla okolice.

– Twoja opowieść jest prawdziwa – powiedziała.

– To stara historia – odrzekł. – Dobrze znana.

– Oczywiście – mruknęła. – Jest w niej wiele przekonujących szczegółów. Po pierwsze martwy Meksykanin, który był koniokradem, jak wszyscy martwi Meksykanie. Po drugie, dwaj sławni Teksasczycy, którzy postanowili, że dla żartu obetną zabitemu Meksykaninowi głowę. Po trzecie, doszli do wniosku, że obcięcie głowy jest za mało śmieszne. Lepiej, jeśli zamiast go pochować, przywiążą go do dzikiego konia.

– Hmmm – mruczę.

– A ostatni przekonujący szczegół jest taki, że grupa kowbojów, podejmując się zadania schwytania legendarnego czarnego ogiera,

zamiast złapać go na łąasso albo w prostą pułapkę, postanawia go zastrzelić, bo to wymaga najmniejszego wysiłku.

– Właśnie dlatego nie opowiadam historii.

– Nie, to bardzo oświecająca opowieść.

– Ale nasze dzieci powinny wysłuchać twojej.

– Nie – sprzeciwiła się. – Nasze dzieci powinny poznać prawdę.

Potem pocałowała mnie w czoło i pogłaskała po włosach, jakbym był dzieckiem.





## Eli McCullough

1864

Na początku roku doszło do przetasowań i większość CeBów wysłano na wschód. Mnie z kolei próbowano wcielić do Regimentu Pogranicznego, ale nie podobał mi się pomysł wyprawiania się przeciw Komanczom i nie lubiłem McCorda, więc za karę posłano mnie na Indiańskie Terytoria. Większość białych nie chciała pracować z Indianami – którzy byli tylko stopień wyżej od Murzynów – ja natomiast spodziewałem się życia pełną gębą i nie pomyliłem się. Z pięciu ucywilizowanych plemion, dwa – Krikowie i Seminole – opowiedziały się po stronie Unii. Trzy pozostałe – Czikasawowie, Czirokezi i Czoktawowie – walczyli dla Konfederacji. Powstała brygada Czirokezów dowodzona przez ich własnego generała, Standa Watie, oraz brygada Czoktawów dowodzona przez Tandy’ego Walkera. Awansowano mnie tymczasowo do rangi pułkownika i oddano batalion złachmanionych Czirokezów. Podpisywali zaciąg tak samo jak biali, ale nie wierzyli w wojskowe buty czy mundury, nie zapamiętywali rozkazów i nie walczyli bez przewagi liczebnej. Wierzyli w dobre jedzenie i życie w jednym kawałku, co sprawiało, że byli zupełnie nieprzydatni, jeśli chodzi o armię.

Z drugiej strony, większość naszego sprzętu wojskowego pochodziła z pociągów zaopatrzeniowych Unii. Chcieliśmy wykonane w Unii pistolety ze stalowymi, a nie mosiężnymi ramami, chcieliśmy powtarzalne karabiny Henry i Spencer, choć ich enfieldy też nie robiły nam różnicy. Chcieliśmy ich wełniane spodnie i koce, lornetki, siodła i ogłowie, ich konie i amunicję, wołowe konserwy, kawę i sól, chininę, fabrycznie szyte koszule, ich papier listowy i igły.

Nasze jedyne rozkazy kierowały nas na tyły wroga, co oznaczało wyprawy do Kansas lub Missouri, palenie stodół i mostów, albo kradzież kur. W końcu, kiedy mieliśmy puste brzuchy jak serca bankierów i nie było już nic do splądrowania, skręcaliśmy na południe po uzupełnienie zapasów. Znałem ten sposób życia i w ogóle mi nie

przeszkadzał: spanie na dworze, jeżdżenie, gdzie oczy poniosą; nie przeszkadzała mi też służba z Indianami, którzy – ucywilizowani czy nie – żyli bliżej natury niż jakikolwiek biali. Ale latem dostałem parę dni przepustki i postanowiłem wrócić do Austin.

Pędziłem jak wariat przez całą drogę, ale kiedy wjechałem na wzgórze i ujrzałem dom sędziego, ściągnąłem wodze. Nie byłem pewny, po co tam wracam. Przypomniałem sobie, jak siedziałem tu na koniu w stroju Komanczów i strzelałem z łuku dla reporterów. Na tyłach domu rosły derenie wielkości trzydziestu stóp, a ja pamiętałem je jako sadzonki. Nagle poczułem się stary i o mało nie zawróciłem konia, żeby pojechać na północ, ale Madeline stała w progu domu gościnnego, więc zsiadłem i przywiązałem konia do słupka, żeby do niej podejść. Trzymała na rękach Everetta. Miał pięć miesięcy, a może osiem albo jedenaście.

– Tatuś wrócił – powiedziała.

Zdaje się, że chciał zapłakać, a Madeline wyglądała jak ktoś zupełnie inny – od początku wojny postarzała się o dziesięć lat. Nie miała problemów z odzyskaniem dawnej figury, a patrząc na siniaki pod jej oczami i skórę, na której widać było najłżejszy dotyk, wiedziałem, że źle oceniłem jej wiek. Weszliśmy do środka, położyła moje dłonie na piersiach, a ja poczułem, jak wściekle chce mi się ruchać. Ale kiedy dotarliśmy do łóżka, jej się odechciało. Mimo to chciała mi pofolgować, więc zanim w nią wszedłem, powiedziała:

– Wsadź go tutaj. – Uniosła nogi nieco wyżej. – Nie chcę, żeby mleko mi zgęstniało. Tak jest dobrze? – Kiwnąłem głową. – Tak dobrze jak...

– Jasne – wymamrotałem.

– Mnie też jest dobrze, choć trochę boli. – Wyjąłem go. Przewróciła się na bok i przyjrzała się. – Myślałam, że będzie brudny. – Pochyliła głowę. – Ale cuchnie.

– Chyba go umyję.

– Myślałam, że ci się spodoba – powiedziała. – Spodobało?

– Jasne – odrzekłem.

Murzyni zawsze mieli nagrzaną wodę, więc poszedłem do dużego domu i wziąłem kąpiel. Kiedy wróciłem, była już ubrana.

– To przez dziecko?

– Pewnie tak.

Rozejrzałem się po domku. Był nieduży i ciemny. Wmawiałem sobie, że ich uwielbiam.

– Jest mi tu trochę daleko do ciebie.

– Ale jestem obok – odpowiedziałem.

– Wyjeżdżasz i wracasz po kilku miesiącach na parę dni, robimy to i znów wyjeżdżasz. Czuję się jak krowa.

– Jesteś piękna.

– Ale nie pod względem wyglądu. Chodzi mi o to, że wracasz, wyjeżdżasz i nic więcej z tego nie ma. – Chciałem coś powiedzieć, ale mi przerwała. – Ojciec mógłby ci tu coś załatwić. Wiem, że proponował. Widuję oficerów w mieście przez cały czas, a ci, którzy służą na wybrzeżu, też są z rodzinami.

– To nie byłoby fair.

– Wobec wojska czy wobec mnie? Wobec paru facetów, których znasz od roku, czy wobec mnie? Wolisz udawać, że nie masz wyboru, ale masz, Eli.

– Dlaczego się wściekasz? – zapytałem. – Dopiero co przyjechałem.

– Próbuję się nie wściekać.

Everett piorunował mnie wzrokiem.

– To ja cię zrobiłem – powiedziałem mu.

– To jego normalna mina – skomentowała.

Tego popołudnia, po wizycie u sędziego i jego żony, wróciliśmy do łóżka. Madeline ukradła z kuchni butelkę oleju słonecznikowego.

– Nie chcesz drugiego Everetta? – zapytałem. – Albo małej siostrzyczki dla niego?

– Chcę – odpowiedziała. – Kiedyś na pewno tak, ale nie chcę zostać z nimi sama. – Spojrzała na mnie, ujęła moją rękę w swoje dłonie i ucałowała. Była piękną kobietą. Przypomniałem sobie, że jest bardzo silna. – Zastanawiasz się czasem, jak wygląda moje życie tutaj?

– Wyobrażam sobie, że jest ci ciężko – powiedziałem, choć tak nie myślałem.

– Jest mi ciężko. Jestem zamknięta w tym domu z małym zwierzątkiem, które nawet ze mną nie rozmawia. Czasem budzę się i myślę, że oto nadszedł dzień, w którym na dobre straciłam mowę.

– Ale bycie matką musi być przyjemne.

– Oczywiście, że tak – odpowiedziała. – Choć bycie ojcem z pewnością jest przyjemniejsze. Czasem, kiedy płacze, mam ochotę zostawić go w kołysce i uciec, gdzie pieprz rośnie. – Nic nie odpowiedziałem. – Wybacz, mam dosyć odgrywania cierpiętnicy. Uważałam, że tak trzeba, ale teraz już tak nie sędzę. Zajmę się wychowywaniem twojego syna, lecz jeśli ci się wydaje, że będę przy tym milczała jak grób, to lepiej się zastanów.

- Czy nie mogą się nim zająć Murzyni?
- Mają dosyć pracy przy matce – odpowiedziała.
- Wiesz dobrze, że kiedy mnie tu nie ma, sypiam na mokrej ziemi, jem zarobaczone suchary i pozwalam innym, żeby do mnie strzelali.
- Czuję się jak twoja kochanka – powiedziała. – Więc nie udawaj, że żyjesz w czarnej rozpacz, bo znam cię, Eli, i gdyby tak było, nie robiłbyś tego, co robisz. – Oboje umilkliśmy. Miałem wrażenie, że zaraz się rozplacze. – Nie chcę, żebyś do śmierci pamiętał mnie taką...
- Nic się nie stanie.
- Przestań to powtarzać.
- Dobrze – powiedziałem.
- Najpierw myślałam, że masz tam inną kobietę. Teraz żałuję, że tak nie jest.



## J.A. McCullough

Wszystko było nie tak od samego początku. Weszła na pokład samolotu i przekonała się, że za sterami nie siedzi jej pilot, a jego zmienniczka – tak, to była kobieta – patrzyła na nią dziwnie. Po raz pierwszy od osiemdziesięciu sześciu lat, w tym dekad latania samolotem dziesięć albo dwadzieścia razy w tygodniu, chciała wylądować. Oczywiście wszystko było w porządku. Kobieta okazała się doskonałym pilotem, lecieli idealnie i wylądowali tak gładko, że niemal nie poczuła. Ale pozostał jakiś niepokój.

Później usiadła na galerii, świeciło słońce, było cicho i zaczęła płakać, a całe niebo od przodu po sam tył stało się czerwone, fioletowe i ogniście pomarańczowe; wkrótce nadejdzie jej ostatni dzień, może nawet ten nim będzie, a wszystko jest tak piękne, że nie mogła znieść myśli, że przyjdzie jej to opuścić. Zaanonsował się Frank Mabry. Zdjął kapelusz i czekał, aż go przywita. Zastanawiała się, czy jest ślepy czy głuchy, ale z pewnością nie głupi. Nie zwracała na niego uwagi, ale nie chciał odejść, stał jak złajany pies i czekał.

– Pszepani – odezwał się po minucie. – Kiwnęła głową. Otarła powiekę. – Zastanawiam się, czy myślała pani nad tym, o czym rozmawialiśmy ostatnio?

– Nie – odpowiedziała. Nie miała pojęcia. Latał małym helikopterem, który wykorzystywali do zaganiań bydła. Znów otarła powiekę, życząc mu rychłej śmierci, ale nie padł trupem, miał zdaje się przeczucie, że wślizgnie się jakoś w jej łaski. – Od jak dawna mnie znasz, Frank?

– Od trzydziestu czterech lat. I w gruncie rzeczy o to chodzi. Zastanawiałem się, czy coś... się stanie, czy poczyniono jakieś kroki, jakieś zabezpieczenia dla ludzi, którzy pracują u pani od tak dawna.

Zastanawiała się, o czym on mówi. A potem zrozumiała.

– Odejdź, proszę – powiedziała.

Podreptał ku drzwiom. Miała nadzieję, że kopnie go kość, że wywróci mu się ciężarówka albo że spadnie z helikoptera. Patrzyła, jak odjeżdża, miała wrażenie, że wszystko leży w ruinie i bez obiadu poszła

spać.

Następnego ranka obudziła się wcześniej niżby chciała. Zazwyczaj włączała komputer i sprawdzała kontrakty terminowe ropy i S&P 500 po zamknięciu rynków azjatyckich i otwarciu europejskich, ale tego ranka w ogóle jej to nie interesowało. Ubrała się i powędrowała długim korytarzem, na ciemne boazerie i rzymskie popiersia padało pierwsze światło dnia, a ona, zamiast zejść, stała na górze i przyglądała się przez witraż wschodzącemu słońcu. Coś w tym było. Oglądała to tysiące razy, ale teraz było jakoś inaczej. *Jesteś sentymentalna*, pomyślała. Zaczęła schodzić.

Zrobiła sobie śniadanie w kuchni, ale kiedy chciała odłożyć talerz, przekonała się, że w zlewie jest pełno czystych naczyń i kieliszków. Nie jej – była tu tylko w nocy. Ktoś – jakiś pracownik – urządził sobie przyjęcie; nie pamiętała, aby proszono ją o pozwolenie, *nie*, przypominała sobie, *nikt mnie nie prosił*, to musiała być rzecz jasna Dolores, która prowadzi dom, nikt inny by się nie ośmielił. Dolores pracowała dla niej od trzydziestu lat i zawsze miały dla siebie taktowną przyjaźń, uściski i pocałunki, a J.A. pokazywała się od czasu do czasu na rodzinnych uroczystościach gospodyni, urodzinach, absolutoriach, chodziła na nie z życzliwości. Ma się rozumieć, że dzięki niej żyli znacznie powyżej poziomu w hrabstwie Dimmit; Dolores, inaczej niż Mabry, została zaopatrzona, choć jeszcze o tym nie wiedziała.

Poczuła dumę w sercu, nie powinna tak się zadrećzać, to niezdrowe. Ukryła się w sobie. Minał jej gniew, słońce świeciło jasno przez okna, widziała kolibry tuż za nimi, pachniało wanilią – kwitły *agaritos* – ale to nieważne, wszyscy są przeciw niej, czekają tylko aż umrze. Zastanawiała się, czy nie powinna po raz kolejny wyjść za mąż. To absurdalny pomysł – Ted zmarł wiele lat temu, kolejny pochowany mąż – ale mimo wszystko nie wiodła normalnego życia.

*Tabletki*, przypomniała sobie, *i drink*. Ale nawet mały pojemnik wymagał od niej za dużo wysiłku. Ciekawe, kiedy przyjdzie Dolores, wspomni jej o incydencie, ale da do zrozumienia, że wszystko jej wybaczają: może organizować przyjęcia, ale tylko za pozwoleniem. Światło rozlewało się po domu, po starych dywanach i ciemnych parkietach. Nad głównymi schodami wisiały portrety ojca, dziadka i pradziadka. Oczywiście powinien tam wisieć jeszcze jeden portret – osoby, która prowadziła ranczo dłużej niż jej ojciec i dziadek razem wzięci, ale nie wieszają się na ścianach własnych portretów. Po niej nie



było już nikogo, kto mógłby to zrobić. Jej wnuk? Może on to uczyni. Tylko na to mogła liczyć.

Otworzyły się i zamknęły frontowe drzwi, na końcu jadalni pojawiła się Dolores, mała postać, zupełnie nieproporcjonalna do otoczenia. Podejście bliżej zajęło jej dobrą minutę, niosła nową białą torebkę, a kiedy dotarła do drugiego końca jadalni, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Dzień dobry, pani McCullough.

– Dzień dobry – odpowiedziała. – Jak się udało przyjęcie?

Dolores odwróciła wzrok. Jeannie widziała, jak ciężko przychodzi jej myślenie.

– Przyjęcie? – powtórzyła. – To nie było przyjęcie. Tylko parę osób, nieplanowych.

Ewidentnie przygotowała to sobie wcześniej i przećwiczyła, co rozsierdziło Jeannie.

– Następnym razem daj mi znać. To wciąż jest mój dom.

Dolores nie patrzyła na nią, a Jeannie poczuła się z tym niezbyt dobrze. Jak to jest, kiedy człowiek zbliża się do kresu życia i nadal jest łajany? Obeszła ladę, żeby ją przytulić, pokazać, że to nic poważnego i wciąż są przyjaciółkami, ale Dolores, pojmując jej zamiary, nie pozwoliła na to.

– Zajmę się pani pokojem – rzuciła i odwróciła się w stronę schodów, zostawiając Jeannie z przeświadczeniem, że to ona, a nie gospodyni, powinna przeproszać.

I jeszcze to przekonanie, że Dolores nie musi już ukrywać tego, o czym obie wiedzą: że w sprawach najważniejszych gospodyni nie potrzebuje już J.A. McCullough. W swojej społeczności Dolores uchodziła za osobę majątną, była matroną, ludzie liczyli na jej łaski, a w każde święta przed jej domem samochody parkowały po obu stronach ulicy. W dawnych czasach byłoby akurat na odwrót. To Jeannie mieszkałaby w domu pełnym rozbieganych dzieci, planowałyby wesela, urodziny i przyjęcia absolutoryjne, a Dolores straciłaby większość, jeśli nie wszystkich, bliskich z powodu dyzenterii albo niedożywienia, albo z nadmiaru pracy, złego leczenia, *coraje* i zazdrosnych mężów (zarzynali się nawzajem, myślała, zawsze pisali o tym w gazetach: jakiś *peón* budził się rano i stwierdzał, że poderznął gardło żonie). Ale teraz... teraz...

Słońce świeciło jaskrawo. Niedługo nadejdzie lato i słońce zgasi wszystko, wszelkie kolory. Póki co było zielono i chłodno. Miała

przecucie, a w zasadzie pewność, że nie dożyje lata. Popatrzyła na dłonie. Coś poruszyło się w rogu. Poczwała zimno.

Po śmierci Hanka zdarzało się, że twarz, która spoglądała na nią z lustra nic nie znaczyła. W sprzyjających okolicznościach rozmazałaby ją jak muchę na szybie. Ale nie zostawiali jej samej. Jeśli da się coś powiedzieć o nafciarzach, są to ludzie, którzy znają cierpienie i stratę. Większość z nich wyszła w poprzednim pokoleniu z jakichś traperskich szałasów i przez tygodnie po śmierci Hanka nie zostawiali jej samej. Bez względu na to, jak bardzo zależało jej na ciszy, w kuchni zawsze ktoś gadał, gadali w salonie i pokojach gościnnych, częstowali się jedzeniem przynoszonym przez służbę, której nie znała, nieznajomi przychodzili i wychodzili, dzieci jechały do szkoły, wracały – nie miała pojęcia, jak. Teksańczycy byli nieubłagani. Mogą nienawidzić czarnuchów i Meksykanów, mogli nienawidzić samego prezydenta tak bardzo, żeby go zabić, ale nie zostawili jej samej, dbali o nią jak o matkę czy córkę – mężczyźni, których ledwo znała, mężczyźni, których nieobecność w biurze kosztowała ich tysiące dolarów na godzinę, a mimo to, kiedy schodziła na dół, widziała ich śpiących na kanapie i wzywała kierowców, żeby ich odwieźli. Ci sami mężczyźni w kolejnych latach nie chcieli prowadzić z nią interesów. Lepiej o tym nie myśleć. Wszystko zostało wybaczone, wszyscy leżą już w grobach, żyli tylko po to, by umrzeć.

Ted pojawił się w jej życiu kilka lat po śmierci Hanka. Był starszy od niej, pochodził ze starego rodu i przez większość czasu grał w polo – kiedy nie biegał albo nie pływał – choć sprawiał wrażenie człowieka uzależnionego od narkotyków, człowieka popadającego w ruinę. Choć nie fizycznie. Mając pięćdziesiąt lat mierzył ponad sześć stóp wzrostu, miał trzydzieści dwa cale w pasie i dziką aparycję przodków, choć odcisków na rękach dostał od młotków polo i hantli, a w życiu nie złamał sobie ani jednej kostki, może dlatego, że przez wiele lat tylko uganiał się za kobietami. Lecz w pewnym momencie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, postanowił się ustatkować. Był inteligentny, choć potrzebowała dużo czasu, żeby się o tym przekonać, był wobec niej uważny na mnóstwo sposobów, o których Hank nie miał najmniejszego pojęcia, tak więc z czasem zaczęła myśleć o Hanku, dobrym zaiste człowieku, jako samolubie, choć kiedy żył, oboje nie zdawali sobie z tego sprawy.

A Ted pod tym względem dał jej nadzieję, że nie rozgryzła do końca ani życia, ani ludzi, i że wszystko może być inne – przyjemne uczucie.

Jej wygląd miał dla Teda znaczenie, zwracał uwagę na jej fryzury i nowe sukienki, wyczuwał różnice między nastrojami, choćby takimi, z których da się wyjść za pomocą rozmowy, a takimi, na które nic nie pomaga. Nie nadskakiwał jej, ale zauważał. A mimo to nie należał do osób poważnych. Był starzejącym się playboyem, który pragnął towarzystwa. Który – jak utrzymywała – zmęczył się podrywaniem każdej kelnerki i stewardessy, która wpadła mu w oko. Doszedł do wniosku, że się zestarzał i chciał spędzić starość wśród swoich.

Chłopcy bardzo go polubili. Nie traktowali go do końca poważnie, choć był dla nich dobry i odgrywał role, których ona nie mogła: zabierał ich na przejażdżki i na strzelnicę, był zbyt leniwy, żeby polować na jelenie, ale lubił strzelać do przepiórek. Chłopcy niewiele się od niego nauczyli, nie zaczęli lepiej jeździć konno czy strzelać w jego obecności, ale niczego od nich nie oczekiwał, a kiedy wracała wieczorami do domu, zastawała ich siedzących razem przed telewizorem – Ted miał nieodzowną butelkę wina, a chłopcy popcorn – przy „Rewolwerze i meloniku” albo „Bonanzie”. W ogóle ze sobą nie rozmawiali, ale byli uszczęśliwieni jak młode psy w pierwszym śniegu.

Tymczasem Susan zaczęła spędzać lato w Maine z dziećmi Jonasa; trzy miesiące błogosławionej ciszy i spokoju; po drugich wakacjach wróciła z propozycją przejścia z Kincaid do Garrison Forest, gdzie uczyły się córki Jonasa. Myśl o tym, że córka zniknie z jej życia na osiem miesięcy w roku nie wydawała się niepociągająca, lepsza w każdym razie od konieczności znoszenia jej. Bo wówczas Susan nie była już tylko roszczeniowa, stała się sabotażystką. Przeszukiwała rzeczy matki, wchodziła do jej sypialni, kiedy przebywał w niej Ted, schodziła do kuchni po kanapkę, mając na sobie tylko podkoszulek i majtki.

– Ta dziewczyna ma co pokazać – mawiał Ted.

– Będzie miała szczęście, jeśli nie zajdzie w ciążę przed następnymi urodzinami – odpowiadała Jeannie.

– Ty będziesz miała szczęście.

Oczywiście miał rację. Ale nawet wtedy nie patrzyła na to w taki sposób. Ted nie miał swoich dzieci. Mogła mu urodzić dziecko, kiedy to było możliwe, ale żadne z nich nie chciało się tak angażować. Jemu zależało na rodzinie, lecz nie na wychowywaniu dzieci. Zależało mu na majątnej kobiecie, która przyjmie go do swojej bandy i niczego nie będzie żądać. Nigdy by na to nie wpadła, ale była z nim szczęśliwsza i bardziej zadomowiona niż kiedykolwiek przedtem. Oczywiście nic nie

mogła poradzić na to, że pociągali ją tacy ludzie jak Hank, których spalał płomień, lecz bez względu na siłę ich miłości do rodziny czy kraju, bez względu na jakiegokolwiek przymierza, płomień gorzał tylko i wyłącznie dla nich.



## Dzienniki Petera McCullougha

*6 sierpnia 1917 roku*

Zadzwońiła Sally, że przyjedzie z wizytą.

– Nie martw się o swoją małą *pelado* – powiedziała. – Nie będę się wtrącać.

Wszystko wokół mnie nagle runęło. Milczałem. W końcu odezwałem się:

– Nie masz po co tu przyjeżdżać.

– Z wyjątkiem tego, że przyjeżdżam do swojego domu. Chcę odwiedzić mój dom. Wiele się w nim, jak słyszę, dzieje.

– Nie będziesz tu mile widziana – mruknąłem, choć wiedziałem, że to bezcelowe.

– Wybij to sobie z głowy. Bo wracam.

Ojciec siedział na ganku z wiertaczem i paroma innymi mężczyznami.

– Właśnie rozmawiałem z Sally – powiedziałem. Spojrzał na mnie groźnie. – Jeśli coś się stanie, pewne sprawy wyjdą na jaw.

– Zobaczymy się, chłopaki, wieczorem – zwrócił się do mężczyzn. Wstali jak jeden mąż i odeszli. – Cokolwiek chcesz mi powiedzieć, nie rób tego. Nawet o tym nie myśl.

– Powiedz jej, żeby nie przyjeżdżała.

– Nie mam z tym nic wspólnego – odrzekł. Pokręciłem głową. – Każdy i każda, tylko nie ta dziewczyna, Pete. Mówiąc szczerze, nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś zapłodnił każdą Metyskę w mieście, bo przydałoby mi się więcej wnuków, a sam już za bardzo posuwać nie mogę, o ile ktoś nie ucałuje mnie na dobranoc jak Pan Bóg przykazał.

– Nie musimy niczego się obawiać ze strony Marii – odpowiedziałem.

– Wiem.

– Więc powiedz Sally, żeby trzymała się z daleka.

– Wiesz co, gdybyś był Komanczem, to obciąłbyś Sally nos i wyrzucił ją za drzwi, i wziął ślub z tą nową.

– Ma na imię María.

– Niestety nie jesteś Komanczem. Podlegasz prawom Ameryki. Co oznacza, że powinieneś być pozbyć się Sally, zanim zacząłeś spółkować z tą drugą.

– Jest mi za ciebie wstyd.

– Który odwzajemniam – powiedział.

– Więc twoja żona wraca?

Patrzę na nią. Nie ma sensu zaprzeczać.

– Nie martw się o to – mówię.

Wzrusza ramionami. Widzę, że płakała.

– Wiedziałam, że to się kiedyś skończy.

– Nie skończy – protestuję.

Odwraca się do mnie tyłem. Chcę ją przytulić, ale opędza się.

– W porządku – mówi.

– To nie jest w porządku.

– Będzie w porządku.

Uświadamiam sobie, że nie rozmawia ze mną.

Kiedy zasypia, biorę butelkę whiskey i ruszam na *chaparral*, na Psią Górę, choć to tylko duży pagórek, najwyższy w pobliżu. Na szczycie stoi głaz z wyciętym albo wyżłobionym w kamieniu oparciem, więc wspinam się na samą górę i opieram wygodnie. Dom został jakąś milę za moimi plecami. Widzę parę świateł, a poza nimi ciemności.

Siedzę tak dosyć długo i ogarnia mnie dziwne uczucie. Ten głaz, ta skała zawsze były nagrzanym miejscem i ludzie siadywali tu przynajmniej od dziesięciu tysięcy lat, bo najlepiej widać stąd okolicę. Ile rodzin tędy przechodziło, mieszkało tu i odeszło? Zanim pojawili się ludzie, był tu wielki ocean i wiem, że pode mną leżą skamieliny pływających w nim istot. Pomyślałem o bracie, który zawsze współczuł mi temperamentu, który spędza życie w zamknięciu, pasjonując się papierzyskami i kontami w bankach. Nie czuje dojrzewającego *agarito*, nie widzi kwitnących dmuchawców. Jeśli chodzi o ojca, on widzi wszystko. Widzi i niszczy.

*7 sierpnia 1917 roku*

Tego ranka przyjechała Sally. Pocałowała mnie uprzejmie w policzek, potem przywitała się z Marią.

– Dobrze cię znów widzieć, sąsiadko. Potem roześmiała się głośno i dodała: – Od tego upału wszystko nam się miesza, nawet domy.

Oznajmiła, że zatrzyma się w sypialni w drugiej części domu i kazała tam zanieść rzeczy. Ja tymczasem miałem spędzić dzień z Sullivanem, bo wynajęliśmy ludzi do grodzenia. Zamierzałem powiedzieć mu, że będzie musiał poradzić sobie sam, ale Maria zapewniła mnie, że wszystko będzie w porządku.

– Prędzej czy później i tak zostanę sam na sam z twoją żoną. Więc lepiej prędej.

Odebraliśmy ludzi przy bramie i zawieźliśmy ich na środek rancza, tłumacząc im, o co nam chodzi. Bramy tu i tu, i tutaj... Po kilku godzinach byłem już tak niespokojny, że drżały mi ręce. Powiedziałem Sullivanowi, że muszę wracać. Kiedy wróciłem do domu, na podjeździe ujrzałem pierce-arrowa Phineasa. Miałem złe przeczucia. Phineas, Sally i mój ojciec siedzieli w salonie, czekali na mnie.

Obszedłem wszystkie pokoje, wołając ją, wszedłem do kuchni, sali balowej, biblioteki, każdej garderoby. W mojej sypialni Consuela zmieniała pościel. Nie chciała powiedzieć ani słowa. Zszedłem z powrotem i zastałem tych troje w niezmienionej pozycji.

– Maria – odezwała się Sally – postanowiła dołączyć do swojego ludu.

– Ja jestem jej ludem.

– Była najwyraźniej odmiennego zdania.

– Jeśli coś jej się stało, jeśli ją skrzywdziliście... którekolwiek z was...

– spojrzełem na Sally i ojca – ...pozabijam was wszystkich.

Popatrzyli po sobie i coś przemknęło przez ich oblicza, jakiś uśmiešek. Gdybym miał przy sobie pistolet, oboje zginęliby właśnie w tej chwili. Oczy zasnuła mi czerwona mgła, wyszarpnąłem nóż z pochwy, otworzyłem ostrze i podszedłem do żony.

– Poderżnę ci, kurwa, gardło – syknąłem. Uśmiechnęła się, stanąłem nad nią, cała krew odpłynęła jej z twarzy. – A ty? – zapytałem, wskazując ostrzem brata. – Wiedziałeś o tym?

– Pete – zaczął – zaoferowaliśmy jej dziesięć tysięcy dolarów, żeby wróciła do kuzyna w Torreón. Postanowiła przyjąć naszą ofertę.

– Jej kuzyn nie żyje.

– Zna tam innych ludzi.

– Gdzie ona jest?

– W samochodzie.

– Synu – odezwał się ojciec. – Tak będzie najlepiej.

Pobiegłem na górę do gabinetu. Załadowałem pistolet, a kiedy



schodziłem, zobaczyłem tę ciemną postać opierającą się o balustradę, czekającą na mnie. Padało na niego słońce, a ja stałem przez długą chwilę i wpatrywałem się weń: najpierw miał twarz mojego ojca, potem moją własną, wreszcie jakąś inną.

Wróciłem do siebie. Czekałem, aż przygotują samochód. Wyjadę do Torreón za godzinę.



## Eli McCullough

*Czerwiec 1865 roku*

Federalni tropili nas przez całą zimę i do świąt straciliśmy połowę naszych. Było jasne, że jeśli nie opuścimy Kansas, wystrzelają nas albo powieszą. Rozwiana Kurta i pozostali Czirokezi postanowili ewakuować się na zachód w Góry Skaliste. Pięciu CeBów – Busque, Showalter, Fisk, Shaw i ja – ruszyło z nimi. Według najświeższych wieści Sherman zajął Georgię. Jeśli w okolicy działały inne oddziały Konfederacji, przestaliśmy je spotykać.

Czirokezi zdjęli kilka skalpów Ute, ale nie natknęliśmy się na federalnych. Obozowaliśmy na linii lasu i zazwyczaj poruszaliśmy się nocami, ale któregoś popołudnia w Bayou Saldo wpadliśmy na nieduży regiment. Normalnie spieszylibyśmy za następne górskie pasmo, ale ten oddział, liczący zaledwie kilkuset żołnierzy, miał ze dwa tuziny wozów ciągniętych przez osiem mułów każdy, co nie umknęło uwadze Rozwianej Kurty. Przyczailiśmy się za skałami i czekaliśmy.

– Ciągną coś ciężkiego – powiedział.

Milczałem. Dokładnie wiedziałem, co ciągną, lecz jeśli Rozwiana Kurta nie przystanie na mój plan, mówienie o tym było bezcelowe. Wódz dobiegał pięćdziesiątki i upierał się, żeby nazywać go pułkownikiem, więc dlatego i ja awansowałem. Nosił kurtkę pułkownika z liśćmi dębu nawet przy stustopniowym upale.

– Jadą do urzędu probierczego w Denver – powiedziałem. Wojna wcale nie była taka, jak ją sobie wyobrażałem, nawet sędzia był już prawie bankrutem, ale im dłużej wpatrywałem się w te wozy, tym większego nabierałem przekonania, że może coś da się ocalić z ruin. Przypomniałem sobie Toshawaya i naszą wyprawę do Meksyku: dlaczego teraz nie miałyby nam się poszczęścić?

– Jeśli nie wiozą skór – oznajmił Rozwiana Kurta. – Albo drewna. Albo, kto wie, może są już tak silni, że wybrali się na przejażdżkę.

– W takim tempie nie dotrą do przełęcz. Będą musieli rozbić obóz na tej półce.

Przyglądaliśmy się im dalej. Żołnierze siedzący w wozach zeskokczyli na ziemię, bo droga stawała się bardziej stroma. To była kraina złota, a oni wieźli coś ciężkiego. Oczywiście, mogli wieźć cokolwiek. Ale Rozwiana Kurta zaczął coś rozumieć.

– Mam nadzieję, że nie znajdziemy tam kupy gruzu.

– Jeśli znajdziemy – odrzekł – byłoby to w zgodzie z moimi dotychczasowymi losami. – Przywołał kilku Czirokezów i porozmawiali. A potem zwrócił się do mnie. – To działa, co je ciągną?

– Pewnie haubica górską.

– Ładowana kartaczami, jakby się martwili, że ktoś ich napadnie.

– Tak, ale mają tylko jeden strzał i to w dodatku w swoich ludzi.

– Dziwne – powiedział.

Rozbili obozowisko tam, gdzie mogli je naszym zdaniem rozbić. W trawie latały motyle, widać było góry na sto mil, a obok nich płynął zimny strumień. Trzymaliśmy się linii drzew. Wszędzie skały i pył. Żołnierze Unii byli odprężeni, nie śpieszyli się z rozstawianiem namiotów i zakładali o muflony – białe plamki na wysokim zboczu ponad nimi. Kilku miało karabiny Sharpsa. Co jakiś czas biała plamka staczała się po zboczu, przypominając upadającego bałwana.

Wszyscy chłopcy byli przeciwni. Leżeliśmy na brzuchach na skałach, podając sobie lornetkę z rąk do rąk. Showalter był niżej z Indianami.

– Wyżej dupy podskoczyć się nie da – odezwał się Fisk.

– Ale – odpowiedziałem – Indianie w to wchodzi, a Jeff Davis właśnie tego od nas oczekuje, więc nie mamy wyboru.

– Posłuchajcie tego połykacza ognia, żywej legendy!

– Czy mogę coś pokornie zasugerować, szefie? – zapytał Shaw. – Nasze ambicje są nieco nieświeże. Spóźniliśmy się o jakieś cztery lata.

Podaliśmy lornetkę Fiskowi. Był najstarszy z nas. Miał dużą rodzinę w Refugio.

– To głupi pomysł. – Zaczął się zsuwać po skałach.

– Gdzie leziesz?

– Muszę napisać list – odkrzyknął.

– Ja też – powiedział Shaw. – Dajcie znać, jeśli zmienicie zdanie. Jeśli nie, znajdziecie mnie i konia w tym leju, którym tu wjechaliśmy. – Spojrzałem na niego. – Będę w obozie – rzucił. Nie uśmiechał się.

Został więc tylko Busque i ja.

– Co myślisz? – zapytałem.

– Myślę, że to głupie.

– Ale jeśli wypali, pożyjemy sobie na wysokiej stopie.

- Znajdą jakiś sposób, żeby nam to odebrać.
- To nie jest żołnierska postawa.
- Czas odlać się do ogniska i przywołać psy, Eli. Z tego, co wiemy, Jeff Davis wacha już bawełnę od spodu.

Nie odpowiedziałem. Przyglądaliśmy się dalej granatowym kurtkom, które rozebrały się do gaci i leżały w trawie, delektując się słońcem, grając w karty na wojłokach i pisząc pamiętniki. Reszta obdzierała muflony ze skóry i rozpalala ognisko.

- Żal mi tych Indian – powiedział Busque.

Patrzyliśmy, jak federalni jedzą kolację, wpatrują się w zachód słońca i choć na niebie pojawiły się już pierwsze gwiazdy, wciąż ich widzieliśmy. Podawali sobie flaszkę z rąk do rąk, widać lubili to, co robią, bo zachowywali się tak, jakby wojny nie było.

Większość namiotów stała w małym wgłębieniu, a wozy i konie na jego brzegach. Około północy zastrzeliliśmy z łuku wartowników. A potem pognaliśmy konie na namioty. To była prawdziwa masakra. Z łatwością wybieraliśmy federalnych, wijących się pod zapadniętymi połami płótna albo rozglądających się z obłędem w oczach w śnieżnobiałych mundurach. Otoczyliśmy nieckę z każdej strony, strzelając z karabinów, a Czirokezi pędzili wokół, wyjąc i rozwalając łby krzemiennymi tomahawkami. Większość jankesów zginęła, nim zdążyli się zorientować, kto ich masakruje, a mnie zrobiło się ich żal, bo to nie była uczciwa walka. Nagle ujrzałem machającego do mnie wodza Rozwianą Kurtę.

Tuzin żołnierzy Unii, wszyscy w samej bieliźnie, uciekł na pagórek, gdzie stała armata. Znosili jakieś rzeczy z wozów, nie uciekali, a ja uznałem, że pomieszało się im w głowach. Potem odezwała się ich broń – która, jak się okazało, tylko z wyglądu przypominała haubicę – a ja zrozumiałem swój błąd. Jeden z nich celował, dwóch podawało amunicję, reszta pilnowała boków, a ich karabin strzelał tak szybko jak dwudziestu żołnierzy naraz.

Paru Czirokezów podjęło szarżę na koniach, a potem drugą. Działo nie przestawało czekać, odkąd zaczęło, zobaczyłem jak Fisk i Shaw kryją się w jakichś krzakach na drugim końcu łąki. Federalni byli na wzniesieniu dokładnie naprzeciw nas, a w trawie poniżej leżały dziesiątki stratowanych namiotów, martwych i umierających ludzi, koni, a nad wszystkim unosił się jęk jak na aukcji bydła. Nie mieli już do kogo strzelać. Zaczęli opatrywać rannych. Księżyc stał wysoko, a Fisk strzelił do żołnierza obok karabinu, a potem zatrzeszczały

i zakowały się gałęzie nad naszymi głowami i Shaw powiedział:

– Leon dostał.

Potem umilkł. Kiedy z naszej strony padał strzał, federalni widzieli rozbłysk i pakowali w to miejsce ze dwadzieścia albo trzydzieści nabojów, co przynosiło efekty. Twarz Shawa była ciemna, dotknąłem Fiska. Był mokry. Jeden z Czirokezów ruszył do ataku i dostał z działa, które zaraz wycelowano we mnie. Skuliłem się za skałą nie większą od łęku przy siodle, a kule waliły w kamień. Coś rąbnęło mnie w rękę, kłuła mnie twarz, a potem ostrzeliwali krzaki nad moją głową. Wszędzie wokół było płasko, leżałem na otwartej przestrzeni i wiedziałem już, że moje zakłęcie wyparowało. Próbowałem przypomnieć sobie pieśń umierających, ale zapomniałem.

Działo umilkło. Rozwiana Kurta coś krzyknął. Szukałem wzrokiem rowu, kamienia albo zabitego konia. Zobaczyłem przewrócony wóz, ale za daleko. Za wozem był zresztą Indianin, który strzelał niemal pionowo z łuku, potem reszta Indian zrobiła to samo, a powietrze nad karabinem zamigotało i zafalowało, jakby od upału. Amunicyjni darli się wniebogłosy, a potem wszyscy Indianie strzelali i w końcu został tylko ten, który pociągał za spust i walił na oślep.

Czirokezi chodzili wśród namiotów, dobijając rannych pałkami. Gdzieś w głębi doliny rozlegały się jeszcze przypadkowe strzały. Zabandażowałem rękę i odnalazłem Busque'a i Showaltera. Podeszliśmy do działa. Ziemia wokół była naszpikowana setkami strzał, Indianie wystrzelili je niemal pionowo, żeby spadły na federalnych z góry. Na porozrzucanych trupach widać było strzały wystające prosto z barków albo czubka głowy. Jedno z ciał poruszyło się. Wypętlł spod niego człowiek. Nie był nawet ranny.

– Poddaję się – zawołał i podniósł ręce do góry. – Jesteście bandytami?

– Jesteśmy z Konfederacji Stanów Ameryki – odpowiedziałem.

Spojrzał na nas dziwnie. A potem powiedział:

– Jestem cywilem. Przedstawicielem handlowym.

– Co to w ogóle znaczy? – zapytał Busque.

– Reprezentuję firmę Gatlinga. Nie mamy kontraktu z wojskiem, ale oddaliśmy im kilka pokazowych egzemplarzy naszej broni... temu wojsku, bo... nie mogliśmy się skontaktować z waszym rządem.

Schodzili się pozostali przy życiu Czirokezi.

– Jak działa ten karabin? – zapytał Busque.

– Kartaczoznica – poprawił. – Jej działanie jest bardzo proste. Bierze

się tekturowy nabój, wsadza do tego magazynka... – Podniósł z ziemi nieduży metalowy cylinder; wokół leżały ich setki, jeśli nie tysiące – ... dopasowuje bębenek do leja samowyladowczego u góry i *voilà!*

Podszedł do nas Rozwiana Kurta.

– Kto to jest? – zapytał. – Dezerter?

– Pracuje dla firmy, która zrobiła ten karabin. Mówi, że jest sprzedawcą.

Rozwiana Kurta przekrzywił głowę, jakby się nad czymś zastanawiał. A potem powiedział coś do swoich ludzi. Sześciu czy ośmiu z nich rzuciło się do przodu i zadźgali sprzedawcę.

Indianie chcieli rozebrać kartaczoownicę, żeby już nikt więcej z niej nie strzelał. Ale po ciemku nie dali rady, więc rozbijali ją kamieniami. Rozwiana Kurta wziął mnie na stronę i poprowadził do wozów. W jednym z nich rozbito skrzynię.

– To jest ciężkie, ale nie wygląda na złoto. Raczej jak pszenica.

– To jest złoty piasek – powiedziałem. – Złoto na pewno.

– Jest tego dużo.

– Ile?

– Setki takich woreczków. A może więcej.

Woreczek ważył ze dwa funty.

– Musimy zakopać część i wrócić później.

– Dlaczego? – zapytał.

– Wszystkiego nie da się przewieźć. – Popatrzył na mnie. – Co?

– Eli, czy ten karabin niczego cię nie nauczył?

– Nie.

– Chyba nie mówisz mi prawdy. Wiedziałeś o istnieniu takich karabinów?

– Niezupełnie.

– Więc wiedziałeś.

– Nie wiedziałem, że są już produkowane.

– Ale wiedziałeś, że nasi wrogowie w końcu je dostaną. Karabin, którym jeden człowiek może zabić czterdziestu. – Popatrzyłem w głąb ciemnej doliny pod nami i na wznoszące się nad nią góry. Zastanawiałem się, czy wrócimy do domu. – Ach, Eli, nasz szczep liczy blisko tysiąc kobiet, dzieci i starców. Kiedy wyruszyliśmy na tę wyprawę, było nas prawie dwustu wojowników, którzy utrzymywali resztę. Było nas za mało. A teraz zostało ze czterdziestu.

– To tragedia – powiedziałem. – Jest mi bardzo przykro.

– Jeszcze większą tragedią jest, że przegrywamy tę wojnę. Rząd

federalny wyznaczył nam ziemię, niezbyt dobrą, mieliśmy nadzieję, że dostaniemy lepszą po wojnie. Teraz możemy stracić wszystko. Wystarczy tylko popatrzeć, jak strzela ten karabin. – Wzruszyłem ramionami. – A spójrz na nich, na tych żołnierzy! Zobacz, jacy są grubi, jak dobre mają konie. A my głodujemy razem z naszymi zwierzętami. A amunicji mają tyle...

– Zawsze tak było – przerwałem mu. – Zawsze byliśmy słabsi.

– Skończyliśmy z wojną – powiedział. – Wybacz.

– To niedobra decyzja.

– Za rok od dziś nawet nie będzie twojego rządu, Eli. Jest was pięciu białych...

– Tylko trzech.

– Trzech. Przykro mi, że straciłeś dwóch ludzi, ale kiedy wojna się skończy, wy trzej będziecie mogli robić, co tylko wam się podoba. Ja trafię do rezerwatu razem z całą rodziną, zapłacę za wojowanie po złej stronie. Wszyscy moi ludzie też za to zapłacą. I wiesz, co się teraz stanie? Kiedy skończą chować swoich braci, dojdą do wniosku, że muszą zabić was trzech. Po pierwsze dlatego, że poprowadziliście nas na ten karabin, o którym nam nie powiedzieliście, a po drugie dlatego, że jak biały kradnie, nie ma z tym problemu... biali mogą okradać białych... ale kiedy Indianin okradnie białego, sprawa jest poważna. Czy rozumiesz, Eli? Nikt nigdy nie wybaczy Indianom, którzy ukradli złoto. – Wzruszył ramionami. – Ale go potrzebujemy.

Nic nie odpowiedziałem.

– To była wspaniała bitwa, Eli. Ostatnie nasze zwycięstwo. Po niej czekają nas już same porażki. Gdybym był na twoim miejscu, zjechałbym z tej góry najszybciej jak to możliwe.

– Ty jesteś wodzem – powiedziałem.

– U nas, inaczej niż u was, panuje demokracja. Każdy jest wolny. Moje słowo to rada, a nie prawo. – Poklepał mnie po ramieniu. – Mówię ci to wszystko, bo jesteś najlepszym białym, jakiego poznałem. Myśl o tym, że żyjesz sprawia mi przyjemność.

– Mnie też – powiedziałem, ale nie usłyszał.

– Będzie najlepiej, jeśli pojedziesz dniem i nocą, przynajmniej przez kilka pierwszych dni. – Odwróciłem się, żeby odejść. Załadował woreczki ze złotem do skórzanego *parfleche*. – Czary ci niegroźne, Eli. Wiedziałem to, odkąd cię poznałem. Ale są jeszcze klątwy. – Podał mi torbę.

– Co o tym myślisz? – zapytał Busque. Przetrzęsał wraz



z Showalterem pobojuwisko w świetle księżyca. Znaleźli czyste mundury Unii, co nie było trudne, bo większość granatowych kurtek zginęła w kalesonach. Pakowali mundury do juków.

– Jedziemy do Kalifornii – powiedział Showalter.

– Zamelduję, że zginęliście w bitwie.

– Baran – rzucił Busque. – Wojna już skończona. Te granatowe skurwysyny miały tyle henrych i spencerów, ile dusza zapagnie, a do tego jeszcze ten jebany karabin na korbę. Nie mówię już o jankeskich butach. Za same buty zabiłbym każdego skurwysyna.

– I pierdalone złoto – dodał Showalter. – Naszym chłopcom płacą w obligacjach, które będą gównem warte, zanim zakwitną brzoskwinie.

– Jestem pułkownikiem – powiedziałem.

– Eli, wkrótce przegramy największą wojnę w historii, możliwe, że już ją przegraliśmy, tylko jeszcze o tym nie wiemy. Nie mam zamiaru dać się wsadzić do obozu jenieckiego Unii albo zastrzelić Straży Krajowej, póki nie skapitulujemy, albo co gorsza, zginąć w ostatniej bitwie o obesrany chlew. – Nic nie odpowiedziałem. – Jeśli wrócisz do Austin, rozstrzelają cię za dezercję. A wojna i tak się skończy, czy będziesz żywy czy martwy. Jedź z nami na zachód i poślij po rodzinę.

– Nie mogę.

– Myślisz, że dożyliśmy do tej chwili, bo jesteśmy wspaniałymi żołnierzami? Tak myślisz? – Nic nie odpowiedziałem. – Jesteś prawdziwy sukinkot – rzucił. – Zawsze mnie zastanawiałeś.

– Dziewczyny – przerwał nam Showalter – myślicie, że te czarnuchy z prerii podziela się z nami złotem?

Zginęło ponad dwustu żołnierzy Unii, głównie w kalesonach. Zazwyczaj po bitwie czułem się jak po polowaniu na jelenie, ale teraz miałem straszne przeczucia. Na miejscu poległo dwudziestu ośmiu Czirokezów, o świcie wojownicy zastrzelać czternastu ze swoich rannych. Pochowaliśmy Shawa i Fiska, obaj nie mieli twarzy. Myślałem o dzieciach Fiska i dzieciach wszystkich innych żołnierzy, których zawsze ktoś kochał.

Z wozów z zapasami zabrałem soloną wieprzowinę i naboje do karabinu Henry'ego. Rozwiana Kurta dał Busque'owi i Showalterowi po woreczku żółtego piasku. Byli uszczęśliwieni, a ja postanowiłem nie mówić im, ile dostałem wcześniej. Indianie nie patrzyli na nas. Wszyscy uważali, że wiedzieliśmy o kartaczownicy. Zjechaliśmy we trzech jak niepyszni z góry, zostawiając Czirokezom złoto, całą broń

federalnych, amunicję i wszystkie konie. Tuż obok traktu leżał nieżywy żołnierz w kalesonach, trochę dalej przy strumieniu drugi. Nie mogłem pozbyć się przeczucia, że przekroczyłem jakąś linię, spoza której nie ma już odwrotu, ale niewykluczone, że przekroczyłem ją wiele lat temu albo taka linia w ogóle nie istniała. Wszystko, co można było zabrać, już do kogoś należało. Sznurki, które mną poruszały, przecięto.

– Przestań się gryźć – rzucił Showalter. – Jak tylko wstanie słońce, rzucą się na łup i zapomną o naszym istnieniu! – Wyszczrzył do mnie zęby.

– Pewnie masz rację – odpowiedziałem.

Busque jechał daleko z przodu. Nie spojrział na mnie od pogrzebu tamtych.

U stóp góry, na długim skalistym łożysku, wyruszyłem w swoją stronę, obiecując im spotkanie w Kalifornii po zakończeniu wojny. To był koniec CeBów. Powiedziałem kilka słów, żeby ukryć to, co musiało się malować na mojej twarzy.

Usłyszeliśmy strzały: Czirokezi dobijali rannych. Patrzyłem za odjeżdżającymi na zachód Buskiem i Showalterem, a potem wyrwałem podkopy z końskich kopyt i objechałem górę, trzymając się w ukryciu, zmieniając kierunek za każdym razem, kiedy przeprowałem się przez strumień czy skalne podłoże. Podejrzywałem, że Busque i Showalter nie zadbają o zatarcie śladów. Miałem nadzieję, że Indianie nie ruszą w pościg za nimi, ale wiedziałem swoje: ludzie wokół mnie nie żyli długo, Czirokezi złapią tamtych, ale nie mnie – tego byłem akurat pewny.

Po miesiącu dotarłem do Austin. Wojna skończyła się wiosną.



## J.A. McCullough

Była zdziwą, lesbą albo kurwą. Facetem w ciele kobiety. Zjrzyj jej pod spódnicę, a zobaczysz kutasa. Kłamała, knuła, nie miała serca, a do tego pizdę – mocno wyjebaną i cały czas mokrą. Nie brała tego do siebie. Nikt nie miał nic złego na myśli.

Bycie mężczyzną oznacza brak jakichkolwiek zasad. Można mówić jedno w kościele, a co innego w barze i uznawać i jedno, i drugie za prawdę. Można być dobrym mężem i ojcem, i chrześcijaninem, i bzykać sekretarki, kelnerki, i każdą prostytutkę, która wpadnie nam w oko. Mężczyźni mają swoje mrugnięcia i kiwnięcia głową, zaszyfrowane wiadomości: *Wyjebałem tę cheerleaderkę albo nianię, albo stewardessę PanAmu, tę pokojówkę albo instruktorkę konnej jazdy*. Tymczasem, gdyby okazała w jakikolwiek sposób, że jest czymś innym, oprócz dziewicy (mimo trójki dzieci), skazano by ją na wieczne wygnanie, na szkarłatną literę. Nie, nie skarżyła się. Ale nie przestawało jej dziwić, że to, co pochwalano u mężczyzn – potrzebę bycia dobrym we wszystkim, potrzebę bycia kimś ważnym – uznawano u niej za wadę charakteru. Tak nie było, kiedy żył Hank. Może uważali, że jest ambitna dzięki niemu, może kobieta im nie przeszkadzała, o ile czuwał nad nią mężczyzna.

Ale dlaczego się tym w ogóle przejmuje? Większość mężczyzn nudziła ją, ludzie ją nudzili. Przez piętnaście lat obserwowała rozwój umysłowy Hanka, jego zmiany, i nieustannie była zaskoczona. Nie odda swojej wolności za nic innego. W pierwszych kilku latach po śmierci Hanka spała zaledwie z kilkoma mężczyznami, a każdy – tylko o takich jej chodziło – był żonaty. Jeśli chodzi o innych, jej uczucia szybko więdły albo gwałtownie się kończyły. Nie byli Hankami, nie mogli nim być. Przez większość nocy, jeśli nie była zmęczona, sięgała po masażer i szybko zasypiała.

Tak, była zazdrosna, bo istniały dwa rodzaje zasad: mężczyźni mogą mieć kochanki i załatwiać aborcje, sypiać z każdą cheerleaderką Dallas Cowboys... mogą być wolni w ten sposób, robić, co chcą, choć przecież w tym wszystkim nie chodziło o wolność, a o bycie

pożądanym. Można być starym, grubym i brzydkim, ale i tak jest się pożądanym. Kiedy o tym myślała, czuła się nic niewarta, jakby zmuszano ją do życia w klatce, podążania wąską, dawno wytyczoną ścieżką, kiedy inni – mężczyźni – ścigają się jak dzieci albo jak psy, łamiąc zasady, kręcąc się w kółko, w jedną albo w drugą stronę.

Nie była pruderyjna. Wykorzystała paru facetów tylko do seksu – albo przynajmniej chciała – ale za każdym razem dostawała mniej niż potrzebowała, czuła się niespełniona, a mężczyźni nie lubią być traktowani w taki sposób, bez względu na to, co opowiadają znajomym. *Zachowujesz się, jakbym był wibratorem*, powiedział jej któryś z nich. Mężczyźni to wrażliwe istoty, potwory, ale wrażliwe, są tym, czym chcą być.

Mimo wszystko zaczęli ją akceptować. Wszyscy się starzeli, stawali coraz bogatsi, nie była pewna, ale chyba zaczęli ją traktować jak damę, która znalazła się na okładce „Time’a”, kobietę, którą warto było znać dawno temu, kiedy miała to coś i pożerała mężczyzn. Oczywiście nigdy tego nie robiła. Oczywiście, mimo pięćdziesiątki, wciąż była uderzająco atrakcyjna. Ale to nie należało do umowy. Bo umowa była taka, że jest stara i gruba jak oni – ci, którzy zupełnie się tym nie przejmowali.

Lucho Haynes zaprosił ją na polowanie, a ona natychmiast odmówiła. Bo to Lucho, a nie Clayton Williams, wpadł na pomysł Polowania Na Łanie: wynajmował prostytutki całymi tuzinami i układał je w lesie na kocach z przenośnymi lodówkami, jak gajowy, który wypuszcza bażanty przed polowaniem. Lucho polował ze znajomymi na dziewczyny i „odstrzeliwał je”. Wspomniała o tym zaproszeniu Tedowi.

– No, cóż, wątpię, żeby cię zgwałcili czy cokolwiek – powiedział. – Mają do tego znacznie młodsze dziewczyny.

– Seks z osobą dorosłą może być interesującą odmianą – stwierdziła.

Udał, że go zraniła i wrócił do czytania gazety.

– Możemy spróbować później.

– Daruj sobie.

– Jeśli poważnie chcesz poznać moje zdanie, uważam, że to poroniony pomysł. Znajdą jakiś sposób, żeby cię upokorzyć albo przeżyjesz upokorzenie w sposób naturalny, bez ich planowania, bo nie są na tyle głupi, żeby nie wiedzieć, o co ci naprawdę chodzi.

– A o co mi chodzi?

– Chcesz być taka jak oni – stwierdził. – Chcesz, żeby przyjęli cię do

swojego klubu.

– Nie ma żadnego klubu – odpowiedziała. – A jeśli jest, już w nim zasiadam.

– Pewnie tak.

– To absurdalne.

– Nie, masz rację. Nie wiem, o czym mówię.

Następnego dnia zadzwoniła do Lucho i powiedziała, że przyjeżdża.

Tereny łowieckie Lucho były położone w odległości trzech godzin jazdy samochodem na północny wschód od Houston, głęboko ukryte w Pineywoods. Miejscowi żyli tam w szałasach, na polach walały się wraki sprzętu rolniczego, wokół była nędza jak w Meksyku, taka na miarę poprzedniego stulecia. W bagażniku miała odzież na trzy dni i dwie strzelby: wagomiar 28 na przepiórki i 20 na coś grubszego; oprócz tego jak zwykle rewolwer pod siedzeniem. Jechała piaszczystym gościńcem, zarzucało ją przez cały czas. Roślinność była tu bujna, wszędzie zwieszały się pnącza, pachniały kwiaty, których nie знаła; myślała o białych prześcieradłach, ojcu, starych długoiglastych piniach, białych dębach i mierzących ponad sto stóp magnoliach. Czuła się tak, jakby cofnęła się w czasie, wokół latały komary i ważki, powietrze było wilgotne i duszne, i trudno było sobie wyobrazić, że to Teksas.

Kiedy Lucho prowadził ją do przeznaczonego dla niej myśliwskiego domku, słońce już zachodziło, a większość gości wracała z wędkowania albo strzelania. Miała wysokie obcasy, spódnicę i bluzkę, i przeklinała siebie, że zapomniała kupić sprej na owady. Mężczyźni wyglądali tak, jakby nie golili się i nie kąpali od kilku dni. Hacjenda przeciętnego nafcjarza była wzniesiona z wapienia, miała dębowe podłogi i skórzane meble, ale myśliwska willa Lucho była konstrukcją z nieheblowanych bali, z moskitierami w oknach i nieotynkowanymi ścianami. Mogło to być letnisko jakiegoś burmistrza z prowincji, z prowizoryczną elektryką, starymi lodówkami i telewizorami. Znała większość gości: Richa Estesa, Calvina McCalla, Aubreya Stokesa, T.J. Garneta i pół tuzina innych. Wszyscy byli ubrani w najgorsze rzeczy, z bermudów wystawały im blade nogi, nad paskiem zwisały brzuszyska. Zabrała ze sobą dzinsy, ale postanowiła, że się nie przebierze – najgorszą rzeczą, jaką mogłaby zrobić, byłoby pokazanie im, że chce się dostosować, że czuje się zaszczycona. To nie byli źli ludzie, ale należeli do tych, którzy wymagają posłuszeństwa.

Na obiad była fasola i *tortillas*, wołowina albo *cabrito*, sterty

smażonych sumów, złowionych tego ranka, oraz pieczone wiewiórki pełne śrutu numer sześć. Gdyby policzyć, ile ci mężczyźni mogliby zarobić podczas łowów i połowów, byłby to zapewne najkosztowniejszy posiłek na ziemi. Travis Giddings wybierał głowy wiewiórek i wysysał je metodycznie, oblewając się tłustym sosem. Do picia podano oranżadę Big Red, słodką herbatę albo piwo Pearl, ale głównie whiskey w papierowych kubkach. Były też tace z plackiem brzoskwińowym i wiaderka lodów. Nie rozmawiano głośno ani nie przeklinano. Atmosfera przypominała tę z chłopięcej szatni, kiedy wchodzi nauczyciel wuefu. Szepnęła komuś, że zostanie tylko na jedną, góra dwie noce; zauważyła odczuwalną ulgę. Lucho podawał flaszkę whiskey. Przystawiła butelkę do ust, podniosła ją wysoko i trzymała w górze przez długą chwilę, jakby chciała wypić wszystko. Oczywiście wsunęła język w otwór, upijając może ze dwa łyki, ale rozległ się aplauz, okrzyki, śmiechy, a po kilku minutach popłynął strumień *kurew i gówien*, jakby pękła tama. *Wszyscy lubią pijane dziewczyny*, pomyślała. Może niesłusznie.

Udawała zniesmaczenie bałaganem, śmiała się ze sprośnych żartów i nie zareagowała, kiedy pojawiły się cztery kobiety (striptizerki? prostytutki?). Lucho spojrzał na nią wymownie, dając do zrozumienia, że to nie jego pomysł. Puściła do niego oko, żeby się nie martwił. Czuła się bezpieczna – każdy z tych mężczyzn skoczyłby dla niej pod pociąg, ale nie mieli nic przeciwko temu, żeby ją zawstydzić. Zastanawiała się, kto zamówił dziewczęta, może Marvin Sanders, który jej nigdy nie lubił, albo Pat Cullen, może wreszcie sam Lucho, choć udawał świętoszka. Może zaprosili ją po to, żeby ją sprawdzić. Może założyli, że da sobie z tym radę, a może w ogóle o tym nie myśleli.

Siedziała w brudnym fotelu i przyglądała się krążącym dziewczętom, przyciemnionym światłom, otwartym oknom; ktoś puścił płytę Merle'a Haggarda, sączyła koktajl 7 and 7 i była pijana mimo największych starań. Wszyscy wyglądali strasznie, mówili, co im ślina na język przyniesie. Ale czuła się wśród nich dobrze, znała tych ludzi od dekad. Wielu z nich siedziało przy niej, kiedy umarł Hank, a choć od tamtej pory zachowywali się różnie, była wśród nich bezpieczna i nic jej nie groziło. Zaczęła się odprężać, a wtedy spojrzał na nią Marvin Sanders, powiedział coś i dziewczyny też na nią spojrzały. Z rąk do rąk podawano sobie trzy butelki whiskey. Zastanawiała się, czy któryś z nich bierze mocniejsze rzeczy, choć to nie było takie miejsce, a oni, w większości, nie byli takimi ludźmi. Picie na umór, wyładowanie

samochodem w rowie, utrata przytomności za sterami cesso: tak. Palenie marihuany: nie. Jedna z dziewczyn stanęła obok niej, brunetka z teatralnie podmalowanymi na czarno oczami, miała na sobie tylko stanik i majtki. Potem usiadła na kolanach Jeannie. Jeannie czuła jej krocze ocierające się gdzieś powyżej jej własnego, delikatnie i zupełnie nie na miejscu, żałowała, że nie włożyła spodni albo czegoś grubszego. Zaczęła odpychać dziewczynę, a potem przestała, wszyscy na nie patrzyli, dziewczyna też na nią patrzyła: czy obchodzi ją, czego Jeannie może chcieć? Nie, mężczyzna, który zapłacił kazał jej to zrobić. Musi wykonać pracę. To trwało jakieś pół minuty, potem minutę; czuła tanie waniliowe perfumy i widziała dziwne napięcie w oczach dziewczyny. Lubi to, pomyślała Jeannie, a dziewczyna ją pocałowała, z otwartymi ustami, mocno i sztucznie, na pokaz. Jeannie odwróciła głowę. Zastanawiała się, ile taka dziewczyna wyciąga na rok. I co by zrobiła, gdyby się dowiedziała, ile wyciąga Jeannie? Piosenka dobiegła końca i dziewczyna zeszła z jej kolan. Jeannie puściła do niej oko na znak kobiecej solidarności, ale tamta zignorowała to. Rozglądała się już po pokoju. *Jeszcze dziesięć lat temu byłam ładniejsza od ciebie*, pomyślała, ale pozbyła się tej myśli; dziewczyna nie była problemem, problemem był Marvin Sanders, nalany i tłusty. Pożyczka na głowie opadła mu na złą stronę, poplamiał spodnie wiśniową oranżadą, absurdalna postać, choć to nie miało żadnego znaczenia, bo był bogaty i mógł kupić co tylko chciał.

Wkrótce po tym występie wstała, ziewnęła i powiadomiła wszystkich, że robi się późno dla starszej pani. Wszyscy oderwali się od tego, co akurat robili i krzyknawszy dobranoc, unieśli drinki. Było bardzo wcześnie, ale nikt nie protestował. A dziewczyny nie zwracały na nią uwagi.

Szła w ciemności do swojego domku myśliwskiego pod olbrzymimi sosnami, jak pod dachem. Ciekawe, czy Hank robił takie rzeczy? Z pewnością musiał. Musiał dotykać mnóstwa striptizerek, bo zdarzało się, że spędzał całe tygodnie z innymi operatorami na ich terenach łowieckich czy prywatnych wyspach i – jak przypuszczała – stawał się zupełnie inną osobą. Z pewnością nie kładł się wcześniej spać – to źle by o nim świadczyło – i nagle nabrała absolutnej pewności, że sypiał z innymi kobietami, mógł to zrobić, niczego nie ryzykując, nie ponosząc żadnych konsekwencji setki albo i tysiące razy: zmowa milczenia nigdy nie zostanie złamana. Zastanawiała się, dlaczego nigdy nie przyszło jej to do głowy? Poczucia się samotna. Ale dlaczego



tak ją to bolało, nie żył przecież od dwudziestu lat, to nie miało sensu. Słuchała cykad, śmiechów i muzyki dobiegających z głównego domu. Kim była, by wiedzieć, jaki był jej mąż? Usiadła w bieliźnie na dziwnej twardej pryczy. Może powinna się ubrać i pojechać do domu, do Teda, który już dwa razy prosił, żeby za niego wyszła – przekona się, czy ciągle mu na tym zależy. Była zmęczona życiem w samotności.

Położyła się. Była zbyt pijana, by jechać tak daleko. Zasnęła, a następnego ranka umyła twarz w strumieniu, zrobiła makijaż w popękanymszszarzałym lustrze, pozbyła się myśli o wyjściu za Teda i spędziła poranek na strzelaniu do kuropatw z Chuckiem McCabe. Potem wsiadła do cadillaca i wróciła do Houston. Nikt nie pytał dlaczego. Udawali, że sprawiła im przyjemność przyjazdem.

Jechała. Było gorąco i nagle przypomniała sobie ogień do piętnowania, przy którym stała wbrew ojcu i całej reszcie; teraz, po czterdziestu latach, rozpaczliwie zależało jej na tym, żeby przynależeć. Złamali ją. Poddała się. Powinna była urodzić Tedowi dziecko, była samolubna, poświęciła całe życie dla ojca i Hanka, ale trudno mierzyć się miarą umarłych – ci zachowali swą doskonałość, a ona była coraz słabsza.

Jej ojciec też był słabeuszem, nawet Hank taki był – widziała to wyraźnie. Był ideą – dłużej niż prawdziwą osobą, nie był już rzeczywisty, a ona nie spisała się źle, nie było takiej drugiej. To powinno się liczyć. Nie przypominała innych kobiet. Tuzin żywotów poświęconych na grę w tenisa i polo nie uszczęśliwiłby jej, a dziecko... gdyby Ted poprosił, urodziłaby je. Ale on chciał dzieci jak wszystko inne, to była stara przebrzmiała pieśń gdzieś w jego głowie, coraz cichsza i słabsza. Choć miał rację. Nie powinna była tam jechać. To był olbrzymi błąd, posłuży jej za naukę.



## Dzienniki Petera McCullougha

*8 sierpnia 1917 roku*

Upał. Przebiłem dwie opony, jadąc szybko po kamieniach. Pół dnia stracone. Powinniśmy dojechać do Torreón jutro. Sullivan i Jorge Ramirez są ze mną. Jorge zna trochę okolicę. Jest mocno zdenerwowany – jeśli zatrzymają nas *Carrancistas*, nasze życie będzie warte tyle, co rzut monetą. Niespecjalnie mnie to obchodzi. Czuję się tak, że można by przebić mnie palcem. Nic we mnie nie ma.

*9 sierpnia 1917 roku*

Od pracujących przy drodze robotników Jorge kupił sombrero i odpowiednie ubrania. Przebieramy się w nie, oddając robotnikom nasze własne. Gniew na Amerykanów jest powszechny, szczególnie po ostatniej ekspedycji Pershinga (*la invasión*, mówią na nią). Mijamy osły ciągnące drewno i muły obładowane garnkami, mężczyźni o zgrubiałych podeszwach stóp, wędrujących powoli w upale. Są ubrani na białą, z wyjątkiem ponczo na ich ramionach. Są też dzieci ubrane tylko w kapelusze i koce sięgające im do pasa, często przystajemy przed stadami owiec, kóz i wychudzonego bydła, które nie widzi powodu, aby ustępować nam z drogi.

Zapytałem Sullivana i Jorge, czy ich zdaniem Phineas mógł skrzywdzić Marię albo zrobić coś gorszego. Sullivan gorąco zaprzeczał. Jorge milczał. Naciskałem na niego. Więc powiedział „nie”, nie sądzi. Sullivan wskazał, że Phineas chce się ubiegać o fotel gubernatora, a ojciec Sally jest ważnym sędzią. Stwierdził, że pewnie z tej przyczyny chcieli, żeby Maria zniknęła. Powiedziałem mu, że jest także wiele innych przyczyn.

W Torreón, które jest większe niż myślałem, jeździliśmy tak długo, aż znaleźliśmy *cantina*, którą Jorge uznał za bezpieczną (czym się w tym kierował, orzec nie potrafię). Spędziliśmy z Sullivanem parę godzin,

siedząc w rogu na tyłach (właściciel dostał od nas za to sto pięćdziesiąt dolarów), a Jorge poszedł na przeszpiegi. Obaj mieliśmy na sobie brudne białe koszule i spodnie robotników, cuchnęliśmy potem obcych mężczyzn. Sullivan położył swoją czterdziestkę piątkę na wolnym krześle, a karabinek na drugim. Ja trzymałem pistolet pod koszulą, ale wątpiłem, bym miał dość siły, żeby go użyć. Sullivan czuł to i był zły.

Kiedy Jorge nie wracał przez kolejne godziny, Sullivan wskazał, choć jak mówił, obiecywał sobie, że będzie siedział cicho, że dziesięć tysięcy dolarów to dużo pieniędzy. Wystarczy, żeby zacząć całkiem nowe życie. *Robię się nerwowy, szefie, mówiąc szczerze. Im dłużej tu siedzimy, tym mniejsze mamy szanse, żeby nie wpaść do gniazda grzechotników.* Nie jestem pewny, co mam w związku z tym czuć. Jorge w końcu wrócił i zamówiliśmy jedzenie. Znalazł nam dobry hotel.

Czy María wiedziała, że tak się stanie? Czy czekała na to? To nieprawdopodobne, bo równie dobrze mogła czekać, że ktoś wyprowadzi ją na *brasada* i zastrzeli. Ale to niewypowiedziane pytanie dręczy mnie przez resztę dnia. Jorge nie znalazł w mieście nikogo, kto by ją widział. Mogła przejeżdżać tędy zeszłej nocy, albo i nie.

Przysłuchiwałem się, jak Sullivan i Jorge zastanawiają się po cichu, co by zrobili z dziesięcioma tysiącami dolarów. To ich zarobki przez pięć lat. Z pewnością by mnie zostawili. Widzę po ich twarzach, że tak ich zdaniem postąpiła María. Nie potrafię wyjaśnić tej sytuacji. Sam nie jestem już niczego pewny. To, że była w rozpaczce pozostaje niedopowiedziane; podobnie jak to, że miała wszystko do zyskania i nic do stracenia. A także i to, że jest o dziesięć lat ode mnie młodsza i piękna – o tym też nikt nie wspomina.

*10 sierpnia 1917 roku*

Samochód ukradziono. Barykadujemy się w pokoju hotelowym. Czekamy, aż Phineas prześle telegraficznie pieniądze na nowe auto. Teraz znają już twarz Jorge, więc nie może wychodzić na dwór. Co dziwne, widzimy chodzącego po ulicach fotografa z Europy. Nikt w niczym mu nie przeszkadza.

*11 sierpnia 1917 roku*

Phineas i mój ojciec musieli wykonać kilka telefonów. Tego ranka tutejszy szef policji przyniósł nam walizkę pełną pesos i przyprowadził fordą rocznik 1911, którego chce sprzedać. Mówię mu, że chce tyle samo, ile za nowego fordą u dilerą na placu. Sullivan i Jorge patrzą na mnie wymownie, żebym się zamknął.

Korba o mało nie urywa ręki Jorge, ale dostajemy policyjną eskortę przy wyjeździe z miasta. Zachęcają nas, żebyśmy jechali dziś jak najdłużej, bo jest niedziela, ludzie siedzą w domach. Nikt nic nie wie o Marii.

### *13 sierpnia 1917 roku*

Pojechałem do San Antonio do Agencji Pinkertona.

– Chce pan, żebyśmy przetrzasnęli cały Meksyk?

– Tak – powiedziałem.

– To niemożliwe. Finansowo i logistycznie. Tam toczy się wojna.

– Proszę podać mi kwotę.

Rozłożył ręce.

– Sto tysięcy dolarów. – Nie odpowiedziałem. – Trzymam pana za słowo, jeśli zgadza się pan, żebyśmy szukali wszędzie. Są sposoby, żeby to zrobić za jedną dziesiątą tej kwoty.

– Czy rezultaty będą takie same?

– Rezultaty będą takie same w obu przypadkach.

– Zrobmy to – mówię.

Spojrzał na blat biurka.

– Wszyscy znają pańską rodzinę, ale...

– Moja rodzina nie usłyszy o tym ani słowa.

– Zmierzałem do tego, że musi pan zapłacić z góry, panie McCullough.

Wyjąłem książeczkę czekową, pieniądze, które odkładałem dla siebie, wszystko, co odłożyłem. Pomyślałem: nigdy nie będę wolny, jeśli podpiszę ten czek.

– Dzisiaj mogę dać panu osiemdziesiąt tysięcy. Resztę w przyszłym tygodniu.

– Chcę, żeby pan wiedział, że marnuje pan pieniądze. Villa jest wciąż czynny na północy, Carranza i Óbregon mają środek państwa, a Zapata jest na południu. Nawet jeśli ona nadal... jest w dobrym zdrowiu, znalezienie jej będzie niezwykle trudne.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę.
- Wypisałem czek. Kropla potu spadła na cyfrę.
- Jest pan pewien, że mam to wziąć? – zapytał.

*18 sierpnia 1917 roku*

Sally zapytała mnie, kiedy pogodzę się z rzeczywistością. Odpowiedziałem jej, że modłę się każdego dnia, żeby wjechała swoim packardem do rowu. Roześmiała się, a ja powiedziałem, że nie żartuję. Kiedy doszła do siebie, oznajmiła, że dla utrzymania pozorów będzie tu spędzać tylko połowę czasu, a resztę w San Antonio. Nie odpowiedziałem.

Po południu pojawiła się w moim biurze z butelką chłodnego wina i dwoma kieliszkami. Przyznała, że nie była idealną żoną, a ja idealnym mężem. Chce zacząć wszystko jeszcze raz. Coś w rodzaju drugiego małżeństwa. Odpowiedziałem jej, że nie chcę jej widzieć, ani teraz, ani kiedykolwiek, i że prędzej pójdę do łóżka z gnijącym trupem niż z nią.

- Spędziłeś miesiąc z tą dziewczyną – stwierdziła. – Czas dorosnąć.
- To jedyny miesiąc, w którym byłem szczęśliwy.
- Co w takim razie z chłopcami? – zapytała.
- Chłopcy mnie nie szanują. To ty ich tego nauczyłaś. Ty i mój ojciec.

Rozbiła kieliszki i stanęła w progu, opierając się o framugę. Tak jak zwykła to robić Maria. Potem wyszła, a ja patrząc na rozbite szkło z kieliszków, zastanawiałem się, jakby to było, gdybym wbił jej to szkło w szyję. Zrobiło mi się niedobrze. Kiedy podąża się wystarczająco długo własnym tropem, trop ten zamienia się z czasem w odcisk stóp potwora.

Myślę o Marii. Wmawiam sobie, że była luksusem jak sezonowy owoc: dobrze go mieć nawet przez krótki czas.

*19 sierpnia 1917 roku*

Pochowali mnie żywcem.



## Eli McCullough

1865-1867

Najlepsi Teksaszczykcy zginęli albo wyjechali ze stanu, a ci, którzy trzęśli wszystkim przed wojną, wrócili. Plantatorzy bawełny lali krokodyle łzy, płacąc niewolnikom, ale zatrzymali ziemię, konie pełnej krwi i wielkie domy. Chwywanie byków na łąso jest bardziej romantyczne od zbierania bawełny, stąd przesadna sława naszego stanu jako królestwa bydła. Wołowina zawsze była uboższą kuzynką odziarniarni i dopiero trzydzieści lat po Spindletop ropa zdetronizowała Królową Bawełnę.

Wprowadziłem się na powrót do sędziego, ale trudno było mi wytrzymać w mieście, w którym klasy wyższe puszyły się w powozach, a zbłąkani wyzwoleńcy czy żołnierze Unii kończyli nocami na drzewach. Sytuacja coraz bardziej przypominała tę w starych stanach, gdzie każdy sąsiad wsadza nos w nie swoje sprawy, pyta na kogo głośujesz i w którym kościele się modlisz. Zastanawiałem się nad kupnem parceli przy Skarpie Caprock, gdzie pogranicze wciąż było otwarte, tyle że sędzia absolutnie się na to nie zgadzał. Powiedziałem mu, że Komancze dają stamtąd drapaka i wszystko jest tylko kwestią czasu. A poza tym, nie będziemy musieli tam mieszkać, wystarczy, że kupię ziemię. Ale sędzia zmiarkował, że pokusa będzie za wielka i miał chyba rację, bo często siadywałem na jego werandzie dla palaczy, myśląc o Nutkaru i Escuté, i o tym, czy nie powinienem wyruszyć w drogę, żeby ich odszukać. Obaj byli już prawdopodobnie w Mglistych Zaświatach, lecz gdyby nie Everett, zostawiłbym Madeline wszystkie pieniądze i pogalopował.

Niczym się wówczas nie zajmowałem. Tyłem, wyrastałem brzuchem ze spodni i nabawiłem się słabości do mocnych trunków, której już nigdy nie porzuciłem. Sędzia zachęcał mnie, żebym znalazł sobie regularną pracę, ale miałem pieniądze w banku i determinację, by na mnie pracowały, tak jak na klasy wyższe. Usiłowałem odkupić dziedzictwo ojca na dobrze już zasiedlonej ziemi, ale grunt ten



podzielono na cztery parcele, których nie chcieli się pozbyć nowi właściciele, więc wszystko spaliło na panewce. Najlepszy czas miałem już za sobą – to było całkiem jasne. Sędzia tymczasem uważał, że jest wręcz przeciwnie. Przeniósł się do Teksasu, by uczestniczyć w jego zasiedlaniu, a skoro spełnił już swoje marzenie, zaczął planować ubieganie się o fotel senatora. Było to dosyć delikatne przedsięwzięcie, bo stolicę okupowały siły Custera i nikt nie wiedział, co się wydarzy, kiedy odjadą. Sędzia rzucił monetą i postanowił startować z ramienia republikanów, co gorąco mu odradzano, lecz rad tych nie słuchał. Uważał, że czasy się zmieniają. Kilka tygodni później znaleziono go zastrzelonego nad rzeką.

Wszystko to, co zostało we mnie po Toshiwayu poszło do grobu razem z tym starym baranem. Żaden biały nie był mi bliższy od niego. Jeśli wiedzieli, kto to zrobił, milczeli, a ja, czując w sobie iskrę dawnego świętego ognia oburzenia, zacząłem potajemnie planować zemstę na Robertsach, Runnelsach i Waulsach. Madeline wykryła mój plan, a jej słowa przemówiły mi do rozsądku. Sprzedano duży dom i przenieśliśmy się na farmę w Georgetown. Niewolników nazywano teraz sługami i pracowali za udziały.

Matka i siostry Madeline zadowalały się wylegiwaniem się w domu i rozpaczaniem za sędzią, a moim zadaniem było według nich siedzenie na brzuchatym koniu i pilnowanie wyzwoleńców poruszających się z mozołem w górę i dół rzędów bawełny. Czasy życia na wysokiej stopie dobiegły końca, jadaliliśmy sarninę, boczek i trójkę świętą. Ale nie mogłem patrzeć na upadek wielkiego domu. I nie nadawałem się na rządcę. A Komancz we mnie mówił mi, że grzebanie w ziemi jest gorsze od wylewania pomyj. I chciałem, żeby moje pieniądze pracowały. Wybrałem działki w hrabstwach LaSalle i Dimmit i kupiłem je po dwadzieścia osiem centów za akr. Zastanawiałem się nad parcelami na wybrzeżu, ale Kingowie i Kenedy wywindowali ceny, a Pas Nueces był żyzny, dobrze nawodniony i tak tani, że mogłem kupić prawdziwą akrokrację. Pędzili po nim bandyci i renegaci, ale nigdy nie przeszkadzało mi opróżnianie bębena, a w tej części stanu męczyzna z lassem wciąż mógł nałapać tyle dzikiego bydła, ile tylko chciał, a sprzedawało się je później na północy po czterdzieści dolarów za głowę. Nie było to poszukiwanie złota, ale prawie, i jeździłem po swoim, ocalając dobre imię rodziny.

W całym hrabstwie mieszkało czterdzieści osiem dusz, a najbliższej nas stary Meksykanin o nazwisku Arturo Garcia. Kiedyś należała do

niego cała okolica, ale zostało mu z niej tylko dwieście działek, a w dniu, w którym go poznałem usiłował przebić mnie na czterodziałkowej parceli, która łączyła wszystkie moje pastwiska. Bez niej ranczo byłoby psu na budę. Poszedłem do biura ziemskiego i zaoferowałem czterdzieści centów za akr, znacznie przepłacając, ale przyjęli ofertę.

– Dobrze mieć kogoś takiego jak pan w okolicy – powiedział urzędnik ziemski.

– Dobrze mi tutaj.

– Próbuje wyrugować stąd taki element jak ten Garcia, jeśli wie pan, o co mi chodzi. – Spojrzałem na niego. Zastanawiałem się, czy nie powinienem był zaoferować mniej za ziemię, ale źle zinterpretowałem moje spojrzenie. – Nie dlatego, że to Meksykanin, uchowaj Boże. Mam, mówiąc szczerze, żonę Meksykankę. Chodzi o to, że ten Garcia trzyma ze znanymi nam złodziejami.

– To ciekawe.

– Domyślam się, że ma pan broń?

– Ma się rozumieć.

– Na pana miejscu za bardzo bym się od niej nie oddalał.

Chciałbym, żeby było inaczej, ale uwaga ta ostatecznie mnie przekonała, że znalazłem się we właściwym miejscu.



## J.A. McCullough

Po raz kolejny dała się nabrać, wszyscy o tym wiedzieli, nawet Milton Bryce. Ropa produkowana w kraju okazała się ślepym zaułkiem, traciło się pieniądze na każdej wydobytej baryłce. Ale Jeannie miała przecucie. Tak właśnie im powiedziała. A potem przestała o tym myśleć. Chciała podjąć największe życiowe ryzyko i czuła spokój.

Była szczęśliwa z Tedem, była szczęśliwa z dziećmi, wszystkim dobrze się powodziło, nawet Susan i Thomasowi. Ben był prymusem w szkole i poszedł na A&M<sup>[28]</sup>. Nie interesował się za bardzo sportem, ale był nadzwyczaj błyskotliwy, ciekawy innych; był też dobrym słuchaczem, inaczej niż jego rodzeństwo, które uważało, zdaje się, że ma jakiś wyjątkowy układ z przeznaczeniem (Susan) lub nie zwracało uwagi na nic, poza sobą (Thomas). Susan przetrwała jeden semestr w Oberlin, po czym przeniosła się do Kalifornii; była nieosiągalna przez długie miesiące, a potem o trzeciej nad ranem dzwonił telefon i to była Susan, która potrzebowała natychmiast jakiejś niewyobrażalnej sumy pieniędzy. Ale wydawała się szczęśliwa. Jeśli Jeannie zgadzała się na pieniądze, Susan opowiadała jej o swoich przygodach. Najstarszy syn, Thomas, nadal mieszkał w domu. Nie sprawiało to jej, wstyd się przyznać, przykrości, wiedziała, że powinna go wypchnąć na świat, ale przy jego dziwactwach lepiej było go trzymać blisko. Ktoś taki jak Phineas mógłby świecić mu przykładem, ale Thomas nie był nim.

Zadawała się mieszkaniem z matką, a ona zadawała się byciem z nim; miał samochód, duże kieszonkowe, podróżował z przyjaciółmi. Był cudownym dzieckiem i to go zepsuło, bo nawet teraz uważał się za pępek wszechświata. Był zakochany w swoim obliczu, tak podsumował to Ted, lecz trudno było go o to winić, bo naprawdę wyglądał jak młody Peter O'Toole, z czego był nad wyraz dumny – dumny do tego stopnia, że często ją kusilo, żeby mu przypomnieć, że Peter O'Toole nie żył z własną matką.

Jeśli chodzi o jego dziwactwa: ukrywał je tak starannie, że czasem zastanawiała się, czy nie jest w błędzie, choć innym razem była pewna i przestraszona, i czekała aż w końcu przydybą go w jakimś

publicznym miejscu. Ale w gruncie rzeczy nie było się o co martwić. Wszyscy znali Toma McCullougha, a Teksasńczycy potrafią nie zwracać uwagi na to, czego nie chcą zobaczyć – to atawizm z czasów pogranicza, kiedy nie wybierało się sąsiadów.

Tak, jej dzieci były szczęśliwe. Stanowiły zgraną gromadkę, nawet Susan. To były dobre lata. I być może z tej przyczyny rozwijała interes, choć przestała go dywersyfikować, sprzedała stalownię i firmę ubezpieczeniową, które kupiła z Hankiem, większość nieruchomości, skupiła się na ropie i ziemi, którą wszyscy chcieli jej sprzedawać. Wszystko szło tak łatwo, że zastanawiała się czasem, czy nie zakłada sobie sama pętli na szyję, żeby popełnić finansowe samobójstwo, które znacznie ograniczyłoby jej rodzinę.

Zastanawiała się, czy przeżywa to samo wyzwalające uczucie, które pozwoliło ojcu przeznaczyć cały odziedziczony majątek na ranczo. Choć jej ojciec był patentowanym głupkiem, teraz było inaczej. Wybrała się w podróż na Bliski Wschód z Cassem Rutherfordem, który stwierdził, że niczego tam nie brakuje, a w istocie jest lepiej niż przypuszczał – chodziło mu o infrastrukturę, profesjonalizm wiertaczy i geologów – ale dla niej w całej tej eskapadzie było coś niepokojącego. Przed dwudziestu laty byli tam tylko ludzie na wielbłądach. Teraz widziała osiedla mieszkalne, walające się wszędzie śmieci, ludzi mierzących ją wzrokiem na każdym rogu ulicy. Na tym polegał problem z telewizją – wszyscy widzieli, co im się zabiera, a ci Arabowie widzieli bogatych obcokrajowców kupujących ropę po dziesięć centów od dolara. Pod koniec podróży czuła się tak zepsuta i przygnębiona, że poważnie rozważała całkowite wycofanie się z interesu.

Po kilku tygodniach w domu odzyskała rozum, ale niepokój pozostał. Coś musiało się wydarzyć, a obalenie Mosaddegha było cudem, który już się nie powtórzy. Zajęła się więc amerykańskimi gruntami. Była głupia, choć później nazywali to kobiecą intuicją. To nie była intuicja, tylko zdolność dostrzeżenia tego, co ma się przed sobą, zamiast tego, co chce się przed sobą zobaczyć.

Nie było ropy. Bunker Hunt zaryzykował wszystko w Libii i został zmasakrowany, Egipt najechał na Izrael i zaczęło się embargo. Boom trwał dziesięć lat. Mimo to nie czuła satysfakcji. Wygrała, ale i tak jej nie uznawali. Oni, czyli kto? Nie była pewna. Świat? Nieżyjący ojciec, bracia i mąż? *Licysz na medal*, myślała. Liczyła. To nie było aż tak nedorzeczne: pochwała od innych operatorów, odrobina uznania, postawienie jej w jednym rzędzie z Richardsonami, Bassesami

i Murchisonami, Huntami. Była pewna – wściekle pewna – że gdyby Hank dokonał tego, co ona, jego nazwisko wymieniano by wśród największych. Może cierpiała na kompleks ofiary? Chcieli, żeby tak myślała. Skoncentrowała się na życiu rodzinnym, może po raz pierwszy w dziejach. Tu czekał na nią medal: szczęśliwy dom, szczęśliwe dzieci. Ben i Thomas, i wszyscy ich przyjaciele, którzy, jak jej synowie, nie podlegali zaciągowi. Mieszkali pod ich dachem, pili i pływali o każdej porze, czuła się jak starsza siostra, kiedy spotykała pijanych młodych ludzi w kuchni, pijanych na dziedzińcu; opowiadali jej o swoich problemach.

A potem, ot tak, jakby wszystko to wisiało na jednym włosku, nadszedł koniec. Ben był na ranczu, wjechał ciężarówką do rowu. Milton Bryce pojechał z nią do syna – nie wyglądał jak jej syn, choć nie była pewna, jak wygląda, miał tylko podbite oko; zrobili mu przedziałek po złej stronie, wyszła z tej sali i podali jej coś słodkiego, colę?, a potem myślała o swoich braciach, a potem już nic nie pamiętała.

Pochowali go i nic więcej nie miało się dziać, usiadła w starym, dobrze znanym domu, a wszystko się zamgliło i stało nieosiągalne. Dopuszczała w jakimś zakamarku umysłu, że coś może się przydarzyć Thomasowi albo Susan – kierowali się w życiu błędnym osądem, ryzykowali – ale Ben był podporą, fundamentem. A jeśli on... miała przecucie, że straci ich wszystkich. Zawiodła ich w jakiś fundamentalny sposób. Wszyscy mieli co do niej rację. Thomas także jakoś to wyczuwał, miała wrażenie, że oskarżał ją o śmierć brata, bo mogła zrobić coś, czego nie zrobiła, zabronić czegoś, młodzieńczo brawurowej jazdy ciężarówką, brania ostrych zakrętów, kopania rowu, w którym przewrócił się samochód. Któregoś dnia Thomas wyszedł i nie wrócił. Susan zadzwoniła, że przyjechał do Kalifornii. Podróżował całą noc. Wyjechał, jak się okazało, na zawsze. Sprzedała dom w River Oaks i wprowadziła się do Teda.

Musiała przyznać, że ta strata była inna od straty męża. Wiedziała, że przetrwa, wiedziała, że dojdzie do siebie, *nie traktuj tego jak nauzki*, powiedział jej Jonas, ale potraktowała, oczekiwała za dużo, więc jeśli to nie była nauzka, to co?

Nawet jeśli Bóg istnieje, nie można zakładać, że kocha rasę ludzką, bo to absurd. Jest wręcz przeciwnie. Pan Bóg systematycznie nas oszukuje. To wbrew zdrowemu rozsądkowi, żeby wszechmocna istota stworzyła świat dla kogoś innego, oprócz siebie, żeby przez cały czas

zajmowała się sprawami pośledniejszych bytów. Silni zabierają słabszym, tylko słabi uważają, że jest inaczej, a jeśli Bóg gdzieś tam istnieje, jest taki, jakim widzieli go Grecy i Rzymianie: jest przecherą albo starszym bratem, knującym przez cały czas jak nas ukarać.

Była zgorzkniała, Ben zmienił ją, najpierw na lepsze, potem na gorsze, była wściekła i zdruzgotana; kiedy nie zapadała się w siebie, szeroko ją opisywano, chwalono, zdobyła uznanie Pułkownika, odniosła sukces w interesach, znalazła się na okładkach czasopism, miała męża i interesujących kochanków, ocalała nazwisko McCulloughów; wszystko to niosło ją przez pewien czas, unosiło nad otchłanią, ale zawsze, zawsze w nią wpadała. Nic nie miało znaczenia.

Boom trwał. „Time” znów chciał z nią rozmawiać: teraz była kobietą, która przewidziała embargo. Nawiasem mówiąc: czy jest feministką? Nie. Znów znalazła się na okładce, nie całkiem pokonana, choć to już nie to samo. Jakiś wydawca zaproponował publikację wspomnień, czegoś inspirującego dla innych ludzi, kobiet przede wszystkim: historia życia, sposób myślenia, rozwiązywania problemów, żeby młodzi mieli się na kim wzorować, choć raczej chodziło mu o gospodynie domowe. Ale co miałyby powiedzieć? Że Pułkownik miał rację? Że można liczyć tylko na siebie? To nie wypełni całej książki. Ale i tak spróbowała i przez pewien czas spełniała młodzieńcze marzenie: siedzi za biurkiem, odpowiada na listy od poddanych, kamery śledzą jej każde słowo; napisała o ojcu i dwóch braciach, o matce, której nie znała, o mężu i synu; kiedy powinna przestać?; dzieci w grobach, wszyscy umierają... odłożyła papiery. Wiedziała, dlaczego Pułkownik nienawidził opowiadać o dawnych czasach. Bo w chwili, kiedy człowiek ogląda się za siebie i robi podsumowania, już po nim.

W roku 1983 nafciarze bankrutowali na prawo i lewo, ale dla Teda i większości ich znajomych boom był tylko okresem nadzwyczajnego bogactwa, w którym czeki za dzierżawę pól, z których żyli, stały się absurdalnie wysokie, zamiast zwyczajnie pokaźne.

Jonas miewał się dobrze, żył skromnie jak zawsze. Nie musiał zaciskać pasa. Nadal dojeżdżał do Bostonu kilka razy w tygodniu swoim starym volvo – czasem z Martha's Vineyard, czasem z Newport, czasem z domku nad jeziorem w Maine, choć Jeannie nie miała pojęcia, czy robi jeszcze cokolwiek w swojej kancelarii prawnej. Zdaje się, że budził się o tej samej porze każdego ranka i poświęcał dużo czasu na sporządzanie list rzeczy, które należy zrobić: przygotować łódź do zimy, pomalować poręcze na werandzie (uważał się za

majsterkowicza), zadzwonić w sprawie stukania zaworów w volvo, squash (racquet) z Billem, siatki na werandzie, chesne, Bohemian Club, rezerwacja w... Czerpał wielką satysfakcję ze skreślania wpisów z listy; czasem spisywał rzeczy, które już zrobił (śniadanie z Jeannie) tylko po to, żeby je wykreślić.

Zastanawiała się nad sprzedażą rancza, nad sprzedażą ziemi i zatrzymaniem domu, nie miała już krewnych w Teksasie. W Midland można było kupić rolls-royce'a, wieżowiec albo nawet boeinga za centy od dolara, w przemyśle naftowym długo nie będzie pracy, to było jasne. Nadszedł czas, żeby sprzedawać. Nie chciała być tak daleko od jedyne go żyjącego brata i dzieci.

Siedzieli z Tedem na ranczu, kłócąc się właśnie o to (nie sprzedaje się ziemi, uważał Ted), kiedy pojawiła się Consuela, mówiąc, że ktoś stoi w progu. Była to Meksykanka, mniej więcej w jej wieku, miała na sobie sukienkę i biżuterię, jakby szła na przyjęcie. Jeannie nie zdążyła wziąć jeszcze prysznic; odgarnęła włosy, obciągnęła koszulę i poczuła się niska.

– Nazywam się Adelina Garcia. – To jej nic nie mówiło. – Jestem córką Petera McCullougha.

To także nic jej nie mówiło. Lecz w końcu powiedziało. Sięgnęła po gałkę u drzwi.

– Peter McCullough nie miał córek – stwierdziła. – Obawiam się, że jest pani w błędzie.

– Jest moim ojcem – powtórzyła kobieta. Kiedy Jeannie nie zareagowała, kobieta spojrzała na nią władczo. – Pani jest moją bratanicą – oznajmiła. – Bez względu na wiek.

Może sprawiła to bariera językowa, ale nie mogła powiedzieć nic gorszego.

– No, cóż, poznałyśmy się. Wybacz pani, ale jestem zajęta.

Zamknęła drzwi. Kobieta długo stała na ganku, a potem odeszła powoli do samochodu. Jeannie zastanawiała się, jak przejechała przez bramę. To była stara sztuczka. Choć zazwyczaj informowali o niej prawnicy. Mimo to poczuła niepokój, a wróciwszy do biblioteki, straciła całą energię i oparła się o Teda. Ponad jej ramieniem oglądał telewizję.

– Ktoś ważny?

Zrobiło się jej niedobrze. Coś podpowiadało jej, żeby pobiegła za tą kobietą, ale nie miała siły, by wstać.

– Co chcesz zjeść? – zapytał.



– To była Meksykanka, która twierdzi, że jest moją krewniaczką.

– Pierwsza taka? – Kiwnęła głową. – Witaj w klubie.

Siedziała nieruchomo.

– Zadzwoń do Milтона Bryce’a – poradził, nie odwracając głowy od telewizora. Oglądał „Dallas”. Ludzie zwariowali na punkcie tego serialu. – Zadzwoń od razu, jeśli naprawdę cię to martwi.

Ale nie była pewna, czy to ją martwi w taki sposób. Postanowiła to przemyśleć. Odczekała do obiadu i doszła do wniosku, że to nic wielkiego.

O cóż mogło jej chodzić? Jeannie miała mnóstwo przyjaciółek ze starych rodzin, które zawsze się przechwalały swoją bezradnością: nie miały prawa jazdy ani ubezpieczenia społecznego – to był najgorszy rodzaj przechwałek, absolutna bezradność, którą można się szczycić. To, co je uszczęśliwiało, nic dla niej nie znaczyło. Była prawdopodobnie reliktem z innej epoki, jak jej pradziadek. Lecz nawet to nie było prawdą. W ogóle go nie przypominała. Brakowało jej wyobraźni, goniła tylko to, co można zobaczyć, stać ją było na więcej.

Miała wrażenie, że powinna przeprosić, ale kogo i za co, nie miała pojęcia. Rozejrzała się po pokoju. Wciąż było ciemno. Kiedy to się wreszcie zdarzy, pomyślała, nawet nie będę o tym wiedzieć, i poczuła, że się nie boi.



## Ulises Garcia

Zawsze mówiono, że pochodzą od bogatych Amerykanów – tę historię lubiła powtarzać mama, wspominając rodzinę ojca. Ojciec zginął, kiedy miał dwa lata. Trwała Brudna Wojna, ojca zabrano na posterunek policji i słuch o nim zaginął. Potem często się przeprowadzali, aż w końcu osiedli w Tamaupilas u dziadków. Dziadek pracował na ranczo, zajmował się ogrodzeniami, naprawiał wiatraki i szopy, spędzał więcej czasu w ciężarówce niż na koniu, ale tak właśnie poruszali się współcześni *vaqueros*. W Ameryce kowboje latali helikopterami. Tak przynajmniej mówiono.

Dziadek przez całe życie pracował dla rodziny Arroyo i nie był wcale bogatszy niż wtedy, kiedy zaczynał pracę. Arroyowie mieli tę ziemię od siedemnastego wieku i płacili, jakby czas w ogóle nie mijał. Kiedy siadał przy ognisku z takimi jak dziadek weteranami, widział swoje życie od początku do końca i uważał, że ma szczęście, że przyszedł na świat akurat w tej rodzinie. Jego koledzy w najlepszym razie kończyli w rafineriach albo sprzedawali błyskotki turystom, część lądowała w kartelach. Ale zdarzało się, że budził się w nocy i czuł, że ma tyle lat, co dziadek, zrywał się wtedy, zapalał światło i biegł do lustra, żeby spojrzeć w swoją twarz. Był ciemny, ludzie brali go za Mulata, miał miękki nos i gęste brwi.

Zimą wracali ci, którzy pracowali na północy, z kieszeniami pełnymi dolarów i czasem tracili wszystko – zarobek z całego sezonu – przez jedną noc, grając w karty. Dziadek wzruszał ramionami. Mercedes Arroyo wydawała trzy tysiące dolarów na apaszkę, co za różnica?

Co się tyczy Ulisesa, to wpatrywał się w śliczne wnuczki Arroyów, wywożone i przywożone przez kierowców w bmw. Kiedy go mijały, czuł perfumy z wnętrza aut. W hacjendzie było pełno wypchanych jaguarów, słoni, egzotycznych dywanów i łazienek ze złotą armaturą, ale tylko o tym słyszał, bo nigdy nie pozwolono mu wejść do środka.

Mama pojechała do pracy w Matamoros, a on został u dziadków. Któregoś dnia szperał w zostawionej przez nią walizce, pełnej babskich fatałaszków, starych fotografii i kluczy, urodzinowych kartek od ludzi,

których nie znał, listów, wyblakłych rachunków. Znalazł w niej kartę uniwersytecką ojca, a obok w kopercie... akt urodzenia babci. Dokument sporządzony był po hiszpańsku, ale imię i nazwisko ojca nie było hiszpańskie: Peter McCullough. W kopercie były też listy pisane po angielsku. Wiedział, że babcia usiłowała skontaktować się ze swą amerykańską rodziną, ale odtrącili ją; potem próbował ojciec, którego również odesłano, a on nie potrafił sobie wyobrazić, jak ci McCulloughowie (znał teraz ich nazwisko) mogli się czegoś takiego dopuścić. Próbował zrozumieć ich punkt widzenia: ktoś staje w progu i prosi o pieniądze. Liczą się szczegóły, takie sprawy załatwia się delikatnie.

Zaczął śnić na jawie o odwiedzinach w ich domu, o tym jak go przyjmują, obdarowują ziemią, czynią bogatym. Oczywiście nie zrobią tego bez powodu: udowodni im, że zna się na bydle, na interesach, że nie jest obibokiem. Umie ciężko pracować, a kiedy sprawdzi się już we wszystkim, powie, kim jest. Marzył w ten sposób przez kilka lat, a marzenia te pochodziły wprost z telenoweli, więc nie wiedział za bardzo, kiedy przekształciły się w rzeczywisty plan. W sierpniu 2011 roku przepłynął się przez rzekę i pojechał na rancho McCulloughów. Jego dziadek znał kogoś na plantacji oliwek po meksykańskiej stronie, parę mil w górę rzeki od rancza. Począł z tym starszym gościem do zmierzchu i przeszedł przez granicę. Potem było już łatwo. Nie był jakimś *pollo*, był *vaquero* i miał swoje miejsce na ziemi.

Odszukał białego zarządcę i zaproponował, że odda swoje ręcznie robione siodło, jeśli jakiś mustang z ich *remudy* zrzuci go z grzbietu. Zarządca roześmiał się głośno i powiedział, że nie mają w *remudzie* żadnych mustangów, że ostatni był tu widziany jakieś pół wieku temu. Pędzili bydlę helikopterami, a większość koni kupowali jako trzyletnie z okolicznych rancz.

Ale musiał wywrzeć dobre wrażenie na zarządcy, bo ten nie wyrzucił go z miejsca, ale przyjrzał się uważnie jego uprzęży i *chaparajos*. Ulises rzucił lassem dla niego parę razy: schwytał cielaka za szyję, a potem za przednią nogę. *Kiedyś złapałem w locie orła*, pochwalił się. To nie była prawda, bo złapał tylko indyka. Ale tamtemu spodobała się chyba jego twarz. *Umiem też spawać*. Resztę dnia spędził w ciężarówce zarządcy, pomagając mu w obowiązkach, naprawiając płot, prowadząc traktor z laną balotową. Na koniec zarządca powiedział:

– Dwieście pięćdziesiąt na tydzień. *La Migra* zazwyczaj nie wjeżdża na naszą ziemię, ale jeśli wyjdiesz poza posiadłość i cię złapią,

spędzisz kilka miesięcy w ciupie. Zwykle tego nie robimy, ale brakuje nam ludzi i będzie brakować coraz bardziej.

Zapamiętał to, ale nie pytał dlaczego.

– Jak zostaniesz tu dłużej niż kilka miesięcy, możemy porozmawiać o pozwoleniu na pracę. Choć nie mamy pewności, że to miejsce przetrwa tak długo. Straciłem dwóch ludzi tylko w tym tygodniu. Więc jeśli masz gdzieś lepsze perspektywy, lepiej ruszaj w drogę.

Pensja nie była wysoka według standardów *norteamericano*, ale nie miał na co wydawać pieniędzy. Na mniejszych ranczach agenci ICE<sup>[29]</sup> często pojawiali się każdego dnia, ale McCulloughowie mieli własną ochronę i *La Migra* rzadko u nich bywała. Niebezpieczne było opuszczanie posiadłości: białe-zielone auta były wszędzie. Czuł się trochę jak w areszcie domowym. Miał własną pryczę i kilka gwoździ, żeby powiesić koszule. Kiedy nie pracował, oglądał telewizję z innymi *vaqueros*. Kiedy nie pozwalali mu oglądać amerykańskich programów – nie dbali o swój angielski – pożyczał karabin i szedł w *brasada*, strzelając do pekari, królików albo tropiąc jelenie wirginijskie, które były wszędzie. Nie wolno było do nich strzelać, były zbyt cenne: Amerykanie płacili tysiące dolarów za polowania na nie.

Raz w miesiącu wymykał się do miasta, wysyłał dziadkom połowę pensji i kupował nową koszulę razem z wieszakiem. W święta długo oglądał ręcznie szyte kowbojki Lucchese, ale zdecydował się na Ariaty, bo były o trzy czwarte tańsze. Wybrał też wielofunkcyjne narzędzie Leathermana. Czuł się bogaty. Potem do sklepu wszedł biały z bronią i wszyscy umilkli. To był jakiś zastępca szeryfa. Ulises stał przy kasie, czekając, aż zapakują mu rzeczy, i wpatrywał się w odbicie mężczyzny w szybie. Wychodząc, czuł obrzydzenie do siebie. Przystanął przy kubie na śmieci i zastanawiał się, czy nie wyrzucić zakupów. Nie były tego warte.

Będziesz miał spokój, jak dostaniesz pozwolenie, powiedział Romero, kiedy wsiedli do ciężarówki. *No estoy recibiendo mi permiso*, odpowiedział Ulises, ale Romero udał, że nie usłyszał. Pracował dla McCulloughów od pięciu lat, ale wciąż zatrzymywali go agenci ICE, którzy udawali, że go nie poznają. Ulises czuł, jak Romero szczyści się nową białą ciężarówką, choć ta należała do niego tak samo jak ranczo; uznał, że Romero jest głupcem, choć nie większym od niego.

Starsza pani umierała i nie miała nikogo, kto zająłby się interesem. Jej córka była narkomanką, a syn, jak mówili, nie był do końca mężczyzną. Miała też wnuka, którego wszyscy lubili, ale utopił się

w wodzie o głębokości trzech stóp. Drugi wnuk przyjeżdżał na ranczo ze znajomymi: chodził w sandałach, nie golił się i ciągle palił *mota*. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby wiedzieć, dlaczego *vaqueros* wyjeżdżają: to miejsce umrze razem ze starszą panią.

Miał absurdalny plan. Starsza pani rzadko przyjeżdżała na ranczo, a zarządca, który prawdopodobnie sam szukał pracy, zapomniał o obietnicy załatwienia mu pozwolenia. Ale i tak było tu lepiej niż u Arroyów. Dlatego został.

[29] U.S. Immigration and Customs Enforcement, amerykańska straż graniczna [przyp. tłum.].



## Dzienniki Petera McCullougha

*1 września 1917 roku*

Cień podąża za mną wszędzie, widzę go w rogu podczas kolacji, jak wyczekuje; staje za mną, kiedy siadam przy biurku. Jakby przede mną gorzał wielki ogień. Wyobrażam sobie, że dotykam płomieni... pozwalam im się unieść. Jadę do *casa mayor* i przykładam ucho do skały. Słyszę kościelny dzwon, nawoływania dzieci, stukot kobiecych obcasów.

Wspomnienie z dnia po morderstwie:

Ojciec rzuca od niechcienia, że tragedią jest to, że Maria przeżyła. Gdyby umarła, gniew i smutek Garcíów zniknąłby z powierzchni ziemi. Jego słowa stają się jak ruchomy obraz, odgrywany bez końca w mojej głowie. Wyobrażam sobie, że przystawiam mu rewolwer do głowy, kiedy śpi. Wyobrażam sobie, jak strażowy parkuje ciężarówkę obok jego domu, jak przykładam zapałkę do flaszek z nitrogliceryną.

To zawsze we mnie tkwiło. I czekało tylko na odpowiednią chwilę, żeby się ujawnić. Ojciec nie jest zły: jest prosty. Problemem są tacy jak ja, ci, którzy mają nadzieję, że potrafimy się wznieść ponad instynkty. Którzy mają nadzieję, że da się żyć wbrew naszej własnej naturze.

*4 września 1917 roku*

Uzmysłowiłem to sobie tego ranka: ona nie żyje. Chodziłem po pokoju i byłem tego pewny: nie żyje. Nigdy niczego nie byłem tak bardzo pewny jak tego. Ojciec znalazł mnie w gabinecie.

– Wiesz, że jest mi przykro. Wiesz, że mnie boli, kiedy widzę cię w takim stanie.

Nie odpowiedziałem. Nie odezwałem się do niego ani słowem od tamtego dnia.

– Masz obowiązki – powiedział. – Musimy żyć jak normalni ludzie. – Ignorowałem go. Obszedł gabinet, rozglądając się po półkach. –



W porządku, współniku, zostawię cię samego.

Podszedł i uniósł rękę, żeby położyć mi ją na ramieniu, ale coś w mojej twarzy...

– Z czasem ci minie – powiedział.

Stał tak jeszcze z minutę. Potem zaszurał nogami w korytarzu. Oczywiście myśl o wyrządzeniu mu krzywdy jest dla mnie... odpychająca. Bo w przeciwieństwie do niego, jestem słaby. Nie miał nic przeciwko temu, żeby sprzedać żonę i paru synów, żeby dostać to, czego chciał... Każdy z nas wędruje przez piekło za własne grzechy, tarza się we własnych męczarniach. Moim grzechem jest strach, bojaźliwość... mogłem przecież wywieźć Marię z tego domu... a nie przyszło mi to nawet do głowy. Byłem spętany okowami własnych myśli.

Słońce dla mnie zaszło, pociemniały drogi, którymi podążam. Reszta życia wisi nade mną jak brzemień. Przypominam sobie, że me serce przez krótki czas zdziczało... spełniły się najbardziej nedorzeczne marzenia.

Może nadejdzie kolejne wielkie zlodowacenie i zmiażdży to wszystko na proch. Nie zostanie po nas nawet najmniejszy ślad, inaczej niż po ogniu.

### *6 września 1917 roku*

Sally kontynuuje zaloty. Jakbym zapomniał o tym, czego się dopuściła. Moje towarzystwo interesuje ją wyłącznie dlatego, że przestałem jej nadskakiwać. Dziś zapytała mnie, czy będę nadal szukał Marii. A potem dodała: *Czy szukałbyś mnie, gdybym zniknęła?* Jest zakłopotana, bo w jej imaginacji Maria nie była do końca człowiekiem. Dlatego uważa, że nie zrobiła nic złego. Swoi trzymają się swoich – to jedyna zasada.

Pocieszam się myślą, że pewnego dnia nie pozostanie po nas nic więcej, oprócz odcisku w kamieniu. Żelazistych plam po krwi, czarnych po węglu; twardniejącej gliny.

### *7 września 1917 roku*

Ten ród trwać dalej nie powinien.



## Eli McCullough

W roku 1521 w Nowym Świecie wylądowało kilkanaście sztuk hiszpańskiego bydła. Do roku 1865 w samym Teksasie żyły dziko cztery miliony sztuk. Wcale nie chciały się udomawiać. Z radością przebijały rogami każdego natręta i wracały do przeżuwania trawy. Przeciężny chłopiec roztropek unikał ich tak samo jak niedźwiedzi grizzly. Są to wszakże zwierzęta stadne. Kiedy zgromadzi się odpowiednio duże stado, przystępują do niego nawet najbardziej zatwardziałe sztuki. Jeśli zaczyna się od zera, stworzenie własnej hodowli może zająć rok: rok chwytania na łąso, osuwajania i piętnowania przez siedem dni w tygodniu. Jeśli przez ten czas byki nie przekłuły hodowcy rogami albo nie stratowały, zawsze napatoczył się usłużny sąsiad, który przez cały ten czas leżał do góry brzuchem; wystarczyło mu zakraść się nocą na cudze pastwisko z dziesięcioma oddanymi kompanami, a po kilku godzinach dwanaście miesięcy mozołu stawało się jego własnością.

Za wikt, dach nad głową i srebro z przyszłych zysków wynajętem dwóch byłych konfederatów: Johna Sullivana i Miliona Emory'ego, a także Todda Myricka i Ebena Huntera, którzy spędzili wojnę kryjąc się przed Strażą Krajową w hrabstwach Maverick i Kinney. Znali tę ziemię lepiej ode mnie i nie mieli odrazy do potu i krwi. Wszyscy znali Artura Garcję i szczerze go nienawidzili, jednak ponieważ niechęć do Meksykanów była powszechna w tamtych czasach, niewiele sobie z tego robiłem.

Pierwszy spęd zaczynało się, będąc winnym parobkom pieniądze za miniony rok i zapożyczając się u wszystkich. Bydlęta prowadziło się spacerkiem, pozwalając im paść się i pić do woli, żeby nie straciły choćby uncji na wadze. Traktowało się je jak złote jajka. Tymczasem burza mogła wybić połowę stada. Życie kowboja opisywano tak, jakby było zwieńczeniem swobód na Dzikim Zachodzie, ale w gruncie rzeczy była to bezsenna katorga poza wszelkim pojnowaniem: pięć miesięcy niewolniczej pracy, żeby upaść te podłe bydlęta, które bez mojego własnego piętna nie przetrwałyby nawet dnia. To, że okolica była na

tyle ucywilizowana, żeby pędzić przez nią swoją własność, tłumaczy w zasadzie wszystko. Czasy Bridgera, Carsona i Smitha dawno minęły, a kraj się powoli udomawiał.

Straciliśmy dwóch trzydziestodolarowych kowbojów<sup>[30]</sup>, kiedy ich konie stoczyły się po urwisku w ciemności. Resztę parobków zwolniliśmy w Kansas. Byli uszczęśliwieni, mogąc obejrzeć duże miasto i poszukać sobie innej pracy. Mieli więcej pieniędzy w kieszeniach, niż im się marzyło. Za tysiąc czterysta trzydzieści siedem sztuk zgarnąłem trzydzieści tysięcy dolarów i dwieście indiańskich koników, których nikt nie chciał. Pędziliśmy konie szlakiem Chisholmów, a ja zatrzymałem się w Georgetown, żeby odwiedzić rodzinę. Sullivan, Myrick, Emory i Hunter pogonili konie z powrotem nad Nueces.

Madeline cały czas mieszkała na farmie z Everettem, Phineasem i Pete'em. Jej matka, nadal powszechnie znana piękność, wyszła po raz drugi za mąż i w jadalni znów była służba.

Siedzieliśmy w słońcu w kuchni. Pieniądze leżały w banku, a ja byłem szczęśliwy w domu, kiedy patrzyłem na prześliczną żonę. Jej rude włosy zaczęła przetykać siwizna. Pochyliłem się i pocałowałem ją. Dotknęła czubka głowy.

– To te siwe?

– Raczej białe – odpowiedziałem.

Westchnęła.

– Więc teraz już nie będziesz za mną tęsknił. – Znów ją pocałowałem.

– Tęsknisz za mną?

– Oczywiście.

– Czasami wydaje mi się, że mnie nawet nie lubisz.

– Nie pleć głupstw – rzuciłem, choć wiedziałem, co miała na myśli.

– Wiem, że lubisz moje wyobrażenie, ale nie wiem, czy lubisz mnie samą.

– Kocham cię.

– No, tak. Ale to zupełnie co innego od lubienia. – Nic nie odpowiedziałem. – Przed dwoma laty, kiedy wszyscy tutaj byliśmy... ciągle o tym myślę. W życiu nie tknę sarniny, ale kiedy sobie to przypominam, uważam, że był to najszczęśliwszy okres w moim życiu.

– Byliśmy bez grosza – powiedziałem. – Nie mieliśmy przyszłości.

– Wiesz, któregoś dnia umrę. W tym też nie ma przyszłości.

Przyglądałem się jej w słońcu, opierała łokcie na pomalowanym na biało stole. Włosy opadały jej miękko na ramiona, wpatrywałem się

w nie i w jej czerwone usta, wysokie kości policzkowe, blade, nadal ciężkie od pokarmu piersi pod sukienką. Myślałem, że każdy mężczyzna byłby szczęśliwy, mogąc ją mieć w dowolny sposób.

– Chodźmy do sypialni – zaproponowałem.

Posłała mi zmęczony uśmiech.

– Dobrze – odpowiedziała.

Potem patrzyłem na nią na białych prześcieradłach. Miała zamknięte oczy.

– Potrzebuję tego.

– Ja też – przytaknąłem.

Pokręciła głową.

– Ty niczego nie potrzebujesz. – Zrzuciła z siebie prześcieradło i leżała w słońcu. Przesunąłem palcami w górę i w dół. – Jak będziesz tak robił, to znów cię zapragnę.

Przesuwałem dalej palcami, zastanawiając się, co jest ze mną nie tak. Zauważyła to, zsunęła się na dół i wzięła mnie do ust. Byłem ciekaw, jak i kiedy się tego nauczyła. Ale po chwili znów byłem gotów. Kiedy to robiliśmy, o mało jej nie powiedziałem, że jeśli musi sypiać z innymi, nie mam nic przeciwko temu, ale zmieniłem zdanie. Chciałem się z niej wysunąć, ale przytrzymała mnie.

– Za dziesięć lat będziemy mieli największy dom w Austin.

– I wtedy wrócisz z tego pustkowia?

– Tak – pocałowałem ją w szyję.

– Myślę, że podoba ci się na tym pustkowiu.

– Lubię ludzi, ale nie umiem zarabiać pieniędzy tam, gdzie żyją.

– Niedługo nie będziesz musiał.

– Nie będę musiał.

– To prawda – przytaknęła.

Kiedy wróciłem na ranczo, Todd Myrick leżał martwy na podwórku, a Eben Hunter na ganku. Leżeli tak od wielu dni. Poszedłem szukać Sullivana i Emory'ego. Na niższym pastwisku było kolejne stado sępów, a po gibkiej sylwetce poznałem, że ten, na którego patrzę, to Emory. Sullivan był na posterunku wojskowym Brackett. Dostał w płuco, ale przeżył do tej pory, więc mówili, że będzie z nim dobrze. Był dużym mężczyzną o dziwnie wysokim głosie, który miał przekazać synowi. Zapytałem go, jak się czuje, ale nie chciał o tym mówić.

– To ciekawe, że odwiedzili nas, kiedy wróciliśmy po pięciomiesięcznej nieobecności – powiedział.

– Liczyli na torbę pełną pieniędzy ze sprzedaży bydła.

Złodzieje zerwali podłogę, wyrwali kredens ze ściany, ale pieniędzy nie znaleźli. Wpłaciłem je do banku.

– Myślący człowiek wskazałby na twojego meksykańskiego sąsiada. – Oddychał ciężko przez chwilę. – Paru naszych złożyło mu wizytę, ale to gówno dało.

– Ustrzeliliście kogoś? – Wyjrzał przez okno, domyśliłem się, że nie powinienem o to pytać. – Obchodzi mnie tylko, żebyś nie przestał oddychać.

– Emory wystrzelił parę razy. Ten chłopak był szybki.

Podąłem mu chustę, ale zamiast niej chwycił mnie za rękę. Poczułem ucisk w gardle. Myślałem o pozostałych. Milczeliśmy. Sullivan puścił mnie i wziął bandanę.

– Nie wyjadę z tego hrabstwa, nie położywszy trupem przynajmniej paru z nich. Zastanawiam się, czy zatrzymasz mnie do tej pory.

Poświęciłem cały dzień na pochówek Emory'ego, Myricka i Huntera. A potem pojechałem do Artura Garcii. Mieszkał w wielkim białym domu, który wyglądał jak stara forteca. Z przodu była długa kryta dachem weranda, na którą wyszedł mnie przywitać. Przez otwarte drzwi widziałem wewnątrz domu. Na ścianach wisiały obrazy w złotych ramach, biała broń, a wszędzie stały takie meble, jakie mają królowie.

Było mu przykro z powodu mojej straty. Jakimś cudem jego stado i konie pozostały nietknięte. Miałem ochotę przejechać się wzdłuż ogrodzeń i rozejrzeć za moimi dwustoma indiańskimi konikami, ale wiedziałem, że dawno pogalopowały do Starego Meksyku.

– Zastanawia mnie – powiedziałem – taka rzecz: żeby dostać się na moje pastwiska, musieli przejechać bardzo blisko pańskiego domu. O ile nie chcieli nakładać dwudziestu mil. Żeby wyprowadzić moje stado, znów musieli jechać przez pańską ziemię. I tak właśnie zrobili, bo wciąż widać ślady.

– To duży kraj, Eli. Przykro mi.

– Wiedzieli również co do dnia, że wróciliśmy.

– Eli, powiem to tylko raz i tylko dlatego, że przeżyłeś stratę: to, że mieszkam na granicy i jestem Meksykaninem nie oznacza, że miałem cokolwiek wspólnego z kradzieżą twoich koni i zabiciem twoich ludzi.

– Nic takiego nie powiedziałem.

Z domu wyszedł młody biały, miał na sobie jasnożółte spodnie i niebieską jedwabną koszulę. Jego kowbojki lśniły, a na biodrach miał dwa kołty. Wyglądał jak aktor albo wyobrażenie rewolwerowca u tych

ze wschodu.

– Jim Fisher – przedstawił się. – Bardzo mi przykro z powodu pańskiej straty.

Potem z pastwisk nadjechali inni ludzie. Pożegnałem się i przez parę nocy spałem w zaroślach, daleko od domu, zastanawiając się nad tym wszystkim. Nie miałem żadnych innych sąsiadów. Nie prowadziły do nas żadne gościńce.

Powiem tylko, że meksykańskie pochodzenie Garcii nie miało z tym nic wspólnego. Im większy ranczer – meksykański czy biały – tym większe prawdopodobieństwo, że będzie chciał się pozbyć sąsiadów. Zawsze ma się ochotę na cudzy kawałek tortu, ranczerzy nie są żadnym wyjątkiem, a na każdą sierotę, którą wspomagają publicznie, przypada dziesięć, które unieszczęśliwili.

Garcia stracił połowę posiadłości. Nie zaprzeczam, że stan ukradł mu ziemię. Ale ja nie miałem z tym nic wspólnego, co więcej, nie był pierwszym, który ją stracił. Doszedł do wniosku, że nic mu nie zrobię. I że wyniosę się stąd prędzej czy później. Tyle że ja nie byłem sam. Z pastwiska na tyłach jego domu wracało się pod górę krętym jarem o urwistych zboczach. Jeźdźcy musieli nim jechać rzędem. W jarze tym dwóch ludzi z dziesięciostrzałowymi winchesterami mogło zatrzymać dowolny oddział, jeśli tylko nie brakłoby im cierpliwości. Kiedy Garcia umierał, mówił do mnie językiem, który nie był angielskim, hiszpańskim ani komanczerskim – takiego języka jeszcze nie słyszałem. Mimo to rozumiałem doskonale każde jego słowo. Wydawało mu się, że mnie przeklina, ale nie powiedział nic, o czym nie wiedziałbym wcześniej.

Kiedy Sullivan wydobrzeł na tyle, żeby wsiąść na konia, wynajęliśmy pół tuzina życzliwych i popędziliśmy konie i bydło Garcii do Nowego Meksyku. Każde nienapiętnowane cielę i źrebak trafiły na moje pastwiska. Powinienem był wtedy spalić ten dom i posypać ziemię solą, bo po roku zjawił się jego synowiec i wszystko zaczęło się od początku.

[30] Przeciętna miesięczna płaca kowboja pod koniec XIX w. wahała się od 25 do 30 dolarów. Dla porównania: obiad w restauracji kosztował ok. 25 centów [przyp. tłum.].





## J.A. McCullough

Leżeć i nic nie robić, tylko myśleć – gdyby ktoś ją zapytał o to wczoraj, powiedziałaaby, że marzy o takim roku; teraz marzyła tylko o tym, żeby wstać. W pokoju znów zrobiło się jasno, do środka wpadało słońce, ale coś było nie tak: krzesła i stoły przewracano, zdjęto obrazy ze ścian, porzrucano popiersia i piedestały. Afrodyta leżała w rogu twarzą do ziemi. Dach się zawali i zwierzęta zbudują tu gniazda. *Nie mogę tego zobaczyć*, pomyślała. Postanowiła, że nie będzie zwracać na to uwagi. Postanowiła, że leżenie w tym pokoju sprawi jej radość, bo było to jedyne miejsce w domu, którego ojciec nie odważył się przemeblować na swoją modłę: całą resztę domu wypełnił remingtonami, russellami i obrazami Bierstadta. Pułkownik by tego nie zniósł. Dla niego powodzenie oznaczało ciemne boazerie, stare rzeźby, wschodnie pieniądze. Które zawsze usiłowały wyglądać jak europejska waluta. To się, rzecz jasna, zmieniło. Teraz Włosi kręcą filmy o kowbojach.

Jeszcze przed zakończeniem boomu znów zaczęła dywersyfikować działalność firmy: ropa była przegrzana, każda gospodyni domowa z Midland jeździła bentleyem. Wraz z niemal wszystkimi, których znała, weszła w oszczędności i pożyczki. Rynek O&P uległ deregulacji, zezwolono pożyczać pieniądze pod handlowe nieruchomości, ropę, gaz; zniesiono pułap oprocentowania wierzytelności. Kupiła mały bank, zaoferowała wysokie oprocentowanie deponentom, a potem wykorzystwała pieniądze do inwestycji w nieruchomości w Houston i Dallas, licząc sobie absurdalnie wysoką opłatę manipulacyjną. Ale rynek nieruchomości załamał się razem z rynkiem ropy, bank Southsun musiał ubiegać się o gwarancje, czuła się z tego powodu winna, choć nie tak znowu winna, by sama była gotowa stracić sto milionów dolarów. Myślała, że będzie musiała zeznawać w Waszyngtonie, ale nie musiała.

Tymczasem Thomas planował ujawnienie swojej orientacji wobec wszystkich starych znajomych, wobec każdego, kogo znał w Houston, do czego go zniechęcała uporczywie, gdyż nie dostrzegała w jego planie ani jednej dobrej strony. Utrudnił sobie życie. I tak nie spotykał się

z ludźmi, wobec których chciał się ujawniać.

– Dlaczego mam ukrywać, kim jestem? – pytał.

Była tak zaskoczona, że nie znalazła dobrej odpowiedzi. Miał w końcu zamiar wziąć swoje życie we własne ręce, powinna go w tym wspierać. Mimo to nie była pewna, uważała, że to próba zwrócenia na siebie uwagi – publicznego utożsamienia się z tym, co robi się z dala od każdego oczu. To był błąd, powinien wzorować się na Phineasie, który chwycił świat za gardło i zmiażdżył. Owszem, ona też popełniła błędy. Jej dzieciom brakowało pewności siebie, oboje bujali w obłokach: Susan w swym uzależnieniu od guru i terapeutów, Thomas w swym liberalizmie, w upieraniu się, że musi się ujawnić. Nie pojmowali zdaje się, że jedyne, co się liczy to działania. Nie to, co się mówi ani o czym myśli.

Ujawnienie się Thomasa przeszło bez echa. Wyczuwała jego zaskoczenie, współczuła mu: uważał, że to będzie ważne, kluczowy moment, ale nic się nie zmieniło, pozostał tym, kim był. Była wobec niego niesprawiedliwa. Nie wiedziała, przez co przeszedł. Znow zaczęła się zastanawiać, czy to nie jej wina, że oboje, Thomas i Susan, są nieszczęśliwi; przypuszczała, że wynika to z tego, że nigdy nie zabrali się za żadne sensowne przedsięwzięcie. Poleciała, żeby się z nimi spotkać, złożyła im oficjalną propozycję: kilka milionów dla każdego, dwadzieścia, jeśli będzie trzeba bez względu na to, co chcą robić – galeria dla Thomasa, winnica dla Susan – nie było powodu, żeby mieli zaczynać od zera. Byli skonfundowani. Zawsze pozwalała im na wszystko. Teraz przejrzeni na oczy. Zrozumieli. Uznała, że są nieudacznikami, uznała, że mają trywialne zainteresowania, próbowała ich ocalić przed nimi samymi.

W tamtym czasie Susan miała już dwóch małych synów, Jeannie prawie ich nie widywała, jakby jej córka – w ogóle o tym nie wspominając – wiedziała, że to jedyna wojna, którą może wygrać z matką. Ale chłopak Susan, który nie był ojcem żadnego z chłopców, uciekł gdzieś, a Susan zadzwoniła, czy może przenieść się do Teksasu, choć chodziło jej tylko o to, żeby matka zaopiekowała się dziećmi w czasie polowania na innego mężczyznę.

Jeannie była uszczęśliwiona, choć starała się tego nie okazywać. Chłopcy mieli odpowiednio sześć i osiem lat, ale w ogóle jej nie pamiętali. Ash był blady i jasnowłosy, a Dell wyglądał jak Latynos. Ich wygląd mówił wszystko: mieli różnych ojców. Kochała ich. Nie widzieli rancza od niemowlęctwa, więc zabrała ich na przejażdżkę

helikopterem nad tym olbrzymim królestwem, którego byli książętami.

– Któregoś dnia to wszystko będzie wasze – powiedziała.

– Mamo – zaprotestowała Susan.

– Któregoś dnia odziedziczycie to wszystko.

Uwielbiała chłopców. Siedzieli razem przed telewizorem, kupiła im kilka oswojonych kucy, na których lubili jeździć. Jednak ogólnie rzecz biorąc, obaj byli niezdarni, bojaźliwi, jakby cały świat sprzysiągł się przeciwko nim. Nie mogła nie porównywać ich do swoich braci, a nawet do Bena i Thomasa. Ale to była iluzja. Zawodna pamięć. I tak ich kochała. Kiedy siedziała z nimi na sofie, oglądając krzykliwe kreskówki, wybaczała Susan wszystko, co było w niej nie tak. Tylko to rozprężenie... Kiedy miała pięć lat, rzucała z braćmi lassem. Kiedy miała dziesięć, stała przy ognisku do piętnowania. Jej wnuki nic nie potrafiły i niczym się specjalnie nie interesowały. Zastanawiała się, czy Pułkownik rozpoznałby w nich swoich potomków, potem broniła ich przed sobą, ale oczywiście miała rację. Coś niedobrego działo się z całą rasą ludzką. *Tak zawsze myślą starzy ludzie*, uznała.

Zabierała ich na spacer, tak długo, jak byli w stanie z nią wytrzymać: *To trop pekari, a to jelenia, a to jest modrowronka. To jest stado sępów, a tędy uciekał królik, a tu jastrząb zjadł dzieciota.*

Kiedy pojawili się ludzie, opowiadała im, na świecie żyły mamuty, wielkie bizony, wielkie konie, tygrysy szablozębne i olbrzymie niedźwiedzie. W Ameryce żył gepard – jedyne stworzenie na ziemi, które umie prześcignąć widłoroga.

Wnuczki słuchali jej uprzejmie. Może wyczuwali, do czego zmierza ta opowieść; do czego zmierzają wszystkie jej opowieści. Gepard amerykański zniknął, antylopy zaczęły biegać wolniej, rodziło się coraz więcej guzdrałów. Ludzie też stali się wolniejsi.

Wrócili do domu, żeby oglądać telewizję. Siedzieli sami na werandzie. Wszędzie wokół, jak okiem sięgnąć, ziemia McCulloughów. Nie mieli punktu odniesienia. Zawsze mogła opowiedzieć im o Pułkowniku, ale jak odważnym trzeba było być człowiekiem, żeby rzucić oszczepem w ważące dwadzieścia tysięcy funtów zwierzę? Niedźwiedzie były dwa razy większe od dzisiejszych grizzly, ludzie musieli ginąć straszną śmiercią, mieli tyle słów na oznaczenie „odwagi”, co Eskimosi na śnieg. Na cierpienie również. *Od nich pochodzimy*, myślała. Nie zostało po nich nic, oprócz śladów i kości. W Australii zachowały się odbite w skamieniałym błocie odciski stóp trzech ludzi biegnących po błotnistej równinie. Biegli z szybkością dwudziestu siedmiu mil na

godzinę, jak najszybszy żyjący teraz człowiek. Przyspieszali, kiedy ślady się urwały.

Co powinna opowiedzieć wnukom? Znała zbyt wiele faktów, mogła żonglować nimi do woli. Eli McCullough zabijał Indian. Eli McCullough zabijał białych. Zabijał, kropka. Wszystko zależy od tego, czy patrzy się na świat jego wzrokiem, czy jego ofiar w chwili, kiedy pociągał za spust. Martwi nie mają głosu, przez co są nieważni. Zresztą trudno orzec. Może Pułkownik zasiał ziarna własnej ruiny. Dbał o nich wszystkich, a oni stali się słabi, stali się ludźmi, których nigdy by nie szanował.

Oczywiście wszyscy chcą, żeby dzieci miały lepiej niż oni. Ale w którym momencie to „lepiej” wcale nie staje się lepsze? Ludzie muszą się czymś przejmować, bo w przeciwnym razie niszczą samych siebie – myślała o swoich wnukach i wnukach, które mają się narodzić.



## Ulises Garcia

Ranczo zarabiało pieniądze na ropie i gazie, a ludzie z firm naftowych jeździli po okolicy, sprawdzając szyby, zbiorniki i pompy. Byli w większości biali, a przy drogach leżały po nich puszki po napojach. *Vaqueros* nic sobie z nich nie robili i za każdym razem, kiedy widzieli taśmę geodety, wytyczającą jakiś zakręt, zatrzymywali się, żeby ją przeciąć.

Ale praca nie była zła. Klimatyzacja włączana wtedy, kiedy się chce, to naprawdę rzecz godna uwagi, a zarabiane pieniądze w porównaniu z tymi, które płacą w Meksyku, były wprost niewiarygodne. Pod koniec stycznia pojechał wraz z innymi *vaqueros* – wszyscy mieli pozwolenie na pracę – na rodeo. Nie chcieli go zabrać – ciężarówka pełna Meksykanów była podstawowym celem, a gdyby ich złapano, straciliby pozwolenia – ale udał, że nie zauważa ich wahania. Szybko zdał sobie sprawę, że trzy czwarte ludzi stojących do konkursu nie mieszka ani nie pracuje na ranczach – występowali na rodeo dla zabawy. Razem z Fernando zajęli trzecie miejsce w zespołowym wiązaniu; miał zamiar odebrać swoje dziesięć dolarów, kiedy dostrzegł dwóch agentów ICE rozmawiających z organizatorem. Poszedł w drugą stronę. Schował się w krzakach przy parkingu i czekał na Fernando i pozostałych. W drodze powrotnej nikt się nie odezwał. Pozwolenie na pracę było rzeczą niebagatelną. Już samo przebywanie w ich pobliżu narażało ich na niebezpieczeństwo.

Świerbiło go, żeby gdzieś pojechać. Nie mógł opuścić rancza. Pewnej niedzieli wybrał się do starego domu Garciov. Zostały z niego tylko walące się mury, ale kiedyś był to olbrzymi dom, prawdziwa twierdza. W pobliżu nadal biło źródło i płynął potok, wszędzie rosły drzewa, a z ich cienia roztaczał się wspaniały widok na okolicę. Wszedł w ruiny domu i natychmiast poczuł gdzieś w trzewiach, że mieszkała tu jego rodzina. Choć Garcia to dosyć pospolite nazwisko.

Drogą nadjeżdżała ciężarówka, wymknął się z ruin i chciał się ukryć, jakby robił coś złego. Choć przecież tak nie było. Mógł tu przyjechać po zbłąkaną krowę. Mężczyzna, który wysiadł z ciężarówki był niski

i luźno ubrany w stare spodnie i koszulę. Miał grube okulary i wyglądał na takiego, który spędza czas w samotności. *Vaqueros* mówili coś o tym, że pani McCullough płaci komuś za spisanie historii rancza. Ulises nigdy nie spotkał żadnego pisarza, ale uznał, że ten człowiek tak wygląda: miał nieumyte od dawna włosy i okulary. Ulises przedstawił się.

– Lubię tu przyjeżdżać na lunch – powiedział tamten. Jakby wstydził się, że w ogóle żyje. – Stąd rozciąga się najlepszy widok w całej posiadłości, a oprócz tego – wskazał na źródło – miło jest być obok wody.

Usiedli i zaczęli rozmawiać, a Ulises zapytał:

- Więc co się stało z ludźmi, którzy tu mieszkali?
- Zabito ich.
- Kto ich zabił?
- McCulloughowie. Któżby inny?





## Dzienniki Petera McCullougha

*15 września 1917 roku*

Serce mi się uspokoiło. Spotyka mnie gorsza kara. Całą resztę życia wypełni mi rozważanie o tym, co się nie wydarzyło. Myślę o zranieniu syna, o bliskości jego śmierci, jako usprawiedliwieniu zabijania innych. Obaj moi synowie siedzą w jakichś koszarach, czekając na rejs za ocean. Ten dom jest jak mauzoleum. Tylko w spisanych dziejach ludzkości Gwiazda Polarna zmieniała się czterokrotnie... a ludzie się upierają, że przetrwamy na Ziemi.

*18 września 1917 roku*

Pojechałem pomóc *vaqueros* przy sprawdzaniu ogrodzeń po wczorajszym deszczu. W wąwozie znalazłem kość wystającą z urwiska – tak starą, że skamieniała. Dzwoniła jak stal, kiedy ją uderzyłem.

*20 września 1917 roku*

Dziś osobiście przyjechał do mnie Ab Jefferson z Agencji Pinkertona. Udawał znajomego, który mnie odwiedził. Wybraliśmy się na przejażdżkę i poinformował mnie, że w Guadalajarze są trzy niedawno przybyłe Marie Garcie. Podał mi adresy. Musiałem się zatrzymać. Poklepał mnie po plecach.

– To jedno z najpowszechniejszych nazwisk w Meksyku, Pete. A te dziewczyny przyjechały zapewne ze wsi.

– Jest od czego zacząć – powiedziałem.

– Chcesz, żebyśmy tam kogoś posłali?

– Nie – odrzekłem.

Napisałem list do każdej z nich, błagałem w nim, żeby mi wybaczyła. Przez cały dzień leżałem na sofie. Cień już nie stoi nade mną. Wycofał

się do narożnika.



## Eli McCullough

### *Wczesne lata siedemdziesiąte XIX wieku*

Wołowina szła w górę przez cztery lata pod rząd, ale w '73, kiedy zaczął się kryzys gospodarczy, większość zaczęła zabijać młode woły na skórę. Nie pozwoliłem na to. Wtedy byłem już właścicielem stu osiemnastu działek za zwykłą opłatę, a siedemdziesiąt dzierżawiłem. Trzymałem stado. Ograniczyliśmy straty do minimum, bo strzelaliśmy do każdego jeźdźca wewnątrz naszego ogrodzenia. Wszystko zgodnie z prawem.

Puszczaliśmy tych, którzy wędrowali pieszo. Nie można mnie oskarżyć o to, że odmawiałem uczciwym ludziom chleba. W Carrizo było wiadomo, że każdy, kto nie ma co do garnka włożyć, może dostać u mnie cielaka, pod warunkiem, że zostawi mi skórę. Tylko kule i mury robią z sąsiadów ludzi poczciwych, a dla każdego koniokrada jedna noc na moim pastwisku równała się rocznym zarobkom, a mnie kosztowała rok życia. Gdyby tylko dało się zbudować ogrodzenie na krowy między nami a rzeką... W okolicy porośniętej kolczastymi krzewami wciąż można znaleźć mnóstwo starych pistoletów. Kości gniją szybciej od żelaza. Wszystko zgodnie z prawem.

Madeline i dzieci przeprowadzili się do dużego domu w Austin. Dzieci chodzą do szkoły i mają korepetytorów, a ja prędeż spaliłbym ranczo, niż kazał im tutaj przyjechać, choć Madeline prosiła mnie o dom nad Nueces, żebyśmy wszyscy mogli mieszkać razem. Odkładałem to. Tu nie ma szkół. A ona nie pochwałałaby sposobu, w jaki traktujemy tych, którzy wchodzą na naszą ziemię.

Któregoś dnia, zupełnie bez powodu, wpadłem w najczarniejsze przygnębienie, byłem drażliwy jak wąż i nie mogłem znieść, kiedy ktoś na mnie zerkał. Wyjechałem sam. Bo to musiało wziąć się z upału.

Następnego ranka krzyczeli na ulicach: Quanah Parker poddał się z ostatnimi Komanczami! Na całej ziemi zostało ich zaledwie tysiąc – dokładnie tylu, ilu mieszkało w wiosce Toshawaya – i teraz cały Teksas był otwarty dla białych. Powiedziałem Madeline, że muszę zostać sam,

osiadłałem konia i pojechałem w górę rzeki Kolorado. Jechałem i jechałem, ale wciąż słyszałem nawoływania świniopasów i flisaków. Jechałem do późna w nocy, aż w końcu zrobiło się cicho. Wspiąłem się na brzeg, rozpałem ognisko i zawyłem do wilków. Ale żaden mi nie odpowiedział. Było jasne, że zrobiłem źle. Ale za mało znałem, żeby nie oddać koni wojsku Ranalda Mackenziego. Z drugiej strony nigdy nic nie wiadomo. Jeden człowiek może odmienić bieg dziejów.

Myślałem o tym, że mógłbym wrócić do *Numuntu*, kiedy zaczęła się wojna. Od tamtej pory minęło już piętnaście lat. Aż trudno było mi w to uwierzyć. Ledwo pamiętałem to, co robiłem. Siedziałem na stromym brzegu i patrzyłem w dal, przypominając sobie wszystko. Nie chodziło o to, że nie kochałem swojej rodziny, ale są takie rzeczy, których nie można dostać nawet od najbliższych.

Nie mogłem znieść widoku ogniska. Skopałem szczapy do rzeki i przyglądałem się gasnącym iskrom. Potem wróciłem do domu. Przyjechałem przed świtem, napełniłem lampę i poszedłem do gabinetu. Wyjąłem księgi i papiery wartościowe i położyłem je na biurku. Depozyty w banku, udziały w Pacific Express, stalowni z Pittsburgha, tartaku w Beaumont. Przypominałem sobie dobre deszcze i pastwiska, które wydzierżawiłem, i wszystkie nowe bydła, które wykarmi zielona trawa. Siedziałem w fotelu i myślałem o takich sprawach. Poczułem spokój.



## J.A. McCullough

Ted nie tyle ją zostawił, ile poprosił, żeby zwróciła mu wolność. Przeżywał chyba ostatnie wzburzenie krwi i związał się z jakąś kobietą o połowę od siebie młodszą. Była zła, martwiła się o niego i o to, że ta kobieta – nauczycielka – może go wykorzystać. Co doprowadzało go do furii. Mogłaś mnie zatrzymać, krzyczał, mogłaś mnie zatrzymać sto i tysiąc razy. Ale, rzecz jasna, nie mogła. Nie miała w sobie tego czegoś. To prawda, że czuła się samotna, że od czasu do czasu ogarniał ją taki fizyczny popęd, jakiego nie odczuwała wobec niego od dziesięcioleci, ale przeważnie nim się nie przejmowała. Zawsze była osobą, która nie potrzebowała okazywania uczuć, nie chciała za wiele od innych, co miało i tę złą stronę, że nie była również skłonna dać za wiele z siebie.

Obawa, że Ted może okazać się jej ostatnim kochankiem była absurdalna. Miała innych towarzyszy, mężczyzn, którzy mogli mieć i miewali młodsze kobiety, ale mimo to byli jej towarzyszami. Są takie sprawy, których nie da się dzielić z młodymi, podejrzewała też – choć żaden z nich otwarcie tego nie przyznał – że dekady bycia mniej atrakcyjnym partnerem odciskają swoje piętno. Zastanawiała się, jak to jest, kiedy patrzy się w lustro i widzi siebie – siwowłosego, obwisłego, zwiędłego, z niezliczonymi plamami na skórze – obok jakiejś nieskazitelnie pięknej, młodej przedstawicielki ludzkiej rasy. Nie była pewna. Nigdy nie szła na kompromisy. Nigdy nie szła na kompromisy i w ten sposób przetrwała. *Jestem ostatnia z tego gatunku*, myślała, *ostatnia ostatnia ostatnia...* lecz nawet to było swoistą próżnością, bo nie może być ostatnią z niczego, po niej przyjdą niezliczone miliardy innych.

Milton Bryce został wdowcem, mieli kolejną szansę, znała go blisko pięćdziesiąt lat, kiedyś o tym rozmawiali, że we dwoje stworzyliby coś w rodzaju partnerstwa, całowali się, ale nie dotykali się w inny sposób, oboje mieli po siedemdziesiątce, Milton był dobrym człowiekiem, ale nie było w nim ani iskierki ognia. Lepiej zostać samą. Nie była starą panną. Owszem, nie robiła wielu rzeczy, może o czymś nie wiedziała,

ale Pułkownik też powtórnie się nie ożenił. I miał powód.

Może gdyby chorowała, odbierałaby to inaczej. Ale nie chciała, żeby jakiś kochanek się nią zajmował, bo nawet po dwóch dekadach spędzonych z Tedem miała problemy z robieniem przy nim siku, z czyszczeniem zębów, a kiedy wstawała z łóżka, zawsze wkładała szlafrok i to nie ze skromności. A z tego, że jeśli nic się sobie nie zostawi, można liczyć tylko na współczucie.

Zawsze miała taką intuicję (*wiedzę*, myślała), że przeżyje Thomasa. Są ludzie, którzy mają wolę przetrwania, ludzie, którzy są w stanie przecołgać się przez pustynię, ale Thomas do nich nie należał. W pewnym momencie zaczęło się jej wydawać, że tego uniknie, był z tym samym partnerem (*kochankiem*, myślała, *mężem*) przez ponad dekadę, a potem, ot tak, jego partner zaczął umierać i wszyscy wiedzieli, co to oznacza dla Thomasa. Nie była wyjątkiem. Wszystkie historie kończyły się w taki sposób. A jednak miała wrażenie, że spowodowała to na syna, że obawiając się tego, rozważając to, zakłęła przyszłość, w której powinna pozostać śmierć własnego dziecka. Jeśli chodzi o mężczyznę, z którym żył Thomas – Richarda – nigdy jej nie zajmował. Nie był zbyt pewny siebie i jakoś to sobie rekompensował. Thomas i Susan uważali, że jest zabawny, ale wcale nie był i nienawidziła odwiedzać go w hospicjum; *zabiłeś mojego syna*, tylko tyle przychodziło jej do głowy. Rano musiała lecieć do Midland.

– Kiedy wrócisz? – zapytał Thomas.

*Na pogrzeb*, pomyślała. Richard nienawidził jej do samej śmierci, a ona to odwzajemniała. Ale wyraz twarzy syna kazał jej zastanowić się nad tym.

– W porządku – powiedziała. – Wrócę jutro.

Próbowała sprzedać jakąś ziemię na polach naftowych Spraberry Waltowi i Amosowi Bensonom. Chcieli jej dać trochę więcej niż szesnaście dolarów za akr, chciała dziewiętnastu. Było trudno, ale coś się działo.

– Przyjedź do nas na ranczo – zapraszali ją. – Zaczyna się sezon na przepiórki.

Zrobiłaby to z wielką przyjemnością. Dobrze znała Bensonów. Żona Walta umarła rok wcześniej, a między nim a Jeannie zawsze coś iskrzyło... ale nie mogła. Musiała wracać do San Francisco. Nie mogła im powiedzieć, dlaczego.

Wróciła więc do nich i spędziła noc w hospicjum, wpatrując się w wychudzoną twarz mężczyzny, leżącego na łóżku, wiedząc, że



niedługo tak samo będzie wyglądał jej syn. Rodzice Richarda nie zostali powiadomieni. Zastanawiała się, czy nie powinna dowiedzieć się, kim są i nie wezwać ich. Doszła do wniosku, że powinna, że mają prawo wiedzieć, ale potem nie była już pewna, a jeszcze później zaczęła się przeraźliwie bać, targowała się z Bogiem, oddawała mu własne życie, wszystkie pieniądze, rozmawiała z Nim przez całą noc. To nic nie zmieniło. Straci syna. Rano przespała się dwie godziny w gulfstreamie i obudziła się w Midland, gdzie znów miała spotkanie z Bensonami. Powiedziała im, że Saddam Hussein najedzie Kuwejt.

– Na tym opierasz swoją kalkulację? – Była zbyt zmęczona, żeby im to wyjaśnić. – Kochanie – pytali – co ci jest?

Chciała pojechać na ich ranczo, chciała usiąść na patio i napić się wina z Waltem, chciała przestać myśleć o synu. Zamiast tego kierowca znów odwiózł ją na lotnisko. A wszystko to dla pieniędzy. Pieniądzy, których nie potrzebowała ona ani jej córka, ani syn. Nikt, kogo znała, nie potrzebował pieniędzy. A jednak najwyraźniej była gotowa zrobić dla nich wszystko. Spędzała dni w Midland, a noc w San Francisco. Była nienormalna. Zgodziła się na propozycję Bensonów.

Walt po raz drugi zaprosił ją na ranczo. Wpatrywali się w siebie bardzo długo, miała przed sobą szansę, przed wielu laty dała mu kosza, trzeci raz nie będzie próbował. Zamiast tego poleciała do San Francisco, wynajęła pokój w Fairmont i została przez dwa miesiące, pomagając Thomasowi sprzątać mieszkanie. Słuchała jak rozczuła się nad okropnymi płótnami Richarda. Ale Thomas przeżył. Zaczął brać lekarstwa, które go ocaliły. Znów nazywał ją „mamą”. Wcześniej nazywał ją Jeannie, ale też tylko wtedy, kiedy był na nią wściekły.

Wiedziała, że inni jej współczują. Wiedziała, że jej życie wydaje się puste, ale było akurat na odwrót. Nie da się żyć dla siebie, żyjąc dla innych. Nawet leżąc teraz na podłodze, była wolna. Nie leżała w szpitalu, gdzie za wszelką cenę podtrzymują człowieka przy życiu, nawet wtedy, kiedy nie powinni. W szpitalu nie ma się wpływu nawet na własny koniec.

Znów była w wielkim salonie. Oślepiało ją słońce, wpadało prosto przez dach, meble stały krzywo, wszystko w nieładzie, ale nie przeszkadzało jej to. W powietrzu unosił się jakiś zapach, kojący, przesłodki, rozpoznała go: sok z Gileadu. Pąki topoli. Zaczynały kwitnąć? Nie mogła sobie przypomnieć. Nie mogła sobie przypomnieć ani dnia, ani roku. Razem z Hankiem zasadziła rząd młodych topoli wokół zbiornika, wyrosły olbrzymie, prawdziwy topolowy zagajnik.

Zostawiała wszystko w lepszym stanie niż zastała. Pamiętała, jak Pułkownik wcierał sok w jej palce, pamiętała utrzymujący się przez cały dzień zapach, który czuła, podnosząc dłonie do twarzy, pijąc wodę – piła wtedy ten zapach. Pułkownik objawił jej sok z Gileadu, a ona objawiła go Hankowi. Teraz obaj na nią czekali. Czuła to.



## Ulises Garcia

Poprzedniego dnia usłyszał, a potem zobaczył lądujący odrzutowiec. To był niezły widok: z samolotu, który mógłby wziąć na pokład ze trzydziestu albo więcej ludzi wysiadła tylko jedna osoba. Samolot nazywał się Gulfstream. Takimi samymi latali *narcotraficantes*. Z pasa zabrał ją samochód.

Czuł niepokój nawet wtedy, kiedy przyglądał się jej z daleka. Pracował przez cały dzień, ale nie mógł tknąć lunchu. Później widział, jak obwożono ją po ranczu. Siedziała z tyłu cadillaca. Z wysoko uniesioną głową przyglądała się swojej własności. W porze obiadu celowo przejechał w pobliżu domu, żeby na nią zerknąć. Zauważył starszą panią, siedzącą samotnie na olbrzymiej werandzie, przeglądającą papiery. Podjechał bliżej i uchylił kapelusza.

– Dobry wieczór. Nazywam się Ulises Garcia.

Spojrzała na niego. Była poirytowana, że ktoś jej przeszkadza. Ale kiedy się do niej uśmiechnął, nie mogła się oprzeć. Odwzajemniła uśmiech i powiedziała:

– Witam pana, panie Garcia.

Nic innego nie przyszło mu do głowy, więc życzył jej tylko spokojnej nocy i odjechał, przeklinając siebie w duchu.

Następnego dnia samolot wciąż stał na pasie startowym. Zachodziło słońce, jechał do baraku. Doszedł do wniosku, że musi to zrobić teraz albo nigdy. Oczywiście, jeśli go wyrzuci, będzie musiał odjechać. Szkoda, bo praca była dobra, Bryan Colms go lubił, lubili go inni *vaqueros*, nawet jeśli uważali, że się popisuje. Byłby tchórzem, gdyby nie spróbował. Po obiedzie przebrał się w świeżą koszulę i zapakował wszystkie dokumenty do skórzanej torby, którą dostał od dziadka.



## Dzienniki Petera McCullougha

*13 października 1917 roku*

Dostałem dwa telegramy z Guadalajary, zapraszające mnie do przyjazdu, ale żaden nie pochodził od prawdziwej Marii. Natomiast dziś nadszedł list. Bardzo krótki. „Odebrałam Twoją wiadomość. Pozostały mi dobre wspomnienia, ale nie widzę możliwości, by to trwało”. Oczekuję, aż Sally wyjdzie z domu i dzwonię do Aba Jeffersona. Mówię mu, co zaszło.

- Z łatwością możemy ją sprowadzić – mówi.
  - Ale w jaki sposób?
  - Robiono już takie rzeczy, panie McCullough.
- Wtedy to do mnie dociera.
- Nie – mówię mu. – Absolutnie nie.

Nie mam specjalnego planu. Napisałem list do Charliego i Glenna, wyjaśniając sytuację najlepiej jak mogłem. Nie spodziewam się, że mi wybaczą. Szczególnie Charlie. Jest synem Pułkownika w takim samym stopniu, jak moim. Jutro przypada niedziela, więc będę musiał poczekać.

*14 października 1917 roku*

Obudziłem się dziś rano tak szczęśliwy, jak nigdy od jej wyjazdu, ale to nie trwało długo, bo zaraz wrócił zwykły nastrój. Nie wiedziałem, że noszę w sobie tyle strachu.

Jeśli zgodzi się spotkać ze mną, nic już nie będzie takie samo – wtedy była w potrzebie. Teraz będziemy jak para starych przyjaciół, których nic już nie łączy. Nasza więź okazała się iluzją. Lepiej tego nie wiedzieć. Lepiej trzymać się tego, co, jak wiem, było dobre.

*15 października 1917*

Nie spałem tej nocy. Zapakowałem trzy zmiany ubrań i rewolwer. Za kilka minut przejdę przez bramę rancza McCulloughów po raz ostatni. W taki czy inny sposób.

Bank w Carrizo nie ma takiej kwoty, o jaką mi chodzi, więc jadę do San Antonio. Ronald Derry zna mnie od dwudziestu lat – nie będzie zadawał pytań. Chyba że zada. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów za dzierżawy ropy. *Dzierżawy ropy*, powiem, *zna pan tych farmerów, przyjmują tylko gotówkę*. Potem przejadę przez granicę. Oczywiście pieniądze nie są moje. Jeśli zdecydują się zadzwonić do ojca...

Nie mam złudzeń, że dojadę żywy do Guadalajary. Jestem zdrowy na ciele i umyśle. To jest mój testament.





## Eli McCullough

Wraz z poddaniem się Komanczów, dla osadnictwa otwarto obszar dorównujący wielkością starym Stanom i każdy mieszkaniec wschodu, który miał statek wielorybiczny albo hotel, wyobraził sobie siebie jako wielkiego hodowcę bydła. Pojawili się Francuzi i Szkoci, hrabiowie i książęta we frakach, i dumni jak pawie jankesi, których gęby lśniły jak lustra. Przepłacali za ziemię, bydło i konie; usiłowali nam dorównać. Tymczasem trawiaste tereny na południu zaczęły się wyjaławiać. Sprytni hodowcy pędzili stada do Montany, żeby je upaść tamtejszą trawą. Połowa parobków od krów kończyła studia w Harvardzie i przechadzała się w fildekosowych skarpetach, z pistoletami zamawianymi pocztą i nabijaną srebrzystymi ćwiekami uprzążą prosto z zakładu rymarskiego. Przyjechali na zachód, żeby dorastać wraz z krajem. Czyli ujrzyć jego koniec.

Oznajmiłem, że sprzedam wszystko do roku '80. Ta część mnie, która jeszcze żyła, znienawidziła bydła, znienawidziła przeżuwanie w każdej minucie na jawie, w jaki sposób na nich zarobię albo stracę. Reszta mnie nie mogła myśleć o niczym innym. Jak je chronić, jak uzyskać najlepszą za nie cenę i – kiedy przestało się na nich zarabiać – jak zarabiać w inny sposób. Rozdzierały mnie ciernie, które sam posiałem, ciernie mej zguby, myślałem o krowach częściej niż o żonie i dzieciach, i niczym nie różniłem się od Ellen Wilbarger z tym jej laudanum. Nie potrzebowała go, dopóki nie spróbowała, potem nie było już odwrotu.

Madeline uważała, że zadaję się z jakąś *señoritą*. Za bardzo we mnie wierzyła. Problem był znacznie większy od jakiegokolwiek dziewczyny. Przeniosłem się wówczas do San Antonio, ale wciąż spędzałem dużo czasu w *brasada*, albo przy jakimś zamulonym wodopoju, przez co Madeline wcale nie była szczęśliwsza. Powiedziała mi, żebym wybudował odpowiedni dom nad Nueces albo gdzie indziej. Odpowiedziałem jej, że zostało mi tylko kilka lat życia, tak się wtedy czułem.

– To jak się w końcu czujesz? – zapytała.

Zacząłem coś mówić, ale nie potrafiłem. Sam diabeł zacisnął mi szczękę. Przemierzała salon. Zaprzyjaźniła się z innymi słomianymi wdowami i zaczęła się malować – tylko odrobinę, ale zauważyłem. Służby nie było, jak to ze służbą bywa, a chłopcy bawili się na dziedzińcu.

– Nienawidzę tego domu – powiedziała.

– To cholernie ładny dom – odrzekłem. Był duży i biały, w stylu hiszpańskim, tak obszerny jak ten, w którym dorastała, z dobrym widokiem na rzekę. Był wart tyle, ile moje dwuletnie zarobki plus spora hipoteka.

– Wolałabym mieszkać w szopie.

– Wkrótce stąd wyjedziemy – powiedziałem.

– Dlaczego nie teraz?

– Dlatego.

– Nie musimy mieszkać w największym domu. Ani teraz, ani nigdy. Myślę, że pomyliłeś mnie z moją siostrą.

Uśmiechnęła się, ale ja chciałem rozmawiać poważnie.

– Daj mi trzy lata – powiedziałem jej. – Przysięgam, niech mnie piekło albo powódź pochłonie, jeśli za trzy lata tknę się jakiejś krowy.

– Trzy lata to tyle samo, co wieczność.

– Tam nie ma żadnej szkoły.

– To postawimy jakąś. Albo wynajmiemy nauczyciela. Albo zostawimy ten dom i będziemy spędzać tu połowę czasu. – Wzniosła ręce do nieba. – Jest milion rozwiązań! Nie budujemy kolei żelaznych.

– Budowanie domu po to, żeby w nim nie mieszkać, to strata pieniędzy.

– Głupiec, który kupi ziemię, kupi również dom. A tymczasem siedzę tu z twoimi synami, którzy bawią się w to, że są tobą, bo cię w ogóle nie znają.

– To nie jest właściwe miejsce – powiedziałem. – Jestem tego pewny.

Ale już mnie nie słuchała. Zastanawiała się nad czymś.

– Kongresmen wraca do Waszyngtonu – powiedziała. „Kongresmen” był nowym mężem jej matki. – Obok ich domu wystawiono na sprzedaż ładną willę. Zabiorę tam nasze dzieci, jeśli mnie nie przekonasz, żebym zrobiła inaczej.

Odszedłem od niej i stanąłem przy oknie. Ta lepsza część mnie wiedziała, że powinienem pozwolić jej jechać, ale nie byłem w stanie wydobyć z siebie słów. Everett paradował na dworze w mojej starej irchowej koszuli. Miał piórko we włosach i tropił dwóch pozostałych

chłopców. Obiecywałem mu od tak dawna, że pokażę mu, jak się robi łuk, że przestał mnie już prosić. Pete i Phineas kopali w ziemi na dziedzińcu, nie mieli w sobie ognia mojego pierwotnego. Obiecywałem też Everettowi, że zabiorę go ze sobą na kilka dni podczas spędu. Mówiąc szczerze, wolałem, żeby chłopcy chodzili do szkoły. Nie chciałem ich wprowadzać w życie na preriach, bo wkrótce będzie nadawało się tylko dla hobbystów i może wyrzutków. Madeline ciągle mówiła:

- Albo możesz przenieść nas nad Nueces. – Nic nie odpowiedziałem.
- Cudownie. Zatem we wrześniu.
- Nie starczy mi czasu, żeby wykopać ziemiankę.
- Więc wynajmij dwa razy więcej ludzi. Albo dziesięć razy więcej. Nie obchodzi mnie to. Ale za trzy miesiące od dziś ani ja, ani dzieci nie będziemy mieszkać w tym domu.

W Abilene co tydzień otwierał się nowy zakład krawiecki, a po spędzie większość parobków sprzedawała konie, kupowała sobie garnitury i wracała pociągami do domu. Ci, którzy widzieli widowiska Neda Buntline'a i Billa Cody'ego chwalili się tym całymi miesiącami, jakby sztuki Buntline'a, w których grał Buffalo Bill, były prawdziwsze od ich własnego życia. Inni spędzali zimę na czytaniu opowiadań Breta Harte'a.

Spędy stały się krótsze. Linie International i Great Northern wytyczyły tory przez nasze pastwiska. Trawa znikała, ale to nie miało znaczenia: koleje żelazne zwoziły farmerów i miastowych, ziemia, którą kupiłem po ćwierć dolara była warta czterdzieści dolarów za akr, kiedy kładli tory.

Gdyby nie dzieci, przeniósłbym się do Klondike. Kraj leżał w ruinie, jak kobieta, która spędziła młodość w burdelu na kółkach. Nigdy nie przypuszczałem, że ta okolica tak się zapełni. Nigdy nie przypuszczałem, że tylu ludzi mieszka na Ziemi.



## J.A. McCullough

Weszła do wielkiego salonu i zobaczyła, że ojciec siedzi obok kominka. Nie zauważył jej – była z tyłu, a on siedział w fotelu, który dostawił do kamiennego paleniska i czytał z oprawionego w skórę notesu. Kiedy kończył czytać stronę, wyrywał ją, pochylał się i wrzucał w płomienie. Na podłodze obok niego leżały trzy inne notesy, były to chyba czyjeś pamiętniki. Przyglądała się mu przez kilka minut, a w końcu podeszła.

– Co robisz? – zapytała.

Pocił się, był blady, jakby miał gorączkę. Przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa.

– Twój dziadek był kłamcą – szepnął wreszcie zduszonym głosem. Wyglądał tak, jakby miał się za chwilę popłakać w tym fotelu, a ona przypomniała sobie ojca szkolnej koleżanki, który też siedział i łkał przed kominkiem. Może ojcowie często tak robią? Wziął się w garść.

– Mam jeszcze dużo pracy. – Wstał, zebrał wszystkie cztery notesy i rzucił je między płonące polana. Potem pocałował ją w czoło. – Dobranoc, kochanie.

Kiedy się upewniła, że nie ma go w pobliżu, chwyciła pogrzebacz i wyciągnęła pamiętniki z ognia. Płomienie ledwo je tknęły. Nie pokazała ich braciom ani nikomu innemu. Była mądra. Wiedziała, że jest jedyną osobą, której można coś takiego powierzyć.

Jonas zachowywał się dziwnie przez cały dzień. Po szkole, zamiast pojechać na pastwisko do taty, poszedł do siebie na górę. Przypatrywała się mu przy obiedzie, naprawdę było z nim coś nie tak, pewnie złapał grypę. Prawie nie tknął jedzenia.

Sprzątnięto talerze, a Paul i Clint poszli do biblioteki grać w karty. Jeannie wyszła na werandę, na której sypiali, żeby poczytać i popatrzeć w ciemności na okolicę. W pewnej chwili zauważyła jakąś postać, która schodziła na dół ku stajniom. Zgarbiona z opuszczoną ze wstydu głową. Od razu poznała Jonasa. Nawet znacznie później nie bardzo wiedziała, dlaczego za nim poszła. Stała przy stajniach, a potem usiadła w ciemności, żeby go podejrzeć. W środku zapaliło się światło. Zastanawiała się, czy brat umówił się na randkę z dziewczyną,

była ciekawa, kim jest jego wybranka. Ale Jonas zaczął wyprowadzać konie na pastwisko, klepał je po zadach, żeby się ruszały. Przysunęła się bliżej i przyłożyła oko do szpary w deskach, na dworze była już noc, a on zaczął przerzucać siano, układać je aż po sam strop. Rzucił okiem na stertę, a potem wyciągnął skądś bańkę z naftą i polał siano.

– Co robisz? – zapytała. Stała w drzwiach stajni.

Spojrzał na nią, weszła w krąg światła.

– Jeannie – szepnął. Wydawał się zaskoczony.

– Co robisz? – powtórzyła.

– To jedyny sposób, żeby pozwolił mi wyjechać. – Nic nie rozumiała. – Tata – powiedział i wzruszył ramionami. – Byłem ciekaw, co się stanie, jak zaczniesz tracić przeze mnie pieniądze. To jedyny sposób, żeby do niego dotrzeć. Możesz na mnie naskarżyć, jeśli chcesz, nic mnie to nie obchodzi.

– Nic nikomu nie powiem – szepnęła.

– Więc przejdź się po zagrodach i sprawdź, czy nie został gdzieś jakiś koń. Nie myślę teraz normalnie.

Przeszła przez stajnię, zaglądając do każdej zagrody. Zrobił pochodnię z kija i starej koszuli, przyglądała się zza drzwi stajni, jak polewa wszystko naftą i podpala. Przyłożył ogień do siana. Rozległ się syk i zrobiło się jasno. Wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi. Siedzieli na wzgórzu i wpatrywali się w ogień widoczny w szparach budynku, który wyglądał tak, jakby zapłonęło w nim małe słońce. Spod stropu wydobywał się dym, Jonas wstał i przytulił ją do siebie, a potem chwycił za rękę i poprowadził na górę z powrotem do domu ich ojca.



## Ulises Garcia

Ogolił się, zmoczył i przyczesał schludnie włosy. Miał na sobie świeżą koszulę i spodnie. Koszula była całkiem nowa, spodnie też. Wyglansował kowbojki. Miał ze sobą skórzaną torbę ze wszystkimi aktami urodzenia, a także starego kolta, który należał do pradziadka. Rewolwer już nie działał, ale na kolbie widać było wyraźnie wygrawerowane nazwisko *P. McCullough*.

Obszedł werandę, rozglądając się wokół, aż ujrzał otwarte przeszklone drzwi. Podeszedł do nich. Siedziała za nimi w fotelu i czytała. Poznała go.

– Pewnie szukasz Dolores.

– Nie – odrzekł.

– Lubię ogień w kominku, kiedy tu przychodzę – powiedziała. – Nawet jeśli trzeba zostawiać otwarte drzwi, żeby nie było za gorąco.

– Jest przyjemnie. – Czekala, aż powie coś jeszcze. – Pracuję dla pani.

– Pamiętam.

Minęła długa chwila, nim zdołał powiedzieć coś więcej. Kręciło mu się w głowie.

– Jestem prawnukiem Petera McCullougha – oznajmił. – Chciałem pracować dla pani, bo... – Nie mógł dokończyć, bo wyszedłby na szaleńca.

Jej twarz niczego nie wyrażała. Ze skórzanej torby, którą przed przyjściem tutaj również wyczyścił i nasmarował, wyjął wszystkie listy i dokumenty. Wszedł na dwa kroki w głąb domu, podał jej wszystko i cofnął się. Rozglądał się, kiedy czytała. Salon był olbrzymi, jakieś trzydzieści na czterdzieści metrów. Od podłogi do stropu jak w kościele musiało być z dziesięć metrów. W tym jednym salonie zmieściłyby się trzy domy, w których się wychowywał. Przypomniał mu się dom Arroyów. Przeczytała kilka pierwszych stron, a potem przeglądała papiery szybciej niż była w stanie czytać.

– Jesteśmy krewnymi – oznajmił.

Jej oczy nie zmieniły wyrazu, ale zauważył, że zaczęły drżeć jej ręce.



– Obawiam się, że będziesz musiał opuścić ten dom – powiedziała. Wskazała dłonią dokumenty. – Opuścisz ten dom natychmiast – dodała z naciskiem. – Pan Colms wypisze ci czek.

Chciał otworzyć usta, ale odwróciła głowę. Jakby go tu w ogóle nie było. Jak gdyby nigdy nic wstała z fotela i podeszła do niskiego marmurowego stoliczka, z którego podniosła telefon. Wybrała jakiś numer, ich spojrzenia spotkały się.

– Mówi pani McCullough. W moim domu jest jakiś mężczyzna, który nie chce stąd wyjść. Tak, jest ze mną w salonie. – Kiwnęła w jego stronę głową i gestem kazała się wynieść. Czuł, jak jego ciało porusza się bezwolnie ku drzwiom. – Jak się nazywa? Martinez czy jakoś tak.

Poczuł się tak, jakby ktoś przypalał go żywym ogniem. Ruszył do przodu, żeby odebrać dokumenty, ale źle zrozumiała jego intencje, cofnęła się za szybko, potknęła o własne nogi, wyciągnął ręce, żeby ją złapać, ale wyslizgnęła się i runęła przed kominkiem. Jej głowa uderzyła głucho o kamienne palenisko. Telefon wypadł jej z ręki. Słyszał, jak ktoś mówi na drugim końcu linii.

– Pani McCullough? – szepnął.

Nie zareagowała. Drżały jej powieki, które nie były ani zamknięte, ani otwarte.

– Nie dotknąłem pani – powiedział.

Nie odpowiedziała. Nie poruszyła się, miała otwarte, zapatrzone gdzieś w dal oczy i wiedział, że zaraz umrze. Zebrał dokumenty i schował je do torby, rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy niczego nie zapomniał, a potem podszedł do drzwi. Zabił ją. Nie tknął jej, ale ją zabił tym, że istnieje.

Wyszedł na dwór, daleko na wzgórzu zawracała jedna z ciężarówek. Oczywiście, że go znajdą. Domyślą się wszystkiego, mają na to swoje sposoby. Nie tknął jej. *Jesteś Meksykaninem w domu bogatej pani*, pomyślał. *Nic ich nie obchodzi, czy ją dotknąłeś czy nie*. Odczekał, aż ciężarówka przejedzie, a potem ruszył przez dom, szukając innego wyjścia. Co to był za dom! Dywany tak miękkie, że nie słyszał własnych kroków, wszędzie stały dzieła sztuki, sączyło się przyciemnione światło jak w kinie. Otrząsnął się z tego, doszedł do kuchni, w której były prowadzące na zewnątrz drzwi. Miał sucho w ustach. Podszedł do umywalki i napił się wody z kranu, nie dotknął jej. *Zabiją cię*, pomyślał. *To dla nich jak splunąć*. To było oczywiste. Woda mu pomogła. Serce przestało łomotać. Strzepnął parę kropel z koszuli i zaczął się zastanawiać, jak mógłby to wszystko wyjaśnić, ale

nikt mu nie uwierzy, sam sobie by nie uwierzył.

Później nie był pewny, jak wpadł na to rozwiązanie. Ale olśniło go. W kuchni stała ogromna kuchenka gazowa. Odsunął ją od ściany. Gaz pochodzi z własnych złóż, tak mu tłumaczyli, czerpią gaz prosto spod ziemi. Wyciągnął Leathermana z pochewki przy pasie, sięgnął za kuchenkę i odkręcił miedzianą rurkę.

Zamknął za sobą cicho drzwi na werandzie. Wszędzie wokół ciągnęła się pogrążona w ciemności ziemia, należąca do McCulloughów. Zastanawiał się, czy nie ukraść ciężarówkę, ale od granicy musiałyby iść pieszo. Widział światło w domu gospodyni, w domu Bryana Colmsa, w baraku. Ruszył ku stajniom McCulloughów, modląc się, żeby w środku nikogo nie było. Przed stajnią nie było ciężarówek, wszedł, nie zapalając światła. Był tu wcześniej, żeby wyrzucać nawóz z zagród, i wiedział, którą chce kłacz. Podał jej wędzidło do pyska, rzucił na nią derkę i szybko osiodłał. Bryan Colms upierał się, że jest siwa, ale była oczywiście biała.

Wyprowadził ją ze stajni w dół zbocza, z dala od domu, a potem spał obcasami. Strzemiona były za krótkie. Nie ujechał daleko, kiedy rozległ się najgłośniejszy wybuch, jaki kiedykolwiek słyszał. Koń chwycił wędzidło zębami, ale wcale się tym nie przejął – zmierzał ku rzece. Zaryzykował spojrzenie za siebie. Wokół domu unosiła się chmura pyłu, ale sam dom wciąż stał. Potem coś zamigotało i ujrzał płomienie. Kilka mil później obejrzał się raz jeszcze: luna ciągnęła się przez cały horyzont.

Kiedy dojechał do rzeki, ściągnął wodze, żeby się rozejrzeć. Nieboskłon był olbrzymi. Gaszące gwiazdy światła Ameryki wyblakły. Czuł skurcze w nogach, w brzuchu i krzyżu też.

– Jesteś silnym koniem – powiedział i pocałował ją w szyję.

Potem zjechali z brzegu. Przeprawa była łatwa, rzeka płytka. To nawet nie była już rzeka. Jak to mówił ten historyk? Ilu ich było? Dziewiętnastu albo dwudziestu? Odwiedził go w domu, a historyk pokazał mu fotografię Rangersów i ludzi z miasta pozujących przy ciałach jego przodków.

– Kim oni są? – zapytał. – Kto jest kim na tym zdjęciu?

Historyk wzruszył ramionami.

– Nikt tego nie wie. Nikt nie wie, jak wyglądało którekolwiek z Garcíów.

Biali stali w słońcu, mieli jasne twarze, a oblicza leżących na ziemi były jak ulepione z gliny. Historyk znów wzruszył ramionami i pokazał

mu inne zdjęcia: ziemianka pułkownika McCullougha, dawno nieżywi kowboje, konie i stare samochody. Dla niego fotografia zamordowanych Garcíów znaczyła tyle samo, co te pozostałe.

Ulises nie potrafił przestać o tym myśleć. To było jak odkrycie raka we własnym ciele – ta myśl o wujach i ciotkach, prawujach i praciotkach, całej wielkiej zgłodzonej rodzinie. Jechał dalej. Nosił w sobie rzecz jasna krew obu stron. Nie był ofiarą. Połowa jego rodziny zabiła drugą. Obie połowy były w nim. Amerykanie... pozwolił płynąć myślom... Amerykanie uważają, że tylko z tego powodu, że coś komuś ukradli, nikt inny nie ma prawa okradać ich. Ale tak oczywiście myślą wszyscy ludzie: cokolwiek zagarnęli, powinno zostać z nimi na zawsze. Sam nie był lepszy. Jego przodkowie ograbili z ziemi Indian, a mimo to nie zastanawiał się nad tym ani przez sekundę, myślał tylko o Tekszańczykach, którzy ukradli ziemię jego przodkom. Indianie, którym jego przodkowie ukradli ziemię, odebrali ją innym Indianom. Jego ojciec prosił tę kobietę o pomoc, a ona mu odmówiła. Przyjechała do niej jego babka, którą wcześniej spotkało to samo. Jemu też odmówiono. A ta sama kobieta dała dwadzieścia milionów dolarów na muzeum. Miliony dla martwych, nic dla żywych, tacy ludzie jak ona rządzą tym światem. Musi to zapamiętać. Jest jeszcze młody. Zapamięta.

Ale najpierw wróci do dziadka, a potem, myślał, pojedzie do Mexico City, gdzie nie ma problemów z kartelami. Biznes, polityka, nie znał się na tym, ale jak podejrzewał, minęły już czasy, kiedy nosiło się głowę wysoko, bo było się mężczyzną, bo złapało się na lasso orła. Amerykanie, zdaje się, wiedzieli już o tym. Przejedzie jeszcze kilka mil i odpocznie nocą. Potem... nie wiedział, co potem. Ale kimś zostanie. Nikt nie zapomni już jego nazwiska.



## J.A. McCullough

Widziała wchodzącego młodego Garcję, rozpoznała go z głębi salonu. Odkąd tylko otworzył usta, wiedziała, że mówi prawdę.

Nie pasowała już do własnego wnętrza. Odjedzie w ciemność od życia, które zna, ale ziemia była teraz najzwyklejsza, słońce zniknęło, była w błędzie, widziała braci daleko przed sobą. Byli młodzi, a ona postanowiła ich dogonić.



## Peter McCullough

Po czterodniowej jeździe dotarł do Guadalajary. Zatrzymał samochód przed jej domem, niedużą budowlą z cegły z odłazającą żółtą farbą i zadbanym ogródkiem.

Tamtej nocy, kiedy usnęła, włożył spodnie i koszulę, i poszedł sprawdzić, czy nie ukradli jeszcze samochodu. Było ciemno i cicho, zgaszono większość światel w sąsiedztwie. Był zaskoczony, że tak wielu ludzi ma już elektryczność. Zastanawiał się, czy ukradł pieniądze dlatego, że był tchórzem, czy dlatego, że bał się, że zmieni zdanie? Doszedł do wniosku, że to bez znaczenia. Wszedł do środka, żeby ją obudzić. Załadowali dobytek do samochodu i odjechali w nocną ciemność.

Przez pewien czas przenosili się co kilka tygodni, zatrzymując się w hotelach pod różnymi nazwiskami. Na południu było spokojniej, jedno dziecko urodziło im się w Mérida, a drugie pod Oaxaca, ale kiedy wojna dobiegła końca, zaczął się martwić, że ich znajdą, więc w roku 1920, po obaleniu Carranzy, przenieśli się do Mexico City. Powstał nowy rząd, a miasto było przepełnione. Pojawili się w nim bankierzy i przemysłowcy, wygnańcy i artyści, muzycy i anarchiści. Wszędzie wznosiły się katedry, ciągnęły długie targowiska i krzykliwe *pulquerías*, wszędzie malowano murale, a nocami jeździły tramwaje. Samochody współzawodniczyły z osłami, jeźdźcami i bosymi chłopami. Doszedł do wniosku, że oszaleje. Ale nie oszalał. Wychylał się z okna kamienicy, w której mieszkali, i przyglądał się ulicy. Nigdy w życiu nie widział tyłu ludzi.

– Nie lubisz miast – powiedziała.

– Tu dzieci będą miały lepiej.

Nie tylko one. Tracił pamięć. Pedro i Lourdes Garcíowie wydawali mu się niewiarygodnie młodzi, podobnie jego ojciec i matka; ledwo pamiętał własne dzieciństwo, ledwo pamiętał ostatni rok. Jeśli ktoś przyglądał mu się z mrocznych kątów, już o tym nie wiedział. Każdego wieczoru po zachodzie słońca wychodził na taras i stawał nad ulicą, opierając dłonie na ciepłym kamieniu. Przechodziły pod nim miliony

ludzkich żywotów, inne miliony nadejdą. Byli tacy sami jak on, wszyscy byli wolni, wszyscy zostaną zapomniani.





## Eli McCullough

1881

Obiecałem sobie, że sprzedam bydło do roku '80. Mocno padało, więc moje dwulatki szły po czternaście dolarów pięćdziesiąt centów za głowę, a potem pewien niemiecki baron, zakładający ranczo w Kansas, obiecał mi dziesięć dolarów za sztukę jednorocznych cieląt z wiosny. Parobcy sprzedali konie i pojechali pociągiem do domu, a ja zatelegrafowałem do Madeline, że się spóźnię. Wybudowałem już ten dom nad Nueces, więc w ogóle przestała na mnie czekać.

Wracałem okrężną drogą, mijając nasze stare tereny łowieckie. Wypłoszyłem krowy z naszego obozowiska nad Canadian, gdzie rosły proste i wysokie derenie, wyższe niż można sięgnąć. Szukałem przez wiele dni, ale nigdzie nie mogłem odnaleźć grobów Toshawaya, Kwiatu Prerii ani Jedynego Ptaka. Spod ziemi wyszły skały, a wszystkie drzewa zrabano na opał.

Co się tyczy grobu mojego brata: byłem prawie pewny, że Indianie prowadzili nas w górę kanionu Yellow House, a innym razem wydawało mi się, że to był kanion Blanco, albo Tule, albo Palo Duro. Przejechałem Llano wzdłuż krawędzi skarpy, mając nadzieję, że mnie oświeci, że poczuję i odgadnę miejsce, kiedy przy nim stanę. Nic takiego się nie stało.

Kiedy wróciłem do domu, wszyscy moi ludzie czekali na mnie na werandzie.

– Nie macie nic lepszego do roboty? – zapytałem. Potem przyjrzałem się ścianom domu. – Co to za strzelanina?

Nikt nie odpowiedział.

– Kto strzelał?

Pochowali ich pod topolą na wzgórzu wychodzącym na dom. Wszystko było stamtąd widać. Pochowali Madeline, Everetta i parobka o nazwisku Fairbanks. Madeline zastrzelili na podwórku, a Everetta wtedy, kiedy usiłował wciągnąć ją do środka. Trzech kowbojów, którzy

byli na miejscu i którzy przeżyli – dwóch było postrzelonych – odparło bandytów. Wszyscy uważali, że to indiańscy renegaci. Nikt nie wiedział, którzy.

– Oskalpowali ich?

Sullivan poszedł ze mną na wzgórze. Miał wycucie. Zabrałem szpadel i wziętem się za kopanie, a kiedy poczuliśmy grobowy odór, a Sullivan przekonał się, że nie przestanę, przewrócił mnie na ziemię i przytrzymał. Trzy kwarty jęczmienia za denara, a nie krzywdź oliwy i wina[31]! Moja żona i syn nie zostali oskalpowani, a Peter i Phineas nie byli nawet draśnięci.

Wojsko uważało, że sprawcami byli renegaci z plemienia Komanczów. Tropili ich do Meksyku, ale nie przekroczyli rzeki. Sullivan poprowadził mnie do miejsca, w którym Indianie stali w *corralu*. To byli Lipanie. Czubek mokasyna Apaczów jest znacznie szerszy od komanczerskiego, który robi się ostry; frędzle są krótsze i mniej się ciągną po ziemi. Apacze mają większe stopy. A strzały miały cztery rowki.

Pracowało dla mnie w sumie dwudziestu trzech ludzi i wszyscy zgłosili się do pościgu. Najstarszy miał dwadzieścia osiem lat, a najmłodszy szesnaście; marzył im się najazd na Indian, myśleli, że te czasy minęły już na zawsze. Mogli cofnąć się w dziejach, toczyć wielkie bitwy przodków... trzeba było widzieć ich jaśniejące oblicza!

Lipanie rozdzielali się siedem razy na skalistym podłożu, a ich tropy po tygodniach były już mocno zatarte, ale jeśli kiedykolwiek wierzyłem w Stwórcę, to powód był tylko jeden: przed napaścią Lipanów padało, a potem ziemia szybko wyschła, przez co ich odciski zachowały się w ziemi jak tropy starożytnych zwierząt. Dwunastu jeźdźców, niepodkute konie jadące prosto do wody. Nie zwolniliśmy, przejeżdżając przez rzekę. W Coahuila trop się urywał, ziemia była sucha. Nie zsiadłem z konia. Czytałem w księdze ziemi: byłem Toshawayem, byłem Pizonem, byłem samymi Lipanami, którzy bali się spojrzeć za siebie, bo wiedzieli, że zabili tam, gdzie nie powinni, choć skradzione konie ocala ich szczep przez kolejny rok. Inni nic nie widzieli. Widzieli tylko pogrążonego w żałobie człowieka na siwym koniu. Jechali za mną na wiarę.

O zmroku stanęliśmy na wzgórzu nad ostatnim szczepem Lipanów. Żyli tu od pięciuset lat. Czekaliśmy, aż ich ogniska zgasną. Wrzucaliśmy dynamit do tipi i strzelaliśmy do biegających Apaczów. Natarł na nas wspaniały wojownik, którego jedyną bronią był kozik,

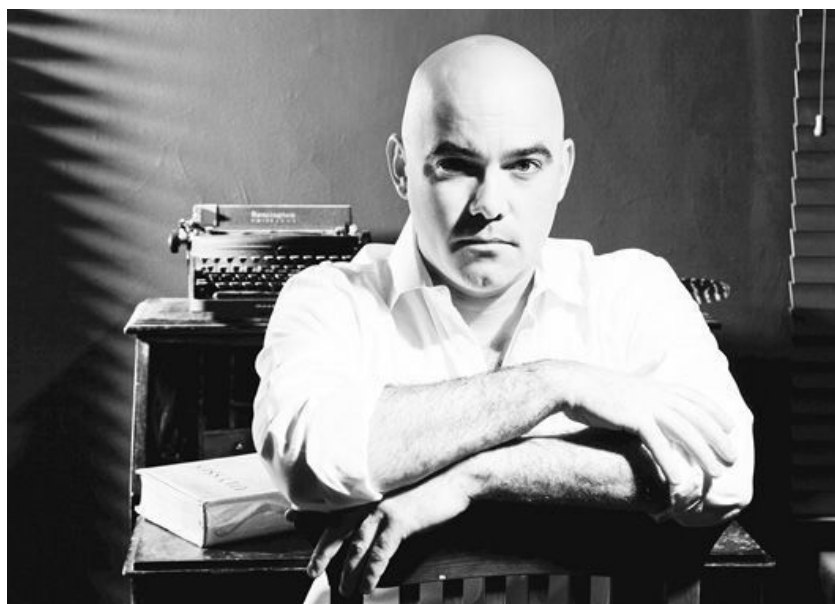
śpiewał pieśń śmierci. Ślepiec chciał wystrzelić z muszkietu, zza jego pleców wybiegła córka, która wiedziała, że broń nie jest nabita. Zamachnęła się na nas. Ją także zastrzeliliśmy. To były resztki narodu: squaw, kalecy i starcy, a nasza broń rozgrzała się tak bardzo, że strzelała sama z siebie; owijaliśmy uchwyt przy lufie chustami, ale i tak każdy został napiętnowany.

Kiedy skończyliśmy z ludźmi, wybiliśmy wszystkie psy i konie. Zabrałem pęcherz, który służył wodzowi za kapciuch: był wygarbowany i ozdobiony paciorkami. W tarczy wodza, między warstwami skóry, znalazłem „Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego” Gibbona.

Kiedy wzeszło słońce, znaleźliśmy dziewięcioletniego chłopaka. Zostawiliśmy go w spokoju jako świadka. W południe dotarliśmy do rzeki, a chłopak biegł z łukiem za nami. Przez dwadzieścia mil dotrzymywał kroku koniom, przez dwadzieścia mil biegł do utraty tchu.

Taki chłopak byłby wart tysiąca współczesnych ludzi. Zostawiliśmy go na brzegu rzeki. O ile wiem, ciągle mnie szuka.

[\[31\]](#) Apokalipsa św. Jana 6:6, „Biblia Tysiąclecia”.



*fot. Elizabeth Lippman*

Urodzony w Baltimore pisarz dzieli swój czas pomiędzy Austin, Teksas a Nowy Jork. Philipp Meyer został doceniony już na początku swojej przygody z pisarstwem. Jego debiutancka powieść *Rdza* wkupiła się w łaski krytyków oraz publicystów, zdobywając nagrodę Los Angeles Times Book Prize. Uznanie dla twórczości autora wyrażają również przyznane później nagrody: Guggenheim Fellowship oraz Dobie Paisano Fellowship. Z kolei „New York Magazine” przyznał Meyerowi tytuł jednego z najlepszych pisarzy, którzy nie ukończyli jeszcze czterdziestego roku życia. *Syn* jest drugą powieścią Meyera, która tak jak debiut odbiła się szerokim echem w świecie literackim, zyskując nominację do Nagrody Pulitzera. Książki Philippa Meyera cieszą się zainteresowaniem czytelników z wielu krajów – do tej pory przetłumaczono je na osiemnaście języków. *Syn* – epicka powieść o amerykańskim Zachodzie – znalazł się na liście bestsellerów aż w sześciu krajach. Sukces książki zainteresował producenta filmowego, który przygotowuje jej adaptację.



# Spis treści

## Podziękowania

### Rodzina McCulloughów

1. Pułkownik Eli McCullough
2. Jeanne Anne McCullough
3. Dzienniki Petera McCullougha
4. Eli McCullough
5. J.A. McCullough
6. Dzienniki Petera McCullougha
7. Eli McCullough
8. J.A. McCullough
9. Dzienniki Petera McCullougha
10. Eli/Tiehteti
11. J.A. McCullough
12. Dzienniki Petera McCullougha
13. Eli/Tiehteti
14. Jeannie McCullough
15. Dzienniki Petera McCullougha
16. Eli/Tiehteti
17. Jeannie McCullough
18. Dzienniki Petera McCullougha
19. Eli/Tiehteti
20. Jeannie McCullough
21. Dzienniki Petera McCullougha
22. Eli/Tiehteti
23. Jeannie
24. Dzienniki Petera McCullougha
25. Eli/Tiehteti
26. Jeannie
27. Dzienniki Petera McCullougha

- [28. Eli/Tiehteti](#)
- [29. Jeannie McCullough](#)
- [30. Dzienniki Petera McCullougha](#)
- [31. Eli/Tiehteti](#)
- [32. Jeannie McCullough](#)
- [33. Dzienniki Petera McCullougha](#)
- [34. Eli McCullough](#)
- [35. Jeannie McCullough](#)
- [36. Dzienniki Petera McCullougha](#)
- [37. Eli McCullough](#)
- [38. Jeannie McCullough](#)
- [39. Dzienniki Petera McCullougha](#)
- [40. Eli McCullough](#)
- [41. J.A. McCullough](#)
- [42. Dzienniki Petera McCullougha](#)
- [43. Eli McCullough](#)
- [44. J.A. McCullough](#)
- [45. Dzienniki Petera McCullougha](#)
- [46. Eli McCullough](#)
- [47. J.A. McCullough](#)
- [48. Dzienniki Petera McCullougha](#)
- [49. Eli McCullough](#)
- [50. J.A. McCullough](#)
- [51. Dzienniki Petera McCullougha](#)
- [52. Eli McCullough](#)
- [53. J.A. McCullough](#)
- [54. Dzienniki Petera McCullougha](#)
- [55. Eli McCullough](#)
- [56. J.A. McCullough](#)
- [57. Ulises Garcia](#)
- [58. Dzienniki Petera McCullougha](#)
- [59. Eli McCullough](#)



60. J.A. McCullough

61. Ulises Garcia

62. Dzienniki Petera McCullougha

63. Eli McCullough

64. J.A. McCullough

65. Ulises Garcia

66. Dzienniki Petera McCullougha

67. Eli McCullough

68. J.A. McCullough

69. Ulises Garcia

70. J.A. McCullough

71. Peter McCullough

72. Eli McCullough

Philipp Meyer